

Julia Navarro

GLINIANA BIBLIA

*Dla Fermina i Alexa – jak zwykle,
i dla moich przyjaciół,
najlepszych, jakich można sobie wymarzyć.*

1

Była dziesiąta rano. W Rzymie padał deszcz. Taksówka zatrzymała się na placu Świętego Piotra.

Mężczyzna podał kierowcy pieniądze i nie czekając, aż ten wyda mu resztę, wcisnął pod pachę gazetę i żwawo podszedł do stojących przed świątynią wartowników, którzy sprawdzali, czy turyści wchodzący do bazyliki są przyzwoicie ubrani. Nie było mowy o szortach, minispódniczkach, bluzkach z dekoltem czy bermudach.

Kiedy znalazł się w świątyni, nawet nie przystanął przed *Pietą* Michała Anioła, jedynym dziełem sztuki wśród wszystkich skarbów Watykanu, które go poruszało. Zawahał się przez chwilę, starając się zorientować w układzie bazyliki, po czym skierował kroki w stronę konfesjonałów. O tej porze kapłani z różnych krajów spowiadali wiernych przybyłych z każdego zakątka świata w ich ojczystych językach.

Przystanął i oparł się o kolumnę, czekając, lekko zniecierpliwiony, aż mężczyzna, który dotarł tu przed nim, skończy się spowiadać. Kiedy zobaczył, że tamten wstaje z klęczek, podszedł do konfesjonału. Tabliczka informowała, że siedzący w nim ksiądz udziela kapłańskiej posługi w języku włoskim.

Na widok szczupłej sylwetki mężczyzny ubranego w doskonale skrojony garnitur na twarzy księdza pojawił się lekki uśmiech. Przybyły miał siwe, starannie zaczesane do tyłu włosy i postawę niecierplivej osoby przywykłej do wydawania poleceń.

- Niech będzie pochwalony.
- Na wieki wieków.
- Ojcze, wyznaję, że zamierzam zamordować człowieka. Niech Bóg mi wybaczy.

Po tych słowach mężczyzna wyprostował się i nie zwracając uwagi na oniemiałego spowiednika, szybko oddalił się i zniknął w tłumie turystów. Na posadzce koło konfesjonału leżała pomięta, mokra od deszczu gazeta. Ksiądz nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał. Po chwili przez kratkę konfesjonału dobiegł go szept:

- Coś się stało? Złe się ksiądz czuje?
- Tak... Nie... Przepraszam...

Wychylił się i podniósł gazetę. Przebiegł wzrokiem stronę, na której była otwarta: koncert Rostropowicza w Mediolanie, sukces kasowy filmu o dinozaurach, kongres

archeologiczny w Rzymie z udziałem najsłynniejszych uczonych i archeologów: Clonay, Miller, Smidt, Arzaga, Polonoski, Tannenberg... To ostatnie nazwisko było obwiedzione czerwonym flamastrem.

Złożył gazetę, włożył ją pod pachę i czym prędzej opuścił konfesjonał, nie dając szansy na wyznanie grzechów mężczyźnie, który oczekiwał, klęcząc, po drugiej stronie kraty.

* * *

— Chciałbym rozmawiać z panią Barredą.

— Kto mówi?

— Doktor Cipriani.

— Proszę chwilę zaczekać, doktorze.

Starszy pan przecesał ręką włosy i poczuł, że nadchodzi atak klaustrofobii. Oddychał głęboko, starając się uspokoić i dla odwrócenia uwagi wędrując wzrokiem po przedmiotach, które towarzyszyły mu przez ostatnie czterdzieści lat. Jego gabinet pachniał skórą i tytoniem. Na stole stała ramka z dwoma zdjęciami – jedno przedstawiało jego rodziców, drugie trzech synów. Fotografii wnuków postawił na gzymsie kominka. W głębi widać było kanapę i dwa fotele z wysokimi zagłówkami oraz lampę z kremowym abażurem. Pod ścianami stały regały z mahoniem, których półki udzielały gościny tysiącom książek. Na podłodze perskie dywany... oto jego gabinet. Jak to dobrze znów być w domu. Musi się uspokoić.

— Carlo!

— Mercedes, znaleźliśmy go!

— Carlo, co ty mówisz!

Głos kobiety zdradzał ogromne napięcie. Wydawało się, że tak samo mocno pragnie i boi się usłyszeć, co ma jej do powiedzenia doktor.

— Wejdz do Internetu, poszukaj we włoskiej prasie, w jakiegokolwiek gazecie, na stronach poświęconych kulturze. Jest tam.

— Jesteś pewny?

— Tak, Mercedes, nie ma mowy o pomyłce.

— Dlaczego akurat na stronach poświęconych kulturze?

— Nie pamiętasz, jakie docierały do nas wieści?

— Tak, naturalnie... Więc on... Zrobimy to. Obiecuj mi, że się nie wycofasz.

— Nie, nie cofnę się. Ty też nie, oni również. Zadzwoń do nich zaraz. Musimy się spotkać.

— Chcecie przyjechać do Barcelony?

— Wszystko jedno dokąd. Zadzwoń do ciebie później, teraz chciałbym porozmawiać z Hansem i Brunonem.

— Carlo, czy to na pewno on? Jesteś pewny? Nie spuszcza go z oka, nie można pozwolić, by znów nam się wymknął, koszty nie grają roli. Jeśli chcesz, przeleję zaraz pieniądze na twoje konto, tylko upewnij się, że zatrudniasz najlepszych. Nie może nam uciec.

— Mam dobrych ludzi. Nie umknie nam, możesz być spokojna. Zadzwoń do ciebie później.

— Carlo, jadę na lotnisko, wsiądę do pierwszego samolotu odlatującego do Rzymu, nie mogę tu siedzieć i czekać z założonymi rękami...

— Mercedes, nie ruszaj się z domu, dopóki do ciebie nie zadzwonię, nie możemy popełnić błędu. Nie wymknie nam się, zaufaj mi.

Odłożył słuchawkę. Udzielił mu się niepokój Mercedes. Dobrze ją znał, nie będzie zdziwiony, jeśli za dwie godziny zadzwoni do niego z lotniska Fiumicino. Nie potrafiłaby spokojnie usiedzieć, zwłaszcza w takiej chwili.

Wybrał numer telefonu w Bonn i niecierpliwie czekał, aż ktoś odbierze.

— Kto mówi?

— Poproszę z profesorem Hausserem.

— Z kim mam przyjemność?

— Carlo Cipriani.

— To ja, Berta! Co u pana słyhać?

— Ach, moja kochana Berta! Jak się cieszę, że cię słyszę! Jak się miewa mąż i dzieci?

— Doskonale, dziękuję. Wszyscy się za panem stęskniliśmy, wciąż wspominamy tamte wakacje, trzy lata temu, w pana domu w Toskanii. Nigdy nie odwdzięczę się panu za to, że zaprosił nas pan akurat wtedy, gdy Rudolf był na skraju wyczerpania i...

— Nie ma za co dziękować, z przyjemnością znów się z wami zobaczę, jesteście zawsze mile widziani. Berto, czy zastałem twojego tatę?

Kobieta wyczuła napięcie w głosie przyjaciela swego ojca i nieco zaniepokojona powiedziała:

— Tak, już go proszę do telefonu. Czy coś się stało? Dobrze się pan czuje?

— Nie, kochanie, nic się nie stało, chciałbym tylko zamienić z nim słowo.

— Dobrze, już podchodzi. Do widzenia.

— *Ciao*, moja piękna.

Po kilku chwilach do Ciprianiego dotarł mocny głęboki głos profesora Haussera.

— Carlo...

— Hans, on żyje!

Mężczyźni zamilkli, każdy słyszał w słuchawce przyśpieszony oddech rozmówcy.

— Gdzie jest?

— Tu, w Rzymie. Trafiłem na niego przypadkiem, kiedy przeglądałem codzienną gazetę. Wiem, że nie przepadasz za Internetem, ale jeśli wejdiesz na stronę jakiegokolwiek włoskiej gazety, zwłaszcza na strony poświęcone kulturze, sam się przekonasz. Znalazłem agencję detektywistyczną, która będzie go śledzić dwadzieścia cztery godziny na dobę, gdziekolwiek się uda, jeśli przyjdzie mu do głowy wyjechać z Rzymu. Tak czy inaczej, powinniśmy się spotkać. Rozmawiałem o tym z Mercedes, teraz zadzwonię do Brunona.

— Przyjadę do Rzymu.

— Nie jestem pewny, czy to najlepszy pomysł.

— Dlaczego nie? On już jest w Rzymie i musimy to zrobić.

— O, tak. Nic na świecie nie może nam w tym przeszkodzić.

— Sami tego dokonamy?

— Jeśli nie znajdziemy nikogo, kto by nas wyręczył, owszem. Ja sam podejmę się tego z zimną krwią. Myślałem o tym przez całe życie... jak by to było, co bym czuł... Jestem w zgodzie z własnym sumieniem.

— Poznamy to uczucie, przyjacielu, kiedy będzie po wszystkim. Niech Bóg mi wybaczy, albo przynajmniej zrozumie.

— Zaczekaj, ktoś dzwoni na komórkę... To Bruno. Zadzwonię do ciebie później.

— Carlo!

— Bruno, miałem do ciebie zatelefonować...

— Mercedes dzwoniła... Czy to prawda?

— Tak.

— Natychmiast wyruszam do Rzymu. Gdzie się spotkamy?

— Zaczekaj, Bruno...

— Nie, nie będę czekał. Czekałem ponad sześćdziesiąt lat. Jeśli się pojawił, nie będę czekał ani sekundy dłużej. Chcę wziąć w tym udział, Carlo, chcę to zrobić...

— Zrobimy to. Zgoda, przyjedź do Rzymu. Zadzwoń jeszcze raz do Mercedes i Hansa.

— Mercedes jest już w drodze na lotnisko, a mój samolot wylatuje z Wiednia za godzinę. Powiadom Hansa.

— Czekam na was w domu.

Było południe. Pomyślał, że ma jeszcze dość czasu, by wstąpić do kliniki i poprosić sekretarkę, żeby odwołała wszystkie wizyty zaplanowane na następny dzień. Większość pacjentów i tak przyjmował teraz jego starszy syn, Antonino, zdarzali się jednak starzy znajomi, którzy nalegali, by to on miał ostatnie słowo w kwestii ich zdrowia. Nie narzekał jednak, bo dzięki temu stale był zajęty i czuł się zobowiązany poszerzać swoją wiedzę na temat tajemniczego mechanizmu ludzkiego ciała. Wiedział jednak, że naprawdę trzymało go przy życiu bolesne pragnienie, by wyrównać stare rachunki. Wmawiał sobie, że nie może umrzeć, dopóki się z tym nie upora. Tego ranka, w Watykanie, kiedy podchodził do konfesjonatu, dziękował Bogu za to, że pozwolił mu dożyć tych dni.

Czuł w piersi ostry ból. Nie była to jednak zapowiedź zawału, tylko smutek, bezgraniczny smutek i gniew na Boga, w którego nie wierzył, ale do którego modlił się i skarżył w myślach, przekonany, że ten i tak go nie słyszy.

Na myśl o Bogu pogorszył mu się humor. Cóż on ma wspólnego z Bogiem? Nigdy się nim nie przejmował. Nigdy! Opuścił go, kiedy był mu najbardziej potrzebny, kiedy on sam naiwnie myślał, że do zbawienia i ucieczki od strasznych przeżyć wystarczy głęboka wiara. Ależ był głupi! Teraz nachodzą go myśli o Bogu, bo w wieku siedemdziesięciu siedmiu lat już się wie, że śmierć jest bliższa niż życie i w głębi duszy, przed nieuniknioną podróżą do wieczności, włączają się sygnały alarmowe i strach.

Zapłacił za taksówkę, tym razem odbierając resztę. Klinika usytuowana w Parioli, eleganckiej, spokojnej rzymskiej dzielnicy, mieściła się w czteropiętrowym budynku, w którym pracowało dwudziestu specjalistów, nie licząc dziesięciu lekarzy internistów. Była jego dziełem, owocem jego woli i wysiłku. Ojciec byłby z niego dumny, a matka... Oczy zasły mu łzami. Matka uściskałaby go mocno, szepcząc mu do ucha, że nie ma takiej rzeczy, która mogłaby mu się nie udać, że wszystko można osiągnąć, jeśli się tego bardzo chce, że...

— Dzień dobry, panie doktorze.

Głos portiera przywrócił go do rzeczywistości. Doktor wszedł do holu zdecydowanym krokiem, wyprostowany, i skierował się do swojego gabinetu na pierwszym piętrze. Po

drodze witał się z innymi lekarzami i podał rękę kilku pacjentom, którzy zatrzymywali go na krótką rozmowę, jeśli go rozpoznali. W głębi korytarza zobaczył smukłą sylwetkę swojej córki. Uśmiechnął się. Lara cierpliwie słuchała oddechu drżącej kobiety, z całej siły ściskającej za rękę młodą dziewczynę. Lekarka pogłaskała nastolatkę po ramieniu i pożegnała się z pacjentką. Nie zauważyła go, on zaś nie starał się odwracać teraz jej uwagi od pracy. Później do niej zajrzy.

Wszedł do sekretariatu znajdującego się tuż koło gabinetu. Sekretarka, Maria, podniosła oczy znad klawiatury.

— Panie doktorze, ależ pan dziś późno przyszedł. Było mnóstwo telefonów, a za chwilę przyjdzie pan Bersini. Już mu zrobili wszystkie badania i chociaż wyniki wskazują na to, że jest zdrow jak ryba, upiera się, że to pan osobiście musi go obejrzyć. I jeszcze...

— Mario, przyjmę pana Bersiniego, gdy tylko się pojawi, po nim jednak proszę odwołać wszystkie wizyty. Możliwe, że przez następne dni nie będę przychodził do pracy. Spodziewam się gości, paru starych przyjaciół, muszę się nimi zająć.

— Dobrze, panie doktorze. Do kiedy mam nie umawiać pacjentów?

— Nie wiem, zawiadomię cię. To może potrwać tydzień, nie więcej niż dwa... Jest mój syn?

— Tak. Jest również pana córka.

— Tak, już ją widziałem, Mario, czekam na telefon z agencji detektywistycznej. Proszę połączyć, nawet gdyby był u mnie pacjent, dobrze?

— Tak jest, panie doktorze. Mam pana teraz połączyć z synem?

— Nie, nie trzeba, o tej porze pewnie jest na sali operacyjnej, zadzwonimy do niego później.

Na stole w gabinecie znalazł gazety ułożone w równy stosik. Wziął pierwszą i poszukał odpowiedniej rubryki na jednej z ostatnich stron. Tytuł brzmiał: „Rzym światową stolicą archeologii”. Artykuł mówił o kongresie pod auspicjami UNESCO poświęconym pochodzeniu ludzkości. Na liście uczestników znajdowało się nazwisko człowieka, którego szukali od ponad pół wieku.

Jak to możliwe, że znalazł się tu, w Rzymie? Akurat teraz? Gdzie był przez cały ten czas? Czyżby wszyscy stracili pamięć? Nie potrafił zrozumieć, że ktoś taki może uczestniczyć w międzynarodowym kongresie pod patronatem UNESCO.

Przyjął Sandra Bersiniego, dokonując nieprawdopodobnego wysiłku, by cierpliwie wysłuchać jego utyskiwań. Zapewnił go, że ma doskonałe zdrowie, co zresztą było prawdą, ale po raz pierwszy w życiu nie miał ochoty okazywać mu swojej troski dłużej, niż to było

konieczne, i grzecznie wyprosił go z gabinetu, usprawiedliwiając się tym, że czekają na niego kolejni pacjenci.

Na dźwięk telefonu podskoczył.

Szef agencji streścił mu wyniki pierwszych godzin śledztwa. Sześciu z jego najlepszych ludzi znajduje się już w miejscu, gdzie odbywa się kongres. Ale mężczyzny o nazwisku Tannenberg tam nie ma.

Ta wiadomość zaskoczyła Carla Ciprianiego. Musiało dojść do pomyłki, chyba że...

To jasne! Mężczyzna, którego szukają, jest od nich starszy, ale na pewno ma dzieci, wnuki, pewnie to ktoś z jego rodziny...

Poczuł się rozczarowany. Ogarnęła go wściekłość. Już uwierzył, że ten potwór znów się pojawił, a teraz okazuje się, że to nie on. Jakiś wewnętrzny głos podpowiadał mu jednak, że są na dobrym tropie, blisko, bliżej niż kiedykolwiek. Poprosił więc szefa, by nie zaprzestawał poszukiwań, wszystko jedno, jak daleko będą musieli się posunąć i ile miałyby to kosztować.

— Tato...

Nie zauważył, kiedy do gabinetu wszedł Antonino. Największym wysiłkiem woli zmusił się do wyprostowania za biurkiem i do przybrania zadowolonej miny, bo widział, że syn przygląda mu się z troską.

— Jak idzie, synku?

— Dobrze, jak zwykle. O czym myślisz? Nawet nie zauważyłeś, kiedy wszedłem.

— Od dziecka się tego nie oduczyłeś: nie pukasz do drzwi.

— Ależ tato, nie odgrywaj się na mnie.

— Za cóż miałbym się odgrywać?

— Nie wiem, za swoje kłopoty... Znam cię zbyt dobrze i widzę, że coś ci dzisiaj leży na sercu. Co się stało?

— Nic, naprawdę, nic. Wszystko dobrze. Ach, przez parę dni może mnie nie być w pracy, wiem wprawdzie, że nie jestem tu potrzebny, ale uprzedzam cię, gdyby ktoś mnie szukał.

— Jak to nie jesteś potrzebny? Ach, nie jesteś w najlepszym nastroju! A można wiedzieć, dlaczego masz zamiar nie przychodzić do szpitala? Wybierasz się dokądś?

— Przyjeżdża Mercedes, Hans i Bruno.

Antonio się skrzywił. Wiedział, jak ważni są dla ojca przyjaciele, jednak ta trójka budziła w nim niepokój. Wydawało się, że to tylko grupka nieszkodliwych staruszków, ale było w nich coś dziwnego.

- Powinieneś ożenić się z Mercedes – zdobył się na żart.
- Nie opowiadaj głupstw.
- Od śmierci mamy minęło już piętnaście lat, wydaje się, że dobrze wam z Mercedes, ona też jest samotna.
- Dość żartów, Antonio. Wychodzę.
- Byłeś u Lary?
- Zajrzę do niej przed wyjściem.

* * *

W wieku sześćdziesięciu pięciu lat Mercedes Barreda zachowała dawną urodę. Wysoka, szczupła, śniada, o eleganckich płynnych ruchach, podobała się mężczyznom. Być może dlatego nigdy nie wyszła za mąż. Ona sama twierdziła, że nigdy nie spotkała mężczyzny na swoją miarę.

Była właścicielką przedsiębiorstwa budowlanego. Dorobiła się fortuny wytrwałą pracą bez najcichszej choćby skargi. Pracownicy uważali ją za osobę twardą, ale sprawiedliwą. Nigdy nie odwróciła się plecami do żadnego robotnika, płaciła tyle, ile się należało, wszyscy jej pracownicy mieli ubezpieczenie, dbała, by ich prawa były przestrzegane. Jej sława żelaznej damy brała się zapewne stąd, że nikt nigdy nie widział uśmiechu na jej twarzy, nie mówiąc już o tym, by roześmiała się na głos. Trudno jednak było zarzucać jej władczość albo że kiedykolwiek podniosła na kogoś głos. A jednak było w niej coś, co sprawiało, że wszyscy czuli się przy niej mali.

Ubrana w beżowy kostium, z kolczykami z pereł w uszach jako jedyną ozdobą, Mercedes Barreda szybkim krokiem przemierzyła niekończące się korytarze lotniska Fiumicino w Rzymie. Głos z megafonu zapowiadał, że wylądował właśnie samolot z Wiednia. Miał nim przylecieć Bruno. Jeśli się spotkają, mogą razem pojechać do domu Carla.

Mercedes i Bruno padli sobie w objęcia. Nie widzieli się ponad rok, choć często rozmawiali przez telefon i regularnie pisywali do siebie e-maile.

- Jak się ma twoja rodzina? – zapytała Mercedes.
- Sara została babcią. Moja wnuczka, Elena, urodziła dziecko.

— Zostałeś pradziadkiem! Nieźle się trzymasz jak na takiego starucha. A twój syn David?

— Zatwardziały samotnik, podobnie jak ty.

— A jak się ma żona?

— Kiedy wyjeżdżałem, nadal protestowała. Od pięćdziesięciu lat kłócimy się o to samo. Ona chciałaby, żebym zapomniał, nie rozumie, że nie możemy sobie na to pozwolić. Nie chciałem, żeby mi towarzyszyła. Choć nie chce się do tego przyznać, boi się, bardzo się boi.

Mercedes pokiwała głową. Nie miała do Deborah pretensji za jej obawy ani za to, że chce powstrzymać męża. Lubiła żonę Brunona. Była to dobra kobieta, miła i cicha, zawsze gotowa pomagać innym. Deborah natomiast nie odwzajemniała tej sympatii. Kiedy przy jakiejś okazji Mercedes odwiedziła Brunona w Wiedniu, Deborah przyjęła ją jak przystoi dobrej gospodyni, nie potrafiła jednak ukryć lęku, jaki wzbudzała w niej ta „Katalonka”, jak ją nazywała.

W rzeczywistości Mercedes była Francuzką. Jej ojciec uciekł z Barcelony tuż przed zakończeniem wojny domowej. Był anarchista i dobrym, serdecznym człowiekiem. We Francji, jak wielu innych Hiszpanów, kiedy naziści wkroczyli do Paryża, przyłączył się do ruchu oporu. Tam poznał matkę Mercedes, która była łączniczką. Pokochali się, ich córka przyszła na świat w najgorszym miejscu i w najgorszym czasie na ziemi.

Bruno Müller niedawno skończył siedemdziesiąt lat. Miał włosy białe jak śnieg i błękitne oczy. Utykał, dlatego nie rozstawał się z laską ze srebrną gałką. Urodził się w Wiedniu. Był muzykiem, nadzwyczajnym pianistą, podobnie jak jego ojciec. Cała rodzina żyła dla muzyki. Kiedy zamykał oczy, widział uśmiechniętą twarz swojej matki, grającej na cztery ręce z jego starszą siostrą. Trzy lata temu przeszedł na emeryturę, ale wciąż był uważany za jednego z najlepszych pianistów na świecie. Również jego syn, David, oddał się całą duszą muzyce. Grał na skrzypcach Guarneriego, delikatnym instrumencie, z którym się nie rozstawał.

Hans Hausser dotarł do domu Carla Ciprianiego pół godziny wcześniej. Jak na swoje sześćdziesiąt siedem lat profesor Hausser imponował postawą. Miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu, był przy tym tak szczupły, że sprawiał wrażenie, jakby w każdej chwili mógł się rozlecieć. Nie był jednak kruchym mężczyzną.

Przez ostatnie czterdzieści lat wykładał fizykę na uniwersytecie w Bonn, rozwodząc się nad teoriami powstania materii i zdradzając studentom tajemnice kosmosu.

Podobnie jak Carlo, był wdowcem, pozwalał, by troszczyła się o niego córka, jedynaczka Berta.

Przyjaciele delektowali się właśnie kawą, kiedy służący wprowadził do pokoju Mercedes i Brunona. Nie marnowali czasu na powitania. Zebrali się, by obmyślić, jak zamordować człowieka.

— Skoro jesteśmy w komplecie, opowiem wam, jak się rzeczy mają – zaczął Cipriani. – Rano trafiłem w gazecie na nazwisko Tannenberg. Zanim się z wami skontaktowałem, żeby nie tracić czasu, zadzwoniłem do agencji detektywistycznej. Już dawno zleciłem im poszukiwanie śladów Tannenberga, nie wiem, czy pamiętacie... Otóż właściciel agencji, który był kiedyś moim pacjentem, zadzwonił do mnie przed paroma godzinami, by potwierdzić, że rzeczywiście ktoś o nazwisku Tannenberg pojawi się na kongresie archeologicznym w Rzymie, w pałacu Brancaccio. Nie jest to jednak osoba, której szukamy. To kobieta, niejaka Clara Tannenberg, narodowości irackiej. Ma trzydzieści pięć lat, jej mąż również jest Irakijczykiem, zresztą mocno związanym z reżimem Saddama Husajna. Ta kobieta jest archeologiem. Studiowała w Kairze i w Stanach Zjednoczonych i mimo młodego wieku, z całą pewnością dzięki wpływom małżonka, który również jest archeologiem, kieruje jednym z niewielu stanowisk archeologicznych, jakie jeszcze utrzymały się w Iraku. Jej mąż studiował we Francji, potem zrobił doktorat w Stanach Zjednoczonych, gdzie mieszkał przez dość długi czas. Tam się poznali i pobrali. Jeszcze zanim Amerykanie postanowili zrobić z Saddama demona. To jej pierwsza podróż do Europy.

— Dobrze, ale czy ma z nim coś wspólnego? – zapytała Mercedes.

— Nie jest wykluczone, że to jego córka. A jeśli to prawda, to mam nadzieję, że nas do niego doprowadzi. Podobnie jak wy, nie wierzę, że on nie żyje, nawet jeśli na cmentarzu leży płyta z jego imieniem i imieniem jego ojca.

— Żyje – stwierdziła Mercedes. – Wiem to na pewno. Przez wszystkie te lata czułam, że ten potwór jest wśród żywych. Carlo ma rację, ta kobieta to może być jego córka.

— Albo wnuczka – uściślił Hans. – On musi mieć koło dziewięćdziesiątki.

— Carlo, co teraz zrobimy? – zapytał Bruno.

— Należy jest archeologiem. Studiowała w Kairze i w Stanach Zjednoczonych i mimo młodego wieku, z całą pewnością dzięki wpływom małżonka, który również jest archeologiem, kieruje jednym z niewielu stanowisk archeologicznych, jakie jeszcze utrzymały się w Iraku. Jej mąż studiował we Francji, potem zrobił doktorat w Stanach Zjednoczonych,

gdzie mieszkał przez dość długi czas. Tam się poznali i pobrali. Jeszcze zanim Amerykanie postanowili zrobić z Saddama demona. To jej pierwsza podróż do Europy.

— Dlaczego? – Ton głosu Mercedes zdradzał niezadowolenie.

— Żeby wybierać się do kraju ogarniętego wojną, należy dysponować załogą nieco lepiej przygotowaną niż prywatni detektywi.

— Masz rację – zgodził się Hans. – Poza tym musimy podjąć decyzję. Co się stanie, jeśli go odnajdą, jeśli ta Clara Tannenberg rzeczywiście ma z nim coś wspólnego? Mówię wam, potrzebujemy zawodowca, kogoś, kto zabija bez skrupułów. Jeśli on nadal żyje, musi umrzeć, a jeśli nie...

— A jeśli nie, niech zginą jego dzieci, jego wnuki, ktokolwiek ma w żyłach jego krew.

Mercedes wypowiedziała te słowa z gniewem. Nie zamierzała dopuścić do głosu litości.

— Zgadzam się – dodał Hans. – A ty, Bruno?

Najbardziej podziwiany pianista koncertowy ostatniego trzydziestolecia dwudziestego wieku nie zawahał się i odpowiedział:

— Tak.

— Świetnie. Czy znamy jakąś firmę, która dysponuje najemnikami do tego rodzaju zadań? – zapytała Mercedes, zwracając się do Carla.

— Jutro dostanę dwa czy trzy nazwiska. Mój przyjaciel, właściciel tej agencji detektywistycznej, zapewnia, że niektóre brytyjskie agencje zatrudniają byłych członków SAS¹ i innych sił specjalnych wojsk z połowy świata. Istnieje też pewna firma amerykańska, międzynarodowa korporacja, zajmująca się bezpieczeństwem... cóż, to bezpieczeństwo to taki eufemizm. Mają prywatnych żołnierzy, których można posłać na koniec świata, żeby walczyli o jakąkolwiek sprawę, byle tylko dobrze im zapłacić. Zdaje się, że nazywają się Global Group. Jutro podejmiemy decyzję.

— Dobrze. Tylko czy dla każdego jest jasne, że wszyscy Tannenbergowie muszą umrzeć, wszyscy, również kobiety i dzieci? – upewnił się Hans.

— Nie musisz nas o to pytać – odparła Mercedes. – Przez całe życie przygotowaliśmy się na tę chwilę. Nie mam nic przeciwko temu, by zabić go własnymi rękami.

¹ SAS – Special Air Service – brytyjska jednostka antyterrorystyczna.

Wierzyli jej. Oni czuli taką samą nienawiść. Urosła w nich z niepowstrzymaną gwałtownością, kiedy cała czwórka przechodziła przez piekło na ziemi.

* * *

— Głos zabierze pani Tannenberg.

Dyrektor sekcji poświęconej kulturze Mezopotamii ustąpił miejsca na podium drobnej energicznej kobiecie, która przyciskając do piersi plik kartek, przygotowywała się do wykładu.

Clara Tannenberg była zdenerwowana. Wiedziała, jak wiele zależy od tego wystąpienia. Poszukała wzrokiem swojego męża. Uśmiechnął się do niej, dodając otuchy.

Przez parę sekund nie mogła się skupić, myśląc o tym, jak przystojny jest Ahmed. Wysoki, szczupły, z włosami czarnymi jak noc i jeszcze czarniejszymi oczami. Był od niej starszy o całe piętnaście lat, ale nie miało to znaczenia, łączyła ich miłość do archeologii.

— Panie i panowie, to dla mnie szczególny dzień. Przybyłam do Rzymu, by zwrócić się do państwa o pomoc, by prosić międzynarodową społeczność naukową o to, żeby zabrała głos i zapobiegła katastrofie, jaka zawisła nad Irakiem.

Przez salę przebiegł szmer. Nikt nie miał ochoty wysłuchiwać jakiejś nieznanej pani archeolog, której głównym życiowym osiągnięciem było wyjście za mąż za człowieka, który przypadkiem był dyrektorem Departamentu Wykopalisk w reżimowym ministerstwie.

Na twarzy Ralpa Barry'ego, przewodniczącego sekcji Mezopotamii, widać było niezadowolenie. Jego obawy najwyraźniej się potwierdzają; wiedział, że obecność Clary Tannenberg i Ahmeda Huseiniego ściągnie mu na głowę problemy. Starał się temu zapobiec, uciekając się do wszystkich możliwych środków, których mu nie brakowało, gdyż pracował dla wpływowego człowieka, prezesa wykonawczego fundacji Świat Starożytny, który finansował kongres. W Stanach Zjednoczonych nikt, kto zajmował się archeologią, nie sprzeciwiłby się jego szefowi, Robertowi Brownowi. Teraz jednak znajdowali się w Rzymie, gdzie strefa jego wpływów była nieco ograniczona.

Robert Brown był uważany w świecie sztuki za guru. Dostarczał unikatowe eksponaty do muzeów całego świata. Kolekcja tabliczek z Mezopotamii, wystawiona w licznych salach siedziby fundacji, uważana była za najlepszą na świecie.

Brown uczynił ze sztuki ceł swego życia i dobrze prosperujący biznes. Pewnego wieczoru, pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy miał trzydzieści lat i dopiero zaczynał karierę

jako marszand w Nowym Jorku, poznał na przyjęciu w domu pewnego awangardowego malarza szczególną postać. Następnego ranka mężczyzna ten złożył mu propozycję, która miała odmienić jego życie. Nadał on nowy kierunek jego poczynaniom zawodowym i pomógł uruchomić niezwykle lukratywne przedsięwzięcie — przekonywanie ważnych firm międzynarodowych, by wspomagały prywatną fundację, która miała z kolei finansować wykopaliska i badania archeologiczne na całym świecie. W ten sposób wielkie korporacje osiągały dwojaki cel: odliczały kwoty od podatku i zyskiwały szacunek zawsze podejrzliwych obywateli. Kierowany przez swojego Mentora, mężczyznę równie bogatego, co wpływowego, Brown założył fundację Świat Starożytny. Ustanowili patronat, do którego zaprosili bankierów i biznesmenów, a ci wykładali pieniądze. Spotykał się z nimi kilka razy w roku, najpierw by zatwierdzili budżet, potem zaś by się z niego rozliczyć. Właśnie pod koniec września odbywało się jedno z tych spotkań. Robert Brown uczynił Ralpha Barry'ego swoją prawą ręką. Barry cieszył się dobrą opinią w świecie akademickim. Co się tyczy jego Mentora, George'a Wagnera, mężczyzny, który zawiódł go na szczyty, był mu wierny jak pies i zazdrośnie strzegł jego incognito. Przez wszystkie te lata wykonywał jego rozkazy bez szemrania, robił rzeczy, o które sam siebie nie podejrzewał, stał się w jego rękach bezwolną marionetką. Był jednak szczęśliwy, bo to, kim był, i wszystko, co miał, zawdzięczał jemu.

Brown wydał Ralphowi Barry'emu precyzyjne polecenia: miał zapobiec temu, by Clara Tannenberg i jej małżonek wzięli udział w kongresie, a jeśli nie uda się tego dokonać, miał przynajmniej nie pozwolić, by zabrali głos.

Barry zdziwił się, słysząc takie polecenie, wiedział bowiem, iż szef zna tę parę, ale nawet przez chwilę nie przyszło mu do głowy, by mu się sprzeciwić.

Clara była świadoma nieprzychylnego nastawienia audytorium. Poczerwieniła ze złości. „Wuj” Robert finansował ten kongres, ona zaś wchodziła w skład pakietu ofertowego. Przełknęła ślinę.

— Szanowni państwo, nie przyjechałam tu, żeby rozmawiać o polityce, tylko o sztuce. Przybywam, by prosić, byśmy ocalili dziedzictwo kulturowe Mezopotamii. Tam zaczęła się historia ludzkości i jeśli dojdzie do wojny, tam może się ona zakończyć. Przybywam też prosić o jeszcze inny rodzaj pomocy. Nie chodzi o pieniądze.

Nikogo nie rozśmieszył ten żart i Clara poczuła się jeszcze gorzej. Była jednak zdecydowana kontynuować, choć czuła narastającą irytację słuchaczy.

— Wiele lat temu, przed półwieczem, mój dziadek, który uczestniczył w pracach archeologicznych nieopodal Charanu, znalazł studnię zbudowaną z kawałków tabliczek. Wiedzą państwo, że do dziś znajdujemy starożytne tabliczki używane przez wieśniaków do budowy domów. Na tabliczkach w tej studni zapisano powierzchnię pól uprawnych i ilość zboża zebranego podczas żniw w ciągu roku. Tabliczek było bardzo dużo, ale dwie różniły się od pozostałych. Nie wskazywała na to ich treść, ale raczej znaki, jakimi zostały zapisane, jak gdyby ten, kto je stawiał, odciskając rylec w glinie, jeszcze nie opanował dobrze tego narzędzia.

W głosie Clary pobrzmiwało wzruszenie. Za chwilę miała odłonić przed słuchaczami cel swojego życia, coś, o czym nie przestawała śnić, dla czego została archeologiem, co było dla niej ważniejsze niż wszystko i wszyscy, ważniejsze nawet niż Ahmed.

— Przez ponad sześćdziesiąt lat – ciągnęła – mój dziadek przechowywał te dwie tabliczki, na których ktoś, z pewnością czeladnik skryby, opowiada o tym, że jego krewny Abraham² opowiedział mu, w jaki sposób powstał świat, i inne fantastyczne historie o pewnym bogu, który wszystko może i wszystko widzi i który pewnego razu, obrażony na ludzi, zatopił ziemię. Czy zdają sobie państwo sprawę z tego, co to oznacza?

Wszyscy wiemy, jak duże znaczenie dla archeologii i historii, ale też dla religii, miało odkrycie poematów akadyjskich o dziele stworzenia, eposu *Enuma Elisz*, opowieści o Enkim i Ninhursag, lub potopie w *Eposie o Gilgameszu*. Otóż według zapisu na tabliczkach, patriarcha Abraham dodał do tego swoją własną wizję stworzenia świata, bez wątpienia niepozbowioną wpływu babilońskich i akadyjskich poematów o rajy i stworzeniu.

Wiemy dziś również, bo dowiodła tego archeologia, że Biblia została napisana w siódmym wieku przed naszą erą, w chwili gdy władcy i kapłani Izraela pragnęli wzmocnić jedność narodu izraelskiego. Potrzebowali więc eposu narodowej, dokumentu, który mógłby posłużyć do ich celów politycznych i religijnych.

W swoim uporze, by zweryfikować wszystko, co opisuje Biblia, archeologia odkryła prawdy i kłamstwa. Do dziś trudno oddzielić legendy od historii, bo wszystko zostało przemieszane. Jasne wydaje się jednak, że opowieści te są wspomnieniami z przeszłości,

² W Bibii patriarcha Abraham nazywa się Abram, jego żona zaś Saraj. Ich imiona przybierają formy Abraham i Sara, kiedy Bóg obiecuje im potomstwo. Abram i Abraham to dwie formy dialektowe tego samego imienia. Abraham brzmi jak Ab Hamôn: „ojciec wielu”. Przemiana Abrama w Abrahama łączy się nie tylko z obietnicą licznego potomstwa, które posiadzie Ziemię Obiecaną, Kanaan, lecz także z Przymierzem (synajskim) z Bogiem i obrzezaniem, jako tego Przymierza znakiem na ciele.

starymi historiami, które pasterze wędrujący z Ur do Charanu zanieśli następnie aż do Kanaanu...

Clara zawiesiła głos w oczekiwaniu na reakcję zebranych, którzy słuchali jej w milczeniu; jedni z jawną niechęcią, inni z pewnym zainteresowaniem.

— Charan... Abraham... w Biblii znajdujemy genealogię „pierwszych ludzi”, począwszy od Adama. Ta lista prowadzi do patriarchów z czasów po potopie, synów Sema. Jeden z jego potomków, Terach, począł Nachora, Charana i Abrama, który potem nazwał się Abrahamem, ojcem narodów.

Poza tym szczegółowym opowiadaniem w Biblii, w którym Bóg rozkazuje Abrahamowi porzucić swoją ziemię i dom i wyruszyć do Kanaanu, nie udało się dowiedzieć, że miała miejsce pierwsza wędrówka semitów z Ur do Charanu przed dotarciem do celu, czyli do Ziemi Kananejskiej. Spotkanie Boga z Abrahamem musiało nastąpić w Charanie, gdzie, jak utrzymują niektórzy bibliści, pierwszy patriarcha mieszkał aż do śmierci swojego ojca, Teracha.

Kiedy Terach udał się do Charanu, z pewnością wyruszył tam nie tylko ze swymi synami: Abrahamem z żoną, Sarą, oraz Nachorem i jego Milką. Towarzyszył im również Lot, syn Harana, który młodo umarł. Wiemy, że w owych czasach rodziny tworzyły plemiona, przemieszczające się z miejsca na miejsce ze swymi stadami i dobytkiem. Plemiona te osiedlały się na jakiś czas, uprawiały ziemię, by zaspokoić swoje potrzeby życiowe. W taki sposób Terach, porzuciwszy Ur, by osiąść w Charanie, zrobił to w towarzystwie reszty rodziny, bliższych i dalszych krewnych. My pomyśleliśmy... to znaczy mój dziadek, mój ojciec, mój mąż Ahmed Huseini i ja, pomyśleliśmy, że jeden z członków rodziny Teracha, z pewnością jakiś uczeń skryby, mógł być ściśle powiązany z Abrahamem i że ten opowiedział mu, jak wyobraża sobie stworzenie świata, swoją koncepcję jedyne Boga i kto wie co jeszcze. Przez całe lata szukaliśmy w rejonie Charanu innych tabliczek napisanych ręką tej samej osoby. Bez efektu. Mój dziadek poświęcił życie kopaniu w promieniu stu kilometrów od Charanu. Praca ta nie była tak zupełnie bezowocna, w muzeum bagdadzkim, w muzeum w Charanie, w Ur i w wielu innych znajdują się teraz setki tablic i eksponatów, które moja rodzina stopniowo wydobywała z ziemi, ale nie znaleźliśmy więcej tabliczek z opowieściami Abrahama...

Jakiś napuszony mężczyzna podniósł rękę i pomachał, co zdekoncentrowało Clarę.

— Czy... chce pan zabrać głos?

— Szanowna pani, twierdzi pani, że Abraham, patriarcha Abraham, Abraham biblijny, ojciec naszej cywilizacji, opowiedział nie wiadomo komu o swoim wyobrażeniu

Boga, a ten ktoś, nie wiadomo kto, zapisał ją jak pierwszy z brzegu dziennikarz gryzipiórek, i że pani dziadek, którego naturalnie żaden z nas nie miał przyjemności poznać, znalazł na to dowód i zachował go dla siebie przez ponad pół wieku.

— Owszem, to właśnie staram się powiedzieć.

— Rozumiem. A dlaczego dotychczas o niczym państwo nie informowali? Czy byłaby pani tak miła, by mi wyjaśnić, kim był pani dziadek i pani ojciec? Bo o pani mężu wiemy co nieco. W tym środowisku wszyscy się znają, więc z przykrością muszę pani powiedzieć, że dla nas jest pani nieznaną, którą na podstawie pani wystąpienia określiłbym mianem niedojrzałej fantastki. Gdzie są te tabliczki, o których pani opowiadała? Jak dowiedziono ich autentyczności? Szanowna pani, na kongresy przyjeżdża się z udokumentowanym dorobkiem, a nie z opowiastkami rodzinnymi amatorów archeologii.

Sala zaszemrała. Clara Tannenberg, poczerwieniała z gniewu, nie wiedziała, co zrobić: czy wybiec z sali, czy obrzucić inwektywami mężczyznę, który ośmieszał ją i obraził jej rodzinę. Oddychała głęboko, by się opanować, i nagle zobaczyła, że Ahmed wstaje, patrząc na naukowca wściekłym wzrokiem.

— Szanowny profesorze Guilles... – zaczął – wiem, że w swojej długiej karierze wykładowcy na Sorbonie miał pan wielu słuchaczy. Ja byłem jednym z nich. Tak się składa, że przez całe studia zawsze otrzymywałem od pana wysokie oceny. W sumie zaliczyłem z wyróżnieniem wszystkie przedmioty nie tylko u pana i pamiętam, że Sorbona nawet specjalnie odnotowała mój przypadek bo, jak powiedziałem, przez pięć lat zdawałem wszystkie egzaminy na celujący i zdobyłem magisterium *cum laude*. Potem, profesorze, miałem przywilej towarzyszyć panu podczas wykopalisk w Syrii i w Iraku. Pamięta pan skrzydlate lwy, które odnaleźliśmy niedaleko Nabu? Szkoda, że posągi były zniszczone... Mieliśmy jednak szczęście odnaleźć kolekcję cylindrycznych pieczęci Asurbanipala... Naturalnie nie posiadam ani pana wiedzy, ani reputacji, ale od lat kieruję Departamentem Wykopalisk Archeologicznych w Iraku. Niestety, obecnie to departament w stanie hibernacji, jest wojna, wojna niewypowiedziana, ale jednak wojna. Od dziesięciu lat znosimy okrutną blokadę i program „Ropa za żywność” wystarcza nam ledwie na tyle, by utrzymać ludzi przy życiu, a i to z marnym skutkiem. Irackie dzieci umierają, ponieważ w szpitalach brakuje leków, a ich matki nie mają dość pieniędzy, by kupić im jedzenie, więc na badanie naszej przeszłości możemy przeznaczyć niewielkie fundusze. Wszystkie misje archeologiczne porzuciły swoje stanowiska, czekając na lepsze czasy.

— Co się tyczy mojej żony, Clary Tannenberg, od lat jest moją asystentką, razem prowadzimy wykopaliska. Jej dziadek i ojciec pasjonowali się przeszłością, swego czasu finansowali misje archeologiczne...

— Rabusie grobowców! — krzyknął ktoś.

Ten głos i salwa nerwowego śmiechu, zraniły Clarę. Ahmed Huseini nie przejął się tym jednak i ciągnął:

— Jesteśmy pewni, że autor tych dwóch tabliczek, które przechowywał dotychczas dziadek Clary, zdołał zapisać rylcem historie, które, jak zapewnia, opowiedział mu sam Abraham. Rzeczywiście, możemy mówić o wiekopomnym odkryciu. Sądzę, że powinni państwo pozwolić pani doktor Tannenberg dokończyć wypowiedź. Claro, proszę...

— Clara popatrzyła na męża z wdzięcznością, wzięła głęboki oddech i drżąc, przygotowała się do dalszej części wystąpienia. Nie pozwoli się zdeptać, jeśli jeszcze raz jakiś stary belfer jej przerwie i spróbuje ją obrazić. Jej dziadek byłby rozczarowany, gdyby widział, co się tu dzieje. Nie chciał, by prosiła o pomoc międzynarodową wspólnotę. „To stado aroganckich skurczybyków, którym wydaje się, że zjedli wszystkie rozumy”, uprzedzał ją. Ojciec również nie pozwoliłby jej przyjechać do Rzymu, ale już od dawna nie żył, a dziadek...

— Przez lata koncentrowaliśmy się na Charanie, szukając pozostałych tabliczek. Jesteśmy przekonani, że istnieją. Nie znaleźliśmy jednak ani jednej. Jak mielibyśmy je rozpoznać? Otóż dokładnie na górze tych, które odnalazł mój dziadek, pojawia się imię Szamas. W niektórych przypadkach skrybowie umieszczali swoje imię na górnej krawędzi tabliczki, podobnie jak imię osoby, która sprawowała nad nią pieczęć. W przypadku tych dwóch pojawia się tylko imię Szamas. Kim więc jest Szamas?

Odkąd Stany Zjednoczone uznały Irak za swojego największego wroga, często dochodziło do naruszania naszej przestrzeni powietrznej. Jak sobie państwo przypominają, przed paroma miesiącami amerykańskie samoloty latające nad Irakiem doniosły o tym, że zostały zaatakowane pociskami z ziemi, na co odpowiedziały zrzuconiem bomb. Otóż na bombardowanym obszarze, między Basrą a starym Ur, w wiosce o nazwie Safran, lej po bombie odsłonił pozostałości budowli oraz muru, którego obwód szacujemy na ponad pięćset metrów. Biorąc pod uwagę sytuację w Iraku, nie było możliwe zajęcie się tym odkryciem, chociaż wraz z mężem i niewielką ekipą robotników przystąpiliśmy do wykopalisk, mając do dyspozycji więcej zapłału niż środków. Sądzymy, że w budynku mógł się mieścić magazyn domu tabliczek lub inna przybudówka świątyni. Nie wiemy tego na pewno. Znaleźliśmy pozostałości tabliczek, i ku naszemu zaskoczeniu, wśród ich resztek natrafiliśmy na jedną z imieniem Szamas. Czy to Szamas związany z Abrahamem?

Nie jest to wykluczone. Abraham wyruszył w podróż do Kanaanu wraz z plemieniem swojego ojca. Istnieje przekonanie, że patriarcha został w Charanie aż do dnia, w którym ojciec zmarł, a wtedy ruszył w podróż do Ziemi Obiecanej. Czy Szamas należał do plemienia Abrahama? Czy wybrał się z nim do Kanaanu? Chcę państwa prosić o pomoc. Naszym marzeniem jest zorganizowanie międzynarodowej misji archeologicznej, która zbada tę sprawę. Gdybyśmy znaleźli tabliczki... Przez całe lata zastanawiam się, kiedy Abraham przestał być politeistą, jak jemu współcześni, i uwierzył w Boga jedyne.

Profesor Guilles znów podniósł rękę. Stary wykładowca z Sorbony, jeden z najwybitniejszych specjalistów na świecie z dziedziny kultury Mezopotamii, najwyraźniej postanowił nie ułatwiać zadania Clarze Tannenberg.

— Szanowna pani, nalegałbym, by pokazała nam pani tabliczki. W przeciwnym razie proszę pozwolić zabrać głos tym, którzy mają coś do powiedzenia.

Clara miała dość. W jej niebieskich oczach pojawił się groźny błysk.

— Co się stało, panie profesorze? Nie może pan znieść tego, że ktoś inny poza panem wie coś na temat Mezopotamii, a nawet dokonuje odkryć na tym obszarze? Tak bardzo cierpi na tym pańskie ego?

Profesor Guilles wstał z ociąganiem i ruszając w stronę wyjścia, powiedział do publiczności:

— Wróć, kiedy zaczniemy rozmawiać poważnie.

Ralph Barry uznał, że powinien interweniować. Odchrząknął i zwrócił się do zebranych:

— Przykro mi z powodu tego, co się stało. Nie rozumiem, dlaczego nie potrafimy być nieco skromniejsi i z odrobiną pokory wysłuchać tego, co ma nam do powiedzenia pani doktor Tannenberg. Podobnie jak my, jest archeologiem, skąd więc te uprzedzenia? Przedstawia pewną teorię. Najpierw posłuchajmy, a potem wydamy opinię, ale dyskwalifikowanie kogoś z góry nie wydaje mi się naukowym podejściem.

Profesor Renh z uniwersytetu w Oksfordzie, kobieta w średnim wieku, o twarzy spalonej słońcem, podniosła rękę.

— Ralph, w tym kręgu wszyscy się znają... Pani Tannenberg opowiada o tabliczkach, których nikt nie widział. Nie omieszkała przy tym wspomnieć o sytuacji politycznej Iraku, nad którą ja osobiście ubolewam. Teorię mającą dowieść istnienia Abrahama przedstawiła w taki sposób, że brzmi raczej jak owoc fantazji niż pracy naukowej. Przyjechalibyśmy na kongres, i w czasie gdy w innych salach nasi koledzy, naukowcy innych specjalności, dzielą

się swym dorobkiem i wnioskami, my... odnoszę wrażenie, że tracimy czas. Przykro mi, ale podzielałam opinię profesora Guillea. Chciałabym, abyśmy przystąpili do pracy.

— Przecież to właśnie robimy! — krzyknęła oburzona Clara.

Ahmed znów podniósł się z fotela i poprawiając krawat, powiedział:

— Przypominam państwu, że wielkie odkrycia archeologiczne są dziełem ludzi, którzy potrafią słuchać i szukać ziarna prawdy wśród legend. Państwo natomiast nie chcą nawet rozważyć tego, co tu przedstawiamy. Czekają państwo na to, co się wydarzy, na chwilę, gdy Bush zaatakuje Irak. Sapaństwo wybitnymi wykładowcami i archeologami z „cywilizowanych” krajów, więc niezależnie od poziomu swojej sympatii do Busha, nie będą państwo narażali swojej skóry w obronie projektu archeologicznego, który wiąże się z obecnością w Iraku. Potrafię to zrozumieć, nie pojmuję jednak, skąd bierze się ta zamknięta postawa, która nie pozwala państwu wysłuchać nas ani starać się sprawdzić, czy coś z tego, o czym mówimy, jest lub może być prawdą.

Profesor Ruth podniosła rękę.

— Profesorze Huseini, nalegam, proszę nam przedstawić dowód na prawdziwość swoich słów. Niech nas pan przestanie osądzać, a przede wszystkim prowadzić tu agitację polityczną. Jesteśmy dorośli, przyjechaliśmy tu, by rozmawiać o archeologii, nie o polityce. Proszę darować sobie te pułapki socjotechniczne, jakie pan na nas zastawia, robiąc z siebie ofiarę. Proszę o konkrety.

Clara Tannenberg zaczęła mówić, nim Ahmed zdążył odpowiedzieć kobiecie.

— Nie mamy tu tych tabliczek. Wiedzą państwo, że w obecnej sytuacji nikt nie pozwoliłby nam wywieźć ich za granicę. Mamy kilka zdjęć, nie są najlepszej jakości, ale na ich podstawie mogą się państwo przekonać, że tabliczki istnieją. Prosimy państwa o pomoc, pomoc przy wykopaliskach. Nie dysponujemy wystarczającymi funduszami. W dzisiejszym Iraku archeologia jest władzom zupełnie obojętna, mamy już dosyć kłopotów, walcząc o przeżycie.

Tym razem jej słowom towarzyszyła cisza. Po kilku chwilach zebrani podnieśli się z miejsc i wyszli z sali.

Ralph Barry podszedł do Ahmeda i Clary.

— Przykro mi – powiedział – zrobiłem wszystko co w mojej mocy, ale uprzedzałem państwa, że to nie jest odpowiedni moment na zabieranie głosu.

— Dokonał pan rzeczy niewyobrażalnych, by nam w tym przeszkodzić – odpowiedziała Clara wyzywającym tonem.

— Pani Tannenberg, międzynarodowa koniunktura ma wpływ na nas wszystkich. Wie pani, że w świecie archeologii zawsze staramy się trzymać z daleka od polityki. W przeciwnym razie istnienie misji archeologicznych w pewnych krajach byłoby nie do pomyślenia. Ahmedzie, wiesz, że teraz uzyskanie wsparcia jest niemożliwe. Biorąc pod uwagę klimat polityczny, fundacja nie może nawet rozważać przeprowadzenia wykopalisk w Iraku. Prezes zostałby za to upomniany, a zarząd fundacji nigdy by na to nie pozwolił. Wyjaśniłem wam, że biorąc pod uwagę okoliczności, najlepiej będzie, jeśli wasza obecność na kongresie będzie dyskretna. Uparli się państwo jednak postąpić odwrotnie. Mimo to mamy nadzieję, że to, co się dzisiaj stało, nie skończy się skandalem...

— Nie zależy nam na poprawności politycznej, choć zdaje się, że zatruwamy powietrze – syknęła roztrzęsiona Clara.

— Ależ proszę! Powiedziałem pani szczerze, jakie są okoliczności. Mimo wszystko nie należy tracić nadziei. Zauważyłem, że profesor Picot słuchał pani z uwagą. To dość szczególna postać, ale zarazem autorytet w tej dziedzinie.

Ralph Barry natychmiast pożałował, że wymienił nazwisko Picota. Nie było jednak wątpliwości, że ten ekscentryczny naukowiec z zainteresowaniem wysłuchał wystąpienia Clary i biorąc pod uwagę karierę Picota, jego zainteresowanie miało charakter nie tylko akademicki.

Dotarli do hotelu wyczerpani. Clara spodziewała się burzy. Ahmed bronił jej, jak potrafił, ale była pewna, że był zde gustowany sposobem, w jaki przedstawiła ich sprawę. Prosił ją przecież, by nie wspominała ani o swoim dziadku, ani ojcu, by przedstawiła odkrycie wyłącznie w kontekście współczesnym i naukowym. Biorąc pod uwagę sytuację w Iraku, nikt nie wybierze się teraz do tego kraju, by weryfikować każde jej słowo. Ona jednak chciała złożyć hołd swojemu dziadkowi i ojcu, których wielbiła i którzy wszystkiego ją nauczyli. Gdyby nie zaznaczyła, że jej dziadek był odkrywcą tabliczek, mógłby zostać posądzony o ich przywłaszczenie.

Weszli do pokoju, w którym zastali pokojówkę. Poczekali, nie odzywając się ani słowem, aż dziewczyna skończy ścielić łóżka i wyjdzie.

Ahmed sięgnął do lodówki i nalał sobie szklanekę whisky z lodem. Jej nie zaproponował niczego, więc sama przygotowała sobie campari. Usiadła w oczekiwaniu na pierwszy grzmot.

— Ośmieszylaś się — oznajmił Ahmed. — Byłaś patetyczna, mówiąc o swoim ojcu, dziadku i o mnie. Na Boga, Claro, jesteśmy archeologami, a nie bawimy się w archeologów. To nie było zakończenie roku akademickiego w szkole i rozdanie świadectw, kiedy wypada podziękować tatusiowi za to, że jest dobry! Przecież mówiłem ci, żebyś nie wspominała o dziadku, powtarzałem ci, ty jednak musiałaś zrobić to, na co miałaś ochotę, nie zastanowiwszy się nad konsekwencjami, nie zdając sobie sprawy z tego, co może się rozpętać. Ralph Barry poprosił nas o dyskrecję, powiedział nam jasno, że jego „szef”, Robert Brown chce, byśmy przystąpili do wykopalisk, ale nie mogą nam pomóc bezpośrednio. Nie może powiedzieć swoim przyjaciołom z zarządu, że interesuje go pewna nieznana archeolog, wnuczka starego przyjaciela, żona Irakijczyka cieszącego się łaskami reżimu, i że chce jej pomóc. Ralph Barry powiedział to głośno i wyraźnie: Robert Brown w ten sposób wykopałby sobie grób. Co chciałaś osiągnąć?

— Nie zamierzam okradać własnego dziadka! Dlaczego nie mogę mówić o nim i o moim ojcu? Nie mam się czego wstydzić. Byli znawcami antyków i wydawali fortuny na finansowanie wykopalisk w Iraku, Syrii, Egipcie...

— Obudź się, Claro, otwórz oczy! Twój dziadek i ojciec to zwykli handlarze. Żadni z nich mecenasi sztuki. Dorośnij wreszcie, bądźże kobietą, przestań wspinać się dziadkowi na kolana.

Ahmed zamilkł. Był zmęczony.

— *Gliniana Biblia*, tak nazywał ją mój dziadek. Księga Genezis opowiedziana słowami Abrahama – mówiła Clara. – Tak, *Gliniana Biblia*, Biblia spisana na glinianych tabliczkach tysiąc lat wcześniej niż na papirusie. Wiekopomne odkrycie, kolejny dowód na istnienie Abrahama. Nie sądzisz chyba, że się mylimy?

— Ja również chcę odnaleźć *Glinianą Biblię*, ale dzisiaj, Claro, zmarnowałaś najlepszą okazję, jaka się nadarzała. Ci ludzie należą do elity światowej archeologii, a my musimy postępować tak, by zechcieli wybaczyć nam to, kim jesteśmy.

— A kim jesteśmy, Ahmedzie?

— Ty jesteś nieznaną archeolog, żoną dyrektora departamentu wykopalisk w kraju rządzonym przez dyktaturę, którego przywódca został skazany na obalenie, bo już nie służy interesom możliwych tego świata. Przed laty, kiedy mieszkałem w Stanach, bycie Irakijczykiem nie było ujmą, wręcz przeciwnie. Saddam walczył z Iranem, bo służyło to interesom Waszyngtonu. Mordował Kurdów bronią kupioną od Amerykanów, używał broni chemicznej zakazanej przez Konwencję Genewską, tej samej broni, której teraz szukają. Wszystko to jedno wielkie kłamstwo, Claro, dlatego trzeba przestrzegać norm. Ciebie jednak nie wzrusza

nic, co dzieje się dookoła, wszystko ci jedno, obojętny ci Saddam, Bush i wszyscy, którzy mogą zginąć z ich winy. Twój świat ogranicza się do twojego dziadka.

— Po czyjej stoisz stronie?

— Co to znaczy?

— Napadasz na reżim Saddama, sprawiasz wrażenie, jakbyś rozumiał Amerykanów, potem znów mówisz o nich ze wstrętem. Po czyjej stoisz stronie?

— Po niczyjej. Jestem sam.

Ta odpowiedź zaskoczyła Clare. Była pod wrażeniem szczerości Ahmeda, a jednocześnie bolała ją jego postawa.

Ahmed był zbyt zachodni jak na Irakijczyka. Przewędrował pół świata i stracił korzenie. Jego ojciec był dyplomata, człowiekiem przywiązany do reżimu Saddama, wynagradzanym stanowiskami w kolejnych ambasadach: w Paryżu, Brukseli, Londynie, Meksyku, w waszyngtońskim konsulacie... Rodzina Huseinich wiodła wygodne życie, zaś dzieci ambasadora wyrosły na kosmopolitów, kończyły najlepsze europejskie szkoły, nauczyły się mówić wieloma językami i studiowały na najbardziej ekskluzywnych uczelniach amerykańskich. Jego trzy siostry wyszły za ludzi z Zachodu, nie zniosłyby myśli o powrocie do Iraku. Wychowały się w poczuciu wolności w demokratycznych krajach. On, Ahmed, również karmił się demokracją w każdym kolejnym kraju, do którego trafiał jego ojciec, nic dziwnego, że w Iraku się dusił. Mimo to, kiedy wracał, cieszył się przywilejami przynależnymi dzieciom reżimu.

Zostałby w Stanach Zjednoczonych, ale poznał Clare, a jej dziadek i ojciec chcieli, by wróciła do Iraku. Postanowił więc, że i on wróci.

— Co teraz zrobimy? — zapytała Clara.

— Nic. Teraz już nic nie możemy zrobić. Jutro zadzwonię do Ralpha, niech mi przynajmniej powie, jakie rozmiary ma klęska, którą ściągnęłaś na nasze głowy.

— Wracamy do Bagdadu?

— Czyżbyś miała inny genialny pomysł?

— Nie musisz być taki uszczypliwy. Zrobiłam to, co uważałam za stosowne, byłam to winna dziadkowi. Zgoda, jest tylko biznesmenem, ale kocha Mezopotamię jak nikt inny i wpoił to mnie i mojemu ojcu. Mógł zostać wielkim archeologiem, ale nie miał dość szczęścia, by pójść za swoim powołaniem. Jed nakże to on i tylko on odkrył te dwie tabliczki, to on przechował je przez ponad pół wieku, to on wydawał pieniądze, by inni kopali w poszukiwaniu śladów Szamasa... Przypominam ci, że muzea Iraku pełne są eksponatów i tabliczek z wykopalisk finansowanych przez mojego dziadka.

Na twarzy Ahmeda pojawił się wyraz pogardy. Clara aż podskoczyła z oburzenia. Nagle jej mąż wydał jej się obcym człowiekiem.

— Twój dziadek jest bardzo mądry, Claro, podobnie jak twój ojciec. Twoje dzisiejsze wystąpienie tylko by ich rozczarowało. Nie tego cię uczyli.

— Wpoili mi zamiłowanie do archeologii.

— Raczej obsesję na punkcie *Glinianej Biblii*.

Zapadła cisza. Ahmed jednym haustem dopił whisky i zamknął oczy. Żadne nie miało ochoty ciągnąć tej rozmowy.

Clara położyła się do łóżka z głową wypełnioną myślami o Szamasie. Wyobrażała go sobie z cienkim trzciniowym rylcem w dłoni, którym rysował coś na glinianej powierzchni...

2

— Kto stworzył pierwszą kozę?

— On.

— A dlaczego akurat kozę?

— Dla tego samego powodu, dla którego stworzył wszystkie istoty zamieszkujące ziemię.

Chłopiec już dawno znał odpowiedzi na te pytania, ale lubił drażnić się ze swoim wujem Abramem³. Ten drugi bardzo ostatnio się zmienił. Zdziwaczał, szukał samotności i często oddalał się od swoich bliskich, twierdząc, że musi pomyśleć.

— Nie rozumiem, cóż to za powód. Po co mu kozy? Po co je hodujemy? A my, po co my jesteśmy? Żeby pracować?

— Ciebie stworzył po to, żebyś się uczył.

Szamas zamilkł. Wuj przypominał mu, że o tej porze powinien być w domu tabliczek, czyli szkole pisarzy, i odrabiać swoje zadanie. Jego drugi wuj, *um-mi-a*⁴, może poskarżyć się na niego ojcu i chłopak znów dostanie burę.

Tego ranka, idąc z domu tabliczek, widział, jak wuj Abram idzie ze stadem kóz, szukając bardziej zielonych łąk. Bez namysłu ruszył jego śladem, chociaż wiedział, że wuj woli być sam i nie ma ochoty z nikim rozmawiać. Wiedział jednak i to, że wuj ma do niego dużo cierpliwości. W rzeczywistości nie był on bliskim wujem, tylko dalekim krewnym jego matki, ale należeli do tego samego plemienia; wszyscy uznawali władzę Teracha, ojca Abrama, a że szacunek dla syna szedł w parze z szacunkiem dla ojca, wielu ludzi z plemienia przychodziło właśnie do Abrama, szukając rady i przewodnika. Terach nie miał o to żalu, był już stary i sporą część dnia po prostu przesypiał. Po jego śmierci to Abram miał przejąć wszystkie jego obowiązki.

— Nudzę się – bąknął chłopiec na swoje usprawiedliwienie.

— Ach tak? A co cię tak nudzi?

— *Dub-sar*⁵, który nas uczy, nie jest zbyt wesoły, na pewno dlatego, że on sam jeszcze nie panuje nad trzcinką tak, jak by sobie tego życzył *ses-gal*⁶ albo *um-mi-a* Ur-Nisaba.

³ W rozmowach Szamasa z Patriarchą autorka używa pierwszej wersji imienia: Abram.

⁴ *Um-mi-a* – mistrz, nauczyciel.

Dub-sar Ili, który się nami zajmuje, nie lubi dzieci, szybko traci cierpliwość i każe nam pisać te same wyrazy tak długo, aż według jego własnego osądu, staną się doskonałe. Potem, kiedy w południe każe nam, byśmy na głos powtórzyli lekcję, gniewa się, kiedy się na czymś potkniemy, i niecierpliwi, kiedy pokazujemy mu ćwiczenia z pisania i rachunki.

Abram się uśmiechnął. Nie chciał, by mały Szamas jeszcze bardziej się rozzuchwiał, jeśli on wysłucha ze zrozumieniem jego skarg na wymagającego nauczyciela. Szamas był najbardziej inteligentnym dzieckiem w plemienu, miał za zadanie się uczyć, by zostać skrybą lub kapłanem. Potrzebni im mądrzy ludzie, którzy wykonywaliby obliczenia do budowy kanałów nawadniających suchą ziemię i którzy potrafiliby uporządkować spichlerze, pilnowali rozdziału pszenicy, udzielali pożyczek, ludzie którzy przechowywaliby wiedzę o roślinach i zwierzętach, umieli przeprowadzać obliczenia matematyczne i którzy czytali by z gwiazd, a więc tacy, którzy potrafią myśleć o czymś innym niż tylko o napełnieniu żołądków swojego potomstwa.

Ojciec Szamasa był wielkim skrybą, mistrzem, zaś chłopiec, jak wielu mężczyzn w ich rodzinie, odziedziczył po nim inteligencję. Nie może jej zmarnować, albowiem inteligencja to dar, który On zesłał niektórym ludziom, by ułatwiali życie innym i by walczyli z tymi, którzy mimo iż równie inteligentni, dawali posłuch podszeptom złego.

— Lepiej, żebyś wrócił, bo zaczną cię szukać i matka będzie się martwiła.

— Moja matka widziała, że za tobą poszedłem. Nie niepokoi się, wie, że przy tobie nic mi nie grozi.

— Co nie znaczy, że będzie zadowolona. Dobrze wie, że marnujesz czas przeznaczony na naukę.

— Wuju, *dub-sar* każe nam modlić się do Nidaby, bogini zbóż, i zapewnia, że to od niej pochodzi znajomość pisma.

— Musisz się uczyć tego, o czym opowiada wam *dub-sar*.

— Tak, ale czy ty też uważasz, że to Nidaba nas inspiruje?

Abram nie odpowiedział. Nie chciał mieszać chłopcu w głowie, ale też nie chciał zatajać tego, co dawno już przeczuwał, a teraz nabrał co do tego pewności. Doszedł do przekonania, że bogowie, których czcili, nie byli natchnieni żadnym duchem, byli po prostu posążkami z gliny. On o tym wiedział, bo jego ojciec, Terach, wyrabiał glinę i dostarczał do świątyń i pałaców bóstwa, będące dziełem jego rąk.

⁵ *Dub-sar* – skryba, pisarz.

⁶ *Ses-gal* – wielki brat.

Abram wciąż wspominał ból, jaki sprawił swojemu ojcu w dniu, gdy porozbijał świeżo zrobione figury, zamieniając je w kupę skorup, nim jeszcze zdążyły wyschnąć i przeobrazić się w bogów.

Nie rozumiał, dlaczego tak postąpił, ale kiedy wszedł do warsztatu ojca, poczuł niepohamowany impuls, by zniszczyć te kawałki gliny, przed którymi głupi ludzie pochylali czoła, przekonani, że to te figury, stworzone rękami jego ojca, zsyłają nieszczęścia i łaski.

Strącał je na ziemię i deptał, potem usiadł, czekając na skutki swojego postępków. W tych posągach nie było nic, gdyby rzeczywiście były bogami, natychmiast skierowałyby przeciwko niemu swoją furję, ukarałyby go. Nic takiego jednak nie nastąpiło, a jedyna furia, jakiej stał się ofiarą, była furją jego ojca, kiedy ten zobaczył, że owoce jego pracy zamieniły się w kupę skorup.

Ojciec zganił go za ten świętokradczy postępek, lecz Abram odpowiedział mu zuchwale, że kto jak kto, ale Terach sam najlepiej wie, że w figurach, które wyrabia, nie ma niczego poza błotem.

Potem spokorniał nieco, przeprosił Teracha, zmiótł skorupy, a nawet przyłączył się do mieszania gliny, by pomóc ojcu robić nowe figurki.

— Szamasie, musisz umieć to, czego uczy cię Ili, po to pomoże ci odróżniać prawdę od kłamstwa. Przyjdzie dzień, kiedy sam będziesz oddzielał ziarno od plew, dopóki to jednak nie nastąpi, nie gardź żadną wiedzą.

— Kiedyś opowiedziałem o Nim i Ili się rozgniewał. Powiedział, że nie wolno mi obrażać bogów Isztar, Isin, Innama...

— A po co im o Nim opowiedziałeś?

— Ponieważ cały czas myślę o tym, co mi opowiadasz. Wiesz, nie wierzę, że w środku figury Isztar jest jakiś duch. Jego zaś nie widzę, więc z pewnością istnieje.

Abram był zaskoczony takim rozumowaniem. Chłopiec wierzył w to, czego nie widać, właśnie dlatego, że tego nie widział! Wiedział, że mały patrzy na niego z nabożnym podziwem, bo Terach był już tak stary, że to on był rzeczywistym przywódcą plemienia, zaś jego słowo było słowem króla.

— Ucz się, Szamasie, ucz. A teraz wracaj do szkoły i pozwól mi trochę pomyśleć.

— Czy on do ciebie przemawia?

— Czuję, że tak.

— Ale czy przemawia do ciebie słowami, tak jak my rozmawiamy?

— Nie, nie tak, ale słyszę go tak wyraźnie, jakbym słuchał ciebie. Tylko nikomu o tym nie mów.

— Nie powiem.

— To wprawdzie nie jest żadna tajemnica, trzeba jednak nauczyć się powściągać język. No już, zmykaj, biegnij do szkoły i nie złość się więcej na Ilięgo.

Chłopiec wstał z kamienia i pogłaskał po szyi białą kozę, która, obojętna na to, co się wokół niej dzieje, z wyraźną przyjemnością skubała trawę.

Szamas zagryzł wargę i z uśmiechem poprosił Abrama:

— A opowiesz mi, jak On nas stworzył i dlaczego to zrobił? Ja to wszystko spiszę, kościanym rylcem, który podarował mi ojciec. Używam go tylko wtedy, gdy nauczyciel każe nam napisać coś ważnego... Nabrałbym wprawy...

Abram popatrzył uważnie na Szamasa. Chłopiec ma dziesięć lat. Czy potrafi zrozumieć, jak złożony jest Bóg, który mu się objawiał?

— Opowiem ci wszystko – zdecydował. – Zapiszesz to na tabliczkach i dobrze je ukryjesz. Pokażesz je dopiero wtedy, kiedy cię o to poproszę. Twój ojciec musi wiedzieć, czym się zajmujesz, twoja matka również, ale nikt więcej. Porozmawiam z nimi, ale pod warunkiem, że nie będziesz opuszczał zajęć. Nie dyskutuj z nauczycielem, słuchaj się i ucz.

Uszczęśliwiony chłopiec popędził do szkoły. Ili będzie się na niego złościł, że się spóźnia, ale on się tym nie przejmował. Abram zdradzi mu tajemnice swojego Boga, Boga, który wcale nie jest z gliny.

Ili skrzywił się na widok spoconego Szamasa, który wpadł do klasy, zmęczony biegiem.

— Poskarżę się twojemu ojcu – zagroził i wrócił do prowadzenia lekcji. Zamierzał pokazać dzieciom tabliczki do rachunków, chciał, by zrozumiały magię cyfr i skróty, za pomocą których zapisuje się tuziny.

Szamas prowadził trzcinę po glince, notując wszystko, co mówił Ili, by potem, w domu, przeczytać to ojcu i zadziwić matkę.

— Tato, dałbyś mi kilka takich tabliczek? – zapytał Szamas.

Ojciec podniósł głowę znad tabliczki, zaskoczony prośbą syna. Notował akurat obserwacje nieba, które prowadził od lat. Spośród jego ośmiorga dzieci Szamas był ulubieńcem, choć ojciec martwił się o niego, ponieważ chłopiec był niezwykle rozgarnięty jak na swój wiek. Jego krewny, Abram, bardzo go chwalił.

- Ili zadał ci coś do domu?
- Nie, nie o to chodzi. To wuj Abram ma mi opowiedzieć, po co On stworzył świat.
- Ach tak!
- Powiedział, że porozmawia z tobą na ten temat.
- Jeszcze tego nie zrobił.
- Pozwolisz, ojcze?

Mężczyzna westchnął. Wiedział, że na nic zda się zakazywanie synowi słuchania opowieści Abrama, którego chłopak traktował z ogromnym szacunkiem. Abram był mężczyzną o czystym sercu, zbyt inteligentnym na to, by wierzyć, że w kawałku wysuszonej gliny jest bóg. On też w to nie wierzył, choć milczał. Było mu wszystko jedno, dopóki mógł spokojnie oddawać się studiom nad nastawianiem po sobie dnia i nocy, prądami rzecznyymi, gęstością ziemi... Abram wierzył w Boga, który jest początkiem i końcem wszystkiego. Wolał, by Szamas poznał tego Boga, niż miałby uwierzyć, że kawałek gliny obdarzony jest boską mocą.

- Powiedziałeś o tym Iliemu?
- Nie, po co miałby o tym wiedzieć? To jak, mogę, ojcze?
- Tak. Spisz wszystko, co ci opowiada Abram.
- Schowam te tabliczki.
- Nie chcesz ich zanieść do szkoły pisarzy?
- Nie, ojcze, Ili nie zrozumiałby nic z opowieści Abrama.
- Jesteś pewny? Ili jest bystry, choć nie starcza mu cierpliwości do uczenia. Nie zapominaj o tym, Szamasie, i szanuj go.
- Szanuję go, ojcze, ale Abram powiedział, że to on decyduje, komu i w jaki sposób opowiadać o Bogu.
- W takim razie rób to, co ci każe Abram.
- Dziękuję, ojcze. Poproszę mamę, żeby pilnowała moich tabliczek i żeby nie pozwoliła nikomu ich dotykać.

Chłopiec wybiegł w podskokach z domu, by poszukać matki. Potem pójdzie po glinę do niewielkiego zbiornika, przy którym jego ojciec wyrabiał tabliczki. Nie mógł się doczekać, kiedy zacznie pisać. Następnego dnia spotka się z Abramem. Ten zawsze wypędza owce na pastwisko przed świtem, bo jak mówi, o tej porze najlepiej mu się myśli.

Szamas nie lubił wcześniej wstawać, nie miał jednak nic przeciwko temu, jeśli oznaczało to spotkanie z Abramem.

Chłopak nie mógł się doczekać, kiedy zacznie, święcie przekonany, że wuj wyjawia mu wielkie tajemnice. Czasem nie mógł w nocy zasnąć, zastanawiając się, skąd wziął się pierwszy mężczyzna i pierwsza kobieta, pierwsza kura, pierwszy wół, kto wyjawiał tajemnicę chleba i w jaki sposób rachmistrzowie odkryli magię liczb. Zdesperowany szukał odpowiedzi we własnym umyśle, aż w końcu zasypiał wyczerpany, ale niespokojny, bo wciąż ich nie znał.

Mężczyźni siedzieli przed drzwiami domu Teracha. Staruszek wezwał ich do siebie, choć to właściwie Abram chciał przemówić do ojców rodzin. Wodzem plemienia wciąż był Terach, więc tylko on mógł zwołać mężczyzn na naradę.

— Musimy wyjść z Ur – powiedział Terach. – Mój syn, Abram, wytłumaczy wam dlaczego. Nachorze, synu, usiądź u mego boku, kiedy twój brat będzie przemawiał.

Szepty ucichły, tymczasem Abram, który wstał już z miejsca, popatrzył na zebranych. Następnie, nie potrafiąc ukryć wzruszenia, oznajmił, że Terach poprowadzi ich do Kanaanu, ziemi błogosławionej przez Boga, na której osiądą i urodzą im się dzieci i dzieci ich dzieci. Radził już teraz rozpocząć przygotowania, by można było wkrótce wyruszyć w drogę.

Najwięcej wątpliwości miał Nachor. Niełatwo im będzie opuścić ziemię Ur, mówił. Tu urodzili się ich ojcowie i ojcowie ich ojców. Tu wypasali swoje stada. Kanaan jest tak daleko. Każdy jednak miał nadzieję na lepsze życie na ziemi obfitującej w owoce, gdzie nie brak pastwisk, a rzeki nigdy nie wysychają.

W Ur walczyli z pustynią, kopiąc kanały, by przekierować wody Eufratu i nawodnić glebę, która dawała im pszenicę na chleb. Wiedli tu niepewną egzystencję, choć mieli w swoim plemienu wykształconych skrybów i cieszyli się opieką świątyni i łaskami pałacu. Byli wśród nich dobrzy rzemieślnicy, a ich stada były liczne. Owce i kozy dawały mleko i mięso, jednak życie upływało im na patrzeniu w niebo, w oczekiwaniu, że bogowie ześlą deszcz, który nawodni grunt i wypełni zbiorniki na wodę.

Spakują więc swój dobytek i gnając przed sobą stada, wyruszą w podróż, idąc z biegiem Eufratu na północ. Przygotowania i pożegnania z rodziną i przyjaciółmi potrwać wiele dni. Nie wszyscy mogą wyruszyć w drogę; ludzie chorzy i starzy, którzy nie znieśliby dalekiej wędrówki, zostaną pod opieką najmłodszych członków rodzin, którzy pewnego dnia również zostaną wezwani do Kanaanu, ale teraz pozostaną w Ur. Każda rodzina musi zdecydować, kto wyruszy na wędrówkę, a kto zostanie.

Jadin, ojciec Szamasa, wezwał swoją żonę, dzieci i żony swoich synów, wujów i synów wujów, którzy z kolei przyprowadzili swoje dzieci. Cała rodzina zgromadziła się o świcie w jego domu z cegieł *adobe*, suszonej na słońcu mieszanki gliny i słomy.

— Pójdziemy z Terachem aż do Kanaan. Część z was musi tu jednak zostać, by pilnować dobytku. Zaopiekujecie się też chorymi i niedołącznymi. Ty, Chosenie, pod moją nieobecność zostaniesz głową rodziny.

Chosen, najmłodszy z braci Jadina, przystał na to z ulgą. Nie chciał odchodzić. Mieszkał przy świątyni, gdzie zajmował się pisaniem listów i umów handlowych, nie pragnął niczego więcej, tylko nadal zgłębiać tajemnice liczb i ciał niebieskich.

— Nasz ojciec – przemawiał Jadin – jest zbyt stary, by z nami wędrować. Ledwie trzyma się na nogach, czasami zamyśla się, błądzi wzrokiem za horyzontem i nie udaje mu się wymówić ani słowa. Ty, Chosenie, będziesz się starał, by niczego mu nie zabrakło. Zostanie z tobą nasza siostra Jamisal. Jest wdową i nie ma dzieci, może więc opiekować się ojcem.

Zafascynowany Szamas słuchał słów ojca. Czuł łaskotanie w żołądku, niecierpliwił się. Gdyby to od niego zależało, już wędrowałby w poszukiwaniu ziemi, o której mówił Abram. Nagle coś go zaniepokoiło: jeśli odejdą, nie będzie mógł napisać historii świata, którą obiecał mu opowiedzieć wuj.

— Jak długo będziemy wędrowali?

To pytanie zaskoczyło Jadina. Wtrącanie się do spraw dorosłych było zuchwalstwem. Pod karcącym spojrzeniem ojca chłopiec oblał się rumieńcem i spuścił wzrok, mamrocząc pod nosem przeprosiny. A jednak Jadin nie zlekceważył niepokojów syna.

— Nie wiem, jak długo będziemy wędrowali do Kanaanu. Być może zatrzymamy się gdzieś po drodze. Kto wie, co może nas spotkać? Szykujcie się, by móc wyruszyć, gdy tylko Terach da znak.

Szamas dostrzegł krzepką sylwetkę Abrama i wybiegł mu na spotkanie. Od dwóch dni szukał okazji, by spotkać się z wujem, i oto się nadarzała.

Abram uśmiechnął się na widok chłopaka, spoconego, z zarumienioną od upału i wysiłku buzią. Wbił w ziemię kij pasterski i zaczął czekać, aż dzieciak go dogoni. Rozglądał się też za jakimś drzewem, pod którym mogliby schronić się przed ostatnimi palącymi promieniami słońca.

— Odpocznij – powiedział do chłopca. – Chodź, usiądziemy pod tym figowcem, przy studni.

— Kiedy zaczniesz mi opowiadać historię świata?

— A, więc to cię tak martwi!

— Jeśli wyruszymy w drogę, nie będzie można mieszać gliny na tabliczki. Ojciec nie pozwoli mi, bym zabierał ze sobą coś więcej niż tylko najpotrzebniejsze rzeczy.

— Szamasie, napiszesz historię stworzenia, albowiem Pan sobie ciebie upodobał. Nie martw się. On zdecyduje, kiedy i jak.

Chłopak nie potrafił ukryć rozczarowania. Nie chciał dłużej czekać, przepelniała go ochota, by napisać tę historię, zrozumieć, dlaczego On postanowił komplikować sprawy stwarzaniem świata. Bo choć Szamas myślał o tym i na różne sposoby próbował zrozumieć, nie pojmował po co to wszystko, chyba że z nudów, albo dlatego, że Bóg chciał bawić się ludźmi tak samo, jak jego bracia i siostry bawili się koralikami i lalkami.

— Czy Ili też pójdzie? — zapytał.

— Nie.

— Będę za nim tęsknił. Czasem myślę, że ma rację, kiedy się na mnie gniewa, bo nie słucham, jak tłumaczy i... — Chłopak zawahał się, czy powinien dalej mówić. Abram nie zamierzał ciągnąć go za język, czekał.

— Piszę najgorzej w całej szkole, na moich tabliczkach roi się od błędów. Dzisiaj pomyliłem się w rachunkach. Obiecałem ojcu i Iliemu, że się poprawię, że nigdy więcej nie będą musieli mnie upominać. Postanowiłem ci o tym powiedzieć, bo być może chcesz, żeby ktoś inny napisał historię świata, ktoś, kto nie robi błędów, posługując się trzcinowym rylcem.

Szamas zamilkł, czekając na wyrok Abrama. Nerwowo zagryzał wargę, żałując, że nie przykładał się bardziej do nauki. Ili wyrzucał mu, że traci czas na fantazjowanie i dziwne pytania. Poskarżył się jego ojcu i ten udzielił synowi reprimendy, a co gorsza, przyznał, że jest rozczarowany. Teraz Szamas bał się rozczarować Abrama, bo to mogło oznaczać koniec jego marzeń o napisaniu historii świata.

— Nie dość mocno się starasz — skwitował Abram.

— To prawda — odpowiedział cicho chłopiec.

— A jednak wierzysz, że gdy ci opowiem historię stworzenia, napiszesz ją bez błędów?

— Tak, no... na pewno się postaram. Pomyślałem sobie, że najlepiej będzie, jak mi będziesz dyktował po trochu, a potem w domu przepiszę wszystko powoli i starannie. Co dzień będę ci pokazywał, co napisałem, i jeśli dobrze mi pójdzie, będziesz opowiadał dalej...

Abram przyjrzał mu się uważnie. Nie niepokoiło go, że chłopak robi błędy i że w jego bystrym umyśle rodzą się pytania, na które Ili, nauczyciel, nie potrafi udzielić odpowiedzi.

Szamas miał wiele zalet, które równoważyły niedostatki, a największą z nich była inteligencja. Kiedy zadawał pytanie, oczekiwał logicznej odpowiedzi, nie zadowalały go wyjaśnienia, jakich udziela się dzieciom.

Oczy chłopca błyszczały. Abram pomyślał, że spośród wszystkich członków jego plemienia, to Szamas najlepiej zrozumie zamysły Boga.

— Opowiem ci historię stworzenia. Zacznę od dnia, w którym On postanowił oddzielić światło od ciemności. Teraz jednak wracaj do domu. Wezwę cię, kiedy nadejdzie czas.

3

W Sewilli panował nieznośny upał. Termometry wskazywały czterdzieści stopni. Mężczyzna pogładził się ręką po łysej głowie. Jego głęboko osadzone niebieskie oczy, błyszczące chłodno jak metal, patrzyły na monitor komputera. Choć skończył już osiemdziesiąt lat, Internet go pasjonował.

Drgnął na dźwięk telefonu.

— Słucham.

— Enrique, przed chwilą dzwonił do mnie Robert Brown. Stało się to, czego się obawialiśmy, dziewczyna przemawiała na kongresie w Rzymie.

— Czy powiedziała...

— Tak...

— Rozmawiałeś już z Frankiem?

— Przed minutą.

— George, co teraz zrobimy?

— Postąpimy zgodnie z planem. Alfred wie o wszystkim.

— Czy już podjąłeś jakieś kroki?

— Tak.

— Robert będzie umiał to załatwić?

— Robert? Jest bystry i bardzo posłuszny. Wypełnia polecenia bez zbędnych pytań, robi, co mu każę.

— Jako dziecko najlepiej manipulowałeś sznurkami marionetek, które dostawaliśmy na gwiazdkę.

— Nieco trudniej manipuluje się ludźmi.

— Ty akurat nie masz z tym problemów. W każdym razie nadszedł czas, by postawić kropkę nad „i”. Nie możemy sobie pozwalać na sentymenty. Teraz nie ma innego wyjścia, jak deptać po piętach jego wnuczce. Nie możemy pozwolić, by przywłaszczył sobie to, co do nas należy.

— Masz słuszość, ale nie chciałbym konfrontacji z Alfredem. Musi być jakiś sposób, żeby nabrał rozsądku.

— Po tylu latach postanowił grać solo. To zdrada.

— Trzeba będzie z nim porozmawiać. Spróbujmy.

Rozłączył się i usłyszał na korytarzu szybkie kroki. Do pokoju wpadł jak huragan młody, wysoki, szczupły i przystojny chłopak, ubrany w strój do konnej jazdy.

— Cześć, dziadku, spociłem się jak mysz.

— Zauważyłem. Nie wydaje mi się zbyt mądre w taki upał wybierać się na przejażdżkę.

— Alvaro chciał mi pokazać swoje nowe tryczki.

— Chyba nie sprawdzałeś na nich postępów w kluciu szpada?

— Nie, dziadku, przecież ci obiecałem.

— Jakbyś umiał dotrzymywać słowa... Gdzie ojciec?

— W gabinecie.

— Pozwolisz mi teraz popracować?

— Ależ dziadku, w twoim wieku już się nie powinno pracować! Zostaw tę robotę i chodźmy na obiad do klubu.

— Sam wiesz, że ci z klubu mnie mierzą.

— Jak się nad tym głębiej zastanowić, okazuje się, że mierzi cię cała Sewilla. Nigdzie nie dajesz się wyciągnąć. Babcia ma rację, jesteś nudziarzem i odludkiem.

— Babcia zawsze ma rację. Jestem nudziarzem, a ci wszyscy ludzie przypawiają mnie o mdłości.

— To dlatego, że odebrałeś brytyjskie wychowanie.

— Możliwe. Teraz jednak zostaw mnie, proszę, w spokoju, muszę pomyśleć. Gdzie jest twoja siostra?

— Wyjechała do Marbelli, Kholowie ją zaprosili.

— Nawet się ze mną nie pożegnała. Z każdym dniem macie gorsze maniery.

— Ależ, dziadku, nie bądź taki staroświecki. Zresztą Elena nie lubi siedzieć na wsi. Tylko ty, ojciec i ja lubimy takie wiejskie życie. Ani babci, ani mamie, ani Elenie się ono nie podoba. Duszą się wśród tych wszystkich byków i koni. Idziesz ze mną do klubu?

— Nie. Nie mam ochoty wychodzić, za gorąco dzisiaj.

Kiedy staruszek został sam, uśmiechnął się do siebie. Jego wnuk to dobry chłopak, nie taki trzpiot jak wnuczka. Jedyne, co można mu było zarzucić, to nadmierne zamiłowanie do życia towarzyskiego, w czym siostra mu nie ustępowała. On sam zawsze dbał o to, by nie nawiązywać zbyt wielu znajomości. Jego żona, Rocío, była pod tym względem błogosławieństwem. Poznali się w niezwykłych okolicznościach... To ona uparła się, by się pobrali. Początkowo nie podobało się to jej ojcu, potem jednak zrozumiał, że nie ma odwrotu.

Zresztą Enrique Gómez Thomson był niezłą partią. Pojął więc za żonę córkę najwyższego dygnitarza prowincji rządzonej przez reżim Franco. Teść, który wzbogacił się po wojnie, spekulując na czarnym rynku, wprowadził go do biznesu, wkrótce jednak Enrique się usamodzielniał, zajął eksportem i importem, i szybko stał się bogaty. Zawsze starał się być dyskretny i nie zwracać na siebie uwagi bardziej, niż to było niezbędne. Założył rodzinę, która cieszyła się szacunkiem w całej Sewilli, a jej członkowie nie dostarczali tematów do plotek.

Zawsze był wdzięczny swojej żonie. Bez niej nie poradziłby sobie tak dobrze.

Pomyślał o Franku i George'u. Im też się powiodło, choć nikt im niczego nie dał za darmo. Okazali się po prostu zdolniejsi niż cała reszta.

* * *

Robert Brown uderzył pięścią w stół i natychmiast poczuł w ręce przeszywający ból. Od ponad godziny nie odkładał słuchawki telefonu. Najpierw zadzwonił do niego Ralph i opowiedział o przemówieniu Clary, doprowadzając go do silnego ataku bólu brzucha. Następnie Brown musiał poinformować o wszystkim swojego Mentora, George'a Wagnera, który wyrzucił mu, że nie potrafił zapobiec wystąpieniu dziewczyny.

Clara zawsze robiła, co chciała. Jak to możliwe, że jest wnuczką Alfreda? Helmut był zupełnie inny. Nigdy nie przysporzył Alfredowi kłopotów. Szkoda, że tak młodo umarł.

Helmut, syn Alfreda, był inteligentnym mężczyzną; niezwykle dyskretny, ojciec nauczył go, jak być niewidzialnym i chłopak dobrze przyswoił sobie tę lekcję, ale Clara... Clara zachowywała się jak rozpieszczona smarkula. Alfred jednak pozwalał jej na wszystko. Gdy o niej myślał, na jego twarzy pojawiał się uśmiech. Helmut ożenił się z Irakijką o ciemnych włosach i cerze w kolorze kości słoniowej. Alfred zgodził się na ten ożenek, wydawał mu się on nawet korzystny, ponieważ jego syn stał się częścią starej irackiej rodziny. Była to rodzina bogata i wpływowa, powiązana z najważniejszymi ludźmi w Iraku, Kairze, Ammanie. Cieszyła się szacunkiem, a jej członkowie byli podejmowani na całym świecie. W dodatku Ibrahim, ojciec Nur, żony Helmuta, był wykształconym człowiekiem o wyrafinowanym guście.

Zamyślił się nad Nur. Nigdy niczym się nie wyróżniała, najwyżej urodą, Helmut zaś był nią najwyraźniej oczarowany. Choć może ta kobieta była inteligentniejsza, niż się wydawało? Jeśli chodzi o muzułmanki, nigdy nie wiadomo, co o nich sądzić.

Alfred stracił syna i synową, kiedy Clara była nastolatką. Źle wychował swoją wnuczkę. Robert nigdy nie był zachwycony Claram. Przeszkadzało mu to, że nazywa go wujkiem Robertem, irytowała go jej pewność siebie granicząca z bezczelnością i nudziła paplanina, którą zamęczała go przy każdym spotkaniu.

Kiedy Alfred wysłał ją do Stanów Zjednoczonych, prosząc go, by się nią opiekował, Robert nie wyobrażał sobie nawet, jak męcząca może być ta opieka, a przecież i tak postarał się, by dziewczyna znalazła się jak najdalej od Waszyngtonu. Nie mógł jednak sprzeciwić się Alfredowi, który był jego współnikiem i bardzo szczególnym przyjacielem jego Mentora, George'a Wagnera. Zapisał ją więc na jeden z kalifornijskich uniwersytetów. Na szczęście zakochała się w tym Ahmedzie, inteligentnym mężczyźnie, z którym można było dojść do porozumienia. Wydanie jej za mąż za Huseiniego było strzałem w dziesiątkę.. Z nim dało się prowadzić interesy. Alfred i on rozumieli się z Ahmedem doskonale. Problem stanowiła Clara.

Rozmowa, jaką właśnie odbył z Ralphem Barrym, zatrzała mu dzień. Przed lunchem z prezesem i grupą przyjaciół rozboleła go głowa. Wszyscy ci biznesmeni byli żywo zainteresowani poznaniem daty ataku powietrznego na Irak. Jednak rozmowa, jaką odbył ze swoim Mentorem, poszła jeszcze gorzej. Człowiek ten nalegał, by Brown zapanował nad sytuacją, a jeśli będzie to konieczne, to nawet by pomógł tej parze. Skoro już został ujawniony fakt istnienia *Glinianej Biblii*, nie mogli pozwolić, by Alfred i jego wnuczka ją zatrzymali. Rozkazy były jasne: przejąć *Glinianą Biblię*, jeśli rzeczywiście się odnajdzie.

— Smith, połącz mnie jeszcze raz z Ralphem Barrym.

— Dobrze, panie Brown. Właśnie dzwoniła asystentka senatora Millera, żeby upewnić się, czy będzie pan na pikniku zorganizowanym przez żonę senatora w ten weekend.

Jeszcze jedna głupia baba, pomyślał Brown. Co roku organizuje taką samą farsę, wiejską imprezę w swojej posiadłości w Yermoncie, gdzie zmusza nas do picia lemoniady i jedzenia kanapek na kaszmirowych kocach rozłożonych na ziemi. Brown jednak wiedział, że musi się tam udać, ponieważ Frank Miller jest kimś więcej niż senatorem. Jest Teksaszczykiem zaangażowanym w interesy naftowe. Na ten przeklęty piknik przyjdą sekretarze obrony i sprawiedliwości, sekretarz stanu, doradczynie do spraw bezpieczeństwa narodowego, szef CIA... a nawet jego Mentor. Nadarzała się jedyna okazja, by nie zwracając niczyjej uwagi, porozmawiać z nim. Najgorsze było to, że wszyscy mają leżeć na trawie,

opychając się kanapkami i udając, że się świetnie bawią. Co roku ten słynny wrześniowy piknik stawał się jego największym koszmarem.

Z rozmyślań wyrwał go dzwonek telefonu i głos Ralpa Barry'ego.

— Słucham, Robercie.

— Ralph, czy ktoś kojarzy z nami osobę pani Tannenberg?

— Nie, w żadnym wypadku. Już ci powiedziałem, żebyś się nie martwił. Mimo protestów niektórych wykładowców nie sposób było zapobiec ich przyjazdowi. Przez lata Ahmed Huseini miał do czynienia z wieloma archeologami. Nie można było rozpocząć żadnych wykopalisk w Iraku bez jego zgody.

— Tym lepiej, ale powinieneś był im tego zabronić.

— Robercie, nie było to możliwe. Nikt nie mógł zabronić im zgłoszenia referatu o Mezopotamii i wystąpienia z nim. Nie potrafiłem jej przekonać. Zapewniła mnie, że ma zgodę dziadka i że tobie powinno to wystarczyć.

— Alfred dziecinnieje na starość.

— Możliwe. W każdym razie jego wnuczka ma obsesję na punkcie *Glinianej Biblii*. Naprawdę uważasz, że ona istnieje?

— Tak. Clara nie powinna jednak wyjawiać jej istnienia, zwłaszcza teraz. Tak czy inaczej, znajdziemy Biblię i będzie nasza.

— W jaki sposób?

— Nie mamy innego wyjścia, musimy pomóc im ją odszukać, a kiedy ją znajdą... Wobec tego, co się zdarzyło, pozostaje nam tylko zmiana planów. Czy uda im się zebrać ekipę archeologów, by poprowadzić wykopaliska? Musimy znaleźć jakiś sposób, żeby dostali dofinansowanie. Musimy coś wymyślić.

— Robercie, sytuacja w Iraku nie sprzyja organizowaniu wykopalisk. Wszystkie europejskie rządy, z naszym na czele, odradzają podróże w ten rejon. Pakowanie się tam w takiej chwili to samobójstwo. Musimy poczekać.

— Czy dobrze usłyszałem? Właśnie teraz jest najlepszy czas na podróż do Iraku. Będziemy tam, ale na swój sposób. Irak stał się ziemią możliwości, tylko głupcy tego nie widzą.

— Profesor Yves Picot sprawiał wrażenie jedyne go zainteresowanego tym, co opowiedziała Clara. Chce porozmawiać z Ahmedem, co mam robić?

— Niech rozmawiają. Ufam Ahmedowi. Wie, co ma robić, ale poproś go najpierw, żeby wysłał swoją żonę do Bagdadu albo do diabła, ale niech się ta baba stąd zabiera, zanim nas wszystkich wykończy.

Ralph zachichotał. Mizoginizm Roberta Browna był niemal zaraźliwy. Ten człowiek nie znosił kobiet, źle się czuł w ich towarzystwie. Nigdy się nie ożenił i nikt nigdy nie słyszał, by był w jakimś związku. Z trudem udawało mu się być uprzejmym nawet wobec żon swoich przyjaciół. Nie miał sekretarki, jak wszyscy, tylko tego Smitha, sześćdziesięcioletniego poliglotę i zarozumialca, który pracował dla niego od zawsze.

— Zgoda, Robercie, zobaczę, co da się zrobić. Porozmawiam z Ahmedem. Nie jest to jednak łatwa kobieta, dumna i uparta jak osioł.

Jak jej ojciec i dziadek, pomyślał Brown. Szkoda tylko, że zabrakło jej inteligencji ich obydwu.

* * *

Wiedział, że doradca prezydenta lubi hiszpańską kuchnię, zaprosił go więc na obiad do hiszpańskiej restauracji nieopodal Kapitolu.

Robert Brown przyjechał pierwszy. Zawsze był bardzo punktualny. Irytowało go czekanie. Miał nadzieję, że doradcy prezydenta nie zatrzyma żadna ważna sprawa.

Powoli zjeżdżali się wszyscy zaproszeni na obiad: Dick Garby, John Nelly i Edward Fox. Człowiek z Białego Domu dotarł ostatni i było widać, że jest w podłym humorze.

Wy tłumaczył im, że komplikują się negocjacje z Europejczykami w sprawie udzielenia przez Radę Bezpieczeństwa ONZ poparcia działaniom wojennym przeciwko Irakowi.

— Głupcy są wszędzie — westchnął. — Francuzi ciągną w swoją stronę, wierzą, że jeszcze coś znaczą, a w rzeczywistości gównem mają do powiedzenia, Niemcy to zdrajcy, mają obowiązek moralny nas wspierać, ale ten czerwono-zielony rząd bardziej troszczy się o oklaski liberalnej prasy niż o wypełnianie swoich zobowiązań.

— Zawsze możemy liczyć na Wielką Brytanię — wtrącił Dick Garby.

— Tak, ale to nie wystarczy — odpowiedział z poważną miną doradca Busha. — Mamy też Włochy, Hiszpanię, Portugalię i Polskę, ale te kraje się nie liczą, powiększają statystyki, ale się nie liczą. Meksykanie również protestują, a Rosjanie i Chińczycy zacierają ręce, widząc, jakie mamy problemy.

— Kiedy uderzamy? — zapytał Brown.

— Przygotowania już są w toku. Jak tylko chłopaki z Pentagonu zawiadomią nas, że są gotowi, przystąpimy do poważnego bombardowania Iraku. Zakładam, że najdalej za pięć, sześć miesięcy. Teraz jest wrzesień, powiedzmy, że na wiosnę. Uprzedzę was.

— Należałoby zacząć organizowanie Komitetu na Rzecz Odbudowy Iraku — odezwał się Edward Fox.

— Tak, już o tym pomyśleliśmy. Zadzwonię do was za trzy lub cztery dni. Ciastko jest duże, ale trzeba być pierwszym, żeby złapać najlepsze kaski — odpowiedział doradca. — Powiedzcie mi teraz, czego oczekujecie, i zabierzemy się do tego.

Jedząc dorsza po baskijsku, typowe danie z północnej Hiszpanii, czterej mężczyźni ustalali podstawy przyszłego podziału interesów w Iraku. Wszyscy mieli udziały w firmach budowlanych, naftowych, dostarczających wyposażenie... Zniszczenia wojenne będą duże, sporo trzeba będzie odbudować.

Lunch okazał się dla całej czwórki niezwykle owocny. Zobaczą się w weekend na pikniku u Millerów. Będą kontynuowali rozmowy, jeśli tylko uda im się wyrwać z ramion żon.

Robert Brown wrócił do siedziby fundacji, mieszczącej się w budynku ze stali i szkła nieopodal Białego Domu. Z okien rozciągał się przyjemny widok, jednak Brown nigdy nie polubił Waszyngtonu. Wolał Nowy Jork, gdzie fundacja nadal utrzymywała niewielki budynek w Village. Była to willa z końca osiemnastego wieku, zbudowana przez niemieckiego imigranta, który wzbogacił się na sprzedaży tkanin importowanych z Europy. Mieściła się tam pierwsza siedziba fundacji i choć obecnie willa nie służyła już celom reprezentacyjnym, nie chciał jej sprzedawać. Kiedy przebywał w Nowym Jorku, przyjmował ważnych gości w gabinecie w swoim domu, w okolicach Central Parku. Parter zaadaptował na biuro, zaś na górze urządził salon i sypialnię.

Ralphowi Barry'emu również podobała się willa w Village, korzystał z niej, gdy przyjeżdżał do Nowego Jorku. Dla Browna była to świetna wymówka, by nie rozstawać się z tym domem. Barry był jego zastępcą, motorem napędowym całej fundacji.

— Smith, połącz mnie z Paulem Dukaisem. Natychmiast.

— Zanim upłynęła minuta, usłyszał w słuchawce ochryply głos Dukaisa.

— Paul, przyjacielu, chciałbym umówić się z tobą na kolację.

— Jasne, Robercie, kiedy?

— Dziś wieczorem.

— Hmm, to niemożliwe. Muszę iść z żoną do opery. Może jutro?

— Nie zostało dużo czasu, Paul. Za chwilę zacznie się wojna, daj sobie spokój z operami.

— Wojna nie wojna, muszę iść. Żeby myśleć o wojnie, muszę zapewnić pokój na froncie domowym, a Doris ciągle narzeka, że nigdzie z nią nie chodzę. Obiecałem jej to. Jej i naszej córce, tak więc nawet wypowiedzenie trzeciej wojny światowej nie odwiedzie mnie od wyjścia do opery. Możemy się umówić na kolację jutro.

— W porządku, zapomnijmy o kolacji, spotkajmy się rano. Zapraszam cię do siebie na śniadanie. Będzie wygodniej niż w moim albo w twoim biurze. Może być siódma rano?

— Nie przesadzaj. Będę o ósmej.

Brown zamknął się w gabinecie. O wpół do ósmej Smith nieśmiało zapukał do drzwi.

— Będzie mnie pan potrzebował, panie Brown?

— Nie, Smith, możesz iść. Do jutra.

Został, by jeszcze popracować. Obmyślał szczegółowy plan działania na najbliższe miesiące. Wojna była tuż-tuż, chciał być przygotowany na wszystko.

* * *

Ralph Barry minął w drzwiach Pałacu Kongresów młodego człowieka o kasztanowych włosach, szczupłego, o ruchach zdradzających pewną nerwowość, który przekonywał strażnika, że powinien wpuścić go do środka.

Barry zwrócił uwagę na upór i determinację młodzieńca. Nie był ani archeologiem, ani dziennikarzem, ani historykiem. Stanowczo odmawiał zdradzenia, kim jest, ale twierdził, że musi wejść. Podjechała zamówiona taksówka, więc Barry nie miał już okazji zobaczyć, jak skończyła się potyczka między strażnikiem a młodym człowiekiem.

Słońce oświetlało obelisk na Piazza del Popolo. Ralph Barry i Ahmed Huseini jedli lunch w La Bolognesa. Jak zwykle restauracja była pełna turystów.

— Proszę mi wyjaśnić, gdzie dokładnie mieszczą się pozostałości tych budowli? Pan Brown nalegał, by mi pan podał współrzędne. Chciałbym również wiedzieć, jak duże środki będą wam potrzebne, by zrobić to własnymi siłami. Oficjalnie nie możemy się wtrącać. Doszłoby do skandalu, gdyby północnoamerykańska fundacja zainwestowała choć dolara w

wykopaliska w Iraku. Inna kwestia to pańska żona, Clara. Może ją pan jakoś kontrolować? Jest... proszę wybaczyć, że użyję tego słowa, ale jest zbyt niedyskretna.

Ahmed poczuł się nieswojo. Pod tym względem był typowym Irakijczykiem. O kobietach się nie rozmawia. Zwłaszcza o żonach.

— Clara jest bardzo dumna ze swojego dziadka.

— To się chwali, ale największą przysługą, jaką może wyświadczyć dziadkowi, jest niestawianie go w świetle reflektorów. Alfred Tannenberg oparł sukces swoich interesów na dyskrecji, dobrze pan wie, jak bardzo jest na tym tle przewrażliwiony. Dlatego nie rozumiem, czemu ogłasza istnienie *Glinianej Biblii* w takiej chwili. Za kilka miesięcy, kiedy Stany Zjednoczone uporają się z Irakiem, możemy zorganizować misję archeologiczną. Być może, gdyby pan poprosił Alfreda, żeby porozmawiał z Clara i wytłumaczył jej parę spraw...

— Alfred jest chory, nie zamierzam nużyć go listą pana wymówek. Ma osiemdziesiąt pięć lat i lekarze wykryli u niego guza na wątrobie. Nie wiadomo, jak długo pożyje. Na szczęście jego głowa pracuje doskonale. Trzyma biznes twardą ręką. Clara natomiast to mała dziewczynka i cokolwiek powie, jemu to nie przeszkadza. Postanowił, że wydobędzie na światło dzienne *Glinianą Biblię*. Wiem, że George Wagner i Robert Brown po raz pierwszy się z nim nie zgadzają, ale pan go zna, trudno jest złamać jego wolę. Ach, Ralph, niech pan myśli, że amerykańska obecność w Iraku to tylko parada wojskowa.

— Nie trzeba myśleć tak pesymistycznie. Sam pan zobaczy, jak się wszystko zmieni. Saddam stanowi problem dla wszystkich—Państwu nic się nie stanie. Pan Brown zadba o to, żeby mogli państwo wrócić do Stanów. Proszę porozmawiać z Alfredem.

— Nic by to nie dało. Dlaczego nie porozmawia pan Wagner albo pan Brown? Tannenberg prędzej ich wysłucha.

— Pan Brown nie może rozmawiać z Irakiem. Wie pan, że telefony są na podsłuchu, a wszystkie rozmowy z Irakiem są rejestrowane. A co do George'a Wagnera... To Bóg, ja zaś nie wchodzę w skład jego niebiańskiego orszaku. Jestem tylko pracownikiem fundacji.

— W takim razie nie musi się pan przejmować Clara. Ona nie stanowi żadnego zagrożenia w Iraku. Powiem jej, czego potrzebujemy, ale pytam, czy będziemy mogli kopać. Dla Saddama odkrycie kolejnych tabliczek z pismem klinowym to teraz ostatnie zmartwienie. Nie wiadomo, czy znajdziemy dość ludzi do pracy, a tym, których zatrudnimy, będziemy zmuszeni płacić.

— Proszę powiedzieć, o jaką sumę chodzi. Zadbam o to, by ją pan dostał.

— Sam pan wie, że nie pieniądze są naszym problemem. Potrzebujemy więcej archeologów. Sprzęt i materiał może kupić Alfred, ale eksperci są tylko w Europie i Stanach.

Mój kraj jest bankrutem, z trudem udaje nam się utrzymać dziedzictwo kulturowe zgromadzone w muzeach.

— Alfred nie powinien finansować tej misji, przynajmniej nie bezpośrednio. Od razu zwróci na siebie uwagę. W Iraku są setki szpiegów. Praktyczniej będzie znaleźć finansowanie zewnętrzne, najlepiej patronat jakiegoś europejskiego uniwersytetu. Profesor Yves Picot chce z panem porozmawiać. Pochodzi z Alzacji, to dość szczególny człowiek. Wykładał w Oksfordzie i...

— Wiem, kim jest Picot. Oczywiście nie jest to mój ulubiony archeolog, jest zbyt heterodoksyjny, poza tym złe języki donoszą, że został skłoniony do pożegnania się z Oksfordem z powodu związku z pewną studentką, co jest zakazane w tej szacownej instytucji. To człowiek bez zasad.

— Nie powie mi pan chyba, że w takiej sytuacji przejmowałby się pan zasadami. Picot ma poparcie grupy dawnych słuchaczy, którzy go uwielbiają. Poza tym jest bogaty. Jego ojciec ma bank na wyspach Kanału, który w rzeczywistości należał do rodziny matki Picota, tam też pracuje cała jego rodzina. Oprócz niego Owszem, jest nieznośny, straszny z niego pedant i despota. Ja bym powiedział, że to archeolog-szczęściarz, a szczęście polega na poparciu bogatej rodziny. Tak, wiem, że to nie żaden autorytet w świecie nauki, ale jako jedyny wykazał zainteresowanie tabliczkami. Pan zdecyduje, czy chce z nim rozmawiać. Picot jest jedyną osobą wystarczająco szaloną, by wybrać się teraz na wykopaliska do Iraku.

— Porozmawiam z nim, ale nieszczególnie podoba mi się ten pomysł.

— Ahmedzie, nie ma pan innego wyjścia. Przykro mi, że muszę to powiedzieć. Oczywiście Robert chce, żebym dostarczył jego list Alfredowi. Ktoś go przywiezie z Waszyngtonu, wręczy mi, ja zaś przekażę go panu. Sam pan wie, że obydwaj zawsze woleli zwykłą pocztę. Odpowiedź od Alfreda odbierzemy tym razem w Ammanie, nie w Kairze.

— Wie pan co? Zastanawiam się, dlaczego właśnie teraz Alfred postanowił ujawnić istnienie tych tabliczek i dlaczego pan Brown najpierw się gniewa, a potem postanawia nam pomóc.

— Nie umiem panu odpowiedzieć na to pytanie. Wiem tylko, że oni nie pozwalają sobie na popełnianie błędów.

4

— Jedz, Mercedes.

— Nie jestem głodna, Carlo.

— Postaraj się jednak coś przełknąć — nalegał Carlo.

— Mam dosyć tego czekania. Powinniśmy coś zrobić! — wykrzyknęła zdenerwowana Mercedes.

— Powinnaś nauczyć się cierpliwości — orzekł Hans Hausser.

— Nie myśl sobie, że z biegiem lat nie stałam się cierpliwsza. Ludzie, którzy ze mną pracują, powiedzieliby, że jestem wręcz niewzruszona — odpowiedziała Mercedes.

— Nie mieli szansy dobrze cię poznać! — roześmiał się Bruno Müller.

Czworo przyjaciół jadło kolację w domu Carla Ciprianiego. Czekali na informacje z agencji detektywistycznej. W każdej chwili mógł zabrznieć dzwonek do drzwi, a w chwilę potem służący wejdzie do jadalni, by wręczyć im szarą kopertę, jak ta, którą dostali rano. Już od godziny nowa koperta powinna leżeć przed nimi. Mercedes zaczynała się niepokoić.

— Carlo, zadzwoń do niego, może coś się stało.

— Mercedes, nic się nie stało, muszą tylko przedstawić na Piśmie pracę całego dnia. To wymaga czasu. Mój przyjaciel chciałby się temu przyjrzeć, zanim nam to wyśle. Przesyłka zaraz przyjdzie.

W końcu usłyszeli daleki dźwięk dzwonka i kroki w korytarzu.

— Nie przychodzi sama — stwierdziła pewnym tonem Mercedes.

Trzej mężczyźni popatrzyli na nią zdziwieni. Dwie sekundy później służący otworzył drzwi i zaprosił do środka jakiegoś mężczyznę. Właściciel agencji trzymał w ręku kopertę.

— Carlo, przepraszam za zwłokę, wyobrażam sobie, jak się niecierpliwicie.

— Owszem — odpowiedziała zimno Mercedes — to prawda. Miło mi pana poznać.

Mercedes Barreda wyciągnęła rękę do Luki Mariniego, zadbanego, elegancko ubranego sześćdziesięciolatka z tatuażem na nadgarstku, dyskretnie ukrytym pod zegarkiem ze złota i stali.

Ten garnitur jest na niego za ciasny, pomyślała Mercedes. To jeden z tych mężczyzn, którzy sądzą, że jeśli będą nosili ubrania o rozmiar mniejsze, będą szczuplej wyglądali. Ma wałki tłuszczu na bokach.

— Siadaj, Luca. Jadłeś kolację? — zapytał Cipriani.

— Nie, nie jadłem, przyszedłem prosto z biura. Owszem, chętnie coś przekaszę, ale najlepiej mi zrobi szklaneczka czegoś mocniejszego.

— Doskonale, zjesz z nami kolację. Przedstawiam ci moich przyjaciół: profesor Hausser i profesor Müller.

— Panie Müller, podejrzewam, że jest pan przyzwyczajony do słuchania takich rzeczy, ale jestem pana wielbicielem. Podziwiam pana — powiedział Marini.

— Dziękuję — szepnął Bruno Müller, nieco skrępowany.

Służący przyniósł talerz i sztucce i podsunął Mariniemu półmisek cannelloni. Detektyw nałożył sobie sporą porcję makaronu, nie zwracając uwagi na zniecierpliwienie Mercedes, która nie mogła zrozumieć, że on zasiada do kolacji, zamiast poinformować ich o zawartości szarej koperty.

Uznała, że Marini jej się nie podoba. W gruncie rzeczy nie podobał jej się nikt powolny i flegmatyczny, a on taki właśnie był. Wydawało jej się szczytem lekceważenia, że pozwala im czekać, pałaszując cannelloni jak gdyby nigdy nic.

Carlo Cipriani dał popis cierpliwości. Zaczekał, aż przyjaciel skończy jeść, rozmawiając na tematy ogólne — sytuacja na bliskim Wschodzie, walka w parlamencie między Berlusconi a lewicą, pogoda...

Kiedy Marini uporał się z deserem, Carlo zaproponował przejście na drinka do gabinetu, gdzie będą mogli swobodnie porozmawiać.

— Słuchamy – ponaglił go Carlo, gdy wszyscy zajęli miejsca na kanapie i fotelach.

— Wszystko dobrze, ta dziewczyna nie przyszła dzisiaj na obrady kongresu.

— Jaka dziewczyna? – zapytała Mercedes, zirytowana tonem ni to *macho*, ni to paternalistycznym, jaki przybrał Marini.

— Clara Tannenberg – odpowiedział Marini, również zirytowany.

— Ach, chodzi panu o panią Tannenberg! – wykrzyknęła Mercedes, udając, że dopiero teraz zrozumiała.

— Tak, pani Tannenberg uznała dziś, że lepiej zająć się zakupami. Wydała ponad cztery tysiące euro na odcinku między Via Condotti i Via de la Croce. Zakupy to jej nałóg. Zjadła lunch w kawiarni Il Greco. Kanapkę, coś słodkiego i cappuccino. Następnie udała się do Watykanu i zwiedzała muzeum, dopóki go nie zamknęli. Kiedy wybierałem się do was, powiadomiono mnie, że weszła do hotelu Excelsior. Jeśli dotychczas do mnie nie zadzwoniono, to dlatego, że jeszcze stamtąd nie wyszła.

— A jej mąż? — zapytał profesor Hausser.

— Późno wyszedł z hotelu i spacerował bez celu po Rzymie do czternastej, kiedy to spotkał się na lunchu w La Bolognesa z Ralphem Barrym, dyrektorem fundacji Świat Starożytny, wpływową postacią w świecie archeologii. Barry wykładał na Harvardzie i cieszy się szacunkiem w kręgach akademickich. Chociaż ten kongres był zorganizowany pod auspicjami UNESCO, to fundacja Świat Starożytny wraz z innymi fundacjami i paroma przedsiębiorstwami pokryły jego koszty.

— A dlaczego panowie Barry i Huseini jedli dziś razem? – dopytywał się Bruno Müller.

— Dwaj moi ludzie zdołali ulokować się nieopodal nich i udało im się usłyszeć kilka zdań. Pan Barry był najwyraźniej zdruzgotany zachowaniem Clary Tannenberg, a jej mąż był po prostu wściekły. Rozmawiali o jakimś Yvie Picocie, jednym z profesorów obecnych na kongresie, który, jak się wydaje, może być zainteresowany tabliczkami wymienionymi w porannym raporcie. Wydaje się jednak, że Ahmed Huseini mu nie ufa. W tej kopercie znajdują państwo życiorys tego człowieka oraz informacje o jego przygodach. Kobieciarz z niego i aferzysta.

Ahmed Huseini zapewnił pana Barry'ego, że nie ma problemów finansowych, brakuje mu tylko archeologów. Najciekawsze ze wszystkiego było to, że Ralph Barry oznajmił Huseinie-mu, że jutro lub pojutrze wręczy mu list od Roberta Browna, prezesa fundacji Świat Starożytny, by ten doręczył go pewnej osobie, niejakiemu Alfredowi. Zdaje się, że to dziadek tej dziewczyny i...

— To on! — wykrzyknęła Mercedes. — Mamy go!

— Uspokój się, Mercedes, daj panu Mariniemu dokończyć, podyskutujemy później. Cipriani powiedział to tak stanowczo, że Mercedes zamilkła jak niepyszna.

— W tym raporcie jest wszystko, ale moi ludzie zrozumieli, że ten Alfred i pan Brown od lat wysyłają listy przez umyślonych i że odpowiedź tegoż Alfreda odbiorą w Ammanie.

Na jutro Huseini umówił się na śniadanie z Picotem. Następnie, jeśli nie będzie żadnych zmian, małżeństwo uda się do Ammanu. Mają rezerwację na lot jordańskimi liniami lotniczymi na trzecią po południu. Państwo muszą zdecydować, czy chcą, żebym wysłał moich ludzi tym samolotem, czy zamykamy sprawę.

— Trzeba ich śledzić — uznał Cipriani. — Poślij dobry zespół, chcę wiedzieć wszystko o tym Alfredzie: czy to rzeczywiście dziadek Clary Tannenberg, gdzie mieszka, z kim, czym się zajmuje. Potrzebne będą zdjęcia, to ważne, żebyś zdobył zdjęcia i w miarę możliwości nagranie wideo, żeby go było jak najlepiej widać.

— To będzie was kosztowało fortunę — stwierdził Marini.

— Proszę się nie martwić o nasze portfele — ucięła Mercedes — tylko starać się nie stracić z oczu Clary Tannenberg i jej męża.

— Rób, co chcesz, Luca, tylko ich nie zgub.

Poważny ton Carla Ciprianiego wywarł duże wrażenie na detektywie.

— Być może będę musiał wynająć ludzi tam, na miejscu — uprzedził.

— Rób, co uznasz za stosowne. Już raz to powiedzieliśmy. Teraz zaś, drogi przyjacielu, jeśli nie masz nic przeciwko temu, chcielibyśmy przeczytać twój raport...

— Zgoda, Carlo, już wychodzę. Jeśli potrzebujesz dodatkowych wyjaśnień, dzwoń do mnie bez wahania, będę w domu.

Cipriani odprowadził Mariniego do drzwi, tymczasem Mercedes, zniecierpliwiona, otwierała kopertę i zaczynała czytać raport, nie pożegnawszy się z gościem.

— Nawet drogi garnitur i zegarek nie zmienią go w człowieka z klasą — mamrotała.

— Mercedes, jesteś uprzedzona — zwrócił jej uwagę Hans Hausser.

— Uprzedzona? To nowobogacki w garniturze szytym na miarę, nic poza tym. Tyle że garnitur ma za mały.

— To inteligentny człowiek — powiedział Carlo, który w tej właśnie chwili wrócił do gabinetu. — Był dobrym policjantem, przez wiele lat walczył z mafią sycylijską, widział, jak ginęli jego ludzie i przyjaciele, w końcu żona postawiła mu ultimatum: albo zostawi policję, albo ona zostawi jego. Przeszedł więc na wcześniejszą emeryturę i założył tę firmę. Bardzo dobrze zarabia.

— I w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu, słoma i tak wyjdzie z butów... — obstawała przy swoim Mercedes.

— Co takiego? — zapytał Bruno, który nie zrozumiał jej docinków.

— Nic. To takie przysłowie. Znaczy ono, że nawet jeśli ktoś się wystroi i będzie udawał wielkiego pana, i tak nie ukryje swojego pochodzenia.

— Mercedes! — skarcił ją Hans.

— Dobrze, nie mówmy więcej o Luce — uciął Carlo. — Jest skuteczny, dla nas tylko to się liczy. Zobaczmy, co napisali w tym raporcie.

Luca Marini przygotował cztery kopie.

Mercedes pierwsza przerwała milczenie. W jej głosie pobrzmiwała powaga i poruszenie.

— To on. Znaleźliśmy go.

— Tak – zgodził się Carlo. – Ja również tak sędzę. Zastanawiam się, dlaczego ujawnia się po tylu latach.

— Na pewno nie z własnej woli – orzekł Bruno Müller.

— Sędzę, że właśnie tak – upierał się Carlo. – To nie przypadek, że jego wnuczka przyjeżdża na kongres i stara się o międzynarodową pomoc w wykopaliskach w Iraku. Skierował na nią światła reflektorów, a ona nazywa się ni mniej, ni więcej, tylko Tannenberg.

— Podejrzewam, że nie miał takiego zamiaru – włączył się Hausser.

— Dlaczego? – zapytała Mercedes. – Skąd mamy wiedzieć, o co chodzi jego wnuczce, kiedy się tak wystawia?

— Zgodnie z tym raportem, Ahmed Huseini zapewnia, że Alfred Tannenberg uwielbia swoją wnuczkę – odparł Müller. – Musi więc mieć jakiś znaczący powód, by się tak odsonić. Przez ostatnie pięćdziesiąt lat był niewidzialny.

— Owszem, musi być jakiś powód – poparł przyjaciela Carlo. – Mnie jednak intryguje jego związek z tym Robertem Brownem, na pierwszy rzut oka szanowanym, przyzwoitym Amerykaninem należącym do elity, przyjacielem prawie wszystkich członków administracji Busha, prezesem fundacji o międzynarodowym prestiżu. Coś tu nie gra.

— Nie wiemy też, czym zajmuje się Tannenberg – zauważył Müller.

— Antykami, jak wynika z raportu – odpowiedział Hausser.

— To brzmi wieloznacznie... Jak jednak udawało mu się przez tyle lat być niewidocznym, skoro wśród jego przyjaciół są takie figury? – zastanawiała się głośno Mercedes.

— Nie zaszkodzi dowiedzieć się więcej na temat tego Roberta Browna. Podejrzewam, że Luca mógłby znaleźć dla nas trochę danych. Teraz jednak musimy zdecydować, co zrobimy.

Zgodzili się z Carlem. Nadeszła chwila, by zdecydować, jakie kroki powinni podjąć. Postanowili, że Mercedes, Hans i Bruno zostaną jeszcze na dwa czy trzy dni w Rzymie, oczekując wieści z Ammanu. Mogliby też poprosić Mariniego, by jego firma, lub jakaś inna przez niego polecona, sporządziła raport na temat Roberta Browna.

— Dobrze, załóżmy, że to on jest człowiekiem, którego szukamy. W jaki sposób i kiedy go zabijemy? – chciała wiedzieć Mercedes.

— Luca wspomniał o istnieniu pewnych agencji, zdaje się, że nie gardzą takimi zleceniami... już wam o tym mówiłem – przypomniał Carlo.

— Poszukajmy więc jednej z nich i kogoś wynajmijmy – nalegała Mercedes. – Musimy być gotowi, kiedy tożsamość Tannenberga zostanie potwierdzona. Im wcześniej

skończymy, tym lepiej. Całe życie czekaliśmy na tę chwilę. W dniu, kiedy ten potwór umrze, po raz pierwszy zasną spokojnie.

— Zabijemy go, Mercedes, co do tego nie ma wątpliwości – zapewnił Bruno Müller.
– Musimy jednak być ostrożni. Podejrzewam, że nikt nie zgłasza się do tych agencji i nie oświadcza od progu, że przyszedł wynająć płatnego mordercę. Wydaje mi się, Carlo, że to Luca Marini powinien nami pokierować i podpowiedzieć, w jaki sposób wynająć kogoś odpowiedniego.

Rozmawiali tak aż do świtu. Nie chcieli pominąć żadnego szczegółu, wszystko musiało zostać przedyskutowane. Czuli, że zbliżają się do celu, wreszcie zrobią to, co obiecali sobie zrobić przed wieloma laty. Nikomu z nich nie przyszło do głowy, że okazja do zemsty nadeszła zbyt późno. Podzielili się zadaniami i uzgodnili, że wyłożą fundusze na wynagrodzenie dla Luki Mariniego i najemnika, który zgodzi się zamordować Tannenberga.

* * *

W kawiarni Il Greco na Via Condotti było prawie pusto. Carlo Cipriani i Luca Marini pili cappuccino. Było bardzo ciepło jak na wrzesień, a turyści nie okupowali jeszcze placu Hiszpańskiego. Eleganckich butików przy Via Condotti jeszcze nie otwarto. O tej porze Rzym dopiero się budził.

— Carlo, przed laty ocaliłeś mi życie. Tamten guz... Nie zamierzam robić ci wyrzutów, ale powiedz mi, proszę, co się za tym wszystkim kryje?

— Przyjacielu, pewnych rzeczy nie da się wyjaśnić. Potrzebuję tylko kontaktu do agencji, która ma ludzi do wszystkich zadań.

— Co masz na myśli, mówiąc „do wszystkich zadań”?

— Chcemy, żeby był to ktoś, kto umie się bronić, bo możliwe, że trzeba będzie wejść w paszczę lwa. Podróż na Bliski Wschód w takiej chwili to nie wycieczka do Eurodisneylandu. W zależności od tego, co uda ci się ustalić, kierunek może oznaczać Irak. Jak sądzisz, ile warte jest dzisiaj ludzkie życie w Iraku?

— Zwodzisz mnie. Jeszcze nie straciłem policyjnego wężu.

— Luca, skontaktuj mnie z jedną z takich agencji, tylko tyle. Liczę na twoją dyskrecję. Sam powiedziałeś, że jeśli dojdzie do wojny, nie możesz tam posyłać swoich ludzi. Wynajęcie jednej z tych firm to był twój pomysł.

— Są agencje założone przez byłych komandosów SAS. Brytyjczycy to zawodowcy, wolę ich od Amerykanów. W mojej ocenie najlepsza jest Global Group. Proszę. – Podał Ciprianemu kartonik. – Masz tu adres i numery telefonów. Centrala mieści się w Londynie. Możesz zapytać o Toma Martina. Poznaliśmy się jakiś czas temu. Porządny z niego facet, twardy, nieufny, ale porządny. Zadzwoń do niego i uprzedzę, że się z nim skontaktujesz. À propos, słono sobie liczy za usługi.

— Rozumiem. Dziękuję, Luca.

— Nie dziękuj. Martwię się o ciebie. Nie wiem, jakie macie zamiary, ty i twoi przyjaciele. Najbardziej niepokoi mnie tak kobieta, Mercedes Barreda. W jej oczach nie ma ani odrobiny litości.

— Mylisz się, źle ją oceniasz. To fantastyczna osoba.

— Mam przeczucie, że możesz się wpakować w kłopoty. W każdym razie pomogę ci, w czym tylko będę mógł, mam jeszcze kontakty w policji. Staraj się być rozsądny i nikomu nie ufaj.

— Nawet twojemu przyjacielowi, Tomowi Martinowi?

— Nikomu, Carlo, nikomu.

— Cóż, wezmę pod uwagę twoją radę. Teraz chcę cię poprosić o jeszcze jedno sprawozdanie, tym razem dość szczegółowe, ma dotyczyć Roberta Browna. Chcemy wiedzieć wszystko na temat tego mecenasa sztuki.

— Zgoda, nie widzę przeszkód. Na kiedy jest ci potrzebne?

— Natychmiast.

— Tak sądziłem. Umówmy się, że dostarczę ci ten materiał za trzy, cztery dni, co ty na to?

— Skoro nie da się szybciej...

— To minimum.

O tej samej porze, w kawiarni hotelu Excelsior, Ahmed Huseini i Yves Picot zasiadali do śniadania.

Byli prawie rówieśnikami. Archeolodzy, kosmopolici, skazani na los pariasów w swoich środowiskach.

— Państwa referat był bardzo interesujący – zaczął uprzejmie Picot.
— Cieszę się, że pan tak uważa.
— Panie Huseini, nie lubię tracić czasu, podejrzewam, że pan myśli podobnie, przejdźmy więc do rzeczy. Proszę mi pokazać, jeśli jeszcze pan je ma, fotografie tych niezwykłych tabliczek.

Ahmed wyjął zdjęcia ze starej skórzanej teczki i podał je Picotowi, który przyglądał im się uważnie, milcząc przez dłuższą chwilę.

— Co pan o tym sądzi? – zapytał niecierpliwie Ahmed.
— Wyglądają interesująco, musiałbym jednak zobaczyć je na własne oczy, żeby powiedzieć coś wiążącego. Czego państwo oczekują?

— Oczekujemy, że międzynarodowa misja archeologiczna pomoże nam odkopać resztki tego budynku. Odnosimy wrażenie, że mógł się w nim mieścić przyświątynny dom tabliczek lub też część samej świątyni. Potrzebny jest nam nowoczesny sprzęt i doświadczeni archeolodzy.

— Oraz pieniądze.
— Tak, naturalnie, sam pan wie, że bez pieniędzy nie da się prowadzić takich wykopalisk.

— A co w zamian?
— W zamian za co?
— Za zespół dobrych ludzi, maszyny i pieniądze.
— Chwała.
— Żartuje pan? – parsknął z niesmakiem Picot.
— Wcale nie. Jeśli znajdziemy tabliczki, na których zapisana jest Księga Rodzaju podyktowana przez Abrahama, odkrycie Troi lub Knossos wypadnie przy tym jak *pecata minuta*.

— Proszę nie przesadzać.
— Wie pan lepiej niż ja, jaka byłaby waga takiego odkrycia. Będzie mieć znaczenie historyczne, polityczne i religijne.

— A co państwo na tym zyskają? – drażył Picot. – Jestem pod wrażeniem pana uporą, jeśli wziąć pod uwagę sytuację w pańskim kraju. Powiedziałbym, że brzmi to wręcz lekkomyślnie. Chcecie rozpocząć wykopaliska, kiedy lada moment na Irak posypią się bomby. Zastanawiam się również, czy pański zwierzchnik, Saddam Husajn, pozwoli, by międzynarodowa misja archeologiczna przystępowała do wykopalisk, czy też zastosuje jedno

ze swoich typowych zagrań i na przykład aresztuje nas wszystkich pod zarzutem szpiegostwa?

— Niech mi pan nie każe powtarzać czegoś, co do czego jest pan przekonany nie mniej niż ja: będzie to najważniejsze odkrycie archeologiczne stulecia. Co do Saddama, to nie będzie utrudniał wjazdu do Iraku europejskim archeologom, wykorzysta to zdarzenie do swojej propagandy. Nie przewiduję żadnych problemów.

— Tyle tylko, że Amerykanie zaczną bombardować, a nie sądzę, by troszczyli się o archeologię. Pewnie nawet nie wiedzą, gdzie leży Ur.

— To pan decyduje, czy włączy się do tego przedsięwzięcia.

— Pomyślę o tym. Proszę mi tylko powiedzieć, w jaki sposób można się z panem skontaktować.

Ahmed Huseini dał mu wizytówkę. Mężczyźni pożegnali się uściśnięciem dłoni. Całą rozmowę nagrywał mężczyzna siedzący przy sąsiednim stoliku.

5

Robert Brown mieszkał w domu na przedmieściach Waszyngtonu, wraz ze służącym, Ramónem Gonzálezem.

Dom był duży, składał się z pięciu sypialni, trzech salonów, jadalni i gabinetu, nie licząc zaplecza, gdzie mieszkał Ramón.

Pracował u Browna od ponad trzydziestu lat. W pracach domowych pomagała mu kobieta, Latynoska, która przychodziła codziennie. Był też ogrodnik, zawsze skory do pogawędki Włoch urodzony w Stanach.

Ramón González pochodził z Dominikany. Do Ameryki przyjechał jako mały chłopiec razem ze starszą siostrą. Obydwoje znaleźli pracę w domu pewnego brokera przy Piątej Alei. Tam nauczył się fachu służącego. Potem pracował w kilku innych domach, w końcu trafił na Roberta Browna.

Brown był wymagającym szefem, ale większość dnia spędzał poza domem. Prawie się nie odzywał, żądał bezwzględnej dyskrecji, dobrze płacił i zostawiał służbie sporo wolnego czasu.

González był mu wierny i lubił tę pracę, bo troszczenie się o jednego kawalera nie było specjalnie męczące czy kłopotliwe.

Nakrył do śniadania w małym salonie, do którego o tej porze wpadały przez okno promienie słońca.

Była za dwie ósma. Brown miał za chwilę zejść. Zadzwoił dzwonek u drzwi i Ramón González pośpieszył, by wpuścić gościa pana Browna.

— Dzień dobry, panie Dukais.

— Dobry, Ramónie, choć chłodny. Zaparz mi, proszę, mocną kawę, szatana. Umieram z głodu. Żeby dotrzeć tu na czas, wyszedłem z domu bez śniadania.

Ramón uśmiechnął się uprzejmie i poprowadził Paula Dukaisa do salonu. Robert Brown już na niego czekał. Ramón podał śniadanie i wyszedł, zamknąwszy za sobą drzwi.

Brown nie lubił marnować czasu, zwłaszcza kiedy miał do czynienia z Dukaisem. Poznał go, kiedy ten był skorumpowanym celnikiem w nowojorskim porcie.

— Potrzebni mi są ludzie do Iraku – zaczął.

— Parę tysięcy ludzi jest już gotowych. Kiedy wybuchnie wojna, będą potrzebni agenci ochrony. Wczoraj zadzwonił do mnie ktoś z Departamentu Stanu, chcąc, by moi ludzie zabezpieczyli pewne miejsca, gdy nasze wojska wylądują w Bagdadzie. Od miesiący prowadzę rekrutację, mam ludzi z całego świata – odpowiedział Dukais.

— Wiem, jak to działa, nie musisz mi opowiadać, Paul. Lepiej posłuchaj. Chcę, żebyś posłał wiele oddziałów, jedne przez Jordanię, inne przez Kuwejt, Arabię Saudyjską i Turcję. Niektóre zostaną na granicy, gdzie będą czekały na dalsze rozkazy.

— Jakie rozkazy?

— Nie zadawaj głupich pytań.

— Podejrzewam, że Irakijczycy zamykają już granice, a jeśli nie oni, to uszczelniają je Turcy, Kuwejtczy, sam nie wiem kto. Ty potrzebujesz ludzi na granice i w samym Iraku. Nie możesz zaczekać, jak wszyscy?

— Nie powiedziałem, że masz ich tam posłać jutro, proszę tylko, żebyś zorganizował parę grup, mają być gotowe, kiedy wydam ci polecenie. Postaraj się o ludzi, którzy mogą się stopić z otoczeniem.

— To ryzykowne posyłać ludzi przed czasem. Nasi przyjaciele z Departamentu Obrony szykują niezłe fajerwerki za parę miesięcy. Dowiedziałem się, że cała heca zacznie się na wiosnę. Nie popełnimy żadnych błędów, bo to tylko przeszkodzi nam w interesach.

— Powtarzam ci, nie trzeba, by jechali tam zaraz. W odpowiednim momencie powiem ci, kiedy powinni się tam znaleźć. Potem wyjadą równie szybko, jak przyjechali, nie zostaną tam dłużej niż trzy, cztery dni od początku bombardowań.

— Co ze sobą zabierzemy?

— Historię ludzkości.

— A cóż to za bzdury? – prychnął Dukais.

— Twoi ludzie oddadzą się pod rozkazy innych ludzi, którzy będą tam na nich czekali. Nie wkurzaj mnie głupimi pytaniami.

Spojrzenie Roberta Browna przestraszyło Dukaisa. Wiedział, że z tym człowiekiem się nie żartuje. Minęło parę lat, nim pojął, co kryje się za nienagannymi manierami, zaś to, co odkrył, przeraziło go. Postanowił więc nie zadawać więcej pytań.

— Chcę, żebyście zabrali list do Rzymu, dla Ralpa Barry`ego. Za piętnaście dni spodziewam się odpowiedzi, przywieziecie ją z Ammanu.

— Świetnie.

— Paul, nie muszę ci chyba mówić, że nigdy nie odbyliśmy tej rozmowy i że nikt nie może się dowiedzieć o tym zleceniu. Mnie rozlicza zarząd fundacji i jego członkowie nie powinni mieć o tym zielonego pojęcia. Uprzedzam cię, bo może się zdarzyć, że spotkasz któregoś z nich i coś ci się wypnie.

— Niepotrzebnie się martwisz.

* * *

Mężczyzna uznał zebranie zarządu za zakończone. Była pora lunchu, którą wykorzystywał na drzemkę. Hałas ulicy nie docierał na dwudzieste piętro budynku, z którego zarządzał swoim imperium. Upływające lata zostawiły swój ślad, czuł się zmęczony. Wstawał o świcie, ponieważ nie sypiał dobrze, i zabijał czas czytaniem książek i słuchaniem Wagnera. Najlepiej odpoczywał mu się w południe. Rozluźniał krawat, zdejmował marynarkę i wyciągał się na kanapie.

Jego sekretarka dostała jasne polecenie — o tej porze nie łączyć żadnych rozmów i nie przeszkadzać mu w odpoczynku, choćby się waliło i paliło.

Tylko jeden telefon miał prawo wyrwać go ze snu. Zawsze miał przy sobie komórkę, nawet podczas sjesty.

Ledwie ułożył się wygodnie, komórka zadzwoniła. Zerwał się na równe nogi.

— Słucham!

— George, to ja, Frank. Spałeś?

— Prawie. Co się stało?

— Rozmawiałem z Enrique. Moglibyśmy pojechać na parę dni do niego do Sewilli albo spotkać się z nim na wybrzeżu, w Marbelli. Tam jest pełno takich staruchów jak my. We wrześniu w Hiszpanii jeszcze jest ciepło.

— Mam jechać do Hiszpanii? Nie, to nie będzie konieczne. Zarzuciliśmy za dużo wędek, starajmy się teraz sami nie połknąć haczyka.

— A Alfred?

— Zdziecinniał na starość, już nad niczym nie panuje.

— Nie bądź niesprawiedliwy. Alfred dobrze wie, co się dzieje.

— Nie, już dawno się w tym pogubił. Przypomnij sobie, co kiedyś narobił. Uparł się, że pociągnie za niewłaściwe sznurki i teraz zachowuje się dokładnie w taki sam sposób.

— Chodziło o jego syna, ty postąpiłbyś tak samo.

— Nigdy nie miałem dzieci, więc trudno mi się na ten temat wypowiadać.

— A ja, owszem, jestem ojcem, rozumiem więc, dlaczego nie chciał siedzieć cicho.

— Powinien tak właśnie zrobić, powinien pogodzić się z rzeczywistością. Nic nie przywróci życia Helmutowi. Chłopak był za cwany. Alfred znał reguły gry, wiedział, co się może zdarzyć. Teraz znów zanosi się na to, że popełni błąd. Z powodu tej swojej rozkapryszonej wnuczki.

— Nie wydaje mi się, żeby to było coś groźnego. On doskonale wie, o co idzie gra, a jego wnuczka to całkiem inteligentna kobieta.

— Postradał rozum i od jakiegoś już czasu popełnia masę błędów. Powiedzieliśmy mu, żeby jej wszystko wytłumaczył. Chciał, woli nadal odgrywać przed nią to przedstawienie. Nie, Frank, nie możemy stać z założonymi rękami. Nie przyjechaliśmy tu, by pozwolić, żeby jakiś sentymentalny staruch wszystko sobie przywłaszczył.

— My też jesteśmy starzy.

— Mnie z tym dobrze i chciałbym jeszcze pożyć. Właśnie byłem na spotkaniu zarządu. Musimy przygotować się do wojny. Zarobimy pieniądze, Frank.

— Pieniądze nie mają już dla nas znaczenia, George.

— Jasne, masz rację, że nie chodzi o pieniądze. Chodzi o władzę, o to, by wiedzieć, że jesteśmy wśród tych, którzy pociągają za sznurki. Teraz zaś, jeśli nie masz nic przeciwko temu, mam ochotę się przespać.

— Ach, byłbym zapomniał. W przyszłym tygodniu będę w Nowym Jorku.

— W takim razie, mój drogi przyjacielu, będzie okazja, żeby się spotkać.

— Może powinniśmy powiedzieć Enrique, niech też przyjedzie?

— Masz rację. Wolę spotkać się z nim w Nowym Jorku niż w Sewilli. Nie lubię tam jeździć, nie czuję się tam swobodnie.

— Zawsze zachowywałeś się nieco paranoicznie, George.

— Po prostu jestem ostrożny, dlatego tak daleko zaszliśmy. Przypominam ci, że niejeden się potknął, bo pozwolił sobie na błędy. Ja również mam ochotę spotkać się z Enrique, wolę jednak tego nie robić, jeśli zagraża to naszemu bezpieczeństwu.

— Jesteśmy już starzy, nikt nie wie...

— Milcz! Powtarzam ci, jestem stary i dobrze mi z tym, z przyjemnością pożyję jeszcze parę lat. Dam ci znać, co z naszym spotkaniem w Nowym Jorku.

Frank dopił whisky, odkładając telefon. George, ten ostrożny i nieufny George, jak zwykle dowiedział, że ma rację.

Poruszył srebrnym dzwoneczkiem stojącym na biurku w gabinecie. Po chwili stanął przed nim mężczyzna w białym uniformie.

— Potrzebuje mnie pan?

— José, czy moi goście już są?

— Jeszcze nie, proszę pana. Wieża kontrolna powiadomi nas, kiedy awionetka będzie podchodzić do lądowania.

— To dobrze, daj znać.

— Dobrze, proszę pana.

— A moja żona?

— Odpoczywa, bolała ją głowa.

— A córka?

— Pani Alma wyjechała wcześniej rano ze swoim mężem.

— Faktycznie... Przynies mi jeszcze jedną whisky i coś do jedzenia.

— Tak jest.

Służący wyszedł bez słowa. Frank lubił go. José był dyskretny, pracowity i małomówny. Troszczył się o niego lepiej niż jego rozkapryszona żona.

Emma była zbyt bogata. To jej największa wada, choć dla niego, na pewnym etapie życia, stanowiło to duży atut.

Nie grzeszyła urodą. Była niska i śniada. Z wyraźną skłonnością do tycia i zbyt ciemną, matową cerą w niczym nie przypominała Alicii.

Alicia była czarna. Czarna i piękna. Nieprawdopodobnie piękna. Byli razem od piętnastu lat. Poznał ją w barze w jakimś hotelu w Rio, czekając na jednego ze współników. Dziewczyna oddała mu się, jakby podano mu ją na tacy. Zatrzymał ją na zawsze. Był jego, należała do niego, i wiedziała, jaki los może ją spotkać, jeśli odważy się go zdradzić.

On był stary, owszem, dlatego tak dużo jej płacił. Kiedy umrze, Alicia może wydać na co zechce fortunę, jaką zamierzał zapisać jej w spadku. Nie licząc pięknego poddasza w dzielnicy plażowej Ipanema i klejnotów, którymi ją obdarowywał.

Kiedy się poznali, Alicia miała dwadzieścia lat, była prawie dzieckiem o długich nogach i smukłej szyi. On był siedemdziesięcioletnim mężczyzną, który nie pogodził się ze starością. Mógł sobie pozwolić na taką dziewczynę, miał dość pieniędzy, by skłonić niektóre kobiety do odgrywania komedii mającej mu udowodnić, że nadal liczy się jako mężczyzna.

Zadzzwoni do Alicii i odwiedzi ją w Rio. Niech się przygotowuje.

W gruncie rzeczy nie przepadał za opuszczaniem swojej bezkresnej hacjendy, położonej na skraju tropikalnej puszczy. Czuł się tu bezpiecznie, kiedy jego ludzie dzień i noc patrolowali kilometry obwodu posiadłości, dodatkowo chronionej wyszukanym systemem czujników i innych gadżetów, uniemożliwiających wtargnięcie intruzów.

Myśl o Alicii podziałała na niego jak zastrzyk sił witalnych, a w jego wieku było to bezcenne. Zresztą i tak musi lecieć do Nowego Jorku, może zahaczyć o Rio.

6

Clara Tannenberg i Ahmed Huseini niecierpliwie czekali na taksówkę przed hotelem Excelsior. Żadne z nich nie zwróciło uwagi na szczupłego szatyna, który wysiadł z innej taksówki, wyraźnie podenerwowany, i wbiegł do hotelowego holu.

Ich taksówka przyjechała chwilę później, więc nie widzieli również, jak ten sam mężczyzna wybiegł z hotelu i próbował dogonić taksówkę, którą odjeżdżali.

Wrócił do holu i podszedł do recepcjonisty.

— Mógłby mi pan powiedzieć, czy tamci państwo udali się na lotnisko, to znaczy czy wyjeżdżają dziś z Rzymu?

Recepcjonista popatrzył na niego nieufnie, choć mężczyzna wyglądał całkiem przyzwoicie. Regularne rysy twarzy, krótko obcięte włosy, eleganckie sportowe ubranie.

— Pan wybaczy, nie wolno mi udzielać takich informacji.

— Bardzo mi zależy, żeby z nimi porozmawiać.

— Niech mnie pan zrozumie, nie wiemy, dokąd udają się goście po opuszczeniu hotelu.

— Jeśli zamawiali taksówkę, musieli powiedzieć, dokąd będzie kurs... Bardzo pana proszę, to ważne.

— Sam nie wiem... niech no spojrzę...

— Gdyby był pan tak uprzejmy i powiedział mi, czy pojechali na lotnisko, tylko tyle... – W głosie i spojrzeniu tego mężczyzny było coś, co skłoniło starego recepcjonistę do złamania zasad.

— Niech panu będzie. Pojechali na Fiumicino. Dzisiaj rano przebukowali bilet na lot do Ammanu. Samolot odlatuje za godzinę. Spóźnili się, pani zabawiła dłużej w...

Młody mężczyzna nie czekał na dalsze wyjaśnienia, tylko rzucił się pędem do wyjścia i wskoczył do pierwszej wolnej taksówki.

— Na lotnisko, szybko!

Taksówkarz, stary rzymianin, popatrzył we wsteczne lusterko. Najwyraźniej był to jedyny taksówkarz w Rzymie, który nie dał się zarazić pośpiechem swoich pasażerów, tylko niewzruszony jechał spokojnie do samego Fiumicino, mimo desperacji, jaka malowała się na twarzy pasażera.

Kiedy mężczyzna znalazł się wreszcie na lotnisku, poszukał monitora wyświetlającego godziny odlotów, i pośpiesznie skierował się ku bramce, przez którą mieli przechodzić pasażerowie odlatujący do Ammanu.

Spóźnił się. Wszyscy pasażerowie byli już w samolocie.

— To przyjaciele, nie zdążyłem się z nimi pożegnać, to potrwa chwilę, niech mnie pan wpuści, na Boga!

Karabinier nie okazał wyrozumiałości i poprosił go, by sobie poszedł i nie robił kłopotów.

Mężczyzna kręcił się bez celu po lotnisku, nie wiedząc, co zrobić ani do kogo się zwrócić. Wiedział tylko, że musi porozmawiać z tą kobietą, nawet jeśli będzie go to kosztować fortunę. Choćby miał jechać za nią na koniec świata.

* * *

Na schodkach samolotu poczuli uderzenie ciepła zmieszane z aromatem ziół. Zapach Orientu.

Ahmed schodził pierwszy, obładowany torbami od Vuittona. Za Clarą szedł mężczyzna, który nawet na moment nie spuszczał z niej wzroku.

Przez odprawę paszportową przeszli bez problemu. Paszporty dyplomatyczne otwierały im wszystkie drzwi; Amman, chociaż lojalny wobec Waszyngtonu, prowadził własną politykę, w której nie było mowy o przeciwstawianiu się Saddamowi, nawet jeśli iracki dyktator nikomu się nie podobał. Wschód to jednak Wschód, zaś przejawiająca skłonność do okcydentalizmu jordańska rodzina królewska słynęła z talentów dyplomatycznych.

Samochód czekający na nich przed halą przylotów zawiózł ich do hotelu. Było późno, kolację zjedli w pokoju. Między małżonkami nadal panowało napięcie.

— Zadzwońię do dziadka – odezwała się Clara.

— To nie najlepszy pomysł.

— Dlaczego? Jesteśmy przecież w Ammanie.

— W którym roi się od czujnych Amerykanów. Jutro przekroczymy granicę. Nie możesz zaczekać jeden dzień?

— Właśnie o to chodzi, że nie mogę. Muszę z nim porozmawiać.

— Wiesz co? Mam już dosyć twoich kaprysów.
— Czy to naprawdę wielki kaprys, że chcę porozmawiać z własnym dziadkiem?
— Powinnaś być rozsądniejsza, Claro.
— Dlaczego? Przez całe życie nic innego nie słyszę: „Powinnaś być dyskretna i rozsądna”. Dlaczego?

— Zapytaj dziadka – odburknął rozzłoszczony Ahmed.
— Pytam ciebie.
— Jesteś inteligentna, Claro, rozkapryszona, ale inteligentna, i podejrzewam, że przez lata wyciągnęłaś własne wnioski, chociaż dziadek wciąż traktuje cię jak małą dziewczynkę.

Clara milczała. Właściwie sama nie wiedziała, czy chce, by ktoś powiedział jej wprost to, co ona sama przeczuwała od jakiegoś czasu. Było jednak tyle pytań bez odpowiedzi... Urodziła się, podobnie jak jej matka, w Bagdadzie, dzieciństwo upłynęło jej między Kairem a Bagdadem. Przywiązana była do obu tych miast. Z trudem przekonała dziadka, żeby pozwolił jej wyjechać na studia do Stanów.

Dobrze wspominała czas spędzony w Kalifornii. San Francisco to miasto, w którym stała się kobietą, wiedziała jednak, że nie zostanie tam na całe życie. Tęskniła za Orientem, za aromatami, smakami, za tym, że tam nikomu nigdzie się nie śpieszy... i za mówieniem po arabsku. Nigdy nie przestała myśleć po arabsku, czuła po arabsku. Dlatego zakochała się w Ahmedzie. Amerykańscy chłopcy wydawali jej się banalni, nawet jeśli odkryli przed nią wszystko to, co na Bliskim Wschodzie było dla niej jako kobiety niedostępne.

— I tak zadzwonię.

Poprosiła telefonistkę o połączenie z Bagdadem.

— Fatimo, to ja, Clara! – wykrzyknęła, gdy wreszcie uzyskała połączenie.

— Moje dziecko, jak się cieszę! Zaraz poproszę pana.

— Nie obudzę go?

— Nie, skądże, czyta coś w gabinecie, ucieszy się, że dzwonisz.

Słyszała, jak Fatima woła Alego, służącego dziadka, by ten zawiadomił pana.

— Claro, moja droga...

— Dziadku...

— Jesteś już w Ammanie?

— Właśnie przyjechaliśmy. Stęskniłam się za tobą i za domem.

— Czy coś się stało?

— Dlaczego pytasz? Czy to dziwne, że chcę cię zobaczyć?

— Nie, ale znam cię na tyle dobrze, by wiedzieć, że gdy dzieje się coś złego, chowasz się w moich ramionach, chociaż nie mówisz mi, o co chodzi.

— Nie najlepiej wypadło nam to wystąpienie w Rzymie...

— Wiem.

— Wiesz?

— Tak, Claro, wiem.

— Chcesz mnie o coś zapytać?

— Nie, ale... – starzec westchnął. – A co z Ahmedem?

— Też tu jest.

— To dobrze.

O świcie Clara i Ahmed czekali w holu na samochód, który miał ich zawieźć do Iraku. Żadne nie zdawało sobie sprawy, że czterej mężczyźni, którzy wyglądali na hotelowych gości, bacznie ich obserwują. Poprzedniego wieczoru wysłali Mariniemu raport. Nie zdarzyło się nic wartego odnotowania.

O ile przekroczenie granicy dla Ahmeda i Clary nie stanowiło najmniejszego problemu, o tyle dla ludzi Mariniego nie było proste. Rozdzielili się na dwójki i zapłacili doświadczonym w tym procederze kierowcom, by przewieźli ich na drugą stronę.

Udało im się, bo hojnie wynagrodzili szoferów poleconych przez hotel w Ammanie. Udało się też nie stracić z oczu zielonej terenowej toyoty.

Na drodze do Bagdadu ruch był niewielki, ale wystarczająco intensywny, by zdać sobie sprawę, że tym szlakiem wjeżdżają i wyjeżdżają najróżniejsze towary.

Do Bagdadu dotarli po zmroku. Jeden z samochodów pojechał za toyotą, drugi zaś skierował się do hotelu Palestyna. Powiedziano im, że zatrzymuje się w nim większość obcokrajowców z Zachodu, a w końcu oni sami wyglądali jak biznesmeni, nawet jeśli mogło się wydawać podejrzane, że w takich okolicznościach ktoś zamierza robić interesy w Bagdadzie.

Toyota zahamowała przed szlabanem, czekając, aż ten się podniesie. Ludzie Mariniego się nie zatrzymali. Wiedzieli już to, czego chcieli się dowiedzieć – gdzie mieszka Clara Tannenberg. Następnego dnia rzucą okiem na to miejsce.

Piętrowy dom, strzeżony przez niewidzialnych uzbrojonych ludzi, stał pośrodku zadbanego ogrodu. Żółty Dom, bo pod taką nazwą znana była ta siedziba ze względu na

złotawy kolor ścian, stał w dzielnicy willowej. Wcześniej był rezydencją jakiegoś brytyjskiego handlowca.

Fatima czekała w holu, drzemiąc na krześle. Obudziło ją trzaśnięcie drzwi. Clara od razu wtuliła się w jej ramiona.

Kobieta była szytką, opiekowała się Clarą od dziecka. Dziewczynka początkowo bała się czarnych szat Fatimy, wkrótce jednak przyzwyczyła się do nich, a później odnalazła w opiekunce słodycz, jakiej brakowało jej matce.

Fatima bardzo młodo owdowiała. Po śmierci męża musiała mieszkać w domu swojej teściowej, gdzie nigdy nie była ani mile widziana, ani dobrze traktowana. Znosiła jednak bez słowa sprzeciwu swój los, wychowując jedyne syna.

Pewnego dnia teściowa posłała ją do domu pewnego cudzoziemca i jego młodej żony, Egipcjanki, pani Alii. Fatima została przy nich na zawsze. Służyła Alfredowi Tannenbergowi i jego żonie, przenosiła się wraz z nimi do Kairu, gdzie utrzymywali inną rezydencję, a przede wszystkim opiekowała się najpierw ich synem Helmutem, a potem jego córką Clarą.

Teraz była już starszą kobietą, która straciła syna w tej przeklętej wojnie z Iranem. Nie został jej nikt oprócz Clary.

— Córeczko, nie wyglądasz na zbyt wesołą.

— Jestem zmęczona.

— Chyba powinnaś skończyć z tymi podróżami i pomyśleć o dzieciach, bo zaczynasz się starzeć.

— Masz rację, kiedy odnajdę *Glinianą Biblię*, natychmiast to zrobię – odpowiedziała Clara ze śmiechem.

— Ach, dziecko, żebyś nie powtórzyła mojego losu! Miałam tylko jedno dziecko, a kiedy je straciłam, zostałam sama jak palec.

— Przecież masz mnie.

— To prawda, mam ciebie. W przeciwnym razie nie wiem, po co miałabym żyć.

— No już, już, Fatimo, nie bądź smutna. Gdzie dziadek?

— Odpoczywa. Dziś cały dzień był poza domem, wrócił zmęczony i zatroskany.

— Powiedział coś

— Tylko tyle, że nie ma ochoty na kolację. Zamknął się w swoim pokoju i nakazał, by nikt mu nie przeszkadzał.

— W takim razie zobaczę się z nim rano.

Ahmed poszedł do swojego pokoju, zostawiając kobiety zajęte rozmową. Był zmęczony. Następnego dnia musi wrócić do pracy w ministerstwie, gdzie przedstawi

sprawozdanie z kongresu w Rzymie. Fatalna wpadka! Ahmed cieszył się dużymi przywilejami. Nie zapominał o tym, chociaż mdliło go na samą myśl. Od lat czuł się źle w swojej skórze. Najpierw odkrył, że jego rodzina należy do elity dyktatury. Nie miał odwagi zrezygnować z licznych przywilejów i wołał oszukiwać sam siebie, wmawiając sobie, że jest lojalny wobec bliskich, nie zaś wobec Saddama. Potem poznał Clarę i Tannenberga i jego życie stało się marszem ku przepaści. Nie sądził, że tak się sprzeda. Nie mógł obwinać o to Alfreda. Zgodził się wejść do jego organizacji i stać się jego spadkobiercą, doskonale zdając sobie sprawę z tego, co to oznacza. Jeśli jego pozycja w reżimie Saddama już przedtem była stabilna i mógł liczyć na rodzinne powiązania, teraz stał się nietykalny, gdyż Alfred miał wpływowych przyjaciół w bliskim otoczeniu dyktatora.

Ahmedowi żyło się z tym coraz ciężiej, czuł, że nie jest uczciwy wobec siebie. Na dodatek Clara nie chciała przejrzeć na oczy i zobaczyć, co dzieje się dookoła niej, wołała żyć w nieświadomości i nadal kochać tych, których kochała.

On już jej nie kochał; możliwe, że nigdy nie darzył jej naprawdę szczerym uczuciem. Kiedy poznali się w San Francisco, pomyślał, że to dziewczyna dobra na przygodę. Rozmawiali po arabsku, mieli wspólnych znajomych w Bagdadzie, każde słyszało coś o rodzinie drugiego, choć sami wcześniej nie mieli ze sobą wiele wspólnego.

Połączył ich los emigrantów. Clara była emigrantką luksusową, z wystarczającą ilością pieniędzy na koncie. On sam miał dość pieniędzy, by wynająć wygodny loft, z którego roztaczał się widok na wschód słońca nad zatoką San Francisco.

Zamieszkali razem, wiele ich łączyło: oboje byli Irakijczykami, archeologami, mówili tym samym językiem i mieli takie samo poczucie wolności w Stanach Zjednoczonych, choć tęsknili za swoim krajem.

Kiedy ojciec odwiedził go w San Francisco, ponaglał do ożenku z Clarą. To małżeństwo mogło przynieść rozliczne korzyści, Ahmed miał jednak przeczucie, że w kraju coś się zmieni. Wśród dyplomatów krążyły zapewnienia, że Saddam Husajn nie jest już marionetką amerykańskiego rządu. Trzeba było pomyśleć o przyszłości. Ahmed ożenił się więc z tą obdarowaną przez los dziewczyną, bardzo bogatą, choć również bardzo rozpieszczoną.

Clara wpadła do pokoju z takim impetem, że Ahmed podskoczył.

— Ach, tu jesteś! – wykrzyknęła. – Zrobiłeś mi przykrość, nie witając się z Fatimą. Minąłeś ją jak powietrze.

— Powiedziałem „dobry wieczór”. Co miałem jeszcze powiedzieć?

— Wiesz, ile ona dla mnie znaczy.

— Tak, tak, wiem, ile ona dla ciebie znaczy.

Ton męża zaskoczył ją, choć ostatnio Ahmed często zachowywał się tak, jakby coś mu przeszkadzało, a ona była trudnym do udźwignięcia ciężarem.

— Co się z tobą dzieje, Ahmedzie?

— Nic, jestem po prostu zmęczony.

— Dobrze cię znam i wiem, kiedy coś jest nie tak.

Popatrzył na nią uważnie. Miał ochotę głośno i wyraźnie oświadczyć jej, że wcale go nie zna, że w gruncie rzeczy nigdy się nie poznali i że ma już dosyć jej i jej dziadka, ale że za późno na ucieczkę. Zamiast tego powiedział:

— Lepiej odpocznijmy, Claro. Jutro musimy wrócić do pracy. Muszę iść do ministerstwa, trzeba się też przygotować do wykopalisk. Jak zrozumiałem w Rzymie, nie unikniemy wojny, choć tutaj nikt w to nie chce wierzyć.

— Owszem, mój dziadek w to wierzy.

— A tak, twój dziadek, naturalnie. No już, chodźmy spać. Rozpakujemy się jutro.

* * *

Alfred Tannenberg zamknął się w swoim gabinecie z jednym ze swoich wspólników, Mustafą Nasirem. Kiedy weszła Clara, dyskutowali z ożywieniem.

— Dziadku...

— Ach, już jesteś! Wejdz, córeczko, wejdz.

Tannenberg utkwiał w Nasirze stalowe spojrzenie, ten zaś uśmiechnął się szeroko.

— Moje drogie dziecko, tak dawno cię nie widziałem! Już nie zaszczycasz nas odwiedzinami w Kairze, moje córki zawsze o ciebie pytają.

— Witaj, Mustafu – odpowiedziała Clara chłodno, gdyż przed chwilą słyszała, jak jej dziadek kłócił się z Egipcjaninem.

— Pracujemy, Claro, kiedy skończę, poproszę cię do siebie.

— Zgoda, dziadku. Wyjdę teraz na zakupy.

— Niech któryś z ludzi z tobą pójdzie.

— Naturalnie. Zresztą i tak idę z Fatimą.

Clara wyszła w towarzystwie Fatimy i mężczyzny, który był jednocześnie szoferem i ochroniarzem. Pojechali zieloną toyotą do centrum Bagdadu. Miasto było bladym cieniem dawnej metropolii. Wykluczenie z międzynarodowego rynku, jakiemu Stany Zjednoczone poddały kraj pod rządami Saddama, zubożyło Irakijczyków, którzy żeby przeżyć, musieli wykazać się nie lada pomysłowością.

Szpitala jeszcze działały dzięki wsparciu kilku organizacji pozarządowych, ale brak leków i żywności coraz bardziej dawał się we znaki.

Clara nienawidziła Busha za to, że zgotował im taki los. Sama nie przepadała za Saddamem, ale nienawidziła wszystkich, którzy odcinali ich od świata. Przemierzyła bazar wzdłuż i wszerz, aż znalazła prezent dla Fatimy, gdyż dzisiaj były jej urodziny. Żadna z nich nie zdawała sobie sprawy, że mają towarzystwo. Tylko ochroniarz zauważył obecność kilku mężczyzn o wyglądzie roztargnionych turystów, na których wpadali na każdym rogu. Nie powiedział o tym kobietom, żeby ich nie niepokoić.

Kiedy wrócili do Żółtego Domu, ochroniarz udał się wprost do gabinetu Alfreda Tannenberga. Mustafy Nasira już nie było.

— Czterech mężczyzn, chodzili dwójkami – oznajmił. – Było oczywiste, że nas śledzą. Zdradzał ich wygląd, rysy twarzy... Jestem pewny, że nie byli to ani Irakijczycy, ani nawet Egipcjanie, ani Jordańczycy. Nie rozmawiali po angielsku, odniosłem wrażenie, że rozmawiają po włosku.

— Jak sądzisz, czego chcieli?

— Chcieli się dowiedzieć, dokąd idzie pani Clara. Nie sądzę, by chcieli jej zrobić krzywdę, chociaż...

— Nigdy nic nie wiadomo. Zadbaj o to, by zawsze towarzyszyło jej dwóch uzbrojonych ludzi. Jeśli mojej wnuczce coś się stanie, nie dożyjecie nawet chwili, w której będziecie mogli mi o tym opowiedzieć.

Jasir nie miał najmniejszych wątpliwości, że jeśli coś złego stanie się Clarze, on zapłaci za to życiem i nie będzie ani pierwszym, ani ostatnim człowiekiem, który umrze na wyraźne żądanie Tannenberga.

— Tak, proszę pana – powiedział tylko.

— Wzmocnij ochronę domu. Chcę wiedzieć wszystko o każdym, kto tu wchodzi i stąd wychodzi. Nie życzę sobie żadnych nieznanymi ogrodników zastępujących chorego kuzyna ani uprzejmych komiwojażerów. Nie chcę widzieć żadnej nieznannej twarzy, chyba że sam sprawdzę, kto to jest. Mam małą niespodziankę dla naszych enigmatycznych tajniaków. Dowiemy się, kim są, kto ich przysłał i po co.

- Trudno będzie ich wszystkich złapać.
- Niepotrzebni mi są wszyscy, wystarczy jeden.
- Tak, proszę pana. Ale jeśli tak, pani Clara znów musi wyjść z domu.
- Zgoda, będzie przynęta. Staraj się jednak, żeby nie zdawała sobie z niczego sprawy i żeby nic jej się nie stało. Odpowiadasz życiem, Jasirze.
- Wiem o tym, proszę pana. Nic jej się nie stanie. Może mi pan zaufać.
- Ufam tylko sobie, Jasirze. Nie popełnij błędu.
- Nie popełnię, proszę pana.

Tannenberg zawołał do siebie wnuczkę. Przez godzinę wysłuchiwał jej skarg na temat tego, co stało się w Rzymie. Wiedział, że to nie mogło się udać. Jego przyjaciele chcieli, żeby zaczekał, aż Saddam zostanie odsunięty od władzy, i dopiero wtedy zorganizował misję archeologiczną, by wydrzeć ziemi resztki budowli znalezionej między starożytnym Ur i Babilonią. Byłaby to misja, podczas której, oprócz *Glinianej Biblii*, wydobyto by z ziemi inne tabliczki i może jakiś jeden czy dwa posągi. Ale on nie mógł czekać. Wiedział, że dożywa swoich dni. Zostało mu trzy, cztery, najwyżej sześć miesięcy życia. Zażądał, by lekarz powiedział mu prawdę, a ta brzmiała tak, że koniec jest już bliski. Miał osiemdziesiąt pięć lat i wątrobę pełną niewielkich guzów. Nie minęły jeszcze dwa lata, odkąd lekarze wycięli mu fragment tego niezbędnego do życia organu.

Clarą opiekował się Ahmed, mieli dość pieniędzy na utrzymanie do końca życia, ale dziadek chciał jej zrobić prezent, o jaki prosiła go, odkąd była nastolatką: chciała zostać archeologiem, który odnajdzie *Glinianą Biblię*. To dlatego wysłał ją do Rzymu, żeby ogłosiła istnienie dwóch tabliczek, które znalazł przed laty. Był wówczas młodszy niż ona w tej chwili.

Wspólnota archeologiczna może śmiać się ile chce z historii tabliczek Abrahama, ale wie już o ich istnieniu, choćby nawet uznano tę historię za fantazję. Nikt nie mógł odebrać jego wnuczce chwały. Nikt, nawet oni, jego najbliżsi przyjaciele.

Gotowy był już list, który jeden z jego ludzi zawiezie do Ammanu, by wręczyć go innemu łącznikowi, a ten zawiezie go do gabinetu Roberta Browna w Waszyngtonie, by ten wręczył go George`owi Wagnerowi. Tymczasem musi zająć się ludźmi śledzącymi Clarę. Być może trzeba będzie wspomnieć o tym w liście. Miał nadzieję, że wieczorem uda mu się porozmawiać z Ahmedem. Rano, kiedy wręczał mu list do Browna, odniósł wrażenie, że zięć jest bardzo spięty.

Ufał Ahmedowi, ponieważ wiedział, że ten chce na zawsze uciec z Iraku. A będzie mógł tego dokonać tylko dzięki jego pieniądзом. Pieniądзом, które odziedziczył Clara i z których będzie korzystał Ahmed, dopóki pozostanie przy niej.

Ludzie Mariniego byli gotowi od świtu. Znaleźli miejsce, z którego roztaczał się dobry widok na wszystkie bramy i drzwi do Żółtego Domu – kawiarnię po przeciwnej stronie ulicy. Właściciel był miły i choć wciąż dopytywał się, co sprowadziło cudzoziemców do Bagdadu, punkt okazał się dobry, bo nie widzieli ich ochroniarze Żółtego Domu.

O ósmej zobaczyli, jak Ahmed Huseini wyjeżdża zieloną toyotą. Prowadził on, chociaż na siedzeniu pasażera siedział mężczyzna, który rozglądał się na wszystkie strony. Aż do dziesiątej rano Clara nie opuszczała domu, a kiedy wyszła, towarzyszyła jej kobieta od stóp do głów spowita w czerń. Wsiadł też z nimi do samochodu, tym razem terenowego mercedesa, jakiś mężczyzna.

Zespół Mariniego był podzielony, jak poprzedniego dnia, na dwójki, które porozumiewały się za pomocą krótkofalówek. Ci, którzy zostali w kawiarni, powiadomili swoich kolegów, siedzących w wynajętym samochodzie, zaparkowanym dwie ulice od domu.

Mercedes skierował się na przedmieścia Bagdadu. Dwaj ludzie Mariniego ruszyli za nim. Pozostała dwójka, po wyjściu z kawiarni, miała podążyć ich śladem.

Jechali tak już ponad pół godziny, kiedy nagle mercedes skręcił w polną drogę wysadzaną palmami. Mężczyźni zawahali się, czy zapuszczać się w tę okolicę, postanowili jednak jechać dalej, utrzymując bezpieczną odległość. Nie mogli spuścić z oka kobiety, która miała ich doprowadzić do starca, bo to on był ich głównym celem.

Nagle mercedes przyspieszył, wzbijając chmurę pyłu. Sekundę później pojawiło się na równoległych ścieżkach kilka jeepów, które najwyraźniej zamierzały otoczyć pierwszy samochód ludzi Mariniego. Ci zbyt późno uświadomili sobie, że otaczają ich obce pojazdy, zmuszając do hamowania. Drugi samochód włoskich detektywów również gwałtownie zahamował, zostając z tyłu, a jego pasażerowie patrzyli bezradnie, jak Arabowie wyciągają ich kolegów z samochodu i zaczynają bić. Włosi nie byli uzbrojeni. Nie wiedzieli, co zrobić: jeśli pośpieszą im z pomocą, również oberwą, nie mogli jednak przyglądać się beczynnie. Postanowili, że wrócą na główną drogę i sprowadzą pomoc. Tłumaczyli sobie, że wcale nie uciekają, chociaż wewnętrzny głos mówił im, że to, co robią, jest ucieczką.

Nie zobaczyli, jak jednego z ich kolegów napastnicy rzucają na kolana i strzelają mu w tył głowy, zaś widzący to wszystko jego towarzysz pochyla się, nie mogąc pohamować wymiotów. Dwie minuty później obydwoj leżeli martwi w przydrożnym rowie.

* * *

Carlo Cipriani ukrył twarz w dłoniach. Mercedes była blada, ale nieporuszona. Twarze Hansa Haussera i Brunona Müllera zdradzały przerażenie i zdenerwowanie, wywołane relacją Luki Mariniego.

Siedzieli w jego dyrektorskim gabinecie. To on ich tam wezwał. Cała firma była pogrążona w żałobie.

Następnego dnia wylądował samolot, który przywiezie ciała dwóch zamordowanych detektywów.

Zamordowani. Brutalnie pobici i zamordowani. Ich koledzy nie wiedzieli nawet dlaczego. Opowiadali, jak dziesięć jeepów zmusiło pierwszą dwójkę detektywów do zatrzymania się na drodze. Widzieli, jak napastnicy biją ich kolegów, a kiedy nieco później wrócili na tamto miejsce z wojskowym patrolem, który spotkali na głównej drodze, znaleźli już tylko dwa trupy. Natychmiast zażądali śledztwa w tej sprawie i mało brakowało, a sami zostaliby zatrzymani jako główni podejrzani.

Policja przesłuchała ich, stosując metody szybkie i skuteczne, po których zostały im pamiątki – parę siniaków i skaleczeń na twarzy, klatce piersiowej i brzuchu. Po trwającym wiele godzin wypytywaniu zostali wypuszczeni na wolność i zachęceni do jak najszybszego opuszczenia Iraku.

Ambasada Włoch złożyła oficjalny protest w tej sprawie, ambasador zaś zażądał spotkania z ministrem spraw zagranicznych. Odpowiedziano mu, że minister przebywa teraz z oficjalną wizytą w Jemenie. Naturalnie policja zbada to dziwne zdarzenie, które wydawało się wybrykiem jakiejś bandy rabusi.

W kieszeniach zmarłych nie znaleziono niczego – nie było dokumentów, pieniędzy, nie została nawet paczka papierosów.

Luca Marini przypomniał sobie swoje najgorsze chwile w karierze szefa policji walczącej z mafią na Sycylii, kiedy musiał telefonować do żon swoich towarzyszy, by im oznajmić, że ich mężowie zginęli w akcji.

W tamtych okolicznościach można było przynajmniej urządzić oficjalny pogrzeb, na który przyjeżdżał minister, na trumnie układano medal, a wdowie przysługiwała wysoka renta. Tym razem jednak pogrzeb będzie bardzo skromny, bez medali i odznaczeń, agencja zaś będzie się musiała nieźle nagimnastykować, by całą tą sprawą nie zainteresowała się prasa.

— Bardzo mi przykro, zrywam naszą umowę. Jesteście uwikłani w jakąś grubszą aferę. Zabito moich ludzi, żeby was ostrzec. Macie trzymać się z daleka od tego, kogo szukacie.

— Chcielibyśmy pomóc rodzinom tych dwóch agentów – powiedziała Mercedes. – Może coś nam podpowiesz? Wiem, że nie można przywrócić im życia, ale przynajmniej wesprzemy tych, których osierocili.

Marini z niedowierzaniem patrzył na Mercedes. Ta kobieta nie owijała w bawełnę i nie traciła czasu na wylewanie łez.

— To zależy od was – odpowiedział. – Francesco Amatore zostawił żonę i dwuletnią córeczkę. Paolo Silvestre był kawalerem, ale jego rodzicom przydałaby się pomoc, mają jeszcze inne dzieci.

— Czy milion euro, po pół miliona dla każdej rodziny, wystarczy? – zapytała Mercedes.

— Z pewnością – odparł Marini. – Musimy jednak porozmawiać o czymś jeszcze. Policja dopytuje się, po co moi pracownicy pojechali do Iraku i kto im zapłacił. Do tej pory migałem się jak mogłem, jutro jednak czeka mnie rozmowa z komendantem policji. Chce usłyszeć odpowiedzi na te pytania, ponieważ musi poinformować o wszystkim ministerstwo. Chociaż jesteśmy starymi przyjaciółmi i chce mi pomóc, muszę mu udzielić tych odpowiedzi. Powiedźcie państwo, jak mam się przed nimi tłumaczyć, co powinienem powiedzieć, a co lepiej zatrzymać dla siebie.

Przyjaciele patrzyli na siebie w ciszy, świadomi, jak delikatna jest sytuacja. Trudno będzie wytłumaczyć policji, dlaczego emerytowany lekarz, profesor fizyki, pianista i właścicielka firmy budowlanej zlecają usługę agencji detektywistycznej i wysyłają czwórkę wywiadowców do Iraku.

— Może pan nam podpowie, jaką wersję najłatwiej przełknie policja – zaproponował Bruno Müller.

— Państwo nigdy mi nie powiedzieli, dlaczego chcą się czegoś dowiedzieć o tej dziewczynie i kogo szukają w Iraku.

— To sprawa, która nikogo nie powinna obchodzić – ucięła Mercedes lodowatym tonem.

— Szanowna pani, mamy dwa trupy, policja nie zadowolili się taką odpowiedzią.

— Luca, pozwolisz nam zastanowić się przez chwilę bez świadków? – poprosił Carlo Cipriani.

— Naturalnie, możecie skorzystać z sali konferencyjnej. Jeśli przyjdzie wam coś do głowy, zawołajcie mnie.

Marini zaprowadził ich do małej sali przylegającej do jego gabinetu i wyszedł, zamykając za sobą drzwi.

Carlo Cipriani odezwał się pierwszy:

— Mamy dwie możliwości: albo powiemy prawdę, albo musimy wymyślić coś przekonującego.

— Żadne usprawiedliwienie nie jest przekonujące, jeśli się ma do czynienia z dwoma trupami – zauważył Hans. – A zwłaszcza z trupami niewinnych ludzi.

— Jeśli powiemy prawdę, to wszystko się dla nas skończy. Zdajecie sobie z tego sprawę? – W głosie Brunona słychać było niepokój.

— Nie zamierzam się poddawać. Zastanówmy się, jak wybrnąć z sytuacji. To nie jest najtrudniejsza sprawa w naszym życiu, to tylko kolejna z wielu przeciwności losu, bolesna i nieoczekiwana, ale nie większa niż każda inna trudność, którą musieliśmy pokonać – powiedziała Mercedes.

— Na Boga, ależ ty jesteś twarda, kobieto! – wyrwało się Carlowi.

— Twarda? Ty mi mówisz, że jestem twarda? Całe lata się do tego przygotowujemy, wmawiamy sobie, że pokonamy wszystkie trudności, więc proszę bardzo, oto pierwsza z nich. Teraz, zamiast się nad sobą użalać, pomyślmy.

— Nie potrafię – powiedział cicho Hans Hausser. – Nic nie przychodzi mi do głowy.

Mercedes przyglądała im się z niesmakiem. Po chwili wyprostowała się i postanowiła wziąć sprawy w swoje ręce.

— Słuchaj, Carlo, co wymyśliłam: jesteśmy starymi przyjaciółmi. Ja jestem tylko przejazdem w Rzymie, spotkaliśmy się i wspomniałam ci, iż myślę, że skoro wojna wydaje się nieunikniona, chcę, by moje przedsiębiorstwo budowlane znalazło się wśród tych, które

uszczną sobie kawałek z tego tortu odbudowy Iraku. Dlatego też, mimo mojego wieku, rozważałam podróż do tego kraju, by z bliska przyjrzeć się sytuacji i poznać przyszłe potrzeby. Ty uznałeś, że to szaleństwo, przekonując, że od takich spraw są agencje wywiadowcze, odpowiednio przeszkoleni ludzie, potrafiący ocenić sytuację. Przedstawiłeś mi swojego starego znajomego, Lucę Mariniego. Ja miałam wątpliwości, wolałam zlecić to agencji hiszpańskiej, ostatecznie jednak przekonaliście mnie i zdecydowałam się na agencję Luki. Dla dobra śledztwa przyjmujemy wersję Irakijczyków; ludzie Mariniego, których na moją prośbę wysłano do Iraku, zostali napadnięci. Nic w tym dziwnego, jeśli wziąć pod uwagę sytuację w tym kraju. Naturalnie jestem zdruzgotana tym, co się stało, i chcę wesprzeć rodziny niewielkim odszkodowaniem.

Mężczyźni popatrzyli na nią z podziwem. To nieprawdopodobne, w ciągu zaledwie paru sekund wymyśliła wiarygodne usprawiedliwienie. Nie wiadomo, czy policja je kupi, ale brzmi całkiem przekonująco.

— Zgadza się ze mną, czy macie lepszy pomysł?

Nikt się nie odezwał, przystali więc na koncepcję Mercedes.

Kiedy powiedzieli o tym Luce Mariniemu, ten się zamyślił. Brzmiało to nie najgorzej, chyba że któremuś z detektywów wypśnie się, że śledzili Clarę Tannenberg już w Rzymie. To nie ma związku z tym wypadkiem, bo w Rzymie nic się przecież nie wydarzyło. Problem dotyczył Iraku.

— Owszem – zgodził się Marini – ale problem, jak raczyła to pani nazwać, zaczął się w Rzymie i ma związek z tą kobietą. Zresztą nie wiemy, co powiedzieli moi ludzie przed śmiercią. Jest bardziej niż prawdopodobne, że wyznali, iż pracują w mojej agencji i przyjęli zlecenie, by śledzić Clarę Tannenberg.

— Z pewnością ma pan rację – włączył się Hans Hausser – ale iracka policja nie wspomniała ani słowem o pańskich pozostałych ludziach, ani, o ile wiem, nie powiedział o nich ambasador. Co więcej, Irakijczycy zamknęli sprawę. Nie widzę więc powodu, by jej w tym miejscu nie uciąć.

— Panie Marini – powiedziała poważnie Mercedes – zawiadomiono nas o zabójstwie dwóch ludzi. Dostaliśmy makabryczne ostrzeżenie. To jest język, jakim posługuje się ten potwór. Jak gdyby chciał nam powiedzieć, an co jest gotowy, jeśli zbliżymy się do niego i jego rodziny.

— O czym pani mówi, Mercedes? O kogo chodzi? – Luca Marini nie potrafił ukryć zniecierpliwienia. Miał już dość tych tajemnic.

— Luca, nie przychodzi nam do głowy nic lepszego niż wersja wydarzeń, jaką ci przedstawiliśmy. Podpowiedz coś, jeśli uważasz, że to niezadowalające alibi dla włoskiej policji.

Poważny ton Carla Ciprianiego poruszył Mariniego. Cipriani był jego lekarzem, starym przyjacielem, który uratował mu życie, kiedy inni lekarze uznali, że nie warto go operować. Postanowił więc, że mu pomoże, przymykając oko na tę irytującą kobietę, Mercedes Barredę.

— Powinniście mi zaufać, opowiedzieć, kogo szukacie i po co. To pozwoli mi lepiej zrozumieć, co się stało.

— Nie, Luca, nic więcej ci nie powiemy, przykro mi – powiedział stanowczo Carlo. – Zapewniam cię, że nie wynika to z braku zaufania.

— Zgoda, zadowolę się wyjaśnieniem pani Barredy. Mam nadzieję, że moi przyjaciele z policji okażą wyrozumiałość i nie będą dokręcali śruby bardziej, niż to niezbędne. Rozmawiałem z żoną Francesca i z rodzicami Paola. Rodziny moich ludzi są zrozpaczone, ale wierzą, że ich bliscy zginęli z powodu chaosu panującego w Iraku. Nikt nie wiedział, po co jadą do Iraku, nie mieli w zwyczaju opowiadać w domu o swojej pracy. Rodziny nie będą więc drażyły tej sprawy, a skoro jesteście gotowi wypłacić im odszkodowanie... W porządku, zadzwonię do was i powiem, jak mi poszło z moimi przyjaciółmi z policji.

— Przepraszam, że zapytam cię o to po raz drugi, ale czy na pewno nie powiedziałeś swoim ludziom, kto jest zleceniodawcą?

— Nie, Carlo, nie. Nie chciałeś przecież, by ktokolwiek się o was dowiedział.

— Dziękuję, przyjacielu – powiedział Carlo ledwie słyszalnym głosem.

Pożegnali się bez słowa.

— Napijmy się czegoś – zaproponowała Mercedes. – Jestem wykończona.

— Rozszyfrował nas – stwierdził Bruno, gdy usiedli przy stoliku w staroświeckiej kawiarni.

— Nie, nie udało mu się – odparła Mercedes. – Ludzie Mariniego nic mu nie powiedzieli, bo sami niczego nie wiedzieli.

— Nie traćmy poczucia rzeczywistości – upomniał ich Hausser. – Jesteśmy dorośli, za dorośli, żeby popadać w paranoję.

— Mam nadzieję, że Luca zadzwoni, żeby nam powiedzieć, jak mu poszło na policji – westchnął Carlo. – Teraz zaś, przyjaciele, muszę was zostawić i wracać do kliniki. W przeciwnym razie dzieci zaczną się o mnie martwić. Jeśli chcecie, możemy się spotkać na kolacji...

— Carlo – przerwała mu Mercedes – myślę, że każdemu z nas dobrze zrobi odpoczynek. Do zobaczenia jutro.

— Mercedes ma rację. Powinniśmy rozstać się na parę godzin, żeby spokojnie pomyśleć i nie rozmawiać w kółko o tym samym – poprał ją Bruno.

— Jak chcecie.

Ledwo zdążył załatwić najpilniejsze sprawy ze swoją sekretarką, a Lara już stała w jego gabinecie.

— W końcu cię zastałam, tato! Gdzieś ty się podziewał z tymi swoimi koleżkami?

— Laro, jak ty mówisz o starszych ludziach...

— Bo prawie cię nie widuję, tato. Zaczynałyśmy się martwić, prawda, Mario?

— Tak, pani doktor.

— Dziękuję, Mario, jutro się wszystkim zajmujemy. – Carlo dał znak sekretarce, że może wyjść.

— Mam nadzieję, że dziś wieczorem się nie spóźnisz – powiedziała Lara, gdy zostali sami.

— A co jest dziś wieczorem?

— Tato, chyba mi nie powiesz, że zapomniawsz! Dziś są urodziny żony Antonina i wszyscy idziemy do nich na kolację.

— Ach, urodziny! Nie, nie zapomniałem, myślałem, że mówisz o czymś innym.

— Kiepski z ciebie kłamca. Co jej kupiłeś? Wiesz, że ta kobieta ma szczególne podejście...

— Właśnie miałem zająć do Gucciego.

— Znów chcesz jej dać apaszkę?

— Dobra apaszka zawsze się przydaje.

— Torebka będzie lepsza. Pójść z tobą?

Carlo popatrzył na córkę i uśmiechnął się. Owszem, spacer dobrze mu zrobi. Chętnie posłucha też o tym, co się ostatnio działo w klinice.

Alfred Tannenberg słuchał Pułkownika nieporuszony. Znali się od wielu lat, Pułkownik wyświadczał mu liczne „przysługi”. Był drogi, bardzo drogi, ale wart swojej ceny. Należał do klanu Saddama, obydwaj pochodzili z Tikritu, był też w zaufanym kręgu Departamentu Bezpieczeństwa Państwa, więc działały niemu Tannenberg zawsze wiedział, co dzieje się w pałacu.

— Śmiało, powiedz, kto przysłał tych ludzi — nalegał Pułkownik.

— Przysięgam, że nie wiem. To byli Włosi z jakiejś agencji detektywistycznej, zatrudnieni, by śledzić Clarę. Nic więcej nie udało się z nich wydusić, bo też o niczym nie mieli pojęcia. Gdyby coś wiedzieli, to zapewniam cię, że wszystko by wyśpiewali.

— Nie wierzę, że ktoś chciał zrobić krzywdę twojej wnuczce.

— Ja też nie, chyba że zamierzał w ten sposób ugodzić we mnie.

— Ty, stary przyjacielu, masz wielu wrogów.

— Owszem, ale mam też przyjaciół. Liczę na ciebie.

— Wiem, ale wolałbym wiedzieć nieco więcej. Masz przyjaciół wśród wpływowych ludzi, obraziłeś kogoś?

Alfred siedział bez ruchu, na jego twarzy nie drgnął najmniejszy mięsień.

— Ty również masz wpływowych znajomych. Chociażby George'a Busha, który wysłała do nas swoich *marines*, żebyśmy mogli ich wrzucić do morza.

Pułkownik wybuchnął śmiechem i zapalił aromatyczne egipskie cygaro.

— Musisz powiedzieć mi coś więcej, w przeciwnym razie trudno mi będzie pomóc ci ochraniać Clarę.

— Zapewniam cię, że nie wiem, kto wynajął tych ludzi. Proszę cię tylko, żebyś wzmocnił ochronę wokół Żółtego Domu i zachował czujność. Pomóż mi też ustalić, kto płacił tym nieszczęśnikom.

— Zrobię to, przyjacielu, obiecuję ci. Wiesz, wydaje roi się, że dojdzie do tej wojny, nawet jeśli w pałacu ludzą się, że Bush tylko się odgraża, a w ostatniej chwili się wycofa. Mam wrażenie, że będzie chciał dokończyć dzieło swojego ojca.

— Mnie też się tak wydaje.

— Obaj moi synowie służą w armii, więc nie mogę dla nich wiele zrobić, ale kobiety... martwię się o nie.

— Zajmę się tym.

— Dobry z ciebie przyjaciel.

— Z ciebie również.

Alfred Tannenberg nie miał pojęcia, kto i po co kazał śledzić Clare. Detektywi okazali się Wiochami, ktoś więc zatrudnił ich z pewnością już w Rzymie i deptali jego wnuczce po piętach aż do Iraku. A jeśli szukali jego?

A może chcieli go tylko przestraszyć, ostrzec, że nie może łamać zasad, że nie pozwolą mu, by podarował swojej wnuczce *Glinianą Biblię*.

Tak, pomyślał, to z pewnością o to chodzi, to „oni”, jego starzy towarzysze. Jednak nie pójdzie im tak łatwo. Jego wnuczka odnajdzie *Glinianą Biblię*, on zaś zatriumfuje. Nie pozwoli, by Clara poniosła porażkę.

Miał zawroty głowy, ale nadludzkim wysiłkiem doszedł do samochodu. Jego ludzie nie mogą dostrzec najmniejszego objawu słabości. Będzie musiał odwołać podróż do Kairu. Czekał na niego specjalista, by zrobić mu badania i zoperować go, jeśli okaże się to konieczne. Alfred nie zamierzał jednak znowu dać się zamknąć w szpitalu, zwłaszcza teraz. Podczas operacji mogą go uśpić na zawsze. Są do tego zdolni. Nie dlatego, że go nienawidzą, nie, kochają go, ale nie darują mu, że łamie zasady. Zresztą, pomyślał, nawet jeśli lekarze będą się bardzo starali, to przecież nie przedłużą mu życia. Jedyne, co ma do zrobienia, to sprawić, by Clara mogła jak najszybciej przystąpić do kopania.

Poprosił, by zawieźli go do Ministerstwa Kultury. Musi porozmawiać z zięciem.

Ahmed zajęty był rozmową przez telefon. Alfred czekał cierpliwie, aż skończy,

— Dobrze wieści, to profesor Picot — powiedział Ahmed, odłożywszy słuchawkę. — Niczego nie obiecuje, ale na pewno przyjedzie rzucić okiem. Jeśli to, co zobaczy, będzie przekonujące, wróci z zespołem, żeby można było zacząć kopać. Zadzwoń do Clary.

— Kiedy przyjedzie ten Picot?

— Jutro. Przylatuje z Paryża. Zamierza natychmiast pojechać do Safranu, chce też zobaczyć dwie tabliczki... Będziesz musiał nu je pokazać.

— Nie, nie spotkam się z nim. Wiesz, że nie spotykam się z ludźmi, jeśli nie muszę.

— Nigdy nie zdołałem pojąć, co tobą kieruje. Z jednymi się spotykasz, z innymi nie.

— To nie twoja sprawa. Zajmiesz się wszystkim. Chcę, żeby ten archeolog wam pomógł. Daj mu wszystko, czego będzie potrzebował.

— Alfredzie, Picot jest bogaty, nie możemy mu wiele zaoferować. Jeśli przekona się, że ruiny w Safranie są warte zachodu, przyjedzie, w przeciwnym razie nic go nie przekona.

— A gdzie są iraccy archeolodzy? Co się z nimi stało?

— Wiesz, że nigdy nie mieliśmy wybitnych archeologów, Jest nas niewielu, a kto mógł, już dawno wyjechał za granicę, Dwaj najlepsi wykładają na uniwersytetach w Stanach, są bardziej amerykańscy niż Statua Wolności. Nigdy tu nie wrócą. Przypomnij sobie, że już od paru miesięcy urzędnicy państwowi pobierają tylko połowę wynagrodzenia. To nie Ameryka, gdzie są fundacje, banki, firmy gotowe finansować wykopaliska. To Irak, Alfredzie, Irak. Nie znajdziesz więcej archeologów niż ja i jeszcze paru, którzy nam z wielkim poświęceniem pomogą.

— Dobrze im zapłacimy za to poświęcenie. Porozmawiam z ministrem, potrzebny wam będzie samolot, który przewiezie was do Safranu. A może lepiej helikopter?

— Moglibyśmy pojechać do Basry, a stamtąd...

— Nie traćmy czasu, Ahmedzie. Porozmawiam z ministrem. Kiedy przyjeżdża ten Picot?

— Jutro po południu.

— Zawieźcie go do hotelu Palestyna.

— A nie moglibyśmy zaprosić go do domu? Hotel nie prezentuje się teraz najlepiej.

— Sam Irak też nie. Będziemy cywilizowani na sposób europejski. W Europie nikt nie zaprosi cię do domu, jeśli dobrze cię nie zna, a my tego Picota nie znamy. Zresztą nie chcę, żeby mi się ktoś szwendał po Żółtym Domu. W końcu byśmy na siebie wpadli, a jak ci już powiedziałem, dla Picota nie istnieje.

Ahmed skinął głową. Jak zwykle będzie tak, jak życzy sobie teść. Nikt nie sprzeciwi się Alfredowi Tannenbergowi.

— Czy Pułkownik wspomniał ci coś o ludziach, którzy śledzili Clarę?

— Nie, wie mniej niż my.

— Trzeba ich było zabić?

Alfred ściągnął brwi. Nie podobało mu się pytanie Ahmeda.

— Owszem. Ten, kto ich wynajął, teraz przynajmniej wie, w jaką grę gramy.

— Szukają ciebie, prawda?

— Tak.

— Chodzi o *Glinianą Biblię*?

Muszę to jeszcze sprawdzić.

— Nigdy cię o to nie pytałem i nikt nie ma odwagi o tym rozmawiać, ale czy to prawda, że twój syn został zamordowany?

— Miał wypadek, w którym zginęła także Nur.

— Ktoś go zabił, Alfredzie?

— Ahmed patrzył twardo na starca, ten jednak wytrzymał to spojrzenie. Nawet nie mrugnął.

— Helmut i Nur nie żyją. Niczego więcej nie musisz wiedzieć.

Ahmed spuścił wzrok, nie mogąc znieść spojrzenia stalowych oczu teścia, który z każdym dniem wydawał mu się straszniejszy.

— Wahasz się, Ahmedzie?

— Nie.

— To dobrze. Byłem z tobą szczery. Znasz naturę biznesu. Pewnego dnia ty go przejmiesz, prawdopodobnie szybciej, niż to sobie wyobrażasz i niż ja sam bym sobie tego życzył. Nie osądzaj mnie jednak, Ahmedzie, nikomu na to nie pozwolę, tobie również. I Clara przed niczym cię nie ochroni.

— Wiem o tym, znam rodzaj ludzi, do jakich należysz.

Ahmed nie wypowiedział tych słów z pogardą, lecz ze spokojem człowieka, który wie, iż pracuje dla samego diabła.

7

Przechodzień, który o czwartej po południu, w porze sjesty, znalazłby się na osiedlu Santa Cruz w Sewilli, nie zobaczyłby żywego ducha. Ta dzielnica o wąskich uliczkach i opustoszałych placach jest jak żadna inna esencją tego miasta. Okiennice na balkonie piętrowego domu państwa Gómezów były zamknięte. Wrześnie słońce niestrudzenie nagrzewało powietrze do czterdziestu stopni i mimo że klimatyzacja w mieszkaniach była czymś normalnym, nikt przy zdrowych zmysłach nie zostawiłby uchylonych okiennic.

Posłaniec po raz trzeci nacisnął dzwonek, zaczynał się już denerwować. Kobieta, która w końcu stanęła w drzwiach, również nie była w najlepszym humorze. Widać było, że spała, a dzwonek wyrwał ją z popołudniowego letargu.

— To koperta dla pana Enrique Gómeza. Do rąk własnych.

— Don Enrique odpoczywa. Proszę zostawić, oddam przesyłkę.

— Niestety, muszę mieć pewność, że adresat odebrał kopertę osobiście.

— Nie słyszał pan? Przecież powiedziałam, że mu ją dam.

— Niestety, powiedziałem, że albo sam mu ją wręcę, albo przyjdę później. Takie dostałem polecenie.

— Niech mi pan wyświadczy przysługę i da mi ten list!

— Powiedziałem, że nie!

Kobieta podniosła głos, posłaniec zaś nie pozostał dłużny.

— Co się stało, Pepo?

— Nic takiego, proszę pani. Posłaniec uparł się, że osobiście kopertę naszemu panu, a ja go przekonuję, że sama mogę to zrobić.

— Proszę mi to dać — rzuciła kobieta.

— Przykro mi, proszę pani, nie mogę. Albo dam to panu Gómezowi, albo sobie pójdę.

Rocío Álvarez popatrzyła wyniośle na posłańca, gotowa zatrzasać mu drzwi przed nosem. Zrobiłaby to, gdyby nie szósty zmysł, który kazał jej się powstrzymać. Wiedziała, że

musi być rozsądna we wszystkich kwestiach dotyczących męża. Zagryzając więc wargę, niezadowolona, posłała Pepę na piętro, by zawołała pana Gómeza.

Enrique Gómez zszedł natychmiast i przyjrzał się uważnie posłańcowi.

— Moje drogie, ja zajmę się tym panem.

Przeciągnął słowo „pan”, by wprawić posłańca w zakłopotanie. Ten zaś, cały spocony, żując wykałaczkę, spoglądał na niego zdziornie.

— *Sorry*, szefie, nie chciałem panu psuć sjesty, robię, co mi każą, a kazali mi doręczyć panu tę kopertę do rąk własnych.

— Kto kazał?

— A bo ja wiem? Jeśli chce się pan dowiedzieć czegoś więcej, niech pan dzwoni do szefa.

Enrique nie zwracał sobie głowy dalszą dyskusją. Podpisał pokwitowanie, wziął kopertę i zamknął drzwi. Odwrócił się i zobaczył Rocío, która stała na ostatnim stopniu schodów, Przyglądając mu się z napięciem.

— Co się stało, Enrique?

— A cóż się miało stać?

— Nie wiem, ale czuję, że w tej kopercie są jakieś złe wieści.

— Co ty opowiadasz, Rocío? Posłaniec to prostak, kazali mu doręczyć przesyłkę do rąk własnych, więc się uparł. No już, idź odpocznij, najlepiej przespać te upały. Zaraz do ciebie dołączę.

— Ale jeśli to coś...

— A cóż to może być, kobieto! Idź już, zostaw mnie w spokoju!

Usiadł za stołem w gabinecie i z przejęciem otworzył wypchaną kopertę wielkości teczki. Nic mógł powstrzymać grymasu niesmaku i obrzydzenia na widok zdjęć, jakie z niej wyjął. Poszukał w kopercie listu i nie zdziwił się, widząc drobne pismo Alfreda Tannenberga.

Kim są ci zamordowani ludzie?

Jeszcze raz popatrzył na zdjęcia. Przedstawiały dwóch mężczyzn o twarzach tak zmasakrowanych, że nie dawały się rozpoznać. Na drugiej serii zdjęć widać było wyraźnie otwór po kuli w czaszkach ich obu.

Na kartce napisane były tylko trzy słowa: „Tym razem nie”.

Podarł papier na małe kawałeczki, które wsunął do kieszeni marynarki, by wyrzucić je potem do toalety. Nie wiedział, co zrobić ze zdjęciami, postanowił, że zamknie je w sejfie.

Kiedy wrócił do sypialni, żona czekała na niego zniecierpliwiona.

— Co to było, Enrique?

— Jakieś bzdury, Rocío, niepotrzebnie się przejmujesz. No już, odpocznijmy sobie, nie ma nawet piątej.

* * *

Odźwierny podszedł do dwóch mężczyzn, którzy rozmawiali z ożywieniem, jedząc śniadanie w rogu hotelowego baru, za którego oknem rozciągała się plaża Copacabana. Starszemu wręczył wypchaną kopertę formatu A4.

— Przepraszam pana, ale przed chwilą to przynieśli, recepcjonistka powiedziała mi, że znajdę pana tutaj.

— Dziękuję,

— Tony. Nie ma za co, proszę pana.

Frank Dos Santos włożył kopertę do aktówki, nie przerywając rozmowy ze swoim współnikiem. W południe przyjdzie Alicia i wybiorą się dokądś na obiad, potem spędzą razem całe popołudnie i wieczór. Dawno nie był w Rio. Za rzadko tu przyjeżdżała pomyślał. Życie na skraju tropikalnej puszczy sprawiło, że stracił poczucie czasu.

Tuż przed dwunastą wrócił do swojego apartamentu. Przejrzał się w dużym lustrze i stwierdził, że jak na osiemdziesięcioletniego starca wciąż ma niezłą sylwetkę. Zresztą wszystko jedno, Alicia będzie się zachowywała, jakby był Robertem Redfordem. Za to jej płacił.

* * *

Kiedy postawił stopę na stopniu prywatnego samolotu, zobaczył, że przez płytę lotniska biegnie w jego stronę jeden z jego sekretarzy.

— Panie Wagner, niech pan zaczeka!

— Co się stało?

— Kurier przyniósł przed chwilą tę kopertę. Z Ammanu. Zdaje się, że to coś pilnego.

George Wagner wziął kopertę i nie dziękując, wsiadł do samolotu.

Opadł na wygodny fotel, a kiedy stewardesa nalewała mu whisky, rozerwał kopertę.

Ze wstrętem przyglądał się zdjęciom i z wściekłością zmiął papier, na którym Alfred napisał trzy słowa: „Tym razem nie”.

Dał znak stewardesie, by podeszła.

— Proszę powiedzieć kapitanowi, że na razie nie lecimy. Muszę wrócić do biura.

— Tak jest, proszę pana.

Wagnera rozsadzała wściekłość. Wyjął telefon komórkowy i wybrał numer kogoś, kto był bardzo daleko.

* * *

Przeklęta pani Miller! Robert Brown złorzeczył w duchu żonie senatora. Bolały go plecy, bo siedział bez oparcia na kocu rozłożonym na trawniku przed rezydencją Millerów. Jakby nie dość było niewygody, nie spotkał Mentora. Mieli porozmawiać podczas pikniku, ale tamten się nie pojawił.

Poczuł ulgę, kiedy zobaczył, że podchodzi do niego Ralph Barry. On uwolni go od tego babsztyla, żony senatora, która usiłuje nakłonić go do ofiarowania sporej sumy na rzecz przyszłych sierot wojennych w Iraku.

— Sam pan wie, kochany panie Brown, że wojna pozostawi ślady. Niestety, dzieci najmocniej odczują jej skutki, więc ja i moje koleżanki założyłyśmy komitet pomocy sierotom.

— Oczywiście, że może pani liczyć na moje osobiste wsparcie, pani Miller. Kiedy tylko uzna pani, że nadszedł stosowny czas, proszę podać mi numer konta, a przeleję odpowiednią kwotę.

— Ależ pan hojny! Nie mogę jednak sugerować panu żadnej sumy, pozostawiam to pańskiej ocenie.

— Może dziesięć tysięcy dolarów?

— Fantastycznie! Dziesięć tysięcy bardzo nam pomoże.

Podszedł do nich Ralph Barry. Trzymał w ręku wypchaną kopertę, którą mu wręczył.

— To nadeszło przed chwilą z Ammanu.

Robert Brown podniósł się, przepaszając żonę senatora, i ruszył w stronę domu, by poszukać spokojnego zakątka. Barry poszedł za nim, uśmiechnięty i wypoczęty. Dla byłego wykładowcy zadawanie się ze śmietanką towarzyską Waszyngtonu oznaczało, że zaszedł wysoko.

Usiedli w niewielkim saloniku. Brown otworzył kopertę i wyjął z niej zdjęcia. Na jego twarzy pojawił się grymas niechęci.

— Skurczybyk! — syknął. — Kawał skurwysyna!

Następnie przeczytał krótką wiadomość: „Tym razem nie”.

Ralph Barry czekał, aż szef sam pokaże mu zdjęcia. Jednak Brown najwyraźniej nie miał takiego zamiaru. Schował je do koperty.

— Poszukaj Paula Dukaisa — rzucił gniewnie.

— Co się stało?

— Nic takiego, chociaż jak się zastanowić... Dobrze, powiem ci. Mamy kłopoty. Z Alfredem. Nie zabawię długo na tym głupim przyjęciu. Zamienię słowo z Paulem i znikam.

Ralph Barry powstrzymał się od komentarza i udał się na poszukiwanie prezesa Planet Security.

* * *

Helikopter przeleciał nad Tall al-Mukajjar, dawnym Ur, a niedługo potem w oddali zarysowały się zabudowania Safranu. Po wylądowaniu wzbił obłok żółtego kurzu, którego szafranowy odcień świadczył o tym, iż to nie przypadek, że wioska tak się właśnie nazywa.

Współczesny Safran składał się zaledwie z trzech tuzinów domów zbudowanych z cegieł *adobe*, o ponadczasowym, niezmiennym od wieków wyglądzie, chociaż anteny na niektórych dachach zdradzały, że i tu czas nie zatrzymał się w miejscu.

W odległości mniejszej niż kilometr od osady wyłaniał się za barykadą słupków i taśm z tabliczkami: „Wstęp wzbroniony” i „Teren państwowy”, starożytny Safran.

Wieśniacy nie zastanawiali się nad tym, w jaki sposób żyli ich przodkowie. Mieli wystarczająco dużo zmartwień i trosk, byprzeżyć we współczesności. Owszem, dziwiło ich, że odkąd spadła ta przeklęta bomba, oddział żołnierzy biwakuje w pobliżu leja w ziemi, w którym, jak mówiono, znajdują się pozostałości starej wioski lub może jakiegoś pałacu. Być

może znalazłby się tam jakiś skarb, ale obecność czterech żołnierzy zniechęcała do poszukiwań.

Pułkownik mógł posłać tylko czterech ludzi do tej odległej osady położonej między Ur a Basrą, to jednak wystarczyło, by miejscowi trzymali się z daleka od leja w ziemi. Teraz, kiedy znów rozległ się ryk helikoptera, wieśniacy podnosili głowy ze zdziwieniem i lękiem.

Yves Picot przyglądał się spod oka Clarze Tannenberg. Miała stalowobłękitne oczy i śniadą twarz okoloną długimi kasztanowymi włosami. Nie była klasycznie piękna, nie zachwycała na pierwszy rzut oka, dopiero przyglądając jej się przez jakiś czas, można było docenić harmonię jej rysów i inteligentne, niespokojne spojrzenie.

W Rzymie uznał ją za rozkapryszoną historyczkę, być może Jednak za dużo pośpieszył się z tym osądem. Bez wątplenia życie traktowało ją nie najgorzej, wystarczyło tylko spojrzeć, jak była ubrana, wyjątkowo dobrze jak na Irak, kraj coraz bardziej nękany biedą. W dodatku rozmowa, którą odbyli wieczorem przy kolacji w hotelu, a potem kontynuowali, przy wtórze silników helikoptera, coraz wyraźniej uświadamiała mu, że Clara jest kimś więcej niż tylko rozkapryszoną bogaczką. Z każdym dniem nabierał przekonania, że ma do czynienia ze zdolną archeolog, chociaż co do tego upewni się w terenie.

Jeśli w tym towarzystwie ktoś był poważnym archeologiem to jej mąż, Ahmed Huseini. Nigdy nie mówił więcej, niż było to konieczne, zaś w każdym jego słowie pobrzmiwał zdrowy rozsądek i głęboka znajomość Mezopotamii.

Wojskowy helikopter wylądował niedaleko namiotu, w którym czekali już na nich czterej żołnierze Pułkownika.

Pasażerowie wyskoczyli na ziemię, zasłaniając sobie usta, Po chwili trzeszczał im w zębach drobny żółty piasek, zawsze unoszący się w powietrzu nad tym dalekim, zapomnianym zakątkiem, a garstka mieszkańców podeszła bliżej, by dowiedzieć się, kim są goście.

Wójt osady rozpoznał Ahmeda Huseiniego i zbliżył się do niego, następnie skinął głową w stronę Clary. Wszyscy razem udali się obejrzeć miejsce przyszłych wykopalisk.

Picot wraz z Ahmedem wślizgnęli się w obręb ogrodzonego leja przez przerwę w ogrodzeniu, przez którą ci, którzy zostali na górze, widzieli pozostałości zabudowań. Z braku środków ledwie zdołano oczyścić z ziemi i gruzu otwór o obwodzie dwustu metrów.

Yves Picot słuchał z uwagą wyjaśnień Ahmeda, ten zaś odpowiadał na wszystkie pytania francuskiego archeologa.

Udało im się odkopać pomieszczenie zbudowane na planie kwadratu, z półkami, na których leżały szczątki tabliczek.

Clara nie mogła dłużej znieść bezczynnego przyglądania się jak dwaj mężczyźni przechadzają się po stanowisku archeologicznym, i przysłuchiwania się, jak Ahmed wyjaśnia, że te ze znalezionych tabliczek, które zachowały się w nienaruszonym stanie, zostały przewiezione do Bagdadu. Zniecierpliwiona poprosiła żołnierzy, by pomogli jej zejść na dół.

Zabawili tam ponad trzy godziny, oglądając, skrobiąc, mierząc, podnosząc z ziemi potłuczone tabliczki, z których z dawało się cokolwiek odczytać.

Kiedy wyszli z leja, ich ubrania i włosy pokrywała warstwa żółtawego pyłu.

Ahmed rozmawiał z ożywieniem z Picotem, nie zwracając uwagi na Clare. Ci dwaj mężczyźni zdawali się dobrze ze sobą dogadywać, co Clarze nie bardzo się podobało.

— Obóz można by założyć nieopodal wioski. Moglibyśmy wynająć paru miejscowych, żeby pomogli nam w najbardziej podstawowych pracach. Potrzebni nam są jednak eksperci, przygotowani ludzie, którzy nie zniszczą tej budowli. Zresztą, sam widziałeś, całkiem możliwe, że odnajdziemy więcej takich budynków, nawet cały starożytny Safran. Mógłbym postarać się o wojskowe namioty, chociaż nie są najwygodniejsze, i sprowadzić jeszcze kilku żołnierzy dla bezpieczeństwa.

— Nie lubię kręcących się wszędzie żołnierzy — stwierdził Picot tonem nieznoszącym sprzeciwu.

— W tej części świata okazują się niezbędni — odparł Ahmed.

— Ahmedzie, szpiegowskie satelity przeczesują Irak, jeśli wykryją obóz wojskowy, to w dniu, w którym Amerykanie zdecydują się na zrzućenie bomb, zrównają to miejsce z ziemią. Wydaje mi się, że inaczej musimy się zabrać do rzeczy. Żadnych namiotów wojskowych ani żołnierzy, W każdym razie nie więcej niż ta czwórka, która wystarczy do odstraszenia rabusiów. Jeśli zdecyduję się tu kopać, to tylko w towarzystwie cywilów i korzystając ze sprzętu cywilnego.

— A zdecyduje się pan? – zapytała z niepokojem Clara.

— Jeszcze nie wiem. Chcę zobaczyć te dwie tabliczki, o których mi państwo opowiadali, i oczywiście pozostałe, które ponoć zostały już znalezione, z podpisem tego Szamasa. Dopóki ich nie zbadam, nie wyrobię sobie zdania. Wszystko to wydaje się interesujące; uważam, podobnie jak pani mąż, że mamy do czynienia ze starym pałacem-świątynią i że poza że poza tabliczkami możemy znaleźć coś więcej. Nie odważyłbym się jednak tego stwierdzić z całą stanowczością. Muszę sobie tylko udzielić odpowiedzi na pytanie, czy to, co tu widzę, warte jest przyjazdu dwudziestu lub trzydziestu osób, i czy warto ponosić tak wysokie koszty. Okoliczności nic należą do najbardziej sprzyjających. Któregoś

pięknego dnia pojawią się tu bombowce Wujka Sama i zaczną nam dokuczać. Zrównają Irak z ziemią i nie widzę powodu, dlaczego nie mieliby zacząć od nas, skoro sami wpadniemy im w ręce. Wątpię, by zdołał powstrzymać ich fakt, że staramy się ocalić ruiny świątyni-pałacu pochodzącej sprzed wielu wieków przed narodzeniem Chrystusa. Do czego zmierzam: przyjazd do Iraku w takiej chwili oznacza narażanie się na ryzyko. Może po wojnie...

— Nie możemy zostawić tego w takim stanie! Wszystko obróci się w pył! — wykrzyknęła Clara.

— Ma pani rację. Samoloty nie zostawią kamienia na kamieniu, wszystko zmieni się w żółty piasek. Pytanie brzmi: czy chcę nadstawić karku, nie wspominając o wykładaniu pieniędzy na taką przygodę. Żaden ze mnie Indiana Jones i muszę obliczyć, ryzykując, że popełniam błąd w rachunkach, ile czasu może zabrać jankesom decyzja o rozpoczęciu bombardowania, jak długo będą formowali swoje bataliony, by je tutaj przemieścić, ile czasu potrzebujemy, żeby osiągnąć jakieś rezultaty.

Wojna wybuchnie najdalej za sześć lub osiem miesięcy. Poczytajcie sobie gazety. Już jakiś czas temu odkryłem, że w gazetach wszystko jest napisane, ale ilość informacji jest tak duża, a informacje tak sprzeczne, że w końcu nie widać rzeczy oczywistych. Czy sześć miesięcy wystarczy, by coś osiągnąć? Moim zdaniem to za krótko. Wiedzą państwo, że wykopaliska o takim zasięgu wymagają lat pracy.

— Co oznacza, że decyzja została już dawno podjęta. Przyjechał pan tylko z ciekawości — stwierdziła z goryczą Clara.

— Tak, przyjechałem, bo byłem ciekawy. A co do decyzji, jeszcze jej nie podjąłem. Sam dla siebie jestem adwokatem diabła.

— Tabliczki, które chce pan zobaczyć, znajdują się w Bagdadzie. Pokażemy je panu. Wcześniej jednak wolelibyśmy, żeby wyrobił pan sobie jakieś zdanie na temat tego miejsca — powiedział Ahmed.

Wójt zaprosił ich na herbatę i zaproponował coś do zjedzenia. Przyjęli zaproszenie, dokładając do poczęstunku prowiant, który ze sobą przywieźli. Ahmed i Clara ze zdziwieniem usłyszeli, że Picot rozmawia po arabsku,

— Dosyć dobrze zna pan arabski. Gdzie się pan nauczył? – chciał wiedzieć Ahmed.

— Zacząłem uczyć się tego języka w dniu, w którym odkryłem, że moim powołaniem jest archeologia. Gdybym chciał kopać, to w dużej mierze robiłbym to w krajach arabskojęzycznych, a że nigdy nie lubiłem korzystać z pomocy pośredników, w tym tłumaczy, postanowiłem nauczyć się tego języka. Nie mówię bezbłędnie, ale wystarczająco dobrze rozumiem i inni też mnie rozumieją.

— Czy również czyta pan i pisze w tym języku? — dociekała Clara.

— Owszem, nauczyłem się również tego.

Wójt okazał się bystrym człowiekiem i był zachwycony, że może ich u siebie gościć. Jeśli zdecydują się rozpocząć wykopaliska, sprowadzą dobrobyt na ludzi w okolicy.

Znał Clarę i Ahmeda, gdyż prowadzili tu już prace, przerwane z powodu braku środków.

— Wójt zaprasza nas na noc do swojego domu. Możemy spać również w namiocie, który przywieźliśmy. Jutro moglibyśmy zwiedzić okolicę. Możemy dotrzeć nawet do Ur, albo jeszcze dziś wrócić do Bagdadu. Pan decyduje.

Yves Picot nie zwlekał z podjęciem decyzji. Uznał, że najlepiej będzie spędzić noc w Safranie, by następnego dnia lepiej poznać okolicę. Ta podróż nabierze dla niego nowego wymiaru. Lot helikopterem z Bagdadu, bezkresna samotność żółtej ziemi, trud i niewygoda — to wszystko pachniało przygodą. Pomyślał, że być może nigdy nie wróci w to miejsce, a jeśli nawet wróci, przyjedzie z nim przynajmniej dwadzieścia osób, nie będzie więc cieszył się spowijającym wszystko spokojem.

Ahmed liczył się z tym, że zostaną na noc. Pułkownik wydał rozkaz żołnierzom, którzy stanowili ich eskortę, by zabrali namioty i porcje suchego prowiantu, on zaś i tak poprosił Fatimę, by przygotowała coś do jedzenia. Postarała się jak zwykle, nakładając do kilkunastu plastikowych pojemników sałatki, humus, smażonego kurczaka, kanapki i owoce.

Clara protestowała na widok takiej góry jedzenia, ale Fatima nie zamierzała wypuścić ich z domu bez tych wszystkich zapasów.

Żołnierze rozbili dwa namioty nieopodal obozu swoich kolegów, którzy pilnowali ruin. Picot mógł mieszkać z nimi, drugi namiot zajmą Ahmed i Clara. Jednak wójt uparł się, by Clara z Ahmedem nocowali w jego domu, i tak też postanowiono, ku radości Picota, który dostał do swojej dyspozycji cały duży namiot.

Wypili herbatę, pogryzając orzeszki pistacjowe, wraz z innymi ludźmi, którzy zebrali się w domu wójta. Miejscowi zaproponowali, że będą pracowali przy wykopaliskach. Chcieli od razu umówić się na dzienną stawkę. Ahmed, któremu sekundował Picot, rozpoczął długie targi.

O dwudziestej drugiej wieś pogrążona była w ciszy.

Clara i Ahmed odprowadzili Picota do jego namiotu, po czym udali się do ruin, które tak ich oczarowały. Usiedli na piasku, opierając się o mury pałacu sprzed kilku tysięcy lat, z cegieł lepionych z suszonej gliny zmieszanej ze słomą. Ahmed zapalił papierosa i podał ogień Clarze. Oboje palili, jednak codziennie obiecywali sobie, że to ich ostatni papieros. W Iraku

kobiety palą w domach i innych pomieszczeniach, ale nigdy na ulicy. Clara przestrzegała tej zasady.

Pod rozświetlonym gwiazdami przejrzystym niebem noc była coraz chłodniejsza. Clara drzemała, próbując sobie wyobrazić, jak wyglądało to miejsce dwa tysiące lat temu. Przez otulającą wszystko ciszę zaczęły do niej docierać głosy. Wieśniacy, skrybowie, królowie, byli tam wszyscy, przesuając się przed jej zamkniętymi oczami, równie realni jak noc.

Szamas. Jaki był Szamas? Abrahama, ojca wszystkich ludzi, wyobrażała sobie jako pasterza, koczownika, którym rzeczywiście był, mieszkającego w namiocie, wędrującego skrajem pustyni ze stadem kóz i owiec, śpiącego pod gołym niebem w nocie rozgwieżdżone jak ta.

Abraham miał pewnie długą siwą brodę oraz gęste i poplątane włosy. Był wysoki, owszem, widziała, że jest wysoki, imponujący, gdziekolwiek się pojawił, budził szacunek.

Biblia przedstawiała go jako mężczyznę sprytnego i twardego, wodza ludzi, nie tylko przewodnika stad owiec.

Tylko dlaczego Szamas poszedł za plemieniem Abrahama aż do Charanu, a potem zawrócił? Można to było wywnioskować z treści resztek znalezionych w Safranie tabliczek.

- Obudź się, Claro, już późno.
- Nie śpię.
- Owszem, zasnąłś. Chodź, czas na nas.
- Idź sam, Ahmedzie, ja zostanę jeszcze chwilę.
- Jest późno.
- Dopiero jedenasta. Zresztą żołnierze trzymają wartę, nic mi się nie stanie.
- Claro, proszę cię, nie zostawaj tu sama.
- Możesz zostać ze mną, posiedzieć w ciszy. Chce ci się spać?
- Nie bardzo. Zgoda, wypalę jeszcze jednego papierosa i idziemy, dobrze?

Clara nie odpowiedziała. Nie zamierzała ruszać się z tego miejsca, chciała nadal czuć pod łopatkami chłód twardej cegły.

8

Ili objął Szamasa. Chłopiec wyruszał w drogę wraz ze swoim plemieniem, nauczyciel czuł więc ukłucie żalu, ale jednocześnie ulgę. Tego chłopca nie sposób było utrzymać w ryzach. Owszem, był inteligentny, ale jednocześnie nie potrafił skupić się na niczym, co go nie interesowało. Na pewno już go więcej nie zobaczy, chociaż nie pierwszy raz plemię Teracha wypuszczało się na północ w poszukiwaniu pastwisk, wioząc towary na sprzedaż.

Słyszał, jak mężczyźni mówili, że być może tym razem przekroczą Tygrys, by dotrzeć aż do Aszuru, a stamtąd do Charanu.

Którędykolwiek by szli, z pewnością upłynie dużo czasu, zanim znów się zobaczą. O ile wrócą wszyscy.

— Będę pamiętał twoje nauki — obiecywał Szamas.

Ili mu nie wierzył. Dobrze wiedział, że wiele z tego, czego uczył dzieci, rozplywa się w powietrzu, a podczas niejednej lekcji Szamas wcale go nie słuchał. Klepnął więc tylko ucznia po ramieniu i podał mu garść rysików z trzciny i kości. Był to dar dla ucznia, którego nigdy nie zapomni, ponieważ przeżył przez niego niejedną słodko-gorzka chwilę.

Wstawało słońce. Ponad pięćdziesiąt osób przygotowywało się do marszu wraz ze swymi zwierzętami.

Szamas poszukał Abrama, który siedł na przedzie obok Jardina i innych mężczyzn. Nie mogli ustalić, którym ruszyć szlakiem. Zmęczony Terach zakończył te dyskusje, nakazując, by nie oddalali się od Eufratu, tylko zbliżyli do Babilonii, minęli Mari, a stamtąd pomaszerowali do Charanu, zanim w końcu skierują się na Kanaan.

Chłopiec zrozumiał, że musi upłynąć parę dni, zanim będzie mógł poprosić Abrama, by zaczął snuć swoją opowieść o stworzeniu świata.

Pewnego popołudnia, kiedy kobiety grzały wodę, a mężczyźni liczyli owce i kozy, Szamas zobaczył, jak Abram oddala się ścieżką wzdłuż rzeki.

Szedł tak dłuższy czas, następnie usiadł na dużym płaskim kamieniu nad rzeką, do której w roztargnieniu wrzucał kamyczki.

Szamas uświadomił sobie, że Abram pogrążony jest w medytacji, siedział więc cicho jak mysz pod miotłą, by mu nie przeszkadzać. Zaczeka, aż będzie wracał do obozu, i wtedy z nim porozmawia.

Po chwili usłyszał, że Abram go wzywa.

— Chodź, usiądź tu obok mnie — powiedział, wskazując chłopcu kamień.

— Wiedziałeś, że tu jestem?

— Tak. Szedłeś za mną od samego obozu, wiedziałem jednak, że nie będziesz mi przeszkadzał, dopóki nie skończę rozmyślać.

— Rozmawiałeś z Nim?

— Nie, dzisiaj nie chciał ze mną rozmawiać. Szukałem go, ale nie czułem Jego obecności.

— Być może dlatego, że ja byłem blisko...

— Być może. Ale może nie miał mi nic do powiedzenia.

Szamas uspokoił się, słysząc taką odpowiedź. Wydawało mu się to naturalne, że Bóg nie będzie mówił po to tylko, żeby mówić.

— Przyniosłem rylce. Dostałem je od Ilięgo.

— Pogodziliście się w końcu?

— Staralem się być lepszym uczniem, wiem jednak, że nie odrabiałem lekcji tak starannie, jak wszyscy tego po mnie oczekiwali. Nie o to chodzi, że nie chciałem się nauczyć, ale..

— Wolisz wędrować z plemieniem?

— Przez resztę moich dni?

— Tak, zawsze.

— A mogę nauczyć się wszystkiego tego, co wie Ili, wciąż będąc w drodze?

— Są inne miejsca, w których mogą cię czegoś nauczyć.

— Właśnie dlatego za tobą idę. Chcę cię prosić, żebyś zaczął mi opowiadać, w jaki sposób On stworzył świat i dlaczego.

— Tak zrobię.

— Ale kiedy?

— Moglibyśmy zacząć już jutro.

— A dlaczego nie teraz?

— Ponieważ się ściemnia i twoja matka będzie się martwiła, bo nie wie, gdzie jesteś.

— Masz rację. Jutro. O jakiej porze?

— Powiem ci w odpowiedniej chwili. Chodźmy.

Nie zaczęli jednak ani nazajutrz, ani dnia następnego. Długie wędrówki, pilnowanie stad, kłótnie z wieśniakami w miejscach, gdzie rozbijali obóz, uniemożliwiały Abramowi znalezienie spokoju niezbędnego, by wytłumaczyć Szamasowi, dlaczego On stworzył świat. Chłopak jednak nieustannie pytał go o tego Boga potężniejszego niż Enlil, Ninurta, a nawet Marduk, tak więc podczas długiej wędrówki w stronę Charanu Szamas słyszał, jak Abram opowiada, że jest tylko jeden Bóg, a reszta to tylko gliniane figury.

— W takim razie Marduk nie walczył przeciwko Tiamat?

— Tiamat, bogini chaosu... – odpowiadał Abram, uśmiechając się. – Wierzysz, że istnieje Bóg odpowiedzialny za chaos, inny za wodę, a jeszcze inny zajmuje się zbożem, owcami, kozami?

— Tak mówił Ili. Widzisz, Marduk walczył przeciwko Tiamat i ją przepołowił, z jednej połówki zrobił niebo, z drugiej zaś Ziemię. Z jego oczu wytrysnęły Tygrys i Eufrat, a z krwi małżonka tej bogini, czyli boga Kingu, uformował człowieka. Marduk powiedział do Ei: „Będę mieszał krew i kształtował kości. Stworzę dziką istotę, jej imię zaś brzmieć będzie »człowiek«. Stworzę byt ludzki, człowieka, który zajmie się kultem bogów, by było im dobrze i żeby byli zadowoleni”.

Szamas powtarzał wiele razy słowa słyszane z ust Ilięgo, który nalegał, by jego uczniowie nauczyli się *Enuma Elisz*, poematu o stworzeniu człowieka.

— Niezgorzej ci to wychodzi, najwyraźniej zostało ci coś w głowie z nauk Ilięgo.

— Owszem. Powiedz mi jednak prawdę, czy Marduk istnieje?

— Nie, me istnieje.

— Istnieje tylko twój Bóg?

— Istnieje tylko Bóg.

— W takim razie wszyscy inni ludzie, poza tobą, się mylą?

— Ludzie usiłują wytłumaczyć sobie wszystko, co dzieje się dookoła, i patrzą w niebo, myśląc, że jest tam jakiś bóg od każdej sprawy. Gdyby zamiast tego zajrzeli do swoich serc, znaleźliby odpowiedź.

— Ja staram się zaglądać do swego serca, tak jak mi mówisz, niczego tam jednak nie znajduję.

— Owszem, znajdujesz. Znalazłeś drogę do Boga, bo pytasz o Niego i chcesz go spotkać.

— Czy to prawda, że zniszczyłeś warsztat, w którym Terach wyrabiał z gliny figury bogów?

— Nie zniszczyłem, chciałem tylko pokazać, że zrobione są z gliny, a wewnątrz tej gliny niczego nie ma. Mój ojciec robił bogów. Czy Terach jest może bogiem?

Chłopiec się roześmiał. Nie, z pewnością Terach nie jest bogiem. Staruszek, ojciec Abrama, z gęstą brodą, w niczym nie przypominał boga. Krzyczał gniewnie, kiedy dzieci przeszkadzały mu w odpoczynku w najbardziej upalnej porze dnia, zaś o świcie doił kozy. Bogowie nie doją kóz, tłumaczył sobie Szamas.

W miarę jak posuwali się na północ, pogoda zmieniała się niezauważalnie. Pewnego popołudnia niebo zabarwiło się na szaro i na obóz Teracha spadły miliony kropli deszczu.

Skupieni w namiotach mężczyźni rozmawiali, kobiety zaś szykowały wieczerzę, a dzieci bawiły się, wymykając się z bezpiecznej kryjówki skórzanych namiotów. Jakiś staruszek obwieścił, że znajdują się nieopodal pastwisk Charanu, Terach zdecydował więc, że urządzi tu krótki postój, gdyż na tej ziemi mieli krewnych i on sam stąd pochodził.

Szamas się ucieszył. Miał ochotę pobycić dłużej w jednym miejscu. To ciągle wędrowanie nie podobało mu się ani trochę. Tęsknił nawet za domem tabliczek i naukami Iliego. Jeśli nie liczyć rozmów z Abramem, w całym klanie nikt nie wydawał się szczególnie zainteresowany rozmową o czymkolwiek innym niż zdrowie bydła i zdarzenia mijającego dnia.

Tego wieczoru, kiedy lał deszcz, Terach tłumaczył wszystkim, że najlepiej będzie osiaść w Charanie. Szamas zapytał ojca, czy mogą znaleźć tu jakiś dom tabliczek, w którym mógłby nadal uczyć się na pisarza.

Jadin zdziwił się, słysząc z ust syna podobną prośbę.

— Myślałem, że szkoła to dla ciebie największa kara.

— Myliłem się, ojczy, wolę się uczyć niż maszerować.

— Takie jest życie nas wszystkich, nie lekceważ tego, kim jesteśmy.

— Ależ nie, ojczy, wcale tego nie lekceważę. Lubię spać pod gołym niebem i bawić się od wczesnego ranka. Nadałem imiona wszystkim naszym kozom i owcom, nauczyłem się dojenia. Mimo to tęsknię za nauką.

Ojciec Szamasa zamyślił się. Wiedział, jak inteligentny jest jego syn i jak ta podróż na północ go zmieniła.

Musi porozmawiać z Terachem i Abramem. Wspólnie zdecydują o losie chłopca.

Plemię osiadło nieopodal murów Charanu. Terach znów mieszał glinę, w czym pomagali mu synowie Abram i Nachor. Ich ręce potrafiły nadać kształt bogom, formowali również cegły i lepili naczynia. Nie brakowało im pracy, a tym samym nie groził głód, zresztą mieli jeszcze stada owiec, kóz i osłów.

Jadin poprosił Teracha, by zastanowił się, w jaki sposób Szarnas mógłby znów wrócić do nauki.

Pewnego popołudnia, kiedy słońce skłaniało się ku zachodowi, Abram wyszedł poszukać Szamasa. Znalazł go, bawiącego się z innymi dziećmi, ale mały miał wyraźnie nadąsaną minę.

— Szamasie! — zawołał Abram.

Chłopiec pośpieszył w jego stronę.

— Pomyślałem, że być może teraz, kiedy tu dotarliśmy, mógłbym ci opowiedzieć historię świata. Należałoby też wyrobić glinę i przygotować tabliczki, a skoro zabrałeś ze sobą rylce, moglibyśmy skorzystać z okazji i napisać, dlaczego Bóg nas stworzył. Wiesz, że ze wszystkich widzialnych rzeczy tylko pisma nie pokona czas?

— On ci tak powiedział?

— Czuję to. Synowie naszych synów poznają prawdziwe historie bogów, bo przed nimi inni ludzie zapisywali je na suszonej glinie. Żeby więc mogli poznać Jego i dowiedzieć się, jakich dokonał czynów, my, Szamasie, im to opowiemy.

— My?

— Tak, ja ci będę opowiadał, ty zaś będziesz wszystko zapisywał. Sam na to wpadłeś, zanim wyszliśmy z Ur.

— Tak też zrobimy — odpowiedział wesoło chłopak, uświadomiwszy sobie doniosłość swojego zadania. — Kiedy możemy zacząć?

— Jutro, zanim słońce zacznie chylić się ku zachodowi, będziesz miał gotowe tabliczki. Spotkamy się wśród palm, nieopodal namiotów, i tam opowiem ci historię świata.

Przejęty Szamas pobiegł do namiotu. Dawno nie prowadził trzcinki po powierzchni tabliczki, może zapomniał, jak to się robi? Poprosił więc rodziców, by pozwolili mu naszykować tabliczki do ćwiczeń. Nie chciał rozczarować Abrama, ale przede wszystkim nie chciał rozczarować siebie samego.

Kiedy tabliczki były już gotowe, wykaligrafował, tak jak nauczył go Ili, na szczycie każdej z nich swoje imię: SZAMAS.

„Zapiszę wkrótce historię świata. Opowie mi ją Abram. W ten sposób ludzie dowiedzą się, po co On nas stworzył”.

Mały skryba popatrzył na nakreślone znaki, nie do końca zadowolony z ich kształtu. Stracił płynność w prowadzeniu trzcinki, pismo było koślawe. Postanowił, że będzie ćwiczył, dopóki to, co napisze, mu się nie spodoba.

„Marduk jest tylko glinianą figurką. Bogowie z gliny to nic innego niż glina. Boga, o którym mówi Abram, nie widać, dlatego jest Bogiem. Nie można go ukształtować rękami ani rozłupać”.

Ponownie przyjrzał się tabliczkom krytycznym okiem.

— Co piszesz, Szamasie? — spytał ojciec, zaglądając mu przez ramię.

— Tylko ćwiczę, ojczu.

— Nie przejmuj się aż tak – poradził mu Jadin.

— Przecież nie mogę napisać historii świata takimi kulfonami! Sam siebie nie potrafię odczytać — skarżył się chłopiec.

— Cierpliwości, uda ci się.

„Jest tylko jeden Bóg na Niebie i Ziemi i nie dzieli się swoją władzą z nikim innym”, pisał Szamas. Nie przerywał tego zajęcia, dopóki światło słoneczne nie zgasło na horyzoncie i jedyne, co mógł zrobić, to położyć się spać.

Rano, gdy tylko wstało słońce, Szamas prosił ojca, by przygotował dla niego nowe tabliczki. Zamierzał nadal wprawiać się w pisanie. Nie chciał, by Abram się za niego wstydził, kiedy zabierze się do czytania tego, co mu opowiada.

Jadin pomógł synowi w przygotowaniu całej sterty tabliczek. Później musi wybrać się do miasta, by porozmawiać z kapłanami, którzy być może podjęliby się dokończenia edukacji Szamasa. Terach obiecał, że z nim pójdzie, gdyż był znany w całym mieście.

„Żeby rozmawiać z Bogiem, musimy znaleźć go w naszym sercu. Abram mówi, że On nie przemawia słowami, ale że każe ludziom czuć to, co chce, by robili. Ja szukam w swoim wnętrzu, ale nie jestem jeszcze godny Go słuchać. Wydaje mi się, że spośród nas wybrał tylko Abrama”.

Tak pisał Szamas przez cały dzień, a gdy słońce skryło się za horyzontem, szybko skierował się do gaju palmowego, gdzie czekał na niego wuj.

Szamas pokazał tabliczki, Abram zaś nie dał po sobie poznać, czy jest zadowolony, czy też nie.

— Staraleś się, a to dużo, Szamasie.

— Postaram się zrobić to lepiej.

— Wiem o tym.

Chłopiec usiadł, opierając się plecami o pień palmy, z tabliczką na kolanach, a ponieważ był leworęczny, z trzcinką w lewej ręce.

Abram zaczął mówić, a jego słowa wydawały się z samego nieba.

Na początku stworzył Bóg niebo i ziemię. A ziemia była chaosem i pustkowiem, ciemność była nad otchłanią, a Duch Boży unosił się nad powierzchnią wód.

I rzekł Bóg: „Niech stanie się światłość!”. I stała się światłość. Bóg, widząc, że światłość była dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość „dnem”, a ciemność nazwał „nocą”. I nastał wieczór i nastał poranek — dzień pierwszy.

Potem rzekł Bóg: „Niechaj powstanie sklepienie pośród wód i niechaj oddzieli wody od wód!”. Uczynił więc Bóg sklepienie, i oddzielił wody pod sklepieniem. A gdy tak się stało, Bóg nazwał to sklepienie „niebem”. I nastał wieczór, i nastał poranek — dzień drugi.

Rzekł Bóg: „Niech się zbiorą wody spod nieba na jedno miejsce i niech ukaze się suchy ląd!”. A gdy tak się stało, Bóg nazwał tę powierzchnię „ziemią”, a bezmiar wód nazwał „morzem”. Bóg, widząc, że to było dobre, rzekł: „Niech się ziemia zazieleni: trawą, wydającą nasienie, i drzewem owocowym, rodzącym według rodzaju swego owoc, w którym jest jego nasienie na ziemi”. I tak się stało. A Bóg widział, że to było dobre. I tak nastał wieczór, i nastał poranek — dzień trzeci.

Potem rzekł Bóg: „Niech powstaną światła na sklepieniu niebios, aby oddzielały dzień od nocy, aby wyznaczały pory roku, dni i lata. Niech będą światłami na sklepieniu niebios, aby świecić nad ziemią”. I tak się stało. I uczynił Bóg dwa wielkie światła: większe światło, aby rządziło dnem, i mniejsze, aby rządziło nocą, oraz gwiazdy. I umieścił je Bóg na sklepieniu niebios, aby świeciły nad ziemią, aby rządziły dnem i nocą, i oddzielały światłość od ciemności. I widział Bóg, że to było dobre.

I nastał wieczór, i nastał poranek — dzień czwarty.

Potem rzekł Bóg: „Niechaj zaroją się wody mrowiem istot żywych, a ptactwo niechaj lata nad ziemią pod sklepieniem nieba!”. Tak stworzył Bóg wielkie potwory i wszelkie żywe istoty, którymi zaroily się wody, według ich rodzajów, nadto wszelkie ptactwo ruchliwe skrzydlate według rodzajów. I widział Bóg, że to było dobre, i pobłogosławił je tymi słowami: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napełniajcie wody w morzach, a ptactwo niech się rozmnaża na ziemi”. I nastał wieczór, i nastał poranek – dzień piąty.

Rzekł Bóg: „Niech wyda ziemia istotę żywą według rodzaju jej: bydło, płazy i dzikie zwierzęta według rodzajów ich!”. I tak się stało. I uczynił Bóg dzikie zwierzęta według rodzajów ich, i bydło według rodzaju jego. I widział Bóg, że to było dobre.

Wreszcie rzekł Bóg: „Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas. Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem niebios, nad bydłem i nad całą ziemią, i nad wszelkim płazem pełzającym po ziemi!”.

I stworzył Bóg człowieka na obraz swój. Na obraz Boga stworzył go. Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich.

I błogosławił im Bóg i rzekł do nich: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napełniajcie ziemię, i uczynicie ją sobie poddaną. Panujcie nad rybami morskimi, nad ptactwem niebios i nad wszelkimi zwierzętami, które się poruszają po ziemi”.

I rzekł Bóg: „Oto daję wam wszelką roślinę wydającą nasienie na ziemi i wszelkie drzewa, których owoc ma w sobie nasienie, niech będzie dla was pokarmem. A wszystkim dzikim zwierzętom i wszelkiemu ptactwu niebios, i wszelkim płazom, w których jest tchnienie życia, daję na pokarm wszystkie rośliny”, I tak się stało. I Bóg spojrział na wszystko, co uczynił, a było to bardzo dobre.

I nastał wieczór, i nastał poranek — dzień szósty.

Tak zostały stworzone niebo i ziemia, i wszystko, co na ziemi żyje.

I ukończył Bóg w siódmym dniu dzieło swoje i odpoczął dnia siódmego po całym swym trudzie, jaki podjął, i pobłogosławił Bóg dzień siódmy i poświęcił go, bo w nim odpoczął po całej swej pracy, którą wykonał, stwarzając świat.

Oto jak został stworzony świat.

Abram siedział w ciszy, kiedy Szamas stawiał ostatnie znaki na tabliczce. Chłopiec nie podniósł wzroku i Abram zdał sobie sprawę z wysiłku, jakim było dla niego napisanie każdej linijki w pionowych kolumnach, bez popełnienia najmniejszego błędu.

Szamas podał Abramowi tabliczki. Niektóre znaki były trochę niewyraźne, ale chłopcu udało się wiernie zapisać historię stworzenia świata.

— Teraz schowaj te tabliczki w bezpiecznym miejscu, żeby twoi bracia nie mogli ich potłuc i żeby nie przeszkadzały twojej matce. Zapytaj ojca, on ci podpowie gdzie. A teraz słucham, co myślisz o tym, co ci opowiedziałem?

— Myślę, że...

— Powiedz, czego się obawiasz?

— Nie chcę cię obrazić, Abramie, ale stworzenie świata przez Boga przypomina stworzenie świata przez innych bogów.

— Owszem, ale są liczne różnice.

— Jakie?

— Chociażby takie, że w poemacie *Enuma Elisz*, którego recytowania nauczył cię Ili, Marduk stwarza człowieka, mordując boginię Tiamat i jej męża, boga Kingu. Ale Marduk przecież także musiał zostać stworzony. Jednakże bogowie niczego sami nie tworzą, czynią

człowieka z tego, co mają, kto zatem stwarza to, co mają? Bóg tworzy, bo tak postanawia, i tworzy z niczego, albowiem nie potrzebuje niczego stwarzać.

— Jednakże jest jakieś podobieństwo między tym, co opowiadasz mi ty i co opowiadał Ili.

— Owszem, coś łączy te dwie historie. Ludzie dawno przeczuwali, jakie były początki stworzenia, i wyobrazili sobie historie bogów, by je wyjaśnić.

— A dlaczego po prostu nie posłuchali Jego?

— Bo nie jest łatwo Go słuchać. Zanadto przejmujemy się sami sobą. Bóg nas ukarał, ukarał wszystkich ludzi, pierwszych ludzi i tych, którzy nastaną po nas, każąc nam zdobywać środki do życia pracą własnych rąk, cierpieć ból i choroby, wędrować po ziemi, tak też człowiek ma mało czasu na poszukiwanie Boga.

— A dlaczego nas ukarał? Dlaczego wszystkich ludzi? Ja jeszcze nic nie zbroiłem, przynajmniej nic poważnego.

— Masz rację, ale nasi ojcowie zgrzeszyli i wszystkich nas skazali na potępienie.

— Nie wydaje mi się to sprawiedliwe.

— Kim jesteś, by osądzać Boga?

— Ale dlaczego mam się godzić na karę za niepopelnione winy?

— Jutro ci to opowiem. Przynies tabliczki i trzcinkę.

Było już prawie zupełnie ciemno, więc Abram wraz z Szamasem skierowali się do obozu, w którym wszyscy szykowali się do odpoczynku po długim dniu. Jadin dał znak Abramowi, chciał porozmawiać z nim w cztery oczy.

— Mój syn nie jest szczęśliwy – zaczął.

— Wiem...

— Tęskni za Ur, nawet za Ilim. Chce się uczyć. Byliśmy z Terachem w świątyni. Przyjmą go do szkoły, ale boję się, że opowie komuś twoje historie i ściągnie na nas kłopoty. Poproś go, by nie rozpowiadał na prawo i lewo, że istnieje tylko jeden Bóg, bo w końcu dotrze to do królewskich uszu i może być z nami źle.

— Jadinie, ty wierzysz...

— Owszem, Abramie, ale musimy być rozsądni. Twój ojciec również będzie z tobą rozmawiał.

Plemię zamierzało zostać w Charanie przez jakiś czas, zanim podejmie wędrowkę ku Ziemi Kananejskiej. Mężczyźni zabrali się do wznoszenia domów z gliny mieszanej ze

słomą, w których mieli zamieszkać. Jadin zaproponował Szamasowi, by swoje tabliczki ukrył w dołku wykopanym w ziemi.

Każdego dnia Szamas niecierpliwie wyczekiwał pory, kiedy zasiądą z Abramem w cieniu palm.

Wiedział już, dlaczego Bóg ukarał ludzi. Adam okazał się niewybaczalnie głupi. Bóg stworzył raj, w którym człowiek mógł mieszkać, ogród obfitujący we wszelkiego rodzaju drzewa dające owoce, zaś pośrodku tego ogrodu umieścił drzewo poznania dobra i zła, jedyne drzewo, do którego nie wolno było się człowiekowi zbliżać, bo jeśli zjadłby jego owoce, umarłby.

— Nie pojmuję, dlaczego je w końcu zjedli – mówił Szamas.

— Ponieważ Bóg dał ludziom wolność wyboru. Powiedz, Szamasie, pamiętasz, jak Ili zabronił wam wyskakiwać ze szkoły przez okno, żebyście nie zrobili sobie krzywdy?

— Pamiętam.

— Ilu z was go posłuchało?

— Cóż, ja skakałem...

— Ty i wielu twoich kolegów. Jeden czy drugi, jeśli mnie pamięć nie myli, złamał sobie nogę. Masz przyjaciół, którzy już nigdy więcej nie mogli chodzić tak jak przed skokiem. Prawda, że wiedzieliście, że tak to się może skończyć?

— Tak.

— A mimo to skakaliście.

— Złamać sobie kość to nie to samo co umrzeć — upierał się Szamas.

— Nie, to nie to samo. Ale Adam i Ewa wierzyli, że jeśli zjedzą owoc z tego drzewa, to zamienią się w bogów, dlatego nie mogli oprzeć się pokusie, spróbowali. Kiedy rzucaliście się z okna, żaden z was nie myślał o tym, że możecie zrobić sobie krzywdę; Adam i Ewa również o tym nie myśleli.

— Wczoraj uświadomiłem sobie, że stworzenie Ewy przypomina historię Enki i Ninhursag.

— Dlaczego? — zapytał Abram, będąc pod wrażeniem świetnej pamięci chłopca, który musiał być jeszcze bardzo mały, kiedy słuchał tych historii z ust nauczyciela w domu tabliczek.

— Enki również mieszka w raj — odpowiedział Szamas — gdzie „kruk nie wydaje z siebie krakania, ptak ittidu nie wydaje z siebie krzyku ptaka ittidu, lew nie zabija, wilk nie

porywa...". Zresztą znasz to lepiej niż ja. W tym raju również nie ma miejsca na ból, a Ninhursag bez bólu wydaje na świat inne boginie. Ninhursag stworzyła osiem roślin, Enki zaś jadł owoce tych roślin, co rozgniewało Ninhursag, która skazała go za to na śmierć. Potem, widząc, jak cierpi, stworzyła inne bóstwa, by wyleczyły go z tych chorób. Przypominasz sobie, jak było w poemacie? Ninhursag mówi do Enki: „Bracie mój, gdzie cię boli?” „Boli mnie ząb”. „Wydałam na świat boginię Ninsutu dla ciebie”. Potem stwarza Ninti, „boginię żebra”, by wyleczyć go z dolegliwości w tej części ciała. Enki choruje, ponieważ zjadł rośliny, których nie wolno mu było jeść, i ponosi za to karę. Adam i Ewa zjadają owoc z drzewa poznania dobra i zła i od tej chwili są skazani na śmierć. Oni i my.

— Będzie z ciebie mądry człowiek, Szamasie. Pragnąłbym tylko, byś nauczył się używać mądrości, by dotrzeć do Niego i by rozum nie przesłonił ci drogi.

— W jaki sposób rozum może mnie oddalić od Boga?

— Bo możesz sobie uwierzyć, że rozumiesz już wszystko, wyobrazić sobie, że wszystko już wiesz. Może się tak stać, albowiem jesteśmy odbiciem Boga.

— Dlaczego Bóg umieścił przy wejściu do ogrodu Eden cherubinów z lśniącymi mieczami?

— Już ci powiedziałem: by przeszkodzić człowiekowi w jedzeniu owoców z drzewa życia i odzyskaniu nieśmiertelności.

— Skąd wiemy, czym jest nieśmiertelność?

— Bo nosimy jej wspomnienie zapisane w sercu.

9

Kapłan, wysoki, szczupły szatyn o ruchach zdradzających zdenerwowanie, przechadzał się po Bazylice Świętego Piotra, ale żadne miejsce nie wydało mu się odpowiednie, by uklęknąć i pomodlić się w samotności i skupieniu. Bazylika wydawała mu się obca, niczym pomnik potęgi i pychy człowieka, a nie dom Boży. Dwa razy przeszedł przed *Piętą* Michała Anioła, ale tylko w bieli marmuru dostrzegał ślady duchowości.

Już od wielu dni nie czuł upływu czasu, tylko się modlił. Nie wiedział, jak długo trwa jego rozpacz i desperacja. Boga nie ma, zostawił go sam na sam z jego sumieniem, niemogącego znaleźć sobie miejsca.

Wyszedł na plac Świętego Piotra, ale nawet wrześnie słońce nie zdołało ogrzać jego duszy.

Nie powiodło mu się poszukiwanie Tannenberga. Nie dotarł na czas, by porozmawiać z tamtą kobietą, która odleciała do Ammanu.

Kusiło go, żeby kupić bilet na następny samolot do stolicy Jordanii, lecz bał się, że kiedy się tam znajdzie, nie będzie potrafił jej odnaleźć.

Odchodził od zmysłów. Bezczynność doprowadzała go do szału. Snuł się z kąta w kąt, nie mógł się niczym zająć. Nie chciał z nikim rozmawiać, nawet ze swoim ojcem, który dzwonił rano. Ksiądz nie podszedł jednak do telefonu, poprosił, by powiedziano, że go nie ma.

— Gian Maria...

Młody człowiek drgnął. Przestraszył się głębokiego głosu księdza Francesca.

— Ojciec...

— Przyglądam ci się już od jakiegoś czasu. Snujesz się jak grzeszna dusza w czyśccu. Co się stało?

Ojciec Francesco był od ponad trzydziestu lat spowiednikiem w Watykanie. Wysłuchał i przebaczył wszystkie nieszczęścia i słabości, o jakich opowiadali mu ludzie, chcąc zrzucić z siebie ich ciężar i znaleźć przebaczenie. Cenił tego młodego księdza, który

przed paroma miesiącami zaczął udzielać się jako spowiednik w bazylice. Gian Maria emanował nadzieją i dobrocią, a jego niezachwiana wiara była niezwykle krzepiąca.

Ojciec Francesco martwił się, że od kilku dni nie widuje młodego księdza, kiedy zaś o niego pytał, słyszał w odpowiedzi, że chłopak nie czuje się najlepiej. Teraz, kiedy go wreszcie zobaczył, uświadomił sobie, że dolegliwość prawdopodobnie uwiła sobie gniazdo w duszy młodzieńca.

— Ojcze Francesco, ja... nie mogę tego ojcu wyznać.

— Dlaczego? Być może zdołam księdzu pomóc.

— Nie mogę złamać tajemnicy spowiedzi.

Starszy kapłan nie odpowiedział. Wziął młodszego księdza pod ramię i oznajmił:

— Zapraszam cię na kawę.

Gian Maria opierał się, ale ojciec Francesco nie ustępował.

— Tajemnica spowiedzi jest czymś świętym, nigdy w życiu nie nakłaniałbym cię, byś ją naruszył, ale być może potrafię pomóc ci pozbyć się cierpienia, jakie widzę na twojej twarzy.

Weszli do kawiarni leżącej poza terenem Watykanu, gdzie o tej porze nie było zbyt wielu gości.

Ojciec Francesco poprowadził rozmowę w taki sposób, by nie zmuszając Giana Marii do wyjawiania tajemnicy, pomóc mu ocenić skalę problemu. Rozmawiali blisko godzinę, po czym Gian Maria zapytał wprost:

— Ojcze Francesco, gdyby wiedział ojciec, że ktoś zamierza zrobić coś strasznego, starałby się ojciec temu zapobiec?

— Oczywiście. My, kapłani, mamy obowiązek zapobiegania złu.

— Jednak żeby to zrobić, być może będę musiał wyjechać, a i tak nie mam pewności, czy mi się uda...

— Musisz to jednak zrobić.

— Nie wiem, od czego zacząć...

— Jesteś inteligentny, Gian Mario, wiesz, że musisz podjąć decyzję, a gdy już to zrobisz, będziesz wiedział, w jaki sposób stawić czoło złu, któremu chcesz zapobiec.

— Czy mój przełożony zgodzi się, żebym wyjechał? Nie wiem, jak długo mnie nie będzie...

— Porozmawiam z ojcem Pio. To mój stary przyjaciel, razem studiowaliśmy w seminarium. Poproszę go, by udzielił ci dyspensy na wyjazd.

— Dzięki, ojciec. Naprawdę ojciec to zrobi? Gdy się z ojcem porozmawia, wszystko wydaje się łatwiejsze.

— Jestem pewny, że nie jest łatwo pogodzić się z tym, co cię przygnębia, ale musisz się przynajmniej postarać. Uspokój się i przemyśl wszystko jeszcze raz.

Pół godziny później ojciec Francesco wrócił do swojego konfesjonału, Gian Maria zaś nadal spacerował, szukając rozwiązania.

Kongres archeologiczny już się skończył, a Gian Maria prawie niczego się o niej nie dowiedział. „To jakaś nieznana badaczka”, mówili jedni. „Nikt ważny”, kwitowali inni. Znalazła się tu dzięki swojemu mężowi, Ahmedowi Huseiniemu. Nagle zdał sobie sprawę, że może ją odnaleźć. Tak dużo o niej myślał, że nie dostrzegał oczywistości. A przecież od początku wiedział, gdzie tej kobiety szukać.

Poczuł się głupi, ale zarazem szczęśliwy. Tak, mimo wszystko szczęśliwy. Jak mógł wcześniej na to nie wpaść?

Oparł się o jedną z kolumn na placu Świętego Piotra. Wiedział, że musi podjąć decyzję i że nie może upadać na duchu.

Jej mąż, jak mu powiedzieli, jest szefem wydziału wykopalisk w Iraku. Dlatego też, żeby się z nią spotkać, powinien po prostu pojechać do Iraku. Ta nieplanowana podróż miała wszelkie cechy pielgrzymki. Musi ją odbyć, sytuacja go do tego zmusza.

Poszedł prosto do biura podróży mieszczącego się nieopodal Watykanu i poprosił niepewnym głosem o bilet do Bagdadu.

Niestety, nie ma biletów do Bagdadu. Niełatwo teraz dolecieć do Iraku. Dlaczego ksiądz chce lecieć właśnie tam? Nie wiedział, co odpowiedzieć. Jego przyjaciele pracują w jakiejś organizacji pozarządowej i chce im pomóc, skłamał. Pracownicy biura popatrzyli na niego podejrzliwie, ale obiecali, że zobaczą, co da się zrobić.

Dwie godziny później wyszedł z agencji z biletem lotniczym do Ammanu. Uda się do stolicy Jordanii, tam spędzi noc i drogą lądową dotrze do Bagdadu. A gdy już się tam znajdzie... niech Bóg ma go w swojej opiece.

Wrócił na plebanię i przemknął się dyskretnie do swojego pokoju. Nie chciał z nikim rozmawiać ani udzielać żadnych wyjaśnień. Zaczeka, aż ojciec Francesco porozmawia z jego przełożonym, ojcem Pio. Jeśli chodzi o rodzinę, siostra będzie się niepokoiła, był tego pewny, ale mimo wszystko nie chciał się z nią żegnać, bo na pewno zmusiłaby go do mówienia, a tego chciał uniknąć.

Zamknął się w swoim pokoju, a kiedy wezwali go na kolację, wymówił się, twierdząc, że wcale nie jest głodny i chce trochę odpocząć. Nikt nie nalegał. Napisał list do rodziców, w

którym tłumaczył, że wybiera się na krótkie wakacje, musi odpocząć i pomyśleć. Będą niezadowoleni, ale nie może zrobić nic lepszego. Zdaży jeszcze do nich zadzwonić, żeby powiedzieć, że nie czuje się najlepiej.

Obudziło go światło dnia. Zapomniał zasłonić okna. Kiedy otworzył oczy, przypomniał sobie swoje postanowienie i zachciało mu się płakać. Wczoraj wszystko wydawało się takie proste... Ale w świetle nowego dnia poczuł, że osacza go bezmiar wątpliwości. Popatrzył przez okno na niebo i po raz pierwszy zadał sobie pytanie, gdzie jest Bóg.

* * *

Zmierzchało, kiedy helikopter wylądował w bazie lotniczej pod Bagdadem.

— Jest pan bardzo zmęczony? Czy zechce zjeść pan z nami kolację? — zapytał Ahmed.

— Jestem trochę zmęczony, ale nie widzę przeszkód, by razem zasiąść do stołu. Czy pokaże mi pan tabliczki?

— Wydaje mi się, że lepiej będzie, jeśli przyjdzie pan jutro rano do mojego biura. Tam może je pan do woli studiować.

— Zgoda, jutro stawię się w pana gabinecie. Gdzie będziemy jedli?

— Jeśli pan pozwoli, za godzinę po pana zajdę. Mimo blokady znajdzie się w Bagdadzie jakaś czynna restauracja.

Rano Clara nie poszła do biura swojego męża. Intuicja podszeptowała jej, że między Ahmedem a Picotem nawiązała się nić sympatii i że ona nie jest na razie potrzebna. Postanowiła więc spędzić poranek na zakupach, przechadzając się z Fatimą po uliczkach bazaru. Nad ich bezpieczeństwem czuwało czterech uzbrojonych mężczyzn.

Fatimą robiła Clarze wyrzuty, że ta nie ma jeszcze dzieci.

— Świat się zmienił, Fatimo — tłumaczyła Clara. — Ludzie chcą czegoś więcej, nie tylko dzieci, a ja jestem o krok od spełnienia marzeń. Teraz nie mogę pozwolić sobie na ciążę, nie mogłabym pracować na wykopaliskach.

— Od lat powtarzam to samo: dla ciebie nigdy nie będzie odpowiedniego momentu, żeby zostać matką. Córeczko, ludzie są tylko ludźmi, niech ci się nie wydaje, że czymś się od

siebie różnią, bo jedni chodzili do szkoły, a inni nie, albo dlatego, że mieszkają w krajach, w których panują inne zwyczaje. Krew woła o krew, raz, żeby dawać życie, kiedy indziej, by się zemścić i zadać śmierć. Ale zew krwi wszyscy czujemy w tym samym miejscu.

Fatima położyła sobie rękę na brzuchu, nie zrażając się rozbawionym spojrzeniem Clary.

— Tak, dziecko, wiem, wydaje ci się, że ze mnie starucha i że nic nie wiem o reszcie świata, o tych wszystkich miejscach, w których byłeś, niech ci się jednak nie wydaje, że tara jest inaczej. Zresztą twój mąż jest Irakijczykiem.

— Ahmed jest inny, on się tu nie wychował.

— Ale jest Irakijczykiem tak jak ty. Nieważne, skąd pochodzi twój dziad i wuj. Urodziłaś się w tym kraju, chociaż twoja matka i babka były Egipcjankami.

Koło południa Clara pojechała do Ministerstwa Kultury, a Fatimę, obładowaną zakupami, wróciła do Żółtego Domu.

Kiedy Clara dotarła do gabinetu męża, Ahmed i Picot właśnie wychodzili.

— Mało brakowało, a wyszlibyście, nawet na mnie nie zaczekawszy.

— Mieliliśmy do ciebie zadzwonić, żebyś przyszła prosto do restauracji — usprawiedliwiał się Ahmed.

Clara nie miała odwagi pytać Picota, czy podjął decyzję. Zaczekała więc cierpliwie, aż kelner przyjmie zamówienie.

— To najlepszy humus w całym Oriencie — zapewnił Ahmed.

— Owszem, bardzo smaczny — przyznał Picot.

Mężczyźni rozprawiali o humusie, nie wspominając o tabliczkach ani o decyzji Picota.

— Co pan sądzi o tabliczkach, profesorze? — spytała w końcu Clara.

Picot nie był zaskoczony. Jakby na to czekał.

— Niezwykłe! Być może to wcale nie jest szaleństwo, próbować powiązać biblijnego Abrahama z tym skrybą Szamasem. Byłoby to odkrycie o ogromnym znaczeniu. Zarówno dla naszej wiedzy historycznej, jak i dla religii. Naprawdę warto zaryzykować.

— W takim razie zamierza pan przyjechać? — dopytywała się nieśmiało Clara.

— Powiedzmy, że znajduję ważne argumenty, by się tego podjąć. Już powiedziałem pani mężowi, że udzielę mu odpowiedzi najdalej za tydzień. Jutro muszę wracać do kraju, ale wkrótce do państwa zadzwonię. Po południu sfotografujemy tabliczki. Chcę zabrać te zdjęcia, by je przeanalizować. Żałuję, że wyjeżdżam, nie poznawszy pani dziadka.

— Trochę choruje, nie jest w najlepszej formie. Albo leży w szpitalu, albo w domu. Przykro mi, on też z przyjemnością by pana poznał.

— Byłoby interesujące usłyszeć, w jaki sposób i w jakich okolicznościach znalazł pierwsze tabliczki.

— Już to panu opowiedzieliśmy — przypomniała Clara.

— Owszem, ale to nie to samo. Proszę wybaczyć, że nalegam, ale jeśli dziadek kiedyś poczuje się lepiej, chciałbym się z nim spotkać.

— Przekażemy mu pańskie słowa — obiecał Ahmed. — Jemu i jego lekarzom, bo to oni decydują.

Yves Picot odnosił wrażenie, że kłopoty ze zdrowiem to tylko wymówka. Postanowił, że jeśli tu wróci, będzie nalegał na spotkanie.

Ahmed starannie owijał tabliczki w tkaninę. Wiedział, że Tannenberg zażąda ich zwrotu, gdy tylko wrócą do domu. Nie rozstawał się z nimi, kazał nawet zamontować w swojej sypialni sejf, w którym je przechowywał. Tylko Fatima miała prawo wejść do pokoju Tannenberga, bo tylko jej ufał. Wiele lat temu pewien służący, właśnie przyjęty do pracy, zebrał straszne cięgi za to, że wszedł do pokoju Tannenberga. Biedak nie miał złych zamiarów, został jednak natychmiast odprawiony.

Tabliczki były dla Tannenberga rodzajem talizmanu. Stały się jego obsesją. A tę odziedziczyła po nim Clara.

Owinąwszy tabliczki, włożył je do metalowej kasetki.

— Dlaczego Picot tak szybko nas opuścił? — zastanawiała się Clara.

— Wyjeżdża jutro wcześniej rano. Jest zmęczony.

— Jak ci się wydaje, wróci?

— Nie wiem. Gdybym był na jego miejscu, wolałbym nie wracać.

— Jak możesz mówić podobne rzeczy?

— Przecież to prawda. Uważasz, że warto przyjeżdżać do obłąkanego kraju, żeby szukać jakichś tabliczek?

— Tu nie chodzi o tabliczki, tylko o odnalezienie Księgi Rodzaju według Abrahama. To tak, jak gdyby ktoś powiedział Schliemannowi, że nie warto szukać Troi, albo Evansowi, żeby zrezygnował z poszukiwań Knossos. Co cię ugryzło, Ahmedzie?

— Czy ty niczego nie widzisz, Claro? Nie widzisz, co się dzieje w tym kraju? Nie widzisz głodu, bo ty nie jesteś głodna. Nie widzisz żalu matek, które wiedzą, że dla ich synów

i mężów nie ma ratunku. Brakuje lekarstw, ale twojemu dziadkowi ich nie brak. Żółtego Domu te wszystkie problemy nie dotyczą.

— Dlaczego mnie atakujesz, Ahmedzie? O co chodzi? Zachowujesz się tak, odkąd wróciliśmy. Widzę, że z dnia na dzień jesteś coraz bardziej ze mnie niezadowolony, masz mi coś za złe. Dlaczego?

Przez chwilę mierzyli się wzrokiem.

— Porozmawiamy o tym kiedy indziej. To nie najlepszy moment na takie rozmowy.

— Tak, masz rację, chodźmy.

Wyszli z gabinetu. W przedpokoju czekało na nich czterech uzbrojonych mężczyzn, tych samych, którzy towarzyszyli Clara-rze wszędzie, dokądkolwiek szła.

Kiedy dotarli do Żółtego Domu, Clara udała się do kuchni, do Fatimy, Ahmed zaś do swojego gabinetu. Nastawił płytę z *Eroicą* Beethovena, nalał sobie whisky i siadając z zamkniętymi oczami na fotelu, starał się wziąć w garść. Istniało tylko jedno wyjście: raz na zawsze porzucić Żółty Dom i wyjechać z Iraku, albo nadal umierać dzień po dniu. Jeśli zostanie, będzie musiał bardzo się starać, żeby wytrzymać z Clara. Ona nie godzi się na żadne połowiczne rozwiązania, zwłaszcza w kwestii uczuć. Tylko czy on potrafi z nią żyć i udawać, że wszystko jest w porządku?

Otworzył oczy. Alfred Tannenberg przyglądał mu się uważnie. Jego spojrzenie było bezlitosne.

— Słucham, Alfredzie. — Ahmed wyprostował się gwałtownie,

— Co się stało?

— A co się miało stać? Nie wiem, o czym mówisz.

— Gdzie jest kasetka z tabliczkami?

— Ach, tabliczki! Wybacz, że od razu ich nie odniosłem. Boli mnie głowa, jestem zmęczony.

— Jakież problemy w ministerstwie?

— Cały kraj ma problemy, Alfredzie. To, co się teraz dzieje w Ministerstwie Kultury, nie ma znaczenia. Ale nie, nie mara poważnych kłopotów, w gruncie rzeczy nie narzekam na nadmiar pracy.

— Zebrało ci się na krytykowanie Saddama?

— Wszystko jedno, czy będę to robił, czy nie, chyba że ktoś zamierza na mnie donieść i trafić do więzienia.

— Nie jest nam na rękę, żeby Saddam zginął. W naszym interesie jest, żeby wszystko zostało po starym.

— To niemożliwe, Alfredzie, nawet ty nie zmienisz biegu historii. Stany Zjednoczone dokonają inwazji na Irak i zajmą kraj, Amerykanie zachowują się tak jak ty: robią to, co służy ich interesom.

— Nie, nie odważą się. Bush jest tylko mocny w gębie, to bufon, który marnuje energię na pogrożki. Mogli przecież wykończyć Saddama podczas wojny w Zatoce, a jednak tego nie zrobili.

— Może nie mogli albo nie chcieli? Zresztą nieważne, co było kiedyś, teraz na pewno uderzą.

— Mówię ci, że nie — upierał się coraz bardziej zirytowany Tannenberg.

— Zmiotą nas z powierzchni ziemi. Będziemy walczyli, najpierw z nimi, potem przeciwko samym sobie, sunnici przeciwko szyitom, szyici przeciwko Kurdom, Kurdowie przeciwko każdej innej frakcji, wszystko jedno. Wyrok zapadł.

— Jak śmiesz wygadywać takie bzdury! — krzyknął Tannenberg. — Teraz okazuje się, że masz dar proroczy i wszystkich nas skazujesz na zagładę!

— Wiesz tyle samo co ja. W przeciwnym razie nie nalegałbyś na rozpoczęcie poważnych wykopalisk w Safranie. Nie popełniałbyś tylu błędów. Sam wiesz, że je popełniasz. Nie odstoniłbyś się tak jak teraz. Zawsze podziwiałem twoją inteligencję i zimną krew, nie sprawiaj mi więc zawodu, twierdząc, że nic się nie stanie, że to tylko jeden z wielu kryzysów politycznych.

— Milcz!

— Nie, lepiej porozmawiać, lepiej powiedzieć na głos to, o czym boimy się nawet myśleć. Tylko w ten sposób uda nam się uniknąć popełnienia kolejnych błędów. Musimy być wobec siebie szczerzy.

— Jak śmiesz mówić do mnie w taki sposób? Kim ty właściwie jesteś? Tylko tym, kim chciałem, żebyś został.

— Owszem, częściowo masz rację. Jestem tylko tym, kim ty chciałeś, żebym został, nie zaś tym, kim ja chcę być. Płyniemy jednak na tej samej łódce. Zapewniam cię, że nie znajduję przyjemności w żeglowaniu w niej razem z tobą, skoro jednak me ma innej rady, staram się zapobiec zatonięciu.

— Proszę bardzo, wyrzuć to z siebie. To mogą być twoje ostatnie słowa w tym domu.

— Chcę wiedzieć, jaki jest twój plan. Ty zawsze masz jakieś wyjście ewakuacyjne. Nie rozumiem, do czego zmierzasz. Nawet gdyby Picot przyjechał na wykopaliska, mamy najwyżej sześć miesięcy, a to za krótko, by osiągnąć konkretne wyniki. Wiesz o tym równie dobrze, jak ja.

— Staram się osłonić Clary, ratuję jej życie i buduję jej pozycję na przyszłość. Muszę to zrobić, bo widzę, że ty nie jesteś mężczyzną, który zapewniłby jej bezpieczeństwo.

— Clara nie potrzebuje ochrony. Twoja wnuczka warta jest więcej, niż potrafisz dostrzec. Nie potrzebuje ani mnie, ani nikogo, potrzebuje najwyżej wyswobodzić się spod twoich skrzydeł, uwolnić się ode mnie, od nas wszystkich, wydostać się z tego dołka.

— Ty chyba oszalałeś. — Głos Tannenberga znów był zimny jak lód.

— Nie, nigdy nie myślałem jaśniej. Podejrzewam, że chcesz przyspieszyć bieg spraw, bo wiesz równie dobrze jak ja, że Irak ma przed sobą tylko kilka miesięcy, a przyszłość będzie, mówiąc delikatnie, niepewna. Dlatego szykujesz się do powrotu do Kairu. Nie zostaniesz tu, kiedy zaczną się bombardowania, kiedy Amerykanie przeczytają listę przyjaciół Saddama. Tymczasem jednak urządziłeś niezłą aferę, upubliczniając odkrycie domniemanej *Glinianej Biblii*.

— To mój spadek dla Clary. Jeśli odnajdzie *Glinianą Biblię*, do końca życia nie będzie się musiała o nic martwić. Zyska międzynarodowe uznanie, o jakim zawsze marzyła.

— A jaką widzisz rolę dla siebie?

— Ja już szykuję się do grobu. Dobrze o tym wiesz. Guz zżera mi wątrobę. Nie mam już nic do wygrania i nic do przegrania. Umrę w Kairze, może za sześć miesięcy, może szybciej. Zażądałem, by lekarze powiedzieli mi prawdę. Otóż prawda jest taka, że umieram. Żadna to nowina, niedługo skończę osiemdziesiąt siedem lat. Nie umrę jednak, nie znalazłszy *Glinianej Biblii*. Nawet jeśli ten kraj pogrąży się w wojnie, przekupię kogo tylko będzie trzeba, żeby zdobyć ludzi do pracy w Safranie. Nie spoczna, dopóki nie odnajdą tabliczek, których szukamy.

— A jeśli te tabliczki nie istnieją?

— Są tam, jestem tego pewny.

— Możliwe, że zostały z nich tylko skorupy. Co wtedy zrobisz.

Tannenberg zamilkł, nie potrafiąc ukryć bezgranicznej nienawiści do Ahmeda.

— Oto, co zrobię: już teraz zatroszczę się o bezpieczeństwo Clary. Nie ufam ci — oświadczył i wyszedł z pokoju. Ahmed otarł pot z czoła. Ta rozmowa go wyczerpała.

Nalał sobie jeszcze jedną szklankę whisky i wypił jednym haustem. Jeszcze raz napełnił szklankę, tym razem jednak pił powoli, w zamyśleniu.

10

Enrique Gómez spacerował po parku Marii Ludwiki, szukając schronienia w cieniu stuletnich drzew. Miał ściśnięty żołądek. Złe samopoczucie nie opuszczało go, odkąd otrzymał zdjęcia z egzekucji tych dwóch nieszczęśników.

Frank nalegał na spotkanie, w końcu George, choć niechętnie, się zgodził. Odkąd rozstali się pięćdziesiąt lat temu, spotykali się rzadko. Zdawał sobie sprawę, że bardzo się postarzel. Najdziwniejsze, że George zgodził się, by spotkanie odbyło się w Sewilli. On sprzeciwiał się temu pomysłowi z całą energią, jaką był w stanie z siebie wykrzesać, ale Frank przekonał George'a, że w Sewilli nie będą rzucali się w oczy.

George od jakiegoś już czasu przebywał w Marbelli, grając w golfa. Frank był w Barcelonie. Jeszcze godzina, a trzej przyjaciele spotkają się w cieniu baru hotelu Alfons XIII.

Emma, żona Franka, upierała się, że zatrzyma się w najlepszym hotelu Sewilli, tym samym, w którym nocowali wszyscy, których nazwiska nie schodziły z pierwszych stron gazet.

Rocío była niespokojna. Od wielu już dni zadreczętała Enrique pytaniami.

Na szczęście tego popołudnia szła do swojej siostry, by wziąć udział w przymiarce sukni ślubnej siostrzenicy. Enrique nie powiedział jej, że wczesnym popołudniem ma spotkanie w Alfonsie XIII.

George przyjedzie samochodem, potem wróci nim do Marbelli. Frank zostanie parę dni, jak przeciętny bogaty turysta, bawiący przejazdem w Sewilli. Będą się widzieli tylko tyle, ile będzie trzeba. Godzinę, dwie, najwyżej trzy.

Wyszedł z domu wcześniej, bo chciał trochę odetchnąć. Ten przekłety skurcz żołądka nie ustępował.

Enrique zjadł obiad z Rocío i synem Jose. Ich wnuki, Borja i Estrella, przebywały w Marbelli, łapiąc ostatnie dni lata, które w Andaluzji przeciąga się aż do września. Jose zauważył zmartwienie na twarzy ojca, co tylko utwierdziło Rocío w najgorszych przeczuciach.

Kiedy po południu zostawili go samego na sjeście, próbował się zdrzemnąć, nie udało mu się jednak zasnąć, wstał więc i gdy tylko usłyszał, że Rocío zamyka za sobą drzwi, on również wyszedł z domu. Zostawił za sobą wąskie uliczki i zaciszne place dzielnicy Santa Cruz, i dotarł do parku. Spacerował, czekając na spotkanie ze starymi przyjaciółmi.

George siedział przy jednoosobowym stoliku w rogu baru. Enrique podszedł wprost do niego. Nie padli sobie jednak w ramiona, tylko uściśliły ręce, choć obaj byli wzruszeni.

— Widzę, że jesteś w formie — powiedział George.

— Ty również.

— Postarzeliliśmy się obaj, ale ty lepiej się trzymasz.

— Jestem od ciebie młodszy o rok, tylko jeden rok.

— Wiesz coś o Franku?

— Przypuszczam, że pojawi się lada moment. Zdaje się, że zatrzymał się w tym hotelu.

— Tak. Powiedział, że Emma nie dała sobie tego wyperswadować.

— Nie szkodzi, i tak musieliśmy się gdzieś umówić. Co myślisz o tym wszystkim?

— Alfred jest chory, wie, że umiera, że to tylko kwestia miesięcy, i jest mu już wszystko jedno. Jeśli coś się jeszcze liczy, to jego wnuczka. Zachowuje się więc jak szaleniec, nie dbając o skutki swoich czynów.

— Podzielim twoje zdanie. Jak sądzisz, do czego dąży?

— Pragnie tylko, by to jego wnuczka odnalazła *Glinianą Biblię*. Jeśli tak się stanie, będzie należała do niej i do nikogo więcej.

— A niejaki Picot, którego próbuje zwerbować?

— Nie można porywać się na takie przedsięwzięcie bez profesjonalistów, czyli archeologów z prawdziwego zdarzenia. Alfred może zatrudnić nie wiadomo ilu robotników, potrzebni mu są jednak archeolodzy, których w Iraku nie ma.

Frank Dos Santos wszedł do baru, szukając ich wzrokiem. Gdy podszedł do stolika, nie podał żadnemu ręki na powitanie. Usiadł i skinął na kelnera.

— Cieszę się, że was widzę. Cóż, wydaje mi się, że aż tak bardzo się nie zmieniliśmy, mamy tylko sześćdziesiąt lat więcej — roześmiał się.

— Dobrze, dobrze, nie pocieszaj nas! — przerwał mu George Wagner. — Co sądzisz o poczynaniach Alfreda?

— Ach, Alfred! To desperat. Twój przyjaciele z Pentagonu upieką Saddama żywcem. Za parę miesięcy Irak może przestać istnieć, Alfred nie ma więc wyjścia: albo odnajdzie teraz *Glinianą Biblię*, albo nigdy jej nie dostanie — odparł Dos Santos.

— Moglibyśmy jej poszukać po wojnie — nieśmiało zaproponował George.

— Co do wojen, to wiadomo, kiedy się zaczynają, ale nie wiadomo, kiedy kończą.

Stwierdzenie Gómeza ucięło dyskusję.

— Kiedy zaczną się naloty? — zapytał Frank.

— Najpóźniej w marcu — odparł George.

— Teraz jest wrzesień, zostało więc najwyżej sześć miesięcy. Sześć miesięcy na odnalezienie *Glinianej Biblii* — westchnął Frank.

— Gdyby przed dwoma miesiącami Amerykanie nie zrzucili bomb między Tall al-Mukajjar a Basrą, nie odsłoniłaby się ta budowla. To zrządzenie losu, znak, by teraz przystąpić do dzieła — stwierdził z przekonaniem Gómez. — Co w takim razie zrobimy?

— Jeśli uda mu się znaleźć tabliczki w jednym kawałku, albo przynajmniej w takim stanie, który umożliwi ich rekonstrukcję, trafi do roczników archeologicznych. Nie muszę dodawać, ile będzie warta taka tabliczka na rynku. Że nie wspomnę o presji Watykanu, który z pewnością zechce wejść w ich posiadanie, bo dowodzą boskiej inspiracji patriarchy Abrahama. Księga Rodzaju opowiedziana została ustami Abrahama! To by dopiero było odkrycie. Ten bałwan Bush mógłby sprezentować je Watykanowi na znak dobrej woli, bo przecież papież jest przeciwnikiem wojny.

Zapadła cisza.

— Jeśli Alfred je odnajdzie — przerwał milczenie Frank — to nie po to, by je dać Bushowi, więc...

— Więc zrobi co w jego mocy, by wykorzystać ten krótki czas, jaki mu pozostał — uznał George. — Ale dlaczego ujawnił istnienie tabliczek?

Odpowiedzi na to pytanie udzielił Enrique Gómez:

— Żeby nikt mu ich nie odebrał. Teraz już wszyscy archeolodzy na świecie wiedzą, że w Iraku lokalny zespół pod kierownictwem Ahmeda Huseiniego i jego ekstrawaganckiej żony znaleźli pozostałości świątyni czy też pałacu, gdzie mogą się znajdować tabliczki, których treść podyktował sam Abraham. Niech się dzieje co chce, nikt już nie będzie mógł sobie przypisać tego odkrycia. Po to było to zagranie w Rzymie.

— Sporo ryzykuje — mruknął Frank.

— To prawda, ale jak się jest jedną nogą w grobie, nie pozostaje wiele możliwości — zauważył Gómez. — George, czy twoi ludzie dowiedzieli się, kto zatrudnił tych pechowców Włochów?

George pokręcił głową.

— Nie, nie udało nam się tego dowiedzieć. Wiemy, że zamordowani pracowali w agencji detektywistycznej. Ktoś ich zatrudnił, żeby śledzili Clarę Tannenberg. Jednak moi ludzie niczego nie znaleźli w ich archiwach, ani skrawka papieru, żadnych odniesień do tej sprawy. Nic. Umowa na tę akcję zawarta została pewnie z samym właścicielem, a w każdym razie z kimś, kto nie musi udzielać wyjaśnień, tylko wydaje polecenia. Nie możemy bardziej się wtrącać. Właściciel agencji to były policjant z oddziału antymafijnego. Mafia wydała na niego niejeden wyrok. On nadal ma kontakty w policji. Na każdym szczeblu. Jeżeli popełnimy jakiś błąd, jedyne, co osiągniemy, to że będziemy mieli włoską policję na karku.

— Musimy się jednak dowiedzieć, kto zlecił to zadanie i po co. Jedno skrzydło mamy nieosłonięte — upierał się Frank.

— To prawda, dlatego powiedziałem, że musimy wzmocnić środki bezpieczeństwa i nie popełniać błędów — dodał George.

— Tak, jest w tym wszystkim jakaś luka, czarna dziura, na tyle mała, że nie możemy jej dostrzec.

Enrique Gómez nie ukrywał zaniepokojenia, a raczej niepokój nie dawał o sobie zapomnieć, przekładając się na nieustający skurcz żołądka.

— Masz rację — zgodził się George. — Jest gdzieś luka i musimy ją znaleźć. Po raz pierwszy stało się coś, co wymyka się spod kontroli. Alfred to co innego, jego akurat możemy kontrolować i będziemy mieli na niego oko. A propos, sądzicie, że moglibyśmy liczyć na męża jego wnuczki, tego Huseiniego? Ten człowiek wydaje mi się kluczowym elementem układanki. Nasi ludzie poinformowali mnie, że Huseini ma dosyć Alfreda i swojej żony, że stracił szacunek do naszego starego przyjaciela i parę dni temu słyszano, jak podniósł na niego głos. Mąż Clary to wartościowy, inteligentny człowiek.

— Chyba zaczyna coś podejrzewać — spekulował Frank. — Przynajmniej tyle można wywnioskować z raportu z ostatnich dni w Żółtym Domu, jaki wszyscy dostaliśmy. Nie ma nic bardziej niebezpiecznego niż ktoś, kto w ostatniej chwili postanawia zostać przyzwoitym człowiekiem. Zrobi wszystko, by naprawić błędy z przeszłości.

— W takim razie nie będziemy mogli na niego liczyć. Po prostu go wykorzystamy — uznał bez wahania George. — Najlepiej będzie, jeśli postąpimy właśnie w ten sposób. To bez wątplenia nasze ostatnie spotkanie, musimy być więc zgodni co do wszystkich kolejnych kroków. Podejmujemy duże ryzyko.

— Ryzykujemy spokojną śmierć, każdy w swoim domu, kiedy przyjdzie na nas czas — odpowiedział Frank.

Enrique Gómez poczuł kolejne ukłucie w żołądku.

George wręczył każdemu teczkę z dokumentami.

Było już po wpół do jedenastej w nocy, kiedy uznali rozmowę za zakończoną. Wypili niejedną whisky, przegryzając serem i szynką. Enrique odebrał dwa ponaglące telefony od Rocío, która pytała go, gdzie się podziewa i czy wróci na kolację. Frank zadzwonił do Emmy, by się pośpieszyła i poszła obejrzeć pokaz flamenco, na który kupił jej wcześniej bilet.

A ja nie muszę się przed nikim tłumaczyć, pomyślał George, zadowolony. Bronił swojej niezależności, choć trudno było opędzić się od kolegów, którzy radzili, by poszukał sobie partnerki. Był jednak nieugięty. Żył w otoczeniu całej świty służących, którzy opiekowali się nim, nie zadając pytań. Nie zamierzał tego zmienić,

Wyszedł pierwszy i udał się do samochodu, który wynajął w Marbelli. Agent kręcił nosem, kiedy zobaczył jego datę urodzenia w prawie jazdy, nie ma jednak rzeczy, której nie dałoby się załatwić za pomocą pieniędzy, zwłaszcza w mieście takim jak Marbella. Udało mu się więc wynająć wygodnego mercedesa, najnowszy model. Niemiecka technika nadal okazywała się najlepsza na świecie.

Frank zamówił w recepcji taksówkę, tymczasem Enrique postanowił, że pójdzie pieszo do domu w dzielnicy Santa Cruz.

Dokuczały mu tak silne skurcze żołądka, że od czasu do czasu tracił oddech. Spotkanie ze starymi przyjaciółmi nie złagodziło bólu. Przeciwnie, zdenerwowanie spotęgowało się, ponieważ stawał teraz twarzą w twarz ze swoją przeszłością. Przyjaciele przypomnieli mu o tym, o czym jego syn Jose i jego wnuki lekkoduchy nie miały najmniejszego pojęcia. Tylko Rocío co nieco wiedziała. Ją trudno było oszukać.

Carlo Cipriani przeglądał gazetę, żeby nie denerwować się widokiem Mercedes, spacerującej w tę i z powrotem po poczekalni.

Hans Hausser zapalił swoją starą fajkę i błdził spojrzeniem po obłoczkach dymu, które rozwiewały się wraz z jego myślami. Bruno Müller siedział bez ruchu, nie patrząc na żadnego z kolegów.

Luca Marini wyznaczył im spotkanie o pierwszej. Było już wpół do drugiej i sekretarka odmawiała udzielania im jakichkolwiek informacji, nie powiedziała nawet, czy Luca jest już w biurze.

Zbliżała się za kwadrans druga, kiedy były policjant wreszcie przyszedł i z poważną miną zaprosił ich do swojego gabinetu.

— Miałem właśnie spotkanie z dyrektorem generalnym departamentu bezpieczeństwa. Wolałbym, żeby się nigdy nie odbyło — mruknął.

— Co się stało? — zapytał Carlo.

— Otóż rząd nie przyjmuje irackich wyjaśnień, które dla nas byłyby bardzo wygodne. Potrzebują czegoś mocniejszego, bo szukają argumentów, by przekonać Włochów, że Saddam jest tym, kim jest, czyli monstrem. Rząd przygotowuje sobie grunt, by zyskać poparcie opinii publicznej, jeśli zdecyduje się wysłać wojska do Iraku. Rządowi byłoby nawet na rękę ujawnienie tych morderstw.

— Przykro mi, przyjacielu – wydusił Carlo Cipriani – wpakowaliśmy cię w niezłe tarapaty.

— Gdybyśmy mogli powiedzieć prawdę... – nalegał Luca – gdybyście zechcieli mi zdradzić, o co w tym wszystkim chodzi...

— Proszę, nie naciskaj — mruknął przygnębiony Cipriani.

— Dobrze, powiem wam tylko, jak się sprawy mają. Zanim spotkałem się z dyrektorem generalnym, rozmawiałem z paroma przyjaciółmi z resortu. Poprosili mnie o to samo, o co ja was proszę: żebym powiedział im prawdę, wtedy będą mogli mnie kryć. Podzieliłem się więc z nimi wersją, którą mi przedstawiliście, a oni popatrzyli na mnie, jak

gdybym stroił sobie z nich żarty. Naciskali, to oczywiste, ale podtrzymałem moją wersję. Zażartowałem nawet, mówiąc im, że chociaż brzmi to absurdalnie, właśnie taka jest prawda. Nie wiem, czy do pani zadzwonią, Mercedes, możliwe, że tak, choćby tylko po to, żeby zaspokoić ciekawość, bo zachodzą w głowę, dlaczego osoba w pani wieku posłała do Iraku detektywów. Co się tyczy ciebie, Carlo, dyrektor zna cię ze słyszenia, nie sądzę więc, by cię niepokoili.

— Nie popełniliśmy żadnego przestępstwa — stwierdziła Mercedes obrażonym tonem.

— Naturalnie, że nie. Ani państwo, ani ja. Mamy jednak dwa trupy i nikt nie wie, dlaczego ci ludzie zginęli. Cóż, przypuszczam, że państwo to wiedzą, albo przynajmniej się domyślają. Z pewnością moi przyjaciele z włoskiej policji już wystąpili do swoich kolegów z Hiszpanii o raport w pani sprawie. Jak się domyślam, z Hiszpanii przyjdzie odpowiedź, że ma pani nieposzlakowaną opinię, zostawią nas więc w spokoju. Ale, jak powiedziałem, to wcale nie musi się tak skończyć, ponieważ dyrektor służb bezpieczeństwa powiedział mi, że minister chce wiedzieć wszystko, jest bardzo poruszony. Nigdy nie widziałem, żeby polityk był tak poruszony jakąś sprawą. Pewnie sądzi, iż uda mu się zbudować na tym kapitał polityczny, potrzebują tylko dobrej historyjki.

— Czyli tego, czego w żadnym wypadku nie możemy im dać — stwierdził profesor Hausser.

— Myślę, że najlepiej będzie, jak się rozjedziemy — odezwał się Bruno Müller.

— Tak, tak będzie najlepiej — zgodził się Luca. — Nie mam najmniejszych wątpliwości, że chodzą za każdym z nas. Proszę więc, żebyście nie wychodzili państwo razem z tego budynku. Przykro mi, jedno z was będzie musiało zostać w sali posiedzeń, a i tak...

— Komu z pańskich ludzi pan nie ufa? — zapytała Mercedes.

— Ta słynna kobieca intuicja! Ufam moim ludziom. Wielu pracowało ze mną na Sycylii, inni to młodzi, dobrze przygotowani, sam ich wybierałem. Wiem jednak, na czym polega ten biznes. Wszyscy się znamy, a moi dawni przyjaciele znają moich pracowników. Nie wiem, jak silne więzi przyjaźni ich łączą, nigdy nie można wykluczyć, że ktoś służy dwóm panom.

— Co pan proponuje? Co teraz zrobimy? — Widać było, że Bruno Müller czuje się nieswojo w tej sytuacji.

— Panie Müller — odparł Marini — najlepiej będzie działać w sposób naturalny. Sami państwo zapewniali, że niczego złego nie zrobili. Nie musicie więc robić nic szczególnego. Zachowujcie się normalnie.

— Chciałbym, żebyście przyszli dziś do mnie na pożegnalną kolację — odezwał się Carlo.

— Przyjacielu, ja bym sobie darował te pożegnalne biesiady. Profesor Hausser i pan Muller powinni rozjechać się każdy w swoją stronę. Co do pani Barredy, to najlepiej będzie, jeśli przyjdzie do ciebie na kolację, a nawet zabawi w twoim domu parę dni. Niech mi pani powie, Mercedes, jakie informacje otrzymamy na pani temat od wywiadu w Hiszpanii?

— Że jestem starą ekscentryczką. Właścicielką przedsiębiorstwa budowlanego, która wspina się po rusztowaniach i zna wszystkich swoich robotników. Nigdy nie miałam z nikim kłopotów, nawet nie dostałam mandatu.

— Osoba ciesząca się nienaganną opinią — wymamrotał Luca Marini.

— Zapewniam, że jestem bez skazy.

— Zawsze obawiałem się takich osób — stwierdził były policjant.

— Dlaczego? — zainteresował się profesor Hausser.

— Bo zwykle coś ukrywają.

Na kilka sekund zapadła cisza. Przerwał ją profesor Hausser:

— Skoro tak się sprawy mają, najlepiej będzie stawić im czoło. Pan, panie Marini, nadal będzie mówił prawdę, bo nie wiem, czy pan zauważył, że do tej pory cały czas pan się jej trzymał.

— Nie, nie powiedziałem całej prawdy — sprzeciwił się Luca.

— Owszem, zeznał pan wszystko, co pan wie — uciął profesor. — Co się tyczy nas, musimy porozmawiać, zanim się rozdzielimy. Wydaje mi się, Bruno, że przesadzasz, twierdząc, że musimy się rozjechać do domów. Naturalnie, musimy wrócić, ale nie od razu. Nie możemy uciekać jak szczury. Jesteśmy zasługującymi na szacunek starszankami, gronem przyjaciół. Ja też, Carlo, z przyjemnością przyjdę do ciebie na kolację, jeśli mnie zaprosisz, i uważam, że wszyscy powinniśmy tam być. Jeśli policja zechce z nami pomówić, powiemy im prawdę: jesteśmy grupą przyjaciół, którzy spotkali się w Rzymie. A Mercedes, mająca żyłkę do interesów, uznała, że Irak to wymarzone miejsce na robienie biznesu, bo gdy tylko skończy się wojna, trzeba będzie odbudować to, co zniszczą Amerykanie. Nie widzę nic złego w tym, by ona, jako właścicielka przedsiębiorstwa budowlanego, chciała zarezerwować dla siebie kawałek tego tortu. O ile wiem, nie stała na czele żadnej demonstracji antywojennej z transparentem w rękę. A może się mylę, moja droga?

— Nie, dotychczas nie, choć, szczerze mówiąc, zastanawiałam się, czy nie wybrać się na demonstrację antybushowską teraz, w Barcelonie — odpowiedziała Mercedes.

— Cóż, teraz nie możesz już tego zrobić — stwierdził profesor Hausser. — Przy innej okazji.

— Zdziwiał mnie pan, profesorze — stwierdził Luca. — Chyba nie słyszał pan, co powiedziałem: dyrektor departamentu bezpieczeństwa chce mieć sprawę, bo ci na górze też chcą mieć sprawę.

— Włochy są państwem prawa, jeśli więc nie ma żadnej „sprawy”, nikt nie może jej wymyślić — upierał się Hausser.

— Tak się składa, że nie trzeba niczego wymyślać: mamy dwa trupy! – wykrzyknął rozgniewany Marini.

— Dość! — Carlo Cipriani wstał. — Podzielam zdanie Hansa, nie możemy zachowywać się jak przestępcy, bo nic złego nie zrobiliśmy. Nikogo nie zabiliśmy. Jeśli to będzie konieczne, porozmawiam z przyjaciółmi w rządzie, są moimi pacjentami. Nie zachowujmy się jednak nieracjonalnie, wymykając się cichaczem z biura, jakbyśmy byli przestępcami. Nie, z całym szacunkiem, ale odmawiam czucia się winnym.

— Widzę, że jesteście bardzo pewni siebie... — mruknął Marini. — Cóż, tym lepiej. Dla mnie sprawa jest zamknięta, chyba że zadzwonią do mnie moi dawni koledzy po fachu albo zobaczymy się wszyscy razem w telewizji. Jeśli coś się wydarzy, zadzwonię do was.

Pożegnali się. Kiedy znaleźli się na ulicy, Carlo ponowił zaproszenie na obiad.

— Zadzwonię, żeby nam coś przygotowali. Będziemy mogli swobodniej porozmawiać.

Zjedli, nie odzywając się ani słowem, nie licząc kilku uwag, gdy służący podawał im naprędce przygotowany lunch.

Kiedy przeszli do salonu, by napić się kawy, Carlo zamknął drzwi i poprosił służbę, by nikt im nie przeszkadzał.

— Musimy podjąć decyzję — stwierdził.

— Decyzja została już podjęta — przypomniała Mercedes. — Trzeba tylko skontaktować się z jedną z tych agencji i wysłać zawodowca, by odnalazł Tannenberga i zrobił to, co trzeba zrobić. To wszystko.

— Nadal wszyscy się co do tego zgadzamy? — zapytał Cipriani.

Każdy z gości skinął głową.

— Mam telefon do pewnej agencji, nazywa się Global Group. Właściciel, niejaki Tom Martin, jest znajomym Luki. Mogę do niego zadzwonić, powołując się na Lucę.

— Zastanawiam się, Carlo, czy to dobry pomysł, mieszać Lucę do tej historii.

— Być może masz rację, Mercedes, nie znamy jednak nikogo innego, kto zajmowałby się takimi sprawami, jestem więc za tym, by zadzwonić do tego Toma Martina. Mam nadzieję, że Luca mi wybaczy.

— Powinieneś go uprzedzić, że chcesz zatelefonować do Martina. Jeśli poprosi cię, żebyś tego nie robił, poszukamy kogoś innego. Luca to twój przyjaciel, nie powinieneś go narażać.

— Masz rację, Hans, zadzwonię do niego. I zrobię to natychmiast.

— Nie bądźcie głupi — przerwała im Mercedes — zostawcie w spokoju biednego Lucę, dość ma przez nas kłopotów. Możemy zadzwonić do tej agencji, nie chwaląc się, że go znamy, żeby go do niczego nie zobowiązywać. Skoro Luca ci powiedział, że to odpowiednia firma, nie ma się nad czym zastanawiać.

— Hm, on sam dokładnie nie wie, czego chcemy — przypomniał Carlo.

— Mam nadzieję, że mu nie powiedziałeś, że chcemy zabić człowieka.

Postanowili, że do Toma Martina zadzwoni Hans Hausser. Umówi się z nim i pojedzie spotkać się z nim w Londynie.

Bruno zamierzał jak najszybciej wrócić do Wiednia. Nie czuł się dobrze w Rzymie.

— Na wszelki wypadek, gdyby ktoś chciał nam założyć podsłuch, nie powinniśmy korzystać z telefonów stacjonarnych — powiedział profesor Hausser. — Moglibyśmy kupić komórki na kartę i używać każdego numeru tylko raz.

— A w jaki sposób rozpoznamy nasze numery? — zapytała Mercedes. — Nie ulegajmy paranoi, proszę.

— Hans ma rację — poparł przyjaciela Carlo. — Musimy być ostrożni. Zamierzamy zamordować człowieka.

— Zamierzamy zabić bydlę! — wykrzyknęła rozwścieczona Mercedes.

— W każdym razie pomysł z komórkami nie wydaje mi się taki głupi. Znajdziemy sposób, żeby podawać sobie numery, może w e-mailach — obstawał przy swoim Carlo.

— Ale skoro mogą podsłuchiwać nasze rozmowy, to chyba mogę też sprawdzać pocztę. Internet jest najmniej bezpiecznym miejscem do przechowywania tajemnic.

— Ależ Bruno, nie bądź takim tchórzem! — upomniała go Mercedes. — O ile wiem, można założyć konto pocztowe pod fikcyjnym nazwiskiem. Każde z nas założy sobie darmową skrzynkę i z tych skrzynek będziemy przesyłali sobie numery telefonów i

kontaktowali się. Musimy jednak zachować ostrożność, bo ktoś może włamać się do naszej poczty. O niczym nie możemy pisać wprost.

Przez część popołudnia uzgadniali, pod jakimi imionami będą wysyłać do siebie e-maile, profesor Hans Hausser zaś wymyślił kryptogram, w którym litery miały zastępować numery telefonów komórkowych. Karty sim do tych ostatnich mieli wyrzucać, używszy tylko raz.

* * *

Robert Brown niecierpliwił się, czekając, aż Ralph Barry odłoży słuchawkę. Kiedy zakończył rozmowę, zapytał zniecierpliwiony:

— Ciekawe, co teraz porabia Picot?

— Mój człowiek zapewnia, że Picot jest pod ogromnym wrażeniem. Cały czas powtarza, że szaleństwem byłoby wybierać się tam teraz na wykopaliska, że nie ma czasu, że w ciągu sześciu czy siedmiu miesięcy nie można liczyć na szybkie postępy. Przeklina Busha i Saddama, twierdząc, że jeden jest wart drugiego.

— Nie odpowiedziałeś mi, Ralph, czy ostatecznie się tam wybierze.

— Tego nie powiedział, ale wydaje się, że nie odrzuca tej możliwości. Tymczasem wyjechał do Madrytu.

— Nadal nie odpowiadasz.

— Bo nadal nie wiem, co zamierza zrobić.

— Moglibyśmy zatrudnić do tej jego misji ludzi Dukaisa?

— Ty uważasz, że goryle Dukaisa przemkną się niezauważeni jako studenci archeologii? Robercie, zanim coś powiesz, zastanów się.

— Właśnie się zastanawiam. I potrzebuję ludzi na te wykopaliska. Dukais będzie musiał dobrać ich pod względem wyglądu.

— I znajomości historii, geografii, geologii... Nie widzę tego, Robercie, zupełnie tego nie widzę. Goryle zwykle nie wiedzą, gdzie leży Mezopotamia.

— Będą musieli przejść przyspieszony kurs historii, będą się uczyli dzień i noc, muszą się tego nauczyć. Dostaną premię, jeśli się postarają i będą mogli uchodzić za studentów lub profesorów.

— Zagalopowałeś się, Robercie. Sam wiesz, że w świecie akademickim wszyscy się znają. Nie można udawać, że goryl to profesor. To się natychmiast wyda.

Robert Brown otworzył drzwi do gabinetu, czym zaniepokoił swego wymuskanego, dyskretnego sekretarza.

— Czy coś się stało, panie Brown? — zapytał Smith.

— Dukais jeszcze nie przyszedł?

— Nie, proszę pana. Natychmiast bym pana powiadomił.

— Na którą go pan umówił?

— Tak jak mi pan powiedział, na czwartą.

— Już dziesięć po czwartej.

— Tak, proszę pana. Jest duży ruch, może stoi w korku.

— Ten Dukais to dupek.

— Tak, proszę pana.

Potężna sylwetka Paula Dukaisa zakołysała się w progu sekretariatu, zanim Robert Brown zdążył wrócić do gabinetu.

— Najwyższy czas!

— Robercie, o tej porze w Waszyngtonie są piekielne korki. Wszyscy naraz wracają do domów.

— Trzeba było wyjechać wcześniej.

— Ostatnio nad sobą nie panujesz — zauważył zimno prezes Planet Security.

Ralph Barry usiłował złagodzić napięcie.

— Paul, Robert chce mieć swoich ludzi w misji archeologicznej, którą ma zorganizować Yves Picot. Prześlę ci jego dossier. Tymczasem niech ci wystarczy, że to Francuz, bogaty człowiek, były profesor Oksfordu, kobieciarz i awanturnik, zna się jednak na swoim fachu i zna wszystkich ludzi z branży.

— Nie ułatwiasz mi zadania.

— Wiem. Potrzebni są nam ludzie, którzy potrafią coś więcej, niż tylko pisać i czytać. Muszą to być ludzie z uniwersytetów. Ale nie Amerykanie. Trzeba ich poszukać w Europie, może w jakimś kraju arabskim, ale na pewno nie tu.

— W dodatku mają się znać na mokrej robocie i być na wszystko gotowi, tak? — zapytał z ironią Dukais.

— Dokładnie. — Ton Roberta nie pozostawiał miejsca na wątpliwości.

— Oczywiście, Robercie, mam brygady ludzi, o jakich ci chodzi. Wyślę ich do Iraku, gdy tylko uznasz, że nadszedł czas.

— Na razie trzeba poczekać. Niezbyt długo, ale będą musieli poczekać. Teraz martwi mnie tylko, w jaki sposób rozwiązać ten problem.

— Nie wiem, Robercie, nie wiem. Nie znam żadnego naukowca, który w wolnych chwilach chciałby służyć jako najemnik. Poszukam w byłej Jugosławii, może taro się ktoś znajdzie.

— Masz świetne pomysły! Tam muszą być wykształceni ludzie, którzy stali po jednej albo drugiej stronie barykady, strzelając do siebie nawzajem i którzy chcieliby zarabiać pieniądze.

— Tak, Robercie, muszą być tacy ludzie.

Ralph Barry przysłuchiwał im się z mieszaniną podziwu i obrzydzenia. Już dawno temu kupili jego sumienie i wycenili je wysoko. Nie dziwiło go to, co słyszy, chociaż Robert zawsze go zaskakiwał. Stał się Janusem, bogiem o dwóch twarzach. Niewielu znało oba jego oblicza. Postronny obserwator powiedziałby, że ma do czynienia z wykształconym, wyrafinowanym mężczyzną, który dotrzymuje zobowiązań, reguluje należności i nie potrafiłby przejść przez ulicę na czerwonym świetle. Ralph jednak znał innego Browna, kanałię bez skrupułów, którego żądza bogactwa i władzy nie miała granic. Nie udało mu się tylko ustalić, jak się nazywa jego Mentor. Robert wspominał o nim czasem, nazywając go po prostu „swoim Mentorem”, nigdy jednak nie zdradził ani czym się ów mentor zajmuje, ani nawet jak się nazywa, chociaż Ralph przeczuwał, że być może sam potężny George Wagner jest jedynym człowiekiem, przed którym Brownowi drżą kolana. Nigdy o to nie zapytał, bo wiedział, że nie otrzyma odpowiedzi, a Robert niczego nie cenił tak wysoko, jak dyskrecji.

Umówili się, że Paul zadzwoni do nich, gdy tylko znajdzie odpowiednich ludzi. Jeśli oczywiście znajdzie.

* * *

Picot wrócił do slajdów, które zrobił z fotografii tabliczek. Przyglądał im się krytycznym okiem. Fabián, stojąc nieopodal, patrzył na niego spod oka. Wiedział, że Picot podejmuje decyzję, która na pewno nie będzie dobra, ale jego przyjaciel już taki był. Znali się z czasów, gdy Picot wykładał w Oksfordzie, a Fabián pisał doktorat z pisma klinowego. Od razu przypadli sobie do gustu, ponieważ obaj na tej zacnej uczelni czuli się obco.

Fabián był wybitnym badaczem i przybył do Wielkiej Brytanii, żeby się doktoryzować, ponieważ właśnie w Oksfordzie pracowali znani specjaliści w interesującej go dziedzinie. On i Picot byli zakochani w Mezopotamii, miejscu przekształconym w Irak za sprawą angielskiego kolonializmu.

Fabián wspomniał, jakie wrażenie wywarł na nim *Kodeks Hammurabiego*, kiedy po raz pierwszy zobaczył go w Luwrze, gdy miał dziesięć lat. Trzymając ojca za rękę, spacerował z nim po muzeum i słuchał jego opowieści. Choć obejrzał tyle cudownych rzeczy, dopiero wchodząc do sal poświęconych Mezopotamii, poczuł podniecenie. Z rozdziawioną buzią wysłuchał informacji, że na tych kawałkach bazaltowej skały zapisane są pradawne reguły, oparte na prawie talionu⁷. Ojciec wytłumaczył mu, że w regule 196 kodeksu jest napisane, że jeśli jakiś człowiek wykluje komuś oko, jemu też zostanie wyklute oko. Tego dnia Fabián zdecydował, że zostanie archeologiem i wybierze się na daleką wyprawę, by odkrywać królestwo Mezopotamii.

— Decydujesz się czy nie?

— To szaleństwo – odpowiedział Picot.

— Z całą pewnością, to szaleństwo, ale albo teraz, albo nigdy. Zobaczymy, co zostanie po wojnie.

— Jeśli wierzyć Bushowi, Irak zamieni się w Arkadię. Pojedziemy na wykopaliska, jakbyśmy jechali na wycieczkę – ironizował Picot.

— Tyle tylko, że żaden z nas nie wierzy Bushowi. Jestem przekonany, że ta wojna tylko zlibanizuje Irak. Znasz Bliski Wschód, wiesz, co się tam dzieje, nie będzie triumfalnego przemarszu amerykańskich chłopców. Irakijczycy nienawidzą Saddama, ale nienawidzą też Amerykanów. W gruncie rzeczy na Bliskim Wschodzie wszyscy nienawidzą Ludzi Zachodu i mają rację. Nic od nas nie dostali, utrzymywaliśmy skorumpowane reżimy, sprzedaliśmy im to, czego potrzebowali, nie potrafiliśmy zachęcić do formowania się klasy średniej i intelektualistów, a teraz z dnia na dzień ludzie biednieją i są coraz bardziej sfrustrowani. Fanatycy religijni świetnie potrafią to wykorzystać: pomagają mieszkańcom najbiedniejszych dzielnic, uczą za darmo w medresach, założyli szpitale, by pomagać tym, którzy nie mogą płacić za leki i lekarzy. Cały Bliski Wschód musi kiedyś eksplodować, napięcie narasta od lat.

— Tak, ale tego, o czym mówisz, nie da się odnieść do całego Iraku – zauważył Picot. – Problem bierze się z ropy. Stany Zjednoczone, pragnąc kontrolować źródła energii,

⁷ Prawo talionu, *lex talionis* – prawo karania według zasady „oko za oko, ząb za ząb”.

doprowadzają do sztucznych konfliktów, żeby następnie proponować pomoc w ich rozwiązaniu.

— Orient jest coraz biedniejszy.

— Fabiánie, nigdy nie przestajesz być chłopakiem lewicy?

— Jestem za dorosły, żebyś mnie nazywał chłopakiem. A co do reszty, może i masz rację... Z całą pewnością nigdy nie przestanę trzeźwo oceniać rzeczywistości, nawet gdybym patrzył na nią z najwygodniejszej kanapy w moim domu.

— Co byś zrobił na moim miejscu?

— To, na co miałbym ochotę, nawet jeśli wyglądałoby to na szaleństwo: pojechałbym.

— Jeśli zaczną zrzucać bomby, będziemy ugotowani.

— Owszem, to całkiem prawdopodobne. Rzecz polega na tym, by wynieść się stamtąd pięć minut wcześniej.

— Z kim pojedziemy?

— Musimy to zrobić sami. Nie sądzę, żeby na mojej uczelni, ani na jakiegokolwiek innej, ktoś chciał nam dać chociażby centa na to przedsięwzięcie. W Hiszpanii większość społeczeństwa jest przeciwna wojnie, ale i tak wykopaliska w Iraku będą odbierane jako bardzo lekkomyślny pomysł.

— Co oznacza, że ja wykładam pieniądze – westchnął Picot.

— A ja pomogę ci zebrać odpowiedni zespół. Na Uniwersytecie Complutense jest mnóstwo studentów ostatnich lat, którzy wiele by dali za możliwość uczestniczenia w wykopaliskach. Choćby w Iraku.

— Zawsze mnie przekonywałeś, że w Hiszpanii nie ma specjalistów od Mezopotamii...

— Bo to prawda, mamy jednak całą masę studentów, którzy marzą o tym, by móc powiedzieć, że pracowali jako archeolodzy. Ty również masz ludzi.

— Nie jestem pewny, czy znajdziemy kogoś skorego do wzięcia udziału w tej przygodzie. Złożysz podanie o urlop naukowy na cały rok?

— Nie jestem tak bogaty jak ty i nie stać mnie na urlop. Porozmawiam z dziekanem i spróbuję się rozeznąć, w jaki sposób mogę sobie zorganizować ten rok. Kiedy moglibyśmy ruszać?

— Natychmiast.

— Kiedy jest natychmiast?

— Raczej w przyszłym tygodniu niż w następnym. Nie mamy czasu.

— Czy możemy uruchomić w ciągu dwóch tygodni prace archeologiczne na taką skalę?

— Z pewnością nie, to czyste szaleństwo...

— Więc skoro to szaleństwo, trzeba skakać na główkę. Zobaczymy, co się stanie.

Śmiejąc się serdecznie, przyjaciele przybili piątkę i poszli uczcić tę decyzję nocną rundką po barach osiedla Las Letras, dzielnicy, w której rozgościli się na dobre i zadomowili studenci, artyści, pisarze i malarze i która nie kładzie się spać do samego światu.

Im też nieśpieszno było do łóżka. Najpierw włączyli się po barach, potem słuchali muzyki w klubie, rozmawiali z przygodnie poznanymi ludźmi, bo noc uwalnia od konwenansów i sprzyja zażyłości, która rozplywa się z pierwszymi promieniami słońca.

Yves obudził się przed Fabiánem. Domyślał się, że jego przyjaciel śpi jeszcze w ramionach dziewczyny, którą spotkali w jednym z ostatnich barów, a z którą, zdaje się, od czasu do czasu się spotykał. Dziewczyna miała temperament; najpierw zrobiła Fabiánowi awanturę o to, że nie zadzwonił do niej, tak jak obiecywał, ale w końcu się uspokoiła i teraz spała spokojnie w jego ramionach.

On sam nocował przy takich okazjach na poddaszu domu Fabiána. Z tarasu rozpościerał się widok na dachy miasta. W domu jego przyjaciela był pokój gościnny dla znajomych, którzy wpadali do Madrytu, Yves zaś uważał ten pokój za swój, bo kiedy tylko mógł, uciekał do tego miasta: otwartego i radosnego, gdzie nikt nikogo nie pytał ani skąd pochodzi, ani dokąd zmierza.

Usiadł przy stole w gabinecie Fabiána i wybrał numer telefonu w Iraku. Trochę trwało, zanim udało mu się połączyć z Ahmedem Huseinim.

— Ahmed?

— Kto mówi?

— Picot.

— Ach, Picot! Jak się pan ma?

— Jestem zdecydowany przyjechać, chciałbym więc, by wszystko zostało uruchomione, bo nie ma czasu do stracenia. Powiem panu, co mi będzie potrzebne. Jeśli czegoś nie uda się zdobyć, proszę mnie o tym powiadomić.

Przez pół godziny rozprawiali na temat sprzętu niezbędnego do rozpoczęcia wykopalisk. Ahmed udzielał rzeczowych informacji na temat tego, co uda się znaleźć w Iraku, a co muszą ściągnąć z Europy. Zaskoczył jednak Picota, kiedy zaproponował, że sfinansuje część misji.

— Chce pan zainwestować pieniądze?

— Chcemy ponieść większość kosztów. My finansujemy misję, pan sprowadza personel i materiały. Umowa stoi?

— A skąd weźmie pan pieniądze, jeśli to nie tajemnica?

— To będzie duży wysiłek finansowy, ale dla Iraku te wykopaliska są ważne. Zwłaszcza w tej chwili.

— Nie przesadzajmy, w to nie uwierzę.

— Lepiej niech pan uwierzy.

— Intuicja mi podszeptuje, że pański zwierzchnik, Saddam, ani myśli wydawać chociażby dolara na poszukiwanie tabliczek, nawet bardzo ważnych. Chcę wiedzieć, kto za to płaci, w przeciwnym razie nie przyjadę.

— Część finansuje ministerstwo, część Clara. Ma majątek odziedziczony po rodzicach. Jest jedynaczką.

— To znaczy, że mam się spierać z pańską żoną o prawa do *Glinianej Biblii*?

— Jedno musi być jasne: jeśli znajdziemy *Biblię*, należy ona do Clary. To ona dowiedziała się o jej istnieniu i to ona ma dwie pierwsze tabliczki, ona też chce zainwestować niezbędne środki.

— To cyniczne, wydawać pieniądze na misję archeologiczną w obecnej sytuacji Iraku.

— Panie Picot, tu nie chodzi o ocenianie czyjejs postawy moralnej. My nie będziemy osądzali pana, a pan się powstrzyma od osądzania nas. *Biblia* w każdym razie należy do Clary, a pan będzie mógł powiedzieć, że została odnaleziona podczas wspólnych prac archeologicznych. Wszyscy w Rzymie słyszeli, jak Clara referuje sprawę tabliczek.

— No tak, teraz okazuje się, że ktoś mi stawia warunki. Beze mnie te wykopaliska nie ruszą.

— Bez nas także.

— Mogę poczekać na upadek Saddama, a wtedy...

— Wtedy nie będzie już gdzie kopać.

— Zastanawia mnie, dlaczego nie powiedział mi pan tego wszystkiego, kiedy byłem w Iraku.

— Szczerze powiedziawszy, nie spodziewałem się, że się pan zdecyduje.

— Rozumiem. Co pan na to, żebyśmy zawarli umowę? Sporządzimy dokument, w którym będzie jasno napisane, jaki jest udział każdej ze stron.

— To dobry pomysł. Kto się tym zajmie, pan czy ja?

— Niech pan to zrobi, a ja ewentualnie wprowadzę zmiany. Kiedy mi go pan przyśle?

— Może być jutro?

— Nie, w żadnym razie. Proszę mi go wysłać za kwadrans na adres e-mailowy, który panu podyktuję. Albo dogadamy się zaraz, albo po sprawie.

— Proszę podyktować adres.

Przez pozostałą część dnia wymieniali opinie za pośrednictwem Internetu i telefonu, ale o pierwszej umowa była już gotowa do podpisania. Do tej pory Fabián zdążył wyjść na uczelnię, a jego przyjaciółka nawet się nie obudziła.

W dokumencie było jasno napisane, że zostaje zorganizowana misja archeologiczna, w której weźmie udział profesor Picot, w celu prowadzenia wykopalisk w starej świątyni-pałacu, gdzie, jak podejrzewała Clara Tannenberg, mogą się znajdować pozostałości tabliczek podobnych do tych, które zostały znalezione przy okazji prac archeologicznych w Charanie, wiele lat temu. Tabliczki spisał skryba podpisujący się imieniem Szamas, który twierdził, że Abraham zamierza mu opowiedzieć historię stworzenia świata.

Fabián zadzwonił do Picota ze swojego gabinetu na uczelni, żeby umówić się na lunch. Jego nocna towarzyska jeszcze nie wyszła z sypialni, co zaniepokoiło Picota.

— Czy nic jej się nie stało? – zapytał Fabiána.

— Nie przejmuj się, straszny z niej śpioch.

Po lunchu poszli do gabinetu Fabiána. Ten zdążył już porozmawiać z niektórymi ze swoich najlepszych studentów i paroma wykładowcami, którym zarysował projekt wyprawy do Iraku.

Spośród dwudziestki zebranych zapisało się ośmiu studentów, a kilku wykładowców obiecało porozmawiać z dziekanem, czy udzieli im pozwolenia na wyjazd. Uzgodnili, że następnego dnia spotkają się ponownie, by porozmawiać o szczegółach.

Kiedy zostali sami, każdy wziął do ręki telefon i przystąpili do obdzwaniania kolegów za granicą. Większość z nich odpowiadała, że to szaleństwo, inni obiecywali, że się zastanowią. Wszyscy prosili o trochę czasu do namysłu.

Picot zdecydował, że następnego dnia pojedzie do Londynu i Oksfordu, żeby spotkać się z niektórymi przyjaciółmi, wstąpi również do Paryża i Berlina. Fabián pojedzie do Rzymu i Aten, gdzie zna kilku profesorów.

Był wtorek. W niedzielę mieli znów spotkać się w Madrycie, by zobaczyć, kogo udało im się zwerbować. Powinni znaleźć się w raku najpóźniej pierwszego października.

Ralph Barry wszedł do gabinetu Roberta Browna, uśmiechając się szeroko.

— Przynoszę dobre nowiny.

— Zamieniam się w słuch.

— Przed chwilą rozmawiałem z kolegą w Berlinie. Picot już tam pojechał, by zwerbować naukowców i studentów gotowych jechać do Iraku. Powiedz to Dukaisowi, być może uda mu się wmieszać w to towarzystwo paru swoich chłopaków, o ile oczywiście znalazł kogoś odpowiedniego. Picot był również w Londynie i Paryżu i wywołał prawdziwe poruszenie w światku naukowym. Wszyscy uważają, że to szaleniec, niektórzy jednak przejawiają niezdrową ciekawość i ciągnie ich, by wybrać się do Iraku i rozejrzeć.

— Nie sądzę, by udało mu się sprawić, że pojedą z nim liczący się ludzie, ale owszem, jakaś grupa naukowców i studentów się załapie. Ten zespół będzie niezłą zbieraniną, więc nie wiem, co będą w stanie zrobić. Nie mają żadnego harmonogramu prac ani nawet budżetu. Zdaje się, że głównym wsparciem Picota będzie Fabian Tudela, profesor archeologii na Uniwersytecie Complutense w Madrycie. To ekspert w dziedzinie Mezopotamii, doktoryzował się w Oksfordzie i pracował przy licznych wykopaliskach na Bliskim Wschodzie. Jest kompetentny, ponadto to najlepszy przyjaciel Picota.

— A więc się zdecydował...

— Owszem. To dla niego doskonała okazja. Wątpię jednak, by zdołali coś zdziałać. Sześć miesięcy to w archeologii nic.

— To prawda, ale może im się poszczęści. Oby tak się stało.

— W każdym razie już rozpoczęli przygotowania.

— To dobrze, nadal uważnie śledź rozwój wypadków. Ach, i zadzwoń do Dukaisa. Opowiedz mu o poczynaniach Picota. Mam nadzieję, że znajdzie ludzi na tę wyprawę.

— Nie będzie to łatwe. To nie takie proste zrobić z goryla naukowca.

Kiedy Brown został sam, wybrał numer telefonu. Po chwili usłyszał głos Mentora.

— Przepraszam, że ci przeszkadzam, chciałem jednak, żebyś wiedział, że Yves Picot kompletuje zespół na wyprawę do Iraku.

— Ach, Picot! Byłem pewny, że nie odmówi. Zorganizowałeś wszystko tak, jak ci powiedziałem?

— Właśnie to robię.

— Nie można dopuścić do żadnego błędu.

— Nie będzie błędów.

Brown wahał się przez parę sekund, zanim odważył się zapytać:

— Wiesz już, kto posłał Włochów?

Cisza w słuchawce brzmiała straszniej, niż gdyby Mentor zaczął mu czynić wyrzuty. Prezes wykonawczy fundacji Świat Starożytny spocił się, kiedy uświadomił sobie, jak nieodpowiednie pytanie zadał.

— Postaraj się, by wszystko wyszło tak, jak przewidzieliśmy.

Tymi słowami Mentor dał mu do zrozumienia, że uznaje rozmowę za zakończoną.

Paul Dukais notował to, co Ralph Barry relacjonował mu przez telefon.

— To znaczy, że teraz jest w Berlinie – stwierdził raczej niż zapytał prezes planet Security.

— Tak, był również w Paryżu, a zanim wróci do Madrytu, zahaczy o Londyn. Teraz jest wrzesień, może jeszcze zdążysz zapisać na którąś z tych uczelni swoich goryli, żeby mogli zgłosić się jako ochotnicy.

— Przed chwilą powiedziałaś, że szukają studentów ostatnich lat, jakim cudem mieliby zabrać kogoś, kto dopiero zaczyna? Nie rozumiem, dlaczego tak się upieracie, żeby moi ludzie pojechali na te wykopaliska. Nie można ich tam przemycić w jakiś inny sposób?

— To rozkazy szefa.

— Robert jest nieznośny.

— Robert się denerwuje. Chodzi o tabliczki warte miliony dolarów. W gruncie rzeczy są bezcenne, naprawdę bezcenne, jeśli rzeczywiście uda się wykazać, że ich treść została zainspirowana przez patriarchę Abrahama. To byłoby rewolucyjne odkrycie: Genezis opowiedziana została przez samego Abrahama.

— Nie podniecaj się tak, Ralph.

— Nie mogę się opanować.

— Musisz myśleć jak biznesmen.

— Fascynuje mnie historia. W gruncie rzeczy to moja jedyna pasja.

— Robisz się sentymentalny, to do ciebie nie pasuje. Zadzwoń, kiedy będę coś miał. Biorę się do pracy.

* * *

Mercedes spacerowała bez celu po uliczkach prowadzących na plac Hiszpański. Zrobiła zakupy w eleganckich butikach przy Via Condotti, Via de la Croce, Via Fratina... Parę torebek, kilka jedwabnych apaszek, kostium, bluzka, pantofle. Nudziła się. Nigdy nie bawiło jej robienie zakupów, chociaż bardzo dbała o wygląd. Znajomi chwalili jej elegancję, chociaż ona wiedziała, że trzyma się stylu klasycznego, żeby nie popełnić jakiegoś błędu.

Chciała już wrócić do Hiszpanii, do Barcelony, do swojej firmy, wizytować budowy i wspinać się po rusztowaniach, czując na plecach przerażony wzrok murarzy, którzy uważali ją za starą wariatkę.

Aktywność utrzymywała ją przy życiu. Dzięki pracy Mercedes nie musiała myśleć o niczym innym niż to, co robiła w danej chwili. Przez całe życie uciekała od stanięcia ze sobą twarzą w twarz, zmierzania się ze swoimi lękami. Nie wyszła za mąż, nie miała dzieci, nie miała nawet rodzeństwa ani siostrzeńców, nikt z jej krewnych nie żył. Babka, matka jej ojca, umarła wiele lat temu. Była to anarchistka, twarda jak skała, która poznała koszmar frankistowskich więzień. „Faszyści są tacy, jacy są – mawiała – więc nie powinno nas dziwić, że robili to, co robili”. Stała obiema nogami na ziemi i tego nauczyła Mercedes.

Żyła wystarczająco długo, by pomóc wnuczce mierzyć się z życiem, patrząc mu w twarz.

Gdyby Mercedes była teraz w Barcelonie, o tej porze rozmawiałaby z architektem na jednej ze swoich budów, dyskutując o projektach, planując następny budynek.

Zwykle jadła Lunch samotnie w swoim gabinecie, podobnie jak sama jadła kolację, siedząc w domu przed telewizorem.

Teraz powinna poszukać jakiegoś miejsca, gdzie można usiąść, odpocząć i coś przegryźć, bo ścisnęło ją w żołądku. Następnie wróci do hotelu na piechotę i spakuje walizki. Wyleci jutro, pierwszym samolotem. Umówili się, że Carlo podjedzie do hotelu, by zjeść z nią kolację i się z nią pożegnać.

Cipriani zadzwonił do niej do pokoju z hotelowego holu. Kiedy zeszła, padli sobie w objęcia. W ten sposób mogli rozładować burzę emocji, które nimi targały.

— Rozmawiałeś z Hansem i Brunonem?

— Tak, zadzwonili do mnie zaraz po przyjeździe. Wszystko u nich w porządku. Hans ma szczęście, Berta to wyjątkowa kobieta.

— Twoje dzieci również są udane.

— Owszem, ale ja mam ich trójkę, a Hans tylko jedną córkę, ma więc szczęście, że Berta jest, jaka jest. Opiekuje się nim i go rozpieszcza, jakby był dzieckiem.

— Wszystko dobrze u Brunona? Trochę się martwię, widziałam, że jest przybity tą sytuacją. A może się boi?

— Ja również się boję, Mercedes. Podejrzewam, że ty też. Fakt, że robimy to, co musimy robić, nie oznacza wcale, że jesteśmy bezkarni.

— Na tym polega tragedia ludzkości: nic z tego, co człowiek robi, nie pozostanie bez kary. Na tym polegała klątwa Boga, kiedy wyrzucił Adama i Ewę z raju.

— À propos, kiedy zadzwonił Bruno, słyszałem, jak Deborah protestuje. Nasz wspólny przyjaciel opowiedział mi, że Deborah martwi się o niego i nawet go poprosiła, żeby nigdy więcej się z nami nie spotykał. Pokłócili się, Bruno w końcu powiedział, że prędzej rozstanie się z nią niż z nami.

— Biedna Deborah! Rozumiem, że cierpi.

— Nigdy cię nie polubiła, zdecydowanie nie przypadłaś jej do gustu.

— Ja prawie nikomu nie przypadam do gustu.

— Tak naprawdę sama bardzo się o to starasz. To objaw braku pewności siebie.

Wiesz o tym?

— Rozmawiam z lekarzem czy z przyjacielem?

— Z przyjacielem, ale tak się składa, że jest on również lekarzem.

— Z pewnością potrafisz leczyć ciała, ale na duszę nie ma lekarstwa.

— Mimo wszystko mogłabyś jednak się wysilić i w nieco innych barwach zobaczyć to, co cię otacza.

— Nic innego nie robię. Jak sądzisz, w jaki sposób udało mi się przeżyć tyle lat? Wiesz? Mam na świecie tylko was. Od śmierci mojej babki jesteście jedynym, co trzyma mnie przy życiu. Wy i...

— Tak, zemsta i nienawiść stanowią napęd historii, w tym również historii osobistych. Wciąż wspominam twoją babkę. To była niezwykle odważna kobieta.

— Nie zadowolala się życiem rozbitka uratowanego z katastrofy, stawiała czoło wszystkim i wszystkiemu. Kiedy wyszła z więzienia, nie załamała się, nie zmieniła przekonań, organizowała potajemne zebrania, wozila do Francji antyfrankistowskie gazetki i spotykała się z uchodźcami. Coś ci powiem: w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych we

wszystkich kinach Hiszpanii przed każdym seansem ukazywały się migawki z dokonań Franco i jego rządu. My mieszkaliśmy w Mataró, niedużym mieście w okolicach Barcelony, gdzie było kino na świeżym powietrzu. Oglądało się filmy pod gwiazdami, dzieci skubały pestki słonecznika. Gdy tylko pojawiało się pierwsze zdjęcie Franco, moja babcia chrząkała, pluła na podłogę i mówiła cicho: „Wydaje im się, że nas zwyciężyli, sami nie wiedzą, jak bardzo się mylą. Dopóki wolno nam myśleć, dopóty jesteśmy wolni”, i pokazywała na swoją głowę, mówiąc: „Tu oni nie rządzą”. Przyglądałam jej się przerażona, obawiając się, że w każdej chwili mogą nas aresztować. Nic się jednak nigdy nie stało.

— Zawsze serdecznie nas przyjmowała i o nic nie pytała, kiedy przychodziliśmy do ciebie w odwiedziny. Pamiętam, że zawsze była ubrana na czarno, z kokiem, z twarzą pooraną zmarszczkami. Było w niej tyle godności...

— Wiedziała, o czym rozmawiamy i co sobie postanowiliśmy, znała naszą przysięgę. Nigdy nie robiła mi wyrzutów, wręcz przeciwnie, przypominała mi tylko, że cokolwiek mamy zrobić, trzeba to zrobić z głową, nie dając się ponieść gniewowi.

— Nie wiem, czy nam się to uda.

— Pracujemy nad tym Carlo, pracujemy. Wydaje mi się, że jesteśmy blisko końca, zbliżamy się do Tannenberga.

— Dlaczego wystawił się po tylu latach? Nie przestaje mnie to zastanawiać, Mercedes, i nie znajduję sensownej odpowiedzi.

— Potwory również mają uczucia. Ta kobieta może być jego córką, wnuczką lub siostrzenicą, kto to może wiedzieć? A z raportu Mariniego wnioskuję, że wysłał ją do Rzymu, żeby ktoś im pomógł odnaleźć te tabliczki, o których dziewczyna mówiła na kongresie. Muszą być dla nich bardzo ważne, tak ważne, że narazili się na ryzyko pokazania ich światu.

— Wierzysz, że takie monstra coś czują?

— Rozejrzyj się, pomyśl o najnowszej historii, o wszystkich dyktatorach, których widziałeś w otoczeniu swoich rodzin, z wnukami na rękach, głaszczących swojego kota. Żeby nie szukać daleko – Saddam. Nie wzruszało go gazowanie kurdyjskich osad, zabijanie kobiet, dzieci i starców ani porywanie przeciwników reżimu, a popatrz tylko, co się mówi o jego własnych dzieciach. Wdały się w niego, ale na wszystko im pozwala, troszczy się o te dwa potworki, jakby to były ostatnie cuda świata. I to samo można powiedzieć o Ceaușescu, Stalinie, Mussolinim, Franco i całej rzeszy dyktatorów, którzy rozpromieniali się na myśl o swoich bliskich.

— Wszystko mieszasz, Mercedes – roześmiał się Carlo. – Pakujesz wszystkich do jednego worka. Widzę, że i z ciebie niezła anarchistka!

— Moja babka była anarchistką, podobnie mój dziadek. I mój ojciec. Czy Hans już zadzwonił do tego Toma Martina? – zapytała Mercedes, chcąc zmienić temat.

— Nie, ale powiedział mi, że gdy tylko umówi się na spotkanie, powie nam o tym. Podejrzewam, że zaczeka dwa lub trzy dni, zanim cokolwiek zrobi. Dopiero wrócił do domu i Berta zacznie coś podejrzewać, jeśli Hans znów zechce wybrać się w podróż.

— Mogłabym się tym zająć, w końcu nie mam rodziny i nikt mnie nie będzie prosił o wyjaśnienia, dokąd się wybieram ani do kogo dzwonię.

— Pozwólmy, by zrobił to Hans.

— A twój przyjaciel Luca?

— Wiem, że go nie polubiłaś, ale to dobry człowiek i bardzo nam pomógł, nadal nam pomaga. Akurat przed wyjściem odebrałem od niego telefon. Twierdzi, że nie ma niczego nowego, że na razie jego byli znajomi nie przestawili ani klocka w tej układance. Nie chciał mnie niepokoić, ale wydaje mu się, że ktoś myszkował w archiwach firmy, szukając informacji o tym, co się stało. Niczego nie znaleźli, bo on nigdy nie założył żadnej teczki do tej sprawy. Osobiście ją prowadził i wydawał polecenia swoim ludziom, nie zdradzając im, od kogo pochodzi zlecenie. Uważa, że jego gabinet również został przeszukany. Podejrzewa, że założono mu podsłuch, ale niczego nie znalazł, chociaż na wszelki wypadek zadzwonił do mnie z budki. Umówiliśmy się na jutro. Wstąpi do kliniki.

— Czy to Tannenberg szukał śladów? – zastanawiała się Mercedes.

— Niewykluczone. On albo policja, albo Bóg jeden wie kto jeszcze.

— Moim zdaniem to on albo policja, nikogo więcej nie może interesować ta historia.

— Pewnie masz rację.

12

— Paul, znalazłem paru ludzi, którzy mogą ci się przydać. Gdybyś dał mi jeszcze trochę czasu, znalazłbym ich więcej.

— Jeśli czegoś mi w życiu brakuje, to właśnie czasu. Już rozpocząłem odliczanie dni do rozpoczęcia tej przeklętej wojny.

— Nie narzekaj, na tej wojnie zarobimy kupę szmału.

— Masz rację, Tom, wojny to teraz najlepszy interes. Podpisałem cały szereg kontraktów na wysłanie ludzi do Iraku, gdy tylko Stany zaatakują. Podejrzewam, że ty robisz podobnie.

— Tak, chcę ci zaproponować coś, co można by zrobić razem. Ilu masz ludzi?

— Obecnie mam umowy z ponad dziesięcioma tysiącami.

— Człowieku, to gruba przesada! Mnie daleko do takiej liczby, zresztą nic interesują mnie partacze, tylko ludzie z doświadczeniem.

— Tu nietrudno takich znaleźć. Zaczynam zatrudniać Azjatów.

— Nieważne, skąd będą, grunt, żeby byli gotowi do walki. Mam sporo byłych Jugosłowian: Serbów, Chorwatów, Bośniaków, twardziele, z takich, co najbardziej lubią pociągać za spust. Ci dwaj, których znalazłem... bądź ostrożny, mam nadzieję, że uda ci się nad nimi zapanować. Są młodzi, ale szaleni. Sami nie pamiętają, ilu ludzi zabili.

— W jakim są wieku?

— Jeden ma dwadzieścia cztery lata, drugi dwadzieścia siedem. Jeden jest Bośniakiem, drugi Chorwatem. Zanim w Jugosławii wszyscy zaczęli się zabijać, studiowali. Udało im się przeżyć, ale obaj stracili rodziny. Ten Chorwat to doskonały strzelec. Poza tym lubi pieniądze. Teraz studiuje informatykę, zdaje się, że to mały geniusz komputerowy. Bośniak jest nauczycielem.

— W takim razie żaden z nich nie studiował historii ani archeologii.

— Nie, nie mam najemników, którzy pasjonowaliby się historią. Ci dwaj się nadają ze względu na wiek i dlatego że mówią po angielsku. Wiesz, jak to jest, rządy europejskie, chcąc sobie oczyścić sumienie, dają stypendia naukowe Jugosłowianom, jeśli więc się

pośpieszysz, możesz ich jeszcze zapisać na któryś uniwersytet, taki, który ci będzie pasował, czy to w Berlinie, czy w Paryżu, a tam z pewnością znajdziesz kogoś, kto pozna ich z Picotem.

— Psiakrew, nie ułatwiasz mi zadania.

— Paul, zastanów się, przecież ci dwaj za pieniądze są gotowi na wszystko. Przywykli do tego, że aby przeżyć, trzeba mordować. Zapiszmy ich na studia w Berlinie lub Madrycie. Hiszpania to kraj, w którym zostało jeszcze paru idealistów, gotowi są zaryzykować dla każdego, kto opowie im smutną historyjkę. A ci mają nie tylko smutne, ale wręcz tragiczne historie. Daj mi współrzędne Picota, a ja już się postaram, by się do niego zbliżyli. Będzie musiał zapłacić studentom, których ze sobą zabierze, więc ci dwaj mogą powiedzieć, że potrzebują pieniędzy na studia i na utrzymanie.

— Jak możesz oczekiwać, że Picot zatrudni informatyka i nauczyciela? Potrzebni mu są archeolodzy i historycy.

— Decyzję pozostawiam tobie, przyjacielu. Już ci powiedziałem, czym dysponuję.

— Wyślę kogoś, żeby się z nimi spotkał i wytłumaczył, czego od nich oczekujemy. Będzie tu jutro. Prześlij mi fakturę.

— Dobrze. Kiedy przyjeżdżasz do Londynu?

— Za tydzień. Mam się spotkać z paroma klientami, którymi mógłbym się z tobą podzielić. Wyślę ci e-mail.

— W porządku, porozmawiamy.

Tom Martin odłożył słuchawkę. Dobrze mu się współpracowało z Paulem Dukaisem. Działali w tej samej branży, mieli za zadanie zapewnić bezpieczeństwo jednym, a innych likwidować. Jego firma się rozrastała. Dobrodziejstwa globalizacji. No i teraz ta wojna w Iraku... Sytuacja zapowiadała się obiecująco. Podpisał już cztery umowy opiewające na miliony i oczekiwał, że wkrótce podpisze kolejne.

Bez wątpienia Global Group była największą europejską agencją bezpieczeństwa, podobnie jak firma Paula Dukaisa, Planet Security, była największą w Ameryce Północnej. Obie firmy kontrolowały ponad sześćdziesiąt pięć procent rynku na całym świecie, wszyscy inni w porównaniu z nimi wyglądali jak mrówki przy słońcu. Ale w Iraku znajdzie się coś dla każdego. Na pewno do niektórych zadań trzeba będzie połączyć siły Global Group i Planet. Musi porozmawiać o tym z Paulem.

Zaprosi go na kolację i na drinka, kiedy sfinalizują porozumienie, bo co do tego, że wszystko się uda, nie miał wątpliwości. W końcu to nie było ich pierwsze wspólne przedsięwzięcie.

Kolacja przebiegała w milczeniu. Alfred Tannenberg unikał rozmowy z Ahmedem, który również nie przejawiał zainteresowania rozmową z dziadkiem żony.

Gdy tylko skończyli jeść, Clara poprosiła dziadka, by jeszcze nie odchodził od stołu.

— Czego chcesz?

— Chcę, żebyśmy porozmawiali. Nie mogę, wytrzymać napięcia między tobą a Ahmedem. Musisz mi powiedzieć, co się stało.

Mężczyźni popatrzyli na siebie, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Ciszę przerwał Ahmed:

— Ja i twój dziadek mamy różne poglądy na pewne sprawy.

— Aha! I to oznacza, że postanowiliście ze sobą nie rozmawiać, tak? Przecież pograżycie w ten sposób cały nasz plan! Nie można niczego zacząć, skoro w tym domu panują takie nastroje. O co chodzi? Na czym polega ta różnica zdań, że patrzycie na siebie, jakbyście mieli skoczyć sobie do gardeł?

Alfred Tannenberg nie zamierzał się tłumaczyć przed swoją wnuczką, a tym bardziej przed jej mężem. Cała ta rozmowa wydawała mu się poniżająca.

— Claro, nie będziemy o tym rozmawiali. Zajmij się organizowaniem prac, cała odpowiedzialność będzie spoczywać na tobie. *Gliniana Biblia* należy do ciebie, to ty musisz ją odnaleźć i przechować. Cała reszta jest nieważna w porównaniu z tym, co nas czeka. A, prawda, jeszcze ci nie mówiłem... Wyjeżdżam na kilka dni do Kairu. Jednak zanim wyjadę, zostawię ci dość pieniędzy, byś mogła zacząć działać. Będziesz musiała je przy sobie nosić i rozsądnie wydawać. Chcę, by zawsze była przy tobie Fatima.

— Fatima? Ależ dziadku, jak mogę zabrać Fatimę na wykopaliska? Co tam będzie robiła?

— Opiekowała się tobą.

Kiedy Tannenberg coś postanowił, nikt nie odważył mu się przeciwstawić, nawet Clara.

— Zgoda, dziadku, ale czy ty z Ahmedem nie moglibyście się pogodzić? Czuję się niezręcznie w tej sytuacji...

— Dziecko, nie wtrącaj się. Zostaw to tak, jak jest.

Ahmed przez cały czas milczał. Kiedy Tannenberg wyszedł, popatrzył na Clary z gniewem w oczach.

— Nie mogłaś sobie darować? Nie zawsze musi panować atmosfera jak na imieninach.

— Słuchaj, Ahmedzie, nie wiem, co się stało, widzę jednak, że już od jakiegoś czasu dziwnie się zachowujesz. Jakbyś był bez przerwy zły. Dlaczego?

— Jestem zmęczony, Claro, nie podoba mi się sposób, w jaki żyjemy.

— Co masz na myśli?

— Zamknięci w Żółtym Domu, na łasce Alfreda. On wyznacza nam granice, dyktuje, co mamy robić. Czuję się tu jak więzień.

— To dlaczego nie odejdziesz? Nie mogę cię zmusić, żebyś ze mną został, i nie zamierzam cię o to prosić.

— Czy to zachęta, żebyś odszedł? Nie przyszło ci do głowy, że może oboje powinniśmy odejść?

— Ja stanowię część Żółtego Domu, nie mogę uciec przed damą sobą. Zresztą, Ahmedzie, mnie jest tu dobrze.

— Chciałbym znów zamieszkać w San Francisco. Tam byliśmy szczęśliwi.

— Ja jestem szczęśliwa tu, w tym kraju. Jestem Irakijką.

— Wcale nie, urodziłaś się tutaj, ale to wszystko.

— Chcesz mi wmówić, że nie jestem obywatelką tego kraju? Urodziłam się tutaj, tu się wychowałam i tu byłam szczęśliwa, i chcę, żeby nadal tak było. Nie zamierzam nigdzie się wyprowadzać, wszystko, czego pragnę, jest tu.

— A ja nie znajduję tu tego, czego pragnę, i wiem, że nie ma tego ani w tym domu, ani w tym kraju. Irak nie ma przyszłości.

— Co chcesz zrobić?

— Chcę wyjechać, Claro.

— Ruszaj śmiało, Ahmedzie, ja nie kiwnę palcem, by cię zatrzymać. Za bardzo cię kocham, żeby cię przekonywać, byś został, skoro jesteś to nieszczęśliwy. Mogę ci w czymś pomóc?

Ahmeda zdziwiła reakcja Clary. Poczul się urażony w swojej męskiej dumie.

— Pomogę ci znaleźć *Glinianą Biblię*. Wydaje mi się, że możesz potrzebować mojej pomocy, zwłaszcza jeśli twój dziadek wybiera się teraz do Kairu. Potem wyjadę. Wprawdzie nie wpuszczą mnie do Stanów, ale poszukam schronienia we Francji albo w Wielkiej Brytanii, zaczekam, aż przestaną traktować Irakijczyków jak zadzumionych i będę mógł wrócić do San Francisco.

— Nie musisz tu zostawać, Ahmedzie. Doceniam twoją chęć pomocy, ale czy naprawdę uważasz, że to dobry pomysł, by przez następne miesiące żyć jak gdyby nic, wiedząc, że i tak wyjedziesz?

— A ty do mnie nie dołączysz?

— Nie, ja zostanę w Iraku. Chcę tu mieszkać. Podobało mi się w Ameryce, tak, byliśmy tam szczęśliwi, ja jednak nigdy nie opuściłabym Orientu. Moje życie upłynęło między Irakiem, Egiptem, Jordanią i Syrią. Owszem, chciałabym kiedyś wpaść do Nowego Jorku i San Francisco, ale tylko na chwilę. Powtarzam, do końca życia chcę mieszkać tutaj.

— Zdajesz sobie sprawę, że to początek naszej separacji?

— Tak. Bardzo mi przykro z tego powodu, bo cię kocham, ale sądzę, że żadne z nas nie powinno rezygnować z bycia sobą, bo skończymy, nienawidząc się.

— Jeśli nie chcesz, żebym został, postaram się znaleźć jakiś sposób, by wydostać się z Iraku.

— Mój dziadek może ci w tym pomóc.

— Nie sądzę.

— Zapewniam cię, że to zrobi.

— Tak czy inaczej, zastanów się nad moją propozycją. Nie mam nic przeciwko temu, by poczekać jeszcze parę miesięcy. Wiem, że mogę ci się przydać, bardzo chciałbym ci pomóc.

— Dość już rozmów na dziś, Ahmedzie, pozwól, że się zastanowię. Gdzie będziesz dzisiaj spał?

— Na kanapie w moim gabinecie.

— To dobrze. Musimy porozmawiać o szczegółach rozvodu, ale jeśli nie masz nic przeciwko temu, zrobimy to jutro.

— Dziękuję, Claro.

— Kocham cię, Ahmedzie.

— Ja też cię kocham.

— Nie, nie kochasz mnie, już dawno przestałeś mnie kochać. Dobranoc.

Przy śniadaniu znów siedzieli w milczeniu, dopóki Fatima nie wpadła do jadalni i nie oznajmiła Ahmedowi:

— Dzwoni do pana profesor Picot. To coś pilnego.

Ahmed podniósł się i wyszedł z jadalni.

— Tak, słucham?

— Tu Picot. Mam już wstępną listę osób, które wezmą udział w wyprawie. Wysłałem ją do pana e-mailem, żeby można się było zająć załatwianiem wiz. Postanowiłem też wysłać dwie osoby z częścią materiału, żeby zaczęły wszystko urządzić na miejscu. Kiedy dojedzie reszta, chciałbym, by część infrastruktury była już gotowa, bo powinniśmy jak najszybciej przystąpić do pracy. Musi pan niezwłocznie załatwić sprawy celne i wizowe, żeby nie było problemów na granicy.

— Może pan na mnie liczyć. Co pan wysłał?

— Namioty, żywność, materiały archeologiczne... Kiedy tam dojedziemy, chcę, by namioty już stały i by został już wyselekcjonowany zespół robotników. Zajmie się pan wszystkim?

— Wszystkim, na co wystarczy mi czasu. Bo, jak się okazuje, najprawdopodobniej nie wezmę udziału w tej misji.

— Czy ja się przesłyszałem?

— Spokojnie, wszystko w porządku. Wszystkim zajmie się Clara.

— Ale co się stało? Zamierzamy zainwestować mnóstwo pieniędzy w te wykopaliska, nie wyobraża pan sobie, ile mnie kosztowało przekonanie grupy studentów i archeologów, żeby pojechali do Iraku, a pan mi teraz mówi, że go tam nie będzie. Czy to jakiś żart?

— To nie żart. Fakt, że sam nie zaangażuję się w wykopaliska, nie oznacza jednak zmiany warunków umowy. Moja obecność nie ma znaczenia, dostanie pan wszystko, co będzie panu potrzebne. Zapewniam pana, że Clara to bardzo zdolny archeolog, nie potrzebuje mojej pomocy przy prowadzeniu wykopalisk, pan również mnie nie potrzebuje.

— Nie lubię takich niespodzianek.

— Ja też nie, ale takie jest życie, przyjacielu. W każdym razie teraz przeczytam pański e-mail i zajmę się przygotowaniem. Chce pan zamienić słowo z Clarą?

— Nie teraz, może później.

Clara przyglądała się mężowi zza uchylonych drzwi. Słyszała część rozmowy.

— Picot mi nie ufa – stwierdziła.

— Wierzy w stereotypy. Skoro jesteś Irakijką, to powinnaś nosić czarczaf i nie opuszczać domu bez zgody męża. Takie wyobrażenie Bliskiego Wschodu pokutuje na Zachodzie. Będzie miał wiele okazji, by zmienić zdanie.

— Zmartwił się, że cię nie będzie?

— Tak, trochę się tym zaniepokoił. Ale ty nie musisz się przejmować. W gruncie rzeczy do niczego nie będę wam potrzebny. Omawialiśmy razem aż do znudzenia, co trzeba zrobić. Znasz Safran lepiej niż ja, trudno by też było nauczyć się czegoś więcej o archeologii Mezopotamii. Ponadto myślę, że możesz mianować Karima swoim asystentem. To całkiem zdolny historyk. Z drugiej strony to bratanek Pułkownika i będzie zachwycony możliwością uczestniczenia w wykopaliskach.

— Co zamierzasz powiedzieć Picotowi? Jak usprawiedliwisz swoją nieobecność na wyprawie?

— Musimy o tym porozmawiać, Claro, musimy zdecydować, jak będzie wyglądała nasza separacja, kiedy i jak ją ogłosimy, co zrobimy dalej.

Clara szczerze pragnęła, by rozstanie odbyło się bez wymówek i scen. Zastanawiała się tylko, kiedy znajdą ujście wszystkie tłumione emocje.

— O co poprosił cię Picot?

— Chodźmy do gabinetu przeczytać jego wiadomość. Potem możemy wziąć się do pracy. Nie ma czasu do stracenia. Muszę zadzwonić do Pułkownika. Picot wysłała część rzeczy i chce uniknąć kłopotów na granicy. Masz pod ręką plan pracy, który przygotowaliśmy?

— Jest u dziadka. Chciałam, żeby rzucił na niego okiem.

— Przynies go więc, a gdy będziesz gotowa, pojedziemy razem do ministerstwa i zabierzemy się do przygotowań. Trzeba zacząć wysyłać ludzi do Safranu. Możliwe, że jedno z nas będzie musiało już tam pojechać.

Alfred Tannenberg jeszcze nie wyszedł z jadalni i wcale nie ukrywał, że jest rozgniewany na Clarę.

— Od kiedy jesteś tak źle wychowana, że zostawiasz mnie samego przy stole i idziesz załatwiać jakieś sprawy? Można wiedzieć, o co tu chodzi?

— Dzwonił Picot.

— Tyle zdołałem usłyszeć. Czy świat musi się zatrzymywać, kiedy on dzwoni?

— Wybacz, dziadku, sam wiesz, jakie to ważne, żebyśmy osiągnęli nasz cel. Zadzwoń, żeby powiedzieć nam, iż wysłała część rzeczy i kilku współpracowników. Kiedy przyjedzie, będzie można od razu wziąć się do pracy. Musimy rozwiązać problem cła. Ahmed porozmawia z Pułkownikiem. Jedno z nas wybierze się do Safranu, by wszystko było gotowe, kiedy zaczną nadchodzić przesyłki. Musimy dobrać robotników, dogadać się z naczelnikiem wsi co do wysokości wynagrodzenia... sam wiesz, mamy masę spraw.

— Zgadza się, ale niech ci nie przychodzi do głowy kiedykolwiek zostawiać mnie samego przy stole. Nigdy.

— Nie gniewaj się, proszę, jesteśmy tak blisko spełnienia naszych marzeń...

— To nie marzenia, Claro, *Gliniana Biblia* istnieje, jest tu, o krok, musisz ją tylko odnaleźć.

— Odnajdę.

— To dobrze. A gdy już to nastąpi, weź tabliczki i wracaj jak najprędzej.

— Zapewniam cię, że nic im się nie stanie.

— Daj mi słowo, że nie pozwolisz, by ktokolwiek je zabrał.

— Daję ci moje słowo.

— Idź teraz do pracy.

— Właśnie przysłałam cię prosić, żebyś mi oddał plan, który napisaliśmy z Ahmedem.

— Leży na stole w moim gabinecie. A co do Ahmeda, to im szybciej wyjedzie, tym lepiej.

Clara popatrzyła na dziadka zdziwiona. Jak to możliwe, że wie, jak mają się sprawy między nią a mężem?

— Dziadku...

— Niech się wynosi, Claro, nie jest nam do niczego potrzebny. Niech zobaczy, jak to jest żyć bez nas. Bez nas jest nikim.

— Skąd wiesz, że Ahmed odchodzi?

— Wiem o wszystkim, co dzieje się w tym domu. Musiałbym być skończonym głupcem, żeby tego nie widzieć.

— Ja go nadal Kocham, proszę cię więc, żebyś go nie krzywdził. Jeśli to zrobisz, nigdy ci nie wybaczę.

— Claro, w tym domu to ja decyduję o losach was wszystkich. Nie mów mi, co mi wolno, a czego nie.

— Owszem, dziadku, muszę ci to czasem przypomnieć. Jeśli coś stanie się Ahmedowi, ja również wyjadę.

Alfred Tannenberg zdał sobie sprawę, że jego wnuczka mówi poważnie.

Kiedy Clara wysiadła z samochodu, na jej twarzy malowało się napięcie.

— Co się stało? – zapytał Ahmed.

— Wie o tym, że się rozstajemy.

— I czym mi grozi?

Clara czuła się rozdarta między tymi dwoma mężczyznami. Obu bardzo kochała. Wrogość między nimi była dla niej nie do zniesienia.

— Przestań, Ahmedzie, dziadek zawsze dobrze cię traktował, daruj sobie ten sarkazm.

— Zbyt dobrze go znam, Claro, dlatego się boję.

— Boisz się go? Robił wszystko, żeby ci pomóc, dawał ci wszystko, czego chciałeś, dlaczego się go boisz?

Ahmed milczał. Nie chciał odsłaniać przed Clarą mrocznej strony interesów, które prowadził jej dziadek, a w których on sam uczestniczył.

— Nie kwestionuję szczodrości Alfreda, był rzeczywiście niezwykle hojny, a ja pracowałem lojalnie u jego boku, nigdy nie krytykując tego, co robił.

— A dlaczego miałbyś krytykować to, co robi dziadek? – prychnęła Clara.

— Ależ, Claro, nie psujmy wszystkiego z jego powodu. Tak dobrze nam się układało.

— Zauważyłam, że się nie znosicie. Od jak dawna to trwa? Co się stało? I dlaczego nie widziałam tego wcześniej?

— Nie zastanawiaj się nad tym. Takie rzeczy zdarzają się w rodzinach, w firmach, wśród przyjaciół. Pewnego dnia przestaje ci się dobrze układać z ludźmi i już.

— Tak po prostu?

— Nie chcę być narzędziem w rozgrywce między wami. Zostawcie mnie w spokoju.

Ahmed prowadził, nie widział więc jej twarzy, zdawał sobie jednak sprawę, że harmonia, jaka między nimi panowała, lada moment zostanie zaburzona.

— Za nic w świecie nie chciałbym cię skrzywdzić. Nie zasługujesz na to.

— Jasne, że na to nie zasługuję! Przestańcie więc mnie dręczyć.

— Zgoda. Co powiedziałaś dziadkowi?

— Nic, po prostu nie zaprzeczyłam, że zamierzamy się rozstać. On chce, żebyś jak najszybciej wyjechał.

— Co do tego, zgadzam się z nim. Wyprowadzę się. Mogę zamieszkać w domu mojej siostry.

Clara poczuła niespodziewane ułknięcie w piersi. Co innego rozmowa o rozstaniu, co innego wprowadzanie słów w czyn.

— Zrób to, co jest dla ciebie najlepsze – powiedziała cicho.

— Dla nas obojga, Claro, dla nas obojga.

Była o krok od wyznania mu, że wcale nie chce, by odchodził, że zaczyna bać się bólu, jaki już teraz czuje na myśl o jego odejściu. Nie powiedziała jednak ani słowa, była na to zbyt dumna.

— Wiesz, Ahmedzie, jedyne, czego chcę, to żebyśmy nie urządzali scen. A przede wszystkim chcę cię prosić, żebyś nie występował przeciwko mojemu dziadkowi. Ja go kocham.

— Wiem o tym, Claro, wiem, jak bardzo go kochasz. Zrobię to dla ciebie. A przynajmniej się postaram.

Kiedy weszli do ministerstwa, zmienili temat. Zastanawiali się, które pojedzie do Safranu.

— Ja pojedę, Ahmedzie. To ja biorę udział w wykopaliskach, więc wolę być tam od samego początku.

Nie powiedziała mu, że wyjazd pomoże jej uwolnić się od smutku, jaki zaczyna ją ogarniać.

— Zgoda, być może masz rację. Ja zostanę tu i będę ci pomagał z Bagdadu. Przy okazji spokojnie przygotuję swój wyjazd.

— Pod jakim pozorem wyjedziesz?

— Jeszcze nie wiem.

— Oskarżą cię o zdradę. Saddam może posłać za tobą kogoś, żeby cię zlikwidował.

— Ale muszę zaryzykować.

Do obiadu pracowali, nie odrywając się od telefonu, załatwiając zezwolenia i formalności. W południe Ahmed poszedł na lunch z Pułkownikiem, Clara zaś wróciła do domu.

— Przyszłaś w samą porę. Zaraz będzie obiad – powitała ją Fatima. – Dziadek jest u siebie, rozmawia z gościem.

Clara poszła do swojego pokoju, żeby się trochę odświeżyć, wcześniej prosząc Fatimę, by powiadomiła ją, kiedy dziadek zejdzie do jadalni.

Tannenberg przeczytał ostatnią stronę. Gość patrzył na niego wyczekująco. Starzec schował dokumenty do teczki, a tę wrzucił do najwyższej szuflady w biurku i wbił w Jasira stalowe spojrzenie.

— Pojadę do Kairu – oznajmił. – Połącz mnie z Robertem Brownem. Zrób to tak, żeby nikt nie mógł podsłuchać rozmowy.

— Nie da się tego zrobić. Amerykańskie satelity nagrywają wszystko, zwłaszcza rozmowy między Stanami a tym biednym zakątkiem świata.

— Daruj sobie te bajki, chcę pomówić z Robertem.

— To nie będzie możliwe.

— Musi być. Chcę rozmawiać z nim i innymi przyjaciółmi. Albo znajdzie się jakiś sposób, albo zadzwonię do nich bezpośrednio, prosto do ich biur. Trzeba przedyskutować plan, który mi przysłali. Ni znają się na tych sprawach i powymyślali jakieś bzdury. Gdyby to robić zgodnie z ich zamysłem, skazalibyśmy się na klęskę. Ponadto jak zwykle chcę mieć nad wszystkim kontrolę. Nie zgadzam się, by wysłali kogoś do kierowania operacją. Dlaczego? A dlatego, że na tym obszarze to ja rządzę, to moje terytorium, nie uda im się mnie stąd wykurzyć.

— Nikt cię znikąd nie wykurza. Wiedzą, że nie czujesz się najlepiej, i wysyłają ci posiłki.

— Nie kwestionuj moich możliwości, Jasirze.

— Być może wkurzyli się wystąpieniem Clary w Rzymie, bo odsłoniłeś się, ogłaszając odkrycie śladów *Glinianej Biblii*.

— To nie była ich sprawa. Przekaż im, że chcę rozmawiać bezpośrednio z nimi. W przeciwnym razie operacji nie będzie.

— Co ty opowiadasz? Chcesz nas wszystkich zrujnować?

— Nie, chcę dokładnie wiedzieć, co i kiedy ma się wydarzyć. Musimy wszystko starannie przygotować. Chcę, by przybył tu ktoś od Paula Dukaisa. Sam mu wytłumaczę, w jaki sposób zrobić to, co mamy zrobić. Paul ma zoo, ale goryle nie do wszystkiego się nadają. Pokieruję operacją po swojemu. Ludzie Paula zrobią wszystko, co im powiem i kiedy im powiem. W przeciwnym razie, zapewniam cię, że nikt nic nie robi, chyba że będą chcieli prywatnej wojny.

— Co ci się stało, Alfredzie? Sprawiasz wrażenie, jakbyś oszalał.

Starzec wstał, podszedł do swojego rozmówcy i wymierzył mu siarczysty policzek.

— Jasirze, przestałeś się żywić wielbłądzim gównem w dniu, kiedy mnie poznałeś. Nie zapominaj o tym.

W czarnych oczach Jasira błysnął gniew. Znali się prawie całe życie, ale tej obrazy nigdy Alfredowi nie wybaczy.

— Idź już i rób to, co ci każe – warknął Tannenberg.

Jasir wyszedł z gabinetu, nie oglądając się za siebie, nadal czując dłoń Alfreda na policzku.

Tannenberg znalazł Clarę siedzącą samotnie przy stole w cieniu palmy, słuchającą plusku wody w fontannie. Podniosła się i pocałowała go lekko w ogoloną twarz. Lubiała zapach tytoniu, który zawsze unosił się nad dziadkiem.

— Jestem głodna, spóźniasz się, dziadku! – powiedziała na powitanie.

— Usiądź tu, Claro. Cieszę się, że jesteśmy sami, musimy porozmawiać.

Fatima właśnie poustawiała półmiski z sałatkami i ryżem do mięsa, które już parowało na stole, i zostawiła ich samych.

— Co zamierzasz zrobić? – zapytał Tannenberg.

— Nie wiem, o co ci chodzi.

— Ahmed wyjeżdża. Czego chcesz ty?

— Ja zostaję w Iraku. Tu jest moja ojczyzna, tu toczy się moje życie. Żółty Dom jest moim domem. Nie mam ochoty na los uchodźcy.

— Jeśli obalą Saddama, źle się to dla nas skończy. My też będziemy musieli wyjechać. Nie możemy tu być, kiedy wejdą Amerykanie.

— A wejdą?

— Dostałem raport, który potwierdza, że podjęli taką decyzję. Miałem nadzieję, że Bush się tylko popisuje, ale najwyraźniej przygotowania do wojny są w toku. Zdecydowali nawet, kiedy to nastąpi. I my musimy zacząć się przygotowywać. Jadę do Kairu, chcę załatwić parę spraw i porozmawiać z przyjaciółmi.

— Jesteś człowiekiem interesów, masz dobre stosunki z Saddamem, to prawda, ale takich jak ty jest wielu. Nie mogą represjonować wszystkich Irakijczyków, którym się dobrze wiodło.

— Jeśli zaatakują, zrobią, co zechcą.

— Nie chcę opuszczać Iraku.

— Będziemy musieli przeczekać za granicą, przynajmniej do czasu, aż będzie wiadomo, czego się można spodziewać.

— Po co w takim razie zaczynać wykopaliska?

— Bo jeśli teraz nie znajdziemy *Glinianej Biblii*, to przepadnie na zawsze. To nasza ostatnia szansa. Nigdy nawet sobie nie wyobrażałem, że Szamas wrócił do Ur.

— Tak naprawdę wrócił do Safranu.

— Wszystko jedno, to tuż obok. Patriarchowie byli koczownikami, wędrowali z miejsca na miejsce i osiedlali się na jakiś czas. Nie po raz pierwszy udawali się do Charanu czy powracali do Ur. Zawsze jednak sądziłem, że jeżeli *Gliniana Biblia* istnieje, to leży w Charanie lub Palestynie, bo przecież Abraham kierował się do Kanaanu.

— Kiedy wyjeżdżasz do Kairu?

— Jutro rano.

— Ja pojedę do Safranu.

— A Ahmed? – zapytał obojętnym tonem Alfred.

— Potrzebuje jakiejś wymówki, żeby opuścić Irak. Pomożesz mu?

— Nie, tego nie zrobię. Musimy zakończyć pewne interesy. Gdy wszystko domkniemy, to dla mnie może iść w diabły. Musi jednak wcześniej zrobić to, do czego się zobowiązał.

— Cóż to za interesy?

— Związane ze sztuką, przecież tym się zajmujemy.

— Wiem o tym, ale do czego jest potrzebny Ahmed?

— Jest niezbędny, żeby udał się ten nowy biznes, który właśnie uruchamiam.

— Myślałam, że chcesz, by jak najszybciej wyjechał.

— Zmieniłem zdanie.

— Będziesz musiał sam z nim pomówić. Umówiliśmy się, że wyprowadzi się z Żółtego Domu i zamieszka u swojej siostry.

— Wszystko mi jedno, gdzie będzie mieszkał, chcę tylko, żeby został w kraju do czasu wkroczenia Amerykanów.

— Nie zechce.

— Zapewniam cię, że to zrobi.

— Nie groź mu!

— Nie groź! Jesteśmy ludźmi interesu. Nie może teraz uciekać. Nie teraz. Twój mąż zarobił dzięki mnie dużo pieniędzy i potrzebuje mnie, by stąd wyjechać.

— Nie pomożesz mu, jeśli nie zechce zostać?

— Nie, nie zrobię tego nawet dla ciebie, Claro. Ahmed nie zrukuje pracy całego mojego życia.

— Chcę wiedzieć, co to za sprawa, dlaczego tylko on może się tym zająć?

— Nigdy nie wtajemniczałem cię w moje interesy i nie zamierzam tego robić teraz. Kiedy więc zobaczysz Ahmeda, powiedz mu, że muszę z nim porozmawiać.

— Przyjedzie dziś wieczorem, żeby zabrać swoje rzeczy.

— Niech mu się nie śni odjeżdżać bez widzenia się ze mną.

* * *

— Nie ufa nam.

George Wagner mówił obojętnym tonem, co dla osób, które go znały, oznaczało burzę. Enrique Gómez znał go akurat bardzo dobrze, więc choć rozmawiali przez telefon i znajdowali się wiele tysięcy kilometrów od siebie, z łatwością wyobraził sobie swojego przyjaciela z kreską zaciśniętych ust i drgającą powieką prawego oka.

— Uważa, że ci Włosi, którzy śledzili jego wnuczkę, to nasza sprawka – odpowiedział Gómez.

— Tak, a najgorsze w tym wszystkim jest to, że my nawet nie wiemy, kto ich wynajął. Jasir przekazał, że Alfred chce porozmawiać z każdym z nas i że w ogóle nie dojdzie do operacji, jeśli on nie będzie miał nad nią kontroli. Chce, by Dukais posłał jednego ze swoich ludzi, by przedyskutował z nim, w jaki sposób będą załatwiali sprawy, i grozi, że nie dojdzie do operacji, jeśli nie będziemy działali tak, jak on tego chce.

— On zna teren, George. Byłoby szaleństwem pozostawić operację wyłącznie w rękach Dukaisa. Bez Alfreda nie można tego zrobić.

— Zgoda, ale Alfred nie może nam grozić ani narzucać warunków.

— My nie chcemy *Glinianej Biblii* po to, by wystawić ją w muzeum, on zaś chce jej dla swojej wnuczki. W porządku, tu się różnimy, ale nie możemy przestać ufać Alfredowi ani wyrzucić wszystkiego za burtę tylko po to, żeby się przekonać, czyje będzie na wierzchu. Jeśli zaczniemy się kłócić, popełnimy jakiś błąd. Jeśli zaszliśmy tak daleko, to tylko dlatego, że graliśmy równo jak orkiestra.

— Do chwili, gdy Alfred postanowił zagrać nieczysto...

— Nie przesadzajmy, George, zrozum, że wszystko, co robi z tą *Biblią*, robi dla swojej wnuczki. Ty nie masz rodziny, więc nigdy tego nie zrozumiesz.

— To my jesteśmy dla siebie rodziną, my, tylko my, czyżbyś o tym zapomniał, Enrique?

Enrique Gómez zamilkł, myśląc o Rocío, synu José i wnukach.

— George, niektórzy z nas założyli rodziny, my również mamy zobowiązania.

— Poświęciłbyś nas dla tej rodziny, którą raczyłeś założyć?

— Nie zadawaj mi pytań, na które nie ma odpowiedzi. To tak jakby pytać dziecko, czy bardziej kocha mamę, czy tatę. Kocham moją rodzinę, a co do was... jesteście jak moje ramiona, moje oczy, nogi... nie można opisać tego, co znaczymy dla siebie my, nasza czwórka. Alfred kocha swoją wnuczkę, chce jej dać *Glinianą Biblię*. Znaleźisko nie należy jednak tylko do niego, lecz także do nas. Dobrze więc, starajmy się zniweczyć jego plany, ale ostrożnie, i zaufajmy mu, jak zwykle, by przeprowadzić tę drugą operację. Jeśli wypowiemy mu wojnę, podejmiemy walkę i zniszczymy się nawzajem.

— Nie może nam nic zrobić.

— Owszem, George, może, dobrze o tym wiesz.

— Co proponujesz?

— Żebyś opracował dwie operacje. Na czele tej, która była przewidziana, stanie Alfred. Drugą trzeba przygotować w tajemnicy.

— Tak właśnie robię. Paul znalazł dwóch ludzi, wejdą do zespołu Picota.

— Świetnie, o to chodzi, by mieć kogoś, kto nie odstąpi na krok wnuczki Alfreda, a jeśli archeolodzy znajdą *Biblię*, nasi ludzie ją przejmą. Nikomu nie musi stać się krzywda.

— Uważasz, że ta dziewczyna da sobie wyrwać znaleźisko? Sądzisz, że Alfred na to pozwoli?

— Owszem, przewidział, że możemy wpaść na podobny pomysł, zna nas, ale my znamy jego. Będziemy się więc bawili w kotka i myszkę, ale jeśli ci ludzie od Paula są bystrzy, będą potrafili ukraść te tabliczki i uciec.

— Znasz jakiegoś bystrego goryla?

— George, muszą tacy być. W każdym razie użycie siły powinno być ostatecznością.

— Sam wiesz, jak się czasem wszystko toczy w terenie... Nie będzie nas tam, żeby ocenić sytuację, to ci najemnicy będą decydowali. Mogą zrobić dziewczynie krzywdę.

— Dostaną od nas jasne instrukcje, jak postępować, by nie zrobić czegoś głupiego już pierwszego dnia.

— Zapytam Franka, jeśli się zgodzi, tak zrobimy. Być może przyzna ci rację, on również ma rodzinę.

— Ty też powinienesz być ją założyć, George.

— Nie była mi do niczego potrzebna.

— Wszyscy zgodziliśmy się, że tak byłoby najlepiej.

— Dla was tak, ja jednak nie czułem potrzeby wleczenia przez życie żony i dzieci.

— Wcale nie jest tak źle mieć rodzinę, George.

— Stajesz się nadwrażliwym mięczakiem.

— Nie mówimy już o tym. Zadzwoń do Franka.

— Niech Dukais wyśle kogoś inteligentnego, żeby porozmawiał z Alfredem.

— Mam nadzieję, że tak właśnie zrobi.

— Alfred nie zniósłby tego, że ktoś mu rozkazuje, sam wiesz.

— Wiem.

— Zróbmy więc wszystko jak należy. Nie chcę, by cokolwiek stało się Alfredowi.

Odbierzmy mu *Glinianą Biblię*. On wie, że nie jest jego własnością, zrozumie to, chociaż będzie starał się ją zatrzymać.

— Nie możemy zrezygnować z *Glinianej Biblii* tylko dlatego, że ta dziewczyna nie chce ustąpić.

— Nie powiedziałem, żeby zrezygnować, tylko że wolałbym ją odebrać, nie robiąc jej krzywdy.

— Ale...

— Rozumiesz mnie, George, doskonale, nie będę w kółko powtarzał tego samego. Zróbmy po prostu to, co będzie konieczne.

Jasir zdziwił się, że człowiek tak pospolity jak Dukais może być taką figurą. A jednak był, i dobrze o tym wiedział.

Dukais zdjął buty i oparł stopy na stole, nie przejmując się tym, że pokazuje wszystkim przeopcone, lepiące się do stóp skarpetki.

— Dostałem te buty od żony, ale maltretują mi stopy — usprawiedliwił się, nie przestając żuć gumy.

Jasir usiadł w fotelu, możliwie jak najdalej od skarpet Dukaisa.

Od dwóch dni przebywał w Waszyngtonie, to miasto go stresowało, na dodatek wyczuwał narastającą wrogość do Arabów. Wychodził z hotelu tylko na spotkania.

Irytowała go ignorancja Amerykanów. Nawet nie wiedzieli, gdzie leży Egipt, nie mieli też najmniejszego pojęcia o tym, co dzieje się na Bliskim Wschodzie. A już w ogóle nie rozumieli, dlaczego nie są tam lubiani. Dziwiło go, że w kraju tak bogatym jak Stany Zjednoczone obok wykształconych elit jest tylu ignorantów.

On sam był biznesmenem, jedyną religią, jaką wyznawał, były pieniądze, ale kiedy jechał do Stanów, budził się w nim nacjonalizm. Nie znosił lekceważenia.

„Egipt? To gdzieś koło Turcji? A jest tam morze? A żyją jeszcze faraonowie?” – takie pytania słyszał wiele razy.

Jego kraj był biedny, a raczej zubożały za sprawą kolejnych skorumpowanych rządów, wspieranych nieocenioną pomocą mocarstw, dla których kula ziemiska ma kształt szachownicy. Egipt najpierw poddany był wpływowi sowieckim, a teraz amerykańskim, i jak mówił jego syn, Abu: „Po co nam to było? Sprzedają nam to, czego nie potrzebujemy, po kosmicznych cenach, i wiecznie jesteśmy zadłużeni”.

Spirał się często z synem, który miał dość radykalne poglądy, ale w tym przypadku przyznawał mu rację. Nie rozumiał jednak, dlaczego jego syn, któremu niczego nie brakowało, szukał towarzystwa tej bandy fanatyków, którzy wierzyli, że islam jest lekarstwem na wszystkie problemy.

Zanim wsiadł do samolotu lecącego do Waszyngtonu, zdążyli się pokłócić z Abu o brodę, którą ten ostatni zapuścił. Dla wielu egipskich chłopców broda stała się symbolem buntu.

— Operacją pokieruje Alfred – powiedział Dukais do Jasira. – Tak będzie najlepiej. W gruncie rzeczy to on zna Irak, a nie my, więc oddamy ludzi pod jego dowództwo. Kiedy wrócisz do Kairu, będzie ci towarzyszył jeden z moich ludzi, to były pułkownik Zielonych Beretów. Śniady jak wy wszyscy, bo ma latynoskie korzenie, nie będzie więc zwracał niczyjej uwagi. Mówi trochę po arabsku. On stanie na czele chłopaków, więc Alfred powinien go poznać. Nazywa się Mike Fernández. Zabijaka, ale ma głowę na karku. Zostawił dla nas armię, bo ja mu płacę więcej, o wiele więcej.

Dukais zaśmiał się, otwierając srebrną cygarnicę, z której wyjął hawańskie cygaro. Chciał poczęstować Jasira, ale Egipcjanin odmówił.

— Mogę palić tylko w moim gabinecie. W domu mi nie pozwalają, w restauracjach też nie wolno, w domach przyjaciół mam do czynienia z ich żonami histeryczkami, zresztą moja niczym im pod tym względem nie ustępuje... Któregoś dnia się tu przeprowadzę.

— Alfred jest ciężko chory, nie wiadomo, jak długo pożyje.

— Twój szwagier nadal jest jego lekarzem?

— Szwagier jest dyrektorem szpitala, w którym go leczą. Zoperowali go tam i usunęli część wątroby, ale podczas ostatnich badań wykryli nowe guzki.

— Wytrzyma jeszcze sześć miesięcy?

— Mój szwagier tego nie wyklucza, ale nie ma pewności. Alfred nie narzeka i żyje jak zwykle. Wie, że umrze i...

— I?

— Poza wnuczką nic go nie interesuje.

— A więc mamy do czynienia z desperatem.

— Nie, nie jest zdesperowany, wie po prostu, że ma mało czasu, i nie boi się niczego ani nikogo.

— To źle, zawsze trzeba się kogoś bać — mruknął Dukais.

— Jedyne, co go obchodzi, to Clara. Nie wystarcza mu, że zostawia jej górę pieniędzy. Chce, by odnalazła tę *Glinianą Biblię*, której szukacie od tylu lat.

Paul Dukais mógł mieć braki w wychowaniu, ale był wyjątkowo inteligentny. Dlatego tak daleko zaszedł. Doskonale rozumiał, dlaczego Alfred Tannenberg zachowuje się w taki właśnie sposób.

— Ta dziewczyna nic o nim nie wie, ale po jego śmierci będzie musiała stanąć twarzą w twarz z prawdą, a jedyny sposób, by jej nie napiętnowano, to uczynienie z niej archeologa światowej klasy. To do tego potrzebny jest im ten Picot. By dodać ich przedsięwzięciu prestiżu. Mogliby sami szukać *Glinianej Biblii*, to jednak nie zdejmie z Clary piętna jej dziadka. Jeśli odnajdą ją podczas prac archeologicznych prowadzonych przez międzynarodowe grono specjalistów, wszystko będzie inaczej. Zawsze się zastanawiałem, jak to możliwe, że ona o niczym nie wie.

— Clara to inteligentna kobieta, tyle tylko, że nie chce mierzyć się z czymkolwiek, co położyłoby się cieniem na jej przywiązaniu do dziadka, woli więc nie widzieć i nie słyszeć. Nie lekceważ jej.

— Nawet jej nie znam. Mam jej dossier, wiem, co jej się podoba, a co nie, wiem, co robiła w San Francisco, znam jej oceny ze studiów, ale wszystko to tak naprawdę nic nie mówi o człowieku. Nauczyłem się w tym biznesie, że teczki i raporty nie potrafią odzwierciedlić niczyjej duszy.

Jasir był pod wrażeniem słów Dukaisa. Pomyślał, że prezes Planet Security wcale nie jest takim prostakiem, za jakiego lubi uchodzić.

— Daj mi trochę czasu, porozmawiam z paroma znajomymi, Daj mi trochę czasu, porozmawiam z paroma znajomymi, przygotujemy kilka stron dla Alfreda. Poślę z tobą jednego z moich ludzi. Powiem mu, żeby zadzwonił do ciebie po południu, poznacie się. Wspominałem ci już, że nazywa się Mike Fernández? Nieważne, wszystko jedno, zadzwoni do ciebie. Idź, szykuj się do drogi. Opowiedz mu, czego może tam oczekiwać.

— Nigdy nie był w Iraku?

— Owszem, podczas wojny w Zatoce. Nie była to jednak żadna wojna, wiemy o tym wszyscy. To był tylko pokaz, manewry, żeby postraszyć Saddama oraz wypróbować parę gadżetów, które chłopcy z Pentagonu kupują za pieniądze podatników. Był też w Egipcie, ale o ile wiem, tylko na urlopie, podczas wakacji, by podziwiać piramidy.

Kiedy Jasir wyszedł, Paul Dukais zadzwonił do Roberta Browna, ale go nie zastał. Powiedziano mu, że Brown jest na obiedzie z rektorami kilku amerykańskich uczelni, z którymi omawiał plan następnego roku akademickiego.

Dukais postanowił zadzwonić do niego później.

* * *

Fabián był zdenerwowany. Yves przekonał go, by pojechał do Iraku w charakterze forpoczty. Zgodził się z zapalem, ale od paru dni nie wiedział, w co włożyć ręce. Organizował przygotowania i załatwiał wizy do krajów, przez które mieli przejechać przed dotarciem do celu.

Udało mu się zebrać dwudziestoosobowy zespół. To nie wystarczało, nie znaleźli jednak nikogo więcej, kto chciałby się narażać, wyjeżdżając do Iraku w przededniu wojny. On sam twierdził, że to czyste szaleństwo, potrzebował jednak czegoś, co ubarwiłoby jego szare życie.

Przed chwilą zadzwoniła do niego jedna ze studentek piątego roku, która jechała z nimi, choć tylko na kilka miesięcy, do Bożego Narodzenia. Chciała, żeby przyjął pewnego chłopaka, kolegę kolegi. To Bośniak, powiedziała, przyjechał do Madrytu na studia. Nie ma grosza przy duszy, więc kiedy się dowiedział, że garstka szaleńców wybiera się do Iraku, i w dodatku dobrze za to płacą, zapytał, czy on też mógłby pojechać. Przyda się. Mówi, że może robić wszystko.

Co jednak może robić chłopak, który jest z wykształcenia nauczycielem i przyleciał do Madrytu, by skończyć dwuletni kurs hiszpańskiego na uniwersytecie? Fabián niczego nie obiecywał, musi porozmawiać z Picotem. Zresztą w ekspedycji bierze udział Chorwat, Fabián właśnie się o tym dowiedział. Polecił go jakiś niemiecki profesor, zdaje się, że chłopak studiuje informatykę w Niemczech. „Przeżył wojnę. Brzydzi się przemocą”, jak mu powiedziano, ale najwyraźniej nie miał oporów przed wyjazdem do kraju w stanie oblężenia, by zarobić trochę grosza. Życie w Berlinie bardzo podrożało.

Picotowi nie wydawało się złym pomysłem zabranie do Iraku informatyka, który od pierwszego dnia będzie mógł rejestrować w komputerze wyniki ich pracy. Weźmie go, ale Bośniak to już za wiele. Jeszcze nie tak dawno się mordowali, a ostatnie, czego sobie życzył, to awantury wśród członków wyprawy. Zresztą po co im nauczyciel?

Picot, pogwizdując, wspiał się na poddasze.

— Cześć! Jesteś w domu? — krzyknął.

— Jestem w gabinecie! — odkrzyknął Fabián.

— Miałem dobry dzień — powiedział Picot, wyraźnie zadowolony. - Wszystko poszło po mojej myśli.

— Masz szczęście — mruknął Fabián. – Ja wychodzę z siebie przez te wszystkie formalności wizowe i celne. Można by pomyśleć, że zamierzamy tam wwieźć czołgi, a nie namioty. I te wszystkie wizy... Niedługo osiwieję.

— Nie przejmuj się. Wszystko uda się załatwić.

— Nie przejmuj się. Wszystko uda się załatwić.

— Jestem bliski dopięcia umowy z pismem „Archeologia”. Chcę, by w każdym wydaniu, w angielskiej, francuskiej, greckiej, hiszpańskiej, we wszystkich wersjach językowych, pojawiła się publikacja z wynikami naszej pracy. Wydaje mi się ważne, by mieć wsparcie najbardziej prestiżowego pisma w naszej branży. Wyślemy im materiały z artykułami napisanymi przez nas. Wiem, to oznacza, że będziemy przeciążeni pracą, ale dobrze nam to zrobi.

— Owszem, bardzo dobrze. Jak ci się to udało?

— Zadzwoił do mnie dyrektor z Londynu, zainteresowany ekspedycją. Na kongresie w Rzymie widział wystąpienie Clary Tannenberg, kiedy ta oświadczyła, że Abraham podyktował Księgę Rodzaju jakiemuś skrybie. Sądzi, że skoro ja się tym zajmę, to sprawa jest poważna, i chce mieć wyłączność na publikację.

— Nie wiem, czy chcę pracować, czując oddech dziennikarzy na karku.

— Podzielam twoje wątpliwości, ale biorąc pod uwagę okoliczności, tak będzie najlepiej. Nie jestem do końca pewny, w co się pakujemy.

— Już chyba za późno, żeby się nad tym zastanawiać.

— Nie ufam tym ludziom. Jest w tym coś dziwnego, czego nie potrafisz określić.

— O co ci chodzi?

— Nie udało mi się poznać tego tajemniczego dziadka Clary Tannenberg. Nie powiedzieli mi też, podczas jakich wykopalisk i kiedy znalazł te dwie tajemnicze tabliczki. Zresztą dziwna z nich para.

— Kto? Clara i jej mąż?

— Właśnie. On wydaje się odpowiedzialnym facetem, który wie, na czym stoi.

— Ona zaś nie przypadła ci do gustu od pierwszego dnia — dokończył Fabián.

— Nie, nie o to chodzi, ale w tej kobiecie jest coś dziwnego.

— Mam wielką ochotę ją poznać. Jestem pewny, że okaże się o wiele bardziej interesująca, niż mi ją opisujesz.

— Owszem, jest interesująca, ale dziwna. Będziesz musiał się z nią dogadać, bo jak wiesz, jej mąż nie weźmie udziału w tym przedsięwzięciu. Nie wiem, dlaczego się wycofuje.

— Ciekawe, dlaczego schodzi z okrętu akurat w takiej chwili... Ach, zapomniałbym! Dzwoniła Magda, studentka piątego roku, która pomaga nam w prowadzeniu naboru studentów. Ktoś jej polecił jakiegoś chłopaka, to Bośniak, nauczyciel z wykształcenia. Przyjechał na Uniwersytet Complutense, żeby studiować hiszpański, są takie kursy dla obcokrajowców. Zdaje się, że nie śmierdzi groszem i nie miałby nic przeciwko temu, by się z nami zabrać. Może robić wszystko. Mówi po angielsku.

— Kurs hiszpańskiego dopiero się rozpoczął — zauważył Picot.

— Tak, wiem o tym, ale to jego sprawa. W każdym razie mówię ci o nim, bo nie mamy za dużo ludzi.

— Może pomógłby przy inwentaryzacji znalezisk... Nie wiem, muszę się zastanowić. Nie będziemy zabierali ludzi bez kwalifikacji. Co innego tamten Chorwat, informatyk bardzo nam się przyda.

— Przyszło mi też do głowy, że może Bośniak i Chorwat to mieszanka wybuchowa.

— Sam nie wiem... zastanowię się, ale nie wydaje mi się to najlepszym pomysłem. Czy w naszym zespole jest jakiś fotograf? — zainteresował się Picot.

— Po co nam fotograf?

— Żeby robił zdjęcia dla tego magazynu naukowego. Oni przecież nikogo do nas nie wyślą.

— Sam powiedziałeś, że są bardzo zainteresowani.

— Owszem, ale powiedziałem też, że sami wykonamy całą pracę. Nie chcą narażać się na ryzyko, nie mogą posłać zespołu do kraju takiego jak Irak. „Archeologia” to nie gazeta codzienna.

— Jakbyśmy mieli mało pracy! — prychnął Fabián.

— Przestań, lepiej powiedz, kiedy wyjeżdżasz.

— Jeśli nie będę musiał stoczyć kolejnej potyczki w urzędzie, za trzy dni. Brakuje nam części dokumentów, więc to nie jest takie pewne.

— Kto jedzie z tobą, żeby ci pomóc?

— Marta.

— Czy ja się nie przesłyszałem?

— Przestań, nic mnie z nią nie łączy.

— Ale chciałbyś, żeby łączyło. Zresztą ja też. I my wszyscy.

— Mylisz się. Nie możesz zrozumieć, że to tylko dobra koleżanka, nic poza tym? Znamy się od czasów studenckich i czy wierzysz w to czy nie, nigdy do niczego między nami nie doszło.

— To najbardziej interesująca kobieta w twoim otoczeniu.

— Bez wątpienia, ale to moja przyjaciółka, najlepsza przyjaciółka, podobnie jak ty jesteś moim przyjacielem. Z tobą nie chodzę do łóżka.

— Marta sprawia wrażenie inteligentnej i zdolnej dziewczyny.

— W dodatku ma niezwykły dar: potrafi rozmawiać z każdym, wszystko jedno, czy to minister, czy szmaciarz.

— Ale to Irak.

— Marta już była w Iraku. Zna kraj, ponieważ parę lat temu została tam zaproszona wraz z zespołem profesorów na badania subsydiowane przez pewną fundację bankową. Przebywali tam parę miesięcy. W dodatku mówi po arabsku. Może się porozumieć z urzędnikami na granicy, z wójtem wioski, z robotnikami, z kimkolwiek będzie trzeba.

— Ty też dukasz po arabsku.

— Właśnie, dukam. Ty i Marta mówicie w tym języku, ja z trudem się porozumiewam. Ufam jej, jest nie tylko inteligentna, ma też intuicję i zawsze znajduje rozwiązanie problemu. Jest bardzo rozsądna.

— W takim razie dobrze robisz, że ją zabierasz. Nie wiem wiele o jej wiedzy archeologicznej, ale skoro twierdzisz, że jest dobra w te klocki...

— Zapewniam cię, jest bardzo dobra. W ostatnich latach brała udział w pracach w Syrii i Jordanii, zna obszar starożytnego Charanu, gdzie, jak mi powiedziałaś, ten tajemniczy dziadek Clary znalazł tabliczki. Wydaje mi się, że lepszej osoby do tej pracy nie znajdziemy.

— Ależ Fabiánie, zapewniam cię, że jestem jak najbardziej za tym, by Marta z tobą pojechała. W naszej pracy to ważne, żeby pracować w zgranym zespole i z ludźmi, których się lubi, a tam nie będzie łatwo.

— Marta powinna przyjść lada moment.

— To bardzo dobrze, trzeba omówić całą masę spraw.

Robert Brown wszedł do neoklasycystycznego domu ukrytego w parku pełnym dębów i buków.

Siąpiło. Kiedy wysiadł z samochodu, służący czekał na niego z otwartym parasolem. Nie był pierwszy, szmer rozmów, zmieszany ze śmiechem i brzękiem kieliszków, docierał aż do schodów prowadzących do wejścia.

Jego Mentor stał w drzwiach, witając gości.

Wysoki i szczupły, o niebieskich, zimnych jak lód oczach i białych włosach, które kiedyś były złote, robił imponujące wrażenie. Nikt nie wątpił, że ten człowiek, mimo podeszłego wieku, ma potężną władzę. Ile może mieć lat? — zastanawiał się Brown. Z pewnością skończył już osiemdziesiątkę.

Wielu sekretarzy stanu, prawie cała obsada Białego Domu, senatorzy, kongresmani, prokuratorzy i sędziowie, wraz z bankierami i prezesami międzynarodowych korporacji, nafcjarze i brokerzy z ożywieniem rozmawiali w bogato urządzonych salonach, ozdobionych obrazami wielkich mistrzów.

Ulubionym dziełem Browna był obraz Picassa z okresu różowego, tragiczny drwiący Arlekin, wiszący nad kominkiem w głównym salonie, gdzie można też było podziwiać Maneta i Gauguina.

W innym salonie wisiały trzy obrazy z czternastego wieku w jeszcze innym Caravaggio.

Pałac był właściwie małym muzeum. Obrazy impresjonistów przeplatały się z dziełami El Greca, Rafaela, Giotto. Figurki z kości słoniowej i tabliczki z Babilonii, dwie imponujące płaskorzeźby egipskie z czasów Nowego Imperium, uskrzydłony aryjski lew...

Gdzie tylko spojrzeć, stały i wisiały dzieła sztuki, wiele mówiące o upodobaniach gospodarza.

Paul Dukais podszedł do Browna z kieliszkiem szampana w ręku.

— Jesteśmy w komplecie!

— Cześć Paul!

— Udana impreza! Już dawno nie udało się nikomu zebrać tylu ważnych ludzi w jednym miejscu. Dziś w nocy są tu wszyscy, którzy pociągają za sznurki na świecie. Brakuje tylko prezydenta.

— To nie jest brak, który odczuwamy szczególnie dotkliwie — mruknął Brown.

— Możemy porozmawiać?

— To najlepsze miejsce na rozmowy. Nikt nie zwróci na nas uwagi, wszyscy rozmawiają i załatwiają interesy. Tylko znajdę sobie jakiś kieliszek, żeby zająć czymś ręce...

Skinęli na kelnera i Robert zamówił whisky z wodą sodową. Potem poszukali jakiegoś kąta, gdzie mogliby porozmawiać na oczach wszystkich, niczym dwaj dobrzy znajomi.

— Alfred będzie nam przysparzał problemów — zaczął Dukais.

— Masz coś nowego?

— Zrobiłem to, o co prosiłeś. Jeden z moich najlepszych ludzi, emerytowany pułkownik, dawniej w szeregach Zielonych seretów, Mike Fernández, pojedzie z Jasirem do Kairu, by spotkać się z Alfredem. Ufam Mike'owi, facet ma głowę na karku.

— Latynos...

— W wojsku nie został już prawie żaden Amerykanin z anglosaskimi korzeniami. Tylko czarni i Latynosi za nas walczą. Są wśród nich zdolni ludzie. Żeby coś osiągnąć, musieli się bardzo starać. Nic gardziłbym nimi.

— W żadnym wypadku nimi nic gardzę. Nie wiem tylko, czy Latynos dogada się z Alfredem. Sam wiesz, jaki on jest.

— Będzie musiał się dogadać. Jestem nawet przekonany, że Mike się Alfredowi spodoba.

— A ten Mike to Dominikańczyk, Portorykańczyk, Meksykanin? — chciał wiedzieć Brown.

— Amerykanin w trzecim pokoleniu, urodził się tutaj, podobnie jak jego rodzice. To dziadkowie przekroczyli Rio Grande. Nie masz się czego obawiać.

— Jakoś nie mogę polubić tych Latynosów...

— Ty nie możesz polubić nikogo, kto nie jest biały jak mleko! — prychnął Dukais.

— Nie gadaj głupstw! Mam dobrych przyjaciół wśród Arabów.

— Owszem, ale dla ciebie Arabowie to co innego, nie wiem dlaczego, ale traktujesz ich dość szczególnie, mimo tego, że teraz niekoniecznie wypada afiszować się przyjaciółmi arabskiego pochodzenia.

— Tylko że moi przyjaciele nie handlują mydłem i powidłami na bazarach — odrzekł urażony Brown.

— Dobrze, nie traćmy czasu na czcze dyskusje. Lepiej powiedz, jak daleko Mike może posunąć się z Alfredem?

— O czym ty mówisz?

— Jeśli Alfred nie będzie współpracował, jeśli nie będzie grał czysto, co zrobimy?

— Najpierw muszą się poznać, uruchomić operację i wtedy zobaczymy, co nam powie twój człowiek, przede wszystkim jednak chcę wiedzieć, co mówi Jasir.

— A co z jego wnuczką?

— Jeśli odnajdzie *Glinianą Biblię*, odbierzecie jej ją, starając się, by tabliczki nie zostały uszkodzone. Te tabliczki nie należą ani do Alfreda, ani do jego wnuczki. Misja polega na tym, by je dostać i przywieźć tu nietknięte.

— A jeśli ta dziewczyna nie zechce współpracować?

— Tym gorzej dla niej. Twój ludzie muszą zrobić to, co ci powiedziałem.

— Jeśli znajdą tabliczki, zanim uruchomimy tę drugą operację, w końcu stawimy czoło Alfredowi — ostrzegł Dukais.

— Dlatego nie możemy być brutalni wobec Clary, chyba, że nie da się przejąć tabliczek w inny sposób. Gdyby sytuacja okazała się trudna, musisz mieć gotowy plan, by dokonać tego, co i tak musimy zrobić, nie licząc na Alfreda. Jasir ci powie jak i przy czyjej pomocy.

Mentor podszedł do nich dyskretnie. Drgnęli, czując jego obecność za plecami, a kiedy się odwrócili, zobaczyli na jego twarzy szeroki uśmiech, a raczej grymas.

— Ubijamy interesy? — spytał.

— Dopinamy szczegóły operacji. Paul chciałby wiedzieć, jak daleko może się posunąć wobec Alfreda i jego wnuczki.

— Trudno utrzymać równowagę — mruknął Mentor, patrząc w przestrzeń.

— Właśnie dlatego domagam się szczegółowych instrukcji, nie lubię dostawać reprimend po fakcie — stwierdził Dukais — I nie przepadam za nieporozumieniami. Cieszę się, że tu jesteś. Nakreśl mi granice.

Starzec zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Widać było, że nim pogardza.

— Na wojnie nie ma granic, przyjacielu, liczy się tylko zwycięstwo — rzucił.

Wykonał półobrót i odszedł, zagadując do innych gości.

— Zawsze odnoszę wrażenie, że mu się nie podobam — powiedział Dukais, ale w jego głosie nie było skargi.

— Jemu nikt się nie podoba, doskonale jednak wie, kto jest, a kto nie jest mu potrzebny.

- A my jesteśmy mu potrzebni.
- W rzeczy samej.

Frank Dos Santos i George Wagner uścisnęli sobie dłonie, nie siląc się na dodatkowe gesty przyjaźni. Przyjęcie toczyło się w najlepsze. W tle grała orkiestra smyczkowa.

- Brakuje tylko Enrique — stwierdził George.
- Nie ma też Alfreda. Hej, nie bądź wobec niego taki twardy.
- Zdradził nas.
- Alfred nie patrzy na to w taki sposób.
- A w jaki? Rozmawiałeś z nim?
- Tak, przed trzema dniami zatelefonował do mnie do Rio.
- Cóż za lekkomyślność!
- Jestem pewny, że zachował wszystkie środki ostrożności. Byłem w hotelu, kiedy zadzwonił.
- Czego chciał?
- Chce, żebyśmy wiedzieli, że jego zamiarem nie było zdradzenie nas ani doprowadzenie do wojny. Powtórzył swój, ofertę: kierowanie i czuwanie nad sukcesem operacji, za co on zrezygnuje ze swojej części, natomiast w zamian żąda *Glinianej Biblii*. To dobra oferta.
- Dobra? Wiesz, ile będą warte te tabliczki, jeśli je znajdzie? Czy wiesz, że ten, kto je dostanie, będzie miał władzę? Frank, mam nadzieję, że nie dasz się nabrać. Martwi mnie, że ty i Enrique staracie się usprawiedliwić poczynania Alfreda. Przecież on nas zdradził.
- Nie można nazwać tego zdradą. Zanim jego wnuczka pojechała do Rzymu, starał się nas przekonać, byśmy oddali jej *Glinianą Biblię*, jeśli ją znajdzie, w zamian za pożytki z innego biznesu.
- Odmówiliśmy mu, więc postanowił działać na własną rękę.
- Owszem, pomylił się. Teraz jednak się wścieka, ponieważ sądzi, że to my rozkazaliśmy, by śledzono jego wnuczkę.
- Przecież to nie my!
- Powinniśmy jednak wiedzieć, kto i po co to robił. Nie zasną spokojnie, dopóki tego nie sprawdzimy.

— A czego oczekujesz? Że porwiemy prezesa włoskiej agencji wywiadowczej, żeby nam opowiedział, kto korzystał z jego usług? To byłoby czyste szaleństwo, nie możemy popełnić takiego błędu.

— Nie rozumiem! Nie rozumiem, dlaczego jesteś taki niefrasobliwy. Ktoś śledził Clare, to nie jest normalne.

— Clara jest żoną urzędnika reżimu Saddama, nie przyszło ci do głowy, że ktoś mógł pomyśleć, iż Ahmed Huseini to szpieg? Saddam nie wypuszcza nikogo z Iraku, a tymczasem Huseini wyjeżdża, kiedy mu przyjdzie na to ochota. Niejeden wiele by dał, by dowiedzieć się dlaczego. Kto wie, czy to nie włoskie tajne służby albo NATO, nie wiadomo. Wielu mogłoby mieć powody, by śledzić Huseiniego.

— Tyle tylko, że śledzili nie jego, a jego żonę.

— Skąd możemy to wiedzieć?

— Wiemy to na pewno, nie ma co do tego wątpliwości.

— Musimy być ostrożni, na razie nie ma się czym przejmować.

— Nie rozumiem cię, George...

— Nie możecie po prostu mi zaufać, jak zwykle?

— Niczego innego nie robimy, ale ja i Enrique mamy złe przeczucia, Alfred zaś jest wściekły.

— To ja jestem wściekły! Zdradził nas! Nie może zatrzymać tabliczek, nie należą do niego! — mówił wzburzony Wagner. — Czy nie zdajecie sobie sprawy, co oznacza to, czego dopuścił się Alfred? Żaden z nas nie może podejmować decyzji, kierując się własną wygodą czy interesami, żaden! Wszyscy czterej mieliśmy co do tego jasność. Tymczasem Alfred chce nas okraść.

— Jak daleko gotów jesteś się posunąć? — spytał Brown.

— Ja czy my?

— My, George. Do czego jesteśmy zdolni?

— Nie ma wybaczenia dla zdrady.

— Zamierzasz rozkazać, by go zabito?

— Nie zgodzę się, by skradł coś, co należy do nas wszystkich.

* * *

Clara trzymała w ręku torbę. Omiotła spojrzeniem pokój, ponieważ miała wrażenie, że czegoś zapomniała, ale nie mogła sobie uświadomić, co to może być. Ahmed czekał na nią w drzwiach, by zaprowadzić ją do bazy wojskowej, skąd helikopter miał ją przewieźć do Tall al-Mukajjar. Stamtąd miała pojechać do Safranu samochodem terenowym.

Odrzuciła propozycję Ahmeda, który chciał z nią jechać, stanowczo też podziękowała za towarzystwo Fatimy. Uznała, że jest bezpieczna z czterema mężczyznami, którym jej dziadek azal, by nie spuszczała jej z oczu.

Ahmed nie mieszkał już w Żółtym Domu. Od wielu dni gościł u siostry.

Clara wiedziała, że mąż przeprowadził długą rozmowę z dziadkiem, zanim ten wyjechał do Kairu, lecz żaden nie chciał zdradzić, czego dotyczyła. Ahmed powiedział tylko, że być może opóźni swój wyjazd z Iraku do chwili wybuchu wojny. Nie był jednak tego pewny. Ona nalegała, by wytłumaczył jej, czym się kieruje, podejmując takie decyzje, jednak mąż milczał.

Niewiele lepiej powiodło jej się z dziadkiem.

— Zadzwoń do mnie, gdy tylko dotrzesz na miejsce, chcę mieć pewność, że nic ci się nie stało — poprosił Ahmed.

— Wszystko będzie dobrze, nie masz się o co martwić, to tylko parę dni.

— Tak, ale Brytyjczycy wykazują szczególną skłonność do bombardowania tamtego obszaru.

— Nie przejmuj się, proszę, nic mi się nie stanie.

Wsiadła do helikoptera i założyła słuchawki. W południe będzie już w Safranie. Nareszcie sama.

Ahmed obserwował, jak maszyna wzbija się w powietrze i znika. On również poczuł coś na kształt ulgi, a nawet wyzwolenia.

Teraz musi podjąć trudną decyzję: albo zgodzi się wziąć udział w ostatniej, już uruchomionej wspólnej operacji, na co nalegał Alfred, albo spróbuje wyjechać, czyli uciec z Iraku.

Czuł na karku oddech Pułkownika. Wiedział, że Alfred polecił mu, by mieli na niego oko, dlatego wymknięcie się z Iraku będzie trudne. Jeśli zostanie, będzie bogaty. Alfred zapewnił go, że dobrze mu zapłaci za udział w operacji i pomoże wyjechać z kraju.

Jedynie on może mu zapewnić bezpieczną ucieczkę, tylko czy można mu zaufać? A może Alfred najpierw go wykorzysta, a potem, w ostatniej chwili, rozkaże, by go zamordowano? Przy Alfredzie niczego nie można być pewnym.

Rozmawiał ze swoją siostrą, jedyną, która mieszkała w Bagdadzie i która podobnie jak on marzyła o tym, by wyjechać. Wróciła do miasta zaledwie rok temu, kiedy jej mąż, włoski dyplomata, został skierowany na placówkę w Bagdadzie. Teraz liczyła na to, że gdy tylko zabrzmią wojenne bębny, zostaną ewakuowani.

Tymczasem udzielili mu gościny w swoim przestronnym mieszkaniu w eleganckiej dzielnicy willowej, w której mieszkało wielu zachodnich dyplomatów.

Ahmed zajął pokój swojego najmłodszego siostrzeńca, chłopiec musiał na czas jego pobytu przenieść się do sypialni starszego brata.

Siostra radziła mu, by wystąpił o azyl polityczny, on jednak wiedział, w jak trudnej sytuacji postawiłby swojego szwagra, gdyby stawił się w ambasadzie Włoch, prosząc o azyl. Byłby to incydent dyplomatyczny i bardzo możliwe, że Saddam nie pozwoliłby mu wyjechać, bez względu na to, czy Włosi poręczyliby za niego, czy też nie.

Nie, to nie jest dobre rozwiązanie. Musi znaleźć jakiś sposób, by uciec, tak żeby nikogo w to nie angażować i do niczego nie zobowiązywać, a zwłaszcza swojej rodziny.

Kiedy helikopter wylądował w bazie nieopodal Tall al-Mukajjar, Clara czuła się, jakby za chwilę miała jej eksplodować głowa. Bolały ją skronie, bo huk rotorów był tak duży, że słuchawki niewiele pomagały.

Duża część uzbrojenia Iraku nadawała się na złom, jak chociażby helikopter, którym przyleciała. Pułkownik powiedział jej, że to jedyny, jaki może oddać do jej dyspozycji.

Kiedy znalazła się w jeepie, w eskorcie dwóch żołnierzy i jeszcze jednego auta jadącego z tyłu, wiozącego czterech ludzi wysłanych przez dziadka, poczuła się lepiej.

Panował suchy upał, samochody wzbijały chmury żółtego pyłu, wciskającego się do ust i nosa.

Wójt powitał ją w drzwiach swojego domu i zaprosił na herbatę. Wymienili grzeczności, po czym Clara zdradziła mu powody swojego przyjazdu.

Mężczyzna wysłuchał jej uważnie, z uśmiechem na twarzy, i zapewnił, że postępując zgodnie z poleceniami, jakie dostał przez telefon od Ahmeda, wszystko przygotował. Zaczęto budować kilka glinianych chat, ponieważ gliny było tu pod dostatkiem. Podobnie jak przed trzema tysiącami lat, po oczyszczeniu mieszały glinę z wodą oraz pociętą słomą, piaskiem, żwirem lub popiołem. Technika budowania była prosta: ściany wznosiło się etapami, a kiedy schła jedna część, dostawiano kolejny fragment. Aby zapobiec przeciekaniu ścian, dodatkowo pokrywano je słomą i liśćmi palmy.

Skończyli już wznosić pół tuzina takich chat i jeśli uda im się utrzymać tempo robót, sześć kolejnych powinno powstać w ciągu tygodnia.

W środku domy były bardzo proste i niezbyt duże, Ahmed zadbał jednak o to, by wszystkie miały prysznic i podstawowe instalacje sanitarne.

Dumny z wykonanej roboty, i to w tak krótkim czasie, wójt zapewnił ją, że sam dobrał ludzi potrzebnych do pomocy przy wykopaliskach.

Clara serdecznie mu podziękowała, po czym delikatnie, by nie obrazić go zbyt bezpośrednim postawieniem sprawy, wytłumaczyła mu, że sama chce się spotkać ze wszystkimi tymi ludźmi, ponieważ robotnicy muszą mieć pewne konkretne umiejętności. Zapewniła go, że jest przekonana, iż dokonał właściwego wyboru, prosi go jednak, by pozwolił jej porozmawiać ze wszystkimi ludźmi gotowymi podjąć się pracy przy wykopaliskach.

Po długim targowaniu się Clara, zmęczona, wymieniła imię Pułkownika, by zakończyć te niekończące się negocjacje, gdyż wójt upierał się, że tylko on może wybrać odpowiednich ludzi.

Kiedy usłyszał nazwisko Pułkownika, uległ. Następnego dnia oświadczył, że Clara może się spotkać, z kim zechce. Znalazła się też grupa kobiet gotowych do odpłatnego prania odzieży i sprzątania obozowiska.

Clara przyjęła zaproszenie wójta, by nocowała w jego domu, wraz z jego żoną i córkami, do czasu, gdy do wioski przybędą pozostali członkowie ekspedycji. Wcześniej jednak chciała obejrzeć ruiny, żeby zastanowić się, jak zorganizować pracę.

Idąc przez wioskę, pomyślała, że z całą pewnością zawdzięcza ona swoją nazwę żółtej ziemi, spowijającemu wszystko złotemu jak szafran pyłowi i słomkowej barwie kamieni. Podobał jej się ten kolor, miała wrażenie, że pustynny pył upiera się, by i to zagubione miejsce, tak bliskie staremu Ur, pozostało monochromatyczne.

Poprosiła ludzi z obstawy, by trzymali się w pewnej odległości od niej. Chciała pobyć sama. Odmówili, ponieważ otrzymali od Alfreda stanowcze rozkazy: nie wolno spuszczać jej z oczu, a jeśli ktoś zechce zrobić jej krzywdę, mają go zabić, chociaż wcześniej, w miarę możliwości, powinni wydusić z niego, kim jest i dla kogo pracuje. Nikt na świecie nie może podnieść ręki na Clarę i nie zapłacić za to życiem.

Mogła protestować, ile jej się podobało, osiągnęła tylko tyle, że ochroniarze trzymali się w rozsądnej odległości, zawsze jednak mieli ją na oku.

Przechadzała się po obwodzie leja, głaszcząc kamienie, z których wzniesiony był ten tajemniczy budynek. Przyglądała mu się z wielu stron, strzepując piasek przyklejony do skały

i zbierając fragmenty tabliczek, które starannie chowała do brezentowego worka. Następnie usiadła na ziemi i opierając się o skałę, pozwoliła wyobraźni swobodnie wędrować po tym miejscu w poszukiwaniu Szamasa.

16

— Ależ, Abramie, to, co mi opowiadasz, znam już z *Eposu o Gilgameszu* — zaprotestował Szamas.

— Jesteś pewny?

— Jak mam nie być pewny, skoro przerabialiśmy go z Ilim w szkole?

— Już raz ci powiedziałem, czasem ludzie próbują wytłumaczyć sobie różne zjawiska za pomocą opowiadań i wierszy.

— Niech ci będzie, więc jak to było z tym Noem?

— Właściwie to wcale nie jest historia Noego, tylko gniewu Bożego na ludzi za ich postępowanie. Wszystko, co Bóg widział na ziemi, to tylko zło, dlatego postanowił zgładzić swoją ukochaną istotę, czyli człowieka. Jednakże miłosierny Bóg wzruszył się dobrym Noem i postanowił go ocalić.

— Dlatego rozkazał zbudować arkę z żywicznego drewna, tak, już to zapisałem — odpowiedział Szamas, odczytując jeszcze raz jedną z zapisanych tabliczek piętrzących się pod palmą, o którą się opierali. — Znamy nawet wymiary arki: długość trzysta łokci, szerokość pięćdziesiąt, wysokość trzydzieści. Wejście do niej umieszczone było na bocznej ścianie, ponadto Bóg kazał, by miała trzy piętra.

— Widzę, że skrzętnie notujesz wszystko, co ci opowiadam.

— Oczywiście. Chociaż ta historia nie podoba mi się tak, jak ta o stworzeniu świata.

— Dlaczego nie?

— Wiele myślałem o Adamie i Ewie, którzy ukryli się przed Bogiem ze wstydu, że są nadzy. I o tym, jak Bóg przeklął węża, za to, że skłonił Ewę do nieposłuszeństwa.

— Szamasie, nie możesz zapisywać tylko tego, co tobie się podoba. Sam mnie prosiłeś, bym ci opowiedział historię świata. Dobrze już, najważniejsze, byś wiedział, dlaczego On chciał ukarać ludzi i zatopił ziemię. Jeśli nie chcesz nadal...

— Jasne, że chcę! Tyle tylko, że przypomniałem sobie *Epos o Gilgameszu* i... — chłopiec zagryzł wargę, gdyż przestraszył się, że wywoła gniew Abrama. — Proszę cię, mów dalej i wybacz mi!

— Na czym to skończyłem?

Szamas przebiegł wzrokiem ostatnie linijki i przeczytał na głos, że On rzekł Noemu, by wraz z całym rodem wszedł na arkę, gdyż był on jedynym prawym wśród swego pokolenia. Rozkazał mu również, by ze wszystkich czystych zwierząt wybrał siedem par, samca razem ze swoją samicą, i ze wszystkich zwierząt nieczystych również po parze, samca i samicę.

— Napisz tak — powiedział Abram. — Również i ptactwa — po siedem samców i po siedem samic, aby w ten sposób zachować ich potomstwo dla całej ziemi. Następnie obwieścił mu Bóg, że równo za siedem dni sprowadzi na ziemię deszcz, który będzie padać bez przerwy przez czterdzieści dni i czterdzieści nocy i zaleje wszystkie istoty żyjące na powierzchni ziemi. Noe zaś uczynił wszystko tak, jak polecił mu Jahwe.

Noe liczył sobie już sześćset lat, kiedy ziemię zalał potop, i wszedł do arki, a wraz z nim jego dzieci, żona i żony jego synów, by uratować się od wód potopu, a wraz z nim czyste zwierzęta i zwierzęta, które nie są czyste, i ptaki, i wszystkie płazy, po parze z każdego gatunku, samica i samiec, jak przykazał Bóg.

Chłopiec szybko przesuwiał trzcinką po glinie, poruszony wyobrażeniem otwierających się bram nieba, przez które Bóg wylewał deszcz. Skojarzyło mu się to z rozbijającym się dzbanem z wodą. Szamas pisał, nie podnosząc wzroku, to, co dyktował mu Abram: „Wody bowiem podniosły się coraz bardziej nad ziemię, tak że zakryły wszystkie góry wysokie, które były pod niebem... wszystkie istoty poruszające się na ziemi z ptactwa, bydła i innych zwierząt, i wszelkich jestestw, których było mnóstwo na ziemi, wyginęły wraz ze wszystkimi ludźmi... Ale Bóg, pamiętając o Noem, o wszystkich istotach żywych i o wszystkich zwierzętach, które były z nim w arce sprawił, że powiał wiatr nad całą ziemią i wody zaczęły opadać. Zamknęły się bowiem zbiorniki Wielkiej Otchłani, tak że deszcz przestał spadać z nieba... Wody ustępowały z ziemi powoli, ak nieustannie, i po upływie stu pięćdziesięciu dni się obniżyły. Miesiąca siódmego, siedemnastego dnia, arka osiadła na górze Ararat. Woda wciąż opadała aż do miesiąca dziesiątego. W pierwszym dniu miesiąca dziesiątego ukazały się szczyty gór”.

Abram przestał mówić i przymknął oczy. Szarnas skorzystał z okazji, by pozwolić odpocząć ręce. Właściwie nie rozstawał się z rylcem, zadanie, przy którym tak się upierał, nie było łatwe. Kiedy Abram skończy opowiadać historię Noego, Szamas porozmawia z nim o tym, co zakłóca jego sny. Chciał wrócić do Ur, czuł się obco w Charanie, mimo że tu przebywali jego rodzice i rodzeństwo. Jednakże odkąd dotarli do miasta, z ich domu uciekło szczęście. Rzadko widywał ojca, a matka zawsze była w złym humorze. Wszyscy tęsknili za

domem, który zbudował jego ojciec przy bramach Ur. Przestało im się podobać wędrowanie z miejsca na miejsce.

— O czym myślisz, Szamasie?

— O Ur.

— I co myślisz?

— Że chciałbym być z moją babcią, a nawet chodzić na lekcje Iiego do szkoły.

— Nie lubisz Charanu? Tu również się uczysz.

— Owszem, ale to nie to samo.

— Co nie jest takie samo?

— Ani słońce nie jest takie samo, ani ludzka mowa, ani nawet figi nie smakują mi tak samo. Wszystko jest inne!

— Ach, to nostalgia!

— A co to jest nostalgia?

— Wspomnienie tego, co się utraciło, a czasem tego, czego nawet się nie zna.

— Nie chcę rozdzielać się z plemieniem, ale nie lubię tu mieszkać.

— Nie zabawimy tu długo.

— Wiem, że Terach jest już stary i kiedy go zabraknie, zabierzesz nas do Kanaanu, tyle tylko, że ja nie jestem pewny, czy chcę tam iść. Moja mama też wolałaby już wrócić.

Szamas zawiesił głos, speszony tym, że otworzył swoje serce. Bał się, że Abram powie wszystko jego ojcu, ten zaś zasmuci się, kiedy się dowie, że jego syn nie jest szczęśliwy. Abram chyba czytał w jego myślach.

— Nie martw się, nikomu o tym nie powiem, musimy jednak się postarać, byś znów był szczęśliwy.

Chłopak sięgnął po rylce, by dalej pisać pod dyktando wujka.

W ten sposób dowiedział się, że Noe najpierw posłał kruka, a potem gołębia, by sprawdzić, czy ziemia już wyschła, i że potem musiał posłać drugiego gołębia, i trzeciego, aż ten ostatni nie powrócił. I o tym, jak Bóg ulitował się nad ludźmi i powiedział: „Nie będę już więcej złorzeczył ludziom ze względu na ludzi, albowiem usposobienie człowieka jest złe już od młodości. Przeto już nigdy nie zgładzę wszystkiego, jak to uczyniłem”.

Bóg, tłumaczył mu Abram, pobłogosławił Noego i jego synów i powiedział im, żeby byli płodni, rozmnażali się i zaludnili ziemię. On też darował ludziom wszystko to, co się porusza i ma w sobie życie, podobnie jak darował im zieloną trawę, ale zabronił im jeść mięso ze swoją duszą, czyli ze swoją krwią. „Upomnę się o waszą krew przez wzgląd na

wasze życie, upomnę się o nią u każdego zwierzęcia. Upomnę się też u człowieka o życie człowieka i u każdego o życie brata”.

— To znaczy, że ludzie wrócili do raju? — zapytał Szamas.

— Niezupełnie. Wprawdzie Bóg nam wybaczył i znów uczynił człowieka najważniejszą istotą na ziemi, dając nam wszystko, co stworzył; tyle tylko, że nic nie będzie darowane nam za darmo. My, ludzie i zwierzęta, wszyscy walczymy o to, by przeżyć, musimy pracować, żeby uzyskać nasienie z ziemi, kobiety cierpią, by dać nam potomków. Nie, Bóg nie oddaje nam raju, zobowiązuje się tylko, że nie zmiecie nas z powierzchni ziemi. Nigdy więcej nie otworzą się bramy nieba, by zalał nas deszcz. Zostawmy to na razie, słońce się chowa. Jutro opowiem ci, dlaczego nie wszyscy ludzie mówią jednym językiem.

Abram miał rację, zrobiło się tak ciemno, że ledwie można było odróżnić kształty przedmiotów, Szamas jednak chętnie pisałby dalej. Pewnie matka już od dawna go szuka, a ojciec zechce sprawdzić, czego nauczył się dzisiaj w szkole skrybów. Podniósł się więc szybko, pozbierał tabliczki i puścił się biegiem w stronę glinianej chaty, w której urządziła swoje domowe ognisko jego rodzina.

Następnego dnia Abram nie przyszedł jak zwykle na spotkanie z Szamasem. Szukał samotności, ponieważ słyszał głos Boży, który go wzywał. Tej nocy obudził się mokry od potu, czując, że coś dusi go w środku.

Podniósł się z postania i wyszedł z domu. Oddalił się od Charanu, idąc bez celu aż do popołudnia. Wtedy usiadł, by odpocząć w cieniu palm na miękkiej trawie. Oczekiwał znaku od Boga.

Zamknął oczy i poczuł ukłucie w piersi, słuchając z czystym sercem Jego świętego głosu.

„Abramie, porzucisz swoją ziemię, swoją ojczyznę, dom twojego ojca i udasz się do ziemi, którą ci wskażę. Z ciebie uczynię wielki naród i ci pobłogosławię. Twoje imię będzie wielkie, nieś błogosławieństwo”.

„Będę błogosławił tym, którzy ci błogosławią, i złorzeczył tym, którzy przeciwko tobie będą złorzeczyli”.

„Przez ciebie będą błogosławione wszystkie rody na ziemi”.

Abram otworzył oczy, spodziewając się ujrzeć przed sobą Boga, ale cienie nocy zawładnęły palmowym gajem, oświetlonym tylko czerwonym księżycem i tysiącami gwiazd, które migotały na sklepieniu nieba.

Znów ogarnął go niepokój. Bóg przemówił do niego tak wyraźnie, jeszcze czuł siłę jego słów, jeszcze odbijały się echem w jego duszy.

Wiedział, że powinien wyruszyć w drogę do Ziemi Kananejskiej, tak jak życzył sobie tego Bóg. Zanim zdążył wyjść z Ur, On wyznaczył już jego los, choć Abram zwlekał z odejściem, bo Terach był stary i chciał spocząć w Charanie, ziemi swoich przodków.

Dni i noce mijały, a plemię nie ruszało z Charanu, ponieważ znalazło tu dobre pastwiska i bogate miasto, w którym można było handlować. Osiedli tu, tak jak życzył tego sobie Terach, chociaż Abram zawsze wiedział, że to tylko tymczasowy przystanek, gdyż miał nadejść dzień, w którym Bóg ponagli go, by wypełnił jego wolę.

Ten dzień nastąpił, Abram czuł więc przygnębienie, wiedząc, że musi być posłuszny Bogu, mimo iż wzbudzi gniew Teracha.

Jego ojciec, starzec o zamglonym spojrzeniu, który z trudem się poruszał, przez większą część dnia drzemał, zagubiony we upomnieniach.

Jak ma mu powiedzieć, że czas ruszać w dalszą drogę? Ból dusił go w piersi, z oczu płynęły łzy.

Kochał swojego ojca, to od niego nauczył się wszystkiego, co umiał, a przyglądając się, jak jego zręczne ręce lepia posążki, zrozumiał, że ręce nie czynią Boga.

Terach wierzył w Niego, udało mu się posiać ziarno wiary w Boga wśród całego plemienia, chociaż na razie sprzyja swoim braciom, kiedy oddają cześć figurkom bogów z gliny.

Abram szedł lekkim krokiem. Musi dotrzeć do domu swojego ojca, gdzie czeka na niego Sara, nie śpiąc, choć już dawno zaszło słońce.

Poczuł, że powinien się śpieszyć ze względu na Teracha.

Kiedy był już blisko Charanu, spotkał człowieka ze swego plemienia, który czekał na niego, by zaprowadzić go do ojca. Poprzedniego dnia, po południu, tłumaczył rnu pośpiesznie, Terach zapadł w sen i już się nie obudził. Mamrotał imię Abrama.

Kiedy Abram wszedł do domu, nakazał kobietom, by wyszły z izby jego ojca, i poprosił swojego brata, Nachora, by pozwolił mu czuwać przy starcu.

Nachor, wyczerpany, wyszedł, by odetchnąć świeżym nocnym powietrzem, gdy tymczasem Abram pilnował Teracha.

Kto został w domu, słyszał szept Abrama, wydawało się też, że słyszać również głos starca.

O świcie Terach umarł. Niewolnica Sary, żony Abrama, przyszła do namiotu zawiadomić Jadina, ojca Szamasa. Przy zmarłym czuwał Nachor wraz ze swymi żonami, Sarą i Milką, i siostrzeńcem Lotem.

Kobiety płakały i rozdzierały szaty, mężczyźni milczeli, tak wielki był ich smutek.

Jadin posłał po swoją żonę, by z pomocą innych kobiet umyła ciało Teracha i przygotowała je do wiecznego spoczynku w ziemi charańskiej.

Terach zmarł w miejscu, które kochał bardziej niż wszystkie inne na ziemi, gdyż w Charanie urodziło się niemal tylu jego przodków, co w Ur.

Abram czuł dojmujący ból. Terach był jego ojcem i przewodnikiem, pomógł mu spotkać się z Bogiem i nigdy nie wyrzucał mu, że śmieje się z glinianych figurek, które zamieniali w bożki na polecenie bogaczy, a nawet samego króla.

Terach czuł Boga w swoim sercu, tak samo jak czuł go Abram. Teraz to jemu przyszło stanąć na czele plemienia i starać się doprowadzić je do ziem, na których nie zabraknie paszy i będą mogli żyć bez strachu. Do ziemi obiecanej przez Boga.

— Ruszamy do Kanaanu — obwieścił Abram. — Przygotujcie się.

Mężczyźni naradzali się, którą drogą podążyc. Niektórzy woleli osiąść w Charanie, inni proponowali, by powrócić do Ur, ale najwięcej ludzi chciało iść za Abramem, gdziekolwiek skieruje on swoje kroki.

— Abramie, my nie pójdziemy z tobą do Kanaanu — powiedział Jadin.

— Wiem o tym.

— Wiesz? Jak to możliwe, skoro do wczoraj nawet ja o tym nie wiedziałem?

— Można było wyczytać z waszych twarzy, że nie będziecie nam towarzyszyli. Szamas marzy o tym, by powrócić do Ur, twoja żona z żalem wspomina miasto, w którym została jej rodzina, nawet ty wolisz wędrować między Ur a Charanem, szukając nowych pastwisk. Nie, nie będę czynił ci wyrzutów. Rozumiem twoją decyzję i cieszę się ze względu na Szamasa.

— Tak, tęsknota, jaką widzę w oczach mojego syna, sprawia, że pragnę wrócić.

— Szamas został powołany do tego, by przetrwać w swoich pismach. Będzie z niego dobry skryba, sprawiedliwy i mądry człowiek. Jego przeznaczeniem nie jest żywot pasterza.

— Kiedy wyruszysz, Abramie?

— Nie wcześniej niż za miesiąc. Mam wiele rzeczy do zrobienia, zresztą nie mogę odejść, dopóki nie skończę historii, którą opowiadam Szamasowi. Musi tłumaczyć ludziom z naszego plemienia, pozostającym w Ur, i każdemu, kogo spotka w całym swoim życiu, kim jesteśmy, skąd pochodzimy i jaka jest wola Boża. Nie pojmiemy, dlaczego narażeni jesteśmy

na cierpienie, jeśli nie zrozumiemy, po co stworzył nas Pan, i nie pojmiemy istoty błędu popełnionego przez pierwszego mężczyznę i pierwszą kobietę. Przetrwaj tylko pismo, więc zanim wyruszymy, chcę, by Szamas zapisał wszystko, co zdołam mu opowiedzieć.

— Tak też się stanie. Powiem synowi, by do ciebie przyszedł, i naszykuje dla niego wystarczająco dużo tabliczek, by mógł utrwalić dla potomnych wszystko, co mu powiesz.

Abram czekał na niego w tym samym miejscu co zwykle, poza granicami Charanu. Niewiele rozmawiali od śmierci Teracha. Chłopiec podszedł niepewnym krokiem, na próżno szukając słów, które wyraziłyby, jak bardzo przygnębiła go śmierć starca i ból Abrama. Nie musiał jednak nic mówić, bo Abram ścisnął tylko jego rękę, wskazał mu miejsce obok siebie i rzekł:

— Będzie mi ciebie bardzo brakowało, chłopcze.

— Więc nigdy nie wrócisz do Ur, ani nawet do Charanu? — dopytywał się przejęty Szamas.

— Nie. W dniu, w którym wyruszę w drogę, odejdę na zawsze. Nie zobaczymy się więcej, Szamasie, ale będę cię nosił w sercu i mam nadzieję, że i ty mnie nie zapomnisz. Przechowasz tabliczki z historią świata i opowiesz naszym ludziom to, co ci przekazałem. Muszą poznać prawdę i zaprzestać adorowania malowanych glinianych figurek.

Szamas poczuł się przytłoczony ciężarem, jaki złożył na jego barki Abram, choć był to przecież znak, że mu ufa. Zapytał śmiało, czy On przemówił do niego ponownie.

— Tak, zrobił to w dniu, gdy przygotowywał Teracha na przywrócenie go ziemi, z której ulepił pierwszego człowieka. Muszę wypełnić jego nakazy. Wiedz, Szamasie, że ród z mojego nasienia rozejdzie się po wszystkich zakątkach ziemi i powiedzą o mnie, że jestem ojcem wielu.

— Wówczas nazwiemy cię Abrahamem — stwierdził chłopak z uśmiechem niedowierzania, gdyż wiedział, jak wszyscy, że Sara, żona Abrama, nie dała mu synów.

— To twoje słowa i pod takim imieniem poznają mnie dzieci moich dzieci, i ich dzieci, i dzieci tychże, i tak po wsze czasy.

Chłopak był pod ogromnym wrażeniem pewności, z jaką Abram mówił, iż stanie się ojcem wielu narodów. Uwierzył mu, jak zawsze mu wierzył, wiedząc, że Abram nigdy go nie okłamał i że jako jedyny z nich potrafi rozmawiać z Bogiem.

— Powiem wszystkim, że powinni nazywać cię Abrahamem.

— Tak też będą czynić. Teraz zaś przygotuj się, ponieważ musisz coś zapisać. Wielu rzeczy powinieneś się jeszcze dowiedzieć, zanim się rozstaniemy.

Szamas sięgnął po trzcinę i położył tabliczkę na kolanach, gotowy do zapisywania słów Abrahama.

— Noe żył dziewięćset pięćdziesiąt lat i miał trzech synów: Sema, Chama i Jafeta. Oni ponownie zaludnili ziemię swoimi dziećmi i dziećmi tychże. Wówczas wszyscy ludzie mówili tym samym językiem, językiem, którym mówił Noe.

Wędrując z miejsca na miejsce, ludzie znaleźli żyzną nizinę w kraju Szinear i zaczęli wyrabiać cegły z gliny i wypalać je w ogniu. Jako zaprawy murarskiej używali smoły i zaczęli wznosić miasto, i postanowili wznieść wieżę — tak wysoką, że będzie widoczna z każdego miejsca na Ziemi. Byłaby to wieża, która zbliży ich do nieba, będą mogli zapukać do drzwi boskiego mieszkania. Kiedy ją budowali, On zszedł na ziemię, by przyjrzeć się ludzkiemu dziełu, i znów zaboląła go ich pycha, i znów ich ukarał.

— Ale dlaczego? — odważył się zapytać Szamas. — Nie wiem, co złego w tym, że ktoś chce dosięgnąć nieba. W Ur kapłani badają gwiazdy i w tym celu muszą zbliżyć się do firmamentu. W Ur król zamierzał zbudować ziggurat nieopodal Safranu, by kapłani mogli odczytać tajemnice Słońca i Księżyca, pojawianie się i znikanie gwiazd. Wiemy, że Ziemia jest okrągła, bo tak wynika z obliczeń kapłanów obserwujących niebo...

— Cicho, już cicho — upomniał go Abraham. — Musisz napisać to, co ci opowiadam, i nie spierać się z Bogiem.

Szamas zamilkł. Bał się Boga, tego Boga, który był jego Bogiem, albowiem był też Bogiem Abrahama i jego klanu, który potrafił czytać w sercach ludzi i często się na nich gniewał. Czy ukarze go za to, że myśli o nim, iż jest niesprawiedliwy?

— Tamci ludzie — ciągnął Abraham — chcieli rzucić wyzwanie boskiej mocy, zbudować wieżę, w której mogliby się schronić, gdyby On ponownie zesłał na ziemię karę tak straszną jak potop.

Tym jednak razem Bóg postanowił pomieszać języki, by ludzie nie mogli się między sobą porozumieć. Od tamtej pory każde plemię ma swój własny język, a plemiona na północy nie rozumieją tych na południu ani te na wschodzie tych na zachodzie. Tak też w jednym mieście znajdujemy ludzi, którzy w ogóle nie potrafią się porozumieć, ponieważ przybyli z różnych miejsc na ziemi.

Pan nie toleruje dumy ani pychy. Nie można stawiać wyzwań Bogu ani starać się zbliżyć do nieba.

Zmierzch zapadł szybko, na nieboskłonie ukazał się księżyc, udali się więc z powrotem do Charanu. Abraham pomagał Szaroasowi dźwigać ciężkie tabliczki. W drzwiach domu spotkali Jadin, który zaprosił Abrahama do środka, by poczęstować go podpłomykiem i mlekiem.

Rozprawiali o planowanej wędrówce — każdy udawał się w inną stronę — wiedząc, że niewielkie jest prawdopodobieństwo, by znów się spotkali.

Jadin chciał porzucić pasterskie życie i osiąść w Ur, gdzie Szamas miał wykształcić się na skrybę i pracować w pałacu. Ili nauczył go, jak posługiwać się *bullas* i *calculi*, w których Szamas już wykazywał się dużą biegłością, kiedy uczył się w Charanie.

Przez ostatnie lata Szamas stał się młodzieńcem świadomym tego, iż żeby się czegoś nauczyć, potrzeba wyrzeczeń. W dodatku skrybowie w Charanie nie byli wobec niego cierpliwi i nie obchodzili się z nim tak łagodnie, jak jego nauczyciel w Ur, chłopak musiał więc bardzo się przykładać, by nadal chcieli go uczyć.

Jednak by stać się *dub-sar*, pisarzem, a po wielu latach praktykowania tego fachu dostąpić stopnia *ses-gal*, wielkiego brata, i dokonać żywota jako *um-mi-a*, Szamas powinien poświęcać na naukę prawie cały swój czas.

Chłopak słuchał rozmowy ojca z Abrahamem i rad, jakich sobie udzielali.

Zima już się skończyła i rozkwitła wiosna, barwiąc na zielono ziemię i malując niebo intensywnym błękitem. Pora była odpowiednia na wędrówkę.

Abraham i Jadin uzgodnili, że na pożegnanie złożą ofiarę z jagnięcia, z nadzieją, iż Pan będzie im sprzyjał.

— Ojczy, kiedy wyruszamy? — zapytał chłopiec, ledwie Abraham wyszedł za próg.

— Słyszałeś, za miesiąc już nas tu nie będzie. Nie odejdziemy sami, inni członkowie plemienia powrócą z nami do Ur. Nie będziesz żałował, że nie poszedłeś z Abrahamem?

— Nie, ojczy, pragnę wrócić do domu.

— To jest twój dom.

— Czuję, że mój dom to ten, w którym wyrosłem. Będę pamiętał Abrahama, lecz on powiedział, że każdy powinien iść własną ścieżką. On musi robić to, co nakazał mu Bóg, ja zaś czuję, iż oczekuje On ode mnie, bym wrócił na ziemię naszych przodków. Tam opowiem naszym ludziom wszystko, co wiem o historii świata, i przechowam tabliczki z opowieściami Abrahama.

— To twój wybór.

— Nie, ojcze, wierzę, że tego wyboru dokonał za mnie Bóg. Abraham zapytał mnie, co czuję, ja zaś czuję, że muszę wrócić.

— Myślę podobnie jak ty, synu, i twoja matka również. Jej serce wypełnia tęsknota. Twoja matka zacznie się śmiać dopiero w dniu, kiedy zbliżymy się do Ur. Pragnie umrzeć tam, gdzie urodzili się i zmarli jej bliscy. Tu jest nasz dom, lecz ona czuje się tu obco. Tak, musimy ruszać w drogę.

Zapowiedź wędrówki sprawiła, że Szamas poczuł przyjemne łaskotanie w brzuchu. Tak bardzo nie lubił monotonii! Za dnia będą wędrowali, a nocą rozbijali namioty. Kobiety będą mieszały ciasto na chleb i szykowały jedzenie.

Wyobraził sobie kąpiel w Eufracie i rozmowy przy ognisku.

Pomyślał o Abrahamie i poczuł ukłucie żalu. Będzie za nim tęsknił. Wiedział, że Abraham jest kimś specjalnym, wybrańcem Boga, i stanie się ojcem wielu plemion. Nie wiedział, w jaki sposób do tego dojdzie, gdyż Sara nie dała mu dzieci, ale skoro Bóg mu to obiecał, tak się na pewno stanie.

Szamas spisał historię świata. Stworzenie Ziemi, tak jak opisał mu to wuj. Nie miał wątpliwości, że tak właśnie było.

Stosunki Szamasa z Bogiem były trudne. Czasem wydawało mu się, że rozumie tajemnicę życia, lecz po chwili jego myśli zasnuwała mgła i nie potrafił pojąć rozkazów Boga, jego gniewu i okrucieństwa, z jakim karał ludzi. Nie mógł też zrozumieć, dlaczego Bóg nie znosi nieposłuszeństwa.

Lecz to wszystko nie sprawiało, że wierzył w Niego mniej żarliwie.

Jego wiara była niczym skała.

Ojciec zachęcał go, by postępował rozsądnie, kiedy dotrą do Ur. Nie wolno mu zaprzeczać istnieniu Enlila, ojca wszystkich bogów, ani Marduka, ani Tiamat, ani wielu innych bóstw.

Szamas wiedział, jak trudno jest opowiadać o Bogu, który nie ma twarzy, którego nie można zobaczyć, tylko poczuć w sercu. Postanowił być ostrożny, kiedy będzie o Nim mówił — nie może próbować narzucić go innym. Będzie musiał posiać w sercach swoich słuchaczy ziarno i czekać, aż wyda plon.

Nadszedł dzień pożegnania. W chłodzie poranka Abraham i jego plemię oraz Jadin wraz ze swoim ludem przygotowywali się do drogi. Kobiety ładowały na osły ciężkie tobołki, dzieci zaś kręciły się zaspane pod nogami i tylko przeszkadzały w przygotowaniach.

Szamas czekał w napięciu, aż Abraham do niego podejdzie. W końcu tamten dał mu znak, by odeszli na bok.

— Chodź, zdążymy jeszcze porozmawiać — powiedział.

— Teraz, kiedy odchodzisz, już czuję, że będę cię często wspominał — wyznał Szamas.

— Ja też cię nie zapomnę. Mam jednak dla ciebie jeszcze jedno zadanie. Poprosiłem cię o to już parę dni temu: postaraj się, by nie przepadła historia stworzenia. Bóg stworzył rzeczy na świecie właśnie tak, jak ci opowiedziałem.

My, ludzie, zapominamy, że jesteśmy tylko kroplą jego oddechu, i próbujemy udowodnić sobie, że go nie potrzebujemy, a kiedy indziej wyrzucamy mu, że nie ma go przy nas w potrzebie.

— Tak, ja sam zastanawiam się, dlaczego tak się dzieje.

— Jak możemy zrozumieć Boga? Zostaliśmy ulepieni z gliny, jak bóstwa Teracha, a ja mu w tym pomagałem. Chodzimy, mówimy, czujemy, bo On tchnął w nas życie, a kiedy chce, odbiera nam je w taki sam sposób, w jaki ja niszczyłem uskrzydłone byki, które inni czcili jak bogów. Były to bóstwa stworzone przeze mnie, a przestawały nimi być za sprawą moich rąk.

Nie, nie możemy Go pojąć, ani nawet tego próbować, a zwłaszcza osądzać jego czynów. Ja nie mogę odpowiedzieć, Szamasie, na twoje pytania, bo nie znam odpowiedzi. Wiem tylko, że Bóg, który jest początkiem i końcem, stwórcą wszystkiego, skazał nas na śmierć, albowiem pozwolił nam wybierać.

— Bóg będzie ci towarzyszył, dokądkolwiek się udasz, Abrahamie — zapewnił chłopak.

— Tobie również, i nam wszystkim. On widzi wszystko i wszystko czuje.

— Z kim będę teraz rozprawiał o Bogu?

— Z twoim ojcem, Jadinem, który także nosi go w sercu. Ze starcem Chaobem, z Zabulonem, z twoimi krewnymi, z którymi wyruszasz w drogę, i z tymi, którzy nigdy nie opuścili Ur.

— A kto mnie poprowadzi?

— Nadchodzi taka chwila w naszym życiu, kiedy odpowiedzi musimy szukać w sobie. Ty masz ojca, możesz ufać jego mądrości. On będzie umiał ci pomóc i udzieli ci odpowiedzi.

Usłyszeli głos Jadina, który wzywał ich, by się pożegnać. Szamas poczuł ucisk w gardle i z trudem powstrzymywał łzy. Pomyślał, że jeśli się rozpłacze, wszyscy będą się z niego śmiali, bo mężczyźni nie przystoi ronić łez.

Abraham i Jadin padli sobie w objęcia. Wiedzieli, że nigdy więcej się nie zobaczą.

Abraham objął Szamasa, a chłopakowi popłynęła łza, którą natychmiast wytarł pięścią.

— Nie wstydz się bólu, jaki czujesz, gdy rozstajesz się z tymi, których kochasz. Ja również mam w sercu łzy, choć nie pozwalam im płynąć. Zawsze będę cię pamiętał, Szamasie, i wiedz, że tak jak ja będę ojcem ludzi, jak był nim Adam, tak dzięki tobie ludzie poznają historię świata i będą ją opowiadali swym dzieciom, te zaś swoim i tak po wsze czasy.

Abraham dał znak i jego plemię rozpoczęło wędrówkę. W tym samym czasie Jadin podniósł rękę, dając znak swoim, że i oni muszą ruszać w drogę. Niektórzy jeszcze odwracali się, podnosząc dłonie na znak pozdrowienia. Szamas patrzył na Abrahama, oczekując, że wuj spojrzy na niego po raz ostatni, lecz ten kroczył ze wzrokiem wbitym w horyzont. Dopiero gdy mijał gaj palmowy, w którym spędził tyle wieczorów z Szamasem, zatrzymał się na chwilę, by popatrzeć na to miejsce. Wyczuł, że chłopak na niego patrzy, i się odwrócił. Dzielili ich jednak zbyt duża odległość, by mogli siebie dostrzec.

Słońce stało wysoko, rozpoczynał się kolejny dzień wieczności.

- Proszę pani! Proszę pani!
- Co się stało, Ali? — spytała Clara, budząc się z drzemki.
- Proszę pani, zapadła noc, wójt bardzo się gniewa, kobiety czekają z kolacją.
- Już idę, będę tam za sekundę.

Wstała, strzepując żółty pył, który kleił się do ubrań i skóry. Nie miała ochoty z nikim rozmawiać, a już najmniej z wójtem i jego rodziną. Chciała cieszyć się samotnością, wiedząc, że wkrótce miejsce to nie będzie wyglądać tak jak w tej chwili.

Wyobrażała sobie Szamasa, w jej fantazjach miał twarz i potrafiła odróżnić brzmienie jego głosu. Mało brakowało, a słyszałyby jego kroki na ścieżce.

Pewnie terminował u skryby, stąd te koślawe litery, miała jednak wrażenie, że nie był to przeciętny młodzieniec. Musiał być kimś bliskim patriarsze Abrahamowi, skoro ten zdecydował się opowiedzieć mu o dziele stworzenia. Tylko co mógł wiedząc Abraham o powstaniu świata? Czyżby te historie były odbiciem starych legend mezopotamskich?

Abraham był koczownikiem, stał na czele plemienia. Każde plemię miało własne tradycje i legendy, ale podczas wędrówek drogi plemion przecinały się, mieszały się zwyczaje, legendy i bogowie.

Wydawało się oczywiste, że historia o potopie, opisana przez Hebrajczyków w Biblii, nawiązywała do *Eposu o Gilgameszu*.

Kiedy Clara dotarła w końcu do domu wójta, ten czekał na nią w drzwiach z niezadowoloną miną, której postanowiła nie zauważać. Pochwaliła posiłek, a potem zamknęła się w pokoju, w którym przygotowali dla niej pośłanie.

Zasnęła jak kamień, po raz pierwszy, odkąd odszedł Ahmed.

Dom Alfreda Tannenberga w Kairze mieścił się w dzielnicy willowej Heliopolis, w której mieszkali dostojnicy reżimu.

Z okien gabinetu widać było aleję wysadzaną drzewami i strażników pilnujących domu.

Tannenberg z wiekiem stawał się coraz bardziej nieufny. Teraz nie miał zaufania nawet do swoich przyjaciół, za których wcześniej oddałby życie, przekonany, że oni zrobiliby to samo dla niego.

Dlaczego tak się upierają, żeby zagarnąć *Glinianą Biblię*? Oferował im wszystko, co miał, w zamian za tabliczki, które decydowały o przyszłości Clary. Nie chodziło tu o pieniądze; jego wnuczka miała wystarczający majątek, by żyć dostatnio do końca swoich dni. On pragnął dla niej czegoś więcej: by się z nią liczone, bo świat, w którym dotychczas żyli, właśnie się kończył. Nie mógł się oszukiwać, że jest inaczej, choć oczywiście irytował się, kiedy ktoś mu to mówił prosto w oczy. W rzeczywistości raporty od roku przesyłane mu przez George'a nie pozostawiały złudzeń. Od 11 września 2001 roku świat oszalał.

Stany Zjednoczone musiały jasno określić, kto jest ich przeciwnikiem, by przejąć kontrolę nad źródłami energii, Arabowie zaś wierzyli, że aby wyjść z nędzy i zyskać szacunek świata, należy popisać się siłą. Obie strony chciały wojny i mieli wojnę, a on był jak zwykle gotowy do robienia interesów. Tyle tylko, że teraz zostało mu niewiele miesięcy życia i drżał o przyszłość wnuczki. Przyszłość nie wydawała się pewna ani w Bagdadzie, ani w Kairze. Ahmed wiedział o tym dobrze, dlatego wołał uciec. Alfred jednak nie chciał, by jego wnuczka dzieliła los uciekinierów. Jedyne sposobem, by ją przed tym uchronić, to zapewnić jej respekt świata nauki. Dlatego tak mu zależało, by Clara znalazła *Glinianą Biblię*. George jednak nie chciał na to przystać, a Frank i Enrique, chociaż obaj mieli rodziny, również nie okazywali zrozumienia.

Został sam, sam przeciw wszystkim, a na dodatek jego życie dobiegało kresu.

Przejrzał orzeczenie lekarskie. Znow chcieli go operować, by usunąć guz z wątroby. Powinien podjąć jakąś decyzję, choć w rzeczywistości decyzja już została podjęta. Nie przestąpi progę sali operacyjnej, zwłaszcza że, jeśli wierzyć opinii lekarskiej, ma niewielkie szanse na przeżycie. Dodatkowym problemem były skoki ciśnienia i arytmia. Pragnął więc tylko żyć wystarczająco długo, by Clara mogła prowadzić wykopaliska i zakończyć je, zanim Amerykanie zaczną zrzucać na Irak bomby.

Z rozmyślań wyrwało go pukanie do drzwi.

Służący oznajmił, że przyszedł Jasir wraz z mężczyzną, który nazywał się Mike Fernández. Alfred czekał na nich i dał służącemu znak, by wprowadził gości.

Wstał z fotela i podszedł się z nimi przywitać. Jasir skinął lekko głową z wymuszonym uśmiechem. Nie mógł darować Tannenbergowi policzka, jaki ten wymierzył

mu podczas ich ostatniego spotkania. Alfred ani myślał przeproszać, wiedząc, że po takim afroncie przeprosiny na nic się nie zdają. Jasir zdradzi go przy pierwszej nadarzającej się okazji, gdy tylko zabezpieczy swoje interesy. Alfred musi być czujny, by uprzedzić ewentualny atak.

Podczas powitania Mike Fernández uważnie przyjrzał się starcowi. Zaskoczyła go siła, z jaką Alfred uścisnął mu dłoń, ale przede wszystkim odniósł wrażenie, że stoi przed złym człowiekiem. On sam również nie był świętoszkiem — od dawna uwikłany w nieczyste interesy, zawsze gotowy spełniać polecenia Dukaisa i robić rzeczy, do których wstydziłby się przyznać przed własną matką. Niemniej, mimo przeżyć ostatnich lat, odróżniał jeszcze dobro od zła, a ten staruch emanował czystym złem.

Służący wniósł do gabinetu tacę z napojami i postawił ją na niskim stoliku, wokół którego usiedli. Kiedy wyszedł, Alfred nie tracił czasu na uprzejmości i zwrócił się wprost do Fernándezza:

— Jaki ma pan plan?

— Zamierzam rozejrzeć się trochę na granicy z Kuwejtem, nie zaszkodziłoby też zbadać paru miejsc na pograniczu Jordanii i Turcji. Chciałbym wiedzieć, na jaką infrastrukturę możemy liczyć w miejscach, w których zdecydujemy się rozstawić ludzi, a zwłaszcza któredy przebiegają drogi ewakuacyjne. Przykrywką będzie firma eksportująca bawełnę, wielkie bele bawełny z Egiptu do Europy.

— Co jeszcze? — zapytał oschle Alfred.

— To zależy, ile zechce mi pan powiedzieć i pokazać. Pan kieruje operacją, ja będę w terenie, dlatego chcę wiedzieć wcześniej, na czym stoję.

— Wskażę panu miejsca, w których ludzie wjadą do Iraku i go opuszczą. Od lat wjeżdżamy i wyjeżdżamy z kraju i nie wiemy o tym ani Turcy, ani Jordańczycy, ani Kuwejtczy. Znamy teren jak własną kieszeń. Pan zajmie się swoimi ludźmi, ale operacją w terenie dowodzić będą moi.

— Nie tak było zaplanowane.

— Mamy działać w Iraku, nie rzucając się w oczy. Obawiam się, że panu trudno będzie pozostać niezauważonym, wątpię też, czy uda się to ludziom wysłanym przez Paula. My możemy wjeżdżać i wyjeżdżać, ponieważ jesteśmy miejscowi. Uważam, że powinien pan mieć kilku ludzi w paru punktach strategicznych, które ja wskażę. A co do tego przedsięwzięcia bawełnianego, znam je, bo należy do mnie, ale nie wydaje mi się najlepszym rozwiązaniem. Potrzeba nam czegoś innego, by nasi przyjaciele w Waszyngtonie udostępnili nam samoloty wojskowe w Kuwejcie i w Turcji. To pańscy ludzie muszą z panem

polecieć tymi samolotami, moi nie mogą się nawet do nich zbliżyć. Każdy powinien poruszać się po własnym terenie.

— I to pan decyduje, który teren do kogo należy.

— Wie pan co? Kiedy się podróżuje przez pustynię, zawsze skoczeniem są Beduini. Człowiek jest przekonany, że jest tam sam, a tu nagle... podnosi głowę i kogo widzi? Jak tu dotarli, od jak dawna za nim podążają, nigdy się tego nie dowie. Stanowią część pustynnego krajobrazu, są jak piasek. Mogą nas wypatrzeć z odległości paru kilometrów, my ich natomiast nie zobaczymy, choćby stali pięć metrów od nas.

— Czy pańscy ludzie to Beduini?

— Moi ludzie tu się urodzili, wśród tego piasku, i są niewidzialni. Wiedzą, co mają robić, dokąd i którą drogą iść. Żaden z nich nie wzbudzi niczyjzego zainteresowania w Bagdadzie ani w Basrze, Mosulu, Kirkuku czy Tikricie. Będą wjeżdżali i wyjeżdżali tak jak pan wchodzi i wychodzi ze swojego domu. Zawsze tak działaliśmy, to moje terytorium, nie zgadzam się więc na żadne zmiany. Chyba że w Waszyngtonie ktoś oszalał?

— Nie, nikt nie oszalał, chcą tylko kontrolować operację.

— To ja ją kontroluję.

— Pan nią kieruje, z pewnością, oni jednak chcą mieć tu trochę swoich ludzi.

— Obawiam się, że dopóki nie stanie się tak, jak mówię, nie dojdzie do żadnej operacji. W Waszyngtonie dobrze wiedzą, że wy sami nie zdołacie przekroczyć ani jednej granicy.

— W takim razie pomówię z Dukaisem.

— Proszę, tu stoi telefon.

Mike Fernández nie podniósł się jednak z miejsca. Sam sprowokował tę sytuację, tylko dlatego, że nie chciał być jedynie statystą w planach starca. Wiedział, że Dukais będzie wkurzony, jeśli do niego zadzwoni, gdyż rozkazy były stanowcze: musi zrobić to, co każe mu Alfred.

— Porozmawiam z nim później — powiedział Mike Fernández, zaskoczony twardością Tannenberga.

— Ma pan wolną rękę i może pan robić, co się panu podoba, proszę jednak pamiętać, że nie lubię być wyzywany na pojedynek, i gdy ktoś rzuca mi rękawicę, to zwykle przegrywa. Tak było dotychczas i tak będzie do dnia mojej śmierci.

Fernández nie powiedział ani słowa więcej. Zmierzyli siły i było jasne, że Alfred nie jest gotowy, by podzielić się władzą.

Pomyślał, że najrozsądniej będzie pogodzić się z taką sytuacją. Koniec końców, Tannenberg miał rację: to jego teren, a lada dzień może wybuchnąć wojna. Zresztą Fernández nie miał nic przeciwko temu, by to inni ponosili ryzyko.

Przez następną godzinę Alfred robił mu wykład z taktyki i strategii wojskowej. Rozłożył mapę i wskazał, gdzie powinny się rozlokować siły wsparcia Mike'a i w jaki sposób powinny się ustawiać w stosunku do amerykańskich baz wojskowych w Kuwejcie i Turcji, pokazał drogę do Ammanu, a nawet alternatywny szlak do Egiptu.

— A któredy wejdą pańscy ludzie, panie Tannenberg? — zapytał Fernández.

— Tego nie zdradzę. Jeślibym to panu powiedział, to równie dobrze mógłbym dać ogłoszenie w Internecie.

— Nie ufa mi pan?

— Ja nikomu nie ufam, ale tu nie chodzi o brak zaufania. Pan podzielił się planem z Pauliem Dukaisem, a jeśli panu powiem, któredy wejdą moi ludzie, to logiczne, że przekazuje mu pan tę informację. Nie mam najmniejszego zamiaru nikomu o tym mówić. Proszę więc przyjąć to, co już powiedziałem, i uznać, że dysponuje pan dokładnymi informacjami. Więcej nie musi pan wiedzieć.

Takiej odpowiedzi oczekiwał Mike; uprzedzono go, że stary będzie nieugięty, on jednak postanowił być uparty.

— A jednak wskazał mi pan współrzędne miejsc, w których powinni czekać moi ludzie...

— Owszem, ale jeśli zechce pan wyciągać jakieś wnioski z tych współrzędnych, to popełni pan błąd.

— W porządku, panie Tannenberg, widzę, że nie będzie łatwo z panem współpracować.

— Wręcz przeciwnie, to jest bardzo łatwe, ja tylko oczekuję, że każdy będzie wiedział, co ma robić. Pan będzie robił swoją część, ja swoją, i po sprawie. To nie wycieczka w celu nawiązania przyjaźni, więc nie musi mi pan mówić, w jaki sposób pańscy zwierzchnicy przekonają chłopaków z Pentagonu, by użyczyli im swoich maszyn, a ja też nie zamierzam panu opowiadać, ilu moich ludzi weźmie udział w tej operacji, ani któredy wjadą i wyjadą. Owszem, wskażę panu, których ludzi ma pan użyć.

— Pan mi to powie? — zapytał ironicznie Fernández.

— Tak, ja, bo pan nie ma bladego pojęcia, jak dotrzeć ze wskazanych przeze mnie miejsc do baz lotniczych Amerykanów. To znaczy, że pańscy ludzie będą eskortowani przez paru moich, przede wszystkim po to, by się upewnić, że wszystko idzie dobrze.

- Ilu ludzi muszę sprowadzić?
- Najwyżej dwudziestu, w miarę możliwości mówiących po arabsku.
- Nie jestem pewny, czy uda nam się zadowolić pana pod tym względem...
- Proszę się postarać.
- Powiem panu Dukaisowi.
- On już wie, jakie warunki powinni spełniać ludzie do tej misji, dlatego wybrał właśnie pana.

* * *

Już na schodkach z samolotu uderzyła ich suchość i żar pustyni. Marta uśmiechnęła się uszczęśliwiona. Lubiła Bliski Wschód. Fabián z trudem łapał powietrze, przyspieszył wiecekroku, by szybciej znaleźć się w budynku lotniska w Ammanie.

Czekali na bagaż, kiedy podszedł do nich wysoki śniady mężczyzna i odezwał się czystym hiszpańskim:

- Czy mam przyjemność z panem Tudelą?
- Tak, to ja...

Mężczyzna wyciągnął dłoń i uściśnął mocno rękę gościa.

- Nazywam się Hajdar Annasir. Przysłała mnie Ahmed Huseini.
- Ach tak! — Tylko tyle zdołał wydusić Fabián.

Marta nie przejęła się tym, że Hajdar najwyraźniej nie zamierza się z nią witać, i wyciągnęła rękę w jego stronę, co ten przyjął z konsternacją.

- Profesor Gómez, miło mi pana poznać.
- Witam, pani profesor — odpowiedział Annasir, lekko się ukloniwszy.
- Więc pani Tannenberg nie mogła przyjechać? — zapytała Marta.

— Niestety, pani Tannenberg już wyjechała do Safranu, czeka tam na państwa. Wcześniej jednak musimy załatwić z celnikami sprawę wwiezienia całego ekwipunku. Proszę dać mi dokumenty, sam się wszystkim zajmę i zaraz każę załadować bagaż na ciężarówkę — powiedział Annasir.

- Czyżbyśmy udawali się prosto z lotniska do Safranu? — dopytywał się Fabián.

— Nie, zarezerwowaliśmy pokój w Marriottcie, żeby mogli państwo odpocząć. Jutro przekroczymy granicę z Irakiem i udamy się do Bagdadu, a stamtąd helikopter przewiezie nas do Safranu. Mam nadzieję, że za dwa dni uda się państwu spotkać z panią Tannenberg.

Formalności celne załatwili szybko, dzięki obecności Annasira. Potem pojechali do hotelu. Hajdar oznajmił im, że wróci w porze kolacji, by im towarzyszyć, tymczasem mogą odpocząć. Następnego dnia wyruszą o świcie, koło piątej rano.

— Co sądzisz o tym gościu? — zapytał Fabián Martę, kiedy sączyli w barze whisky.

— Uprzejmy i skuteczny w działaniu.

— I doskonale mówi po hiszpańsku.

— Tak, pewnie studiował w Hiszpanii. Dziś wieczorem opowie nam, na jakiej uczelni i w jakim mieście.

— Z początku udawał, że cię nie zauważa.

— To prawda, zwracał się tylko do ciebie. W końcu to ty jesteś mężczyzną. Przejdź mi, kiedy się do mnie przyzwyczai.

— Zaskoczyłaś mnie, spodziewałem się, że zrobisz mu j akąś uwagę.

— Nie miał złych zamiarów. To kwestia kultury i wychowania. Niech ci się nie wydaje, że wy jesteście lepsi — odpowiedziała ze śmiechem Marta.

— Chciałbym zauważyć, że przeszliśmy transformację i włożyliśmy wiele wysiłku, by dorównać poziomem dziewczętom. To wy jesteście nadludźmi.

— Nietzsche musiał myśleć o swojej siostrze, kiedy snuł teorie na temat nadczłowieka. Poważnie mówiąc, już się przyzwyczyłam do podobnych zachowań na Bliskim Wschodzie. Za parę dni przyzna, że to ja jestem szefową.

— Brawo, właśnie zagarnęłaś władzę, dziękuję, że raczyłaś mnie o tym uprzedzić.

Żartowali tak dobrą chwilę, czekając na przyjście Hajdara Annasira. Pojawił się punktualnie o wpół do dziewiątej.

Nieźle, pomyślała Marta, mierząc go krytycznym spojrzeniem, kiedy przechodził przez bar, by się z nimi przywitać.

Miał na sobie dobrze skrojony ciemnozielony garnitur i krawat w słońce od Hermesa.

Wprawdzie słońce są już trochę niemodne, ale i tak wygląda bardzo elegancko, podsumowała Marta, starając się nie uśmiechać i nie peszyć tego sztywnego mężczyzny.

Zabrał ich do restauracji położonej w dzielnicy willowej Ammanu, gdzie przy stołach siedzieli tylko Europejczycy i Amerykanie.

Fabián i Marta pozwolili mu zamówić kolację.

— Umieram z ciekawości, gdzie nauczył się pan Hiszpańskiego? — zagadnął Fabián.

Hajdar wydawał się lekko zakłopotany tym pytaniem, jednak odpowiedział grzecznie:

— Mam tytuł magistra ekonomii z Uniwersytetu Complutense w Madrycie. Hiszpański rząd zawsze hojnie przyznawał stypendia, dzięki czemu wielu Jordańczyków studiowało w waszym kraju. Przez sześć lat mieszkałem w Madrycie.

— Kiedy to było? — zapytała Marta.

— Od osiemdziesiątego do osiemdziesiątego szóstego roku.

— To był interesujący okres. — Marta starała się skłonić Hajdara, by opowiedział im coś więcej o latach spędzonych w jej mieście.

— Owszem, mój pobyt zbiegł się z końcówką przemian politycznych i pierwszym rządem socjalistycznym.

— Byliśmy wtedy tacy młodzi! — wyrwało się Fabiánowi.

— Proszę nam powiedzieć, czy pracuje pan dla pani Tannenberg? — zapytała wprost Marta.

— Nie, niezupełnie. Pracuję dla jej dziadka. Zarządzam biurami pana Tannenberga w Ammanie — odparł Hajdar powściągliwie.

— Czy pan Tannenberg jest archeologiem? — Marta udawała, że nie dostrzega zakłopotania Hajdara.

— To biznesmen.

— Ach tak! A ja sądziłam, że przed laty przebywał w Charanie, gdzie znalazł tabliczki, które wywołały takie zamieszanie w środowisku archeologów — wyznał Fabián.

— Przykro mi, ale nie wiem nic na ten temat. Pracuję dla pana Tannenberga, ale nie mam pojęcia o niczym innym niż jego bieżąca działalność.

— A czy nadużyję pańskiej cierpliwości, pytając, na czym polegają interesy pana Tannenberga?

Pytanie Marty zaskoczyło Hajdara, nie spodziewał się, że zostanie poddany takiemu przesłuchaniu.

— Pan Tannenberg prowadzi rozmaite interesy, to szanowany i poważany człowiek, ale niczego nie ceni tak jak dyskrecji — odpowiedział Hajdar, okazując lekkie niezadowolenie.

— Czy jego wnuczka to znana archeolog? — nie poddawała się Marta.

— Bardzo słabo znam panią Tannenberg. Wiem, że to osoba poważnie traktująca swoją pracę, jest też żoną cieszącego się uznaniem profesora uniwersytetu w Bagdadzie. Ona sama najlepiej odpowie państwu na wszystkie pytania, kiedy dotrą państwo do Safranu.

Fabián i Marta popatrzyli na siebie. Zrozumieli, że czas przerwać te indagacje. Okazali się wyjątkowo niegrzeczni wobec swojego gospodarza. Znajdują się na Wschodzie, tu nie zadaje się tak bezpośrednich pytań.

— Czy zostanie pan z nami w Safranie? — zapytała Marta uprzejmie.

— Będę do państwa dyspozycji przez cały czas trwania wykopalisk. Nie wiem jeszcze, gdzie głównie będę, w Safranie czy w Bagdadzie. Pojadę tam, gdzie będę bardziej potrzebny.

Kiedy zostawiał ich pod drzwiami hotelu, przypomniał, że następnego ranka przyjedzie po nich o piątej. Ciężarówka z ich rzeczami są już w drodze do Safranu.

— Za mocno przyparliśmy go do muru — stwierdził Fabián, kiedy żegnał się z Martą przed windą.

— Owszem, przez chwilę był bardzo zakłopotany. Trudno, nie szkodzi. Jestem zaintrygowana. Ciekawe, w jakich okolicznościach i kiedy ten Tannenberg kopał w Charanie, bo jak wiesz, ja też prowadziłam badania w tamtym rejonie. Przed wyjazdem przejrzałam listy uczestników wszystkich wypraw archeologicznych prowadzonych w Charanie i na żadnej z nich nie figuruje żaden Tannenberg.

— Kto wie, czy ten tajemniczy dziadek kiedykolwiek kopał cokolwiek innego niż przydomowy ogródek. Może odkupił tabliczki od jakiegoś złodzieja?

— Tak, przyszło mi to do głowy. W każdym razie dzielam odczucia twojego przyjaciela Yves'a: ten dziadek Clary Tannenberg to intrygująca postać.

Przybyli do Bagdadu wyczerpani upałem. W mieście widać było oznaki oblężenia. Bieda wypęłzała na ulice, jak gdyby przez noc znikła gdzieś klasa średnia i zostali tylko nędzarze.

W helikopterze Marta wymiotowała, mimo starań Fabiána, który pomagał jej wygodniej usiąść i pokazywał, jak powinna oddychać.

Dotarła do Safranu blada i zmęczona, wiedziała jednak, że musi wziąć się w garść, bo upłynie jeszcze wiele godzin, zanim uda jej się odpocząć.

Zaskoczyła ją Clara Tannenberg — ciemnowłosa, niezbyt wysoka, o cyrkonowej skórze i stalowoszarych oczach. Była bardzo ładna.

Clara również oceniła Martę jednym taksującym spojrzeniem. Pomyślała, że pewnie skończyła już czterdziestkę, emanowała pewnością siebie kobiet z Zachodu, które wszystko zawdzięczają samym sobie i dlatego nie są skłonne słuchać niczyich rad i poleceń. Jej uwagi

nie uszło również to, że Marta była bardzo atrakcyjna — czarnowłosa, wysoka, o brązowych, prawie czarnych oczach. Gęste, niezbyt długie włosy przeczesywała ręką o zadbanych paznokciach.

Clara zawsze zwracała uwagę na dłonie. Szczególnie u kobiet. Nauczyła ją tego babka, twierdząc, że po rękach można poznać, z kim ma się do czynienia. Ręce odzwierciedlają duszę i pozycję społeczną. Marta miała szczupłe, kościste dłonie, a paznokcie pociągnięte bezbarwnym lakierem.

Gdy się przywitani, Clara poinformowała ich, że ciężarówki dotarły już do Safranu, choć nie zdążono jeszcze rozładować kontenerów.

— Mogą państwo nocować w domu któregoś z mieszkańców, albo skorzystać z namiotów, które już ustawiliśmy. Zaczęliśmy budować również chaty z gliny, bardzo proste, takie same jak przed wiekami w Mezopotamii, w takich zresztą do dziś mieszkają wieśniacy. Niektóre są już gotowe, czekamy tylko na transport materacy z Bagdadu i pozostałych sprzętów, będą tu za parę dni. W tych chatach będzie można umieścić jeśli nie wszystkich, to na pewno większość uczestników wykopalisk. Nie obiecujemy luksusu, ale mamy nadzieję, że będzie państwu wygodnie.

— Czy możemy się trochę rozejrzeć? — zapytał Fabián.

— Każę ludziom przenieść państwa bagaż na miejsce noclegu, a my pójdziemy w stronę pałacu. To niezbyt daleko, dojdziemy tam pieszo, zwłaszcza że dzisiaj nie jest zbyt gorąco — odpowiedziała Clara.

— Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, wolałabym pojechać tam samochodem — poprosiła Marta. — Źle zniosłam podróż i nadal nie czuję się najlepiej.

— Potrzebuje pani czegoś? A może woli pani zostać?

— Nie, napiłabym się tylko wody i nieco odświeżyła. W miarę możliwości wolałabym nie chodzić zbyt daleko pieszo.

Clara wydała kilka poleceń i bagaż podręczny Marty znalazł się w domu wójta, Fabiána zaś poprowadzono do domu sąsiadów.

Marta wykorzystwała czas na to, by ugasić pragnienie i trochę odpocząć. Kiedy była gotowa, podjechali jeepem do miejsca, w którym mieli pracować przez najbliższe miesiące.

Fabián wyskoczył z samochodu, zanim żołnierz siedzący za kierownicą zdążył dobrze zahamować. Szybko przemierzał teren wzdłuż i wszerz, zatrzymując się co jakiś czas, by przyjrzeć się temu, co odsłonił lej po wybuchu bomby.

— Widzę, że zaczęli już państwo odkopywać w tej strefie — zauważył.

— Tak, wydaje nam się, że znajdujemy się na dachu budynku i przez ten otwór widać pomieszczenie, w którym gromadzono na stertach tabliczki, stąd tyle ich szczątków. Uważamy, że to miejsce było pałacem-świątynią — powiedziała Clara.

— Nie ma nawet wzmianek o tym, by nieopodal Ur kiedykolwiek istniała jakaś świątynia — zauważył Fabián.

— Rzeczywiście, nie ma, ale pozwolę sobie przypomnieć, panie profesorze, że na tym właśnie polega wartość odkrycia: by znaleźć coś, o czego istnieniu nikt nie wiedział. Jeśli zdecydowalibyśmy się przekopać Irak wzdłuż i wszerz, znaleźlibyśmy tuziny świątyni-pałaców, gdyż stanowiły one ośrodki administracyjne rozległych obszarów — wyjaśniła Clara.

Tymczasem Marta oddaliła się od nich, szukając miejsca, z którego mogłaby obejrzeć wszystko z pewnej perspektywy.

— Czy to pańska żona? — zapytała Clara.

— Marta? Nie, skąd. To profesor archeologii, pracuje na tej samej uczelni co ja, Uniwersytecie Complutense w Madrycie. Ma bardzo duże doświadczenie w badaniach terenowych. Wiele lat temu była bardzo blisko Charanu, gdzie pani dziadek odnalazł tabliczki.

Clara skinęła głową. Dziadek zabronił jej udzielania jakichkolwiek informacji na swój temat. Nie wolno jej powiedzieć ani słowa, nawet gdyby nalegali.

— Trzeba być bardzo odważnym, by w takich czasach przyjeżdżać do Iraku — zmieniła temat.

— Mamy nadzieję, że wszystko dobrze się ułoży. Nie będzie łatwo pracować pod taką presją.

— Tak, my w Iraku mamy nadzieję, że Bush tylko przekomarza się z Saddamem.

— Obyście się nie mylili! On jednak wypowiedział wam wojnę i gdy będzie gotowy, uderzy. Nie sądzę, by czekali dłużej niż sześć czy siedem miesięcy.

— Dlaczego Hiszpania wspiera Busha?

— Proszę nie mylić Hiszpanii z naszym rządem. Większość Hiszpanów opowiada się przeciwko tej wojnie.

— Dlaczego więc się nie przeciwstawicie?

Fabián roześmiał się głośno.

— Zabawne! Pani mnie pyta, dlaczego się nie zbuntujemy przeciwko naszemu rządowi, gdy tymczasem wy sami godzicie się na życie pod butem Saddama. Ja nie zgadzam się z naszym rządem, jeżeli chodzi o udzielanie wsparcia Stanom Zjednoczonym przeciwko

Irakowi i w wielu innych kwestiach, ale to rząd wybrany demokratycznie. To znaczy, że możemy go obalić tylko drogą wyborów.

— Irakijczycy kochają Saddama — stwierdziła Clara.

— Nieprawda, wcale go nie kochają. Przekonacie się, że w dniu kiedy zostanie obalony, a na pewno tak się stanie, tylko nieliczni będą go wspierali. Dyktatorów się znosi, ale nie kocha, dotyczy to nawet tych poddanych, którzy bez słowa godzili się na reżim. Jedyne, co pozostanie po Saddamie, to wspomnienie jego przemocy i nadużyć. Powiedzmy sobie wprost — nawet przeciwnicy tej wojny nie popierają Saddama. Saddam reprezentuje wszystko, czego nienawidzi każdy demokrat. To dyktator, ma ręce splamione iracką krwią, krwią ludzi, którzy odważyli się mu przeciwstawić, i Kurdów, których masowo mordował.

Nie obchodzi nas Saddam, ani jaki los go spotka. Jesteśmy przeciwni tej wojnie, bo uważamy, że nikt nie musi umierać, by jeden jedyny człowiek zniknął ze sceny, zwłaszcza że motywem tej wojny są podłe interesy, chęć zawładnięcia iracką ropą. Ameryka chce mieć kontrolę nad źródłami energii, bo już czuje na karku oddech chińskiego kolosa! Powtarzam jednak, nie ma co się łudzić, nawet ci, którzy sprzeciwiają się wojnie, czują odrazę do Saddama.

— Nie spytał mnie pan, czy ja go popieram.

— Wszystko mi jedno. Cóż może pani zrobić? Rozkazać tym żołnierzom, żeby mnie aresztowali? — mówił gniewnie Fabián. — Wyobrażam sobie, że jeśli pani tak spokojnie żyje sobie w Iraku i niczego pani nie brak, to dlatego, że jest pani oddana reżimowi. Nie moglibyśmy tu kopać, gdyby pani dziadek nie miał wpływów w Iraku, tak więc nie ma się co oszukiwać. O jednym muszę jednak panią uprzedzić—przyjechaliśmy tu, ale to nie znaczy, że gotowi jesteśmy ugiąć się przed Saddamem i śpiewać hymny o wspaniałości jego rządów. To dyktator i nas to oburza.

— A jednak państwo tu są..

— Jeśli uda nam się uniknąć dyskusji politycznych, wszystko będzie w porządku. Niech pani nie sądzi, że decyzja o przyjeździe tutaj była łatwa. Niejeden może uznać, że popieramy reżim. Wydaje nam się jednak, że stoimy przed możliwością przekonania się, czy to, co ujawniła pani na kongresie w Rzymie, ma jakieś podstawy. Jako archeolodzy nie możemy przepuścić takiej okazji

— Czy jest pan przyjacielem Yves'a Picota?

— Tak, od jakiegoś już czasu się przyjaźnimy. To outsider, ale jeden z najlepszych, i tylko ktoś taki jak on potrafił przekonać nas, byśmy tu przyjechali. — Fabián zaczął się rozglądać, by wyłowić wzrokiem Martę.

— Ilu archeologów weźmie udział w wykopaliskach?

— Niestety, mniej, niż potrzebujemy. Przybędzie dwóch ekspertów od magnetometrii poszukiwawczej, profesor archeozoologii, jeszcze inny od anatolistyki, siedmiu archeologów specjalizujących się w Mezopotamii, nie licząc Marty, Yves'a i mnie, i jeszcze garstka studentów z ostatnich lat archeologii. Razem około trzydziestu pięciu osób.

Clara nie potrafiła ukryć rozczarowania. Miała nadzieję, że Picot zdoła namówić więcej specjalistów. Fabián poczuł się urażony.

— W takiej sytuacji wypadałoby skakać z radości, bo zebranie tych trzydziestu pięciu osób zakrawa na cud, a i tak wszyscy robią to tylko ze względu na Yves'a. Pani kraj będzie zmiądzony, zmieciony z powierzchni ziemi, to nie miejsce na przygody z archeologią. Mimo to Yves zdołał nas przekonać, porzuciliśmy nasze zajęcia, a niech pani nie sądzi, że łatwo powiedzieć dziekanowi wydziału, że gdzieś sobie wyjeżdżasz akurat w połowie września, kiedy lada moment mają się zacząć wykłady. Wszyscy, którzy tu przyjechali, dokonali nadludzkiego wysiłku, wiedząc, jak trudno będzie znaleźć coś, co naprawdę warto jest zachodu i uzasadni zainwestowany czas.

— Ależ proszę tego nie przedstawiać w taki sposób, jakby robili mi państwo wielką łaskę! — zdenerwowała się Clara. — Skoro państwo tu przyjechali, to znaczy, że wierzą, że uda się coś osiągnąć!

Podeszła do nich Marta, która słyszała ostatnią część rozmowy.

— Co się stało?

— Nic wielkiego, wymiana poglądów — mruknął Fabián.

Clara zbyła pytanie milczeniem, odwróciła się i zaczerpnęła powietrza, żeby się uspokoić. Nie mogła stracić panowania nad sobą, zwłaszcza teraz, na dzień przed rozpoczęciem prac. Tęskniła za Ahmedem, on miał instynkt dyplomatyczny, wiedział, jak traktować ludzi i w jaki sposób mówić to, co się myśli, nikogo przy tym nie raniąc.

— W porządku — westchnęła Marta. — Obejrzałam miejsce, wygląda interesująco. Ilu robotników możemy dostać?

— Koło setki. Tu, w Safranie, mamy około pięćdziesięciu, pozostali przybędą z sąsiednich wiosek.

— Potrzeba nam więcej ludzi. Nie można odsunąć tego całego piasku bez wystarczającej liczby rąk do pracy. Czy tamte chaty budowane są dla naszego zespołu? — Wskazała przed siebie.

— Tak, nie dalej niż trzysta metrów od stanowiska, dla wygody. Będziemy mieszkali na tyle blisko, by nie trzeba było codziennie korzystać z samochodów — odpowiedziała Clara.

— Przywieźliśmy bardzo dobre namioty. Moim zdaniem robotnicy powinni szybko wykończyć chaty, które są już częściowo zbudowane, by nie zostawiać rozgrzebanej roboty, ale priorytetem powinno być przystąpienie do odkopywania ruin.

Marta powiedziała to tonem niepozostawiającym miejsca na dyskusję.

— Już? Zanim przyjadą pozostali uczestnicy wyprawy? — zdziwił się Fabián.

— Tak, szkoda tracić czas. Szczerze powiedziawszy, nie wierzę, byśmy mogli skończyć tę pracę, mając tak mało czasu, więc bierzmy się do roboty. Jutro zaczynamy. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, to po powrocie do wioski zbierzemy ludzi, by wyjaśnić im, na czym będzie polegała ich praca. Postarajmy się, by ten obszar był w miarę możliwości oczyszczony przed przybyciem Yves'a i reszty zespołu. Co o tym sądzicie?

— Ty rozkazujesz — odpowiedział Fabián.

— Nie mam nic przeciwko temu — dodała Clara.

— Doskonale, wyjaśnię wam, jaki plan pracy obmyślałam...

Hans Hausser zdecydowanym krokiem wszedł do ogromnego holu nowoczesnego budynku w sercu Londynu. Na tablicy widniały nazwy dziesiątek firm, które miały siedziby w tej monumentalnej budowli ze szkła i stali. Poszukał nazwy Global Group, chociaż wiedział, że biura firmy mieszczą się na siódmym piętrze. Skierował się do windy, z niepokoju kłuło go w żołądku.

On, wybitny profesor fizyki kwantowej, miał zatrudnić płatnego mordercę, który zabije pewnego człowieka i jego rodzinę. Nie czuł litości, ale owszem, niepokoił się trochę, czy będzie umiał rozmawiać z kimś takim jak mężczyzna, z którym za chwilę się spotka.

Biura Global Group niczym nie różniły się od siedziby każdej innej międzynarodowej firmy: jasnoszare ściany, białe sufity, nowoczesne meble, dobre obrazy abstrakcjonistów, których nazwisk nie sposób zapamiętać, sekretarki dyskretne, eleganckie i uprzejme.

Tom Martin nie kazał mu długo czekać. Uścisnęli sobie dłonie w drzwiach jego gabinetu, przestronnego pokoju, pod którego ścianami stały regały pełne książek. Na jednej ze ścian wielkie okno ukazywało widok na stary Londyn z łagodnym biegiem Tamizy. W gabinecie stały wygodne skórzane fotele i ani jednego przedmiotu osobistego. Nie było tam fotografii, na dużym stole ze szkła i stali nie leżały żadne papiery, stał jedynie bardzo nowoczesny aparat telefoniczny i komputer.

Kiedy rozsiedli się wygodnie w fotelach, popijając kawę, Tom Martin zaczął:

— Słucham więc pana. Czy mogę służyć?

— Wiem, że pańska firma wysyła ludzi do stref konfliktu. Ma pan małą armię ludzi, którzy pracują w grupach lub samotnie. Wiem, że pana działalność polega na zapewnianiu klientom bezpieczeństwa, ale jeśli darujemy sobie eufemizmy, to powiemy, że w tym biznesie się morduje. Pańscy ludzie zabijają innych, by ochraniać osoby, które je zatrudniają lub bronić ich interesów.

Martin słuchał z mieszanymi uczuciami. Ten roztargniony starszy pan nie wyglądał na kogoś, kto chciałby wynająć płatnego mordercę.

— Panie Martin, chcę zatrudnić jednego z pańskich ludzi, by zabił kilka osób. W tej chwili nie wiem ile.

— Przepraszani, panie Burton, bo zdaje się, że tak się pan nazywa?

— Proszę tak do mnie mówić — powiedział profesor Hausser.

— A więc nie nazywa się pan Burton... Proszę pana, muszę wiedzieć, kim są moi klienci.

— Pan musi wiedzieć tylko to, czy klienci panu zapłacą i jak dużo. Ja zaś nie jestem skąpy.

— Dlaczego chce pan zamordować tych ludzi?

— To nie pańska sprawa. Powiedzmy, że jest pewna osoba, której interesy kolidują z moimi i paru moich przyjaciół, i ta osoba nie waha się używać przeciwko nam bardzo radykalnych środków. Musimy ją wyeliminować.

— A pozostałe osoby, które też chce pan wyeliminować...

— To jego najbliżsi krewni. Wszyscy, jakich odnajdziecie

Tom Martin milczał, zdziwiony spokojem, z jakim ten człowiek o łagodnym wyglądzie zlecał popełnienie zbrodni. Mówił o tym takim tonem, jakby zamawiał kawę w barze lub pozdrowiał rano dozorcę, grzecznie, ale nie poświęcając temu zbytnej uwagi.

— Może mi pan powiedzieć...

— Wszystko już panu powiedziałem. Czy przyjmuje pan zlecenie?

— Widzi pan, ja nie prowadzę agencji morderców, więc...

— Ależ panie Martin, dobrze wiem, kim pan jest! Ludzie z pana kręgów twierdzą, że jest pan najlepszy i chwalą pańską dyskrecję.

— Chciałbym wiedzieć, kto panu opowiadał o mojej firmie.

— Nasz wspólny znajomy. Ktoś, kto pana zna, robił z panem interesy i jest z pana bardzo zadowolony.

— Więc ta osoba opowiedziała panu, że prowadzę agencję morderców?

— Panie Martin, nie zna mnie pan, dlatego mi pan nie ufa. Rozumiem. Jak jednak nazywa się to, co robią, pańscy ludzie w kopalniach diamentów, kiedy bez zastanowienia strzelają do biednego Murzyna za to, że wyszedł z szeregu, idąc do pracy? Co pan powie o brygadach ochroniarzy biznesmenów, którzy nie wahają się przed pociągnięciem za spust na skinienie szefa?

— Muszę wiedzieć, kim pan jest, potrzebuję referencji...

— Przykro mi, nie dostanie ich pan. Jeśli obawia się pan, że to pułapka, może pan być spokojny. Jestem stary, wkrótce umrę, ale póki żyję, chcę pospłacać stare długi. Dlatego oczekuję, że pańscy ludzie zabiją pewnego człowieka.

Tom Martin milczał, przyglądając się uważnie mężczyźnie. Nie, to nie policjant, co do tego miał pewność.

— Przyjmuje pan zlecenie? — powtórzył pytanie Hausser.

— Proszę powiedzieć, o kogo chodzi i gdzie on jest.

— Ile to będzie kosztować?

— Najpierw musimy zebrać trochę informacji, a dopiero potem zdecydujemy jak i kiedy. Tu wchodzi w grę poważne sumy.

— Milion euro za człowieka i drugi milion za jego rodzinę?

Prezes Global Group był pod wrażeniem. Albo starzec blefuje, albo nie ma pojęcia o cenach za takie usługi.

— A ma pan tyle pieniędzy?

— Teraz mam przy sobie trzysta tysięcy euro. Jeśli dobijemy targu, dostanie je pan. Reszta po wykonaniu zlecenia.

— Kogo chce pan zabić, Saddarna Husajna?

— Nie.

— Kim jest ten człowiek? Ma pan jego aktualne zdjęcia?

— Nie mam. To człowiek starszy ode mnie, ma koło dziewięćdziesiątki. Mieszka w Iraku.

— W Iraku? — Martin był coraz bardziej zdziwiony.

— Tak, tak mi się wydaje, a w każdym razie tam jedna z jego krewnych ma dom. Niech pan spojrzy na zdjęcia tego domu. Nie wiem, czy on sam tam jeszcze jest, ale ten, kto tam mieszka, jest członkiem jego rodziny, to kobieta. Ona również musi umrzeć, przedtem jednak ma doprowadzić nas do celu.

Tom Martin obejrzał zdjęcia Żółtego Domu wykonane przez ludzi z ekipy Luki Mariniego.

Na niektórych widać było atrakcyjną kobietę w zachodnim stroju, w towarzystwie innej kobiety, starszej i ubranej w tradycyjny strój arabski.

— Czy to Bagdad? — zapytał.

— Tak, Bagdad.

— Ta kobieta...

— Sądę, że to krewna tego mężczyzny. Noszą takie samo nazwisko. Ona może was do niego doprowadzić.

— A jakie to nazwisko?

— Tannenberg.

Prezes Global Group słyszał je nie po raz pierwszy. Nie tak dawno jego przyjaciel Paul Dukais wynajął u niego ludzi, którzy, udając archeologów, mieli wziąć udział w wykopaliskach zorganizowanych przez tę właśnie kobietę, która najwyraźniej chciała odnaleźć coś, co zdecydowanie do niej nie należało.

Wszystko wskazywało na to, że Tannenbergowie mają wszędzie wrogów gotowych bez wahania usunąć ich ze swojej drogi. Czy siedzący przed nim mężczyzna chciał tego samego co Dukais, czy chodzi o coś innego?

— Przyjmuje pan zlecenie? — Hausser zaczynał tracić cierpliwość.

— Tak.

— To świetnie, podpiszmy umowę.

— Panie... panie Burton, nie tak zawiera się tego typu umowy. Nikt ich nie podpisuje.

— Nie zobaczy pan ani euro, jeśli nie dostanę jakiegoś pokwitowania.

— Sporządzimy standardową umowę, śledztwo w sprawie pewnego osobnika w określonym miejscu...

— W porządku, ale nie wymieniając jego nazwiska. Domagam się dyskrecji.

— Ma się rozumieć.

— I jeszcze jedno, panie Martin. Wiem, że jest pan najlepszy w branży, a przynajmniej tak się o panu mówi. Jeśli płacę tak wysoką cenę, to dlatego, że nie chcę pomyłek ani zdrady. Jeśli pan mnie zdradzi, moi przyjaciele i ja mamy wystarczająco dużo pieniędzy, by pana znaleźć i nauczyć rozumu.

— Proszę mi nie grozić, bo uznam tę rozmowę za skończoną — wycedził Martin.

— To nie są żadne pogróżki. Chcę tylko, by od początku wszystko było jasne. W moim wieku nie wydam już wszystkich pieniędzy, jakie mam, ani nie zabiorę ich ze sobą do grobu. Inwestuję je więc w wypełnienie mojej ostatniej woli, ale za życia.

— Panie Burton, czy jak tam pan się nazywa, w naszej branży nie zdradza się klientów. Kto to zrobi, musi zwinąć interes.

Hans Hausser podzielił się z nim wszystkimi informacjami, jakie posiadał. Nie było ich wiele, gdyż Tannenberg wykrył ludzi Mariniego, zanim zdążyli zebrać dane o mieszkańcach domu o żółtych ścianach.

Dwie godziny później profesor wychodził z Global Group. Był zadowolony, godzina zemsty zbliżała się nieuchronnie.

Ponieważ podejrzewał, że Martin kazał go śledzić, długo spacerował bez celu. Wszedł do hotelu Claridge i skierował kroki do restauracji, gdzie zjadł lunch. Następnie wyszedł do holu, by poszukać windy. Jeśli ktoś za nim idzie, pomyśli, że nocuje w tym hotelu. Wsiadł do windy i nacisnął guzik z cyfrą cztery. Wysiadł i poszukał schodów przeciwpożarowych, by zejść na drugie piętro. Tam przywołał windę i zjechał nią garażu.

Zaskoczony parkingowy zapytał go, gdzie stoi jego samochód, na co Hausser nawet nie odpowiedział, tylko uśmiechnął się bezradnie, co miało oznaczać: „nie rozumiem po angielsku”. Przeciął garaż i wyszedł z niego po rampie podjazdowej dla samochodów. Skręcił na pierwszym rogu i oddalił się od hotelu, szukając taksówki. Gdy podjechała, poprosił o kurs na lotnisko. Jego samolot do Hamburga odlatywał za kilka godzin. Tam przesiądzie się na lot do Berlina, a stamtąd pojedzie do domu, do Bonn. Nie wiedział, czy udało mu się zmylić szpiegów Toma Martina, ale przynajmniej nie ułatwił im zadania.

— To ja.

Carlo Cipriani rozpoznał głos przyjaciela. Czekał na ten telefon, gdyż otrzymał od Haussera zaszyfrowany e-mail, na który odpowiedział wiadomością z numerem telefonu komórkowego. Był to numer jednorazowego użytku. Karta sim miała wylądować w Tybrze.

— Wszystko dobrze poszło. Zgodził się i natychmiast weźmie się do roboty.

— Nie miał żadnych zastrzeżeń?

— Owszem, był zaskoczony, ale pan Burton ma dar przekonywania — roześmiał się Hausser.

— Kiedy da ostateczną odpowiedź?

— Za parę tygodni. Musi zebrać ekipę, wysłać ich tam... to potrwa jakiś czas.

— Mam nadzieję, że nam się uda! — westchnął Carlo.

— Robimy to, co należy, i być może w jakimś momencie się potkniemy, ale najważniejsze to przeć do przodu, nie zatrzymywać się.

W tle dał się słyszeć beznamiętny głos wzywający pasażerów odlatujących do Berlina.

— Zadzwońię do ciebie, kiedy się czegoś dowiem. Skontaktuj się z resztą — rzucił Hausser.

— Dobrze — odpowiedział Cipriani.

Hausser rozłączył się.

Powtórzone zapowiedź lotu do Berlina. Stamtąd zadzwoni do Berty. Jego córka niepokoiła się tymi podróżami i coraz częściej dopytywała się, co się dzieje. Kłamał, twierdząc, że spotyka się z emerytowanymi profesorami, takimi jak on, jednak Berta mu nie wierzyła. Naturalnie nigdy nie przejdzie jej przez myśl, że jej ojciec starszerek zleca płatne zabójstwo.

Mercedes wpadła do sypialni. Zostawiła na łóżku torebkę, a w niej komórkę, tę, na którą miał do niej zadzwonić któryś z przyjaciół. I właśnie dzwonił.

Bała się, że nie zdąży wygrzebać komórki z torebki.

— Nie denerwuj się — usłyszała głos Carla.

— Musiałam biec.

— Spokojnie, wszystko idzie po naszej myśli.

— Udało mu się?

— Bez problemów. Za parę tygodni będziemy wiedzieli coś więcej.

— Tak długo?

— Nie bądź niecierpliwa.

— Taka już jestem.

— Niełatwo jest osiągnąć to, czego chcemy...

— Wiem o tym, czasem jednak boję się, że umrę i nie uda mi się... wiesz...

— Tak, mnie też prześladowe taki koszmar, ale jesteśmy już na ostatniej prostej.

Mercedes rozłączyła się i opadła na kanapę. Była zmęczona. Przez cały dzień wizytowała budowy, potem jeszcze musiała spotkać się z architektami i technikami, by omówić pewne plany.

Pomyślała, że cały zgromadzony przez lata pracy majątek zostanie dobrze spożytkowany. Zainwestuje go w płatnych morderców, którzy zlikwidują Tannenberga.

Pieniądze nigdy jej nie interesowały. Zarabiała je, ciężko pracując, to prawda, ale tak naprawdę nie były jej potrzebne. Spisała już testament: po jej śmierci pieniądze trafią do kilku organizacji pozarządowych, wśród nich takiej, która troszczy się o zwierzęta, zaś akcje przedsiębiorstwa zostaną po równo rozdzielone wśród pracowników, którzy od wielu lat jej towarzyszą. Nikomu o tym nie powiedziała, bo nie wykluczała, że zmieni zdanie.

Gospośia zostawiła dla niej na stole sałatkę i filet z kurczaka. Mercedes ustawiła talerze na tacy i zasiadła przed telewizorem. Tak wyglądały jej wieczory od śmierci babci przed wieloma laty.

Dom był dla niej schronieniem, nigdy nie zapraszała tu nikogo oprócz najbliższych przyjaciół: Hansa, Carla i Brunona.

Bruno kończył kolację, kiedy poderwał go dzwonek komórki, którą nosił w kieszeni marynarki. Jego żona Deborah nastawiła uszu. Wiedziała, że od jakiegoś czasu, a dokładnie od powrotu z Rzymu, mąż kupuje i wyrzuca kolejne komórki i nie chce jej wyjaśnić, dlaczego ten tak nieskomplikowany przedmiot wciąż mu się psuje. Miała złe przeczucia. Doskonale wiedziała, że mąż żyje przeszłością. Dla Brunona Müllera nic nie liczyło się bardziej niż to, co stało się przed sześćdziesięciu laty.

Deborah zagryzła wargę, by powstrzymać się od uwag. Dziś byli u nich na kolacji Sara i Daniel. Nieczęsto się zdarzało, by rodzina zasiadała do stołu w komplecie. Ich dzieci zwykle się mijały — Daniel najczęściej był na turneé z najlepszymi orkiestrami smyczkowymi.

— Przepraszam na chwilę... — mruknął Bruno, wychodząc z jadalni i kierując się do swojego gabinetu.

— Ależ ojciec dzisiaj tajemniczy — zauważyła Sara.

— Nie potrafisz uszanować czyjejś prywatności? — prychnął Daniel.

— Przestańcie, nie trzeba się od razu sprzeczać, to tylko jeden telefon — wtrąciła się Deborah.

— Wszystko dobrze — odezwał się Carlo.

— Och, kamień spadł mi z serca — odetchnął Bruno. — Już zaczynałem się martwić.

— Jest już w drodze i za dwa tygodnie powie nam coś więcej.

— Przyjął zlecenie?

— Oczywiście. Jak wiesz, poszedłem do niego z taką ofertą, że nie można było powiedzieć „nie”.

— Spotkamy się?

— Może kiedy już będziemy wiedzieli coś konkretnego. Teraz nie widzę takiej potrzeby.

— Masz rację. Rozmawiałeś z nią?

— Przed chwilą. Wszystko w porządku, niecierpliwi się, jak każdy z nas.

— Długo czekaliśmy...

— Już wkrótce.

— Mam nadzieję.

Bruno wyjął kartę sim z aparatu, przeciął ją, a następnie wszedł do łazienki i wrzucił do ubikacji.

Luca Marini czekał, aż powiadomią Carla Ciprianiego. Cały ranek przeznaczył na wykonanie badań lekarskich, jakim zwykle poddawał się co roku w klinice swojego przyjaciela.

Nie pozna wyników przez najbliższe parę dni, musi poczekać aż wyda mu je Antonino, syn Carla, oczywiście wcześniej skrupulatnie sprawdzone przez ojca. Teraz pójdą z Carlem na lunch, byli umówieni od dawna.

Carlo wszedł do gabinetu syna i uściskał przyjaciela.

— Słyszałem, że jesteś w świetnej formie, prawda, Antonino?

— Na to wygląda — odparł syn. — Nie widzę żadnych powodów do zmartwień.

— A to zmęczenie? — zapytał zaniepokojony Marini.

— Nie przyszło ci do głowy, że to sprawa wieku? — zażartował Carlo. — Tak mówi Antonino, kiedy się skarżę.

Dopiero w restauracji Carlo Cipriani zapytał Lucę wprost, co go niepokoi.

— Miałeś jakieś wiadomości od kolegów z policji?

— Przed paroma dniami jadłem kolację z kilkoma z nich, przy okazji przejścia jednego z kolegów na emeryturę. Ponoć nie umorzili jeszcze tego śledztwa, ale odłożyli je na bok. Po paru pierwszych dniach gorączki przestali na nich naciskać, by zajmowali się tym tak intensywnie, więc kolega, który prowadzi śledztwo, postanowił zrobić sobie przerwę. Jeśli będą na niego naciskali, zawsze może powiedzieć, że się tym zajmuje.

— To wszystko?

— To dużo, Carlo, to najwięcej, o co można poprosić. Wyświadczają mi przysługę. Jeśli politycy będą na nich naciskali, dadzą mi znać, ale w każdym razie są świadomi, że dopóki nie powiem im, jak było naprawdę, nie będą nawet wiedzieli, od czego zacząć.

— Mogą zechcieć porozmawiać z Mercedes, przecież podałeś jej nazwisko jako osoby, która domagała się raportu o sytuacji w Iraku, by dowiedzieć się, czy są jakieś możliwości prowadzenia tam interesów po zakończeniu wojny.

— Ale to przecież nie jest przestępstwo, choć mogą tego nie kupić: katalońska biznesmenka wynajmuje ludzi z włoskiej agencji detektywistycznej, żeby zbierali informacje na temat sytuacji w Iraku, ponieważ gdy skończy się wojna, zamierza tam inwestować. A wszystko to z polecenia przyjaciela.

— Jakież to wydumane... — mruknął Carlo.

— Przez co historia zyskuje na wiarygodności — odparł Marini. — Zresztą jestem urodzonym aktorem — zażartował.

— Masz dobrych przyjaciół, to nam pomaga.

— Naturalnie, że mam dobrych przyjaciół. Sam jesteś jednym z nich. Czy mogę sobie pozwolić na pewną uwagę? Ta Mercedes Barreda to straszna kobieta.

— To nadzwyczajna osoba i bardzo odważna, nie wyobrażasz sobie jak. To najodważniejsza osoba, jaką znam.

— Widzę, że naprawdę ją cenisz.

— Bardzo ją lubię.

— Więc dlaczego się z nią nie ożenisz?

— To przyjaciółka, nikt więcej.

— Kiedy jesteście razem, widać, jak nawiązuje się między wami niezwykle porozumienie.

— Nie próbuj doszukiwać się czegoś, czego nie ma. Dla mnie Mercedes znaczy więcej, niż gdyby należała do mojej rodziny. Zawsze noszę ją w sercu, ale tak samo jest z Brunonem i Hansem.

— Od jak dawna się znacie?

— Od tak dawna, że gdy o tym myślę, uświadamiam sobie, jaki jestem stary.

Łatwo było zauważyć, kto rządzi tą barwną grupą. Nawet nieszczególnie lotny umysł zrozumiałby, że wysoki mężczyzna o śniadej karnacji i ciemnoblond włosach wiezie prym wśród młodych ludzi, którzy nie przestawali się przekomarzać i śmiać podczas długiego oczekiwania na odbiór bagażu. Zastrzygl uszami, kiedy usłyszał, że rozmawiają o archeologii. Jechali na wykopaliska do Iraku. Gian Maria po raz kolejny pomyślał, że przypadki nie istnieją i skoro spotyka zespół archeologów udających się do Iraku, to dlatego, że tak zrządziła Opatrzność.

Wywnioskował, że jadą do Bagdadu, ale tej nocy, przed przekroczeniem granicy, będą spali w Ammanie.

Zdenerwowany ksiądz dokonał niemal nadludzkiego wysiłku, by się przełamać i porozmawiać z kierownikiem grupy, zanim wszyscy znikną w tłumie wychodzących z hali przylotów.

— Przepraszam, czy mogę zamienić z panem słowo?

Yves Picot popatrzył na niego przenikliwie, a Gian Maria zaczerwienił się jak burak.

— Słucham pana...

— Słyszałem, że wybieracie się do Bagdadu...

— Owszem.

— Czy mógłbym do was dołączyć?

— A kim pan jest?

Młodzieniec poczerwieniał jeszcze bardziej. Nie chciał kłamać, nie mógł tego robić, ale nie zamierzał też wyjawić nieznanemu całej prawdy.

— Nazywam się Gian Maria, jadę do Iraku zobaczyć, co mogę zrobić.

— Jak to „zobaczyć, co mogę zrobić”? Co pan zamierza zrobić?

— Chcę pomagać. Paru moich przyjaciół pracuje w pewnej organizacji pozarządowej, opiekują się dziećmi w najbiedniejszej dzielnicy Bagdadu i zaopatrują szpitale w lekarstwa. Sam pan wie, przez tę blokadę mają ogromne problemy... Ludzie umierają, bo brakuje antybiotyków...

— Tak, tak, nie musi mi pan tłumaczyć, jaka jest sytuacja w Iraku. Przyjechał pan tak w ciemno?

— Powiadomiłem moich przyjaciół, że przyjeżdżam, ale nie mogą po mnie przyjechać do Ammanu, a ja... naprawdę nie jestem przyzwyczajony do tak dalekich podróży i gdybym mógł z państwem pojechać do samego Bagdadu... mogę pomóc...

Yves Picot nie mógł powstrzymać się od uśmiechu. Poczł sympatię do tego nieśmiałego mężczyzny, który rumienił się jak panienka.

— W którym hotelu się pan zatrzymał? — zapytał.

— Na razie w żadnym...

— A jak zamierza się pan dostać do Bagdadu?

— Nie wiem, myślałem, że tu się wszystkiego dowiem.

— O piątej rano wyjeżdżamy z Marriotta. Jeśli pan tam będzie, zabierzemy pana. Może pan się na mnie powołać, nazywam się Yves Picot — zakończył i się oddalił.

Zaskoczony młodzieniec nawet nie zdążył mu podziękować.

Odetchnął z ulgą. Podniósł niedużą czarną walizkę i wyszedł z lotniska w poszukiwaniu taksówki. Zamówi kurs do Marriotta, być może przy odrobinie szczęścia i jemu uda się dostać tam wolny pokój.

Taksówka zatrzymała się przed drzwiami hotelu, Gian Maria wysiadł i zdecydowanym krokiem wszedł do holu. Klimatyzacja przynosiła ulgę po upale panującym na zewnątrz. Przy recepcji tłoczył się zespół Picota. Ksiądz nie chciał, by uznali go za natręta, postanowił więc zaczekać w ukryciu, aż kolejka się skróci. Czekał cierpliwie ponad dwadzieścia minut, w końcu podszedł do recepcjonisty. Ten wyjaśnił mu poprawną angielszczyzną, że nie ma już ani jednej wolnej jedyńki, jest jeden pokój dla dwóch osób, który, jak podejrzewał, nie będzie gościa interesował.

Gian Maria zawahał się przez chwilę. Nie miał zbyt dużo pieniędzy i jeśli zapłaci za pokój dwuosobowy, znacznie uszczupli to jego zasoby, doszedł jednak do wniosku, że to najlepsze wyjście. Pięć minut później rozgościł się w wygodnym pokoju, którego postanowił nie opuszczać aż do następnego dnia. Nie chciał narażać się na żadne ryzyko, bał się, że się zgubi w nieznanym mieście. Zresztą potrzebował odpoczynku po tylu dniach nerwowych przygotowań i podejmowania decyzji oraz szukania jakiegoś sposobu wydostania się z Rzymu bez wzbudzania podejrzeń.

Zadzwoił do Rzymu, do swojego zwierzchnika, by go uspokoić, że dojechał bez problemów i że następnego dnia zamierza przekroczyć granicę iracką.

Następnie, wyciągnięty na łóżku, z książką w ręku, zasnął. Spał jednak czujnie, obudził się o trzeciej nad ranem i choć daleko jeszcze było do odjazdu archeologów z hotelu, bał się, że zaśpi. Zadzwoił do recepcji, prosząc o obudzenie o czwartej. Nie udało mu się jednak ponownie zasnąć. Zastanawiał się, czy powinien zapytać tego archeologa, najwyraźniej najważniejszego w grupie, Picota, czy zna Clarę Tannenberga. Kto wie, może ją poznał, albo przynajmniej wie, gdzie jej szukać. Jeśli jada do Iraku, a ta kobieta tam mieszka... Nie mógł się zdecydować. Już, już podejmował decyzję, po czym rejterował. Nie, nie może ufać żadnemu nieznanemu. Jeśli Picot jej nie zna, z pewnością zechce wiedzieć, kim ona jest, jeśli zaś się okaże, że ją zna, Gian Maria znajdzie się w tarapatkach. Nie może nikomu zdradzić, po co wybiera się do Bagdadu. Będzie milczał, chociaż milczenie jest największym ciężarem dla duszy.

Yves Picot nie był w najlepszym humorze. Późno położył się spać, bolała go głowa i był senny. Nie miał najmniejszej ochoty na pogaduszki. Kiedy spotkał w holu młodego człowieka poznanego na lotnisku, był o krok od powiedzenia mu, żeby poszukał lepszego sposobu na dostanie się do Bagdadu, ale jego rozpaczliwe spojrzenie kazało mu zachować się uprzejmie, chociaż wcale nie miał na to ochoty.

— Niech pan wsiada do tego land-rovera i nie płącze mi się pod nogami — warknął.

Gian Maria bez słowa wsiadł do auta, którego kierowca czekał, aż zbiiorą się wszyscy pasażerowie.

Chwilę później przybyły trzy młode dziewczyny, każda mogła mieć najwyżej dwadzieścia dwa, dwadzieścia trzy lata.

— A, to ty jesteś ten z lotniska! — wykrzyknęła zielonooka blondynka, niska i szczupła.

— Ja? — zapytał zaskoczony Gian Maria.

— Zauważyłyśmy cię, kiedy czekaliśmy na bagaże. Cały czas się na nas gapiłeś, prawda, dziewczyny?

Jej koleżanki zachichotały, a Gian Maria poczuł, że się rumieni.

— Mam na imię Magda — przedstawiła się zielonooka blondynka. — A te dwie rozrabiary to Lola i Marisa.

Cmoknęły go w policzek zamiast uścisnąć ręką i usiadły obok, przez cały czas trajkocząc jak katarynki.

Gian Maria słuchał ich w milczeniu. Tylko od czasu do czasu, kiedy zwracały się bezpośrednio do niego, odpowiadał na ich pytania, starając się nie wyjawiać za dużo. Bez problemu przekroczyli granicę i przed dziesiątą dotarli do Bagdadu.

Yves Picot miał w ministerstwie umówione spotkanie z Ahmedem Huseinim. Cała ekspedycja ulokowała się w hotelu Palestyna, gdzie mieli zarezerwowane pokoje na tę noc. Gian Maria wraz z innymi pojechał do hotelu i stamtąd udało mu się namierzyć organizację, która naprawdę oczekiwała na jego przybycie.

— Czym się zajmujesz? — zapytała Magda.

— Ja? — wybąkał zmieszany.

— Pewnie, że ty! Czym zajmują się pozostali, dobrze wiem.

— Jesteście archeologami, prawda? — zapytał nieśmiało.

— Nie, jeszcze nie — odpowiedziała Marisa, niezgrabna szatynka.

— Jesteśmy na ostatnim roku studiów — uściśliła Lola. — W tym roku kończymy. Przyjechaliśmy tu, bo to wyjątkowa okazja, zbieramy punkty do życiorysu. Będziemy uczestniczyły w wyprawie pod kierownictwem Picota, z Fabiánem Tudelą i Martą Gómez... taka okazja może się nie powtórzyć.

— Mam nadzieję, że potem zaliczą, nam egzaminy — roześmiała się Magda. — Ta Gómez to piła, nigdy nic nie wiadomo. W ubiegłym roku u niej oblałam.

— A ja ledwo ledwo zaliczyłam, a przecież odpowiadałam śpiewająco — poskarżyła się Marisa. — Niestety, dla tej kobiety nigdy nie jesteś wystarczająco dobrze przygotowana.

— Może wreszcie sprawi sobie amanta i się trochę wyluzuje — podsumowała Lola, wybuchając śmiechem. — Tu będzie na kim zawiesić oko.

— Nie wydaje mi się, żeby pani Gómez brakowało towarzystwa mężczyzn, popatrz tylko, jak się na nią gapią nasi wykładowcy... — odpowiedziała Marisa.

— Że nie wspomnę o naszych kolegach z roku — zgodziła się z nią Magda. — Wszyscy za nią szaleją.

— Jesteś Włochem? — chciała wiedzieć Lola.

— Tak.

— Ale mówisz po hiszpańsku.

— Tak, ale niezbyt dobrze... — stwierdził Gian Maria skromnie, speszony pytaniami dziewczyn.

— A czym się zajmujesz? — zapytała Magda.

— Studiowałam języki martwe — odpowiedział Gian Maria, modląc się, by to przesłuchanie wreszcie się skończyło.

— A kto sobie dziś zawraca głowę językami martwymi! Toż to nudne jak flaki z olejem. Nigdy w życiu nie chciałabym się tym zajmować — wyrwało się Magdzie.

— A więc znasz hebrajski, aramejski... — dopytywała się Lola.

— Tak, ale również akadyjski i hurycki.

— A ile masz lat?

Zmieszał się na to pytanie zadane przez Marisę.

— Trzydzieści pięć — odparł w końcu.

— Poważnie? A my myślałyśmy, że jesteś w naszym wieku! — Marisa nie ukrywała zaskoczenia.

— Nie dawałyśmy ci więcej niż dwadzieścia pięć — potwierdziła Lola.

— A nie szukasz pracy? — zapytała rzeczowo Magda.

— Ja?

— No a kto? Mogę zapytać Yves'a, brakuje nam ludzi.

— A do czego mógłbym się wam przydać?

— Będziemy kopali w Safranie, niedaleko Tall al-Mukajjar, w starym Ur — wyjaśniła Magda. — Nie udało się znaleźć zbyt wielu osób, które chciałyby wziąć udział w wykopaliskach.

— W gruncie rzeczy to bardzo kontrowersyjna misja. Wielu archeologów i profesorów uważa, że nie powinniśmy teraz przyjeżdżać do Iraku, postrzegają to wręcz jako lekkomyślność — uzupełniła Lola.

— Jest w tym trochę racji, bo za parę miesięcy Bush zacznie bombardować Irak, zginą tysiące ludzi, a my szukamy sobie antycznych tabliczek, jakby to była najnormalniejsza rzecz na świecie — dodała Marisa.

— Przyjechałem, żeby pomóc pewnej organizacji dobroczynnej — usprawiedliwił się Gian Maria. — Pracują w najędźniejszych osiedlach, rozdzielają żywność i lekarstwa...

— Ale to nie znaczy, że jeśli zechcesz nam pomóc, nie możesz tego zrobić. Mogę powiedzieć o tobie Picotowi. Zresztą świetnie nam płacą za udział w tej wyprawie, więc jeśli kiedyś odczujesz brak gotówki... — zasugerowała Magda.

Kiedy wysiadali z samochodu przed hotelem Palestyna, Picot nadal był w wisielczym humorze. Marzył o mocnej kawie, zostawił więc Alberta Anglade'a, kierownika organizacyjnego, by załatwił formalności w recepcji.

— Profesorze! Profesorze! — krzyknęła Magda.

Yves pomyślał, że w ogóle nie ma ochoty słuchać paplania tej smarkuli, nawet jeśli zasłużyła się dla wyprawy, przekonując niejednego studenta uniwersytetu, by się do nich przyłączył.

— Słucham cię...

— Wie pan, że Gian Maria jest ekspertem od martwych języków? Może mógłby się nam do czegoś przydać?

— A kim jest Gian Maria? — burknął Picot.

— No ten chłopak, który przyleciał tym samym samolotem co my i zabrał się z nami do Bagdadu.

— Trzeba przyznać, że jest pani nad wyraz skuteczna, ciągle mi pani wynajduje coraz to lepszych ludzi — odpowiedział złośliwie Picot.

— W porządku, rozumiem, że nie chciał pan zabrać bośniackiego nauczyciela, ale ten to co innego, specjalista od martwych języków... zna nawet akadyjski — tłumaczyła niezrażona Magda.

— Dobrze, niech go pani zapyta, gdzie się zatrzyma w Bagdadzie. Jeśli będzie nam potrzebny, to go wezwiemy — zgodził się Picot.

— Ależ naturalnie, że będzie nam potrzebny! Wie pan, ile tabliczek trzeba będzie odczytać? — upierała się Marta.

— Szanowna pani, zapewniam, że to nie jest moja pierwsza misja archeologiczna. Już pani powiedziałem, niech pani zapyta tego młodzieńca, kiedy będzie miał czas i... albo lepiej niech mi go pani podeśle do baru, sam z nim porozmawiam.

— Fantastycznie!

Magda pobiegła do holu, bojąc się, że Gian Maria na nią nie zaczekał i już nigdy go nie zobaczy. Podobał jej się ten chłopak, nie wiedziała dlaczego, ale czuła do niego sympatię, prawdopodobnie przez ten jego wygląd porzuconego dziecka.

— Gian Maria! — krzyknęła.

Chłopak się zarumienił, stwierdziwszy, że wszyscy im się przyglądają.

— Szef chce z tobą porozmawiać, czeka w barze. Gdybym była na twoim miejscu, nawet bym się nie zastanawiała. Skuś się, dołącz do nas!

— Ależ Magdo, mam zobowiązania, przyjechałem, żeby pomagać ludziom w tym kraju — tłumaczył.

— Jestem pewna, że w Safranie nie wiedzie im się lepiej, więc w wolnych chwilach możesz zająć się niesieniem pomocy.

Gian Maria był zaskoczony witalnością dziewczyny. Miała szlachetne zamiary, ale działała jak trąba powietrzna, która wciąga wszystko, co napotka na swojej drodze.

Znalazł Picota sączącego kawę.

— Wielkie dzięki, że zabrali mnie państwo do Bagdadu – powiedział na powitanie.

— Nie ma za co. Magda wspomniała, że zajmuje się pan martwymi językami.

— Tak...

— Gdzie kończył pan studia?

— W Rzymie.

— Dlaczego?

— Dlaczego?

— No właśnie, dlaczego?

— No bo... bo mi się podobało.

— Interesuje się pan archeologią?

— Oczywiście...

— Chce pan się do nas przyłączyć? Nie mamy zbyt wielu specjalistów. Zna pan dobrze akadyjski?

— Tak.

— Zapraszamy.

— Nie, nie mogę. Już panu mówiłem, znalazłem się tu, by pracować dla pewnej organizacji pozarządowej.

— Pan decyduje. Jeśli zmieni pan zdanie, znajdzie nas pan w Safranie. To wioska między Tall al-Mukajjar a Basrą.

— Tak, Magda już mi o tym mówiła.

— Niełatwo jest poruszać się po Iraku, dostanie pan ode mnie telefon kontaktowy. To numer dyrektora Departamentu Wykopalisk Archeologicznych Ahmeda Huseiniego. Jeśli postanowi pan do nas dołączyć, on to panu ułatwi.

Gian Maria milczał, jakby stracił głos. W jego oczach widać było, jak wielkie wrażenie wywarło na nim to nazwisko. Kiedy zjawił się u organizatorów kongresu archeologicznego w Rzymie, prosząc o informacje na temat uczestniczki o nazwisku Tannenberg, dowiedział się, że nazwisko takie nosi jedna z referujących na symposium, niejaka Clara Tannenberg, która przybyła wraz z mężem, Ahmedem Huseinim.

— Co się stało? Zna pan tego Ahmeda? — zapytał zaciekawiony Picot.

— Nie, nie wiem, kto to taki. Widzi pan, jestem nieco zaskoczony pańską propozycją, ja... ja właściwie przyjechałem, żeby pomagać biednym Irakijczykom i...

— Decyzja należy tylko do pana. Proponuję panu pracę, dobrze płatną... Teraz zaś, jeśli pan pozwoli, muszę dopilnować przygotowań, a potem mam spotkanie z panem Huseinim.

— Zdecydowałeś się? — spytała Magda, stając tuż obok niego.

— Sam nie wiem...

— Czujesz, że to nie w porządku? Wyrzuty sumienia?

— Chyba tak.

— Nie myśl sobie, że ja ich nie mam. Marisa powiedziała prawdę, wszyscy mamy wyrzuty sumienia w takich okolicznościach. Ale nie istnieją sytuacje idealne.

— Ta jest jedną z najgorszych — mruknął przygnębiony Gian Maria.

— To prawda. Za parę miesięcy umrą tysiące Irakijczyków... a my tymczasem szukamy miast uwięzionych pod piaskiem, wiedząc, że pięć minut przed rozpoczęciem bombardowania będziemy mogli się stąd ewakuować. Jeśli będziemy zastanawiali się zbyt długo, będziemy musieli uciekać stąd biegiem, tak więc...

— Więc postanowiłaś się nie zastanawiać...

— Nie zamierzam nalegać, Gian Maria. Jeśli zechcesz, wiesz, gdzie możesz mnie znaleźć.

Ksiądz niepewnym krokiem skierował się do wyjścia. To, co mu się przytrafiło, zakrawało na cud. Jakby znalazł igłę w stogu siana. Picot zna męża Clary Tannenberg, on zaś wybrał się w tę podróż jedynie po to, by odnaleźć tę kobietę. Skoro jej mąż przebywa w Bagdadzie, to nietrudno mu będzie odnaleźć ją samą.

Zanim zdecyduje się na następny krok, musi uporządkować myśli.

Nie mógł po sobie pokazać, jak bardzo zależy mu na spotkaniu z Huseinim. Postanowił, że odczeka dwa czy trzy dni, zanim się z nim skontaktuje. Zresztą musi się zastanowić nad tym, co i w jaki sposób chce mu powiedzieć. Miał cel: dotrzeć do Clary Tannenberg. Problem w tym, jak przekonać jej męża, by go do niej doprowadził.

Na ulicy czekała taksówka. Pokazał kierowcy adres zapisany na kartce. Taksówkarz uśmiechnął się i zapytał go po angielsku, skąd pochodzi.

— Jestem Włochem — odparł Gian Maria, nie wiedząc, czy zbiera w ten sposób dobre czy złe punkty, gdyż Silvio Berlusconi popierał Busha.

Taksówkarz jednak nie wydawał się tym faktem poruszony.

— Źle się u nas dzieje, jest głód, dawniej tak nie było.

Gian Maria bez słowa skinął głową, pełen obaw, że powie coś, czym rozgniewa taksówkarza.

— Jedzie pan do biura fundacji Pomoc Dzieciom?

— Tak, przyjechałem tu, żeby w niej pracować.

— To dobrzy ludzie, troszczą się o nasze dzieciaki. Irackie dzieci przestały się już śmiać, płaczą z głodu. Wiele umiera z powodu braku lekarstw.

Gdy dotarli na miejsce, zapłacił taksówkarzowi i z czarną walizką w ręku otworzył drzwi, obok których tabliczki informowały po angielsku i po arabsku, że na pierwszym piętrze mieści się siedziba Pomocy Dzieciom, organizacji zajmującej się pomaganiem dzieciom żyjącym w krajach, w których toczy się wojna.

Jeden z jego znajomych miał kuzyna, który pracował w zarządzie tej organizacji w Rzymie i Gian Maria tak długo nalegał, aż ten skontaktował go z kimś w Bagdadzie. Organizacje pozarządowe zwykle przedkładają pomoc materialną nad ochotników entuzjastów, którzy czasem przysparzają więcej kłopotów niż korzyści, ale wstawiennictwo przyjaciela okazało się skuteczne.

Uzasadniał swój upór, by udać się do Iraku, wewnętrzną potrzebą zrobienia czegoś dla ofiar wojny, zapewniając, że nie może siedzieć na miejscu i przyglądać się z założonymi rękami tragedii rozgrywającej się w Iraku.

Przekonanie zwierzchników kosztowało go niemało wysiłku, ale ci widzieli, że podjął już decyzję, i byli pod takim wrażeniem jego determinacji, że w końcu zgodzili się, by jechał. Dyrektor Pomocy Dzieciom w Bagdadzie stawiał mu wszelkie możliwe przeszkody, zanim wreszcie zgodził się, by Gian Maria zjawił się w Iraku.

W korytarzu siedziała grupka kobiet z małymi dziećmi.

Jakaś młoda dziewczyna poprosiła je, by czekały cierpliwie, bo lekarz na pewno przyjmie ich dzieci. Gian Maria podszedł do niej, a ona zlustrowała go od stóp do głów.

— Przyjechałem z Rzymu, chciałbym się zobaczyć z panem Barettem, nazywam się Gian Maria...

— Ach, to pan! Mam na imię Alia. Czekaliśmy na pana. Zaraz powiadomię Luigiego.

Dziewczyna od razu przeszła z arabskiego na włoski. Ruszyła korytarzem, mijając kolejne drzwi. Otworzyła jedno z nich i po chwili wyszła, dając mu znak ręką.

— Proszę wejść.

Luigi Baretti mógł mieć około pięćdziesiątki. Łysiejący, nieco otyły, wydawał się jednak bardzo energiczny. Na pierwszy rzut oka widać było, że nie lubi marnować czasu.

— Nieźlego szumu pan narobił, żeby do nas przyjechać, a że w życiu najważniejsze jest, by mieć dobrych wujków, to się to panu udało.

Gian Maria poczuł wstyd. Nie spodziewał się takiego przyjęcia. Miał ochotę odpowiedzieć coś ostro, zacisnął jednak zęby.

— Proszę usiąść — raczej polecił niż poprosił Baretty. — Pewnie pomyśli pan, że jestem źle wychowany, nie mam jednak czasu na uprzejmości. Wie pan, ile dzieci umarło w tym tygodniu, bo zabrakło lekarstw? Nie wie pan. Więc panu powiem: u nas trójka, a wolę sobie nie wyobrażać, ile ich zmarło w całym Bagdadzie. Pan natomiast przeżywa kryzys duchowy i postanawia, że aby go przewyciężyć, musi pan przyjechać do Iraku. Potrzebne mi lekarstwa, żywność, lekarze, pielęgniarki i pieniądze, nie zaś ludzie, którzy chcąc oczyścić swoje sumienie, udają się na wycieczkę, by z bliska przyjrzeć się biedzie, a zaraz potem wracają do swojego wygodnego życia w Rzymie, czy gdziekolwiek pan mieszka.

— Skończył pan? — przerwał Gian Maria.

— Słucham?

— Czy już pan skończył, czy nadal zamierza mnie pan obrażać.

— Ależ ja pana nie obraziłem!

— Ach, nie? W takim razie jestem wzruszony tak ciepły przyjęciem. Dziękuję, nadzwyczajny z pana człowiek.

Luigi Baretty nie odpowiedział. Nie spodziewał się ataku ze strony kogoś, kto w pierwszej chwili zaczerwienił się ze wstydu.

— Proszę usiąść. Co chce pan u nas robić?

— Nie jestem ani lekarzem, ani pielęgniarem, nie mam pieniędzy, więc według pana do niczego się nie nadam.

— Jestem na granicy wytrzymałości — odpowiedział tonem usprawiedliwienia szef Pomocy Dzieciom.

— Widzę. Może doszedł pan do takiego momentu, że ktoś powinien pana zastąpić, bo nie wytrzymuje pan napięcia.

Oczy Luigiego Baretiego błysnęły gniewem. Ten chudzielec podważa jego zdolność zarządzania organizacją, podczas gdy to miejsce to całe jego życie. Od siedmiu lat przebywał w Bagdadzie, wcześniej zaś w wielu innych miejscach, nie mniej niebezpiecznych. Postanowił, że będzie ostrożniejszy, gdyż za tym smarkaczem stali ważni ludzie, którzy udzielili mu protekcji. Dowodem na to był fakt, że smarkacz siedzi tu przed nim i kto wie, czy nie ma zakusów na jego dyrektorski stołek.

Gian Maria sam był zaskoczony swoim zachowaniem. Nie wiedział, skąd w nim tyle siły, by w taki sposób rozmawiać z tym antypatycznym człowiekiem.

— Oczywiście, że może nam pan pomóc — odpowiedział Baretti. — Umie pan prowadzić samochód? Potrzebny nam ktoś z prawem jazdy, żeby móc przewozić dzieci do najbliższego szpitala albo do ich domów, albo podjechać na lotnisko po paczki przysyłane z Rzymu i innych miejsc. Jasne, że potrzebne nam są ręce do pracy.

— Postaram się być użyteczny — obiecał Gian Maria.

— Ma pan gdzie się zatrzymać?

— Nie, chciałem zapytać, czy nie zna pan jakiegoś niezbyt drogiego miejsca...

— Najlepiej, żeby pan wynajął pokój przy irackiej rodzinie. Nie będzie to pana wiele kosztować, a im przyda się dodatkowy grosz. Zapytamy Alię. Kiedy chce pan zacząć?

— Jutro?

— Nie widzę przeszkód. Niech się pan dzisiaj gdzieś zakwateruje, a potem Alia opowie panu, w jaki sposób pracujemy.

— Czy mogę zadzwonić do Rzymu, by potwierdzić, że dotarłem na miejsce i jestem bezpieczny?

— Nie mam nic przeciwko temu. Proszę, tu stoi telefon, ja tymczasem zamienię słowo z Alią.

Gian Maria zastanawiał się, po co podejmuje się czegoś, z czego nie będzie mógł się wywiązać. Przyjechał do Iraku, by znaleźć Clarę Tannenberg, i zamiast się tym zająć, zbacza z drogi do celu.

Co ja wyprawiam? Dlaczego nie panuję nad tym, co robię? Kto mną kieruje i sprawia, że zbaczam z obranej ścieżki?

Nie przebywa tu nawet doby, a już widzi, jak się zmienia. Zderzenie ze światem zewnętrznym wywołało w nim szok. Najbardziej niepokoił go fakt, że traci nad sobą kontrolę.

Alia powiedziała mu, że jeden z irackich lekarzy współpracujących z Pomocą Dzieciom ma wolny pokój i może mu go wynająć. Obiecała zawieźć Giana Marię do szpitala, gdzie ów lekarz pracuje, po drodze zabiorą pudełko antybiotyków i bandaży, które nadeszły dzisiaj rano z Holandii.

Gian Maria usiadł na siedzeniu dla pasażera w starym renault. Dziewczyna prowadziła pewnie, sprawnie przedzierając się przez korki.

Szpital znajdował się niedaleko, dojechali więc w ciągu kilki minut. Alia poprowadziła go korytarzami zdecydowanym krokiem osoby, która często bywa w tym miejscu.

Dotarli na piętro, na którym mieścił się oddział pediatryczny, tam zaś zapytali o doktora Faisala al-Bitara. Zmęczona pielęgniarka wskazała im drzwi do sali operacyjnej. Długo czekali, zanim lekarz wyszedł na korytarz. Jego spojrzenie wyrażało gniew.

— Jeszcze jedno dziecko... i nie mogłem nic zrobić — powiedział gorzko, nie kierując słów do nikogo w szczególności.

— Faisal! — zawołała za nim Alia.

— A, nie wiedziałem, że tu jesteś. Przysłali antybiotyki?

— Tak, proszę.

— Tylko tyle?

— Tylko tyle, przecież wiesz, co się dzieje na granicy.

Lekarz skierował zmartwione spojrzenie na Giana Marię, oczekując, że Alia mu go przedstawi.

— To Gian Maria, dzisiaj przyjechał z Rzymu, będzie nam pomagał.

— Jest pan lekarzem?

— Nie.

— A czym się pan zajmuje?

— Chciałbym na coś się przydać...

— Szuka mieszkania — ucięła Alia jego tłumaczenia. — Mówiłeś, że masz wolny pokój.

Faisal spojrzał na Giana Marię i rozciągając usta ni to w uśmiechu, ni w gorzkim grymasie, wyciągnął do niego rękę.

— Zaraz skończę dyżur i pokażę panu ten pokój. Nie jest zbyt duży, ale powinien się panu spodobać. Mieszkam z żoną i trójką dzieci. Mam dwie córki i syna. Dawniej mieszkała z nami matka, ale umarła przed paroma miesiącami.

— Na pewno mi się spodoba — zapewnił ksiądz.

— Moja żona jest nauczycielką — wyjaśniał Faisal. — Świetnie gotuje, jeśli lubi pan naszą kuchnię.

— Naturalnie.

— Jeśli zamierza pan pracować dla Pomocy Dzieciom, dobrze, żeby jak najszybciej zapoznał się pan z tym szpitalem. Alia wszystko panu pokaże.

Dziewczyna oprowadziła go po korytarzach i gabinetach, zatrzymując się co jakiś czas, by zamienić słowo z lekarzami i pielęgniarkami. Wszyscy wydawali się zrozpaczeni brakiem materiałów opatrunkowych i lekarstw.

Godzinę później zegnał się z Alią w drzwiach szpitala.

Samochód Faisala, stary model renault, lśnił czystością.

— Mieszkam w Al-Ganir, nieopodal jest kościół, gdyby miał pan ochotę się pomodlić. Przychodzi tam wielu Włochów.

— To kościół katolicki?

— Chaldejski, to mniej więcej to samo, prawda?

— Tak, naturalnie.

— Moja żona jest katoliczką.

Gian Maria uniósł ze zdziwieniem brwi.

— Owszem. W Iraku jest spora wspólnota chrześcijańska. Nie wiem, co się teraz z nimi stanie.

— Czy i pan jest chrześcijaninem?

— Tak, przynajmniej oficjalnie, ale nie praktykuję.

— Jak mam to rozumieć?

— Nie chodzę do kościoła, nie modlę się. Już dawno zszedłem z tej drogi. To było w dniu, w którym nic mogłem uratować życia któremuś z moich pacjentów. Niewinne dzieci umierały w męczarniach i nie rozumiały, dlaczego muszą cierpieć. I niech mi pan nie mówi, że taka jest wola boska i że on zsyła na nas próby i musimy się z tym pogodzić. Ten mały był chory na białaczkę, przez dwa lata walczył o życie z godną podziwu siłą. Miał siedem lat! Nikomu nic złego nie zrobił, Bóg nie musiał go poddawać żadnym próbom. Jeśli istnieje Bóg, jego okrucieństwo nie ma granic.

Gian Maria przeżegnał się odruchowo.

— Pan obwinia Boga o to, co przytrafia się ludziom – powiedział.

— Ja obwiniam Boga o to, co dzieje się z dziećmi, niewinnymi, bezbronnymi istotami. My, dorośli, jesteśmy za siebie odpowiedzialni, za to, jacy jesteśmy, za nasze czyny, ale dzieci? Co takiego zrobiły, że muszą umierać i cierpieć? I nie chcę słyszeć o grzechu pierworodnym, nie słucham takich bzdur. To mi dopiero Bóg, który karze miliony niewinnych ludzi za niepełnione winy!

— Stał się pan ateistą? — zapytał Gian Maria, wiedząc, jaką usłyszy odpowiedź.

— Jeśli istnieje Bóg, tu go nie ma — uciał Faisal.

Do samego domu Faisala nie zamienili ani słowa. Mieszkanie mieściło się na ostatnim piętrze trzykondygnacyjnego budynku. Kiedy lekarz otwierał drzwi, dobiegły ich odgłosy dziecięcej kłótni.

— Co tu się dzieje? — zapytał Faisal, zwracając się do dwóch dziewczynek, podobnych do siebie jak dwie krople wody. Bliźniaczki przepychały się pośrodku przestronnego salonu.

— To ona mi zabrała lalkę — skarżyła się jedna, pokazując palcem siostrę.

— Nieprawda — broniła się tamta. — To moja lalka, ona nie rozróżnia.

— Trzeba skończyć z tymi identycznymi zabawkami — zawyrokował Faisal, biorąc córeczki na ręce, by ucałować je na powitanie.

Siostry uściślały ojca, nie zwracając uwagi na to, że w salom stoi ktoś obcy.

— To moje bliźniaczki. Przedstawiam Ranię i Leilę. Mają pięć lat i diabelskie charakterki.

Do salonu weszła, trzymając dziecko w ramionach, brunetka z włosami spiętymi spinką, ubrana w żakiet.

— Nur, przedstawiam ci naszego gościa z Włoch. To Gian Maria. Gian Maria, Nur to moja żona, a to Hadi, najmłodszy w rodzinie. Ma półtora roku.

Nur postawiła dziecko na podłodze i podała rękę Gianowi Marii, uśmiechając się ciepło.

— Witamy w naszym domu. Faisal zadzwonił do mnie i uprzedził, że zamieszka pan z nami, jeśli pokój przypadnie panu do gustu.

— Na pewno mi się spodoba! — zapewnił żarliwie Gian Maria.

— Będzie tu mieszkał? — zapytała jedna z dziewczynek.

— Tak, Raniu, jeśli tylko zechce — odparła jej matka, śmiejąc się ze zdumionego Giana Marii, który zastanawiał się, w jaki sposób ta kobieta odróżnia dziewczynki, skoro wyglądają identycznie.

Faisal i Nur zaprowadzili gościa do pokoju. Okno wychodziło na ulicę, pokój nie był zbyt duży, ale wyglądał na wygodny. Stało tam łóżko z wezglowiem z jasnego drewna, stolik, duży okrągły stół, a przy nim dwa krzesła i dość obszerna szafa.

— Bardzo mi się podoba — rzekł Gian Maria. — Jeszcze mi państwo nie powiedzieli, ile to będzie kosztować.

— Proponujemy trzysta dolarów miesięcznie.

— Zgadza się.

— W to wliczone są posiłki... — dodała Nur.

— Ależ naprawdę uważam, że to dobra cena, bardzo dziękuję.

— Lubi pan dzieci? A może ma pan własne? — dopytywała się Nur.

— Nie, nie mam, ale uwielbiam dzieci. Mam trzech bratanków.

— Jest pan bardzo młody, jeszcze pan zdąży postarać się o dzieci — pocieszyła go Nur. — Jeśli chce się pan rozgościć...

Dwie minuty później Gian Maria wieszał skromną zawartość swojej walizki w szafie obok sterty pościeli i ręczników.

— Mamy tylko jedną łazienkę i małą toaletę z prysznicem. Jeśli zechce pan korzystać z prysznica, będzie pan bardziej niezależny, przy trójce dzieci czasem trudno dopchać się do łazienki. — wyjaśniła Nur.

— Dla mnie to doskonale rozwiązanie. Dziękuję pani. Chciałbym zapłacić.

— Tak od razu? Przecież dopiero przekroczył pan próg domu! Lepiej niech pan zaczeka, przekona się, czy będzie panu z nami dobrze.

— Nie, wolę zapłacić z góry za cały miesiąc.

— Skoro pan nalega...

Tymczasem Faisal zasiadł do pracy w niewielkim gabinecie, do którego wchodziło się z salonu. W gruncie rzeczy stanowił on część salonu, oddzieloną regałami z książkami od reszty pomieszczenia.

Mieszkanie było przestronne. Poza pokojem Giana Marii i salonem składało się z przytulnej kuchni i jeszcze dwóch pokoi.

— Zaraz dam panu komplet kluczy, żeby mógł pan swobodnie wchodzić i wychodzić, chociaż proszę wziąć pod uwagę, że w tym domu są dzieci i...

— Na Boga, nie musi mi pani tego mówić. Będę się starał jak najmniej przeszkadzać. Wiem, co znaczy życie w rodzinie.

— Trafi pan stąd do biura? — upewniał się Faisal.

— Poradzę sobie, muszę się nauczyć drogi.

— I jeszcze jedno, czy uczył się pan kiedykolwiek arabskiego?

— Trochę.

— Tym lepiej. W każdym razie, jeśli będzie pan potrzebował mojej pomocy w jakiegokolwiek sprawie, proszę mówić bez wahania.

— Dziękuję.

Faisal spuścił wzrok na swoje papiery. Gian Maria uznał, że jeśli chce wkomponować się bez zgrzytów w życie tej rodziny, nie może zaburzać ich codziennej rutyny, postanowił więc, że wyjdzie. Chciał oswoić się z dzielnicą i pomyśleć trochę w samotności. Musi się zastanowić nad paroma sprawami, a lepiej mu to pójdzie na spacerze niż w pokoju.

— Pójdę się przejść. Może trzeba coś kupić? — zwrócił się do Nur.

— Nie, dziękuję, wszystko mamy. Zje pan z nami kolację?

- Jeśli nie sprawię tym kłopotu.
- Ależ skąd, jemy wcześniej, o ósmej.
- Będę punktualnie.

Włóczył się bez celu po osiedlu. Czuł na sobie zaciekawione spojrzenia, nie zauważył jednak żadnej wrogości. Kobiety ubrane były jak w europejskich miastach, niejedna dziewczyna paradowała w dżinsach i koszulce z nadrukowaną nazwą zespołu rockowego.

Zatrzymał się przed straganem z warzywami i owocami. Postanowił kupić trochę świeżych jarzyn. Wybrał kilka papryk, pomidorów, cebul, trzy kabaczki i kilka pomarańczy. Sprzedawca zapewniał, że wszystko pochodzi z jego własnego ogrodu. Gian Maria zapytał go, czy wie, gdzie znajduje się kościół, ten zaś wskazał mu drogę. Musi minąć przecnicę i skrócić w prawo.

Gian Maria zawahał się, ale ostatecznie postanowił odszukać kościół. Torby z zakupami nie były bardzo ciężkie.

Kiedy wszedł, poczuł, że wypełnia go spokój. W kącie modliła się grupa kobiet i tylko ich szepty zakłócały ciszę. Poszukał zacisznego kąta i ukląkł. Z zamkniętymi oczami starał się znaleźć odpowiednie słowa, by skierować je do Boga, prosząc, by go prowadził jak dotychczas, od spotkania ekipy archeologów na lotnisku w Ammanie, zmuszając go do przewycięzania nieśmiałości i nawiązania kontaktu z profesorem Picotem... i jeszcze jego zgoda, by zabrał się z nimi do Bagdadu, przypadkowe wymienienie nazwiska Ahmeda Huseiniego, jego obecność w Bagdadzie... Dzięki temu wszystkiemu będzie mógł dotrzeć do Clary Tannenberg.

Nie, żadne zbiegi okoliczności nie wchodziły w grę. To Bóg wskazywał mu drogę, chroniąc go i pomagając wykonać zadanie.

Bóg zawsze był przy nim, Gian Maria musiał tylko być gotowy na jego obecność. Gdyby udało mu się przekonać Faisala... Pomodlił się za lekarza, dobrego człowieka, którego cierpienie bliźnich skłoniło do oddalenia się od Boga.

Kiedy wychodził z kościoła, było już po siódmej. Przyspieszył kroku, by nie spóźnić się na kolację. Nie chciał pierwszego dnia robić złego wrażenia na gospodarzach.

Kiedy dotarł do domu, usłyszał przez drzwi śmiechy bliźniaczek i płacz małego Hadiego.

— Dobry wieczór! — zawołał od wejścia. Faisal wciąż pracował w gabinecie, nie zważając na hałasujące dzieci.

- Ach, już pan wrócił! — odkrzyknął lekarz.
- Tak, przyniosłem coś, przyda się do kolacji...

- Dziękujemy, ale niepotrzebnie się pan kłopotał.
- To żaden kłopot. Pomarańcze wyglądają bardzo apetycznie.
- Nur jest w kuchni...
- Zaniosę jej zakupy.

Nur próbowała nakarmić małego Hadiego gęstą papką, dziecko opierało się, machając nogami i zaciskając usta za każdym razem, gdy matka zbliżała do jego buzi napełnioną łyżeczkę.

- Nie ma na niego sposobu, to dziecko to straszny niejadek — westchnęła Nur.
- Co mu pani daje?
- Przecierane jarzyny z jajkiem.
- W takim razie wcale mu się nie dziwię! Kiedy byłem dzieckiem, nienawidziłem

warzyw.

— Tu nie ma zbyt wielkiego wyboru. Nam się poszczęściło, bo stać nas na jedzenie. Aie jeśli mam być szczerą, to bardzo nam na rękę, że zechciał pan wynająć ten pokój. Już od paru miesięcy w szkole nie wypłacają nam pełnego wynagrodzenia, a w pracy u Faisala nie jest lepiej. Co pan przyniósł w tych torbach?

— Trochę warzyw: papryka, kabaczki, pomidory, cebula, pomarańcze. Nie było dużego wyboru.

- Ależ nie musiał pan niczego przynosić.
- Jeśli mam tu mieszkać, chciałbym pomóc w miarę możliwości.
- Dziękuję, żywność jest zawsze mile widziana, bo nie ma jej w nadmiarze.
- Zauważyłem. Zaszedłem też do kościoła.
- Jest pan wierzący?
- Tak, mogę pani powiedzieć, że przez całe życie swoje ani razu nie zgubiłem

ścieżki do Boga.

— Ma pan szczęście. My już dawno nie widzimy nawet jej śladów.

— Więc i pani straciła wiarę?

— Z trudem ją podtrzymuję. Szczerze mówiąc, zostało mi mało wiary. A przecież nie widzę nawet połowy tego, z czym na co dzień boryka się mój mąż w szpitalu. Kiedy mi opowiada, jak jakieś dziecko umarło na infekcję, którą można było powstrzymać antybiotykami, ja również zaczynam się zastanawiać, gdzie się podział Bóg.

Nur wstała, zrezygnowana. Postanowiła, że nie będzie zmuszała Hadiego do jedzenia. Trzymając dziecko na ręku, przeszła do salonu.

- Raniu, Leilo, przypilnujcie brata, ja tymczasem nakryję do stołu.

— Ja nie chcę — odpowiedziała jedna z bliźniaczek.

— Co to ma znaczyć? — zdenerwowała się Nur.

— Bo ja się teraz bawię — upierała się dziewczynka.

Nur nie wdawała się w dalsze dyskusje, tylko posadziła niemowlę na dywanie wśród zabawek i wróciła do kuchni.

Gian Maria poszedł za nią. Nie bardzo wiedział, co ze sobą zrobić.

— Mogę pani w czymś pomóc?

— Naturalnie. Może pan nakryć do stołu. W kredensie jest obrus, a tu stoją szklanki i talerze. Sztućce znajdzie pan w drugiej szufladzie.

Po kolacji mężczyźni pomogli Nur sprzątać ze stołu, gdy tymczasem ona układała wszystko w zmywarce. Potem Faisal położył dziewczynki do łóżka, Nur zaś usypiała Hadiego, który długo i głośno protestował.

Gian Maria życzył wszystkim dobrej nocy, świadom tego, że lepiej wycofać się do siebie, bo po całym dniu pracy małżeństwo dopiero teraz ma czas, by spokojnie porozmawiać.

Zresztą musi obmyślić jakiś sposób, żeby zbliżyć się do Ahmeda Huseiniego. Nie był pewny, czy dobrze zrobi, starając się poznać go przez francuskiego archeologa.

Był wyczerpany. Nie minęła nawet doba, odkąd wysiadł z samochodu w Bagdadzie, a wydawało mu się, że upłynęły miesiące. Zasnął, nawet się nie pomodliwszy.

20

Robert Brown rozmawiał w swoim gabinecie z Paulem Dukaisem.

— Co to ma znaczyć, że znalazłeś tylko jednego człowieka! — wykrzykiwał Brown.

— Już ci tłumaczyłem. Picot nie przyjął tego Bośniaka, chociaż zgodził się na Chorwata. Dlatego w tej chwili mamy tylko jednego człowieka na wykopaliskach. Jeśli przestaniesz się na mnie wydzierać, dokończę zdanie...

— Jeden człowiek przeciwko Alfredowi! Chyba upadłeś na głowę.

— Nie mam najmniejszego zamiaru stawać z jednym człowiekiem przeciwko Alfredowi, choć niewykluczone, że byłoby to najmądrzejsze rozwiązanie. Jeden człowiek nie zwraca niczyjej uwagi, jeśli jest ich za dużo, to lepiej od razu dać ogłoszenie do gazety.

— Ten Chorwat wie, co ma robić? — zapytał Brown, zniżając głos.

— Tak, dostał szczegółowe instrukcje. Ma nie spuszczać Clary, zapoznać się z rozkładem zajęć na wykopaliskach, a kiedy już wszystkiego się dowie, ma mi przedstawić plan działania. Jeśli pozwolisz mi dokończyć, to powiem ci jeszcze, że prawdopodobnie będę mógł wysłać dwóch ludzi udających biznesmenów.

— Ach tak? A czym uzasadnisz obecność poważnych biznesmenów w zapadłej dziurze na południu Iraku?

— Ależ Robercie, nie traktuj mnie jak głupca. Od wielu lat działam w tym biznesie, zapewniam cię, że potrafię odpowiednio ukryć moich ludzi. Oszczędzą ci jednak szczegółów.

— Wręcz przeciwnie, chętnie poznam szczegóły. Będą mnie o nie pytali i chcę wiedzieć, co mam mówić.

— Zgoda, wytłumaczę ci, weź jednak pod uwagę, że moim zdaniem wystarczy nam już sam Chorwat, pozostali niech interweniują tylko wtedy, gdy będzie to konieczne.

— Na pewno będzie to konieczne.

— Nie, nie będzie. Ten Chorwat to rasowy zabójca, ta robota sprawia mu przyjemność. Nie pamięta nawet, ilu ludzi zlikwidował. To wyśmienity strzelec, poza tym posługuje się nożem precyzyjnie jak chirurg.

— A w jaki sposób się stamtąd wydostanie? Może legalnie przekroczy granicę, i to ze śpiewem na ustach?

— Poradzi sobie, kto wie czy nie śpiewająco.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Dukais nie zdołał uspokoić Browna, wiedział, że ten nie spocznie, dopóki nie dostanie tych cholernych tabliczek.

Kiedy Robert Brown został sam, natychmiast zadzwonił do swojego Mentora, a ten zaprosił go na kolację. Będą mogli porozmawiać bez świadków.

* * *

Enrique Gómez czekał na swojego syna José. Parę minut temu zadzwonił do niego z Waszyngtonu George. Operacja wystartowała. Jego człowiek chodzi za Clarą Tannenberg jak cień, gotów na wszystko.

Próbował przekonać George'a, by nie robili krzywdy Alfredowi, wiedział, że jeśli ktoś tknie jego wnuczkę, zaboli go to bardziej niż śmiertelna rana. Biorąc to pod uwagę, należało wykorzystać wszystkie możliwości i starać się ocalić co tylko się da. Stawiał na Alfreda. Byli połączeni na zawsze, nawet jeśli George teraz się na niego gniewał. Wiedział jednak i to, że człowiek, który pilnuje Clary, będzie zmuszony szybko podejmować decyzje i nie zawaha się przed morderstwem. Otrzymał jasne rozkazy: przejąć *Glinianą Biblię*, jeśli będzie to konieczne, siłą, i natychmiast opuścić Irak, korzystając z kontaktu, jaki mu przekazano. Przeszłość Chorwata pozwalała przypuszczać, że dobrze wywiąże się z zadania.

Do gabinetu wszedł José i podszedł do ojca, by pocałować go na powitanie.

— Jak się masz, staruszk?

— Dobrze, synu, dobrze. A ty?

— Mam masę pracy, przez cały dzień nawet nie napiłem się kawy.

— Mam nadzieję, że wszystko w porządku?

— Tak, tylko nie mogliśmy sfinalizować fuzji tych dwóch spółek. Kiedy już się wydaje, że zawrzemy porozumienie, wyskakuje któryś z prawników z kolejnymi przeszkodami.

— Cóż, już się chyba do tego przyzwyczaiłeś. W końcu podpiszą.

— Mam nadzieję. Zadzwonili do nas w czerwcu, żeby poprosić o arbitraż przy tej transakcji, ale nie ma sposobu, by ich pogodzić.

— Nie załamuj się.

Rozmowę przerwał sygnał telefonu. Enrique odebrał natychmiast.

— Słucham?

— Enrique? To ja, Frank...

— Jak się masz? Przed chwilą rozmawiałem z George'em.

— Powiedział ci, że mamy swojego człowieka wśród członków wyprawy?

Chorwata...

— Tak, już o tym słyszałem.

— Dzwonił do mnie Alfred. Denerwuje się. Grozi nam.

— Czym?

— Nie sprecyzował. Stwierdził tylko, że jeśli pisana mu jest śmierć z bronią w rękę, to będzie zabijał do ostatniego tchnienia. Zna nas i wie, że będziemy usiłowali odebrać mu *Glinianą Biblię*.

— Najpierw musi ją znaleźć.

— Jest jednym z nas, nie musi się szczególnie wysilać, by sobie wyobrazić, jak zachowamy się w takiej sytuacji. Powiedział mi, że jest pewny, iż mamy swoich szpiegów, że ich wykryje i zamorduje. Uprzedził mnie również, że jeśli nie pozwolimy, by Clara zatrzymała tabliczki, upubliczni wszystkie szczegóły naszego biznesu. Twierdzi, że na wypadek swojej śmierci zadysponował, by dokonano sekcji zwłok, żeby stwierdzić, czy śmierć nastąpiła z powodów naturalnych czy została przyśpieszona, i że jeśli się do niego dobierzemy, zostanie opublikowane jego memorandum. Nigdy byśmy się nie domyślili u kogo je zdeponował. Wszystko w nim opisał.

— Oszalał!

— Nie sądzę, po prostu stara się zabezpieczyć.

— Czy coś zaproponował?

— Nic innego niż dotychczas. Mamy zostawić Clarze *Glinianą Biblię*, a on dokończy bieżącą operację.

— Nie ufa nam?

— Nie, nie ufa.

— Chce przywłaszczyć sobie coś, co do niego nie należy. George ma rację...

— Zdaje się, że jesteśmy o krok od samobójstwa.

— Co ty opowiadasz?

— Że mam nóż na gardle oraz wrażenie, że spadamy w przepaść.
— Nie histeryzuj.
— Zapewniam cię, że wiem, o czym mówię. Sam z nim porozmawiam.
— Czy to nie za duże ryzyko, dzwonić do niego z Hiszpanii?
— Tak podejrzewam, ale jeśli nie ma innej rady, trzeba chwycić za telefon. Muszę wyjechać, załatwić interesy za granicą, zobaczymy, co zdołałam poza krajem.

— Zadzwoń do mnie.

Gómez odłożył słuchawkę i zacisnął pięści. Syn przyglądał mu się w milczeniu. Martwiło go, że ojciec to się czymś martwi, to znów się wścieka, co zdradzała jego napięta twarz.

— Co się stało, tato?

— Nie twoja sprawa.

— Dziękuję za odpowiedź.

— Przepraszam, jeśli odezwałem się grubiańsko, ale wiesz, że nie lubię, jak pytasz mnie o moje sprawy. To dla ciebie żadna nowość.

— To prawda. Odkąd zacząłem cokolwiek rozumieć, wiem, że nie wolno mi zadawać ci pytań. Nie wiem, jakie to sprawy, ale obwarowałeś je jak twierdzę i nie dajesz nam nawet szansy zajrzeć za mury.

— Bardzo dobrze to ująłeś. Tak było i tak będzie zawsze. Teraz zostaw mnie, proszę, samego. Muszę zadzwonić w parę miejsc.

— Słyszałem, że wyjeżdżasz. Dokąd?

— Wskoczę na parę dni.

— Tyle wiem, pytam dokąd i po co.

Enrique podniósł się i uderzył pięścią w stół. Miał prawie dziewięćdziesiąt lat, ale zrobił to tak energicznie, że José cofnął się o krok.

— Pilnuj swoich interesów i nie traktuj mnie jak starego niedołęgi. Jeszcze nie jestem takim niedojdą. Idź i zostaw mnie w spokoju.

José obrócił się na pięcie i wyszedł. Z trudem rozpoznawał ojca w tym choleryku, który najwyraźniej gotów był go uderzyć.

Enrique usiadł. Otworzył szufladę i sięgnął po fiolkę, z której wyjął dwie pigułki. Wydawało mu się, że ciśnienie rozsadza mu głowę. Lekarze nieraz go ostrzegali, że musi unikać zdenerwowania. Lata temu przeszedł zawał, po którym nie został nawet ślad, wiedział jednak, że w tym wieku musi na siebie uważać.

Złorzeczył Alfredowi i sobie samemu za to, że wstawia się za nim u George'a. Dlaczego Alfred nie może odegrać swojej roli jak oni wszyscy? Dlaczego nie może trzymać się scenariusza.

Nacisnął guzik dzwonka umieszczony pod stołem. Po paru minutach usłyszał ciche pukanie do drzwi.

— Proszę!

Służąca w czerni i białym jak śnieg fartuszku, z włosami podtrzymywanymi opaską, stanęła w progu, czekając na polecenia.

— Proszę mi podać szklankę zimnej wody i powiedzieć pani Rocío, że chcę się z nią zobaczyć.

— Tak jest, proszę pana.

Rocío weszła do gabinetu męża ze szklanką wody w rękę i się przestraszyła. Znała ten widok: lodowate oczy i obcy człowiek, zupełnie niepodobny do jej męża.

— Enrique, co ci się stało? Źle się czujesz?

— Wejdz, musimy porozmawiać.

Kobieta postawiła szklankę na biurku i usiadła w fotelu po przeciwnej stronie blatu. Wiedziała, że dopóki mąż czegoś nie powie, nie powinna się odzywać. Wygładziła spódnice, jakby tym gestem mogła się zabezpieczyć przed burzą, która, jak wiedziała, lada chwila może rozpuścić się w gabinecie.

— W tej szufladzie — odezwał się Enrique, pokazując górną szufladę biurka — trzymam klucz od sejfu w banku. Nigdy nie chowałem tam żadnych ważnych dokumentów, tylko niektóre związane z moimi interesami. Kiedy umrę chcę, byś poszła do banku i je zniszczyła. Nigdy nie mogą dostać się w ręce José. Nie życzę sobie też, byś mu opowiadała o mojej przeszłości.

— Nigdy nie przyszłoby mi to do głowy!

Posłał żonie uważne spojrzenie, jakby chciał przeniknąć wzrokiem najgłębsze zakamarki jej duszy.

— Nie wiem, Rocío, nie wiem. Dotychczas tego nie zrobiłaś, ale cię pilnowałem. Gdy mnie zabraknie...

— Nigdy nie dałam ci powodu do braku zaufania...

— To prawda. Teraz jednak musisz przysiąc, że zrobisz to, co ci powiedziałem. Nie proszę o to ze względu na mnie, tylko dla dobra José. Pozwólmy, by nic się nie zmieniło. Weź pod uwagę, że gdyby te papiery ujrzały światło dzienne... moi przyjaciele dowiedzieliby się i wcześniej czy później coś musiałyby się stać.

— Co nam mogą zrobić? — zapytała przestraszona kobieta.

— Lepiej sobie tego nie wyobrażać. Mamy zasady, nasz wewnętrzny kodeks, i jesteśmy zobowiązani go przestrzegać.

— Dlaczego sam nie zniszczysz tych papierów? Dlaczego nie sprawisz, by przypadło to, o czym nie wolno nam mówić?

— Zrobisz tak, jak powiedziałem. Pewnych rzeczy nie mogę się teraz pozbyć, ale po mojej śmierci nie będą miały żadnego znaczenia.

— Och, obym mogła umrzeć przed tobą!

— Nie mam nic przeciwko temu, ale na wszelki wypadek przysięgnij mi na Biblię, że zrobisz to, o co proszę.

Enrique położył na biurku Biblię i skinął ponagląco na żonę, by położyła rękę na księdze.

Rocío była sparaliżowana ze strachu. Czuła, że w prośbie męża czai się groźba. Przysięgła, że wypełni polecenia Enrique. Chciał też, żeby zniszczyła wszystko, co leży w sejfie ukrytym za obrazem w gabinecie.

Kiedy Enrique został sam, zadzwonił do George'a.

— Tak?

— To ja.

— Jest coś nowego?

— Tylko tyle, że miałeś rację. Nie możemy okazywać słabości wobec Alfreda. On jest w stanie wszystko zniszczyć.

— Zniszczyć nas. To on pogwałcił nasze normy. Ja również jestem do niego przywiązany, ale niestety, albo on, albo my.

— My.

— Cieszę się, że tak myślisz.

* * *

Helikoptery czekały w bazie wojskowej, strzeżonej przez Gwardię Republikańską. Ahmed Huseini wyjaśniał komendantowi bazy, jak ważne jest dla Iraku, by misja archeologiczna w Safranie skończyła się powodzeniem. Komendant słuchał ze znudzoną

miną. Dostał precyzyjne instrukcje od Pułkownika, by przetransportować tych cudzoziemców i ich ekwipunek do Safranu. Nie miał ochoty słuchać wykładu z historii Mezopotamii.

Yves Picot i jego pomocnik, Albert Anglade, pomagali żołnierzom przy załadunku skrzyń do helikoptera. Asystowali im pozostali członkowie wyprawy, w tym kobiety, których obecność prowokowała śmiechy i szepty żołnierzy.

Picot stanowczo polecił dziewczętom, by ubierały się w spodnie, traperki i luźne koszule. Żadnych szortów, żadnych obcisłych podkoszulków. Mimo to żołnierze mieli nie lada frajdę, przyglądając się im.

Kiedy wszystko zostało załadowane, a członkowie zespołu wsiedli do dwóch helikopterów, Yves Picot poszukał wzrokiem Ahmeda.

— Przykro mi, że pan z nami nie jedzie — powiedział na pożegnanie.

— Powiedziałem panu wczoraj, że przyjadę do Safranu. Nie mogę zostać tam zbyt długo, ale postaram się wpadać co dwa tygodnie. W każdym razie będę w Bagdadzie i gdyby coś się działo, mogę się tym zająć z własnego biura.

— Doskonale, mam nadzieję, że nie będę musiał pana niepokoić.

— Życzę sukcesów! I może pan ufać Clarze! To bardzo zdolna archeolog, obdarzona szóstym zmysłem.

— Wezmę to pod uwagę.

— Powodzenia!

Uścisnęli sobie ręce i Yves wsiadł do helikoptera. Parę minut później znikali na niebie. Ahmed westchnął. Znow stracił kontrolę nad swoim życiem, jeszcze raz znalazł się w rękach Alfreda Tannenberg. Starzec nie robił mu złudzeń: albo weźmie udział w tym biznesie, albo go unicestwi. Co więcej, zagroził, że to tajne służby Saddama zajmą się „zdrajcą”. Ahmeda nie trzeba było przekonywać, że teść bez skrupułów może wtrącić go do jednego z tajnych więzień reżimu, z których nikomu nie udało się wyjść.

Alfred powiedział mu z pogardą, że jeśli operacja się uda, a Clara odnajdzie tabliczki, będzie mógł wyjechać, dokąd tylko zechce. On nie pomoże mu w ucieczce, ale nie będzie mu jej utrudniał i mnożył przeszkód.

Jedno było pewne — Tannenberg kazał go śledzić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Ahmed nie widział jego ludzi (a może to byli ludzie Pułkownika?), lecz oni bez wątplenia widzieli jego. Wrócił do ministerstwa, ponieważ tego dnia miał jeszcze dużo pracy. Nie będzie łatwo znaleźć to, o co poprosił go Alfred, ale jeśli ktoś mógł zdobyć pewne informacje, to właśnie on.

Na odgłos zbliżających się helikopterów Clara poczuła ukłucie wzruszenia. Picot będzie zdziwiony, kiedy dotrze na miejsce i dowie się, że już kopią.

Obok niej stanął Fabián z Martą. Oni również byli dumni z wykonanej pracy.

Kiedy Picot znalazł się na ziemi, podszedł do niego Fabián i mężczyźni uściskali się serdecznie.

— Tęskniłem za tobą — powiedział Picot.

— Ja też — odpowiedział ze śmiechem Fabián.

Marta z Clarą reanimowały Alberta Anglade'a, który wysiadł z helikoptera blady jak kreda. Na znak Clary podszedł do nich jeden z wieśniaków z butelką wody i plastikowym kubkiem.

— Pij, zaraz ci przejdzie.

— — Nie mogę — jęczał Albert.

— Pij, przejdzie ci, ja też miałam nudności w helikopterze — pocieszała go Marta.

— Obiecuję, że nigdy, ale to nigdy w życiu nie dam się wsadzić do tego wynalazku — narzekał Albert. — Wrócę do Iraku samochodem.

— Ja również — odpowiedziała rozbawiona Marta. — Tymczasem napij się wody. Clara ma rację, zaraz poczujesz się lepiej.

Fabián z dumą pokazywał Yves'owi obóz, gliniane chaty, w których urządzają laboratoria, pomieszczenia na komputery, domy, gdzie będą się spotykali, aby dyskutować o postępach w pracy, prysznice, latryny oraz namioty z impregnowanej tkaniny, w których zamieszka część ekspedycji, chyba że przez najbliższe miesiące będą woleli zainstalować się w pokojach, które byli gotowi wynająć im chłopcy.

Weszli do jednego z domów, gdzie Fabián urządził biuro. Jak stwierdził, będzie ono jednym ze stanowisk dowodzenia, czyli mostkiem kapitańskim. Albert, który z trudem dotrzymywał im kroku, opadł na krzesło, gdy tymczasem Clara z Martą przypominały mu co chwila, by pił wodę, drugą szklanekę podtykając Picotowi.

— Dobra robota — pochwalił Picot. — Wiedziałem, że kiedy przyjadę, wiele rzeczy będzie już gotowych.

— Właściwie zaczęliśmy nawet pracę na stanowisku — oznajmiła Marta. — Już od jakiegoś czasu odkopujemy jeden fragment, wypróbując umiejętności robotników. Ludzie są dobrze nastawieni, na pewno będą chcieli ciężko pracować.

— Zresztą, nie pytając cię o zgodę, mianowałem Martę szefową, a nawet wręczyłem jej bat — roześmiał się Fabián. — Wszystkich nas teraz ustawia i organizuje, co ja mówię,

zrobiła z nas oddział wojskowy! Robotnicy są jednak zadowoleni i nikt nie wbije szpadla w ziemię, nie zapytawszy jej o pozwolenie.

— Dobry zarządca zawsze się przyda — stwierdził Picot, udając powagę. — Martwię się tylko, że zostałem bez pracy.

Clara przysłuchiwała się temu przekomarzaniu z rozbawieniem, ale nie odważyła się wtrącić. Przez ostatnie dni miała dość czasu, by się przekonać, że Fabiána łączy z Martą przyjaźń, ale nic poza tym. Widać było, jak wielkim darzą się zaufaniem, rozumieli się bez słów, wystarczyło im jedno spojrzenie. Teraz podobną nic porozumienia wyczuła między Fabiánem a Picotem.

— Gdzie będziemy spali? — zainteresował się Albert, który jeszcze nie doszedł do siebie.

— W tamtym domu, po sąsiedzku, kazaliśmy naszykować pokoje dla ciebie, Yves'a i dla mnie. W domu są cztery pomieszczenia, zmieścimy się w trójkę. Jeśli wolisz, mamy tu gotową listę mieszkańców wioski, którzy oferują pokoje... — wyjaśnił Fabián.

— Nie, nie trzeba. Jeśli nie macie nic przeciwko temu, położę się na kilka minut. — Albert wypowiedział te słowa niemal błagalnym tonem.

— Odprowadzę pana, bo nie wie pan, gdzie to jest — zaproponowała Clara.

Kiedy wyszli, Yves zwrócił się do Fabiána:

— Macie jakieś problemy?

— Żadnych. Tu wszyscy darzą Clarę wręcz nabożnym szacunkiem. Ona sama niczemu się nie sprzeciwia i zgodziła się na wszystkie nasze sugestie, a raczej polecenia Marty. Wyraża swoje zdanie, ale jeśli nie udaje jej się nas przekonać, nie traci czasu na dyskusje. Tu wszyscy jej nadskakują, w razie konfliktu pójdą najpierw do niej i to ona będzie miała decydujący głos. Jest jednak na tyle inteligentna, że tego nie nadużywa, choć wie, że gra pierwsze skrzypce. Jest przy niej kobieta, Fatima, która opiekuje się nią jak matka, czasem nawet przychodzi z nią na stanowisko. I nigdy nie odstępuje jej czterech mężczyzn. Chodzą za nią jak cienie, dzień i noc.

— Tak, zauważyłem to w Bagdadzie; chodzi z ochroną, co nie jest takie znów dziwne w Iraku. Poza tym jej mąż to ważna figura — stwierdził Yves.

— Nie, nie tylko dlatego — przerwała mu Marta. — Któregoś dnia ochroniarze stracili ją z oczu. Nie mogliśmy spać, więc wstałyśmy przed świtem, by trochę pospacerować. Kiedy nas w końcu znaleźli, byli przerażeni, a jeden przypomniał, że jej dziadek obdarłby ich ze skóry, gdyby przytrafiło jej się coś złego, i wspomniał o jakichś Włochach. Clara popatrzyła na mnie i kazała im milczeć.

— To by znaczyło, że dziewczyna ma wrogów... — mruknął Picot.

— Nie puszczajcie wodzy fantazji — uciął Fabián. — Nie wiemy, o jakim wypadku mówili ci strażnicy.

— Byli jednak przerażeni, zapewniam cię — upierała się Marta. — Wyraźnie obawiali się, że coś się może stać, i wydaje mi się, że strasznie boją się dziadka Clary.

— Którego żaden śmiertelnik nie ma szansy poznać osobiście — dodał Yves.

— I o którym wnuczka w ogóle nie mówi. Chcieliśmy ją podpytać, kiedy i w jakich okolicznościach jej dziadek przebywał w Charanie, jednak nie puściła pary z ust, robi uniki, kiedy się ją zapyta wprost. Nieważne, pokażemy ci resztę obozu — zakończył rozmowę Fabián.

Yves pogratulował im i sobie tego, że udało mu się przekonać Fabiána, by towarzyszył mu w tej wyprawie. Docenił również pracę Marty. Ta kobieta miała niezwykle zdolności organizacyjne.

— Nadałam nazwy chatom, w których będziemy pracowali i gromadzili materiały — relacjonowała Marta. — Przed chwilą rozmawialiśmy w „Kwaterze głównej”, a tabliczki będziemy składali, co logiczne, w „Domu tabliczek”, sprzęt komputerowy umieścimy tutaj. — Wskazała kolejną glinianą budowlę. – Nazwiemy ją zwyczajnie, salą komputerową. Dalej znajdować się będą magazyny, każdy będzie opatrzony numerem.

Wójt przygotował przyjęcie powitalne — zasiedli do obiadu z nim i z kilkoma ważniejszymi członkami wspólnoty. Yves nie był zadowolony z człowieka, którego wybrano na majstra nadzorującego pracę robotników. Nie wiedział właściwie dlaczego, gdyż człowiek ten wydawał się dyskretny i grzeczny, ale było w nim coś, co kazało Picotowi sądzić, że nie jest zwyczajnym robotnikiem, jak pozostali.

Ajed Sahadi był wysoki i muskularny, o skórze nieco jaśniejszej niż u reszty miejscowych. Miał w sobie coś z wojownika, widać było, że wydawanie rozkazów przychodzi mu z łatwością.

Mówił po angielsku, co bardzo zaskoczyło Yves'a.

— Pracowałem w Bagdadzie, tam się nauczyłem — tak brzmiało jego wyjaśnienie. Można było odnieść wrażenie, że Clara go zna i traktuje nieco oficjalnie, on jednak zachowywał wobec niej pełen szacunku dystans.

Ludzie słuchali jego poleceń bez sprzeciwu, nawet wójt wydawał się przy nim kulić.

— Skąd wziął się Ajed? — chciał wiedzieć Picot.

— Dotarł tu parę dni po nas. Clara zapewnia, że nieraz pracował z nią i jej mężem. Moim zdaniem, wygląda na wojskowego — odparł Fabián.

— Owszem, mnie też się tak wydaje, to może być szpieg Saddama — stwierdził Yves.

— Cóż, trzeba się pogodzić z tym, że będą nas pilnowali i że będziemy znajdowali szpiegów nawet w zupie. To dyktatura w przeddzień wybuchu wojny, nie ma się czemu dziwić — powiedziała Marta, wzruszając ramionami.

— Mnie się to nie podoba — mruknął Yves.

— Zobaczymy, jak będzie się spisywał — podsumowała Marta.

Po południu, kiedy wszyscy zostali zakwaterowani, a sprzęt znalazł się na swoim miejscu, Yves zwołał zebranie, by omówić plan pracy.

O czwartej rano pobudka. Między czwartą a za kwadrans piątą będzie czas na prysznic i śniadanie, by jeszcze przed piątą stanąć na stanowisku. O dziesiątej krótka, piętnastominutowa przerwa, a potem praca do drugiej. Między drugą a czwartą obiad i odpoczynek. O czwartej powrót do pracy i dopiero, kiedy zacznie robić się ciemno, będzie można pomyśleć o zakończeniu dnia pracy.

Nikt się nie poskarżył, ani ludzie z zespołu Yves'a, ani mieszkańcy wioski. Ci mieli pobierać wynagrodzenie za pracę w dolarach, dziesięciokrotnie wyższe niż ich miesięczne dochody, co było wystarczającym argumentem, by pracować jak długo będzie trzeba.

Po zebraniu podszedł do Picota jeden ze studentów. Nosił okulary i wyglądał jakby nigdy w życiu nie stłukł nawet talerza.

— Mam problem z podłączeniem komputerów. Tu jest bardzo słabe napięcie w sieci, a nasz sprzęt stanowi duże obciążenie.

— Porozmawiaj z Sahadim, on na pewno będzie wiedział jak rozwiązać ten problem — odpowiedział Picot.

— Nie przepadasz za tym chłopakiem. — Uwaga Marty zaskoczyła Picota, który sądził, że udaje mu się ukryć niechęć do młodego informatyka.

— Dlaczego tak twierdzisz?

— Widać z daleka. Szczerze mówiąc, nikt nie lubi Ante Plaskica. Nie wiem, po co go zabrałeś.

— Ktoś mi go polecił... Już wiem, znajomy z Berlina.

— Podejrzewam, że wszyscy mamy uprzedzenia i siłą rzeczy natychmiast kojarzymy Chorwatów i Serbów z mordowaniem Bośniaków, a Ante pochodzi z Chorwacji.

— Ten mój znajomy opowiedział mi o nim trochę. Ponoć jego wioskę zniszczyli Bośniacy w odwecie za czyjąś śmierć. Nie wiem, w tamtej przeklętej wojnie najbardziej poszkodowani byli Bośniacy, być może masz rację, mam uprzedzenia.

— Czasem stosujemy bardzo proste schematy myślowe: to jest dobre, tamto jest złe, z tej strony stoją ci dobrzy, a z tamtej źli, nie tracimy czasu na odcienie, różnicowanie. Być może Ante rzeczywiście jest ofiarą wojny.

— Albo katem.

— Był wtedy bardzo młody — broniła go Marta, która uwielbiała wcielać się w rolę adwokata diabła.

— Nie taki znów młody. Ma koło trzydziestki, prawda?

— Zdaje się, że dwadzieścia siedem.

— W wojnie na Bałkanach mordowały czternasto-, piętnastolatki.

— Wyślij go do domu.

— Nie, masz rację, to nie byłoby sprawiedliwe.

— Ja wcale tak nie powiedziałam.

— Dajmy sobie trochę czasu. Jeśli nadal będę odczuwał dyskomfort za każdym razem, gdy go zobaczę, posłucham cię i go odeślę.

Fabián podszedł do nich w towarzystwie Alberta Anglade'a, pomocnika Picota.

— Widzę, że macie smętne miny, coś się stało?

— Rozmawiamy o tym Ante.

— Yves'owi nie podoba się ten chłopak i teraz żałuje, że zgodził się go zabrać, mam rację? — wyjaśniła Marta.

— Jest w nim coś, co budzi niepokój — przyznał Albert. — Mnie on się też nie podoba.

— Bo to Chorwat, dlatego — mruknęła Marta.

— Dzieciaki, to są rasistowskie uprzedzenia.

Komentarz Fabiána zabolął ich jak potężny policzek. Nie znosili rasizmu w jakiegokolwiek postaci i samo podejrzenie o chociażby cień tego uczucia było dla nich obraźliwe.

— To był cios poniżej pasa — stwierdził Yves.

— Bo nie można obojętnie słuchać takiego gadania — obruszył się Fabián. — Nie można osądzać kogoś na podstawie tego, co robili jego rodacy.

— Masz rację, rzeczywiście niewiele o nim wiemy. — Albert najwyraźniej chciał zakończyć tę rozmowę.

— Pomówmy o czymś innym. Gdzie Clara? — poparła go Marta.

— Została z Ajedem Sahadim. Rozmawiają z robotnikami. Zdaje się, że chciała podejść z którymś z nas na stanowisko, żeby rzucić okiem — odpowiedział Fabián.

Ajed Sahadi był tym, na kogo wyglądał, czyli żołnierzem, członkiem służb wywiadowczych Iraku i protegowanym Pułkownika.

Alfred Tannenberg poprosił swojego przyjaciela, by posłał Ajeda do Safranu, ponieważ znał go z udziału w operacjach związanych z interesami Pułkownika.

Komendant Sahadi cieszył się złą sławą sadysty. Jeśli któryś z wrogów Saddama dostał się w jego ręce, modlił się o jak najszybszą śmierć, bo krążyły mrozące krew w żyłach opowieści o powolnym umieraniu torturowanych przez Sahadiego ofiar.

Jego praca w Safranie, poza pilnowaniem Clary, miała polegać na wykryciu ludzi, którzy mogliby zagrażać Alfredowi Tannenbergowi. Alfred był pewny, że wśród uczestników ekspedycji znajdują się wysłannicy tych, którzy zechcą przejąć *Glinianą Biblię*.

Sahadi umieścił kilku swoich ludzi wśród robotników. Byli to żołnierze trudniący się szpiegostwem, którzy zakończą tę przygodę z grubym plikiem dolarów w kieszeni.

Clara знаła Ajeda, ponieważ spotykała go w Żółtym Domu w towarzystwie Pułkownika. Dziadek postawił sprawę jasno: Ajed stanie się jej cieniem, ona zaś musi go zatrudnić na wykopaliskach, mianować majstrem, nadzorcą pilnującym robotników. Dziadek nalegał także, by do zespołu wszedł Hajdar Annasir, by uzgadniać wszystkie sprawy z nim oraz z Ahmedem w Bagdadzie.

Wiedząc, że sprzeciwianie się dziadkowi nie ma sensu, Clara godziła się na wszystko, chociaż nie była zadowolona z takiego rozwiązania.

Rano budziło wszystkich bicie w dzwon.

W jednej z glinianych chat, którą zaadaptowano na kuchnię, irackie kobiety z wioski wydawały kawę i świeży chleb z masłem i marmoladą, a do tego owoce.

Yves Picot nie znosił zrywać się o świcie, jednak od trzeciej rano był już na nogach. Nie mógł spać, w przeciwieństwie do swoich towarzyszy z kwatery, Fabiána i Alberta, którzy, ku jego rozpaczy, głośno chrapiąc, spali głęboko aż do pobudki.

Marta również najwyraźniej wstała lewą nogą, bo jadła w milczeniu, odpowiadając monosylabami, kiedy się do niej odzywał.

Tylko Clara wydawała się zadowolona. Picot przyglądał jej się spod oka, zaskoczony, jak rozmowna jest o świcie.

Przystąpili do pracy przed piątą rano. Każdy wiedział co niego należy.

Ante Plaskic został w obozie, w glinianej chacie, gdzie miał nie tylko sprzęt informatyczny, ale nawet oddzielny pokój z połowym łóżkiem. Poszczęściło mu się, że został zakwaterowany oddzielnie. Zauważył, że ludzie patrzą na niego z niechęcią, postanowił jednak nie zwracać na to uwagi. Był tu po, by przejąć odkopane tabliczki i zabić każdego, kto stanie mu na drodze. Zresztą już dawno przestał odczuwać potrzebę akceptacji. Jeśli o niego chodzi, zabiłby wszystkich członków misji.

Zdziwił się na widok Ajeda Sahadiego, stojącego w progu jego chaty. Wyobrażał sobie, że o tej porze powinien wraz z archeologami nadzorować pracujących robotników.

— Potrzebujesz czegoś? Wszystko sprawnie działa? — zapytał Ajed.

— Na razie wszystko idzie dobrze, mam nadzieję, że ten złom będzie nam służył. Powinien, to sprzęt najwyższej klasy.

— To dobrze, gdyby pojawiły się jakieś problemy, jak wczoraj, po prostu przyjdź do mnie. A jeśli mnie nie będzie, zapytaj o Hajdara Annasira, on może zadzwonić do Bagdadu, żeby przysłali nam co trzeba.

— Tak zrobię. W każdym razie za chwilę wychodzę, żeby zobaczyć, jak pracują archeolodzy.

Ajed Sahadi wyszedł z chaty, zastanawiając się nad informatykiem. Było coś nieszczerego w tej dziecinnej twarzy, w okularach intelektualisty. Nie podobał mu się ten Chorwat, który z całą pewnością mordował jego muzułmańskich braci, co nawet dla człowieka niezbyt sumiennie wypełniającego nakazy Mahometa było ciosem. Bośniaków za to postrzegał jako swoich.

Ponad kraterem odsłaniającym fragmenty budowli kręcił się rój ludzi. Otwór w ziemi odsłaniał tylko jedno pomieszczenie, w którym w przeszłości ktoś ułożył na glinianych półkach setki tabliczek. Postanowił, że nie będzie gapił się z założonymi rękami, lecz przyłączy się do pracy. Podeszedł do Clary.

— Mogę wam w czymś pomóc? — zapytał.

Clara nie musiała się długo zastanawiać, poprosiła go, żeby pomógł odgarniać piasek z wyznaczonego terenu.

21

Decyzja rodziła się w bólach. Zwykle bez pudła potrafił dobrać odpowiednie osoby, tym razem jednak instynkt podpowiadał mu, że prośba niejakiego pana Burtona kryje więcej zagrożeń niż zwykle zadania.

Dlatego cały tydzień zabrało Martinowi szukanie człowieka, którego można by wysłać do Iraku, zdolnego zabić wszystkich Tannenbergów spotkanych po drodze. Chodziło o to, by dowiedzieć się, czy w jakimkolwiek miejscu w kraju Saddama mieszka staruch o nazwisku Tannenberg, następnie zaś należało go zabić i to samo zrobić z jego rodziną. Zleceniodawca był przerażająco dosłowny: nie ma prawa ocaleć żaden Tannenberg, nawet gdyby stał już nad grobem.

Martin zastanawiał się, czy nie wysłać więcej niż jednego człowieka, zdecydował jednak, że tego nie zrobi. Jeśli będą mu potrzebne posiłki, zawsze zdąży je zorganizować. Wiedział, że zawodowi mordercy nie lubią towarzystwa podczas akcji. Każdy z nich ma swoje sposoby i nawyki, są to bardzo szczególni ludzie.

Tom Martin zastanawiał się też przez parę dni, czy powinien powiedzieć o tym zleceniu Paulowi Dukaisowi. W końcu to on poprosił go o pomoc w znalezieniu odpowiednich ludzi na tę wyprawę archeologiczną, w której uczestniczyła niejaka Clara Tannenberg. Mieli za zadanie odebrać jej jakieś tabliczki, u ile się takowe pojawiają, a jeśli byłoby to konieczne, zabić ją. Ostatecznie postanowił, że nic Paulowi nie powie. Był przekonany, że Chorwat polecony Dukaisowi wywiąże się z zadania, jego człowiek zaś ma skupić się na swojej robocie. On zabierał się do rzeczy, mając przewagę w jednej kwestii: wiedział, że Tannenbergowie zrazili do siebie wielu ludzi, którzy teraz chcą się zemścić i gotowi są dużo za to zapłacić.

Do gabinetu Toma Martina wszedł Lion Doyle i czekał przy drzwiach, aż ten zaprosi go, by usiadł.

- Usiądź, Lion. Co słychać?
- Wszystko dobrze, właśnie wracam z urlopu.
- A więc zdążyłeś wypocząć przed kolejnym zadaniem, jakie zamierzam ci zlecić.

Przez godzinę omawiali szczegóły. Martin pokazał Doyle'owi zdjęcie niejakiego pana Burtona, którego kazał sfotografować, zanim wyszedł z biurowca Global Group.

— Niczego na jego temat nie znalazłem. Z pewnością nie jest Brytyjczykiem, chociaż mówi nienaganną angielszczyzną, jednak przyjaciele ze Scotland Yardu nie mają w swoich kartotekach nikogo takiego. W Interpolu również niczego nie znaleźli.

— Nie zdziwiłbym się, gdyby był tylko przyzwoitym obywatelem, który w terminie płaci podatki i nie figuruje w policyjnych kartotekach — stwierdził Doyle.

— Owszem, ale prawi obywatele nie zlecają morderstw. Poza tym raz mówił za siebie, raz używał liczby mnogiej, nigdy nie precyzując, kogo ma na myśli, mówiąc „my”. Wnioskuje z tego, że za tym zleceniem stoi więcej osób.

— Z tego, co widzę, Tannenbergowie nie są zbyt lubiani. Mają wrogów, prowadzą niebezpieczne interesy. Musieli zagrać nie fair, kogoś wykiwali.

— Tak, na to wygląda, odnoszę jednak wrażenie, że coś mi umyka w tej układance.

— Ile, Martin?

— Co ile?

— Ile mi zapłacisz za tę robotę? Nie wiesz, czy mam zabić jednego Tannenberga, czy czterech, czy poza tą kobietą i tym niewidzialnym starcem jest jeszcze jakiś Tannenberg, w tym dzieci. Nie lubię mordować dzieci.

— Milion euro. Tyle dostaniesz. Milion euro bez podatku.

— Połowa jako zaliczka.

— Nie wiem, czy to będzie możliwe, klient jeszcze nie wpłacił całej kwoty.

— Powiedz mi, że domagam się pół miliona. Znasz formę płatności. Jeśli za trzy dni będę miał pieniądze, wyjeżdżam do Iraku.

— Potrzebujesz przykrywki.

— To prawda. Co możesz mi zaproponować?

— Co byś chciał?

— Jeśli nie masz nic przeciwko temu, sam się o nią zatroszczę. Gdybym potrzebował twojej pomocy, zgłoszę się. Mam trzy dni na zastanowienie, zadzwonię do ciebie.

Lion Doyle skierował się na parking, na którym zostawił samochód, duże, rodzinne auto. Krążył po ulicach Londynu, żeby upewnić się, czy ktoś za nim nie jedzie, potem ruszył autostradą do Walii, dokąd wracał po nieobecności trwającej chyba całą wieczność.

Swego czasu kupił starą farmę, zainwestował w nią trochę pieniędzy i ożenił się z kobietą, która pracowała jako wykładowca na wydziale filologii uniwersytetu w Cardiff. Była to wspaniała kobieta, która dożyła czterdziestu pięciu lat w stanie panieńskim, gdyż poświęciła się wyłącznie wspinaczce po stopniach kariery uniwersyteckiej, aż doczekała się tytułu profesora.

Marian była jasną szatynką o zielonych oczach, wysoką, o zaokrąglonych kształtach. Zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia. On był ciemnowłosy i ciemnooki, miał śniadą cerę i wzbudzał zaufanie.

Lion opowiedział jej, że służył w wojsku, zapragnął jednak stabilizacji, więc przeszedł do cywila i zaczął pracować jako doradca do spraw bezpieczeństwa. Przez lata służby zarobił trochę grosza, wystarczająco dużo, by kupić dom na wsi, odnowić go i uwić w nim gniazdko.

Było już za późno, żeby myśleć o powiększeniu rodziny, zgadzali się jednak co do tego, że wystarcza im, że mają siebie i mogą dzielić dobre chwile aż do nadejścia starości.

Gdyby Marian dowiedziała się, że mąż założył w tajemnicy konto bankowe na wyspie Man i że zgromadził wystarczająco dużo pieniędzy, by nie musieć pracować przez resztę swojego życia i lekką ręką zaspokoić parę kaprysów, nigdy by mu nie uwierzyła. Była przekonana, że nie mają przed sobą żadnych tajemnic, a co do wydatków, to chociaż nie muszą liczyć się z każdym groszem, daleko im do rozrzutności.

Za cały luksus wystarczało Marian, że trzy razy w tygodniu przychodziła do nich kobieta, która pomagała jej przy sprzątaniu domu, zaś ogrodnik od czasu do czasu porządkował przydomowy ogród, choć tym akurat wolał zajmować się Lion, kiedy tylko był w domu.

Często wyjeżdżał i nie było go przez całe tygodnie, na tym jednak polegała jego praca. Marian się na to godziła i nie robiła mu wymówek. Wprawdzie czasem zapominał do niej zadzwonić, a kiedy ona wybierała numer jego komórki, włączała się poczta głosowa. Lion zawsze jednak wracał czuły i serdeczny, nie zapominając o prezencie dla niej. Marian nigdy nie miała najmniejszych wątpliwości, że Lion wróci.

* * *

O wpół do ósmej rano Hans Hausser zwykle przebywał w swoim gabinecie na uczelni. Lubił te chwile spokoju, zanim sale wykładowe wypełnią się uczniami. Miał wtedy czas, by

sprawdzić pocztę na koncie e-mailowym, jakie otworzył specjalnie po to, by móc porozumiewać się z Tomem Martinem. Adres był na nazwisko Burton, na domenie zarejestrowanej w Hongkongu.

Tom Martin wysłał mu lakoniczną wiadomość: „Proszę o kontakt”. Hausser zadzwonił do swojej córki, Berty, by jej powiedzieć, żeby nie czekali na niego ani z obiadem, ani z kolacją, ponieważ musi wyjechać z Bonn i wróci dopiero następnego dnia.

Berta się zaniepokoiła. Ostatnio ojciec robił wiele niezrozumiałych rzeczy.

Profesor opuścił kampus i wsiadł do autobusu jadącego do centrum. Tam przesiadł się na autobus, który jechał w kierunku dworca kolejowego, żeby kupić bilet do Berlina.

Wczesnym popołudniem był już u celu. Kiedy wyszedł z dworca, poszukał przystanku, z którego odchodzą autobusy do centrum.

W sklepie z telefonami komórkowymi kupił komórkę na kartę *pre-paid*. Sklep pękał w szwach, ekspedientka uwijała się jak w ukropie, obsługiwała klientów, nawet na nich nie patrząc. Kiedy Hausser miał już telefon w kieszeni, zaczął spacerować po jednej z głównych arterii miasta. Zatrzymał się na rogu i wybrał prywatny numer Toma Martina.

— Ach, to pan! Cieszę się, że pan dzwoni. Chciałem tylko powiedzieć, że znalazłem odpowiednią osobę, ale domaga się zaliczki — powitał go Martin.

— Jak wysokiej?

— Połowa.

— Rozumiem. A jeśli jej nie wypłacę?

— Nie podejmie się roboty. To trudna praca, bardzo delikatna sprawa, można powiedzieć, rękodzieło. Zresztą sam pan wie, że zlecił nam trudne zadanie.

— Na kiedy potrzebuje pieniędzy?

— Najpóźniej za trzy dni.

— Zgoda.

Hausser rozłączył się i spojrzął na wyświetlacz telefonu. Rozmawiali dokładnie przez półtorej minuty. Jeszcze raz poszedł do sklepu z komórkami i kupił kolejny aparat.

Teraz następny krok — porozumieć się z przyjaciółmi. Rozejrzał się za kafejką internetową i zapłacił z góry za godzinę. Nie zabierze mu to aż tyle czasu, ale nie lubił niczego robić w pośpiechu, zerkając na zegarek.

Zaczął od e-maila do Carla, potem napisał do Mercedes, a na końcu do Brunona. Całej trójce podał numer nowego telefonu komórkowego, zaszyfrowany uzgodnionym kodem. Zawiadomił ich też, że przez najbliższe pół godziny będzie siedział przy komputerze, gdyby zechcieli skontaktować się z nim drogą elektroniczną. Oczywiście mieli pisać na adres pana

Burtona. Jeśli się nie odezwą, on zadzwoni do nich na numery komórek, które podali mu ostatnim razem.

Nie spodziewał się, że odpowiedzą od razu, ale na wszelki wypadek postanowił zaczekać. Okazało się, że Bruno natychmiast wysłał do niego e-mail.

Kiedy wyszedł z kafejki, zatrzymał taksówkę. Zamówił kurs na lotnisko. Z budki telefonicznej zadzwonił do Mercedes na komórkę.

Cała rozmowa nie trwała dłużej niż minutę. Kiedy się rozłączyli, Mercedes powiedziała swojej sekretarce, że może już iść do domu. Ona sama również wyszła z biura i skierowała kroki na Ramblas, by tam poszukać jakiejś kafejki internetowej. Kiedy ją znalazła, usiadła przy komputerze stojącym w najbardziej zasłoniętym kącie i zalogowała się do skrzynki, z której korzystała tylko po to, by kontaktować się z przyjaciółmi. Poza wiadomością zapowiedzianą przez Hansa znalazła też kilka zdań od Brunona, który pisał, że jest o wszystkim poinformowany, podobnie jak Carlo, do którego profesor właśnie dzwonił.

Po wyjściu z kafejki Mercedes poszukała budki telefonicznej i zarezerwowała bilet na lot do Paryża na następny dzień, wcześniej rano.

W tej samej chwili, w Rzymie, Carlo Cipriani rezerwował swój bilet —jeszcze tego wieczoru wyleci do stolicy Francji. Bruno Müller i Mercedes dotrą tam następnego dnia.

Hans Hausser miał słabość do Paryża. Taksówkarz starał się zabawiać go pogawędką, na co odpowiadał monosylabami, by nie wyjść na gbura, bardziej jednak bawiły go widoki nad Sekwaną. Na berlińskim lotnisku zdążył kupić małą walizkę i koszulę, bieliznę oraz przybory toaletowe. Recepcjonista hotelu Louvre nie dopatrywał się niczego dziwnego w tym eleganckim szpakowanym dżentelmenie, który zarezerwował pokój przez telefon, teraz zaś stał w drzwiach hotelu. Nie zdziwiło go też, że dżentelmen ten po godzinie wyszedł do miasta.

Hausser udał się w kierunku placu Opery i usiadł w kawiarni. Zamówił kieliszek wina i kanapkę.

Pół godziny później inny dżentelmen w podeszłym wieku wszedł do kawiarni i dał temu pierwszemu znak ręką. Hans wstał, by uściskać nowo przybyłego.

— Cieszę się, że cię widzę, Carlo.

— Ja również. To dopiero przygody! Nie wyobrażasz sobie, ile się musiałem nagłówkować, żeby dzieci dały mi wreszcie święty spokój. W domu nakazałem wszystkim,

by nie mówili im, że wybieram się w podróż. Czuję się, jakbym oddalił się bez pozwolenia, jak jakiś smarkacz.

— Ja mam podobny problem. Zadzwoń do Berty, histeryzowała, musiałem się na nią rozzłościć i przypomnieć jej, że już jestem dorosły i może przestać mnie kontrolować. Wiem, że zrobiłem jej przykrość, nie czuję się z tym najlepiej. Może pójdziemy na kolację? Umieram z głodu.

— Chętnie. Znam bistro, gdzie podają niezłe jedzenie.

Hausser powtórzył koledze to, co już mu napisał w e-mailu: Tom Martin poprosił o pół miliona euro, i to natychmiast. Dostał już trzysta tysięcy w dniu, kiedy podpisali umowę, zaś cała transakcja miała się zamknąć kwotą dwóch milionów. Jeśli teraz wypłacą jeszcze pół miliona, to zaliczka wyniesie prawie milion.

— Zapłacimy, nie ma rady. Musimy mu ufać. Luca zapewnia mnie, że Martin to chodzący przykład honoru w biznesie, a jeśli weźmie się pod uwagę, w jakim świecie się obraca i na czym polegają jego interesy... Tak czy siak, mam nadzieję, że nas nie oszuka. Przywozłem ze sobą pieniądze, Mercedes i Bruno również będą je mieli. Wszyscy postąpiliśmy zgodnie z planem, od jakiegoś czasu podejmowaliśmy drobne kwoty z banku, by mieć je w domu na wszelki wypadek, jeśli okaże się, że trzeba szybko za coś zapłacić.

Po kolacji przyjaciele się pożegnali. Carlo zatrzymał się w hotelu d'Horse, niedaleko hotelu Hansa.

O jedenastej rano Café de la Paix nie była zatłoczona. Paryż obudził się spowity w szarości i siąpiący deszcz. Korki w takich warunkach były jeszcze bardziej uciążliwe niż zwykle.

Mercedes dokuczał chłód. Kiedy wyjeżdżała z Barcelony, było tam pięknie i słonecznie, włożyła więc tylko lekki żakiet, który nie chronił jej przed wilgotnym powietrzem i deszczem. Bruno Müller okazał się bardziej przewidujący, wziął ze sobą ciepły płaszcz.

Cała czwórka delectowała się kawą.

— O drugiej wylatuje mój samolot do Londynu — powiedział Hausser. — Zadzwoń do was, kiedy wrócę do domu.

— Nie, nie możemy czekać do jutra — ucięła Mercedes. — Umarłabym z niecierpliwości. Chcemy wiedzieć na pewno, czy wszystko się udało, proszę cię, zadzwoń do mnie wcześniej.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, Mercedes, ale nie chcę czuć się przytłoczony obowiązkami. Nie jestem już młodzieniaszkiem, nie mam najlepszego refleksu. I tak dużo mnie kosztuje zmylenie ludzi Toma Martina. Jestem pewny, że mnie śledzą, by się przekonać, kim jest ów tajemniczy pan Burton, czyli ja.

— Hans ma rację — poparł go Bruno. — To próba dla naszej cierpliwości, musimy być cierpliwi.

— I modlić się — zakończył Carlo.

— Niech się modli, kto potrafi — odpowiedziała przekornie Mercedes.

Hans Hausser wyszedł z kawiarni, trzymając w ręku firmową torbę Galerii Lafayette, w której pod niedawno kupionym swetrem umieścił koperty wręczone mu przez przyjaciół: pół miliona euro dla Toma Martina.

Kiedy Hans się oddalił, wyszła też Mercedes, upierając się, by nikt jej nie odprowadzał. Zatrzymała taksówkę i poprosiła o kurs najkrótszą drogą na lotnisko. Carlo i Bruno postanowili zjeść razem, zanim wyjadą z Paryża.

W Londynie padało bardziej niż w Paryżu. Hans Hausser gratulował sobie w duchu, że kupił na lotnisku de Gaulle'a nieprzemakalny płaszcz. Pomyślał, że jeśli ma się pieniądze, można pojechać wszędzie bez potrzeby martwienia się o bagaż.

Był zmęczony, odbił się na nim stres ostatnich dwudziestu czterech godzin, ale przy odrobinie szczęścia o świcie może znaleźć się w domu.

Zadzwoił do Berty — córka błagała go, by zdradził, gdzie przebywa. Nie poznawał sam siebie, kiedy powiedział jej, że jeśli nadal będzie się wtrącała w jego życie, to się wyprowadzi. Berta stłumiła szloch i się rozłączyła.

Taksówka stanęła kilka przecznic od siedziby Global Group. Hausser szedł wolnym krokiem, bolały go nogi.

Tom Martin był zaskoczony, kiedy recepcjonistka poinformowała go, że pan Burton czeka na niego przed gabinetem.

— Zaskakuje mnie pan — powiedział prezes Global Group, wyciągając rękę do gościa.

— Dlaczego? — zapytał oschle „pan Burton”.

— Nie podejrzewałem, że jeszcze raz pan się u nas zjawi. Nie uprzedził pan o swojej wizycie. Mógł pan po prostu zrobić przelew...

— Tak jest wygodniej dla wszystkich. Proszę przygotować pokwitowanie i po sprawie. Kiedy pański człowiek uda się do Iraku?

— Kiedy tylko otrzyma zaliczkę.

— Dałem mu już trzysta tysięcy...

— Rzeczywiście, ale zawodowiec, który zrealizuje pańskie zlecenie, chce mieć pewność, że dostanie żadaną kwotę. Przecież ryzykuje życie.

— Podejrzewam, że nie pierwszy raz — mruknął z ironią Hausser.

— Nie, nie pierwszy raz, ale to zlecenie różni się nieco od innych, gdyż mój człowiek nie wie, ile osób będzie musiał sprzątnąć, w jakim są wieku i formie. Zresztą teraz każdy, kto wjeżdża do Iraku, dorabia się kartoteki, nie tylko u irackiej policji, również u Amerykanów. Ci ostatni podglądają przez dziurkę od klucza, podobnie jak moi dawni towarzysze z MI-Pięć.

— Więc pracował pan w MI-Pięć?

— Nie wiedział pan o tym? Sądziłem, że wie pan wszystko na mój temat.

— Nie interesuje mnie pana przeszłość, tylko teraźniejszość, to, co ma pan do zaoferowania teraz.

— Pracowałem dla Jej Królewskiej Mości, lecz pewnego dnia szefowie postanowili, że trzeba wysłać na emeryturę tych, którzy uczestniczyli w zabawie w zimną wojnę. Jesteśmy nie na te czasy, wróg się zmienił, stwierdzili. Rzeczywiście, sfabrykowali sobie nowego wroga: Arabów, tylko dlatego, że Chińczyków się boją. Arabowie są biedni, chociaż mają tak bogatych władców, którzy dorobili się na ropie naftowej. Masy jednak żyją na skraju ubóstwa, pod dyktatorskim reżimem, łatwo nimi manipulować i doprowadzić do takiego stanu, że cała zgromadzona frustracja będzie musiała znaleźć ujście. Zachód potrzebuje wroga, ponieważ już się przekonał, że mieszkańcy krajów arabskich w przyszłości staną się doskonałymi konsumentami. Otworzą się nowe rynki.

— Może pan sobie darować ten wykład — przerwał mu Hausser.

Tom Martin przygotował pokwitowanie na pół miliona euro, podpisał je i umieścił na nim pieczętkę Global Group.

— Kiedy się pan do mnie odezwie?

— Kiedy będę miał jakieś wieści — odpowiedział Martin. — Jutro mój człowiek dostanie pieniądze, pojutrze przystąpi do działania. Musi poszukać jakiejś przykrywkii dla swojej obecności w Iraku. Odnalezienie ludzi, o których panu chodzi, zajmie mu trochę czasu. Cierpliwości, takich rzeczy nie robi się z dnia na dzień.

— Rozumiem. Proszę zapisać ten numer telefonu. To komórka. Kiedy będzie pan coś wiedział, proszę do mnie zadzwonić.

— Internet to bezpieczniejszy sposób.
— Nie sądzę. Następnym razem proszę skontaktować się ze mną telefonicznie.
— Zgoda. Bardzo dziwny z pana człowiek, panie Burton...
— Jak wszyscy pańscy klienci.
— Burton to nie jest pana prawdziwe nazwisko?
— Panie Martin, powinno panu wystarczyć, że nazywam się tak, jak każę się nazywać, nie wydaje się panu? Dwa miliony euro mają zapewnić dyskrecję. Wścibstwo to brzydka cecha.

— W moim biznesie to ja decyduję, co ma być tajemnicą, a co nie. Dla mnie pana tożsamość jest istotna. To pan przyszedł do nas z tą, nazwijmy to, „delikatną” sprawą. To pan zadzwonił do moich drzwi, nie na odwrót.

— W pańskim biznesie, panie Martin, dyskrecja to podstawa. Zaskakuje mnie pana ciekawość, szczerze mówiąc, nie świadczy ona najlepiej o pana profesjonalizmie. Niech pan nie marnuje czasu swoich ludzi, każąc mnie śledzić. Proszę szanować nasze porozumienie, za to panu płacę. Teraz zaś, proszę wybaczyć, muszę już iść.

— Rozkaz, panie Burton.

Hausser uściśnął dłoń Martina i wyszedł z gabinetu, pewien, że znów będą chcieli go śledzić. Tym razem nie uda mu się powtórzyć sztuczki z hotelem i trudniej będzie wywieść w pole ludzi z Global Group.

Kiedy znalazł się na ulicy, szedł pieszo, dopóki nie zobaczył wolnej taksówki. Dał znak szoferowi i poprosił o kurs do szpitala miejskiego. Sam był zdziwiony tym, co robi. Wszystkie pomysły, jak zmylić pościg, czerpał z kryminałów, które tak chętni czytywał. Oby ta sztuczka również się udała. Czasami czuł się nieco śmiesznie, zachowując się w ten dziwny sposób, ale bał się, że natknie się na kogoś znajomego, kto ujawni, kim jest: poważanym profesorem fizyki kwantowej.

Wysiadł z taksówki przed głównym wejściem do szpitala. Pewnym krokiem wszedł do przestronnego holu i poszukał wzrokiem wind. Nie wiedział, czy ktoś za nim idzie. Wsiadł do pierwszej windy, jaka zatrzymała się na piętrze. Nie nacisnął żadnego guzika. Winda jeździła z góry na dół, ludzie wsiadali i wysiadali, on zaś przyglądał się wszystkim, próbując odgadnąć, kto go śledzi. Wysiadł w końcu na przedostatnim piętrze, wraz z dwiema kobietami o anemicznym wyglądzie, staruszką na wózku i niedbale ubraną kobietą.

Każde z nich może być człowiekiem Global Group, stwierdził. Wszyscy ruszyli korytarzem, każdy w swoją stronę, tylko on został przy windach. Nikt nawet się za nim nie obejrzał, Hausser wsiadł więc do windy. I tym razem nie nacisnął żadnego guzika i powtórzył

całą operację. Wysiadł na trzecim piętrze i czekał na następną windę. W ten sposób upłynęła godzina. W końcu postanowił, że wyjdzie ze szpitala. Wiedział już, w jaki sposób może się wymknąć przez nikogo niezauważony. Zaczekał, aż zostanie w windzie sam, i nacisnął guzik oznaczający piwnicę, w której znajdowały się szatnie. Kiedy już się tam znalazł, odszukał drzwi z tabliczką: „Izba przyjęć” i zdecydowanym krokiem ruszył korytarzem, choć inna tabliczka kategorycznie zakazywała wstępu osobom nieupoważnionym. Nikt za nim nie wszedł, maszerował więc dalej ku sali zastawionej łóżkami z chorymi, dopiero co przywiezionymi przez karetki. W głębi korytarza zauważył drzwi, przez które wjeżdżały nosze, i bez wahania skierował się właśnie tam.

— Kogo pan szuka?

Lekarz, który go zatrzymał, miał nieprzyjemny wyraz twarzy. Hausser czuł się jak dzieciak przyłapany na gorącym uczynku.

— Tu nie mogą wchodzić krewni pacjentów, proszę wyjść i poczekać ze wszystkimi w poczekalni, wkrótce ktoś wyjdzie i udzieli panu informacji.

Hans Hausser zbladł i zaczął symulować atak tachykardii.

— Co się panu stało? Coś panu dolega? — lekarz mówił teraz nieco łagodniej.

— Przyjaciół przywiózł mnie na izbę przyjęć, źle się czuję, nie mogę oddychać, drętwieje mi lewa ręka, cierpię na tachykardię, a jestem w Londynie tylko przejazdem... — wypowiedział na jednym oddechu Hans Hausser, prosząc Boga, by wybaczył mu te kłamstwa.

— Niech pan przejdzie do tej sali.

Zanim upłynęły trzy minuty, leżał na kozetce podłączony do aparatu EKG. Następnie pielęgniarki pobrały mu krew i zaprowadziły na prześwietlenie klatki piersiowej. Potem położono go na sali przylegającej do izby przyjęć. Miał zostać na obserwacji.

O siódmej rano lekarze stwierdzili, że pacjent nie miał ataku serca, a wczorajsza niedyspozycja to tylko chwilowe osłabienie.

Skarżył się, że nadal nie czuje się dobrze, więc lekarz zdecydował, że na lotnisko zawiezie go karetka, za co pacjent miał zapłacić z własnej kieszeni. Nie chcieli ryzykować, że zasłabnie i rodzina wystąpi do szpitala o odszkodowanie.

Hans Hausser zapłacił gotówką rachunek za noc w szpitalu i usiadł w wózku inwalidzkim, a pielęgniarka przewiozła go do ambulansu. On tymczasem zarezerwował przez telefon miejsce w samolocie odlatującym o dziewiątej do Berlina. Pielęgniarka przypomniała mu, by powiadomił lotnisko, że przyjedzie ambulansem i że potrzebuje wózka.

Kiedy dotarli na miejsce, pielęgniarka zawiozła go aż do stanowiska odpraw, gdzie wyjaśniła, że pan Hausser może podróżować, ale należy otoczyć go szczególną opieką, na

wypadek gdyby poczuł się gorzej. Stewardesa wprowadziła wózek do sali, w której czekał bardzo krótko, potem zawieźli go wprost do samolotu, nie oglądając nawet jego paszportu.

W Berlinie lało jak z cebra. Z trudem przekonał stewardesę, że nie potrzebuje już wózka i że do domu pojedzie taksówką. Wyszedł z lotniska i wsiadł do taksówki, ale zamówił kurs na dworzec. Poszczyściło mu się, bo dotarł tam zaledwie pięć minut przed zasunięciem się drzwi pociągu jadącego do Bonn.

Z pociągu zatelefonował do Berty i zapowiedział, że wczesnym popołudniem będzie w domu. Potem wybrał numer Brunona, by go uspokoić, że wszystko w porządku. Bruno miał przekazać dobre wiadomości Carlowi i Mercedes.

Berta nie potrafiła ukryć zatroskania, kiedy parę godzin później ojciec wszedł do domu. Sprawiał wrażenie schorowanego starca, więc mimo jego sprzeciwu córka zadzwoniła do lekarza, starego przyjaciela rodziny, który natychmiast przyjechał. Choć Berta upierała się, że ojcu na pewno coś dolega, lekarz nie stwierdził niczego niepokojącego.

W końcu zostawili go samego i Hausser mógł zrobić to, na co od dawna miał ochotę: wziąć prysznic i spokojnie zasnąć we własnym łóżku.

* * *

Paul Dukais przeczytał raport przysłany przez Ante Plaskica. Ten Chorwat to dobry wybór. Trzeba będzie podziękować Tomowi Martinowi za to, że go polecił.

Na kartkach zapisanych wyraźnym charakterem pisma, angielszczyzną co najmniej przyzwoitą, Ante Plaskic relacjonował, nie pomijając żadnego szczegółu, przebieg wykopalisk i trudności, z jakimi się borykał.

Nie ufam Ajedowi Sahadiemu, a on mnie. Sahadi jest nadzorcą, ma za zadanie pilnować, czy wszystko przebiega prawidłowo, dogaduje się i negocjuje z robotnikami. Moim zdaniem to nie tylko nadzorca, nie wykluczam, że jest szpiegiem lub policjantem. Wydaje mi się, że ma za zadanie osłaniać Clarę Tannenberg.

Właściwie nie spuszcza z niej wzroku. Jest jeszcze trzech czy czterech innych mężczyzn, którzy zawsze są w pobliżu, nie licząc osobistej obstawy.

Trudno do niej podejść, nie będąc w zasięgu strzału jednego z tych ludzi

Ona sama lubi wymykać się spod kontroli swoich strażników i parę razy wybuchło spore zamieszanie, gdyż znikła, za każdym razem o świcie, by pospacerować nad Eufratem wraz z profesorem Gómez. Kiedy indziej znów zorganizowała potajemną eskapadę wraz z kilkoma innymi kobietami. Nikt się o tym nie dowiedział, nawet Picot niczego nie zauważył.

Innym znów razem postanowiła, że spędzi wieczór sama wśród ruin, dokąd udała się z kocem pod pachą i ułożyła do snu pod gołym niebem.

Nie wydaje się prawdopodobne, by jeszcze raz udało jej się zmylić ochronę. Dwóch goryli śpi na ziemi nieopodal jej chaty.

Mamy też administratora, niejakiego Hajdara Annasira, który płaci robotnikom i do którego Ajed Sahadi zwraca się, gdy Picot czegoś potrzebuje. Kiedyś doszło do poważnego spięcia między nim a Clarą. Zagroził, że zadzwoni do jej dziadka, co najwyraźniej uczynił, bo ona teraz boczy się na niego i nie kryje urazy, gdyż po tej interwencji do niedużego oddziału żołnierzy stacjonującego tu od samego początku dołączyli przystąpi z Bagdadu uzbrojeni ludzie, którzy otoczyli obozowisko.

Na prośbę Picota Ajed Sahadi i Hajdar Annasir zatrudnili jeszcze setkę robotników. Tempo pracy jest katorżnicze, kopia bez wytchnienia, odpocząć można tylko przez parę godzin nocą, nic dziwnego, że w zespole odczuwa się napięcie. Paru naukowców z ekipy Picota zakwestionowało jego metody pracy, studenci skarżą się, że są eksploatowani, robotnicy zaś padają ze zmęczenia, mają ręce poobcierane do krwi od trzymania szpadli.

Jednak ani profesor Picot, ani Clara Tannenberg nie wydają się przejęci wyczerpaniem robotników i całego zespołu.

Picot ma w zespole archeologa, który „gasi pożary”. To Fabián Tudela. Tylko on potrafi przywrócić spokój, kiedy wydaje się, że zaraz wszystko eksploduje. Niemożliwe jednak, by mogło to trwać dłużej, musi dojść do wybuchu, pracujemy ponad czternaście godzin na dobę.

Mówią, że odnaleźli świątynię, amerykańska bomba miała ponoć odstąpić jedno ze szczytowych pięter, na którym mieściła się biblioteka, stąd taka ilość tabliczek. Odgrzebali już z piasku trzy pomieszczenia i odzyskali ponad dwa tysiące tabliczek.

Studenci pod nadzorem wykładowców czyszczą tabliczki z piasku i je katalogują. Zdaje się, że zawierają one w dużej mierze pałacowe rachunki, chociaż na tych znalezionych ostatnio znajduje się też zapis wiedzy o minerałach i zwierzętach.

Pomieszczenia, jakie odkopali dotychczas, mają 5,30x3,60 metra, chociaż ci, co się na tym znają, twierdzą, że znajdziemy i większe.

Znaleziono tabliczki z imionami skrybów w nagłówku. Najwięcej jest tabliczek z imieniem Szamas, najwyraźniej opisywał on miejscową florę. Dotychczas jednak nie znaleziono tabliczek ani z epickimi poematami, ani z zapisem wydarzeń historycznych, i to coraz bardziej niepokoi Clarę Tannenberg, która jest wyraźnie zdenerwowana, co wprawia Picota w zły humor.

Parę dni temu odbyło się zebranie zespołu, na którym omawiano znaleziska. To, co mówił Picot, brzmiało bardzo pesymistycznie, jednak Fabián Tudela, profesor Gómez i pozostali archeolodzy stwierdzili, że to jedno z najważniejszych znalezisk naszego wieku, gdyż o pałacu tym nie było nigdzie wzmianek. Wartość znaleziska podnosi jego usytuowanie nieopodal starożytnego Ur. Zdaje się, że pałac nie jest zbyt duży; ale z powodzeniem mógł pomieścić sporą bibliotekę.

Profesor Gómez chce poszerzyć obszar wykopalisk, by zlokalizować mury obronne i domy mieszkalne. Ponad trzy godziny dyskutowali nad sensem takich działań, w końcu uznali, że pomysł Gómez jest dobry. Poparł ją Fabián i Clara. To dlatego potrzeba więcej robotników.

Niełatwo w takiej sytuacji znaleźć ludzi, kraj jest w stanie gotowości do wojny, jednak panuje tak straszna nędza, a Tannenbergowie cieszą się takimi wpływami, że wszystko wskazuje na to, iż za parę dni przybędą brygady robotników z innych części Iraku.

Moje zadanie polega na wprowadzaniu do komputera znalezionych obiektów, które inni fotografują i opisują. Pomaga mi w tym trójka studentów.

Do pracowni komputerowej schodzą się wszyscy archeolodzy, by zobaczyć, w jaki sposób katalogujemy obiekty, i udzielić nam wskazówek, chociaż to profesor Gómez koordynuje naszą pracę. To mądra i pracowita kobieta, choć czasem bywa nieznośna.

Zięć wójta, ten, który przesyła nam raporty, tak jak sobie tego życzyliśmy, jest zatrudniony jako kierowca. Jeździ do pobliskich wiosek po zaopatrzenie i najwyraźniej cieszy się zaufaniem Ajeda Sahadiego, o ile ten ostatni w ogóle komukolwiek ufa i o ile zaufanie w tym kraju nie jest równoznaczne z zuchwałością.

Jeśli znajdą tabliczki, niełatwo będzie im je odebrać, a zwłaszcza stąd wywieźć. Za pieniądze można kupić ludzi, obawiam się jednak, że zawsze znajdzie się ktoś gotowy zaoferować wyższą stawkę i przebić ofertę, nie zdziwiłbym się więc, gdyby się okazało, że ktoś mnie zdradził, chyba że ktoś uświadomi mojego łącznika, że nikt nie zdoła przebić stawki, jaką zapłacę za wydostanie się stąd...

Smith otworzył drzwi gabinetu i wkroczył do środka wraz z Ralphem Barrym i Robertem Brownem.

— Ach, już jesteście! Zapraszam do środka — wykrzyknął Dukais.

Kiedy zamknęli drzwi i każdy usiadł ze szklanką whisky w ręku, Dukais wręczył im kopie raportu.

— Chciałbym mieć oryginał — powiedział Brown.

— Oczywiście, jest twój, w końcu to ty płacisz. Zresztą ten facet nie grzeszy talentem literackim. Czytając to, serdecznie się uśmieiałem.

— I jak się sprawy mają?

— Najwyraźniej niczego nie znaleźli. Ani śladu tej przeklętej *Glinianej Biblii*, chociaż odkopali miliony innych tabliczek o wątpliwej wartości.

— Nikt nie podejrzewa tego chłopaka?

— Owszem, niejaki Ajed Sahadi, nadzorca robót. Chorwat uważa, że to więcej niż tylko zwykły majster. Najprawdopodobniej to człowiek Tannenberga i ma za zadanie pilnować jego wnuczki.

— Założyłbym się, że Tannenberg poumieszczał ludzi gdzie tylko mógł — stwierdził Ralph Barry.

— Tak, to prawda — zgodził się Dukais. — Wszystko wskazuje na to, że ten jest wyjątkowy. Jasir nam to potwierdzi.

— Trafiliśmy w samo sedno z tym Jasirem — przyznał Brown.

— Alfred go obraził, więc Jasir czuje się zwolniony z lojalności wobec niego.

— Nie łudź się, Alfred wie, że Jasir może go zdradzić, i na pewno ma go na oku. Alfred jest mądrzejszy niż jakiś Jasir i niż ty sam – mruknął zuchwale Brown.

— Przesadzasz — prychnął zirytowany Dukais.

— Chyba nie będziecie się kłócili... — próbował uspokoić ich Barry.

— Jasir wkręcił do zespołu archeologów przynajmniej dwunastu ludzi, poza Chorwatem — powiedział Dukais, jak gdyby nic się nie stało. — Jeśli ten Ajed Sahadi rzeczywiście jest kimś innym, niż mogłoby się wydawać, Jasir się o tym dowie.

Po wyjściu z gabinetu Dukaisa Brown kazał kierowcy zawieźć się do domu George'a Wagnera. Miał mu osobiście wręczyć sprawozdanie Chorwata i poczekać na dalsze instrukcje. Nie miał żadnego oparcia w swoim Mentorze, ten człowiek był zimny jak sopel lodu, jeśli w stalowoszarych tęczówkach jego oczu w ogóle gościło jakieś uczucie, to najwyżej gniew. Kiedy tak się działo, Robert Brown drżał.

Gian Maria był coraz bardziej przygnębiony. Czuł się beзуżyteczny. Cel wyjazdu do Iraku wymykał mu się z rąk, w gruncie rzeczy ksiądz stracił kontrolę nad swoim życiem i już sam nie wiedział, po co tu przyjechał.

Był przemęczony. Luigi Baretti wyciskał z niego siódme poty, tak więc dzień jego pracy zaczynał się o szóstej rano i nigdy nie kończył przed dziewiątą lub dziesiątą wieczorem.

Wracał do domu Faisala i Nur zmęczony, nawet nie miał ochoty bawić się z bliźniaczkami ani małym Hadim.

Zwykle jadł kolację w samotności. Nur zostawiała mu jedzenie na tacy, a on pochłaniał je przy stole w kuchni. Potem padał na łóżko jak martwy.

Tego ranka jego przełożony, ojciec Pio, zadzwonił do niego z Rzymu. Kiedy zamierza wrócić? Czy przezwyciężył już kryzys duchowy?

Nie umiał udzielić odpowiedzi na te pytania. Wciąż miał wrażenie, że ucieka, lecz nie wiedział dokąd.

Nie udało mu się dotrzeć do Clary Tannenberg, a przecież nieraz był w Ministerstwie Kultury, prosząc o spotkanie z Ahmedem Huseinim. Urzędnicy pytali, czy jest umówiony, a kiedy odpowiadał, że nie, pytali go o powód odwiedzin lub po prostu wyprasali.

Próbował również do Huseiniego zadzwonić, jednak zawsze trafiał na niezwykle uprzejmą sekretarkę, która nalega, by zdradził jej, czego chce od pana Huseiniego, i mówiła, że szef jest bardzo zajęty i nie może go przyjąć.

Gianowi Marii ciążyło to, co wiedział o Clarze Tannenberg, dlatego też codziennie szukał w gazetach wzmianki o tej kobiecie. Nigdy na nic nie trafił.

Czas płynął szybko, zbyt szybko. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, nie mógł się już dłużej usprawiedliwiać ani zwlekać. Wiedział, że ma klucz, by dotrzeć do Ahmeda Huseiniego, a kluczem tym jest Yves Picot.

— Dziś wyjdę wcześniej, Alio — oznajmił.

— Umówiłeś się? Z kim? — zapytała wścibska koleżanka.

Postanowił powiedzieć jej prawdę, a przynajmniej część.

- Nie, nie jestem z nikim umówiony. Chcę odnaleźć paru znajomych.
- Nie wiedziałam, że masz znajomych w Iraku.
- Powiedzieli mi, że jeśli chciałbym się z nimi skontaktować, mam zadzwonić do niejakiego Ahmeda Huseiniego, wydaje mi się, że to dyrektor do spraw wykopalisk archeologicznych w ministerstwie.
- No proszę, proszę, jakich to się ma znajomych.
- Kto? Ja?
- Pewnie! Przecież ten Huseini to szyszka, beniaminek reżimu. Jego ojciec był ambasadorem, on zaś ożenił się z bardzo bogatą kobietą, pół Egipcjanką, pół Niemką, ale i tak Irakijką. Jej rodzinę spowija mgła tajemnicy, nikt nic o nich nie wie, w każdym razie na pewno mają dużo pieniędzy.
- Nie znam tego Huseiniego. Przyjaciele powiedzieli mi, że on skontaktuje mnie z Tannenbergami.
- Ostrożnie, Gian Maria, ten Huseini...
- Przecież chcę go tylko zapytać, jak odnaleźć grupę archeologów!
- Wiem o tym, ale bądź ostrożny, to nie są dobrzy ludzie. — Alia zniżyła głos. — Niczego im nie brakuje i żyją dzięki temu, że wyciskają z nas ostatnie poty. Jeśli Amerykanie napadną na Irak, sam się przekonasz, jak ci bezwstydnicy będą ratowali własną skórę! I wszystkim im się to uda. Jedyne, co mogłoby usprawiedliwić wejście *marines*, to to, że mogą nas wybawić od tego horroru. Jesteś tu od niedawna, więc nawet nie miałeś czasu, by się przekonać, że Saddam to diabeł wcielony i zrobił z Iraku piekło.
- Wiem, jak bardzo cierpicie, myślisz, że nie widzę? To się musi skończyć, jestem pewny. Nie popadajmy w wisielczy nastrój, gdyby Luigi o mnie pytał, powiedz mu, że wrócę po obiedzie.
- Alia zagryzła wargę i położyła mu delikatnie rękę na ramieniu.
- Wiesz? Odnoszę wrażenie, że cierpisz, że coś cię gryzie. To widać. Jeśli potrzebujesz pomocy...
- Nic podobnego, jestem po prostu zmęczony. Luigi nie daje mi wytchnąć, ciebie traktuje podobnie.
- To prawda, wykorzystuje cię. W każdym razie odnoszę wrażenie, że nie jesteś w najlepszej formie.
- Wydaje ci się. Teraz pozwól, że zadzwonię do tego Huseiniego, który tak ci podpadł...

Sekretarka jak zwykle powiedziała, że pan Huseini jest zajęty, dopiero kiedy Gian Maria wymienił nazwisko Picot, nastąpiła zmiana w tonie jej głosu. Kazała mu zaczekać.

Minutę później Ahmed Huseini już był przy telefonie.

— Kto mówi?

— Przepraszam, że przeszkadzam... Widzi pan, jestem znajomym pana Picota, powiedział mi kiedyś, że jeśli będę chciał się z nim skontaktować w Iraku, pan będzie wiedział, gdzie go szukać i...

Huseini nie dał mu dokończyć. Gian Maria zamilkł speszony, wyrzucając sobie, że zamiast mówić normalnie, potrafi tylko stękać do słuchawki, co musiało zrobić fatalne wrażenie.

— Jeśli jest pan gotów do nich dołączyć, to teraz jest najlepszy moment — powiedział szybko Huseini. — Brakuje rąk do pracy, bardzo im się pan przyda ze swoją wiedzą.

Szczerze powiedziawszy, Gian Maria nie miał najmniejszego zamiaru spotykać się z Picotem ani jechać do Safranu. Jedyne, czego chciał, to zapytać Huseiniego o jego żonę, Clarę Tannenberg, i wytłumaczyć mu, że musi z nią porozmawiać, że jest to sprawa życia i śmierci. Tylko jej może wyznać, dlaczego tu przybył. Nie mógł jej jednak powiedzieć, przed kim ani przed czym chce ją ostrzec, nie zdradzając tajemnicy spowiedzi, a tym samym wszystkiego, w co wierzył i czego zobowiązał się przestrzegać do końca życia.

Ahmed Huseini wyglądał raczej na menedżera dużej firmy niż urzędnika na usługach Saddama.

Zaproponował herbatę i zapytał, co Gian Maria będzie robił w Bagdadzie, co sądzi o ich kraju, i polecił parę muzeów do zwiedzenia.

— Więc chce się pan przyłączyć do zespołu pana Picota...

— No, niezupełnie... — wybąkał ksiądz.

— Czyżbym źle zrozumiał?

— Chciałbym się dowiedzieć, jak nawiązać z nimi kontakt, wiem, że wybierali się dokądś nieopodal Ur...

— Rzeczywiście, przebywają w Safranie.

Gian Maria zagryzł wargę. Będzie musiał zapytać o Clarę Tannenberg, nie wiedział jednak, jak ten uprzejmy człowiek zareaguje, kiedy jakiś nieznajomy zapyta o jego żonę.

— Pan i pańska żona również jesteście archeologami, prawda?

— Tak. Słyszał pan o mojej żonie? — zdziwił się Ahmed.

— Tak, owszem.

— Podejrzewam, że Picot wytłumaczył już panu, że wszystko, co dzieje się w tej chwili w Safranie, jest wynikiem starań mojej małżonki. Biorąc pod uwagę sytuację naszego kraju, niełatwo jest zdobyć środki na prowadzenie wykopalisk. Ona jednak kocha archeologię ponad wszystko i ma ogromną wiedzę na temat przeszłości tych ziem, zdołała więc przekonać profesora Picota, by przyszedł nam z pomocą przy odkopywaniu tej budowli, która prawdopodobnie była świątynią lub pałacem. Nie mamy jeszcze co do tego pewności.

Drzwi do gabinetu otworzyły się i wszedł Karim, asystent, uśmiechając się szeroko.

— Ahmedzie, wszystko już gotowe i czeka na wysłanie do Safranu. Zadzwoń do Ajeda Sahadiego, by mu powiedzieć, że wyjeżdża do nich ciężarówka. Nie zastałem go, miałem jednak szczęście, bo akurat odebrała Clara...

Huseini podniósł rękę w geście, który miał być dla Karima rozkazem: zamilknąć. Tymczasem Gianowi Marii pojaśniała twarz. Odnalazł Clarę Tannenberg! W gruncie rzeczy domyślił się wszystkiego ze słów Ahmeda, a słowa tego niepozornego człowieczka tylko potwierdziły te przypuszczenia. Teraz musi pojechać do Safranu. Że też wcześniej nie przyszło mu do głowy, że Clara Tannenberg wraz z ekspedycją Picota tam przebywa. Przypominał sobie, że kiedy udało mu się wejść na kongres archeologiczny w Rzymie, by poszukać Clary Tannenberg, recepcjonistka zapytała go kpiąco, czy zamierza zaciągnąć się na wyprawę do Iraku, by zbadać to wiekopomne odkrycie. W dodatku cała sprawa odbiła się echem w gazetach, które odnotowały, że niejaka Clara Tannenberg ogłosiła światu odkrycie tabliczek, nazywanych przez nią samą *Glinianą Biblią*... Jeśli więc jest tam Yves, to po to, by szukać tabliczek ramię w ramię z żoną Huseiniego.

Karim wyszedł z gabinetu bez słowa.

— Pańska żona przebywa w Safranie... rzecz jasna... — podjął Gian Maria.

— Tak, naturalnie — odpowiedział speszony Huseini. — Wracając jednak do naszej rozmowy... czym mogę panu służyć? — zapytał.

— Chciałbym zapytać profesora Picota, czy mogę przyjechać do Safranu. Pracuję dla organizacji humanitarnej, nie mogę jednak zostać tu zbyt długo, więc jeśli Picot nie ma nic przeciwko temu, chciałbym popracować przez kilka tygodni przy wykopaliskach.

Huseini uznał, że ma do czynienia z dziwakiem. Nie wiedział dlaczego, wydawało mu się jednak, że wszystko, co mówi Gian Maria, jest zmyślane. Musi się czegoś o nim dowiedzieć, zanim wyśle go do Safranu.

— Porozmawiam z profesorem Picotem, jeśli on się zgodzi, nie widzę przeszkód. Pomogę panu dotrzeć do Safranu.

— Ile czasu zajmie panu zorganizowanie tej podróży?

— Zadzwońię do pana... Proszę podać mojej sekretarce swój adres i numer telefonu.

Kiedy Gian Maria wychodził z ministerstwa, był mokry od potu. Wiedział, że Huseini go sprawdzi. Jego uprzejmość była tylko maską. Alia miała rację: Ahmed Huseini jest człowiekiem systemu i może kazać go aresztować albo wyrzucić z Iraku.

Huseini nie marnował czasu. Gdy tylko Gian Maria opuścił jego gabinet, zadzwonił do Karima.

— Poproś Pułkownika, żeby sprawdził tego człowieka. To znajomy profesora Picota, wybiera się do Safranu. Jeśli Picot się zgodzi, to i ja się zgodzę, najpierw jednak chcę zebrać o nim informacje.

Dwadzieścia cztery godziny później Kanm poinformował Ahmeda o tym, czego dowiedział się Pułkownik. Ten Gian Maria nie jest oczywiście tym, za kogo się podaje. Trzeba zadzwonić do Picota.

Yves Picot śmiał się, kiedy Huseini opowiadał mu przez telefon historię księdza.

— Ale dlaczego jesteś taki zdziwiony, że to ksiądz? — zapytał. — Nie mam nic przeciwko temu, byś go do mnie przysłał. Mamy pełne ręce roboty i jeszcze jeden specjalista od akadyjskiego i hebrajskiego bardzo nam się przyda. Jeśli twoi szpicle już zakończyli śledztwo, wsadź go w helikopter. Czekamy.

— Muszę jeszcze sprawdzić parę rzeczy, nie jestem pewny, co powinienem zrobić.

— Gian Maria przyjechał do Iraku, żeby nam pomóc. Nie musi na prawo i lewo opowiadać, że jest duchownym. Trudno powiedzieć, że się z tym ukrywał, skoro żaden z nas go o to nie pytał.

— Uważasz, że Watykan interesuje *Gliniana Biblia*? — zapytał Ahmed.

— Watykan? Ależ proszę, nie fantazujmy. Watykan nie wysłałby szpiega. — Picot był wyraźnie rozbawiony. — Nie popadaj w paranoję, jesteś inteligentnym człowiekiem, tak bardzo cię dziwi, że są jeszcze dobrzy ludzie, którzy pragną pomagać innym?

— Dlaczego nie powiedział od razu, że jest księdzem?

— Wcale tego nie ukrywał. Ma to w paszporcie, a to jest przecież Irak, szpiegujecie, kogo się da. Ilu szpicli podesłałeś mi wraz z robotnikami? — Picot zachichotał, zadowolony z dowcipu.

— Powinieneś być bardziej rozsądny — uciął Ahrned wiedząc, że rozmowę z pewnością nagrywa Muhabarat.

— Wiesz, jak jest. Zaczekaj, dam ci Clarę.

— Nie widzę przeszkód, żeby tu przyjechał — zapewniała Clara męża. — Nieważne, że to ksiądz. Przez cały dzień otaczają mnie chrześcijanie. Przecież wszyscy, którzy tu przyjechali to katolicy. Zresztą, o ile wiem, w tym kraju jest wielu chrześcijańskich kapłanów...

— Będziemy za tobą tęsknili...

Nur szczerze żałowała, że Gian Maria wyjeżdża z Bagdadu. Dwa dni temu oznajmił im, że wybiera się do Safranu, gdzie przez jakiś czas będzie pomagał przy wykopaliskach archeologicznych.

Faisal skrzywił się, kiedy się o tym dowiedział, i nie ukrywał, że uważa za szczyt zepsucia, by jacyś cudzoziemcy poszukiwali skarbów w jego kraju, podczas gdy miejscowi umierają z głodu i braku lekarstw. Wymówka zabolęła Giana Marię, który nie potrafił znaleźć żadnego argumentu na swoją obronę.

Zamknął walizkę i szykował się do pożegnania z Nur i Faisalem. Bliźniaczki bawiły się w salonie, czekając na matkę, która miała je zawieźć do szkoły, wcześniej zostawiwszy Hadię w domu swojej teściowej.

Pożegnanie nie było łatwe. Szanował tę rodzinę, która dzień po dniu godnie stawiała czoło trudom życia w tym rządzonej przez dyktatora kraju.

O ile wiedział, nie byli członkami żadnej organizacji walczącej przeciwko Saddamowi, jednak nie ukrywali niechęci do niego i rozmawiali o tym z odwiedzającymi ich przyjaciółmi.

Opowiadali mu o swoich znajomych, którzy znikli z domów i z biur, co zdarzało się po odwiedzinach Muhabaratu lub innych tajnych służb Saddama.

Niektóre rodziny rujnowały się, by dowiedzieć się czegoś o zaginionych synach, mężach, ojczym, czasem udawało im się poznać jakiegoś policjanta, który proponował, że za określoną sumę zdobędzie dla nich informacje, a nawet sprawi, że warunki w więzieniu staną

się dla zatrzymanych znośniejsze. Ludzie sprzedawali więc wszystko, co posiadali, i wręczali pieniądze skorumpowanemu policjantowi, a on, rzecz jasna, ani myślał kiwnąć palcem.

Doktor i jego żona nienawidzili Saddama, ale nie ufali Stanom Zjednoczonym. Irakijczycy nie potrafili zrozumieć, dlaczego wojska Ameryki i jej sojuszników nie weszły do Bagdadu podczas wojny w Zatoce.

Wraz z Nur i Faisalem żył rzeczywistością tego kraju, przeżywając równie mocno jak oni to, że ludzie cierpią głód, strach i rozpacz.

Będzie mu ich brakowało, będzie też tęsknił za Alią, natomiast bez żalu myślał o rozstaniu z Luigim Barettim. Prezes fundacji wydawał się przytłoczony całą sytuacją, nie miał dla ludzi przychodzących do niego po pomoc ciepłego słowa, chociaż nie żałował lekarstw i żywności.

Ahmed Huseini przyjechał po Giana Marię pod dom Nur i Faisala i czekał na podjeździe, by zabrać go na lotnisko polowe, z którego helikopter miał przewieźć ich do Safranu.

Gian Maria przedstawił Ahmedowi swoich przyjaciół, ci zaś przywitali się z nim chłodno. Nie chcieli nawet słyszeć o poufałości z kimś, kto stoi tak blisko Saddama.

— Cieszę się, że pan również ze mną leci — wyznał Gian Maria Ahmedowi, kiedy siedzieli w helikopterze.

— Chcę zobaczyć, jak postępują prace.

Huk silnika uniemożliwiał rozmowę, toteż zamyślili się każdy nad swoimi sprawami.

Ahmed miał nadzieję, że nie pomylił się co do tego księdza, zwłaszcza że śledztwo, jakie przeprowadzili, wskazywało na to, że jest zupełnie nieszkodliwy.

Clara nie mogła się powstrzymać, by nie pobiec w stronę Ahmeda, kiedy ten wyskoczył z helikoptera. Tęskniła za nim bardziej, niż sądziła.

Objęli się, ale trwało to zaledwie kilka sekund. Oboje byli świadomi tego, że nie ma odwrotu z raz wybranej drogi, że decyzja o rozwodzie już zapadła.

Fatirna przyglądała im się z pewnej odległości, modląc się, by między nimi wszystko się jakoś ułożyło.

Yves Picot przyjął ich serdecznie. Lubił Ahmeda, może dlatego powstrzymywał się od uwodzenia Clary, która podobała mu się bardziej, niż był gotów przyznać to przed Fabiánem.

Ten żartował sobie nieraz, zapewniając, że Picotowi nie uda się niczego ukryć, wszystko, co myśli, ma wymalowane na twarzy.

Jednak Picot był wierny swemu wewnętrznemu kodeksowi etycznemu, który mówił wyraźnie, że nie flirtuje się z żoną przyjaciela, i chociaż nie był z Ahmedem zbyt blisko, lubił go i nie chciał robić mu przykrości.

— Jak mamy do pana mówić? Ojczce? Bracie? Proszę księdza? — zapytał, klepiąc Giana Marię w ramię.

— Jeżeli można prosić, po imieniu, Gian Maria.

— Tym lepiej. Prawdę powiedziawszy, wydawałeś mi się nieco dziwny, nie sądziłem jednak, że mam do czynienia z księdzem. Jesteś jeszcze bardzo młody.

— Nie taki znów miody. Za parę dni skończę trzydzieści sześć lat.

— Coś podobnego! A wyglądasz na dwadzieścia pięć.

— Zawsze wyglądałem młodo.

Gian Maria spojrzał spod oka na Clarę, czekając, aż mu ją przedstawią. Wcześniej jednak dostał ostrą reprimendę od trzech studentek, z którymi podróżował z Ammanu. Wszystkie trzy, Magda, Marisa i Lola, dąsały się na niego.

— Dlaczego nam nie powiedziałeś, że jesteś księdzem? – wyrzucała mu Magda.

— Nie pytałyście mnie o to — bronił się.

— Zapytałyśmy, czym się zajmujesz, a ty powiedziałeś, że masz dyplom z języków martwych — przypomniała mu Marisa.

— Nie chciałeś się przyznać — zawyrokowała Lola.

— Dlaczego? — dopytywała się Magda.

Podszedł do niego Fabián i inni członkowie zespołu.

— Widzę, że nie marnuje pan czasu, bardzo pan popularny – powiedział na powitanie. — Jestem Fabián Tudela, chciałbym pana przedstawić całemu zespołowi. Pokażę panu również, gdzie będzie pan mieszkał.

Gdy przedstawiali go Clarze, poczerwieniał jak burak, na co ona zareagowała śmiechem.

— Już mi ktoś doniósł, że łatwo się pan rumieni — powiedziała. — Jest pan gotów zostawić wszystko i przyłączyć się do nas?

— Oczywiście... zrobię wszystko, co mi państwo każą, ja... zresztą mam nadzieję, że znajdzie pani *Glinianą Biblię*.

— Znajdę ją. Wiem, że tu jest.

— Oby się pani poszczęściło.

— Dla pana, jako księdza, również będzie to niezwykle doświadczenie.

— Gdyby okazało się prawdą, że to patriarcha Abraham opowiedział, jak wyglądało stworzenie...

— Tak właśnie było. Zapewniam, że tak było i że znajdziemy te tabliczki.

— Czy wystarczy nam czasu?

— Pracujemy na akord. Jestem optymistką i mam nadzieję, że nie dojdzie do wojny i skończy się na pogroźkach.

— Obawiam się, że tak nie będzie — odpowiedział przygnębiony Gian Maria.

Fabián zaprowadził go do jednej z chat.

— Tu będzie pan spał. To jedyne miejsce, gdzie można upchnąć jeszcze jedną prycę — wytłumaczył mu, wchodząc do pracowni komputerowej.

Ante Plaskic nie wyglądał na zachwyconego tym, że będzie miał współlokatora. Wiedział jednak, że nie może i nie powinien się sprzeciwiać.

Ajed Sahadi również nie był zadowolony z przyjazdu księdza i poprosił Picota, by wyjaśnił mu, co łączy go z nowo przybyłym.

— Będę się starał jak najmniej przeszkadzać — zapewnił Maria.

— Mam nadzieję — mruknął Ante bez cienia sympatii.

Gian Maria zastanawiał się, dlaczego wzbudził niechęć Chorwata i nadzorcy robót, postanowił jednak, że nie będzie się niepotrzebnie zamartwiał. Miał już kłopot z Clarą Tannenberg, czuł się odpowiedzialny za jej bezpieczeństwo. Na tym polegała jego misja, taki był cel jego podróży do Iraku: nie pozwolić, by cokolwiek stało się tej kobiecie. Nie mógł po prostu podejść do niej i powiedzieć jej tego, co wie: że ktoś przygotowuje zamach na życie jej, a może też i jej ojca i rodzeństwa.

Nieraz wysłuchiwał w konfesjonale, jak straszne rzeczy gromadzą się w ludzkich sercach, i płakał, bo czuł się bezradny, gdy nie potrafił dać pocieszenia duszom umęczonym bólem, gotowym okrutnie się mścić. Duszom, które zaznały piekła za życia i w których nie było już miejsca na współczucie.

Teraz musi zdobyć zaufanie Clary, dowiedzieć się, czy poza Ahmedem ma jakąś rodzinę, i zapobiec temu, co jego zdrowy rozsądek kazał mu uważać za nieuniknione, jeśli nie dojdzie do boskiej interwencji.

* * *

Lion Doyle w skupieniu studiował informacje, jakie dostał od Toma Martina i doszedł do wniosku, że by zbliżyć się do Tannenberga, musi odnaleźć jego wnuczkę, Clare, ta zaś przebywa w okolicach Tall al-Mukajjar, prowadząc wykopaliska wraz z archeologami z różnych krajów Europy.

Wiedział już, że Alfred Tannenberg jest niedostępny, że przez dwadzieścia cztery godziny na dobę ma ochronę i że jego dom w Bagdadzie jest strzeżony nie tylko przez ochroniarzy, ale także przez żołnierzy Saddama.

Domu Tannenberga w Kairze również pilnowano. Lion wiedział, że można tam wejść i wyjść, jednak uznał ryzyko za zbyt duże. Stary był czujny, spodziewał się, że któryś z jego dawnych wspólników lub przyjaciół wykręci mu jakiś numer, więc na wszelki wypadek zwiększył środki bezpieczeństwa. Jego wnuczka będzie stanowiła list żelazny, bezpieczny sposób, by przekroczyć próg tego domu, i to głównym wejściem. Zresztą ona też ma zginąć, tak mówił jeden z punktów niepisanej umowy.

Zadzwoił do Toma Martina, uprzedzając go, że zajrzy do siedziby Global Group. Potrzebował jego pomocy, by zdobyć legitymację prasową.

— Irak stoi u progu wojny, zjeżdżają się tam dziennikarze z całego świata, dlatego najlepszym sposobem, by przedostać się tam niezauważenie, jest udawanie jednego z nich.

— Oszalałeś?! Korespondenci wojenni znają się jak tyse konie.

— Nieprawda, poza tym będę udawał niezależnego fotografa, jednak jakaś gazeta, tygodnik, musi wystawić mi legitymację prasową. A jak ktoś ich zapyta, powinni twierdzić, że są żywo zainteresowani opublikowaniem moich zdjęć. Kupiłem już używany profesjonalny sprzęt fotograficzny.

— Daj mi trochę czasu, zobaczę, co da się zrobić. Wydaje mi się, że mam już rozwiązanie.

— Im wcześniej, tym lepiej.

Dwie godziny później Lion Doyle wchodził do piętrowego domu na przedmieściach, na którego drzwiach wisiała tabliczka obwieszająca, że tu mieści się agencja fotograficzna „Photomundi”.

Dyrektor już na niego czekał. Był to wysoki, szczupły mężczyzna, kiedy mówił, odsłaniał drobne, ostre zęby.

— Przyniósł pan zdjęcie do legitymacji?

— Tak, proszę.

— Dziękuję, za chwilę przyniosę panu akredytację.

— Niech mi pan opowie coś o tej agencji — poprosił Lion.

— Zajmujemy się właściwie wszystkim, od zdjęć ślubnych po katalogi handlowe i fotografię prasową. Jeśli jakaś gazeta szuka fotografa do konkretnego zlecenia, dzwoni do mnie, ja posyłam im fotografa, oni mi płacą i po sprawie. Pomagam też ojczyźnie. Zdarzają się przyjaciele przyjaciół, którym potrzebna jest akredytacja, podobnie jak teraz panu. Zwracają się do mnie, płacą i nic więcej mnie nie interesuje.

— A co się dzieje, jeśli fotograf wpadnie w tarapaty?

— To jego sprawa. Ja nie mam nikogo na liście płac, wszyscy pracują na zlecenia. Ktoś mi powiedział, że wybiera się pan do Iraku, chce pan trochę popstrykać, a potem sprzedać obrazki jakiejś gazecie czy magazynowi. Nie ma sprawy, wydaję panu legitymację, jest na niej napisane: „Photomundi” i na tym kończy się moja odpowiedzialność. Jeśli zgłosi się pan ze zdjęciami, obdzwońię kilku znajomych w prasie, zobaczymy, czy nadają się do publikacji. Jeśli nikt ich nie zechce, pan ponosi wszystkie koszty, nie ja. Jeśli narobi pan jakiegoś gnoju, to pan, nie ja będzie się z niego wygrzebywał. Jasne?

— Jak najbardziej.

* * *

Archeologowie byli wyczerpani, ale poczuli przyływ energii, gdy dwa dni temu zespół pod kierownictwem Marty Gómez odkopał nową salę. Znaleźli prawie nietknięte posągi skrzydlatych byków wysokości pół metra oraz około dwustu tabliczek w doskonałym stanie.

Gian Maria ledwo nadążał z tłumaczeniem i przepisywaniem ich treści. Jednakże Yves Picot i Clara Tannenberg byli nieubłagani i popędzali go równie bezlitośnie co robotników i archeologów.

Clara zawsze była dla niego bardzo uprzejma, często przychodziła pomagać mu w pracy, więc spędzali razem dużo czasu. Widział jej desperację, którą po raz pierwszy ujrzał w dniu, w którym przemawiała na kongresie w Rzymie.

— Wiesz, Gian Maria, wprawdzie robimy duże postępy i zdaje się, że ta świątynia to ważne odkrycie, ale czasem zaczynam wątpić, czy znajdują się tu tabliczki Szamasa.

— Claro, a jeśli ten zapis nie istnieje? A jeśli patriarcha Abraham nigdy nie opowiedział Szamasowi o swojej wizji stworzenia?

— Ale tak jest napisane na tabliczkach mojego dziadka! Szamas wyraźnie o tym mówi.

— Jednak patriarcha mógł zmienić zdanie lub coś mu się mogło stać — zasugerował Gian Maria.

— Te tabliczki na pewno istnieją, tyle tylko, że nie wiem, gdzie są. Sądziłam, że znajdziemy je tutaj. Kiedy bomba wyłobowała krater, odkrywając dach świątyni, i odnaleźliśmy szczątki tabliczek, a na niektórych z nich imię Szamas, wydawało mi się, że to cud, że to nie może być przypadek... – mówiła Clara.

Gian Maria pomyślał, że rzeczywiście, byłby to cud, gdyby po tak długim czasie Tannenbergowie znaleźli tabliczki skryby zwanego Szamasem. Wierzył, że wszystko dzieje się z woli Boga, jednakże tym razem nie wiedział, co Bóg chciał im powiedzieć.

— A jeśli nie znajdowały się w świątyni? — zapytał.

— Jak to „nie znajdowały się w świątyni”? Co masz na myśli?

— Pisarze w świątyni mieli określone obowiązki: zajmowali się prowadzeniem rachunków, zarządzali tym przybytkiem, spisywali umowy kupna i sprzedaży... Znaleźliśmy przecież katalog roślin, listę minerałów... Może Szamas nie przechowywał w pałacu tabliczek z historią opowiedzianą przez Abrahama. Być może trzymał je w domu lub w jakimś innym miejscu?

Clara zadumała się nad tym, co powiedział Gian Maria. Być może miał rację, chociaż nie mogła pominąć milczeniem faktu, że w starożytnej Mezopotamii skrybowie przynosili na tabliczki epickie poematy, Genezis zaś, chociażby w wersji Abrahama, nie była jednak poematem.

Mimo to rozważała możliwość poszerzenia obszaru wykopalisk nawet bardziej, niż to planowali. Jedyne, co ją hamowało, to brak czasu. Kiedy zadzwonił do niej dziadek z Kairu, po raz pierwszy usłyszała pesymizm w jego głosie. Przyjaciele poinformowali go, że tym razem Amerykanie nie zadowolą się tylko bombardowaniem, lecz wkroczą do kraju.

Zresztą przekonanie Picota wydawało się niemal niemożliwe. Był nie mniej zdenerwowany niż Clara tym, że nie znajdują *Glinianej Biblii*, odmawiał jednak kopania w innym miejscu, gdyż oznaczałoby to, że robotnicy musieliby zostać rozdzieleni, co odbiłoby się niekorzystnie na tempie prac. Mimo to postanowiła, że porozmawia o tym z Yves'em. Być może Gian Maria ma rację.

Clara poczuła na plecach spojrzenie Ante Plaskica. Nie mógł to być nikt inny, Chorwat często przyglądał jej się ukradkiem, kiedy wchodziła do izby z komputerami lub siadała wraz z Gianem Marią lub innymi członkami zespołu, by czyścić tabliczki.

Ajed Sahadi również nie spuszczał z niej wzroku, jednak to jej nie niepokoiło. Dziadek powiedział, że ten człowiek ma jej bronić, i choć ona nie bała się nikogo, czuła się, jakby była pod ochroną. Wiedziała, jak bardzo Irakijczycy boją się podnieść rękę na kogoś, kto cieszy się względami Saddama, ona zaś wraz z całą rodziną, miała przyjaciół w kręgach zbliżonych do prezydenta. Nie musiała się niczego obawiać.

W niedzielę Yves, wiedząc, jak wszyscy są zmęczeni, zaproponował, by popołudnie przeznaczyć na odpoczynek. Clara i Gian Maria zignorowali jednak jego propozycję i siedzieli teraz we dwójkę, czyszcząc tabliczki w popołudniowym świetle. Ante siedział z założonymi rękami, przyglądając się obojgu, świadom tego, jak nieswojo czuje się ta kobieta pod jego spojrzeniem.

Łatwo będzie ją zabić. Udusi ją, nie potrzebuje żadnej broni, wystarczą ręce. Dlatego z takim zainteresowaniem studiował jej szyję, wyobrażając sobie chwilę, kiedy zaciśnie na niej palce.

Nie szanował ani trochę tej kobiety. Nie szanował zresztą nikogo. Czul się odrzucony, jedynie ksiądz starał się być dla niego miły. Nawet Picot zmuszał się, kiedy wypadało pochwalić go za pracę, chociaż Ante wywiązywał się ze swoich obowiązków z podziwu godną sumiennością.

Oprócz Clary będzie musiał zamordować również jej cerbera, Fatimę, szyczkę, która jak wierny pies nie odstępował swojej pani ani na krok, chodząc za nią nawet po chacie. Wyprowadzała go z równowagi, kiedy trzy razy dziennie klęczała z twarzą zwróconą w stronę Mekki i się modliła. Postanowił, że zabije też Ajeda Sahadiego, w przeciwnym razie ten ostatni nie zawaha się zabić jego. Nie miał wątpliwości, że nadzorca nie jest tym, za kogo się podaje. Wojskowi z pobliskiego garnizonu salutowali przed nim, jednak Ajed dawał im szybko znak, by tego nie robili. Lęk, jaki budził w ludziach, oznaczał, że wiedzą, iż to ktoś więcej niż zwyczajny nadzorca robotników. Ante zdążył zauważyć, że przynajmniej sześciu ludzi rozmawia z Ajedem częściej niż reszta, jakby łączyły ich sprawy, które nie dotyczą wykopalisk.

Wiedział również, że on sam jest pilnowany przez nadzorcę, który na wiele sposobów okazywał mu, że nie ma do niego zaufania, jakby go ostrzegał, by nie próbował żadnych sztuczek. Obydwaj byli mordercami i obydwaj zdawali sobie sprawę, z kim mają do czynienia.

Alfred Tannenberg wyszedł ze szpitala pewnym krokiem. Przebywał tam tydzień i czuł się bardzo słaby, nie chciał jednak, by ktokolwiek to zauważył. Ludzie, podobnie jak zwierzęta, wyczuwają u bliźnich słabość i wykorzystują ją, by zaatakować.

Rozmowa, którą przeprowadził ze swoim lekarzem, nie pozostawiała złudzeń: w najlepszym wypadku dożyje wiosny.

Lekarz nie chciał wyznaczać daty jego śmierci, lecz w końcu uległ naciskom i powiedział, że jeśli Tannenberg dotrwa do marca, może uznać, że wygrał ten czas na loterii. Musi więc dobrze wykorzystać czas, jaki mu pozostał, by zabezpieczyć przyszłość Clary.

Zostanie parę dni w Kairze, pozatratwia swoje sprawy, a potem wróci do Iraku. Zrobi wnuczce niespodziankę. Przyszło mu do głowy, by przeprowadzić się do Safranu, być przy niej do końca. Jeśli będą zmuszeni wyjechać z Iraku, zrobią to razem, o ile on oczywiście dożyje tej chwili. Wiedział, że po jego śmierci Clara nie będzie miała w nikim oparcia. Płacił swoim ludziom za ochranianie jej, ale przestaną się o nią martwić, kiedy on umrze, chyba że ktoś inny się tym zajmie. Dlatego potrzebował Ahmeda. Nie miał nic przeciwko rozwodowi, musi to jednak nastąpić po ich wyjeździe z Iraku.

Alfred nigdy nie wątpił, że Ahmed zgodzi się na taki układ, po pierwsze dlatego, że nie chciał szkodzić Clarze i wiedział, że pozosyawienie jej w Iraku oznacza dla niej śmierć, po drugie dlatego, że sprzeciwianie się życzeniom Alfreda oznacza podpisanie na siebie wyroku śmierci, a po trzecie, a może po pierwsze, ponieważ za ostatnią pracę dla organizacji miał dostać duże pieniądze, więc zrobi wszystko, czego się po nim oczekuje. Dlatego Alfred zażyczył sobie, by Ahmed od lutego zamieszkał w Safranie. Robert Brown, za pośrednictwem Mike'a Fernández, byłego pułkownika Zielonych Beretów, przysłał mu potwierdzoną informację, że atak nastąpi w marcu.

Z Mikiem Fernándezem umówił się późnym rankiem w swoim domu.

Były pułkownik Zielonych Beretów wiedział już, z jakim typem człowieka ma do czynienia, nie marnował więc czasu na próby wywiadzenia go w pole. Alfred Tannenberg zawsze wyprzedzał jego i Paula Dukaisa o parę kroków. Zdawało się, że wie nie tylko, co kto robi, ale również, co kto myśli.

Tego południa Fernández cierpliwie czekał na Alfreda w zacisznej bawialni jego domu, wokół którego z dnia na dzień kręciło się coraz więcej wartowników.

Zdawał sobie sprawę, że kamery znajdują się nawet na drzewach, którymi obsadzone były pobliskie ulice. Staruszek najwyraźniej uważał, że ktoś zechce go zabić, i nie miał zamiaru ułatwiać temu komuś zadania.

— Jakie wieści pan przynosi, pułkowniku? — zapytał Tannenberg na powitanie.

— Ludzie już tu są. Przystudiowałem z nimi mapy i chciałbym wiedzieć, czy moglibyśmy się przemieścić tak, by poznali miejsce, w którym będziemy czekali na ich ludzi.

— Nie, teraz nie mogą tego zrobić. Będą im musiały wystarczyć mapy, niech wbiją je sobie do głów.

— Ale pańscy ludzie przemieszczają się po całej strefie.

— Owszem i nic chcę mieć na karku obcych, zwłaszcza teraz. Kiedy zaczną się te fajerwerki, to co innego. Sukces operacji polega na zdyscyplinowaniu, na tym, by pan i pańscy ludzie postępowali zgodnie ze wskazówkami moich ludzi. Jeśli tak zrobią, ocala życie.

— Pan Dukais przygotował już plan operacji tak, by moi, chłopcy i cały ładunek mógł odlecieć wojskowymi samolotami do baz w Europie.

— Mam nadzieję, że wziął pan pod uwagę moje zlecenia i rozkazał, by część tego ładunku została przeładowana w Hiszpanii, a pozostała część w Portugalii. Oba kraje to sojusznicy i przyjaciele Stanów Zjednoczonych, oddani sprawie.

— Jakiej sprawie, proszę pana?

— Ależ oczywiście sprawie Busha i jego przyjaciół, a więc również naszych przyjaciół. To grubszy interes, przyjacielu.

— A pan? Gdzie pan będzie się znajdował, kiedy wybuchnie wojna? — chciał wiedzieć Fernández.

— To nie powinno pana obchodzić. Będę tam, gdzie trzeba. Jasir przekaze panu moje polecenia, będziemy cały czas w kontakcie, nawet kiedy nasi przyjaciele zaczną rzucać bomby.

— Przypuszczam, że zmartwi się pan, słysząc, że tym razem zamierzamy nie tylko bombardować, ale również wkroczyć do Iraku.

— Nie rozumiem, dlaczego miałyby to być powód do zmartwienia.

— Cóż, mieszka tam pańska rodzina i wielu wpływowych przyjaciół z kręgu Saddama...

— Ja nie mam przyjaciół, pułkownika, tylko interesy. Wszystko mi jedno, kto wygra. Nadal będę robił to, co robię. Pieniądze są jak kameleon, przybierają kolor zwycięzcy.

— Ale pan tam mieszka... Wiem, że ma pan piękny dom w Bagdadzie...

— Mój dom jest tam, gdzie jestem ja. Teraz zaś, jeśli pan pozwoli, chciałbym popracować, zamiast odpowiadać na pańskie pytania. Saddam jest moim przyjacielem i Bush też nim jest. Dzięki nim zrobię dobry interes, podobnie zresztą jak pan. A takich jak my znajdzie się jeszcze kilkuset.

— Będą ginęli ludzie, stracimy przyjaciół...

— Ja nie stracę żadnego przyjaciela i proszę sobie darować te sentymentalne bzdury.

Ludzie umierają codziennie, tyle tylko, że na wojnie umierają masowo, to wszystko.

Lion Doyle przyglądał się grupie siedzącej przy drugim końcu baru. Łatwo było się domyślić, że to dziennikarze. Dwóch nosiło się po wojskowemu: spodnie i kamizelki khaki, wysokie sznurowane buty.

Rozpoznawał dziennikarzy na odległość, bo wszyscy z maniackim uporem ubierali się w stylu militarnym, kiedy wysyłano ich na tereny objęte wojną. Wielu z nich nigdy nie było na froncie i nie opuszczało baru luksusowego hotelu, w którym się zatrzymywali, a który często mieścił się setki kilometrów od obszaru niebezpiecznego. W tej chwili Kuwejt był pełen dziennikarzy w barwach ochronnych, którzy nadawali korespondencje o napiętej sytuacji w regionie z hotelowego basenu.

Zdarzali się też tacy, którzy narażali życie, omijając kontrole i posterunki, zachowywali się z brawurą fanatyków przekonanych, że ich misją jest przesyłanie relacji z samego dna piekła, by ludzie na całym świecie mogli poznać prawdę. Tylko jaką prawdę?

— Czy mnie wzrok nie myli? Przecież to Lion!

Kiedy usłyszał swoje imię, spiął się.

— Witaj, Mirando! — wykrzyknął, gdy się odwrócił.

— Nie będziesz mi chyba wmawiał, że przyjechałeś do Ammanu na urlop.

— Nie, nie jestem na urlopie.

— Jesteś przejazdem, w drodze do...

— Do Iraku, podobnie jak ty.

— Ostatnim razem widzieliśmy się w Bośni.

— Ostatnim i zarazem pierwszym, jeśli mnie pamięć nie myli.

— Wmawiałeś mi, że jesteś kierowcą ciężarówki jakiejś organizacji pozarządowej, która wiozła żywność dla biednych Bośniaków, prawda?

— Ależ Mirando, nie musisz być taka pamiętliwa.

— A może mam powód? Zgadniesz jaki?

— Może taki, że musiałem nagle wyjechać z Sarajewa i nie zdążyłem się z tobą pożegnać?

Miranda roześmiała się, podeszła do niego i wspięła się na palce, by pocałować go w policzek. Potem przedstawiła go innemu mężczyźnie, który, stojąc obok, z rozbawieniem przyglądał się tej scenie.

— Przedstawiam ci Daniela. Najlepszy obiektyw na świecie. A to Lion... Lion... nie wiem jak dalej.

Lion nie zdradził swojego nazwiska, tylko uściśnął Danielowi rękę. Kamerzysta był od niego o wiele młodszy, miał najwyżej trzydzieści lat i włosy zebrane w kitkę. Spodobał się Lionowi, bo nie był przebrany za żołnierza, lecz, podobnie jak Miranda, nosił dżinsy, wysokie buty, gruby sweter i kurtkę przeciwdeszczową.

— Komu przybywasz na ratunek? — zapytała Miranda.

— Nikomu, teraz jestem twoim konkurentem.

— Nie opowiadaj! Jak mam to rozumieć?

— Nie powiedziałem ci o tym w Sarajewie, ale pracuję jako fotograf w agencji prasowej.

Miranda popatrzyła na niego nieufnie. Znała wszystkich korespondentów wojennych, nieważne, z jakiego kraju pochodzili. Spotykali się przy okazji każdego konfliktu, od Sarajewa po Palestynę i Czeczenię. Lion nie należał do ich grona, była tego pewna na sto procent.

— Jestem fotografem, ale nie prasowym — wyjaśnił, widząc jej nieufną minę. — Robię zdjęcia do katalogów handlowych, a kiedy nie ma pracy, obsługuję nawet śluby.

— I?

— W tym cholernym fachu nigdy nie ma dość zleceń, czasem muszę robić coś innego, chociażby pracować jako kierowca ciężarówki, czy cokolwiek się nadarzy. Agencja, która nas zatrudnia, ma również kontakty w prasie. Jej właściciel powiedział mi, że teraz gazety interesują się Irakiem i że jeśli zrobię dobre zdjęcie, to on je sprzeda. Postanowiłem więc spróbować szczęścia.

— Jak się nazywa ta agencja? — zapytał Daniel.

— „Photomundi”.

— A, znam ich! — ucieszył się. — Zatrudniają fotografów na umowy zlecenia. Czasem zostawiają ich na lodzie, nie kupiwszy od nich ani jednego zdjęcia. Mam nadzieję, że fotki z Iraku dobrze ci wyjdą, w przeciwnym razie wydasz niepotrzebnie masę forsy.

— Już mnie to sporo kosztuje — mruknął Lion.

— Cóż, jeśli możemy ci w czymś pomóc... — zaoferował się Daniel.

— Byłbym wam wdzięczny, bo nie jestem dziennikarzem. Gdybyście mogli udzielić mi pani wskazówek... To nie to samo co fotografowanie szparagów w puszcze do katalogu.

— Pewnie, że nie — westchnęła Miranda.

Daniel nie wydawał się tak nieufny jak jego koleżanka i zaprosił Liona, by przyłączył się do grupy dziennikarzy stojących w drugim końcu baru.

Lion wahał się przez kilka sekund. Nie chciał zacieśniać znajomości z dziennikarzami bardziej, niż to było konieczne, nie mógł również odrzucić zaproszenia, bo wydałoby się to podejrzane. Przyłączył się do nich i został przedstawiony kilkunastu korespondentom wojennym z różnych krajów, którzy omawiali właśnie szczegóły wyjazdu do Iraku.

Nie zwracali na niego uwagi. Nie znali go. Kiedy Miranda przedstawiła go jako fotografa reklamowego, który chce spróbować szczęścia jako reporter wojenny, wszyscy popatrzyli na niego z wyższością. Byli zaprawieni w boju, między jedną a drugą szklanką whisky opowiadali mu, że widzieli potworności, że nigdy nie zdołają się z tego otrząsnąć.

Następnego ranka wyjeżdżali kilkoma wynajętymi samochodami w stronę Bagdadu i zaproponowali mu, by się do nich przyłączył, jeśli zgodzi się zapłacić uzgodnioną część za wynajem auta. Lion zapytał, ile go to będzie kosztowało, i udając, że przelicza, czy oferta mu się opłaca, zgodził się, za co zebrał poklepywania po ramieniu.

Rano zgromadzili się wszyscy, zaspani i ziewający, w holu Intercontinentalu. Nie przypominali już radosnej drużyny z poprzedniego wieczoru. Alkohol i brak snu nie pozwalały o sobie zapomnieć.

Daniel zobaczył go jako pierwszy i podniósł rękę w geście pozdrowienia, Miranda natomiast się skrzywiła. Jej mina nie uszła uwagi kamerzysty.

— O co ci chodzi, przecież to twój kolega?

— Żaden kolega. Poznaliśmy się pod Sarajewem, podczas strzelaniny. Właściwie można powiedzieć, że ocalał mi życie.

— Co się stało?

— Serbska bojówka zaatakowała małą miejscowość nieopodal Sarajewa. Tego dnia byłam tam z kolegami z innych stacji telewizyjnych. Znienacka nas ostrzelano. Nie wiem, co się stało, ale zanim się spostrzegłam, zostałam sama na ulicy. Ukryłam się za samochodem, a kule przelatywały mi ze świstem nad głową. Z jakiegoś miejsca celował we mnie snajper. Nagle pojawił się Lion, nie wiem skąd. Po prostu nagle zobaczyłam go obok siebie. Kazał mi schować głowę i wyciągnął mnie stamtąd.

Kto wie, być może Serbowie postanowili zlikwidować nas wszystkich, jednak tego dnia doszli do wniosku, że bardziej im się opłaca wystąpić w wieczornym wydaniu

wiadomości, dali więc dziennikarzom szansę, by się wycofali. Lion wsadził mnie do ciężarówki i dowiózł do Sarajewa. Byłam pod wrażeniem. W tej dramatycznej sytuacji zachował się... Wyglądał... wyglądał jak żołnierz, nie jak szofer. Umówiliśmy się, że się później spotkamy, ale on przepadł jak kamień w wodę. Nie widziałam go aż do wczorajszego wieczoru.

— Ale nie zapomniałaś o nim.

— Nie, nie zapomniałam.

— A teraz wracają wspomnienia, nie wiesz, co myśleć, a przede wszystkim nie wiesz, czy chcesz być w jego pobliżu. A może się mylę?

— Danielu, bawisz się w psychoanalityka!

— Bo dobrze cię znam — odpowiedział Daniel z uśmiechem.

— To prawda. Przez ostatnie lata jesteśmy nierozłączni. Więcej czasu spędzam z tobą niż we własnym domu.

— Praca to praca. Esther skarży się na to samo, że więcej czasu spędzam z tobą niż z nią, a gdy w końcu docieram do domu, jestem tak zmęczony, że nic mi się nie chce.

— Poszczyli ci się z Esther...

— To prawda, jest fantastyczna. Inna na jej miejscu już dawno wystawiłaby mi walizki na ulicę.

— Nie wiem, dlaczego chciałeś tu przyjechać, skoro lada moment ma się urodzić wasze dziecko.

— Bo jesteśmy dziennikarzami i musimy być tam, gdzie coś się dzieje, a teraz takim miejscem jest Irak. Esther to rozumie, w końcu ona też pracuje w branży, chociaż zajmuje się reportażami z życia rodziny królewskiej.

Lion jechał w tym samym samochodzie co Miranda, Daniel i dwójka niemieckich reporterów.

Miranda nie była w najlepszym humorze, przez większą część podróży nie brała udziału w rozmowie.

Lion wiedział, że mimo subtelnego wyglądu jest twarda zarówno w pracy, jak i w życiu.

Chociaż szczupła i niska, bo nie miała nawet metra sześćdziesięciu, z czarną, krótko ostrzyżoną czupryną i jasnopiwnymi oczami, była żywiołem, miała charakter, potrafiła narzucić swoją wolę i wydawało się, że niczego się nie boi. Kiedy Lion znalazł ją w tamtym miasteczku pod Sarajewem, był zaskoczony, że mimo dramatycznej sytuacji nie wpadła w histerię.

Droga do Bagdadu była długa i spowita tumanami kurzu. Ruch panował większy niż zwykle o tej porze, gdyż wiele organizacji postanowiło wywieźć z Ammanu swój dobytek. W drodze minęły ich dwa konwoje ciężarówek i autobusy jadące w obu kierunkach. Na granicy jordańsko-irackiej Irakijczycy z autobusu usiłovali przekonać straż graniczną, by wpuściła ich do ich własnego kraju. Niektórym się powiodło, inni, po sprawdzeniu dokumentów, zostali aresztowani.

Dziennikarze wysiedli z samochodów, by sfotografować całe zdarzenie i zapytać, co się dzieje. Zamiast odpowiedzi usłyszeli jedynie pogroźki.

Hotel Palestyna z pewnością pamiętał lepsze czasy. Lion musiał się bardzo starać, żeby dostać pokój. Grzeczny recepcjonista, przytłoczony taką liczbą dziennikarzy cisnących się przy kontuarze i domagających się noclegu, powiedział mu, że wszystko jest już zarezerwowane. Lion postanowił zmiękczyć go napiwkami.

Sto dolarów otworzyło mu drzwi do pokoju na ósmym piętrze. Nie był to najbardziej reprezentacyjny apartament. Z kranu w łazience kapą, żaluzje nie dawały się opuścić, a kołdra na łóżku już dawno powinna była zostać uprana.

Wiedział, że gdy tylko inni dziennikarze rozgospczą się w swoich pokojach, zjedzą do baru. Żaden z nich aż do następnego dnia nie ruszy do pracy, chociaż niektórzy zaczęli już szukać tłumaczy i przewodników. Ministerstwo Informacji miało centrum prasowe, które zapewniało dziennikarzom z zagranicy tłumaczy, chociaż byli tacy, którzy woleli poszukać ich na własną rękę, gdyż władze domagały się od oficjalnych tłumaczy informacji na temat dziennikarzy, z którymi pracują.

— Potrzebny ci ktoś, kto by wszędzie z tobą chodził — poradził mu Daniel, kiedy spotkali się w barze.

— Nie mam na to pieniędzy. Postaram się sam wszystko załatwić. Już dość zainwestowałem w tę podróż... — tłumaczył się Lion.

— Nie spodoba im się, że jakiś brytyjski dziennikarz wtyka wszędzie nos.

— Postaram się nie pakować w tarapaty. Widzisz, chciałbym zrobić reportaż o życiu codziennym w Bagdadzie. Sądzisz, że gazety może to zainteresować?

— Wszystko zależy od jakości zdjęć, od ich treści. Musisz poszukać czegoś specjalnego.

— Postaram się. Jutro wyjdę o świcie, chcę sfotografować Bagdad budzący się ze snu. Położę się wcześniej, jestem zmęczony po podróży.

— Zjedz z nami kolację.

— Nie, bo będziecie siedzieli do późna. Zszedłem tylko napić się herbaty. Zaraz kładę się spać.

Daniel nie nalegał. Sam był zmęczony i też miał ochotę położyć się do łóżka.

Lion spał kamiennym snem. Nie kłamał, kiedy powiedział Danielowi, że jest zmęczony. Obudził się o świcie i po szybkim prysznicu wziął torbę z aparatami i wyszedł na ulicę. Musiał stworzyć pozory, że pracuje jako fotograf, dlatego całe przedpołudnie spędził na bazarze i przemierzał ulice Bagdadu. Fotografował wszystko, co przykuło jego uwagę, przede wszystkim udało mu się uchwycić puls miasta. Bagdad był miastem w stanie oblężenia, ludzie odczuwali niedostatek, jednak, jak zwykle w takich sytuacjach, niektórym nie brakowało niczego. Sklepy świeciły pustkami, jeśli jednak ktoś potrafił zapukać do odpowiednich drzwi, zdobywał produkty najlepszej jakości.

Podczas włączęgi po mieście Lion próbował wymyślić, jaki poda powód swojego wyjazdu do Safranu.

Kiedy po południu wrócił do hotelu, nie znalazł tam żadnego członka plembienia korespondentów. Postanowił sam udać się do Ministerstwa Informacji, by porozmawiać z osobą odpowiedzialną za kontakty z prasą i powiedzieć, dokąd chce pojechać.

Podobnie jak niemal wszyscy Irakijczycy, Ali Sidki nosił z dumą gęste czarne wąsy. Był to korpulentny mężczyzna, ale jego tuszę równoważył wysoki wzrost i energiczne ruchy. Ten drugi co do ważności w hierarchii centrum prasowego urzędnik starał się być zawsze miły dla dziennikarzy, którzy co dzień tłumnie przybywali do Bagdadu.

— Czym możemy panu służyć? — zapytał Liona.

Ten wytłumaczył mu, że jest niezależnym fotoreporterem, i pokazał legitymację z „Photomundi”. Ali spisał wszystkie dane Liona i zapytał o pierwsze wrażenia z Bagdadu. Po pół godzinie uprzejmej konwersacji Lion przeszedł do sedna.

— Chcę zrobić wyjątkowy reportaż. Wiem, że w Tall al-Mukajjar trwają wykopaliska, zdaje się, że w wiosce zwanej Safran. Chciałbym tam pojechać i zrobić reportaż, pokazać światu, jak starożytna Mezopotamia ujawnia swoje tajemnice. Słyszałem, że są tam archeologowie z połowy Europy, byłoby więc ciekawie pokazać, że mimo blokady w Iraku dzieją się takie rzeczy.

Słuchając Liona, Ali Sidki pomyślał, że taki reportaż może okazać się doskonałą reklamą dla reżimu. Nie wiedział, że w Iraku prowadzono teraz jakieś wykopaliska, ale nie

przyznał się do tego gościowi. Wysłuchał go z zainteresowaniem i obiecał zadzwonić do niego do hotelu, jeśli uda mu się sprawić, by jego szefowie zezwolili na podróż do Safranu.

Lion spędził popołudnie na fotografowaniu wszystkiego, co uważał za godne zainteresowania. Wrócił do hotelu wraz z ostatnimi promieniami słońca.

W recepcji spotkał Mirandę i Daniela. Oni również przed chwilą wrócili.

— Kogo widzę, nasz zaginiony! — przywitała go Miranda.

— Pracowałem przez cały dzień, a wy?

— My też nie marnowaliśmy czasu. Ludzie strasznie tu cierpią, widzieliśmy szpital, z trudem udało nam się powstrzymać łzy, tu brakuje wszystkiego — mówił przejęty Daniel.

— Tak, zdałem sobie sprawę, jakie są skutki blokady. A mimo to Irakijczycy są tacy mili dla obcych.

— Pamiętajcie, że sytuacja jeszcze się pogorszy. Bush i jego przyjaciele już się o to postarają — zapewniła Miranda.

— Cóż, Saddam to też nie aniołek — mruknął Lion.

— Oczywiście, że nie, ale Bushowi wcale nie chodzi o Saddama, tylko o ropę.

Ton głosu Mirandy wskazywał na to, że jest w bojowym nastroju, a Lion nie miał ochoty na dyskusje, więc nic nie odpowiedział. Bush był mu równie obojętny co Saddam, Przyjechał do Iraku, by wykonać zadanie, potem zaś wróci do spokoju swojej farmy u boku Marian. Daniel był jednak pod wrażeniem spaceru po Bagdadzie, nie mógł milczeć.

— To Irakijczycy muszą wyrzucić Saddama, nie my.

— Masz rację, jednak nie wydaje mi się, by to mogli zrobić. Tu, kiedy ktoś podnosi głowę, kończy w więzieniu i przy odrobinie szczęścia spotyka go szybka śmierć. Nie możemy oczekiwać cudów, ludzie znoszą życie pod butem dyktatora, bo trudno go obalić. Albo dostaną pomoc z zewnątrz, albo nadal będą cierpieć — odpowiedział Lion.

— Czasem to, co dostają z zagranicy, jest gównem warte. Saddam był chłopcem Amerykanów, tak samo jak Pinochet czy bin Laden. Teraz nie jest im do niczego potrzebny, więc trzeba z nim zrobić porządek. Zgoda, niech tak się stanie, nie widzę przeciwwskazań, problem polega jednak na tym, że przy okazji zamordują tysiące niewinnych ludzi i zniszczą kraj. Po wojnie Irak przestanie istnieć. — Miranda była coraz bardziej wzburzona.

— Nie kłóćmy się, najwyraźniej wszyscy mieliśmy trudny dzień. Idziemy na kolację?

Daniel powiedział, że jest zmęczony i woli pójść do swojego pokoju, Miranda natomiast przyjęła propozycję Liona. Poszli do restauracji, gdzie spotkali innych dziennikarzy. Usiedli przy stole, przy którym siedziało już dwóch hiszpańskich reporterów,

Irlandczyk, trzech Szwedów i czterech Francuzów. Dobrze, że przynajmniej wszyscy potrafili porozumieć się po angielsku.

Wszyscy dzielili się przeżyciami minionego dnia świadomi tego, że każdy zataja jakieś informacje. Poza dziennikarską solidarnością istniała również konkurencja.

Po kolacji, wraz z resztą dziennikarzy, rozsiedli się w barze. Lion był zafascynowany błyskotliwą wymianą zdań, anegdotami, jakie opowiadali.

— Wysłałeś już jakieś zdjęcia? — zagadnęła Miranda.

— Wyślę jutro. Mam nadzieję, że mi się poszczęści. Jeśli szybko się sprzedadzą, zostanę, jeśli nie, będę musiał wracać.

— Łatwo się poddajesz.

— Ja sam ująłbym to inaczej: jestem realistą i mogę sobie pozwolić tylko na pewne ryzyko. À propos, miałem cię zapytać, skąd jesteś?

— Dlaczego o to pytasz?

— Bo nie wiem. Pracujesz dla niezależnej stacji telewizyjnej, doskonale mówisz po angielsku, jednak słyszę lekki obcy akcent. Mówisz też po francusku, dobrze sobie radzisz, gdybym nie słyszał, jak mówisz po angielsku, pomyślałbym, że jesteś Francuzką. Potem jednak wdałaś się w dyskusję z tym gościem z telewizji meksykańskiej i tak się uniosłaś, że niemal nie dopuszczałaś go do głosu, można powiedzieć, że hiszpański masz w małym palcu.

— Czyżbyś był wścibski?

— Nie, ale czy masz powód, by nie odpowiadać na moje pytanie?

— Owszem, po prostu mi się nic chce. Widzisz, jestem znikąd. Nienawidzę flag, hymnów i całej reszty, która dzieli ludzi.

— Ale chyba gdzieś się urodziłaś?

— Owszem, gdzieś się urodziłam, jednak nie jestem ani stąd, ani skądinąd. Wybrałam bezpaństwowość.

— Masz paszport bezpaństwowca?

— Mam paszport jednego z krajów Unii, bo żeby przekraczać granice, trzeba udawać, że jest się kimś i że się skądś pochodzi.

— Nie musisz mi tego mówić.

— Powiem ci. Mój ojciec urodził się w Polsce, ale jego rodzice byli Niemcami. Moja matka urodziła się w Anglii, jednak jej ojciec był Grekiem, matka zaś Hiszpanką. A ja przyszedłam na świat we Francji. Powiedz, jak ci się wydaje, skąd pochodzę?

— Czym się zajmują twoi rodzice?

— Ojciec był malarzem, matka projektantką. Byli znikąd, mieszkali wszędzie. Nienawidzili granic.

— I nauczyli tego ciebie.

— Sama się tego nauczyłam, nie trzeba mi było dawać lekcji.

Miranda uznała rozmowę za zakończoną i przyłączyła się do ogólnej dyskusji.

Lion usłyszał, że hiszpańscy dziennikarze szykują wyprawę do Basry, gdy tymczasem Szwedzi zamierzają udać się do Tikritu, miejsca urodzenia Saddama Husajna.

— A ty, Lionie? Zostajesz w Bagdadzie?

Pytanie padło z ust dziennikarza z Francji, z grupy, którą poznał w Ammanie. Wahał się przez parę sekund, zanim odpowiedział.

— Chcę pojechać do dawnego Ur.

— Co zamierzasz tam robić? — dopytywał się Francuz.

— Dowiedziałem się, że grupa archeologów prowadzi tam wykopaliska, być może, jeśli zrobię dobry reportaż z tego miejsca, ktoś zechce go kupić.

— A gdzie dokładnie prowadzone są te wykopaliska?

— Już wiem, o którą misję archeologiczną ci chodzi – wtrąciła się Niemka. — Tę pod kierownictwem profesora Picota, prawda?

— Wydaje mi się, że tak. Prawdę mówiąc, niewiele o niej wiem, ale może się okazać ciekawa — odpowiedział Lion.

— Zdaje się, że odnaleźli pozostałości pałacu czy świątyni i że mogą być tam cenne tabliczki z jakąś wersją Księgi Rodzaju. Pojawiła się na ten temat publikacja we „Frankfurter Allgemeine Zeitung” — mówiła niemiecka dziennikarka. — Wiem o tym, bo kilku niemieckich naukowców i archeologów bierze udział w tej wyprawie. Nie przyszło mi jednak do głowy, że to może być ważne.

— Być może dla was nie jest to istotne, ale jeśli przywiozę z tych wykopalisk dobry fotoreportaż i agencja sprzeda go jakiemuś specjalistycznemu... — tłumaczył Lion.

— Pomysł nie wydaje mi się zły, być może uda się z tego zrobić ciekawy reportaż — orzekła włoska reporterka.

— Zanim Bush zacznie zrzucać bomby, musimy sobie wyszukiwać inne tematy — westchnął jeden ze Szwedów.

— O nie, chyba mi nie ukradniecie tematu, przecież jestem wolnym strzelcem! — zaprotestował Lion.

— Niczego ci nie ukradniemy. Tu wszystkim się dzielimy — uspokoiła go Miranda.

— Wy pracujecie dla stacji telewizyjnych i gazet, ja sam zapłaciłem za podróż...

— Nie marudź. To żadna tajemnica, że takie wykopaliska są prowadzone. Z tego, co mówi Otto, wynika, że prasa już o tym pisała — stwierdziła Miranda.

— We Włoszech również — zaznaczyła wysłanniczka agencji rzymskiej.

Lion jeszcze przez chwilę odgrywał rolę przejętego nowicjusza, potem zaś pożegnał się ze wszystkimi i położył spać. Musiał się przygotować do podróży do Safranu, niezależnie od tego, czy Ministerstwo Informacji zapali dla niego zielone światło, czy nie.

Obudził go dźwięk telefonu. Ali Sidki był w doskonałym humorze.

— Mam dla pana pomyslny wieści. Moi przełożeni uznali, że to dobry pomysł, by udał się pan do Safranu zrobić reportaż o misji archeologicznej. Zawieziemy tam pana.

— Bardzo pan uprzejmy, wolę jednak sam zorganizować sobie wyjazd.

— To niemożliwe. Można tam wjechać wyłącznie z rządowym pozwoleniem. To obszar pod kontrolą wojska, archeologowie mają oficjalną ochronę. Nikt nie może im przeszkadzać, trzeba uzyskać zezwolenie Bagdadu. Może pan więc jechać razem z nami albo nie jechać wcale.

Zgodził się. Nie miał innego wyjścia. Ali Sidki kazał mu jeszcze tego ranka wstąpić do centrum prasowego w ministerstwie, by ustalić szczegóły. Czy słyszał może, żeby jakiś inny kolega po fachu był zainteresowany wyjazdem do Safranu? Lion odparł, że woli z nikim nie dzielić się pomysłem, a jeśli już do tego dojdzie, to niech pozostali jadą tam, kiedy on wróci z gotowymi zdjęciami.

W Ministerstwie Informacji Ali Sidki przedstawił go swojemu zwierzchnikowi. Ten z wielkim entuzjazmem podszedł do pomysłu, by w Wielkiej Brytanii opublikować artykuł poświęcony profesorowi Picotowi i jego pracy.

— Europejscy intelektualiści nas nie opuszczą — powiedział zwierzchnik centrum prasowego.

Lion przytaknął. Było mu wszystko jedno, co myśli ten reżimowy urzędnik, który kazał mu wypełnić formularz i zrobił odbitkę ksero jego paszportu.

— Zadzwonimy do pana za parę dni. Niech pan będzie gotowy, mam nadzieję, że nie dostanie pan mdłości w helikopterze.

— Nie wiem, nigdy nie leciałem niczym podobnym – skłamał Lion.

Tom Martin odebrał wiadomość od Liona. Dyrektor „Photomundi” przekierował na jego adres e-mail, który dostał od fotografa, długi list z wrażeniami z Bagdadu. Lion zapewnił fotografa, że szczęście mu dopisuje, bo wkrótce będzie mógł udać się do miejsca zwanego Safranem. Przesłał również kolekcję zdjęć, błagając, by postarał się je sprzedać. Dyrektor „Photomundi” nie był specjalnie zainteresowany e-mailem Liona, zainkasował wystarczająco okrągłą sumę za to, by nie widzieć, nie słyszeć, a przede wszystkim by milczeć. Owszem, postara się sprzedać zdjęcia. Są lepsze, niż tego oczekiwał, zwłaszcza że nie spodziewał się dostać żadnych zdjęć.

W dalszej części listu Lion donosił, że przebywa już w Safranie i nawet ma na to błogosławieństwo urzędników reżimu Saddama.

Dzisiaj dotarłem do Safranu. Przewieźli mnie starym ruskim helikopterem, który nieziemsko hałasował.

Pracuje tu ponad dwieście osób. Szef wykopalisk, profesor Picot, postanowił wygrać walkę z czasem i stało się to jego obsesją. Poznałem najważniejszych członków zespołu, którzy chętnie informują mnie o doniosłym znaczeniu swojej pracy. Jeden z archeologów, niejaki Fabián Tudela, wyjaśnił mi, że świątynia, którą odkopują, pochodzi z czasów jakiegoś biblijnego króla, niejakiego Amrafela, króla Szinear. Mam nadzieję, że zdjęcia i reportaż okażą się interesujące, biorąc pod uwagę, jak ważną pracę wykonują archeolodzy.

W obozie panuje teraz ożywienie, gdyż wszystko wskazuje na to, że przyjeżdża tu na jakiś czas dziadek Clary Tannenberg. Wiadomość o tym dotarła tu przede mną, nikt nie rozmawia o niczym innym. To tajemnicza postać. Niektórzy drżą na sam dźwięk jego imienia. Wszystko wskazuje na to, że przybędzie tu za trzy lub cztery dni. Adaptują dla niego jedną z chat i sprowadzili meble aż z Bagdadu, by zapewnić mu wszystkie wygody.

Jako ciekawostkę zdradzę ci, że Clary Tannenberg pilnuje pewna kobieta, szyciarka, zakutana od stóp do głów w czarne szaty. Clara jada tylko to, co przygotowuje dla niej ta kobieta. Ta służąca ma zająć się również dziadkiem. Zrozumiałem, że starzec podróżuje w towarzystwie męża swojej wnuczki, który zajmuje ważne stanowisko w Ministerstwie Kultury, oraz lekarza i pielęgniarki, dla których robotnicy przygotowują kwaterę, nie mówiąc już o tym, że instaluje się tu szpital polowy sprowadzony aż z Kairu. Wydaje się więc oczywiste, że ten człowiek jest chory.

Opowiadam ci o tym, ponieważ wszystko tu kręci się wokół przyjazdu Tannenberga.

Cały ten obóz bardziej przypomina fortecę niż niewinną misję archeologiczną, mam jednak nadzieję, że reportaż będzie interesujący.

Prezes Global Group tylko się uśmiechnął. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że Lion Doyle doprowadzi do końca to, co nazywa „reportażem”.

Lionowi sprzyjało szczęście. Odnalezienie Tannenbergów w Iraku byłoby bardziej skomplikowane, gdyby nie fakt, że Tom Martin wiedział o ich istnieniu dzięki swojemu przyjacielowi Paulowi Dukaisowi. Pomyślał, że życie pełne jest niewiarygodnych niespodzianek, bo w jaki sposób wyjaśnić fakt, że Dukais poprosił go o ludzi do śledzenia Tannenberga? A niedługo potem zjawia się w jego biurze niejaki pan Burton, który oferuje mu dwa miliony euro za unicestwienie całej rodziny noszącej to nazwisko?

Wahał się, czy powinien opowiedzieć Paulowi Dukaisowi, jakie kokosy zbija na tych Tannenbergach, doszedł jednak do wniosku, że nie powinien tego robić. Lepiej milczeć, zwłaszcza że jego i Paula interesy ze sobą nie kolidują.

Wybrał numer telefonu tajemniczego i nieuchwytnego pana Burtona.

Dopiero po piątym sygnale usłyszał:

— Słucham?

— Panie Burton, chciałbym panu powiedzieć, że mój przyjaciel odwiedził pańskich znajomych. Dobrze im się wiedzie, zarówno dziadkowi, jak i wnuczce oraz jej mężowi. Niestety dziadek jest chory, nie wiem na razie, jak poważne jest to schorzenie, mam jednak nadzieję, że wkrótce się wszystkiego dowiem.

— Czy jest jeszcze ktoś z rodziny?

— O ile nam wiadomo, nie.

— Czy pański znajomy przekaze im to, o co prosiliśmy?

— Naturalnie.

— Czy są jakieś nowe informacje?

— Na razie nie, chyba że zechce pan go zapytać o jakiś konkretny drobiazg.

— Jestem żywo zainteresowany wszystkim.

— Pańscy przyjaciele znajdują się na południu kraju, w pewnym uroczym miasteczku. Wnuczka pracuje... jak by to określić... na czele licznego zespołu, dziadek zaś wkrótce się do niej wybiera. Proszę się nie martwić, są bezpieczni, mają zapewnioną prywatną ochronę.

— Czy coś jeszcze?

— Powiedzmy, że to z grubsza wszystko.

— Pojadę go odwiedzić.

— Nie wydaje mi się to konieczne. Jeśli się czegoś dowiem, zadzwonię do pana.

Berta podniosła wzrok znad książki i przyglądała się ojcu uważnie.

— Kto dzwonił?

— Z uniwersytetu — mruknął Hausser.

— Dlaczego w końcu nie przejdziesz na emeryturę? Nie powinieneś już pracować.

Od dawna słyszę, że masz ochotę wycofać się z życia zawodowego, żeby mieć czas na czytanie i rozmyślanie, ale nic nie robisz w tym kierunku.

— Pozwól mi dożyć moich dni tak, jak mi się podoba. Kiedy chodzę na uczelnię i mam kontakt z młodzieżą, czuję, że żyję. W moim wieku czas tak bardzo ciąży, bo jedyne, co nas otacza, to samotność.

— Przecież ty nie jesteś sam! — oburzyła się Berta, Czy my się nie liczymy? Ja i dzieci?

— Ależ córeczko, jesteś dla mnie najważniejsza na świecie! Zrozum jednak, że potrzebuję aktywności, uwierz mi, że jestem kimś więcej niż tylko zramolałym starcem i że jeszcze się do tego czy owego nadaję.

Wstał i przytulił córkę. Berta starała się opanować wzruszenie.

— Martwię się o ciebie, ostatnio bardzo dziwnie się zachowujesz.

— Berto, pozwól mi mieć tajemnice.

— Ja nigdy nie miałam przed tobą tajemnic...

— Ja jednak jestem twoim ojcem, a rodzice nie zwierzają się ze wszystkiego swoim dzieciom. Ty też nie opowiadasz wszystkiego swoim, może się mylę?

— Tato, moje dzieci są jeszcze małe.

— Dla mnie wciąż jesteś małą córeczką. Zresztą tylko żartowałem, nie mam przed tobą tajemnic, lubię jednak niezależność i kiedy wychodzę z domu, nie mam ochoty się tłumaczyć ani dokąd idę, ani kiedy wrócę. Zwłaszcza że tylko odwiedzam starych znajomych.

Hausser rozmawiał jeszcze przez chwilę z córką, chociaż z podniecenia kłuło go w żołądku. Tom Martin powiedział mu, że Alfred Tannenberg żyje, a to znaczy, że w końcu będą mogli zrobić to, co poprzysięgli zrobić, kiedy byli jeszcze dziećmi.

Musi zadzwonić do Mercedes, Carla i Brunona, by im o tym powiedzieć. Schorowany starzec to na pewno ten potwór, który uwił sobie gniazdo w ich wnętrznościach.

Najpierw zadzwonił do Mercedes. Wiedział, że przyjaciółka nie śpi i prawie nic nie je od dnia, kiedy Carlo zadzwonił do nich z Rzymu, by oznajmić, że prawdopodobnie odnalazł Tannenberga.

Mercedes słuchała Hansa, czując duszności i przyspieszone bicie serca.

— Chciałabym tam pojechać — powiedziała.

— To byłoby nierozsądne.

— Powinniśmy zabić Tannenbergę własnymi rękami i powiedzieć mu, dlaczego ginie.

— Ależ proszę, Mercedes!

— Niektóre rzeczy trzeba robić osobiście — upierała się Mercedes.

— Owszem, ale w tych okolicznościach nie możemy tak postąpić. Ten człowiek przebywa w Iraku, w jakiejś miejscinie na południu kraju, strzeżony przez uzbrojonych ochroniarzy.

— Masz córkę, wnuki, Carlo i Bruno również mają rodziny, rozumiem więc, że jesteście ostrożni, ja jednak jestem sama, nikogo nie mam, w moim wieku jedyne, co mnie czeka, to starzenie się w samotności. Nie mam nic do stracenia.

Hausser się przestraszył. Wiedział, że Mercedes, jeśli się uprze, pojedzie do Iraku i spróbuje zabić Tannenbergę.

— Wiesz, Mercedes, nigdy bym ci nie wybaczył, gdyby Tannenberg przeżył z twojej winy.

— Z mojej winy?

— Tak. Jeśli pojedziesz do Iraku, zatrzymają cię, gdy tylko spróbujesz się do niego zbliżyć, i całą operację szlag trafi. Jedyne, co osiągniesz, to to, że Tannenberg będzie nadal żył, ty trafisz do irackiego więzienia, my zaś... nas też zamkną.

— Wcale nie musi stać się tak, jak mówisz.

— Pycha odebrała ci zdrowy rozsądek?

Mercedes milczała. Hans głęboko ją zranił. Wiedziała, że to ona ma rację. Niemniej... Przez całe życie śniła o dniu, w którym zatopi nóż we wnętrznościach Tannenbergę, mówiąc mu prosto w twarz, dlaczego go zabija.

Przeżyła wiele koszmarnych nocy, podczas których wyobrażała sobie, jak podchodzi do niego i wydrapuje mu oczy. Kiedy indziej znów gryzła go jak wilczyca, aż tonął w kałuży krwi.

Powtarzała sobie, że to ona musi odebrać mu życie, i pragnęła, by wiedział, kto go zabija.

Głos Hansa przywrócił ją do rzeczywistości.

— Mercedes, mówię do ciebie.

— Słucham cię, słucham...

— Porozmawiam z Carlem i Brunonem, nie zamierzam skończyć w więzieniu tylko dlatego, że pycha i gniew pozbawiły cię zdrowego rozsądku. Jeśli się wtrącis, nie chcę nic wiedzieć o tej sprawie, wycofuję się, nie liczcie na mnie.

— Co powiedziałaś?!

— Że jeszcze nie oszalałem i odmawiam narażania się na niepotrzebne ryzyko. Carlo, Bruno, ja i ty jesteśmy starymi ludźmi i musi nas ktoś wyręczyć. Jeśli zmieniłaś zdanie, powiedz mi, a ja ci powtórzę: nie licz na mnie, jeśli chcesz zrobić jakieś głupstwo.

— Zdenerwowałaś się.

— Zapewniam cię, że to coś więcej niż zdenerwowanie.

— Jedynym celem mojego życia jest ujrzenie wszystkich Tannenbergów, jak zwijają się z bólu.

— Nie trzeba jednak zadawać im tego bólu osobiście.

— Nigdy nie zostawicie mnie samej, wiem o tym.

— Przemyśl to, co ci powiedziałem. Zadzwoń teraz do Carla i Brunona. Do widzenia.

Hausser odłożył słuchawkę. Było mu przykro, że tak ostro potraktował przyjaciółkę, ale stało się tak tylko dlatego, że się jej bał, bał się, tego, do czego jest zdolna. W życiu Mercedes nigdy nie było ważniejszego celu niż odnalezienie Tannenberga i zabicie go. Wiedział, że potrafiłaby to zrobić.

Carlo Cipriani zmartwił się, kiedy Hausser opowiedział mu, jaka była reakcja Mercedes. Tak samo zareagował Bruno. Uzgodnili, że Carlo pojedzie do Barcelony i spróbuje przekonać Mercedes, by nie robiła niczego bez porozumienia z resztą. Bruno nalegał, że z nim pojedzie, jednakże zarówno Hans, jak i Carlo wiedzieli, że jeśli ich przyjaciel uda się do Barcelony, Deborah znów zacznie histeryzować, przekonali go więc, by został w Wiedniu. Jeśli Carlowi nie uda się przywołać Mercedes do porządku, spróbują tego całą trójką, zaczekają jednak, aż okaże się to naprawdę konieczne.

W Barcelonie lało jak z cebra. Carlo zapiął płaszcz i cierpliwie czekał na postoju taksówek. Miał ze sobą neseser z niezbędnymi drobiazgami, gdyby się okazało, że musi zostać na noc, zamierzał jednak wrócić tego popołudnia do Rzymu. Wszystko będzie zależało od tego, jak uparta okaże się Mercedes.

Budynek, w którym mieściła się, siedziba jej przedsiębiorstwa, stał na stoku wzgórza Tibidabo. Recepcjonistka zaprowadziła go do pokoju dla gości i poprosiła, by usiadł i poczekał na panią Barredę. Wróciła, zanim upłynęła sekunda, za nią zaś Mercedes.

— A co ty tu robisz? — zdziwiła się.

— Załatwiałem coś w Barcelonie i przyszło mi do głowy, że wpadnę i cię odwiedzę.

Mercedes wzięła go pod ramię i poprowadziła do swojego gabinetu. Kiedy sekretarka podała im kawę i zostali sami, popatrzyli na siebie nieufnie.

— Hans cię tu przysłał? — spytała Mercedes.

— Nie, sam wpadłem na ten pomysł. Ale Hans i Bruno bardzo mnie zaniepokoiłi. Co ty kombinujesz?

— Czy tak trudno zrozumieć, że chcę go zabić?

— Owszem, potrafię to zrozumieć, ja również tego chcę, podobnie jak Hans i Bruno. Nie tak jednak powinniśmy to zrobić. Nie własnymi rękami.

— To nie może być trudne, wbić komuś nóż w brzuch.

— Ale trudno jest dostać się do Iraku, trudno jest dojechać tam, gdzie on przebywa. Jak zresztą wytłumaczysz swoją obecność? Trudno byłoby znaleźć moment, kiedy będzie sam. Dlatego wynajęliśmy zawodowca, człowieka, który wie, co należy robić w takich sytuacjach, który wie, jak się zachować, który potrafi zabijać i wyczuje odpowiedni moment. My nie potrafimy tego zrobić, choćbyśmy go nienawidzili ze wszystkich sił, choćbyśmy czuli, że możemy go zabić własnymi rękami.

— Nie pozwalacie mi nawet spróbować... — zaczęła Mercedes.

— Mercedes! Jeśli spróbujesz i ci się nie uda, nikt nie będzie mógł nawet zbliżyć się do Tannenberga. Uniemożliwisz zemstę. Nie masz prawa tego robić!

— Więc i ty się na mnie złościś — westchnęła Mercedes.

— Ani ja, ani Bruno, ani Hans nie jesteśmy na ciebie źli. Nie zmuszaj nas jednak, byśmy ci powtarzali to, co sama wiesz. Całą naszą czwórkę łączą nierozzerwalne więzi, na dobre i na złe. Tyle tylko, że w takich sprawach nie masz prawa działać bez naszej zgody, to nie twoja zemsta, Mercedes, to nasza zemsta, nas wszystkich, przysięgliśmy, że zrobimy to razem.

— Dlaczego nie mielibyśmy pojechać tam wszyscy?

— Ponieważ to bardzo nierozsądne.

Zapadła cisza.

— Wiem, że macie rację, ale... — odezwała się w końcu Mercedes.

— Jeśli pojedziesz, zniszczysz nas, a i tak nie uda ci się zabić Tannenberga. Niczego nie osiągniesz. Jeśli zamierzasz tak zrobić, lepiej od razu mnie uprzedź.

— Czuję się okropnie.

— Chcę tylko, żebyś to przemyślała, żebyś się zastanowiła. Przecież potrafiłaś myśleć rozsądnie przez te wszystkie lata, przez te wszystkie miesiące, od kiedy wiemy, że Tannenberg żyje.

— Arabowie mówią, że zemsta to danie, które najlepiej smakuje serwowane na zimno.

— Mają rację. Tylko na chłodno można myśleć o zemście. My nie zapomnieliśmy, nigdy nie przebaczymy, musimy jednak działać rozważnie. W przeciwnym razie wszystkie nasze cierpienia pójdą na marne.

— Muszę się nad tym zastanowić.

— Nie, chcę usłyszeć odpowiedź. Chcę wiedzieć, czy powinniśmy odwołać operację w Iraku. Nie możemy narażać życia człowieka, którego tam posłaliśmy.

— To zawodowy morderca.

— Sama powiedziałaś: zawodowy. Jeśli więc narazimy na niebezpieczeństwo jego życie, przeszkadzając mu w pracy, będziemy musieli ponieść tego konsekwencje. Wynajęliśmy agencję, agencję morderców.

— Agencję bezpieczeństwa.

— Mercedes, obudź się, ci ludzie biorą pieniądze za mordowanie.

— Masz rację, musimy darować sobie głupie pomysły.

— Co zamierzasz zrobić?

— Myśleć, Carlo, myśleć.

— Więc cię nie przekonałem?

— Nie wiem, muszę się dobrze zastanowić.

— Na Boga, Mercedes, nie zrób czegoś szalonego.

— Nigdy was nie okłamię, nie powiem wam, że czegoś nie zrobię, dopóki się nie zastanowię, czy na pewno z tego rezygnuję. Wolę, żebyście mnie nienawidzili, niż gdybym miała was okłamywać.

— To znaczy, że wolisz, by Tannenberg żył — zawyrokował Carlo.

— Nie! — krzyknęła oburzona Mercedes. — Jak możesz tak mówić? Chcę go zabić sama. Tego chcę!

— Widzę, że ta rozmowa do niczego nie prowadzi. Zawieśmy operację. Hans zadzwoni do Toma Martina, żeby odwołał tego człowieka. Sprawa zakończona.

Mercedes popatrzyła na Carla wściekłym wzrokiem. Wbiła paznokcie w dłoń, gorycz wykrzywiła jej usta w przeraźliwy grymas.

— Nie możecie tego zrobić — syknęła przez zęby.

— Owszem, możemy. Postanowiłaś złamać naszą przysięgę i narazić na fiasko całą operację. Jeśli nie jedziesz już z nami na jednym wózku, sprawa zakończona. Rezygnujemy z zemsty. Nigdy ci tego nie wybaczymy, nigdy. Po tylu latach poszukiwań wreszcie go znaleźliśmy, mamy Tannenberga i jego wnuczkę, moglibyśmy ich zabić, już prawie jesteśmy u celu, ty jednak postanowiłaś nam w tym przeszkodzić, bo uznałaś, że musisz dokonać tego sama. Doskonale, rób jak chcesz. Od tej chwili możesz pójść swoją drogą.

Na lewej skroni Carla pulsowała nabrzmiała żyłka, zdradzając, jak bardzo jest zdenerwowany.

Mercedes odczuwała przejmujący ból w klatce piersiowej, odezwało się całe napięcie minionych tygodni.

— Co ty mówisz, Carlo...

— Że nigdy więcej się nie spotkamy. Że wraz z Hansem i Brunonem nie chcemy o tobie słyszeć, że nigdy ci nie wybaczymy.

Carlo był wyczerpany. Kochał Mercedes całym sercem i współczuł jej, nie mógł jednak ustąpić.

— Nie przyjmuję ultimatum — odezwała się Mercedes, blada jak ściana.

— My również nie.

Znów zapanowała cisza, ciężka cisza, będąca zapowiedzią końca ich przyjaźni.

Carlo wstał z fotela, popatrzył na Mercedes i poszedł do drzwi.

— Wychodzę. Jeśli zmienisz zdanie, zadzwoń do każdego z nas, postaraj się jednak zrobić to przed wieczorem. Jutro Hans pojedzie do Londynu, żeby zerwać kontrakt z Tomem Martinem.

Mercedes nie odpowiedziała. Siedziała, jak przez cały wieczór, wciśnięta w kanapę. Sekretarka, która weszła do gabinetu parę minut później, przestraszyła się na jej widok. Ujrzała antypatyczną staruszkę, jak gdyby tysiące drobnych zmarszczek, które przez wiele lat ukrywały się pod jej skórą, nagle się ujawniły, a jej zwykle spokojną twarz zniekształcał teraz szpetny grymas.

— Pani Mercedes, dobrze się pani czuje?

Mercedes nie usłyszała pytania i nie odpowiedziała. Sekretarka podeszła do niej i ostrożnie położyła rękę na jej ramieniu.

— Źle się pani czuje? — powtórzyła.

Mercedes oprzytomniała.

— Tak, jestem trochę zmęczona.

— Coś pani podać?

— Nie, nie trzeba.

— Odwołać lunch z burmistrzem?

— Nie, w żadnym wypadku. I połącz mnie, proszę, z architektem tej budowy w Mataró, jak tylko uda ci się do niego dodzwonić.

Sekretarka zawahała się, ale nie odważyła się sprzeciwić swojej szefowej, bo wiedziała, że nie należy ona do kobiet, które można by do czegokolwiek przekonać.

Kiedy Mercedes została sama, odetchnęła głęboko. Miała ochotę się rozplakać, ale już od wielu lat, od śmierci babki, nie pozwalała sobie na uronienie choćby jednej łzy.

Na dźwięk telefonu aż podskoczyła. Pomyślała, że może dzwoni Carlo, ale sekretarka powiadomiła ją, że ma na linii architekta budowy w Mataró.

Carlo Cipriani był zdruzgotany. Rozmowa z Mercedes przeobraziła się w wyczerpującą potyczkę. Wiedział, że jej nie przekonał, będzie musiał zadzwonić do Hansa i Brunona, by wspólnie zadecydowali, jakie podjąć kroki.

Jeżeli Mercedes pojedzie do Iraku, nie tylko narazi się na niebezpieczeństwo, ale zniweczy całą starannie zaplanowaną operację. Muszą postanowić, co dalej, być może Bruno powinien z nią porozmawiać, może poszczęści mu się bardziej niż Hansowi i jemu samemu.

Na lotnisku, kiedy odebrał już kartę pokładową na pierwszy samolot odlatujący do Rzymu, udał się na poszukiwanie telefonu, by zadzwonić do przyjaciół.

Odebrała Deborah i poprosiła, by zaczekał, zaraz poprosi Brunona.

— Gdzie jesteś, Carlo?

— Na lotnisku w Barcelonie. Mercedes nie chce słuchać głosu zdrowego rozsądku, pokłóciliśmy się, jestem wykończony. Miałem z nią ciężką przeprawę.

Bruno miał nadzieję, że Carlo zdoła przekonać Mercedes. Jeśli jednak on nie potrafił tego zrobić, nikomu się to nie uda.

— Bruno, jesteś tam?

— Przepraszam, zamyśliłem się. Co zrobimy?

— Zawieśmy operację.

— Nie! — wykrzyknął Bruno.

— Nie mamy wyjścia. Jeśli Mercedes będzie obstawała przy swoim, szaleństwem byłoby kontynuowanie akcji. Hans musi pojechać do Londynu...

— Nie! Tylko nie to. Nie możemy zatrzymać czegoś, co już zostało uruchomione. Czekaliśmy na to całe życie, a teraz mielibyśmy się wycofać? Nie chcę o tym słyszeć.

— Ależ proszę cię, Bruno, nie mamy wyjścia.

— Jeśli chcecie się wycofać, proszę bardzo. Pojadę do Londynu, porozmawiam z tym człowiekiem i poniosę koszty operacji.

— Chyba wszyscy poszaleliśmy.

— Nie, to Mercedes oszalała. To ona stwarza problemy — przypomniał Bruno.

— Proszę cię, nie kłóćmy się, powinniśmy się spotkać. Pojadę do Wiednia.

— Tak, trzeba się spotkać. Zadzwońię do Hansa.

— Daj mi parę minut, sam do niego zadzwonię. Pewnie umiera z ciekawości co z Mercedes.

— Zgoda. Potem niech któryś z was do mnie zadzwoni i mi powie, gdzie możemy się umówić.

Hans Hausser czekał niecierpliwie na telefon od Carla, chociaż nie spodziewał się go zbyt szybko. Nie tracił nadziei, że uda mu się przekonać Mercedes, i poczuł, że świat usuwa mu się spod nóg, kiedy dowiedział się, że to się nie udało. Postanowili, że spotkają się w Wiedniu następnego dnia. Wtedy zdecydują, co robić.

Kiedy Carlo dotarł do Rzymu, od razu poszedł do przychodni. Miał ochotę zobaczyć się z dziećmi, odetchnąć normalnością.

Lara i Antonino jeszcze nie wrócili z lunchu, nie było też Marii, sekretarki.

Na biurku znalazł kartę choroby żony swojego przyjaciela, którą za parę dni miał operować Antonino. Zaniepokoiły go wyniki analiz i EKG. Będzie musiał porozmawiać o tym z synem.

Zadzwoił do Alitalii i zarezerwował bilet na samolot do Wiednia. Wyleci o siódmej rano następnego dnia i wróci wieczorem. Mniej się męczył, podróżując w tę i z powrotem tego samego dnia, niż kiedy musiał nocować poza domem. W dodatku jego dzieci o niczym nie wiedziały i nie martwiły się o niego, przekonane, że przebywa w Rzymie.

Pierwsza wróciła Lara.

— Nie widziałam cię dzisiaj rano, w domu też cię nie było — powiedziała na powitanie.

— Widziałem wyniki analiz i EKG. Nie wyglądają najlepiej — Carlo od razu przeszedł do rzeczy.

— Antonino też się martwi.

— Chcę wiedzieć, co on o tym sądzi. Zanim cokolwiek zrobimy, muszę porozmawiać z Giuseppe.

— Antonino zastanawia się, czy w ogóle powinien ją operować.

— Zobaczymy. Powtórzmy badania. Na wszelki wypadek opóźnimy operację o parę dni, aż będziemy mieli pewność, że to najlepsze rozwiązanie.

— Nowotwór mógł dać przerzuty na jelita.

W tej chwili weszła Maria, a za nią Antonino.

— Cześć, tato! Gdzie się podziewałeś?

— Załatwiałem różne sprawy.

— Wyglądasz na zmęczonego.

— Pomówmy o Carol.

— Moim zdaniem nastąpiły przerzuty z żołądka do jelit. Sam nie wiem, co zobaczymy, kiedy ją otworzymy.

— Nie jestem pewny, czy należy ją operować.

— Nie jest najmłodsza...

— Wiem, jest moją rówieśniczką, ma siedemdziesiąt pięć lat.

— Nie jest jednak w tak dobrej formie jak ty.

— Co proponujecie? Łagodzić ból i pozwolić jej umrzeć?

— Nie, ja proponowałbym powtórzyć badania. W tym celu powinniśmy skierować ją do kliniki Gemelli, a potem zdecydować — orzekł Antonino.

— Dobrze, w takim razie zadzwonię do dyrektora kliniki, żeby jeszcze dzisiaj zrobiono ultrasonografię. Jutro powtórzycie pozostałe badania, a pojutrze zostanie przyjęta do szpitala. Teraz pozwólcie, że zadzwonię do Giuseppe.

Przez resztę popołudnia pracował w swoim gabinecie. Kiedy wyszedł, była prawie dziewiąta. Był zmęczony, następnego dnia musi wstać o świcie.

Deborah przyjęła ich z niezadowoloną miną. Bruno był spięty, widać pokłócił się z żoną.

— Jest uparta i nie rozumie tego, co robimy — narzekał.

— A czy wie, co robimy? — zapytał zaniepokojony Hans.

— Nie, nie wie, jakie mamy zamiary, ale owszem, wie, że go znaleźliśmy. Chodzi o to, że to moja żona...

— Ja również opowiedziałem wiele rzeczy mojej małżonce — przyznał się Carlo.

— A ja mojej, więc nie macie się o co martwić — dodał Hans.

Kiedy Deborah weszła do salonu z kawą na tacy, posłała im pełne wyrzutu spojrzenie.

— Deborah, zostaw nas samych, proszę, musimy porozmawiać — poprosił Bruno.

— Dobrze, zostawię was, najpierw jednak chciałaby wam coś powiedzieć. Nacierpiałam się nie mniej niż wy, ja również przeszłam piekło, straciłam rodziców, przyjaciół. Bóg chciał, bym ocalała, i dziękuję mu za to. Przez całe życie modliłam się, by nienawiść i żal nie strawiły mojej duszy. Nadal nie mogę powiedzieć, że mi się to udało. Wiem jednak, że nie możemy wymierzać kary własnymi rękami, bo to czyni z nas oprawców. Istnieją sądy i trybunały sprawiedliwości; tu, w Niemczech i w całej Europie. Moglibyście doprowadzić do procesu. To powołane do tego instytucje powinny wymierzać sprawiedliwość. Czym się staniecie, jeśli każecie zamordować tego człowieka i jego rodzinę?

— Nikt nie powiedział, że zamierzamy go zamordować — odpowiedział spokojnie Bruno.

— Znam was, znam ciebie. Całe życie czekacie na tę chwilę. Wzajemnie podsycaliście swoje pragnienie zemsty tamtą przysięgą, złożoną, kiedy byliście dziećmi. Żaden z was nie ma odwagi się wycofać. Bóg wam tego nie daruje.

— Oko za oko, ząb za ząb — tylko tyle miał do powiedzenia Hans.

— Widzę, że równie dobrze mogłabym mówić do ściany, na próżno strzępię sobie język — westchnęła Deborah, wychodząc z salonu.

Trzej mężczyźni milczeli przez chwilę. Potem Carlo zrelacjonował im kłótnię z Mercedes. Uzgodnili, że zadzwoni do niej Bruno.

— Nie odwołujemy jednak operacji — upierał się Bruno.

— W każdym razie należy poinformować Toma Martina o sytuacji — zasugerował Hans.

— Mógłbyś do niego pojechać i wytłumaczyć mu, co się stało, ale musimy jeszcze poczekać, może się okaże, że Bruno zdoła przekonać Mercedes. Ja nie potrafiłem.

— Nie przejmuj się, Carlo, zrobiłeś wszystko, co w twojej mocy – pocieszał go Bruno. — Dobrze znamy Mercedes. Mam mniejsze szanse niż ty, żeby ją przekonać.

— Jest niewiarygodnie uparta... Może gdybyśmy poszli do niej wszyscy... — zasugerował Hans.

— Nic by to nie pomogło — uciął Bruno.

— W takim razie zadzwoń do niej. Zobaczymy, co powie, a potem ustalimy, co robić — odpowiedział Hans.

Bruno wyszedł z salonu, kierując się w stronę swojego gabinetu. Nie chciał, żeby Deborah słyszała rozmowę.

Mercedes była w swoim biurze. Miała smutny głos.

— Bruno, jestem wykończona.

— My również.

— Zrozumcie mnie, proszę was.

— Nie, ty nas o nic nie prosisz. Jedyne, czego chcesz, to żebyśmy byli biernymi statystami. Doszłaś do wniosku, że nasza czwórka nie jest już jednym organizmem, przez co łamiesz przysięgę. Chciałbym, żebyś się nad tyrn zastanowiła, ponieważ bardzo przez ciebie cierpimy.

Zapadła cisza. Słyszeli swoje oddechy w słuchawkach, ale ani Mercedes, ani Bruno nie mogli wykrztusić choćby słowa. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność. W końcu ciszę przerwał Bruno.

— Jesteś tam, Mercedes?

— Tak, Bruno, ale nie wiem, co odpowiedzieć.

— Chcę tylko, żebyś wiedziała, że odkąd wydarzyło tamto, nigdy nie cierpiałem tak jak przez ostatnie dni. Hans i Carlo czują się podobnie. Najgorsze, że z powodu twojego zachowania wszystkie te lata starań poszły na marne. Twoja babka by tak nie postępowała, dobrze o tym wiesz.

Znów zapadła cisza. Bruno był wyczerpany. Zaszło mu w ustach i bolał go brzuch, do oczu cisnęły się łzy.

— Przykro mi, że zadaję wam ból — wyszeptwała Mercedes.

— Przekreślasz całe lata naszego życia. Jeśli nadal będziesz tak robiła, nie chcę już żyć.

Bruno był naprawdę zrozpaczony. Nie musiał niczego udawać, jego słowa płynęły z głębi duszy. Werbalizował swój niepokój i obawy swoich przyjaciół.

— Przykro mi, przepraszam — powtórzyła Mercedes. — Nie zrobię żadnego ruchu, wydaje mi się, że niczego nie zrobię.

— Nie wystarczy mi twoje „wydaje mi się”, muszę wiedzieć, jak będzie naprawdę — naciskał Bruno.

— Nie zrobię. Daję słowo honoru. Jeśli zmienię zdanie, powiem wam o tym.

— Nie możesz trzymać nas w niepewności...

— Nie, nie mogę, ale nie mogę też kłamać. Zgoda, niczego nie zrobię. Nie zamierzam niczego robić, ale gdybym miała znów zmienić zdanie, na pewno się o tym dowiecie, zadzwonię do was.

— Dziękuję.

— A co z Carlem i Hansem?

— Są tak samo zdruzgotani jak ja.

— Możesz ich uspokoić. Są jakieś wieści stamtąd?

— Nie. Trzeba czekać.

— Więc czekajmy.

— Dziękuję ci, Mercedes.

— Nie dziękuj, to ja powinnam was przeprosić.

— Nie trzeba, najważniejsze, żebyśmy trzymali się razem.

— O mało nie wyrzuciłam na śmietnik naszej przyjaźni. Przepraszam.

— Nic nie mów, Mercedes, nic nie mów.

Bruno odłożył słuchawkę, nie mogąc powstrzymać łez. Płakał i modlił się, dziękując Bogu, że pomógł mu przekonać Mercedes. Poszedł do łazienki, przemył twarz zimną wodą i wrócił do salonu. Carlo i Hans milczeli, niecierpliwie oczekując na wynik rozmowy.

— Niczego nie robi — powiedział Bruno, stając w drzwiach.

Wszyscy trzej padli sobie w objęcia, nie wstydząc się łez ulgi.

Clara była zdenerwowana. Przez cały czas nasłuchiwała, czy z oddali nie dobiegnie warkot silnika helikoptera, którym miał przylecieć jej dziadek wraz z Ahmedem.

Mąż zrobił jej niespodziankę, mówiąc, że przyjedzie razem z dziadkiem do Safranu. Clara niepokoiła się stanem zdrowia Alfreda, choć Ahmed ją uspokajał, ale fakt, że parę dni przed zapowiedzianą wizytą przyjechał z Bagdadu do Safranu szpital polowy, nie zapowiadał niczego dobrego.

Przez cały dzień pomagała Fatimie przygotowywać chatę, w której miała zamieszkać z dziadkiem, i nie znalazła czasu, żeby odwiedzić teren prac. Wiedziała, że dziadek jest wymagający, a jeśli w dodatku nie dopisuje mu zdrowie, musi mieć zapewnione wszelkie wygody. Nie wiedziała ani na jak długo przyjedzie, ani jak długo zostanie z nimi Ahmed. Zobaczyła przez okno, że w jej stronę szybkim krokiem idzie Fabián.

— Wydaje mi się, że coś znaleźliśmy — wysapał.

— Co? Powiedz, proszę!

— Znaleźliśmy fundamenty wielu domów usytuowanych mniej niż trzysta metrów od świątyni, w miejscu, w którym zaczęliśmy kopać przed tygodniem. Nie wyglądają na bardzo duże, ściany o długości piętnastu metrów, i jedna główna część w kształcie prostokąta. W jednym z nich znaleźliśmy posążek siedzącej kobiety, wygląda na boginię płodności. Znaleźliśmy też szczątki czarnej ceramiki. Jest jednak więcej przedmiotów. Grupa Marty odkryła kolekcję *bullae*⁸ i *calculi*⁹ w jednym z pomieszczeń świątynnych. Mamy wiele stożków, perforowanych stożków, duże i małe kule, również dziurkowane, i jeszcze kilka stempli, jeden z sylwetką byka, drugi, zdaje się, ma wrytego lwa... Zdajesz sobie sprawę, co to może oznaczać? Yves omal nie oszalał. A Marta? Lepiej nie mówić.

— Już tam biegnę! — wykrzyknęła Clara.

W drzwiach pojawiła się Fatima.

⁸ *Bulla* (łac.) – niewielki okrągły przedmiot (medalion, amulet); z czasem – najpierw w Bizancjum, a potem w świecie chrześcijańskim – zaczęto odnosić tę nazwę do okrągłych pieczęci królewskich i papieskich, a wreszcie do dokumentów taką pieczęcią opatrzonych.

⁹ *Calculi* (łac.) – liczydło w formie kamyków nanizanych na sznurek.

— Nigdzie nie pójdziesz. Jeszcze nie skończyliśmy, a za chwilę przyleci twój dziadek — powiedziała stanowczo.

Do ich uszu dobiegł warkot helikoptera, Clara nie musiała odpowiadać. Tak bardzo chciała biec na wykopaliska, wiedziała jednak, że nie może tego zrobić, dopóki nie umieści dziadka w jego nowym domu.

Do zapadnięcia zmroku zostało jeszcze kilka godzin, choćby jednak nastała ciemna noc, ona postanowiła pójść i zobaczyć, co znaleziono.

Ajed Sahadi, któremu towarzyszyło dwóch uzbrojonych mężczyzn, zdecydowanym krokiem wszedł do chaty.

— Proszę pani, za chwilę wylądaje helikopter. Idzie pani?

— Wiem, Ajedzie, słyszałam. Tak, oczywiście, że idę.

Wyszła z domu, a z nią Fatima. Wszyscy wsiedli do jeepa i udali się na lądowisko.

Clara przestraszyła się na widok dziadka. Schudł tak bardzo, że wyglądał jak szkielet obciągnięty skórą, ubranie na nim usiało.

Jego stalowoszare oczy zapadły się, poruszał się powoli, widać było, że z trudem utrzymuje wyprostowaną sylwetkę.

Poczuła, że w jego powitalnym uścisku nie ma zwykłej siły, i po raz pierwszy w życiu uświadomiła sobie, że jej dziadek jest śmiertelnikiem, a nie bogiem, i że zapewne wkrótce umrze.

Fatima zaprowadziła Alfreda do jego izby, gdzie przygotowała wszystko tak, jak lubił, choć pomieszczenie było ciasne. Lekarz poprosił ją, by wyszła, gdyż musiał zbadać Tannenberga i ocenić, czy podróż z Kairu do Safranu zbyt go nie wyczerpała. Fatima gderała pod nosem, widząc, że wraz z lekarzem w pokoju zostaje pielęgniarka.

Kiedy lekarz wyszedł z chaty, zobaczył Clarę, cierpliwie czekającą przy drzwiach.

— Czy mogę wejść?

— Powinien teraz odpocząć.

Fatima zapytała, czy podać choremu coś do jedzenia.

— Moim zdaniem lepiej będzie, jeśli teraz zaśnie. Jest wyczerpany, ale można go zapytać, czy nie jest głodny, gdy wyjdzie Samira. Robi mu zastrzyk.

— Nie znam pana, doktorze — powiedziała Clara nieufnie.

— Nie pamięta mnie pani, ale poznaliśmy się w Kairze, w amerykańskim szpitalu, kiedy operowano pani dziadka. Jestem asystentem doktora Aziza, nazywam się Salam Naheb.

— Rzeczywiście, poznaliśmy się, przepraszam...

— Zetknęliśmy się tylko parę razy.

— Mój dziadek jest w bardzo... poważnym stanie?

— Tak. Jest nadzwyczaj silny, ale guz urósł, a on nie chce poddać się kolejnej operacji, i oczywiście wiek odgrywa tu swoją rolę.

— Czy operacja może jeszcze pomóc? — zapytała Clara, obawiając się tego, co usłyszy.

Lekarz zwlekał z odpowiedzią, jak gdyby szukał właściwych słów.

— Nie wiem. Nie wiem, co znajdziemy, kiedy go otworzymy. Jednak teraz jego stan...

— Ile miesięcy życia mu zostało?

Clara wymówiła te słowa ledwie słyszalnym szeptem. Starła się nie rozplakać, lecz przede wszystkim nie chciała, by dziadek usłyszał tę rozmowę.

— Tylko jeden Allah to wie, jednak zdaniem doktora Aziza i moim, nie więcej niż trzy, cztery miesiące. Może mniej.

Pielęgniarka wyszła z izby chorego, uśmiechając się nieśmiało do Clary i przystając, by wysłuchać poleceń lekarza.

— Zrobiła mu pani zastrzyk? — zapytał Salam Naheb.

— Tak, doktorze, teraz odpoczywa. Powiedział, że chciałby porozmawiać z panią.

Clara wyminęła pielęgniarkę i weszła do pokoju dziadka, a za nią, wsunęła się Fatima.

Alfred Tannenberg na tle prześcieradeł wydawał się prawie przezroczysty.

— Dziadku — wyszeptowała Clara.

— Moja córeczka... Usiądź tu. Fatimo, zostaw nas samych, chcę porozmawiać z wnuczką. Chciałbym jednak, żebyś przygotowała mi dobrą kolację.

Fatima wyszła z pokoju, uśmiechając się od ucha do ucha. Jeśli Tannenbergowi dopisuje apetyt, już ona zadba o to, by dostał najsmaczniejsze danie.

— Umieram — powiedział Tannenberg, biorąc wnuczkę za rękę.

Clara z trudem powstrzymywała łzy.

— Nawet niech ci do głowy nie przyjdzie płakać. Nie toleruję płaczu, dobrze wiesz. Jesteś silna, jesteś taka sama jak ja, oszczędź więc sobie łez i porozmawiajmy.

— Nie umrzesz — stwierdziła Clara z przekonaniem.

— Owszem, umrę, ale nie chcę, żebyś ty umarła. Grozi ci niebezpieczeństwo.

— Kto może życzyć sobie mojej śmierci? — zapytała zdziwiona Clara.

— Jeszcze me udało mi się ustalić, kto stał za Włochami, którzy śledzili cię w Bagdadzie. Nie ufam George'owi ani Frankowi, ani nawet Enrique.

— Dziadku, przecież to twoi przyjaciele. Zawsze twierdziłeś, że są tacy sami jak ty, że jeśli kiedyś coś ci się stanie, będą mnie chronili.

— Owszem, tak było w przeszłości. Nie wiem, ile jeszcze zostało mi życia, doktor Aziz nie daje mi więcej niż trzy miesiące, nie traćmy więc czasu. Chcę, byś miała *Glinianą Biblię*, bo będzie ona twoim listem żelaznym. Będiesz mogła rozpocząć nowe życie daleko stąd. Musimy ją znaleźć, ponieważ na świecie nie ma takich pieniędzy, za które można kupić szacunek i poważanie.

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— To, co już wiesz, o czym zawsze wiedziałaś, chociaż nigdy o tym nie rozmawialiśmy. Nie mogę zapisać ci w spadku moich interesów, bo nie tego dla ciebie chcę. Moje interesy umrą razem ze mną, ty zaś będziesz miała pieniądze na utrzymanie do końca życia. Powinnaś się pewnie poruszać w świecie archeologii, wyrobić sobie nazwisko, tego zawsze dla ciebie chcieliśmy, tam powinnaś szukać swojej ścieżki.

W tym rejonie świata mnie szanują, kupuję i sprzedaję nieważne co, dostarczam broń terrorystom, spełniam najbardziej ekstrawaganckie kaprysy rządzących i książąt, dbam o to, by niektórzy z ich wrogów przestali im dokuczać. Nie będę opowiadał ci szczegółowo, na czym polegają moje interesy, jest jak jest, jestem zadowolony z tego, czego udało mi się dokonać. Rozczarowana?

— Nie, dziadku, nigdy nie mogłabym być rozczarowana kimś takim jak ty. Za bardzo cię kocham. Wiedziałam o paru rzeczach, zdawałam sobie sprawę, że prowadzisz hmm... trudne interesy. Nie osądzam cię, nigdy bym tego nie zrobiła, jestem przekonana, że zawsze robiłeś to, co uważałeś za słuszne.

Bezwarunkowa lojalność Clary była jedyną rzeczą, która potrafiła jeszcze wzruszyć Tannenbergą. Wiedział, że w tych ostatnich chwilach życia może liczyć tylko na nią. Potrafił czytać w oczach swojej wnuczki i wiedział, że jest szczerą, że widzi go takim, jakim jest naprawdę.

— W świecie, w jakim się obracam, szacunek dość ściśle łączy się ze strachem, ja zaś umieram, to żadna tajemnica, być może więc moi wrogowie przestaną się mnie bać. Jestem pewny, że doktor Aziz nie kłamie na temat stanu mojego zdrowia. Sępy krążą już nad moją głową, są i tu. Dopadną cię, kiedy mnie zabraknie. Zakładałem, że Ahmed przejmie moje interesy i zaopiekuje się tobą, jednak wasza separacja zmusza mnie do zmiany planów.

— Czy Ahmed wie wszystko o twoich interesach?

— Wystarczająco dużo. Nie jest niewiniątkiem, chociaż zdaje się, że w ostatnich miesiącach zaczął mieć skrupuły. Będzie cię jednak ochraniał, dopóki nie wyjedziesz z Iraku. Dobrze mu za to zapłaciłem.

Clara poczuła mdłości. Dziadek zniszczył ostatnią szansę na porozumienie z mężem. Nie miała o to do niego pretensji, przygotowywał ją na stawienie czoła rzeczywistości, a częścią rzeczywistości był Ahmed, który brał pieniądze za to, że ją chronił.

— Kto może chcieć mojej śmierci? — zapytała.

— George, Frank i Enrique chcą *Glinianej Biblii*. Jestem przekonany, że znajdują się tutaj ich szpiedzy, gotowi wyrwać nam ją z rąk, gdy tylko ją znajdziemy. Nie ma ceny na to znalezisko, cena byłaby tak wysoka, że odrzucają moją propozycję.

— Co im zaproponowałeś?

— Ma to związek z pewnymi interesami, moim ostatnim przedsięwzięciem.

— Byliby zdolni zlecić zabicie mnie?

— Domagają się *Biblii*, będą próbowali odebrać nam ją, gdy tylko się znajdzie. Będą starali się nie zrobić ci krzywdy, jeśli oddamy im ją z własnej woli, jeśli jednak będziemy stawiali opór, zrobią to, co uznają za konieczne. Podejrzewam, że wysłali ludzi przygotowanych, by pokonać wszelkie przeszkody, a jeśli trzeba będzie zabijać, nie zadrży im ręka. Ja na ich miejscu postąpiłbym tak samo, dlatego staram się wyprzedzać ich działania. Dopóki *Gliniana Biblia* nie pojawi się na powierzchni ziemi, nic ci nie grozi. W chwili gdy ją znajdziemy, zaczną się kłopoty.

— Czy jesteś pewny, że są wśród nas ludzie nasłani przez twoich przyjaciół?

— Owszem. Ajed Sahadi jeszcze nie wie którzy to, ale ma już pewne podejrzenia. Mogli się podszyć pod robotników, zaopatrzeniowców docierających do obozu, a nawet wejść w skład zespołu Picota. Zamordowanie człowieka to tylko kwestia pieniędzy, a moi przyjaciele mają ich w bród, podobnie jak mnie nie brak środków na to, by cię chronić.

Clara była przerażona, ale za nic na świecie nie chciała, by dziadek zauważył, że się boi. Nie chciała też, by pomyślał, że wstydzi się go lub osądza. Zresztą nawet w duchu nie robiła mu wyrzutów, nie dbała o to, co robił lub robi. Zawsze miała świadomość, że jest uprzywilejowana, że wygrała los na loterii, że należy do wybrańców.

Od dziecka wiedziała, że dziadek jest potężny i bezlitosny, podobało jej się, z jakim szacunkiem traktowali ją rówieśnicy i nauczyciele w szkole, a później na uniwersytecie. Nigdy nie zadawała dziadkowi żadnych pytań, ponieważ nie chciała usłyszeć odpowiedzi, które mogłyby skłonić ją do zastanowienia. Trwała w wygodnej i obłudnej ignorancji.

— Co wymyśliłeś?

— Zastanawiałem się, czy moi przyjaciele nie zostawiliby ci *Glinianej Biblii* w zamian za odstąpienie im wszystkich zysków z bieżących transakcji. Proponowałem im bardzo dużo, nie chcieli jednak na to przystać.

— Oni również mają obsesję na punkcie *Glinianej Biblii*...

— To moi przyjaciele, Claro, kocham ich jak siebie samego, nie bardziej jednak niż ciebie. Musimy odnaleźć *Glinianą Biblię*, zanim wkroczą Amerykanie. Gdy tylko znajdzie się w naszych rękach, musisz natychmiast uciekać. Współpraca z profesorem Picotem jest dobrym posunięciem, bo choć to kontrowersyjna postać, nikt nie kwestionuje jego wiedzy archeologicznej. On może być twoją przepustką do nowego świata, lecz wejdiesz do niego tylko wtedy, jeśli będziesz miała *Glinianą Biblię*.

— A jeśli jej nie znajdziemy?

— Znajdziemy ją, jeśli jednak tak się nie stanie, i tak będziesz musiała wyjechać do Kairu. Tam będziesz mogła żyć spokojnie, choć zawsze marzyłem o tym, żebyś mogła wyjechać do Europy, żebyś mieszkała w... gdziekolwiek zechcesz, w Paryżu, Londynie, Berlinie... Pieniądzy ci nie zabraknie.

— Nigdy nie chciałeś, żebym wyjeżdżała do Europy.

— Nie, i wolno ci tam wyjechać tylko z *Glinianą Biblią*, w przeciwnym razie będziesz miała kłopoty. Nie zniósłbym, gdyby ktoś wyrządził ci krzywdę.

— Kto mógłby mi ją wyrządzić?

— Przeszłość, Claro, przeszłość, która niekiedy wybucha niczym trzęsienie ziemi na dnie morza, znosząc z powierzchni ziemi teraźniejszość.

— Moja przeszłość nie ma wielkiego znaczenia.

— To prawda, ale ja nie mówię o twojej przeszłości. Teraz opowiedz mi, jak idą prace.

— Gianowi Marii przyszło do głowy, że Szamas mógł przechowywać *Glinianą Biblię* w swoim domu zamiast w świątyni, zaczniemy więc powiększać obszar wykopalisk. Dzisiaj znaleziono pozostałości domów, które otaczały świątynię, być może znajdziemy ten, który należał do Szamasa... W świątyni odkryliśmy poza tabliczkami również *bulli* i *calculi* oraz kilka posągów. Brakuje nam tylko łutu szczęścia, by odnaleźć pozostałości domu Szamasa.

— Czy ten ksiądz stwarza jakieś problemy?

— Skąd wiesz, że to ksiądz?

Clara roześmiała się z absurdalności swojego pytania. Jej dziadek był informowany o wszystkim, co dzieje się w obozowisku. Ajed Sahadi z pewnością zdawał mu szczegółową

relację z każdego dnia, a oprócz niego miał tu na pewno innych ludzi, którzy nie pozwoliliby, by jakikolwiek szczegół uszedł jego uwagi.

Tannenberg wypił łyk wody, oczekując na odpowiedź wnuczki. Czuł się zmęczony po podróży, ale był zadowolony z rozmowy z Clarą. Byli tacy sami, nawet nie drgnęła, kiedy usłyszała, że ktoś może czyhać na jej życie. Przyjęła tę wiadomość bez mrugnięcia okiem, nie zadając głupich pytań.

— Gian Maria to dobry i bardzo zdolny człowiek. Specjalizuje się w językach martwych, akadyjskim, hebrajskim, aramejskim i huryckim. Wykazuje pewien sceptycyzm wobec teorii zakładającej, że to Abraham podyktował swoją wizję stworzenia świata, pracuje jednak bez zarzutu. Nie martw się, nie jest groźny, to duchowny.

— Jeśli wiem coś na pewno, to to, że ludzie nie zawsze są tacy, jakimi się wydają.

— Gian Maria to ksiądz...

— Tak, sprawdziliśmy to.

— Możesz więc odetchnąć, nic nam z jego strony nie grozi.

Tannenberg przymknął oczy, a Clara pogłaskała go czule po twarzy poranej zmarszczkami.

— Teraz chciałbym się trochę przespać.

— Śpij. Wieczorem powinieneś poznać Picota.

— Zobaczymy, idź już, proszę.

Fatima umieściła Salama Naheba w sąsiedniej chacie, pielęgniarkę zaś w izbie obok sypialni Tannenberg, chociaż uważała, że nie istniało nic, co potrafiłaby Samira, a czego ona sama nie mogłaby zrobić. Tak dobrze знаła swojego pana, że wyprzedzała jego życzenia. Gest, spojrzenie, sposób, w jaki się poruszał, to wszystko były znaki, z których odgadywała, czego on potrzebuje. Lekarz jednak okazał się nieprzejednany: Samira musi czuwać i powiadomić go natychmiast, jeśli pojawią się niepożądane objawy.

— Co cię gryzie, dziecko? — zapytała Fatima Clarę, kiedy ta odnalazła ją w kuchni.

— Jest w bardzo złym stanie...

— Będzie żył — zapewniła Fatima. — Będzie żył, dopóki nie odnajdziesz tych tabliczek. Nie zostawi cię samej.

Clara pozwoliła, by opiekunka ją przytuliła, wiedziała, że może na nią liczyć w każdej sytuacji, choć okoliczności były coraz bardziej niepokojące. Dziadek powiedział jej przecież, że ktoś chce ją zabić.

— A gdzie lekarz i pielęgniarka?

— Organizują szpital polowy.

— To dobrze, ja muszę iść na wykopaliska. Wrócę na kolację. Nie wiem, czy dziadek będzie chciał jeść sam, ze mną, czy z gośćmi.

— O nic się nie martw, jeśli zechce zaprosić gości, jedzenia nie zabraknie.

Samochód czekał przed domem. Koło niego stało sześciu ochroniarzy.

Pięć minut później byli już na stanowisku archeologicznym.

Lion Doyle podszedł do niej, uśmiechnięty od ucha do ucha.

— Słyszała pani już najnowsze wieści? Znalaziono resztki domów, pani koledzy szaleją z radości.

— Tak, wiem o tym, nie mogłam jednak przyjechać wcześniej. Jak idzie praca nad reportażem?

— Dobrze, o wiele lepiej, niż mogłem to sobie wyobrazić, zresztą sam Picot dał mi zlecenie.

— Picot pana zatrudnił? Przy czym?

— Okazuje się, że jakiś magazyn archeologiczny poprosił go o relację z wyprawy, w miarę możliwości ilustrowaną zdjęciami, i on poprosił mnie, bym się tym zajął.

Clara zacisnęła zęby, żeby nie zdradzić, jak bardzo jest zdenerwowana. Więc ten Picot od początku zamierzał zagarnąć dla siebie całą chwałę.

— O jakiw pismo chodzi? — zapytała.

— Zdaje się, że to „Archeologia”. Profesor mówił, że wychodzi we Francji, Wielkiej Brytanii, Niemczech, Hiszpanii, Włoszech, w Stanach Zjednoczonych... To najwyraźniej ważne wydawnictwo.

— Owszem, to prawda. Można powiedzieć, że jeśli wzmianka o jakimś odkryciu zostaje opublikowana w „Archeologii”, to zaczyna ono istnieć, w przeciwnym razie nie jest nic warte.

— Skoro tak pani mówi... Niewiele z tego rozumiem, choć przyznaję, że udzielił mi się wasz zapal.

Clara pożegnała się z Lionem, by odszukać Martę i Fabiána.

Zdążyli już odkopać kolejny fragment świątyni i znaleźli sylabariusz¹⁰. Mogłoby się wydawać, że nagle całe to miejsce postanowiło przestać być wielką tajemnicą i zaoferowało swoje owoce ciężko pracującym ludziom.

— Gdzie jest Picot? — zapytała Clara.

¹⁰ Sylabariusz – zestaw znaków pisma sylabicznego (np. elamickiego), w którym znak przedstawia jedną sylabę.

— Dziś dzieją się same niewiarygodne rzeczy. Natrafił na pozostałości murów Safranu. Jest tam — odpowiedziała Marta, pokazując miejsce, w którym pracował Picot wraz z grupą robotników. Wydawać by się mogło, że kopią ziemię gołymi rękami.

— Wiesz, Claro, odnoszę wrażenie, że znajdujemy się już na drugim tarasie budowli sakralnej. Wygląda mi to na ziggurat, ale nie jestem jeszcze pewny. Tu znajdują się pozostałości wewnętrznych murów, zaczęliśmy też odnajdywać fragmenty czegoś, co przypomina schody — poinformował ją Fabián.

— Potrzeba nam więcej rąk do pracy — oznajmiła Marta.

— Powiem o tym Ajedowi, nie sądzę jednak, byśmy mogli znaleźć więcej ludzi. Nad krajem wisi wojna — odpowiedziała Clara.

Yves Picot stał nieopodal zespołu robotników, z rękami w gruzie, tak pochłonięty pracą, że nie zauważył Clary.

— Witam, już wiem, że dzisiaj jest wielki dzień — przywitała go Clara.

— Nawet sobie nie wyobrażasz, jak wielki. Zdaje się, że zaczyna nam dopisywać szczęście. Znaleźliśmy resztki' zewnętrznego muru, widać w nim wyraźnie zarysy przylegających pięt niektórych budowli, proszę, popatrz tylko.

Picot oprowadzał ją, pokazując gruzy zewnętrznych murów pieczołowicie ułożone w kupki; tylko oczy eksperta potrafiły stwierdzić, że dawno temu te odłamki wypalanej cegły stanowiły budynek.

— Przerzuciłem ponad połowę ludzi do pracy w tej strefie. Fabián pewnie już ci powiedział, że zrobiliśmy duże postępy i że świątynia ta prawdopodobnie miała kształt zigguratu.

— Tak, zauważyłam. Popracuję w tym sektorze.

— Dobrze. Jak sądzisz, możemy załatwić więcej ludzi? Potrzeba nam więcej robotników, jeśli chcemy szybko wydostać to wszystko spod ziemi.

— Wiem, Fabián z Martą również mi o tym wspomnieli. Zobaczą, co się da zrobić. À propos, ten fotograf powiedział, że zleciłeś mu zrobienie jakichś zdjęć?

— Tak, kazałem mu zrobić reportaż z prac naszej misji.

— Nie wiedziałam, że masz jakieś zobowiązania, jeśli chodzi o opublikowanie wyników naszej pracy.

Clara mocniej zaakcentowała słowo „naszej”, by Picot zdał sobie sprawę z jej niezadowolenia. Popatrzył na nią rozbawiony, pozwalając sobie nawet na parsknięcie śmiechem.

— Claro, niepotrzebnie się naburmuszyłaś, nikt nie zamierza ci niczego ukraść. Znam ludzi z redakcji „Archeologii”, sami poprosili mnie o informacje o postępie prac. Wielu naukowców jest zainteresowanych twoją *Glinianą Biblią*. Jeśli ją znajdziemy, będzie to miłowy krok w historii archeologii. Nie tylko udowodnimy istnienie Abrahama, ale również fakt, że znał historię stworzenia. Gdyby jednak tabliczki nigdy nie miały się odnaleźć, to, co znaleźliśmy dotychczas, ma tak duże znaczenie, że może być powodem do dumy. Wykopujemy ziggurat, o którego istnieniu nikt nie miał pojęcia. Jest w lepszym stanie, niż mogliśmy się spodziewać. Nie obawiaj się, jeśli to może oznaczać sukces, to będzie to sukces nas wszystkich. Moja próżność została zaspokojona, szanowna pani, ja już zrobiłem karierę. Przyznaję, dobrze powiedziałaś, mówiąc o „naszej” pracy, bo nic z tego, co udało się osiągnąć, nie byłoby możliwe bez Fabiána Tudeli, Marty Gómez i innych naszych kolegów po fachu.

Yves przykucnął i wrócił do przerwanej pracy, nie zwracając uwagi na Clarę, która bez słowa poszła w stronę grupy robotników odgarniających ziemię z fragmentu parceli.

Słońce chowało się za horyzontem, kiedy Picot uznał dzień pracy za zakończony. Ludzie byli wyczerpani i głodni, jedni marzyli o powrocie do domu, inni do obozu, by wreszcie odpocząć i coś zjeść.

Fatima czekała na Clarę w drzwiach chaty, wydawało się, że jest w bardzo dobrym humorze.

— Twój dziadek się obudził, jest głodny i czeka na ciebie.

— Najpierw muszę się wykąpać.

— Powiedział, że dziś woli zjeść kolację tylko w twoim towarzystwie, jutro przyjmie archeologów.

— Nie mam nic przeciwko temu.

Kończyli właśnie kolację, kiedy Fatima weszła do izby, by powiedzieć, że przyszedł Yves Picot i chciałby przywitać się z panem Tannenbergiem.

Clara zamierzała coś odpowiedzieć, ale Alfred dał znak Fatimie, by wprowadziła gościa.

Przez ułamek sekundy mężczyźni mierzyli się wzrokiem, Potem szybko uściskali sobie dłonie i popatrzyli w oczy.

Tannenberg od pierwszej chwili nie przypadł Picotowi do gustu. W jego chłodnych, stalowoszarych oczach widać było okrucieństwo. Tannenberg uważnie przyjrzał się archeologowi, stwierdzając, że ma do czynienia z silną osobowością.

Mówił głównie Picot, odpowiadając na pytania Tannenberga, który chciał znać nawet najdrobniejsze szczegóły.

— Chciałem pana poznać — powiedział wreszcie Picot — bo nie udało mi się skłonić Clary, by opowiedziała mi, kiedy i w jakich okolicznościach znalazł pan tabliczki, z powodu których tu jestem.

— To było bardzo dawno temu.

— Kiedy miała miejsce wyprawa? Kto nią kierował?

— Przyjacielu, to było tak dawno, że nawet nie pamiętam. Przed drugą wojną światową, kiedy na Wschód docierały wyprawy romantyków, bardziej miłujących przygodę niż archeologię. Wielu z nich, wiedzionych intuicją, prowadziło wykopaliska. Nie, nie była to ekspedycja naukowa, tylko wyprawa amatorów archeologii. Kopaliśmy w okolicach Charanu i znaleźliśmy tabliczki, na których Szamas, kapłan lub skryba, pisze o Abrahamie i dziele stworzenia. Od tamtej pory wierzyłem, że pewnego dnia znajdziemy resztki tabliczek, o których wspomina skryba. Ja nazywam je *Glinianą Biblią*.

— Tego samego określenia użyła Clara na kongresie w Rzymie, wznecając małą rewolucję wśród archeologów.

— Gdyby w Iraku był teraz pokój, zorganizowalibyśmy wiele ekspedycji archeologicznych. Wykorzystując łaskawość Saddama, można by dać pewnym naukowcom wyłączność na prowadzenie badań. Pan wiele ryzykował, przybywając tu w takiej chwili. To prawdziwy akt odwagi.

— W gruncie rzeczy nie miałem nic lepszego do roboty – odparł cynicznie Yves.

— Wiem, pan jest zamożny, nie żyje pan od pensji do pensji. Pańska matka wywodzi się ze starej bankierskiej rodziny, czy tak?

— Moja matka jest Brytyjką, jedynaczką, zaś mój dziadek faktycznie był właścicielem banku na wyspie Man. Sam pan wie, to słynny raj podatkowy.

— Pan jednak jest Francuzem.

— Mój ojciec jest Francuzem z Alzacji, ja zaś byłem wychowany między wyspą Man a Alzacją. Matka odziedziczyła bank, ojciec nim zarządza.

— Pana zaś nie interesuje świat finansów — stwierdził raczej, niż zapytał Tannenberg.

— Trafne spostrzeżenie. Jeśli chodzi o pieniądze, wolę je wydawać w sposób sprawiający mi największą przyjemność. Niczym innym się nie zajmuję.

— Kiedyś odziedziczy pan bank, co pan wtedy zrobi?

— Moi rodzice cieszą się doskonałym zdrowiem, mam więc nadzieję, że nie nastąpi to zbyt szybko. Zresztą moja siostra jest o wiele mądrzejsza ode mnie i ma ochotę przejąć rodzinne interesy.

— Nie troszczy się pan o to, by zostawić solidne zabezpieczenie swoim dzieciom? — zdziwił się Tannenberg.

— Nie mam dzieci i nie jestem w najmniejszym stopniu zainteresowany reprodukcją.

— My, mężczyźni, odczuwamy potrzebę zostawienia czegoś po sobie.

— Niektórzy mężczyźni, owszem, lecz ja do nich nie należę.

Clara w milczeniu przysłuchiwała się tej rozmowie, zauważając, że archeolog nie czyni najmniejszego wysiłku, by dobrze wypaść w oczach jej dziadka. Spotkanie przerwało wkroczenie Samiry. Za nią dreptała Fatima.

— Panie Tannenberg, pora na zastrzyk — powiedziała pielęgniarka.

Tannenberg posłał jej piorunujące spojrzenie. Da jej w twarz, gdy tylko znajdą się sami, za to, że odważyła się wejść tak nagle i odezwać do niego takim tonem, jakby był nierozgarniętym dzieckiem, a ona niańką.

— Proszę wyjść — powiedział zimno.

Fatima złapała pielęgniarkę za ramię i wyciągnęła ją z pokoju.

Tannenberg zatrzymał gości jeszcze przez pół godziny, udając, że nie zauważa, jak zmęczona jest Clara, i że z trudem powstrzymuje się od ziewania. W końcu pożegnał Picota, obiecując mu, że załatwi więcej robotników.

Parę minut później ciszę nocną przerwał rozziewający krzyk. Zaraz potem dał się słyszeć cichnący w mroku płacz.

Clara wierciła się na łóżku. Wiedziała, że Samira drogo zapłaciła za zuchwałość. Za to, że zakłóciła spotkanie dziadka z gośćmi i potraktowała go jak dziecko. Powinna się nauczyć, że Alfred Tannenberg hojnie wynagradza swoich pracowników, nigdy jednak nie wybaczają im błędów.

Ajed Sahadi kazał obserwować Liona Doyle'a i Ante Plaskica. Nie ufał im, był przekonany, że żaden z nich nie jest tym, za kogo się podaje.

Lion Doyle równie uważnie obserwował Ajeda Sahadiego. Przeczynał, że jest on kimś więcej niż tylko nadzorcą robót. Jeśli chodzi o Ante Plaskica, Doyle był przekonany, że to morderca, jak on sam, być może nasłany przez tego samego Toma Martina lub jego przyjaciół. Nie miał w każdym razie wątpliwości, że Chorwat nie jest tylko spokojnym informatykiem, za jakiego chciał uchodzić.

Ci trzej mężczyźni bezbłędnie się wyczuli, ponieważ wszyscy byli płatnymi mordercami, najemnikami, gotowymi służyć temu, kto lepiej zapłaci.

Walijczyk czuł, że zbliża się czas działania. Jeszcze nie znaleźli *Glinianej Biblii*, ale prace postępowały, w całym obozie wyczuwało się coraz większe napięcie. Amerykanie mogli zaatakować lada moment.

Robotnicy zapewniali, że będą polowali na Amerykanów jak na króliki, że za nic na świecie nie pozwolą im deptać świętej ziemi irackiej.

Clara nie miała żadnych podejrzeń wobec Liona. Nie unikała jego towarzystwa, cierpliwie pokazywała mu gliniane skarby wyrwane ziemi, objaśniając znaczenie każdego przedmiotu i instruując, jak powinny wyglądać fotografie, by miały wartość dla czasopisma archeologicznego.

Lion serdecznie się uśmieł, dowiedziawszy się od dyrektora „Photomundi”, że jego zdjęcia kupiła jakaś agencja informacyjna, zaś reportaż w „Archeologii” odniósł duży sukces, nie tylko ze względu na tekst pióra Picota, ale również ilustrujące go zdjęcia. Jedyną niedogodność polegała na tym, że po opublikowaniu reportażu stacje telewizyjne zwróciły się do swoich wysłanników w Iraku, by zainteresowali się Safranem i zrelacjonowali to, co się tu dzieje.

Lion nie był zaskoczony, kiedy pewnego dnia rozpoznał w osobach zbliżających się do obozu Mirandę i kamerzystę Daniela oraz grupę dziennikarzy, którzy pod auspicjami Ministerstwa Informacji wylądowali w Safranie.

— Brawo, panie fotografie! — powiedziała Miranda powitanie.
— Cieszę się, że cię widzę. Co słychać w Bagdadzie?
— Fatalnie. Twój przyjaciel Bush upiera się, że Saddam ma broń masowego rażenia i zaledwie parę dni temu, piątego lutego, Colin Powell pokazał na sesji Rady Bezpieczeństwa ONZ zdjęcia wykonane przez satelitę, na których widać ponoć przemieszczające się irackie wojsko oraz miejsca, gdzie składowana jest ta domniemana broń.

- Nie wierzysz w jej istnienie?
- Nie mów, że ty wierzysz.
- Sam już nie wiem...

— Hej, Lionie, nie udawaj pierwszego naiwnego.

— Nie mam ochoty na kłótnie.

Daniel postanowił rozładować atmosferę.

— Jak spędziliście Boże Narodzenie? — zapytał.

— Nie obchodziliśmy świąt. Tu praca trwa bez przerwy, osiemnaście godzin na dobę.

— Nawet na ten jeden dzień nie odłożyli łopatek? — zdziwił się Daniel.

— Jedyna różnica była taka, że podali lepsze jedzenie.

— W Bagdadzie urządziliśmy kolację. Każdy przyniósł to, co udało mu się zdobyć.

Miranda zostawiła ich samych, ponieważ chciała przejść się po obozowisku. Słyszała o Yvie Picocie i Clarze Tannenberg, miała nadzieję, że uda jej się przeprowadzić z nimi wywiady. Wyjazd z Bagdadu, by znaleźć się na tym skrawku żółtej ziemi, przypominał jej wycieczki szkolne, odrywające od monotonnej codzienności.

Picot i Clara współpracowali z dziennikarzami, pomagając im we wszystkim, o co tamci prosili, byli jednak trochę niezadowoleni, gdyż ten najazd oznaczał zakłócenie rytmu pracy. Liczyła się każda para rąk, nie wyłączając Clary i Picota.

Uwagi Clary nie uszło, że Picota oczarowała Miranda. Nie odstępował jej na krok, widziała, jak rozmawiają i śmieją się, nie zważając na innych. Pomyślała, że może znali się już wcześniej, i poczuła ukłucie zazdrości.

Miranda była jej przeciwieństwem, kobietą, która do wszystkiego doszła sama, niezależną, pewną siebie, niezawdzięczającą nic żadnemu mężczyźnie, przyzwyczajoną do równego traktowania, bez ustępstw i przywilejów. Nie zdziwiło jej, że znają się z Lionem Doyle'em, w końcu oboje byli dziennikarzami.

Przy lunchu Miranda dzieliła stół z Martą Gómez, Fabiánem Tudelą, Gianem Marią i Albertem Anglade'em oraz Danielem i Hajdarem Annasirem. Lion przysiadł się do nich, co Miranda skwitowała niezadowolonym spojrzeniem.

— W całej Europie ludzie organizują manifestacje, wcale nie chcą tej wojny — mówił Daniel.

— Jakiej wojny? Na razie nie ma co mówić o wojnie, może Bush jednak nie zaatakuje, tylko straszy Husajna? — nieśmiało wtrącił Hajdar Annasir.

— Zaatakuje — stwierdziła Miranda — i to już w marcu.

— Dlaczego właśnie w marcu? — zaciekała się Clara.

— Do tego czasu zdąży przygotować całą operację wojskową. Potem będzie zbyt gorąco, a jego chłopcy nie są przygotowani do walki pod palącym i oślepiającym słońcem, więc albo dotrą tu w marcu, albo poczekają do kwietnia.

— Miejmy nadzieję, że wszystko się opóźni — westchnął Picot.

— Jak długo tu zostanieie? — dopytywała się Miranda.

— Według pani obliczeń, mamy na to jeszcze miesiąc — zabrzmiała odpowiedź Picota.

— Moich obliczeń? — zdziwiła się Miranda.

— Sama pani powiedziała, że wojna zacznie się w marcu, a mamy luty.

— Rzeczywiście, ma pan rację, został jeszcze miesiąc. A jak się stąd wydostaniecie? Żołnierze nie będą was osłaniali po rozpoczęciu bombardowania. Saddam będzie potrzebował wszystkich ludzi, wcześniej czy później ogłosi mobilizację i powoła waszych robotników.

Po tej uwadze zapadła cisza. Nagle dotarło do nich, że świat żyje innym rytmem niż ta zagubiona osada.

Milczenie przerwała Marta Gómez.

— Sami państwo widzieli, odkryliśmy świątynię, która zdaje się częścią zigguratu, chociaż jeszcze nie jesteśmy tego pewni. Naszym zdaniem pochodzi z około dwutysięcznego roku przed naszą erą, nigdzie nie ma jednak wzmianki o jej istnieniu. Odkopujemy również pozostałości fundamentów domów z tego samego okresu, choć niestety, niewiele z nich pozostało. Badamy setki tabliczek znalezionych w zigguracie, mamy kilka posągów zachowanych w całkiem dobrym stanie, *bulla* i *calculi*... Do czego zmierzam: w bardzo krótkim czasie wykonaliśmy nadzwyczajną pracę. To, czego dokonaliśmy w ciągu ostatnich miesięcy, w normalnych okolicznościach powinno trwać lata. Rozumiem oczywiście, że w takich chwilach mieszkańcy jakiegokolwiek kraju na świecie mieliby głęboko w nosie wszelkie odkrycia archeologiczne, bo przecież kraj stoi u progu wojny, jeśli jednak bomby nie zniszczą doszczętnie tego, co już wykopaliśmy, zapewniam panią, że będzie to jedno z najważniejszych stanowisk archeologicznych na Bliskim Wschodzie, o ile oczywiście po zakończeniu tej przeklętej wojny dane nam będzie tu powrócić. Wydaje mi się, że wszyscy możemy być zadowoleni z tego, co udało nam się zrobić.

— Macie pozwolenie samego Saddama na prowadzenie tych prac — zauważyła Miranda.

— Tak, oczywiście. Nie można wybrać się na wykopaliska do żadnego kraju bez pozwolenia władz, niezależnie od tego, kto rządzi. Nie tylko dał nam zezwolenie na pracę, ale udostępnił środki.

— Środki, za które profesor Picot płaci z własnej kieszeni — wtrącił się Fabián Tudela.

— Sądziłam, że to pani Tannenberg współfinansuje tę ekspedycję.

Clara postanowiła wykorzystać pytanie Mirandy, by uzmysłwić wszystkim, że to jest jej ekspedycja i że wszystko, co wydarli ziemi, należy do niej nie mniej niż do Picota.

— Rzeczywiście, razem uruchomiliśmy ten projekt, ja i profesor Picot. To kosztowne przedsięwzięcie, trudne, zważywszy na okoliczności, ale jak powiedziała profesor Gómez, przyniosło już pierwsze owoce. Nadzwyczajne owoce.

— Więc szukają państwo czegoś więcej? Wydaje mi się, że pani, na kongresie w Rzymie, mówiła o tabliczkach, na których ktoś napisał, że patriarcha Abraham opowie mu o dziele stworzenia. Potem przypadkiem znaleźli państwo tabliczki z imieniem tego samego pisarza w tym miejscu.

Tym razem Picot postanowił udzielić Mirandzie odpowiedzi.

— Istotnie. Clara jest posiadaczką paru tabliczek. Udało nam się określić, z jakiego okresu pochodzą. Pisarz o imieniu Szamas napisał na nich, że niejaki Abram zamierza mu opowiedzieć historię świata. Clara podtrzymuje hipotezę, że ów Abram to patriarcha Abraham, więc jeśli ta teoria się potwierdzi, będziemy mogli mówić o niezwykłym odkryciu.

— Proszę wziąć pod uwagę, że nauka kwestionuje istnienie patriarchów, nikt nie potrafił dotychczas dowieść, że były to postacie z krwi i kości. Jeśli znajdziemy te tabliczki, nie tylko udowodnimy, że Biblia mówi prawdę, ale również że Genезis została objawiona Abrahamowi. Nie wyobraża sobie pani nawet, jak wielkie będzie to miało znaczenie dla archeologii, dla całej nauki, a również dla religii — tłumaczył Fabián.

— Nie znaleźli państwo jednak tych tabliczek? – dociekała Miranda.

— Nie, natomiast znaleźliśmy wiele tabliczek z imieniem Szamas, mamy więc jeszcze nadzieję, że uda się odnaleźć *Glinianą Biblię*...

— *Glinianą Biblię*?

— Mirando, jakże inaczej można określić gliniane tabliczki zawierające historię stworzenia? — zapytała Marta.

— Ma pani rację. Bardzo mi się podoba ta nazwa... *Gliniana Biblia*. A co pan o tym sądzi jako ksiądz?

Gian Maria omal się nie zakrztusił, rumieniąc się aż po nasadę włosów.

— Jeszcze nie widziałam tak nieśmiałego mężczyzny! – wykrzyknęła Miranda.

— Gianie Mario, przecież to tylko niewinne pytanie – zachęcała go Marta.

Ksiądz nie mógł znaleźć słów. Twarz mu płonęła, czuł na sobie spojrzenia wszystkich siedzących przy stole.

— Gian Maria jest ekspertem od martwych języków – pośpieszył mu na pomoc Fabián. — Jest niezwykle pomocny, pracuje przy odszyfrowywaniu tabliczek. Bez niego nie

udałoby się nam zrobić takich postępów. W każdym razie dopóki nie odnajdziemy kluczowych tablic i nie poddamy ich skrupulatnej analizie, nie tylko my, ale również inni eksperci nie będą mogli stwierdzić, czy mamy do czynienia z *Glinianą Biblią*. Dotychczas poruszamy się w sferze hipotez. Wiemy, że jest kilka tabliczek zapisanych niewprawną ręką, które przywodzą na myśl stronicę czyjegoś pamiętnika, w którym ten ktoś dopiero zapowiada, że będzie snuł opowieść. Jak powiedziała Marta, nawet jeśli nie odnajdziemy pozostałych tabliczek, to, co wydobyliśmy dotychczas z ziemi, już uzasadnia naszą obecność w tym miejscu.

— Dlaczego twierdzi pan, że te dwie tabliczki wyszły spod niewprawnej dłoni?

— Wskazuje na to kształt znaków. Wygląda na to, że ów Szamas nie władał biegle rylcem, który, jak pani zapewne wie, jest tylko kawałkiem trzciny. Co więcej, tabliczki, które tu znaleźliśmy, podpisane tym samym imieniem w górnym rogu, nie przypominają pisma na tych, które są w posiadaniu Clary. Tutejszy Szamas był skrybą, opanował pismo i arytmetykę, poza tym był doświadczonym przyrodnikiem i pozostawił po sobie spis okolicznej flory — odpowiedział Fabián.

— Istnieje możliwość, że Szamas, który napisał tabliczki pojawiające się w Charanie i „nasz” miejscowy Szamas to nie ta sama osoba, chociaż Clara uważa inaczej — dodała Marta.

— A dlaczego sądzi pani, że to ten sam pisarz? — zapytała Miranda Clare.

— Bo chociaż znaki na tabliczkach w Charanie różnią się od tych znalezionych przez nas, występują na nich takie, które wydają się nakreślone tą samą ręką, chociaż te znalezione tutaj są wryte z większą wprawą. Moja teoria jest następująca: Szamas zapisał tabliczki z Charanu jako dziecko lub nastolatek, te tutaj zaś jako dorosły mężczyzna — odpowiedziała Clara bez wahania.

— Ja jednak chciałabym usłyszeć, co ma do powiedzenia Kościół — przypomniała Miranda, odwracając się do Giana Marii.

Ksiądz znów poczerwieniał, ale tym razem odpowiedział.

— Nie mogę mówić za cały Kościół, jestem tylko księdzem.

— Wystarczy mi, że powie ksiądz, co o tym sądzi.

— Wiemy z Biblii o istnieniu patriarchy Abrahama. Naturalnie wierzę w to, że żył i był człowiekiem z krwi i kości, niezależnie od tego, czy istnieją na to dowody archeologiczne.

— A sądzi ksiądz, że Abraham znał historię stworzenia i o niej opowiadał?

— Biblia o tym nie wspomina, choć dość szczegółowo opisuje życie patriarchy. Tak też... cóż, jestem sceptykiem, jeszcze nie uwierzyłem, że istnieje jakaś *Gliniana Biblia*. Jeśli

jednak odnajdziemy te tabliczki, Kościół będzie musiał wypowiedzieć się na temat ich autentyczności.

— Rozumiem, że ksiądz został przysłany przez Watykan?

— Nie, na Boga! Watykan nie ma nic wspólnego z moją obecnością w tym miejscu – odpowiedział przestraszony Gian Maria.

— W takim razie co ksiądz tu robi? – naciskała Miranda.

— Cóż, to przypadek...

— Chciałabym usłyszeć coś więcej — prowokowała go dziennikarka, chociaż Gian Maria był wyraźnie zmieszany.

— Mogłabyś dać mu święty spokój? — wtrącił się Lion Doyle, który do tej pory milczał.

— Znalazł się błędny rycerz! Zawsze jesteś gotów przybyć z pomocą potrzebującym, czy to damie pod ostrzałem, czy księdzu w opałach.

— Jesteś nieznośna, Mirando — mruknął Lion.

— Ależ ja nie mam nic do ukrycia — odpowiedział Gian Maria słabym głosem. — Widzi pani, przebywałem w Bagdadzie, pracując dla pewnej organizacji humanitarnej, przez przypadek poznałem profesora Picota i przyjechałem zobaczyć, nad czym pracuje. A że wiedział, iż moją specjalnością są języki martwe, zaproponował, żebym został i pomógł.

— Czy będąc księdzem, można robić to, na co się ma ochotę? — zapytała Miranda z niedowierzaniem.

— Mam zezwolenie od zwierzchników na pobyt z dala od zgromadzenia — odparł Gian Maria, czerwieniejąc jeszcze bardziej.

Przez pozostałą część popołudnia Miranda z Danielem filmowali archeologów przy pracy. Przeprowadzili wywiad z Picotem i Clarą, a potem jeszcze z Martą i Fabiánem, którzy podobnie jak inni członkowie zespołu, musieli powtórzyć te same słowa innym dziennikarzom przybyłym do Safranu.

— Są strasznie męczący, zwłaszcza ta Miranda, chociaż mi się podoba — jęknęła Marta.

— Marto, oni tylko wykonują swoją robotę, podobnie jak my naszą — odpowiedział Fabián.

— Jak zwykle jesteś zbyt wyrozumiały, a my straciliśmy przez nich cały dzień pracy.

Fabián pochylił się, ramię w ramię z Martą, i zaczął odgarniać piasek z jednego skrzydła muru wyglądającego na taras, z którego rozpościerał się widok na kwadratowe podwórko zasypane pozostałościami wypalanych cegieł i ceramiki.

Było już prawie ciemno, kiedy postanowili wrócić do obozowiska. Robotnicy narzekali, że są wyczerpani. Najbardziej jednak niepokoiły ich wiadomości, jakie przynieśli dziennikarze: wojna jest nie do uniknięcia i wybuchnie lada moment.

Clara zarządziła kolację przy ogniskach, nad których żarem piekło się sześć jagniąt z aromatycznymi ziołami.

Holenderski dziennikarz z entuzjazmem filmował tę scenę, wysłuchując utyskiwań swojego kolegi radiowca na kłopoty z połączeniem satelitarnym, z powodu których nie mógł nadać relacji.

Yves Picot zajmował się gośćmi, wykazując się bezgraniczną cierpliwością i próbując rozwiązać kolejne problemy, w czym pomagał mu niezastąpiony Hajdar Annasir, który najwyraźniej potrafił znaleźć wyjście z każdej sytuacji.

— Widać, że jest pan zadowolony — zauważyła Clara.

— Nie ma powodów, by było inaczej.

— Dziś wieczorem wygląda pan jednak na bardziej uszczęśliwionego niż zwykle.

— Cóż, od jakiegoś czasu żyjemy odcięci od cywilizowanego świata, a ci ludzie przywieźli nam nowiny, nie mówiąc o tym, że przypomnieli mi o istnieniu innej rzeczywistości poza wykopaliskami.

— To znaczy, że tęskni pan za czymś innym?

— Gratuluję wniosków! Niezupełnie, niemniej już od pięciu miesięcy kopimy i łykamy kurz, nie robimy nic innego, tylko praca i praca, prawie zapomniałem, że istnieje jeszcze jakieś inne życie.

— Ma pan ochotę wyjechać?

— Martwię się o bezpieczeństwo zespołu – Picot spoważniał. — Jutro zadzwonię do pani męża. Chciałbym, by Ahmed wytłumaczył mi, na czym polega nasz plan ewakuacyjny. Obiecał, że przygotuje środki, by wydostać nas stąd, gdy tylko spadną pierwsze bomby.

— A jeśli do tej pory nie odnajdziemy *Glinianej Biblii*?

— I tak wyjedziemy. Nie oczekuje pani chyba, że będziemy kontynuowali prace przy akompaniamencie amerykańskich bomb. A może wydaje się pani, że ominą szerokim łukiem Safran, ponieważ garść nawiedzonych archeologów coś tu odkopuje? Jestem odpowiedzialny

za tych ludzi, przyjechali ze względu na mnie, niektórzy to moi bliscy przyjaciele. Nic nie jest warte, by ryzykowali życie, nawet *Gliniana Biblia*.

— Kiedy pan wyjedzie?

— Jeszcze nie wiem. Chcę jednak być przygotowany. Wydaje mi się, że nadeszła pora na podsumowania i wnioski. Zamierzam przedyskutować to z moimi ludźmi, podejmiemy wspólną decyzję, ale nie mam złudzeń, sama pani słyszała, co mówią, nasi koledzy z prasy.

— Sprawy nie mają się gorzej niż pięć miesięcy temu, w gruncie rzeczy nic się nie zmieniło.

— Oni twierdzą, że jest wręcz przeciwnie.

— Dziennikarze przesadzają. Z tego żyją.

— Myli się pani. Niektórzy przesadzają, jednak nie wszyscy, a są wśród nich trzej Holendrzy, dwójka Greków, czterech Brytyjczyków, pięciu Francuzów, dwóch Hiszpanów...

— Proszę nie wymieniać, wiem.

— Trudno twierdzić, że wszyscy przesadzają i wymyślili sobie, że Bush lada moment napadnie na Irak.

— Ja nadal będę pracowała.

Yves Picot utkwiał w Clarze uważne spojrzenie. Nie mógł żądać, żeby zrezygnowała z pracy, jednak irytowała go sama myśl, że miałaby cokolwiek zrobić bez niego.

— Będzie pani pracowała pod bombami.

— Wcale nie jest przesądzone, że to pańscy przyjaciele zwyciężą.

— Kim są „moi przyjaciele”?

— Ci, którzy chcą zrzucić na nas bomby.

— Czyżby przechodziła pani atak nacjonalizmu? Niech pani się nie bawi w wywoływanie poczucia winy u innych, a przynajmniej proszę nie próbować tego na mnie, bo to strata czasu. Proszę posłuchać, dla mnie Saddam to krwawy dyktator, który zasługuje na więzienie. Nie oddałbym za niego ani włosa, jego los jest mi zupełnie obojętny, innymi słowy, mam go gdzieś. Coś mi się jednak wydaje, że wielu Irakijczyków odpokutuje za jego grzechy.

— Za grzechy Saddama, czy za to, że ktoś chce nam ukraść ropę?

— Z obu tych powodów. Saddam to tylko wymówka, co do tego się zgadzam. Nie bawię się w politykę, już dawno wysiadłem z tego pociągu.

— Pan w nic nie wierzy?

— Kiedy miałem dwadzieścia lat, byłem działaczem lewicowym. Ogromnie się zaangażowałem i udało mi się tak dobrze poznać partię moich marzeń od środka, że z obrzydzeniem uciekłem. Nikt nie był tym, za kogo uchodził, ani tym, kim chciał być. Zrozumiałem, że polityka i obłuda często idą ramię w ramię, więc dałem sobie z tym spokój. Bronię demokracji burżuazyjnej, która pozwala nam na złudzenia i wiarę, że cieszymy się wolnością, to wszystko.

— A inni? Co mamy zrobić, jeśli nie urodziliśmy się w pańskim „Pierwszym Świecie”? Co powinniśmy zrobić lub czego oczekiwać?

— Nie wiem, wiem tylko, że jesteście ofiarami interesów mocarstw, ale też ofiarami swoich własnych rządzących i siebie samych. Jestem Francuzem i bronię osiągnięć Rewolucji Francuskiej, uważam, że wszystkie kraje powinny przejść podobną rewolucję, która stworzy miejsce dla oświecenia i rozumu. Jednakże w tej części świata ludzie oświeceni, jak pani lub pani dziadek, budują bogactwo i władzę na nędzy rodaków, proszę więc mnie nie pytać, co można zrobić.

— Uważa pan, że wasza kultura jest lepsza niż nasza...

— Mam być szczery? Otóż tak, tak właśnie uważam. Islam uniemożliwia wam przeprowadzenie rewolucji burżuazyjnej. Dopóki nie oddzielicie polityki od religii, nie zrobicie ani kroku do przodu. Słabo mi się robi na widok niektórych z pani rodaczek, omotanych od stóp po czubek głowy, jak ta kobieta, która wszędzie za panią chodzi, Fatima. Jestem oburzony, że drepczą zawsze o krok za swoimi mężami i nie mogą spokojnie porozmawiać z żadnym mężczyzną.

Podszedł do nich Fabián, trzymając dwa kieliszki.

— Całe szczęście, że w tym kraju nie przestrzega się ściśle nakazów islamu i możemy się napić — powiedział wesoło, podając każdemu kieliszek. — Co się wam stało? — spytał podejrzliwie.

— Powiedziałem Clarze, że musimy zacząć myśleć o wycofaniu się z Iraku.

— Z tego, co usłyszeliśmy, wynika, że nie należy zbyt długo zwlekać — zgodził się Fabián.

— Jutro zadzwonię do Ahmeda, żeby uzgodnił z panem Tannenbergiem szczegóły naszej ewakuacji. Zostaniemy do ostatniej chwili, jak długo będzie to bezpieczne, ale ani sekundy dłużej.

Picot mówił tonem nieznoszącym sprzeciwu. Clara uzmysłowiła sobie, że przegrała tę potyczkę.

— Claro, wiele osiągnęliśmy, nie widzi pani? — Fabián starał się podnieść ją na duchu.

— Co takiego osiągnęliśmy? — prychnęła poirytowana.

— Odkryliśmy świątynię, o której istnieniu nikomu się nie śniło, i miasteczko, o którym nie było nigdzie żadnej wzmianki. Z zawodowego punktu widzenia warto było przeprowadzić te wykopaliska, nie wyjeżdżamy z pustymi rękami, możemy być dumni z wykonanej pracy. Mamy wspaniałych ludzi, którzy bez słowa skargi pracowali w pocie czoła. Przez pięć miesięcy nie robimy nic innego, tylko kopujemy. Chyba nie oczekuje pani, że złożymy jeszcze w ofierze swoje życie?

Clara patrzyła na Fabiána i nie wiedziała, co powiedzieć. Wewnętrzny głos mówił jej, że Picot i Fabián mają rację, jednak przyznanie się do tego byłoby równoznaczne ze złożeniem broni.

— Kiedy wyjedziecie? — zapytała jeszcze.

— Nie wiem, najpierw muszę porozmawiać z Ahmedem. Muszę się również skontaktować ze znajomymi w Paryżu i z rodzicami. Bankierzy zawsze wiedzą, kiedy ma się rozpętać wojna. Ty, Fabianie, powinieneś porozmawiać ze swoimi ludźmi w Madrycie, ciekawe, co powiedzą.

— Dobrze, zadzwonimy tam jutro. Teraz czas zająć się dziennikarzami i zabrać się za te pyszne jagnięta. Umieram z głodu.

Z okienka izby Clary nie było prawie nic widać. Ukryty za chmurami księżyc nie rozświetlał ciemności.

Już od jakiegoś czasu z obozowiska nie dobiegały żadne odgłosy. Wszyscy spali po kolejnym męczącym dniu, Clara jednak nie mogła zmrużyć oka. Była poruszona rozmową z Picotem, po której zamieniła jeszcze parę zdań z Salamem Nahebem.

Lekarz był szczery: dziadek zaśląbł, wyniki analiz lekarskich były niepokojące. Jego zdaniem chory powinien zostać przewieziony do prawdziwego szpitala.

Clara zaszła do sypialni dziadka i nie mogła uwierzyć, że przez jeden dzień tak się postarzał. Miał zapadnięte oczy i urywany oddech. Kiedy mu powiedziała, że najlepiej dla niego będzie, jeśli pozwoli odwieźć się do Bagdadu, a stamtąd do Kairu, tylko kręcił głową. Nie, nigdzie nie pojedzie, dopóki nie odnajdą *Glinianej Biblii*. Nie miała odwagi powiedzieć mu, że Picot szykuje się do wyjazdu.

Zegarek wskazywał trzecią rano, było zimno. Włożyła ciepłą bluzę i nie zapalając światła, wyszła z izby, udając się do sypialni Fatimy. Służąca miała mocny sen i nie obudziła się, kiedy Clara otworzyła okno, by wyskoczyć na zewnątrz.

Ochroniarze, którzy zwykle jej strzegli, spali przy głównym wejściu i w przedsionku domu, nie pilnowali jednak tylnego wyjścia.

Zaczekała kilka sekund, by uspokoić łomocące serce, i pochylając się wśród cieni, oddaliła się od obozu w stronę odkopanej świątyni. Musi dotknąć starych glinianych cegieł i poczuć oddech nocy. To ją uspokoi.

Strażnicy spali jak dzieci. Ajed Sahadi zabiłby ich, gdyby się wydało, że ktoś zakradł się na teren wykopaliska. Jednak Clara nigdy mu o tym nie powie. Poszukała miejsca, gdzie mogłaby spokojnie usiąść i pomyśleć. Czowała, że jej życie wkrótce się odmieni. Tam, gdzie kiedyś było tylko bezpieczeństwo i pewność, teraz pojawił się ból i samotność, i po raz pierwszy zdała sobie sprawę, że nigdy wcześniej nie zastanawiała się nad swoim życiem. Po prostu żyła, nie martwiąc się o nic, nie chcąc wiedzieć ani widzieć niczego, co nie było jej na rękę i zakłóciłoby sielankę.

Nie, nie była lepsza od Ahmeda, który kasował pieniądze za to, że się o nią troszczył, tyle tylko, że nie była tak obłudna jak on, bo po prostu nie miała wyrzutów sumienia.

Usnęła, zwinięta w kłębek na posłaniu z ziemi i gliny, szukając w snach Szamasa.

Ili dostąpił godności *um-mi-a*, mistrza, i stał się najwyższą władzą w świątyni, skąd sprawował rządy nad całym regionem.

Król chciał poszerzyć strefę swoich wpływów poza Ur, kazał więc wznieść ten niewielki ziggurat, by mądrzy ludzie mogli strzec w nim swojej wiedzy i zapisywać uwagi o wszystkim, co ich otaczało: kwiatach, roślinach i niebie, w które się wpatrywali, chcąc przeniknąć jego tajemnice.

Ten ranek był jednak wyjątkowy — pewien *dub-sar*, skryba, miał dostąpić godności *ses-gal*, wielkiego brata.

Stary Jadin, któremu czas zasnuł oczy mgłą, nie popatrzy już na Szamasa, ale będzie obecny na tej ceremonii i będzie się uśmiechał, odsłaniając bezzębne dziąsła. Już jakiś czas temu jego żona, a matka Szamasa, zastąpiła Jadinowi oczy i opowiadała o wszystkim, co działo się dookoła. Będzie dumna z tego, jak wysoko zaszedł jej niegdyś krnąbrny syn.

Nauczyciel rozmyślał o szczegółach uroczystości. Szamas przysporzył mu niemało kłopotów, nierzadko Ili musiał tłumić gniew, jaki wywoływał w nim upór tego ucznia i jego dociekliwe pytania.

Młodzieniec nie uznawał prostych odpowiedzi. Czuł potrzebę, by wszystko analizować, nie przyjmował gotowych prawd, chyba że były jasne i oczywiste.

Iliemu udało się jednak przekonać Szamasa, by nie wyrażał się z pogardą o bogach.

Abraham nauczał chłopca, że istnieje tylko jeden Bóg i że wszystko powstało z jego woli. On, Ili, tłumaczył mu, że rozkaz stworzenia wyszedł od Elohima, potem jednak dyskutowali o innych bogach, których istnieniu Szamas zaprzeczał.

Jednak Szamas ujarzmił swego niepokornego ducha i stał się najlepszym z pisarzy. Teraz zaś sięgał po jeszcze większą godność, *ses-gal*, a pewnego dnia stanie się również *um-mi-a*, mistrzem wszystkich, gdyż jego wiedza była ogromna.

Żona Szamasa, młoda kobieta o imieniu Lia, pomogła mu przywdziać tunikę i pożegnała go uśmiechem.

Tego dnia, pod opieką Ilięgo, Szamas stał się *ses-gal*, choć jego umysł zaprzętały zupełnie inne myśli.

Myślał o Abrahamie, wyobrażał go sobie w Ziemi Kananejskiej, w roli ojca wielu plemion, gdyż do Ur dotarły wieści o tym, że ma potomków. Bóg mu to obiecał i Bóg dotrzymał słowa.

Bóg nadal jawił się Szamasowi kapryśny i niezbadany, i choć młodzieniec wierzył w niego całym sercem, nie potrafił go zrozumieć; tłumaczył sobie, że jest tylko człowiekiem, owocem boskiego poddmuchu, tchnącego życie w glinę, z której powstałi ludzie.

Czasami wydawało mu się, że głowa mu pęknie, kiedy próbował pojąć logikę stworzenia świata. Bywały chwile, gdy wydawało mu się, że wszystko kiedyś zrozumie, ale ta uluda szybko się rozwiewała i znów czuł, że jego umysł zasnuwają ciemności. Do rzeczywistości przywracał go ochryply głos Ilięgo. Nie słuchał stów swojego mistrza i prawie nigdy nie usługiwał pisarzom i kapłanom modlącym się obok niego do bogini Nidaby.

Pragnął zostać sam na sam z Ilim, by dać mu prezent, nad którym pracował przez ostatnie lata, wkładając w to całą swoją duszę. Były to tabliczki, na których wyraźnym, pewnym pismem zapisał wszystko, co opowiedział mu Abraham, historię stworzenia świata, boski gniew na ludzi za ich bezbożność, zniszczenie wieży Babel i pomieszanie języków... trzy przepiękne legendy wyrze w glinie. Pragnął, by powiększyły one zbiory zamknięte w jednej z sal, w której złożone były inne historie i opowieści.

Po południu nauczyciel i jego uczeń mogli cieszyć się kilkoma chwilami samotności.

Na słowie Ilięgo nie było już ani jednego włosa, poruszał się wolno, a brwi miał białe jak skrzydła gołębiczy.

— Będzie z ciebie dobry *um-mi-a* — powiedział Ili do Szamasa.

— Jestem zadowolony z tego, co już osiągnąłem. To przywilej, pracować u twojego boku. Co dzień uczę się czegoś nowego.

— I nigdy ci nie dość, bo pragniesz dowiedzieć się o wiele, wiele więcej — odrzekł Ili ze śmiechem. — Wciąż zadajesz pytania i nawet twój Bóg nie udzieli ci na nie odpowiedzi.

Szamas słuchał w milczeniu. Ili miał rację, pytania same cisnęły się na usta, było ich więcej niż odpowiedzi, jakie mógł uzyskać od otaczających go ludzi.

— Już dawno stałeś się mężczyzną — ciągnął Ili — i musisz pogodzić się z tym, że na niektóre pytania nie ma odpowiedzi, nieważne, jakiego boga będziesz przywoływał. Przez te lata przynajmniej nauczyłeś się szanować bogów, a kiedyś nieraz przez ciebie cierpiałem,

obawiając się, że swoją śmiałością obrazisz naszego Pana. Nikt cię jednak nie zdradził, nawet ci, którzy cię nie rozumieją.

— Ależ Ili, wiesz równie dobrze jak ja, że bogowie w świątyni to tylko glina.

— To prawda, nie glinę jednak przywołujemy, kiedy prosimy bogów o łaskę. Przywołujemy ich boskiego ducha. Glina to tylko wyobrażenie boga, bo trudno jest modlić się do niczego, do Boga, którego nie widać, bez twarzy i kształtu.

— Abraham powiedział, że Bóg stworzył ludzi na swoje podobieństwo.

— To znaczy, że wygląda on tak samo jak my? Jest podobny do ciebie, do mnie, do twojego ojca? Jeśli stworzył nas na swoje podobieństwo, oznacza to, że możemy przedstawić go w glinie, by się do niego modlić.

— W glinie nie ma Boga.

— Słyszałem, jak mówisz, że twój Bóg jest wszędzie, więc również w glinie, z jakiej ulepił człowieka.

Od lat prowadzili tę samą dyskusję, chociaż upływający czas pozwolił im oczyścić słowa z cierpkości. Teraz tylko rozmawiali, nie kłócili się już i nie narzucali jeden drugiemu swojego zdania.

— Przyniosłem ci podarunek — powiedział Szamas, uśmiechając się na widok zaskoczenia na twarzy mistrza.

— Dziękuję ci, choć najlepszym prezentem dla mnie było mieć cię za ucznia. Teraz wiem, że jesteś mi równy, gdyż sprawiłeś, że co dzień, musząc odpowiadać na twoje pytania, przewycięzałem swoją pychę.

Roześmiali się. Doczekali czasów, gdy obaj mogli darzyć się szczerym szacunkiem i brać jeden drugiego takim, jakim jest. Musieli się tego nauczyć i nie była to nauka bezbolesna.

Szamas poprowadził Ilię do niewielkiego pomieszczenia, w którym lubił pracować, i wręczył mu kilka tabliczek owiniętych w tkaninę.

Ili rozwinął je ostrożnie, zaskoczony tym, jak piękne są znaki, które wyszły spod trzcinki jego najbardziej krnąbrnego ucznia.

— Oto historia stworzenia świata na tabliczkach, tak jak mi ją opowiedział Abraham. Chciałbym, byś je zatrzymał.

Oczy Ilię zasnuła mgiełka wzruszenia.

— Tak często wspominałeś legendy, które opowiadał ci twój wuj...

— Oto tabliczki, na których je zapisałem. Zatrzymuję tabliczki z Charanu, gdyż wtedy nie miałem tak pewnej ręki jak teraz. Mam nadzieję, że to, co przeczytasz, ci się spodoba.

— Dzięki, Szamasie, dzięki, zatrzymam je do ostatnich dni mojego życia.

Tego wieczoru Lia uważnie słuchała męża, zachwycona, że stał się ważnym człowiekiem w świątynnej hierarchii.

Kiedy żona zasnęła, Szamas odwinął z tkaniny stare tabliczki, które towarzyszyły mu w drodze z Charanu, i przyglądał im się w ciszy. Ich widok przenosił go w czasy dzieciństwa, młodości, w lata spędzone z ojcem i jego plemieniem. Nie dokuczała mu tęsknota za przeszłością, przecież był zadowolony z tego, co miał teraz. Wciąż jednak tęsknił za Abrahamem, z którym rozmawiał o Bogu. Nawet dla jego ludu Bóg Abrahama był tylko jednym z wielu bogów, nie tym jedynym, wszechmocnym, a tylko bogiem silniejszym niż inni.

Owinął tabliczki w tkaninę i starannie położył je na półce w małej salce, obok innych tabliczek. Zastanawiał się, co się stanie po jego śmierci. Jego dzieci, dobrze o tym wiedział, nie wierzyły w Boga, którego nie można zobaczyć.

— Szamasie! Obudź się, Szamasie!

W głosie Lii brzmiał strach i smutek. Szamas otworzył oczy i usiadł na łóżku. Przez okno wpadały pierwsze promienie słońca.

— Co się stało?

— Ili cię wzywa, idź do świątyni.

— Tak wcześnie? Powiedział, czego chce?

— Nie, młodzieniec, którego przysłał, mówi tylko, że Ili na ciebie czeka.

Kiedy dotarł do długiej sali, w której czekał na niego Ili w towarzystwie innych skrybów, zrozumiał, że stało się coś poważnego.

— Szamasie, pan na pałacu domaga się naszych ziem. Zazdrości świątyni bogactwa.

— Czego od nas oczekuje?

— Byśmy dali mu wszystko, co mamy: zboże, palmy, wodę. Chce naszej trzody. Twierdzi, że jego ziemie nie rodzą owoców, a strumienie są suche. Chce podnieść dziesięcinę, mówi, że my zbieramy z pól o wiele więcej niż on.

— Mamy w spichrzach dość ziarna, by nie musiał narzekać.

— Niczego mu nie brak, chce jednak więcej, wydaje mu się, że mamy niepotrzebne bogactwa. To wnuk mojego poprzednika, ostatniego wielkiego nauczyciela, chce rządzić nie tylko pałacem, ale również świątynią. Chce, by ekonom nadzorował naszą pracę i decydował, jaka część naszych plonów ma trafiać do skarbcza królewskiego, a jaka do świątynnego.

Nie chciałem mówić ci o tym wczoraj, gdyż był to twój wielki dzień, ale już wiele dni temu mi o tym powiedział, dziś zaś przed świtem, przybył tu jeden z jego żołnierzy, domagając się odpowiedzi. Miałem nadzieję, że uda mi się go przekonać, ale niestety, myliłem się.

— A jeśli się mu przeciwstawimy?

— Zniszczy nas, zasoli nasze ziemie, ograbi spichrze... Co my pocniemy? — załamywał ręce Ili.

Pisarze świątynni milczeli zasmuceni. Niektórzy zerkali z nadzieją na Szamasa, spodziewając się, że jego bystry umysł podsunie jakieś rozwiązanie.

— Jesteśmy nastawieni pokojowo, nie potrafimy walczyć – dodał Ili.

— Możemy zwrócić się o pomoc do władcy Ur — powiedział Szamas. — Jest potężniejszy niż nasz *ensi*, nasz pan nie odważy się z nim walczyć.

Postanowili, że wyślą do Ur posła, który będzie błagał króla o pomoc. Ili wyznaczył do tej misji młodego skrybę i kazał mu natychmiast wyruszać.

Słońce zalewało oślepiającym blaskiem żółte ziemie Safianu, kiedy na miejskim rynku rozległ się okrzyk trwogi.

Ili i Szamas popatrzyli na siebie, wiedząc, że to zapowiedź śmierci i zniszczenia.

Wszyscy skrybowie pobiegli ku świątynnym wrotom, pod którymi stali już żołnierze, gotowi wtargnąć do środka.

Ogień z traskiem pożerał wszystko, co napotkał na swej drodze, zawodzenie kobiet wznosiło się do nieba, mieszając się z krzykami żołnierzy i mężczyzn broniących domostw.

Szamas wiedział, że nie wygrają, muszą ulec, zgiąć się jak trzcina na brzegach Eufratu, poddająca się smaganiu wiatru w oczekiwaniu, aż rozpęta się burza. Postanowił jednak, że nie podda się bez walki.

Żaden człowiek, nawet król, nie jest wieczny. Nadejdzie dzień, że ktoś panujący w pałacu przywróci pokój i będzie dobrze rządził tą ziemią, myślał Szamas, wleczony przez żołnierza.

Ujrzał Ilięgo leżącego na ziemi z raną na głowie, z której sączyła się krew. Inni skrybowie leżeli martwi, tak samo jak słudzy świątyni.

Czyżbym umierał? — rozmyślał Szamas. A może już umarłem? Czuł ogromne zmęczenie i wielki ból.

A co z Lią? Czy Lia ocalała? Żołnierz kopnął go w twarz i rzucił na stos trupów, bo Szamas prawie nie oddychał.

Nie chciał umierać, nie wiedział jednak, co zrobić, by przeżyć. Dlaczego Bóg chciał, by taki był jego koniec? Szamas uśmiechał się. Ili wyrzuciłby mu, że w takich chwilach stawia Bogu pytania. Ale czy inni w obliczu śmierci nie modlili się do Marduka?

Gdyby był tu Abraham, Szamas zapytałby go, dlaczego Bóg godził się, by jego dzieci padły ofiarą przemocy i gwałtu. Czy tak wygląda koniec świata? Nie wiedział, czy ma zamknięte oczy, ale nic nie widział. A gdzie jest Bóg? Czy teraz go zobaczy? Drgnął, słysząc czyjś głos, głos Abrahama, który prosił go, by ufał Bogu. Miejsce, w którym leżał, zalało białe światło i czyjaś silna ręka chwyciła go za ramię, pomagając mu usiąść. Przestał odczuwać ból, zrozumiał, że stapia się z wiecznością.

— Clara?... Tak, to ona.

Głos Mirandy wyrwał ją z głębokiego snu, w którym znów spotkała się z Szamasem. Czuła silny ból w piersiach, z trudem oddychała. Bolały ją wszystkie kości i nie była w stanie odpowiedzieć Mirandzie, która przyglądała jej się z troską.

Daniel odłożył kamerę na gliniany blok i pochylił się nad drżącą Clara.

— Dobrze się pani czuje?

Żołnierze przybiegli, zaciekawieni, z kim rozmawiają dziennikarze, i przestraszyli się na widok Clary zwiniętej w kłębek na piasku.

Komendant pokrzykiwał na swoich ludzi, jeden z nich pobiegł poszukać ciepłego koca.

Clara nie mogła się ruszyć, przez chwilę obawiano się nawet, że jest sparaliżowana. Straciła głos, nogi zaś i ramiona nie słuchały rozkazów mózgu.

Poczuła, że Daniel podkłada jej pod głowę ramię i pomaga usiąść. Potem podał jej wodę do picia.

Miranda zbadała jej puls, a komendant przyglądał się przerażony. Jeśli tej kobiecie coś się stanie, on zapłaci za to głową.

— Ma słaby puls, ale wydaje mi się, że jest w dobrym stanie, nie ma żadnych obrażeń — stwierdziła Miranda.

— Powinniśmy przenieść ją do obozu, musi zbadać ją lekarz — powiedział Daniel.

Przybiegł żołnierz z kocem, którym Daniel ją otulił. Clara poczuła, że w jej żyłach znów krąży krew.

— Wszystko w porządku — wymamrotała. — Przepraszam, zasnęłam...

— O mało pani nie zamarzła — gderał Daniel. — Co pani przyszło do głowy, żeby spać w takim miejscu?

Clara popatrzyła na niego, wzruszając ramionami. Nie wiedziała, co odpowiedzieć.

— Odprowadzimy panią do obozu — zarządziła Miranda.

— Nie, nie... Proszę... dziadek tylko się przestraszy. Dobrze się, czuję, dziękuję — zapewniała Clara.

— Dajmy jej przynajmniej kawy, niech się trochę rozgrzeje. Komendancie, ma pan kawę?

Pytanie Mirandy zabrzmiało niczym rozkaz, który zdenerwowany komendant przyjął bez szemrania. Parę minut później Clara, Daniel i Miranda siedzieli już w namiocie służącym żołnierzom za jadalnię. Kawa przywróciła Clarze rumieńce.

— Co się pani stało? — dopytywała się Miranda.

— Poszłam się przejść. Lubię spacerować wśród ruin, to mi pomaga zebrać myśli, a potem zasnęłam, to wszystko — odpowiedziała Clara.

— Powinna pani bardziej uważać, noce są przecież takie chłodne.

Clara uśmiechnęła się, słysząc ojcowski ton Daniela.

— Proszę się nie przejmować, w najgorszym wypadku złapałam przeziębienie, ale to nic poważnego. Proszę tylko... nie mówcie nikomu, ja... lubię samotne spacery nocą, łatwiej mi wtedy myśleć, tu jednak trudno o chwilę samotności, dziadek ciągle się martwi, że coś mi się stanie. Zresztą pełno tu żołnierzy, zwykle więc wymykam się tak, by nikt tego nie zauważył.

— Nie musi się pani tłumaczyć — uspokoił ją Daniel. — Po prostu przestraszyliśmy się, widząc panią leżącą na ziemi.

— Zasnęłam. Jestem zmęczona, pracujemy tak ciężko... — usprawiedliwiała się Clara.

— Chcieliśmy sfilmować ruiny o wschodzie słońca, żeby zrobić inne zdjęcia niż wszyscy nasi przyjaciele. Szczerze mówiąc, tu jest przepięknie — powiedziała Miranda.

— A skoro pani już czuje się lepiej, to wykorzystam ostatnie chwile przed świtem, ty, Mirando, możesz zostać tu z Clarą – zaproponował Daniel.

— Pani nie wygląda na Irakijkę — odezwała się Miranda, gdy Daniel odszedł.

— Jestem Irakijką. Tu nikt by nie powiedział, że nie wyglądam na miejscową.

— Ma pani niebieskie oczy, a kolor włosów... niezupełnie taki jak pani rodacy.

— Moi przodkowie pochodzili z innych stron, w moich żyłach płynie mieszana krew. Miranda natychmiast poczuła sympatię do Clary, odkryła coś, co je łączy.

— Proszę powiedzieć, jak pani znosi życie w tym kraju?

Pytanie zaskoczyło Clary. Natychmiast stała się czujna.

— Co ma pani na myśli?

— Zastanawiam się, jak wykształcona i wrażliwa kobieta może znieść taki reżim.

— Nigdy nie mieszałam się do polityki, nie interesuje mnie to — odpowiedziała chłodno Clara.

Miranda przyglądała jej się uważnie, stwierdzając, że Clara nie będzie tak sympatyczną, rozmówczynią, jak jej się w pierwszej chwili wydało.

— Polityka wpływa na nas wszystkich, niektórzy twierdzą, że ich nie interesuje, pewne jest natomiast, że nie można od niej uciec.

— Poświęciłam całe życie nauce, nic innego mnie nie obchodzi.

— Ale przecież musiała pani wiedzieć, co się dzieje w kraju — naciskała coraz bardziej zirytowana Miranda.

— Powiem pani, co się działo: otaczał mnie jeden z niewielu laickich reżimów na Wschodzie, społeczeństwo z kształtującą się klasą średnią, dobrobyt i życie w pokoju.

— A co pani powie o zaginionych, zabitych, o mordowaniu Kurdów, o zbrodniach popełnionych przez Saddama?

— Co pani powie o wsparciu Stanów Zjednoczonych udzielonym Pinochetowi albo argentyńskiej juncie? Albo o popieraniu Saddama Husajna, dopóki było to po ich myśli? Czy Stany zamierzają bombardować wszystkie kraje, które im się nie podporządkują? Śmiem twierdzić, że Arabii Saudyjskiej, Emiratom czy Chinom nawet nie podskoczą. Dość mam podwójnej zachodniej moralności.

— Ja również, ale skoro sama demaskuję tę podwójną moralność, uważam, że mam prawo wyrażać swoje poglądy. Tu mamy do czynienia z jedną z najokrutniejszych dyktatur świata.

— Proszę liczyć się ze słowami.

— Zamierza pani na mnie donieść? — zapytała z ironią Miranda.

— Co też pani opowiada!

— Ja wcale nie usprawiedliwiam wojny wypowiedzianej pani krajowi, jestem jej przeciwniczką, pragnę jednak, by Irakijczycy uwolnili się od Saddama.

— A jeśli nie zechcą?

— Proszę nie być cyniczną.

— Ten kraj potrzebuje rządów silnej ręki.

— Ileż ma pani pogardy dla swoich rodaków!

— To nie pogarda, jestem po prostu realistką. Zniknie Saddam, znajdzie się ktoś inny, jeśli jednak zabraknie silnej ręki, kraj pogrąży się w chaosie.

— Czy pojęcia takie jak prawa człowieka, demokracja, wolność, solidarność... coś dla pani znaczą?

— Tyle samo co dla pani, proszę jednak nie zapominać, że jesteśmy na Bliskim Wschodzie. Robi pani błąd, mierząc wszystko tą samą miarą.

— Prawa człowieka są tym, czym są, tak samo tu, jak w Pernambuco.

— Nie zna pani Arabów.

— Ja wierzę w wolność i godność ludzi, bez względu na to, gdzie przyszli na świat.

— Nie będę się z panią kłóciła. Patrzy pani na Irak swoimi oczami i nie widzi pani, jak jest naprawdę — odrzekła Clara protekcjonalnie.

— Rok temu poznałam w Bagdadzie dziennikarza radiowego. Kiedy wróciłam przed paroma miesiącami, zadzwoniłam do niego, ale nikt nie odebrał. Poszłam do jego rozgłośni, gdzie zostałam poinformowana, że „zaginął”. Pewnego dnia do stacji radiowej przyszedli wysłannicy Muhabaratu i go zabrali. Nikt go więcej nie widział. Jego żona sprzedała cały swój dobytek, żeby przekupić jakiegoś urzędnika i zdobyć informacje o mężu. Sprzedała wszystko, dom, samochód, co tylko miała, i dała to jakiemuś draniowi, który przyjął pieniądze i na nią doniósł. Ona również zaginęła. Ich dzieci żyją na krawędzi ubóstwa pod opieką babki.

Clara wzruszyła ramionami. Cóż mogła odpowiedzieć? Kiedy ktoś opowiadał jej, że takie rzeczy dzieją się w Iraku, musiała milczeć. Ona sama była szczęśliwa. Na dodatek w pałacu Saddama zawsze była miło przyjmowana. Nie, nie będzie osądzała Husajna, dziadek nigdy by jej na to nie pozwolił, zresztą wcale nie miała na to ochoty.

— Musi pani wiedzieć, że takie rzeczy się zdarzają — upierała się Miranda.

Milczenie Clary zaczynało być irytujące.

— Wschód potrzebuje rewolucji — ciągnęła z zapalem Miranda — ale prawdziwej rewolucji, która zmiecie rządzących bandytów z ich średniowiecznymi ustrojami politycznymi i pogardą dla ludzkiego życia. W dniu, kiedy ludzie uświadomią sobie, że rak toczy ich od środka, i postanowią się go pozbyć, Wschód stanie się potęgą.

— A czy ktoś jest zainteresowany, by tak się stało? — spytała gorzko Clara.

— Nie, oczywiście, że nie. Niektórzy zainteresowani są tym, żeby ludzie nadal byli niewolnikami swoich skorumpowanych rządzących i by wierzyli, że winę za wszelkie zło ponosi Zachód, niewierni. Utrzymują ludzi w niewiedzy, by ich wykorzystywać, a najgorsze jest to, że ludzie tacy jak pani nie reagują, nic nie robią, siedzą z założonymi rękami, bo im samym niczego nie brakuje.

— Po czyjej stoi pani stronie? — zapytała Clara.

— Nie popieram ani Busha, ani wojny, ale nie jestem też salonowym postępowcem, jakich nie brak na Zachodzie. Ci z kolei uważają, że jak się mówi, że islam jest wspaniały i że należy szanować wszelką odmiennosc, brzmi to poprawnie politycznie. Ja nie szanuję nikogo ani niczego, co nie jest zgodne z Deklaracją Praw Człowieka.

— Sama pani sobie przeczy.

— Myli się pani, po prostu nie jestem hipokrytką, tylko uważam, że polityczna poprawność to bzdura.

— Jakbym słyszała Yves'a... — westchnęła Clara.

— Yves'a? A, profesora Picota! To fantastyczny facet.

— Choć ma swoje dziwactwa.

Clara popatrzyła na Mirandę i nagle zrozumiała, że Picot chce wrócić do domu nie tylko z powodu zbliżającej się wojny, ale również tęsknoty za innymi rzeczami, o których, była pewna, przypomniawszy mu obecność tej dziennikarki.

Ekspedycje archeologiczne zwykle nie trwały tak długo, a jeśli się przedłużały, ludzie brali urlop, wyjeżdżali i wracali wypoczęci. Oni zaś od sześciu miesięcy siedzieli w Safranie; Picot i jego pracownicy mieli tego dość.

— Bardzo... specyficzna z pani kobieta — mruknęła Miranda.

— Dlaczego? Jestem tylko archeologiem, przekonany, że ta ziemia skrywa *Glinianą Biblię*.

— Profesor Gómez powiedziała, że wcale nie jest pewne, czy w ogóle istniał patriarcha Abraham.

— Jeśli znajdziemy tabliczki, dowiedzimy, że Abraham to nie tylko legenda. Jestem przekonana, że żył, wyszedł z Ur do Kanaanu, że uwierzył w jednego Boga i od tej chwili niósł ziarno wiary, dokądkolwiek się udał. Dlatego musimy znaleźć tabliczki, na których skryba Szamas zapisał ideę stworzenia świata według Abrahama.

— Kiedy wystąpiła pani w Rzymie na kongresie archeologicznym, żaden z dostojników kościelnych nie skontaktował się z panią chociażby po to, by obejrzyć te tabliczki. Ciekawe dlaczego?

— Nie, nikt tego nie zrobił, ale ja tego nie oczekiwałam. Kościół nie podważa faktu istnienia patriarchów. Jeśli znajdziemy tabliczki, tym lepiej, jeśli jednak ich nie odnajdziemy, Kościołowi będzie to obojętne, nie wpływa to w żaden sposób na fundamenty religii.

— A dlaczego jest tu ksiądz?

— Pomaga nam. To bardzo dobry człowiek i doskonały pracownik.

— Ale jednak ksiądz.

— A kto pani powiedział, że wśród duchownych nie ma archeologów? Gian Maria to ekspert w dziedzinie martwych języków, jest nam niezbędny.

— Co pani zrobi, kiedy Picot i inni ludzie wyjadą?

— Nadal będę kopała.

— Bomby nie robią wyjątków.

Clara wzruszyła ramionami. Wojna była dla niej tylko słowem, niematerialnym bytem, nie sądziła, by kiedykolwiek stała się faktem, nie czuła, że jest to coś, co jej dotyczy.

Poranną ciszę zakłóciły silniki jeepów. Archeolodzy zaczęli się zjeżdżać na stanowisko. Jeden z samochodów zatrzymał się przed namiotem, w którym rozmawiały kobiety. Z auta wyskoczył Ajed Sahadi i nie ukrywając wzburzenia, powiedział do Clary:

— Znowu zabawiła się pani z nami w kotka i myszkę! Dziadek kazał wychłostać ludzi odpowiedzialnych za pani bezpieczeństwo, a mnie... wolę nie myśleć, co mnie czeka. Bawi panią sprowadzanie na ludzi nieszczęść?

— Jak pan śmie tak do mnie mówić?!

Miranda przyglądała się tej scenie zafascynowana. Gniew tego człowieka nie był gniewem zwykłego nadzorca robót, Sahadi zachowywał się raczej jak wojskowy.

Clara i nadzorca patrzyli na siebie rozwścieczeni, jakby zaraz mieli skoczyć sobie do oczu. Sekundy ciągnęły się w nieskończoność, Miranda zauważyła, że Sahadi oddycha głęboko, starając się odzyskać nad sobą panowanie.

— Proszę wsiadać do auta. Dziadek chce natychmiast panią zobaczyć.

Sahadi wyszedł z namiotu i usiadł za kierownicą, czekając, aż Clara do niego dołączy.

Clara powoli dopiła kawę i popatrzyła na Mirandę.

— Do zobaczenia wkrótce — rzuciła.

— Pani dziadek karze ludzi chłostą?

Pytanie Mirandy zaskoczyło Clarę. Dla niej było to naturalne, że dziadek robi to, co uważa za stosowne, i skazuje na baty tych, którzy okazują nieposłuszeństwo.

— Niech pani nie zwraca uwagi na Ajeda, przesadza, zawsze wypowiada się w taki sposób.

Wyszła z namiotu, przeklinając w duchu nadzorcę. Miała nadzieję, że jego uwaga nie pociągnie za sobą żadnych skutków, jeśli jednak tak się stanie, to sama każe go wybatożyć.

Miranda zamyśliła się. Była pewna, że Ajed powiedział prawdę. Postanowiła pojechać do obozu, poznać dziadka Clary i dowiedzieć się, czy ktoś rzeczywiście został wychłostany. Dreszcz przebiegał jej po plecach na samą myśl o tym.

Clara wysiadała z jeepa, kiedy zobaczyła Salema Naheba, wychodzącego z domu dziadka.

— Chciałbym z panią porozmawiać.

— Co się stało? — zapytała Clara przestraszona.

— Dziadek jest w coraz gorszym stanie, powinniśmy przewieźć go do Kairu, tu... tu umrze.

— Nic pan nie może zrobić?

— Owszem, mógłbym go zoperować, ale tu nie mam odpowiednich warunków, może umrzeć na stole operacyjnym.

— A do czego służy sala zabiegowa, którą kazał zainstalować dziadek?

— Do nagłych przypadków... ale pani dziadek nie przetrzyma operacji.

— Pan nie chce przyjąć na siebie odpowiedzialności za to, co się stanie?

— Nie, nie chcę. To szaleństwo. Pani dziadek ma raka wątroby z przerzutami do innych organów, a my siedzimy na końcu świata. To pani musi podjąć decyzję.

Clara nie odpowiedziała, tylko weszła do chaty. Fatima stała zapłakana w drzwiach sypialni dziadka.

— Dziecko kochane, panu się pogorszyło.

— Wiem o tym, ale nie chcę, żeby widział, jak lamentujesz, nie zniósłby tego, ja też nie.

Odsunęła ją i weszła do pogrążonego w półmroku pomieszczenia. Przy chorym czuwała Samira.

— Clara? — odezwał się cicho Tannenberg.

— Tak, dziadku, jestem tu.

— Powinienem kazać, by i ciebie wychłostali.

— Przepraszam, dziadku, nie chciałam cię przestraszyć.

— Właśnie to zrobiłaś. Gdyby coś ci się stało... zginęliby wszyscy, przysięgam, że wszystkich kazałbym zabić.

— Dziadku, uspokój się. Jak się czujesz?

— Umieram.

— Nie opowiadaj głupstw! Nie umrzesz, zwłaszcza teraz, gdy jesteśmy o krok od znalezienia *Glinianej Biblii*.

— Picot chce wyjechać.

— Skąd wiesz?

— Wiem o wszystkim, co się tu dzieje.

— Zdażymy odnaleźć tabliczki, nie przejmuj się, a jeśli odejdzie, będziemy kopali sami.

— Kazałem wezwać Ahmeda.

— Przyjedzie tu?

— Musi przyjechać, musi mi opowiedzieć, jak się rozwija operacja, nad którą wspólnie pracujemy, musimy uzgodnić ostatnie szczegóły, żebyś mogła stąd wyjechać.

— Nigdzie nie wyjeżdżam!

— Zrobisz, co ci każe. Żadne z was tu nie zostanie. Jeśli umrę wcześniej, wszystko mi jedno, gdzie mnie pogrzebiesz, ale jeśli przeżyję, jeśli zostanie mi choć tchnienie życia, uczepię się go i nie dam się zabić żadnym bombom. Wyjedziemy więc oboje, albo razem do Kairu, albo ty wyjedziesz z Picotem.

— Z Picotem? Dlaczego?

— Bo ja tak chcę. Zostaw mnie teraz, muszę odpocząć i pomyśleć. Dzisiaj po południu przyjedzie Jasir, chcę, żeby mnie znalazł siedzącego o własnych siłach. Nadal się mnie boi, ale jeśli zobaczy mnie skurczonego w łóżku, będzie próbował mnie zabić.

Clara pocałowała dziadka w czoło i wyszła z izby. Nie wspomniała mu ani słowem o niedyskrecji Ajeda Sahadiego, by nie drażnić go jeszcze bardziej. Dziadek miał rację, musi być w dobrej formie, a przynajmniej tak wyglądać, ona zaś mu w tym pomoże.

Odnalazła Salama Naheba w prowizorycznym szpitalu urządzonym obok domu. Lekarz porządkował narzędzia chirurgiczne.

— Dziadek musi żyć — powiedziała.

— Wszyscy chcemy żyć — mruknął lekarz.

— Niech go pan utrzyma przy życiu, niech pan robi cokolwiek.

— Gdybyśmy byli w Kairze, moglibyśmy spróbować.

— Tymczasem jesteśmy tu i robi pan, co do pana należy. Dobrze panu płacimy. Dziadek musi żyć.

— Nie jestem Bogiem.

— Oczywiście, że nie, ale musi pan znać jakiś sposób na przedłużenie życia nieuleczalnie chorego starca. Niech mu pan oszczędzi bólu, poda, co trzeba, by miał sprawny umysł i sprawiał wrażenie, że jest w dobrej formie. Być może wrócimy do Kairu, póki jednak tu jesteśmy, mój dziadek musi wyglądać tak jak dawniej.

— To niemożliwe.

— Niech więc pan dokona rzeczy niemożliwych.

— Prosi mnie pani, żebym podał mu leki, które mogą skrócić jego życie.

— Niech pan robi, co każe.

Ton Clary nie pozostawiał złudzeń. Salam Naheb popatrzył na nią, jednak zamiast ładnej twarzy i przejrzystego błękitnego spojrzenia zobaczył paskudny grymas, który miał być wymuszonym uśmiechem. Była podobna do swojego dziadka, była jego repliką.

Miranda czekała na Clarę nieopodal szpitala, leniwie paląc papierosa.

— Chciałabym zobaczyć pani dziadka — rzuciła.

— Nikogo nie przyjmuje — odparła chłodno Clara.

— Dlaczego?

— Bo to starszy człowiek, źle się czuje i ostatnie, co można mu zalecić, to konferencja prasowa.

Clara weszła do chaty i zamknęła drzwi. Rzuciła się na łóżko i wybuchnęła płaczem.

Kiedy pół godziny później Fatima weszła do izby, zobaczyła zaczerwienione oczy i drżący podbródek.

— Córciu, musisz być silna.

— Jestem silna, nie martw się.

— Po południu przyjedzie Jasir, trzeba przekonać lekarza, że twój dziadek musi wyglądać krzepko.

— Tak będzie.

— Mężczyźni szanują tylko siłę.

— Nikt nie odmówi szacunku mojemu dziadkowi, jak długo żyje — zapewniła Clara, wstając.

— Dokąd idziesz?

— W południe wyjeżdżają dziennikarze, musimy ich pożegnać. Chcę porozmawiać z Picotem i wydać kilka poleceń przed przyjazdem Jasira.

Fatima zdała sobie sprawę, że przez ostatnie godziny Clara okrzepla i stała się bardziej twarda. Widziała w jej oczach żelazną wolę i zdecydowanie dziadka i domyślała się, że coś lub ktoś rozniecił w niej najgorsze cechy Tannenbergów.

Yves Picot rozmawiał z dziennikarzami. Clarze nie umknęły spojrzenia, jakie wymieniał z Mirandą.

Spodobali się sobie, pomyślała, wpadli sobie w oko i wcale tego nie ukrywają. Dlatego on chciałby jak najszybciej wyjechać, ma dosyć tego miejsca. Gdy tylko ona się stąd zabierze, on podąży jej śladem.

W rozmowie uczestniczyli też Fabián, Marta, Gian Maria i Lion Doyle.

— Dzień dobry! Nie wierzę własnym oczom, nie pracujecie? — zapytała Clara, starając się, by zabrzmiało to wesoło.

Marta Gómez spojrzała na nią kątem oka i zauważyła w jej oczach ślady niedawnych łez.

— Żegnamy się z kolegami — wyjaśnił Fabián.

— Mam nadzieję, że znaleźli tu państwo coś interesującego — Clara zwróciła się do dziennikarzy.

Ci przytaknęli, dziękując za uprzejmość, z jaką zostali potraktowani, i rozmowa zesłała na błahostki, chociaż Clara czuła na sobie badawcze spojrzenia Marty i Mirandy. Wpuściła krople do oczu, by zatrzeć ślady łez, wiedziała jednak, że dziennikarka i pani profesor wiedzą, iż płakała.

Pożegnania ciągnęły się w nieskończoność, aż wreszcie dziennikarze zaczęli wsiadać do helikopterów. Fabián wydawał się zasmucony ich wyjazdem, co jeszcze bardziej ją zdenerwowało.

Miranda podeszła do Clary. Kobiety popatrzyły sobie uważnie w oczy, czego nie zauważył nikt oprócz Marty, która się im przyglądała.

— Cieszę się, że panią poznałam — powiedziała Miranda. — Mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy. Podejrzewam, że wróci pani kiedyś do Bagdadu. Ja zostanę tam przez całą wojnę, o ile wcześniej nie zginę.

— Zostanie pani w Bagdadzie? — zdziwiła się Clara.

— Tak, wielu dziennikarzy zostaje.

— Dlaczego?

— Bo ktoś musi relacjonować bieżące wydarzenia, bo jedyny sposób, by powstrzymać te potworności, to o nich opowiadać. Jeśli wyjedziemy, będzie jeszcze gorzej.

— Gorzej dla kogo?

— Dla wszystkich. Niech pani zejdzie ze swojej wieży, rozejrzy się wokół, to zaraz pani zrozumie.

— Proszę sobie darować te kazania. Mam już dość tego pani protekcyjnego tonu.

— Przepraszam, nie chciałam pani zdenerwować.

— Udanej podróży.

— Spotkamy się w Bagdadzie?

— Kto to może wiedzieć?

Picot podszedł do Mirandy i pociągnął ją ze śmiechem za sobą, bo helikopter szykował się już do startu.

— Zostań z nami aż do naszego wyjazdu — poprosił.

— To wcale nie jest zły pomysł, obawiam się jednak, że mojemu pracodawcy by się to nie spodobało.

Pocałowali się w policzek, Picot podsadził ją do helikoptera, a potem machał, dopóki maszyna nie zniknęła na horyzoncie.

— Mam wrażenie, że dobrze się z Mirandą rozumiecie — mruknęła urażona Clara.

— To prawda, fantastyczna z niej kobieta. Cieszę się, że ją poznałem, mam nadzieję, że jeszcze ją spotkam.

— Zamierza zostać w Bagdadzie.

— Tak, wiem, jest równie nierozsądna jak pani. Obie wierzycie w sprawę i jesteście gotowe ryzykować własną skórę, byle tylko wytrwać do końca.

— Niewiele mamy ze sobą wspólnego. — Clara była coraz bardziej zirytowana.

— Rzeczywiście, tylko ośli upór, ale to chyba cecha wszystkich kobiet.

— Proszę zostawić w spokoju kobiety — wtrąciła się Marta ze śmiechem.

— Wracajmy do pracy, przez tych ludzi mamy poślizg, a póki tu jesteśmy, trzeba działać — powiedział Fabián.

— Fabián ma rację. À propos, czy udało ci się skontaktować z Bagdadem? — zapytała Marta.

— Tak, Ahmed tu przyjedzie. Zdaje się, że jeszcze dziś po południu. Zobaczymy, co nam powie, i coś zdecydujemy. Jeśli się okaże, że trzeba wyjechać, poproszę Liona Doyle'a, żeby sfotografował wszystko, co znaleźliśmy, i miejsca, gdzie to zostało znalezione. Chcę, żeby zrobił to dobrze, bo jeśli przybędą chłopcy Wujka Sama i zrzucą swoje bomby,

wszystko przepadnie. Potrzebuję również nagrań wideo, mam nadzieję, że Lion potrafi to zrobić.

— Jak zwykle Yves o wszystkim pomyślał — pochwalił go Fabián.

— Nie o to chodzi, tylko mam wrażenie, iż nadszedł czas odwrotu i lepiej, żebyśmy byli przygotowani, bo może się okazać, że będziemy się musieli ewakuować bardzo szybko.

— W porządku, Yves, Lion to profesjonalista. Jego reportaż w „Archeologii” był bardzo dobry.

— A ty, Marto, bardzo ładnie wyszłaś na zdjęciach — odpowiedział Picot.

— Chciałabym porozmawiać o planie pracy — wtrąciła się Clara.

— Właściwie pozostaje nam tylko odnaleźć *Glinianą Biblię*, ale świątynia jest już odkopana, mamy ponad dwieście dobrze zachowanych tabliczek, pozostałości ceramiki, posągi... Wyprawa zakończyła się sukcesem. Nie żałuję, że tu przyjechałem. Marto, Fabiánie, a wy?

— Przecież wiesz, że nie. To było nadzwyczajne doświadczenie, pracować w takich okolicznościach. Myślę jednak, że powoli zamienialiśmy się w bezduszne roboty i dopiero przyjazd dziennikarzy przypomniał nam, że istnieje inna rzeczywistość. Nie mam nic przeciwko temu, by nadal pracować, muszę ci jednak wyznać, że chętnie bym stąd wyjechał. A ty, Marto?

— Ja, Fabiánie, chociaż tęsknię za kąpielą, muszę przyznać, że nie chciałabym się wycofać, dopóki nie znajdziemy *Glinianej Biblii*.

Clara popatrzyła na Martę z wdzięcznością. Z czasem nauczyła się doceniać tę wymagającą panią profesor, która niezauważalnie potrafiła narzucić swoją wolę nawet Picotowi.

— Szukaliśmy legendy, a tymczasem znaleźliśmy rzeczywistość Czy to nie dosyć? — zapytał Fabián.

— Szukamy *Glinianej Biblii*, a znaleźliśmy świątynię, to nieźle, ale... ja wykorzystałabym cały czas do końca — nalegała Marta.

— Naszym problemem nie jest wykorzystanie czasu, tylko fakt, że Amerykanie lada moment zaczną naloty. Nie zamierzam narażać niczyjego życia. Sprowadziliśmy tu całą rzeszę ludzi, studentów, dla których życie dopiero się zaczyna, i nie możemy oczekiwać, że będą ryzykowali, kopiąc jeszcze dłużej — sprzeciwił się Picot.

— Yves, wiem, że masz rację, ale jeśli mam być szczerą, nabieram ochoty, by zostać.

— To byłaby głupota. Sama wiesz, że jeśli wybuchnie wojna, wykopaliska się skończą, ludzie z wioski trafią do koszar i każdy będzie się troszczył o własną skórę.

— Wiem, Fabiánie. Podzieliłam się tylko z wami moimi odczuciami. Jeśli wyjedziemy, zrobimy to wszyscy, nie jestem samobójczynią — zapewniła Marta.

— Tak czy siak, Claro, wydaje mi się, że warto dokonać podsumowania tego, co zrobiliśmy i co pozostaje nam do zrobienia. Pozwolisz, że najpierw jednak posłuchamy, co ma do powiedzenia twój mąż, o ile dotrze po południu zgodnie z zapowiedzią, zgoda?

Clara nie miała wyjścia. Zgodziła się.

Robert Brown wyszedł z gabinetu George'a Wagnera, swojego Mentora. Prezes fundacji Świat Starożytny był zadowolony z tej rozmowy. Teraz wystarczy tylko, żeby Paul Dukais doprowadził do końca plan i by stuknięta wnuczka Alfreda Tannenberga nie pomieszała im szyków.

Nie miał złudzeń. Wiedział, że bez Tannenberga operacja nie będzie możliwa, że wszystko zależy od tego schorowanego starca, który nadal był niezwykle groźny.

Zadzwoił z komórki do Paula Dukaisa i umówił się z nim w swoim gabinecie za godzinę. Operacja „Adam” miała się zacząć lada moment. On sam nadał jej taką nazwę. Miała to być aluzja do gliny Mezopotamii, z której Bóg ulepił pierwszego człowieka.

Tymczasem Wagner rozmawiał przez telefon.

— Więc to będzie dwudziestego... — powiedział Enrique Gómez na drugim końcu linii.

— Tak, dwudziestego marca, potwierdzono mi to przed paroma godzinami.

— Czy Dukais wszystko przygotował?

— Robert utrzymuje, że tak. A ty?

— Również. Kiedy przesyłka tu dotrze, odbiorę ją, jak zwykle.

— Tym razem dotrze na pokładzie samolotu wojskowego.

— Wiem o tym, ale łącznik w bazie jest już pod kontrolą, dostał część honorarium. Wie również, co mu grozi, jeśli nagle zacznie się wahać lub robić problemy.

— Rozmawiałeś z nim?

— Nie, nadal wykorzystuję człowieka, który był wobec mnie lojalny, kiedy tu przybyłem. Opowiadałem ci o nim, Francisco...

— Nie ufaj nikomu.

— Lojalność Francisca jest dobrze opłacona.

— Nawiązałeś kontakt z kupcami?

— Tymi co zwykle, najpierw jednak chcę zobaczyć towar. W jaki sposób przygotowujecie partie?

— Robert Brown ma dobrego człowieka, Ralpa Barry’ego, byłego profesora Harvardu, doskonale znającego teren. Będzie w Kuwejcie, kiedy przyleci towar. Ahmed Huseini zrobił listę.

— Dobry pomysł. Wiesz, George, myślę, że powinniśmy powoli myśleć o wycofaniu się z biznesu. Za starzy jesteśmy, żeby się tym zajmować.

— Starzy? Nie jesteśmy za starzy. Nie zamierzam umierać z kocem na kolanach, wyglądając przez okno. Nie martw się, Enrique, wszystko będzie dobrze, będziesz mógł nadal cieszyć się spokojnym życiem w Sewilli. Zawsze lubiłem twoje miasto, nie mogę uwierzyć, jak szybko się w nim zasymilowałeś.

— Gdyby nie Rocío, nigdy by mi się to nie udało.

— Masz rację, to szczęście mieć taką żonę.

— Ty też powinienesz być się ożenić...

— Nie, nie zniósłbym małżeństwa.

— W końcu się człowiek przyzwyczaja, wiesz?

— Nigdy bym się nie przyzwyczał do kobiety u mego boku.

Zapadła cisza.

— Więc dwudziestego zacznie się wojna — odezwał się wreszcie Enrique.

— Tak, dwudziestego, zaraz zadzwonię do Franka.

Frank Dos Santos jechał na koniu, rozmawiając z ożywieniem ze swoją córką, Almą.

— Cieszę się, że namówiłaś mnie na tę przejażdżkę. Bardzo dawno nie dosiadałem konia.

— Stajesz się leniwy, tato.

— Nie, córeczko, przepracowany.

Ich pogawędkę przerwał dzwonek telefonu komórkowego. Alma ściągnęła brwi, niezadowolona, że nie może spokojnie cieszyć się tą chwilą spokoju u boku swojego ojca,

— Cześć, George! Gdzie jestem? Wybrałem się z Almą na konną przejażdżkę, ale chyba już jestem na to za stary, bołą mnie wszystkie kości.

Rozmówca powiedział mu to samo co Gómezowi: wojna zacznie się dwudziestego marca.

— Zgoda, wszystko już przygotowałem. Moi klienci nie mogą się doczekać, kiedy obejrzą, towar. Czy Ahmed zajmie się listą rzeczy, którą ci wysłałem? Jeśli mu się uda, ubijemy niezły interes. Dobrze, zadzwonię do ciebie, moi ludzie są gotowi na dzień D.

Schował komórkę i westchnął, widząc, że córka go obserwuje.

— Jakie interesy teraz prowadzisz, tato?

— Te co zwykle, córeczko.

— Mógłbyś kiedyś uchylić rąbka tajemnicy.

— Powinno ci wystarczyć, że wydajesz zarabiane przeze mnie pieniądze.

— Tato, przecież jestem twoim jedynym dzieckiem.

— Dlatego jesteś moją pupilką — roześmiał się Dos Santos. — Wracajmy do domu.

Robert Brown, któremu towarzyszył Ralph Barry, czekał na Paula Dukaisa. Prezes Planet Security jak zwykle się spóźniał.

— Nie denerwuj się, Robercie, zaraz będzie.

— Ten człowiek zawsze się spóźnia. Uważa, że może dysponować czasem innych, mam go dosyć!

— W swojej dziedzinie jest nie do pobicia, więc nie mamy wyboru, musimy czekać.

— Nikt nie jest niezastąpiony, nikt, nawet Paul.

Kiedy Dukais z szerokim uśmiechem wszedł do gabinetu, Robert Brown parsknął gniewnie:

— Można wiedzieć, z czego się śmiejesz?

— Przed chwilą dzwoniła do mnie żona, żeby mi oświadczyć, iż ma atak migreny i z tego powodu nie pójdziemy wieczorem do opery. Ale mi się poszczęściło!

Ralph Barry nie mógł powstrzymać uśmiechu. Dobrze znał Dukaisa, wiedział, że pod tym grubiaństwem kryje się inteligentny człowiek o precyzyjnym umyśle, lepiej wychowany, niż mogło się wydawać, a przede wszystkim zdolny do wszystkiego.

— Chłopaki z Pentagonu znają już datę inwazji na Irak. Dwudziesty marca — wypalił Robert Brown.

— Inwazja? To znaczy, że nie zadowolimy się samym bombardowaniem?

— Wkraczamy do Iraku, by w nim pozostać.

— Tym lepiej dla naszego biznesu. Im wcześniej pojawią się żołnierze, tym szybciej zaczniemy zarabiać pieniądze.

— Ralph wybiera się do Kuwejtu. Prowadzi rozmowy z pułkownikiem Fernándezem, by przygotował mu komitet powitalny.

— To nie pułkownik, tylko były pułkownik. Mike już jest w strefie. Zadzwońię do niego, nie martw się. Najpierw jednak musimy powiadomić Jasira, bo dziś wybierał się do Safranu. Alfred kazał do niego zadzwonić, do Ahmeda również. Stary nie wypuszcza z ręki sznurków.

— Skontaktuj się z nim. Trzeba też przekazać wieści Alfredowi.

— Jasir może to zrobić — podsunął Dukais.

— Żaden z nas nie może do niego zadzwonić. Wiesz dobrze, że wszystkie rozmowy są podsłuchiwane.

— Skorzystam z naszego kuriera, bratanek Jasira, który mieszka w Paryżu. To człowiek Alfreda. Wszystko, co osiągnął, zawdzięcza właśnie jemu.

— A jego stryj? — zapytał Ralph.

— Jasir jest jego stryjem, owszem, ale bratanek jest wierny Tannenbergowi.

— Zostało jeszcze piętnaście dni — przypomniał Ralph Barry.

— Tak, ale wszystko jest już gotowe, nie martw się. Ufam Fernándezowi, jeśli on twierdzi, że wszystkie tryby operacji są dobrze nasmarowane, to znaczy, że tak jest — zapewnił Dukais.

— Ja ufam Alfredowi. On wie najlepiej, jak się robi takie rzeczy. Nie przypinaj więc sobie medali. Jedyńm problemem jest jego wnuczka, bo uparł się, że zostawi jej coś, co do niego nie należy.

— Mamy ludzi w obozie archeologów, dziewczyna wcale nie musi być problemem.

— Jeśli spadnie jej z głowy choćby włos, cała operacja spali na panewce, nie znasz Alfreda? — odezwał się Brown.

— Sam mówiłeś, że jeśli trzeba będzie działać, zrobimy to... — zaczął Barry.

— Tylko wtedy, kiedy będzie to niezbędne, naprawdę konieczne. Oczywiście nikt ani nic nie może zepsuć operacji, mamy co do tego jasność, tak? — upewnił się Brown.

— Ludzie będą podejmowali decyzje w terenie. Miejmy nadzieję, że poradzą sobie z Alfredem i tą jego wnuczką — dodał Dukais.

— Niech robią to, co muszą, jeśli jednak popełnią błąd, już są martwi. W porządku, potrzebujesz naszej pomocy, czy sam porozmawiasz z naszymi ludźmi w Pentagonie?

— Nie martw się, zajmę się resztą operacji. Ty zaś, Ralphie, powinienes jak najszybciej wyjechać.

— Wyjeżdżam jutro.

— Fantastycznie. Więc dwudziestego nastąpi atak. Najwyższy czas! Ten skurczybyk Saddam wreszcie się dowie, co jest dobre. — Dukais nie krył zadowolenia.

— Oszczędź sobie tej gadki — mruknął Brown.

— Robercie, nie bądź taki subtelny, jesteśmy w twoim gabinecie, nikt nas nie słyszy.

— Ja cię słyszę i to powinno wystarczyć.

— Zamierzacie się pokłócić? — wtrącił się Ralph.

— Nie, nie będziemy się kłócili, bierzmy się do roboty. Wychodzę, mam dużo spraw do załatwienia — rzucił Dukais i wyszedł z biura Browna, nawet się nie żegnając.

Prezes Świata Starożytnego denerwował go swoimi nienagannymi manierami. Przecież nie był od niego lepszy, obaj uwikłani byli w brudne interesy, byli przestępcami. Wielkie interesy to często wielkie zbrodnie. Wszystko zależy od tego, kto je przeprowadza, w jaki sposób i czy da się przyłapać na gorącym uczynku.

Nie, ten wymuskany absolwent najlepszych amerykańskich uczelni wcale nie jest ode mnie lepszy, rozmyślał Dukais.

* * *

Ahmed Huseini i Jasir siedzieli już w helikopterze, kiedy do maszyny podbiegł żołnierz, dając pilotowi znaki, by jeszcze nie startował.

— Przysłali to z pana biura — wysapał żołnierz, wręczając Jasirowi kopertę.

Jasir wziął kopertę, nie dziękując żołnierzowi, i wyjął z niej kartkę zapisaną tylko po jednej stronie.

Szanowny panie, otrzymałem e-mail od bratanka pańskiej żony, który mieszka w Rzymie. Pisze, że dwudziestego marca przyjedzie pana odwiedzić wraz z przyjaciółmi i że powinien się pan o tym natychmiast dowiedzieć. Nie chce, by uprzedzał pan żonę i resztę rodziny, ponieważ chce, żeby była to niespodzianka, mówi jednak, że powinien pan o tym powiedzieć swoim przyjaciółom. Podkreśla, że musi pan jak najszybciej dowiedzieć się o jego przybyciu.

Schowwał kartkę do koperty, którą umieścił w kieszeni marynarki, po czym dał pilotowi znak, by startował. Dukais podał mu datę rozpoczęcia wojny. Trzeba będzie o tym opowiedzieć Ahmedowi, a zwłaszcza Alfredowi. Wiadomość ta w gruncie rzeczy była przeznaczona dla starca, nie dla niego. Ludzie przyjmowali rozkazy tylko od Alfreda Tannenberg'a i nawet wiedząc, że jest śmiertelnie chory, bali się go.

Było już ciemno, kiedy helikopter wylądował kilkaset metrów od Safranu. Światelka chat migotały jak świetliki, zaś powietrze przenikał wieczorny chłód.

Ajed Sahadi wraz z Hajdarem Annasirem czekali na nich w jeepie, by zawieźć ich do obozu.

— Co ci jest, Hajdarze? Widzę, że jesteś zmartwiony — zapytał Ahmed.

— Po pewnym czasie można mieć dość życia w tej osadzie, a ja siedzę tu już wiele miesięcy.

— Ktoś musi prowadzić rachunki, a pan Tannenberg ufa właśnie tobie — podkreślił Huseini.

— Żona czeka na ciebie u pana Tannenberg'a, jest tam również Picot i jego ludzie. Są zdenerwowani, bo dziennikarze, których do nich wysłałeś, zapewniali, że nie unikniemy wybuchu wojny i że wszystko wskazuje na to, że Bush w najbliższych dniach zaatakuje — tłumaczył Annasir.

— Obawiam się, że mają rację. W całej Europie ludzie protestują, w Stanach też, jednak Bush nie zamierza się wycofać.

— Więc nas zaatakują — powiedział cicho Ajed Sahadi, który do tej pory milczał.

— Tak, na to wygląda — odpowiedział Ahmed. — Tymczasem musisz tu zostać. Pułkownik powiedział mi, że nadal jesteś do naszej dyspozycji.

Ajed Sahadi poinformował ich, że Jasir zainstaluje się w domu wójta, natomiast Ahmed zatrzyma się w chacie swojej żony i starego Tannenberg'a.

Clara i Ahmed czuli się zażenowani. Nie wiedzieli, jak mają się zachować, co sobie powiedzieć.

— Będziesz musiał spać w mojej izbie, wstawiliśmy łóżko polowe. Przykro mi, ale trudno byłoby wyjaśnić, dlaczego nie śpisz ze mną. Chcę uniknąć komentarzy na nasz temat.

— Dobrze. Szkoda tylko, że będzie ci niewygodnie, izba jest mała.

— Musimy się zadowolić tym, co mamy. Jak długo zostaniesz?

— Nie wiem. Powinienem wyjechać, gdy tylko porozmawiam z Alfredem, mam zaległe sprawy, które nie mogą czekać. Alfred powiedział mi, czego ode mnie oczekuje.

— Naturalnie płaci ci za to.

Clara natychmiast pocałowała tych stów, choć z drugiej strony chciała, by Ahmed wiedział, że już nigdy więcej jej nie oszuka.

— O czym ty mówisz?

— O tym, że pracujesz dla dziadka, bierzesz udział w jego interesach i on ci za to płaci, może nie?

— Owszem, jest tak, ale powiedziałaś to w taki sposób...

— W taki, w jaki chciałam, nie czas teraz na dyplomację.

— Dotychczas udawało nam się uniknąć sprzeczek.

— Nie chcę żadnych sprzeczek, zwłaszcza z tobą. Zostawmy sprawy ich biegowi. Dziadek chce się z wami jak najszybciej spotkać.

— Daj mi minutę, ogarnę się i już do niego idę.

— Musisz poczekać na Jasira, chce widzieć was obydwu. Kiedy będziecie gotowi, powiadomcie Fatimę.

Clara poszła do izby dziadka. Lekarz właśnie zrobił mu zastrzyk. Dziesięć minut temu chory miał transfuzję krwi i wydawało się, że na jego twarz powróciły rumieńce.

Salam Naheb popatrzył na Clarę i dał jej znak, by podeszła.

— Mam nadzieję, że po transfuzji i zastrzykach pan Tannenberg poczuje się lepiej i będzie mógł pracować przez najbliższe dni. Codziennie musimy przeprowadzać transfuzję, to jedyny sposób, by... by... cóż, by trzymał formę.

— Dziękuję — wyszeptała Clara.

— Czuję się o wiele lepiej — zapewnił Tannenberg.

— Ale to tylko chwilowe — podkreślił doktor Naheb.

— Wiem, że nie można cofnąć czasu, ale niech przynajmniej utrzyma mnie pan w jakim takim stanie, dopóki nie powiem, że mam dość.

— Zrobię wszystko, co w mojej mocy, proszę pana.

— Moja wnuczka będzie dla pana niezwykle hojna, jeśli pan tego dokona.

— Naturalnie, dziadku.

Clara podeszła do dziadka i pocałowała go w czoło. Pachniał mydłem.

— Panie doktorze, czy mój dziadek może wstać z łóżka i porozmawiać na siedząco z gośćmi? — zapytała Clara.

— Tak, proszę jednak nie przeciągać wizyty zbyt długo, mogłoby to...

Pukanie do drzwi, po którym weszła Fatima, nie pozwoliło lekarzowi dokończyć zdania.

— Jasir i pan Ahmed czekają – oznajmiła.

— Dziadku, wstań i przytrzymaj się mojego ramienia. Uda ci się?

— Pójdę sam, nie zamierzam opierać się na twoim ramieniu. Te hieny gotowe pomyśleć, że umieram, a choćby to była prawda, nie mogą się o tym dowiedzieć. Jeszcze nie.

Clara otworzyła drzwi i wyszli z sypialni. Kiedy weszli do izby pełniącej funkcję salonu, Jasir i Ahmed wstali.

— Proszę pana... — zaczął Ahmed.

— Alfredzie... — tylko tyle zdołał wykrztusić Jasir.

Alfred Tannenberg zmierzył ich surowym spojrzeniem. Wiedział, że spodziewali się znaleźć go w gorszym stanie. Popatrzył na nich triumfująco, uśmiechając się złośliwie.

— Sądziłiście, że przyjeżdżacie na mój pogrzeb? Dobrze mi robi powietrze w Safranie, przebywanie z Clarą dodaje mi sił, zresztą nigdy nie brakowało mi apetytu na życie.

Żaden nie odpowiedział, uśmiechnęli się tylko, czekając, aż Tannenberg usiądzie, ten jednak przechadzał się po izbie przyglądając im się spod oka.

— Dziadku, masz ochotę coś zjeść? — spytała Clara.

— Nic, dziecko, nic, tylko łyk wody, ale nasi goście na pewno są głodni. Niech Fatima poda coś do jedzenia, mamy do omówienia wiele spraw.

Mężczyźni zostali sami. Jasir wręczył Alfredowi wiadomość od bratanka. Ten przeczytał ją i schował kartkę do kieszeni marynarki.

— Więc wojna rozpocznie się dwudziestego marca. To dobrze, im wcześniej, tym lepiej, moi ludzie są gotowi. Zrobiłeś to, o co cię prosiłem? — zapytał Ahmeda.

— Tak, to była niezła dłubanina. Chociaż zabrmi to nieprawdopodobnie, nie całe dziedzictwo zgromadzone w muzeach jest skatalogowane. Musiałem wydać więcej, niż zakładaliśmy, by zaufane osoby udostępniły mi listę najważniejszych obiektów w każdym muzeum. Wręczyłem listy Jasirowi, tak jak kazałeś.

— Wiem, Enrique i Frank nawiązali już kontakt z klientami. Jest wielu kupców gotowych zająć się skarbami tego kraju. George również powiadomił swoich klientów przez Roberta Browna, więc grunt pod operację jest przygotowany. A co z Fernándezem?

Jasir odchrząknął, zanim zdecydował się odpowiedzieć. Wiedział, że to pytanie skierowane jest do niego.

— Mike również jest gotowy. Jego ludzie są na swoich miejscach. Nie będzie problemu z przewozem towaru, teraz musimy tylko czekać.

— To największa transakcja sprzedaży dzieł sztuki, jaką kiedykolwiek przeprowadziliśmy — przypomniał Tannenberga. — W gruncie rzeczy wyświadczamy ludzkości przysługę, ocalając dziedzictwo Iraku. Jeśli nie zabierzemy go stąd jak najszybciej, zniszczą je bomby, poza tym, kiedy już wybuchnie wojna, hołota będzie próbowała przywłaszczyć sobie wszystko, co ma jakąkolwiek wartość, nie potrafiąc nawet odróżnić tabliczki od sumeryjskiego walca.

Jasir i Ahmed milczeli. Byli złodziejami i stary nie musiał im tego przypominać w tak obraźliwy sposób.

— Jak oceniasz, ile obiektów uda nam się wywieźć? — zapytał Tannenberga Ahmeda.

— Jeśli wszystko pójdzie dobrze, ponad dziesięć tysięcy. Sporządziłem listę rzeczy, które ludzie muszą wynieść z każdego muzeum. Mają plany wszystkich obiektów, z zaznaczonymi miejscami, w których znajdują się najważniejsze eksponaty. Mam nadzieję, że obejdzie się bez zniszczeń...

— Jesteś bardzo sentymentalny — roześmiał się Alfred. — Szykujemy się do potężnej kradzieży, obrabujemy ten kraj, zostawiając go bez jednego wartościowego dzieła, a ty się martwisz takimi głupstwami!

Ahmed zacisnął zęby.

— Gdy tylko zaczną bombardować, ekipy wejdą do muzeów — ciągnął Tannenberga. — Muszą zająć wartościowe obiekty w jak najkrótszym czasie i wyjść niezauważenie. Dotarcie do Kuwejtów nie będzie żadnym problemem, miejmy nadzieję, że Fernández dobrze się spisze.

— A ty co zrobisz? Jak długo tu zostaniesz?

— To nie jest wasz problem, ale nie martw się, Jasirze, nie zginę od bomb naszych przyjaciół. Kiedy zaczną je zrzucać, będę w bezpiecznym miejscu, nie zamierzam jeszcze umierać. Clara wyjedzie, jeszcze nie postanowiłem, czy z zespołem Picota, czy sama do Kairu.

— Nie zostało dużo czasu, niewiele więcej niż dwa tygodnie — przypomniał Ahmed.

— Jeśli to będzie konieczne, powiadomię cię, kiedy Clara wyjedzie. Zostało nam jeszcze parę dni, by poszukać *Glinianej Biblii*.

— Ale już nie ma czasu! — sprzeciwił się Ahmed.

— Nikt cię nie pyta o zdanie! Słuchaj rozkazów, ciesz się pieniędzmi i tym, że ocalisz skórę.

Tannenberg nalał wody do szklanki i pił małymi łykami, by złapać oddech. Ani Ahmed, ani Jasir nie tknęli jedzenia, które podała Fatima. Byli tak zdenerwowani, że nie odważyliby się nawet poruszyć.

— Doskonale, omówmy do końca operację. Teraz zadzwonię do Hajdara Annasira i uzgodnimy szczegóły finansowe.

Fatima nie pozwoliła, by ktokolwiek poza Hajdarem Annasirem, a potem Ajedem Sahadim, wszedł do izby. Tannenberg udzielił jej drobiazgowych wskazówek: w tej chwili nawet Clara nie może im przeszkadzać. Dotyczy to również lekarza, chyba że on sam go wezwie.

Clara zjadła kolację z Picotem i resztą zespołu. Była podenerwowana. Obecność Ahmeda wytrąciła ją z równowagi. Nie będzie łatwo dzielić z nim sypialnię, nawet przez jedną noc.

— Kiedy zobaczymy pani męża? — zapytał Fabián.

— Przypuszczam, że jutro. Jest na spotkaniu z dziadkiem, późno skończą.

— Zostanie pani w Iraku, czy spróbuje wyjechać przed wojną? — chciała wiedzieć Marta.

— Nikt z nas nie wie, kiedy zacznie się wojna. Dziennikarze sądzą, że wojna jest nieunikniona, nikt jednak tak naprawdę nie ma pojęcia, co się stanie — odpowiedziała Clara.

— To nie jest odpowiedź — mruknęła Marta.

— To jedyna odpowiedź, jakiej mogę udzielić. W każdym razie chcę tu zostać aż... aż dalszy pobyt okaże się niemożliwy. Potem zobaczę.

— Niech pani jedzie z nami...

Zaproszenie Picota ją zaskoczyło, pomyślała jednak, że w jego tonie kryje się drwina, uznała więc, że nie interesuje go jej los.

— Dziękuję, rozważę pana propozycję. Czy udzieli mi pan azylu? — zażartowała.

— Jeśli nie będzie innej rady, postaramy się, by ktoś go pani udzielił. Fabianie, jak sądzisz, możemy ją przemycić?

— Nie żartujcie sobie z tego — odezwała się Marta. — Clara rzeczywiście może znaleźć się w opałach i będziemy musieli jej pomóc.

Lion Doyle wykorzystał chwilę ciszy, by zwrócić się do Clary:

— Słyszała pani na pewno, że Yves chce, bym zrobił dokumentację fotograficzną wszystkiego, co tu państwo znaleźli. Zacznę jutro. Chciałbym też sfotografować was. Czy sądzi pani, że pani dziadek zgodzi się pozować? Nie zajmie to wiele czasu, a mnie wydaje się

zasadnym, żeby osoba, która tyle w to zainwestowała... koniec końców zyskała pewne uznanie za swój wkład.

— Mój dziadek jest przedsiębiorcą, finansuje część tej ekspedycji. Nie sądzę, by chciał wystąpić w jakimś reportażu, ale oczywiście zapytam go o to.

— Dziękuję. Pani dziadek z pewnością jest bardzo skromnym człowiekiem, wydaje mi się jednak, że mógłby pozować do zdjęcia, chociażby razem z panią.

— Na pewno go o to zapytam, niech pan jednak nie nalega.

— Ja chciałbym tu zostać.

Łagodny głos Giana Marii przywołał wszystkich do rzeczywistości. Clara popatrzyła na niego z czułością. Ten młody ksiądz chodził za nią wszędzie niczym anioł stróż, a ona nie mogła zrozumieć, skąd to poświęcenie.

— Dopóki nie porozmawiamy z Ahmedem, lepiej nie podejmować decyzji — powiedział Yves Picot.

— Tak, to prawda, ale jeśli Clara tu zostanie i będzie pracowała, ja również chciałbym zostać — powtórzył Gian Maria.

— Co to za pomysły! Tu nie można zostać. Czy uważa ksiądz, że po wybuchu wojny da się pracować? Nie zostanie ani jeden robotnik, wszystkich zmobilizują, a w każdym razie nie będzie możliwości kopania, dopóki nie skończą się naloty.

Picot był wzburzony. On też polubił tego Włocha i czuł się za niego odpowiedzialny.

— Ma pan rację, ale jeśli Clara zostanie, zostaję i ja — upierał się Gian Maria.

— Gianie Mario, nie bądź taki uparty — prychnęła Marta.

— Kiedy skończy się wojna, być może uda nam się tu wrócić — pocieszał go Fabián.

Clara milczała, bo żadne rozsądne słowa nie przychodziły jej do głowy. Była zaskoczona stanowczością, z jaką Gian Maria nalegał, by zostać. Nie spodziewała się z jego strony takiej lojalności.

Diskusja toczyła się dalej, gdyż pozostali członkowie zespołu starali się przekonać Giana Marię, by wyjechał razem z nimi, jednak on obstawał przy swoim.

Gian Maria siedział w drzwiach chaty, którą dzielił z Ante Plaskicem i Lionem Doyle'em. Nie chciało mu się spać, bardzo lubił siedzieć w ciszy, kiedy obóz pogrążony był we śnie.

Zapalił papierosa, wędrował wzrokiem po niebie usianym gwiazdami i zastanawiał się, kim jest i jaka będzie jego przyszłość.

Jego wiara była nadal niezachwiana. To jedno się nie zmieniło, nie wątpił też nigdy w swoje powołanie. Zawsze chciał być księdzem, a jednak perspektywa powrotu do klasztoru, w którym żył, odkąd przyjął święcenia kapłańskie, wcale go nie cieszyła. Zanim opuścił Rzym, jego życie przebiegało bez większych niespodzianek. Jedynym zaskoczeniem było to, że jego zwierzchnik mianował go spowiednikiem u Świętego Piotra. Z początku czuł się przytłoczony odpowiedzialnością i wątpił, czy jest dobrze przygotowany, by przyjmować wyznania pielgrzymów przybyłych ze wszystkich stron świata, jednak przełożony przekonał go, że musi służyć Kościołowi. „Watykan, powiedział, potrzebuje również młodzieży, młodych kapłanów, którzy będą mieli kontakt ze współczesnym światem, a na to nie ma lepszego miejsca niż konfesjonały Bazyliki Świętego Piotra”.

Dlatego też, w chwilach gdy nie uczył się ani nie prowadził wykładów, słuchał ludzi, którzy przychodzili po pociechę, przekonani, że tu, w Watykanie, są bliżej Boga.

Powinien wracać, ale nie będzie już tym, kim był. Będzie tęsknił za życiem na świeżym powietrzu, przyjaźniami, jakie nawiązał.

Codziennie, zanim cały obóz się obudził, Gian Maria wstawał, modlił się i samotnie odprawiał mszę, gdyż nikt nie wykazywał zainteresowania uczestniczeniem w porannej modlitwie.

Kiedy wróci do Rzymu, będzie tęsknił za tym poczuciem wolności, jakie zagościło w jego duszy. Pomyślał o Clarze, był do niej bardzo przywiązany. Obowiązek ochraniania jej przekształcił się z czasem w braterskie uczucie.

Może wybiła godzina, by powiedzieć jej, że przybył tu po to, by ocalić jej życie? Nie, nie może tego zrobić, nic naruszając tajemnicy spowiedzi, nie zdradzając Boga i człowieka, który zdobył się na takie wyznanie.

Tajemnica spowiedzi jest rzeczą świętą, nic mógłby wytłumaczyć Clarze, skąd wie, że ktoś chce ją zabić. Ją i jej dziadka.

Clara podeszła do drzwi domu Giana Marii i usiadła obok niego. Ona również zapaliła papierosa, wpatrując się w horyzont.

— Nie powinien ksiądz zostawać, profesor Picot ma rację — odezwała się.

— Wiem, ale i tak zostanę, nie mógłbym spać spokojnie, wiedząc, że jest pani tutaj.

— Może dziadek zmusi mnie, żebyśmy wyjechała do Kairu.

— Do Kairu?

— Tak, część mojej rodziny stamtąd pochodzi. Mamy tam dom, zapraszam księdza, może ksiądz przyjechać, kiedy zechce.

— A więc jednak pani wyjedzie?

— Będę trwała na posterunku jak długo się da, możliwe jednak, że dziadek zmusi mnie do wyjazdu, gdy wybuchnie wojna. Ksiądz, jako dobry człowiek, może poprosić Boga, by pomógł mi odnaleźć te tabliczki.

— Na pewno będę go o to prosił, ale niech i pani to zrobi. Modli się pani czasem?

— Nie, nigdy.

— Jest pani muzułmanką?

— Nie, nie wyznaję żadnej wiary.

— Nawet jeśli pani nie praktykuje, musi pani mieć jakąś religię.

— Moja matka była chrześcijanką, jestem ochrzczona, nigdy jednak nie byłam w kościele ani nie weszłam do meczetu, co najwyżej z ciekawości.

— W takim razie skąd ta obsesja, by odnaleźć *Glinianą Biblię*? Z próżności?

— Niektóre dzieci słuchają bajek o wrózkach lub zaczarowanych księżętach, mnie zaś dziadek opowiadał o *Glinianej Biblii*. Mówił, że oczekuje, bym ją znalazła, i opowiadał mi bajki, w których ja byłam bohaterką, archeologiem, i znajdowałam skarb, najważniejszy skarb na świecie, *Glinianą Biblię*.

— A teraz chce pani spełnić marzenie dzieciństwa?

— Ksiądz nadal nie wierzy, że patriarcha Abraham mógł opowiedzieć jakiemuś pisarczykowi o stworzeniu świata?

— Biblia nic o tym nie wspomina, choć tak drobiazgowo relacjonuje życie patriarchy.

— Sam ksiądz wie, że archeolodzy nigdy nie odnaleźli niektórych z miast opisanych w Biblii, a nawet nie ma pewności co do istnienia niektórych biblijnych postaci, a jednak wierzy ksiądz we wszystko, co mówi Pismo Święte.

— Claro, ja wcale nie twierdzę, że *Gliniana Biblia* nie istnieje. Abraham żył na tych ziemiach, znał legendy o stworzeniu świata, o potopie, z powodzeniem mógł je opowiedzieć komuś, albo może Bóg mu to wyjawiał... Szczerze mówiąc nie wiem, co myśleć na ten temat.

— Ale jest ksiądz z nami, pracuje jak wszyscy, a teraz chce nawet zostać dłużej mimo zagrożenia. Dlaczego?

— Jeśli *Gliniana Biblia* istnieje, ja również chcę ją znaleźć. Byłoby to niezwykle odkrycie dla chrześcijan.

— Byłoby to odkrycie porównywalne z odnalezieniem Troi, Myken, grobów faraonów w Dolinie Królów... Kto odkryje *Glinianą Biblię*, przejdzie do historii.

— Pani chce przejść do historii?

— Ja chcę znaleźć te tabliczki, wręczyć je dziadkowi, chcę spełnić jego sen.

— Bardzo go pani kocha.

— Tak, ogromnie kocham mojego dziadka, wydaje mi się też, że on kocha tylko mnie.

— Ludzie boją się go, nawet Ajed Sahadi odczuwa przed nim lęk.

— Wiem, mój dziadek... dziadek jest wymagający, lubi dobrze wykonaną pracę.

Gian Maria nie chciał sprawić jej przykrości, powtarzając to, co usłyszał, że Alfred Tannenberg lubuje się w zadawaniu bliźnim bólu, upokarza ludzi i wymierza sadystyczne kary każdemu, kto się mu sprzeciwia. Nie chciał też powiedzieć, co wie na jej temat. Widział Alfreda Tannenberga tylko raz, kilka dni temu, kiedy pewnego popołudnia poszedł wręczyć Clarze egzemplarz tłumaczenia ostatnio znalezionych tabliczek.

Tannenberg siedział w salonie pogrążony w lekturze, aie dał mu znak, by wszedł. Przez piętnaście minut go przesłuchiwał, ale potem znudził się i kazał mu czekać na Clarę przy wejściu od strony drogi. Gian Maria opuścił dom przekonany, że Tannenberg to wcielenie samego diabła, był pewny, że zły uwił sobie gniazdo w tym mężczyźnie.

— Nie przypomina pani swojego dziadka — zauważył ksiądz.

— Mnie się wydaje, że tak. Zawsze powtarza, że jestem uparta jak on.

— Nie chodzi mi o upór, tylko o duszę, pani dusza nie przypomina duszy dziadka.

— Pan nie zna mojego dziadka — obruszyła się Clara. — Nie wie pan, jaki jest naprawdę.

— Natomiast dość dobrze poznałem panią.

— I co pan o mnie sądzi?

— Że jest pani ofiarą. Ofiarą marzenia swojego dziadka.

Clara popatrzyła na niego uważnie i wstała. Nie obraziła się na Giana Marię, czuła, że wszystko, co powiedział, jest prawdą. Zresztą mówił to życzliwie, serdecznie, nie chcąc jej obrazić.

— Dziękuję, Gianie Mario.

— Dobranoc, Claro, niech pani odpoczywa.

Fatima czekała na Clarę w drzwiach chaty i dała jej znak, by była cicho, a potem zaprowadziła ją do izby dziadka, gdzie Samira robiła choremu zastrzyk pod uważnym spojrzeniem doktora Naheba.

— Bardzo się zmęczył, chcąc pokazać, że jest w formie – wyszeptał lekarz. — Ledwie wrócił do pokoju, zasnął. Dobrze, że była tu Samira. Jeśli nie zrobiłaby mu zastrzyku, nie wiem, jak by się to skończyło.

Samira pomogła Fatimie położyć Tannenbergą do łóżka, ten zaś wyciągnął rękę do wnuczki, która usiadła u jego boku.

— Za bardzo się zmęczyłeś, nie pozwolę ci się tak przemęczać — mówiła, głaszcząc go po ręce.

— Czuję się dobrze, tylko jestem wyczerpany. Ci ludzie są jak hieny, przyjechali, żeby sprawdzić, czy już jestem martwy i się na mnie rzucić. Musiałem im udowodnić, że jeśli się zbliżą, zginą.

— Dziadku, powinieneś mi zaufać.

— Ufam ci, jesteś jedyną osobą, której ufam.

— Wyjaśnij mi więc, na czym polega ta ważna operacja.

Tannenberg zamknął oczy, ściskając rękę wnuczki. Przez sekundę kusiło go, by powiedzieć jej, jak wielki jest zasięg operacji „Adam”, nie zrobił tego jednak, ponieważ wiedział, że jeśli w jakiejś chwili wnuczka przejmie jego interesy, przyjaciele i wrogowie zinterpretują to jako oznakę jego słabości. Poza tym stwierdził, że Clara nie jest przygotowana na pertraktacje z ludźmi, dla których granica między życiem a śmiercią była bardzo łatwa do przekroczenia, oczywiście o ile chodziło o życie i śmierć innych.

— Doktorze, chcę zostać z wnuczką sam.

— Nie powinien się pan przemęczać...

— Wyjdźcie wszyscy.

Fatima otworzyła drzwi, gotowa wypełnić polecenie Tannenbergą. Samira wyszła jako pierwsza, za nią zaś doktor Naheb, a na końcu stara służąca.

— Dziadku, nie przemęczaj się...

— Amerykanie uderzą dwudziestego marca. Masz piętnaście dni na znalezienie *Glinianej Biblii*.

Clara zaniemówiła. Co innego, kiedy się wie, że szykuje się wojna, a co innego poznać dokładną datę jej rozpoczęcia.

— A więc wojna jest nieunikniona — wyszeptęła.

— Tak jest, dzięki wojnie zarobimy dużo pieniędzy.

— Ależ dziadku...

— Claro, jesteś dorosła, podejrzewam, że nauczyłaś się już, że nie ma bardziej dochodowego biznesu niż wojna. Ja zawsze byłem uwikłany w wojny. Zbudowaliśmy nasz majątek na głupocie innych. Czytam w twoich oczach, że nie chcesz usłyszeć prawdy, dobrze, zostawmy więc to. Nie mów nikomu o tym, co ci powiedziałem.

— Picot chce już wyjeżdżać.

— Niech jedzie, nieważne, trzeba się postarać, żeby nie wyjechał przed osiemnastym.
Do tego czasu możecie pracować.

— A jeśli nie znajdziemy tabliczek?

— To przegraliśmy. Nie spełni się jedyne marzenie, jakie miałem w życiu. Jutro porozmawiam z Picotem. Chcę mu coś zaproponować.

— Wyjedziemy do Kairu?

— Jeszcze to potwierdzę. Ach, i uważaj na swojego męża. Nie daj mu się znów uwieść.

— Jesteśmy w separacji.

— Tak, ale ty dużo odziedziczysz, a ja umieram. Niewykluczone, że będzie dążył do zgody. Moi przyjaciele mu ufają, wiedzą, że to zdolny człowiek, dlatego nie mieliby, nic przeciwko temu, by mnie zastąpił.

— Na Boga, dziadku!

— Dziecko, musimy wszystko omówić, nie ma czasu na skrupuły. Teraz daj mi odpocząć. Jutro zaproponuj ludziom podwójne wynagrodzenie, żeby tylko przyłożyli się do roboty. Muszą nadal kopać, dopóki nie znajdą *Glinianej Biblii*.

Po wyjściu z izby dziadka Clara natknęła się na Samirę i Fatimę.

— Doktor kazał, bym przy nim w nocy czuwała — oznajmiła Samira.

— Już jej powiedziałam, że sama mogę przy nim posiedzieć... — skarżyła się Fatima.

— Ale ty nie jesteś pielęgniarką — łagodnie odpowiedziała Clara.

— Chyba potrafię się nim zająć, od pięćdziesięciu lat nie robię nic innego.

— Proszę, Fatimo, odpocznij. Jeśli będziesz zmęczona, zapanuje chaos.

Objęła służącą i dała znak Samirze, by weszła do izby chorego, po czym poszła do swojej sypialni.

Abmed siedział na leżance, zajęty czytaniem. Clara zauważyła, że nie włożył pizamy, tylko szorty i podkoszulek.

— Wyglądasz na wyczerpaną — zauważył.

— Jestem potwornie zmęczona.

— Szukałem cię, ale ktoś mi powiedział, że rozmawiasz z księdzem.

— Usiedliśmy na papierosa.

— Zaprzyjaźniliście się?

— Tak, poczciwy z niego człowiek, niewielu takich poznałam w życiu.

— Alfred czuje się coraz gorzej, prawda?

— Nie. Skąd takie wrażenie?

— Cóż, z Kairu dotarła pewna wiadomość.

— Domyślam się, że to Jasir zwozi te wiadomości, ale nie są prawdziwe. Dziadkowi się nie pogorszyło, jeśli o to pytasz.

— Oczywiście, nadal ma głowę na karku, widać jednak, że... wygląda na osłabionego, wychudł...

— Skoro tak mówisz... Wyniki ostatnich badań były bardzo dobre, nie martwmy się na zapas.

— Nie oszukuj się.

— Wiem, że chciałbyś usłyszeć, że dziadek umiera, ale nie zrobi ci tej przyjemności.

— Claro!

— Ahmedzie, przestań, za dobrze się znamy. Długo tego nie dostrzegałam, ale teraz nie mam wątpliwości, że nienawidzisz dziadka. Domyślam się, iż mierzi cię, że dla niego pracujesz.

Huseini podniósł się gwałtownie i zacisnął pięści. Clara popatrzyła na niego wyzywająco, wiedząc, że nie odważy się podnieść na nią ręki, bo to byłoby równoznaczne z podpisaniem na siebie wyroku śmierci.

— Sądziłem, że rozejdziemy się w sposób cywilizowany, nie krzywdząc się nawzajem — odparł Ahmed, przechodząc przez ciasny pokój, by wziąć butelkę wody mineralnej.

— Nasze rozstanie nie ma nic wspólnego z prawdą.

— A jaka jest prawda, Claro?

— Taka, że pracujesz u mojego dziadka, że musiałeś zostać w Iraku, bo zapłaci ci pokaźną sumę za współpracę przy ostatniej operacji, jaką przeprowadza ze swymi przyjacielami Enrique, Frankiem i George'em.

— Od lat pracuję dla twojego dziadka, to dla ciebie żadna nowina. Co masz mi za złe?

— Niczego ci nie wyrzucam.

— Owszem, tylko nie chcesz powiedzieć, o co masz pretensje. Podejrzewam, że wszyscy jesteśmy zdenerwowani nadciągającą wojną.

— Dlaczego jeszcze nie wyjechałeś?

— Naprawdę chcesz wiedzieć?

— Tak.

— Doskonale, może nadszedł czas, by zacząć mówić pewne rzeczy na głos. Nie wyjechałem, ponieważ twój dziadek mi tego zabronił. Zagroził, że zatrzyma mnie Muhabarat.

Wystarczy, że on sięgnie po słuchawkę, by posłać mnie do piekła. Alfred Tannenberg ma w tym kraju wielką władzę. Przystałem więc na jego warunki. Nie zrobiłem tego dla pieniędzy, tylko po to, by ocalić życie.

Clara słuchała w milczeniu, na jej twarzy nie drgnął żaden mięsień. Zrozumiała, że Ahmed wyzna jej coś, co ukrywał przez wiele lat, i dostrzegła w jego oczach gniew tak wielki, że sama domyśliła się, iż za chwilę usłyszy coś, co zrzuci jej dziadka z piedestału.

— Wiesz, na czym polega ta ostatnia wielka operacja? Powiem ci, bo jestem przekonany, że dziadek to przed tobą ukrywa, a ty starasz się niczego nie widzieć. Zawsze wolałaś żyć w niewiedzy, nie chciałaś, by cokolwiek zmąciło uczucie, jakie do niego żywisz.

Twój dziadek dorobił się fortuny na dziełach sztuki. To największy złodziej skarbów na Bliskim Wschodzie.

— Oszalałeś!

— Nie, nie oszalałem. To prawda. Wiele wykopalisk, które finansował, miało jeden, jedyny cel: zagarnąć najcenniejsze znaleziska. Nie sprawiło mu kłopotu skorumpowanie urzędników, którzy zarabiają tak mało, że ledwie wystarcza im do końca miesiąca, i którzy udawali, że niczego nie widzą, pozwalając złodziejom wnosić obiekty muzealne. Jesteś zaskoczona? To bardzo dochodowy interes, twój dziadek jego szacowni przyjaciele obracają milionami dolarów. Sprzedają unikatowe dzieła specjalnym klientom. Alfred zajął się tą częścią świata, Enrique starą Europą, zaś Frank Ameryką Południową. Jądrzem tego biznesu jest George. Wszystko mu jedno, czy sprzedaje romańską rzeźbę skradzioną z kastylijskiej pustelni, czy malowidło na desce z południowoamerykańskiej katedry. Na świecie są ludzie, którzy jeśli coś widzą, natychmiast chcą to mieć i jest tylko kwestią pieniędzy, by to dostali. Grupa tego rodzaju miłośników sztuki nie jest zbyt liczna, ale ludzie ci hojnie płacą za coraz to nowe skarby Zbladłaś, podać ci wodę?

Ahmed sięgnął po butelkę, napełnił szklankę i podał ją Clarze. Rozkoszował się tą sytuacją. Od lat dusił w sobie oburzenie, ponieważ jego żona wolała nie słyszeć i nie widzieć tego, co dzieje się dookoła. Żyła, usuwając ze swojej drogi wszelkie przeszkody, biorąc to, na co miała ochotę, zawsze z wy kalkulowaną ignorancją, która sprawiała, że na tle brudnych interesów Alfreda Tannenberga wypadła tak niewinnie.

— Twój dziadek nie pozwolił mi wyjechać, ponieważ jestem mu potrzebny przy tej ostatniej operacji. Beze mnie przeprowadzenie jej będzie bardzo trudne, dlatego nie zostawił mi wyboru. Powiem ci, na czym polega ten biznes. Pamiętasz pierwszą wojnę w Zatoce Perskiej? Alfred znał dokładną datę amerykańskich bombardowań i wymyślił bardzo sprytny

plan. Kiedy zaczęły spadać bomby, jego ludzie wchodzili do muzeów i wynosili wartościowe eksponaty.

Sporządził szczegółową listę obiektów, które znajdowały się w muzeum w Bagdadzie. Nie było ich wiele, około dwudziestu, za to miały dużą wartość. Był to udany interes i to skłoniło jego i jego przyjaciół do opracowania akcji zakrojonej na większą skalę. George ma najlepsze informacje o planach Pentagonu. Ma układy w amerykańskiej administracji. Zna wszystkich. To on poznał dokładną datę rozpoczęcia wojny. Wiesz, na czym polega ta transakcja?

Ahmed zamilkł, czekając, aż Clara poprosi go, by mówił dalej. Ona jednak milczała, wbijając w niego wzrok.

— Alfred Tannenberg zagarnie wszystkie najcenniejsze skarby tego kraju. Jego ludzie wkroczą do najważniejszych muzeów Iraku, nie tylko w Bagdadzie. Chcesz wiedzieć, kto udostępnił im listę unikatowych obiektów o wartości, której nie da się oszacować? Ja. Ja przygotowałem listę przedmiotów, które są... dziedzictwem ludzkości. Jednak skończą one w kolekcjach wyrafinowanych i kapryśnych ludzi, którym marzy się, by pić z tego samego pucharu co Hammurabi. Skoro jednak ludzie Alfreda przyjdą tu po te dzieła: posągi, tabliczki, pieczęcie, puchary, freski, a nawet obeliski, przy okazji zabiorą wszystko, co znajdą. Powiedzmy, że przygotowałem im parę takich list, jedna zawiera obiekty unikatowe, druga ważne dzieła.

— To... to niemożliwe — wyjąkała Clara.

— Dwudziestego marca zacznie się wojna — ciągnął Ahmed — dziadek ci o tym nie wspominał? Tego dnia jego ludzie wejdą do muzeów i równie szybko z nich wyjdą. Każda taka grupka powinna udać się w stronę którejś z granic: kuwejckiej, tureckiej, jordańskiej, i przedostać się do tych krajów, gdzie będą już czekały inne ekipy, gotowe, by zawieźć ładunek do celu. Enrique już obiecał pewne dzieła konkretnym kupcom, podobnie Frank i, rzecz jasna, George. Pozostałe obiekty ukryją i będą je wydobywali na światło dzienne zgodnie z prawem popytu i podaży. Nie śpieszy im się, choć wszyscy czterej są już starzy.

— Jednak w czasie bombardowania...

— Ach, przez to wszystko jest łatwiejsze. Po rozpoczęciu wojny nikt nie będzie się przejmował muzeami, wszyscy będą myśleli tylko o tym, jak ocalić skórę. Ludzie Alfreda są bardzo dobrzy, to najlepsi złodzieje i mordercy na całym Bliskim Wschodzie.

— Milcz! — krzyknęła Clara.

— Nie histeryzuj — syknął Ahmed.

Clara wstała z fotela i zaczęła przechadzać się po ciasnym pomieszczeniu. Odczuwała nieprzepartą chęć, by uciec. Powstrzymała się jednak. Nie, nie zrobi niczego, czego spodziewa się po niej Ahmed. Odwróciła się w jego stronę, patrząc na niego z nienawiścią. Zniszczył jej świat, świat nierealny i fałszywy, w którym żyła od dzieciństwa, bo tak chciał jej dziadek.

— Powiedziałeś, że wojna wybuchnie dwudziestego marca?

— Tak jest. George nam o tym powiedział. Tego dnia nie powinno cię tu być, jeśli ci życie miłe.

— Kiedy musimy stąd wyjechać?

— Nie wiem, twój dziadek jeszcze mi tego nie powiedział.

— Jak zamierzasz opuścić Irak?

— Alfred obiecał, że mi pomoże.

Zapadła cisza. Clara miała wrażenie, że w jednej chwili postarzała się o całe lata, i poczuła nienawiść do Ahmeda. Pytała siebie, jak mogła kochać tego człowieka, który przyglądał jej się z takim chłodem.

Nie próbowała kwestionować niczego, co mówił, ponieważ wiedziała, że to wszystko prawda. Dlatego wysłuchiwała go bez słowa, dowiadując się o czymś, o czym wiedziała przez całe życie, tylko nie chciała o tym pamiętać.

Pomyślała, że wszystko jej jedno, co robił lub robi dziadek. Kochała go i niczego nie miała mu za złe. Postanowiła, że będzie go broniła przed ludźmi, którzy podobnie jak Ahmed czy Jasir chcieliby widzieć go martwym.

Ahmed obserwował, jak Clara chodzi od ściany do ściany, i spodziewał się, że lada chwila ujrzy w jej oczach łzy. Ku jego zdziwieniu, była bardzo opanowana.

— Mam nadzieję, że ty i Jasir staniecie na wysokości zadania. Oczywiście będę czuwała, byście nie zrobili żadnego fałszywego kroku, a jeśli tak się stanie...

— Grozisz nam? — zapytał Ahmed, nie kryjąc zaskoczenia.

— Tak, grożę wam. Podejrzewam, że nie jesteś zaskoczony, skoro noszę nazwisko Tannenberg.

— Chcesz znaleźć dla siebie miejsce w tym wielkim kryminalnym biznesie?

— Daruj sobie kpinę. Wydaje mi się, że wcale mnie nie znasz, Ahmedzie, nie doceniasz mnie i tym samym popełniasz błąd, za który możesz słono zapłacić.

Ahmed miał wrażenie, że kobieta, przy której boku sypiał przez ostatnie lata, to zupełnie obca osoba. Teraz wiedział, że jest zdolna do wszystkiego.

— Przykro mi, że musiałaś to usłyszeć, ale czas był najwyższy, byś zmierzyła się z prawdą.

— Nie bądź cyniczny. Idź już spać. Ja się położę w pokoju Fatimy, bo tu cuchnie, powietrze jest tobą skażone. Wynoś się jak najszybciej, a kiedy operacja dobiegnie końca, postaraj się nie wchodzić mi w drogę. Ja nie będę tak wspaniałomyślna jak mój dziadek.

Wyszła z pokoju, cicho zamykając drzwi. Nie czuła nic, zupełnie nic, żałowała tylko zmarnowanych lat.

Fatinia podskoczyła na łóżku, słysząc łomotanie do drzwi.

— Clara? Co ci się stało? — szepnęła przestraszona, uchylając drzwi.

— Mogę tu dzisiaj spać?

— Połóż się w moim łóżku, ja będę spała na podłodze.

— Wystarczy, że się trochę posuniesz, zmieścimy się obie.

— Nie, lepiej nie, łóżko jest wąskie.

— Nie kłóćmy się, po prostu położę się obok ciebie. Przepraszam, że cię obudziłam.

— Pokłóciłaś się z Ahmedem?

— Nie.

— To co się stało?

— Ahmed chciał mi zrobić krzywdę, tłumacząc mi... tłumacząc mi, na czym polegają interesy dziadka. Kradzieże, zabójstwa... Czy on sądził, że przestanę dziadka kochać? Tak mało mnie zna?

— Dziecko, my, kobiety, nie powinnyśmy nigdy wtrącać się do męskich spraw, oni sami wiedzą, co robić.

— Cóż to za bzdury! Kocham cię, Fatimo, ale nigdy nie potrafiłam pojąć twojego podporządkowania się mężczyznom. Twój mąż kradł czy mordował?

— To męska rzecz zabijać, oni sami wiedzą za co.

— A tobie to nie przeszkadza, że żyjesz z mężczyznami, którzy mordują?

— My, kobiety, dbamy o mężczyzn, mamy z nimi dzieci, zapewniamy im dobrobyt w domu, ale nie widzimy, nie słyszymy, nie mówimy, bo w przeciwnym razie nie byłybyśmy dobrymi żonami.

— Czy to naprawdę jest takie proste? Nie widzieć, nie słyszeć, milczeć...

— Tak powinno być. Mężczyźni walczą od zarania dziejów. Walczą o ziemię, o żywność, o swoje dzieci, umierają zabijają. Tak już jest i ani ja, ani ty tego nie zmienimy, zresztą, kto by chciał cokolwiek zmieniać?

— Twój syn nie żyje, został zamordowany, widziałam, jak płaczesz.

— Płaczę co dzień, ale takie jest życie.

Clara położyła się na łóżku i zamknęła oczy. Była wyczerpana, ale rozmowa z Fatimą uspokoiła ją. Stara służąca była pogodzona z losem.

— Wiedziałaś, że mój dziadek prowadzi interesy... interesy, w których czasem trzeba zabijać? — szepnęła jeszcze.

— Nie wiem o niczym, pan robi to, co musi.

Fatima wstała pierwsza, zniknęła za zasłonką, a za chwilę stanęła przed Clara z tacą.

— Przyniosłam ci śniadanie, jedz szybko, profesor Picot chce z tobą porozmawiać.

Clara dotarła na stanowisko chwilę po tym, jak archeologowie przystąpili do kopania. Marta podeszła do niej z grudą gliny w dłoni.

— Popatrz na tę glinę, tu był pożar. Znaleźliśmy ślady wskazujące na to, że świątynia ucierpiała od ognia. To ciekawe, zdaje się, że dopisuje nam szczęście, udało nam się odgarnąć ziemię z jeszcze jednego dziedzińca i znaleźliśmy broń: miecze i złamane włócznie. Myślę, że być może toczyły się tu jakieś walki.

— Zwykle nawet najeźdźcy szanowali świątynie — przypomniała Clara.

— Tak, ale chęć wzbogacenia się doprowadza niektórych królów do ataku na świątynie. Na przykład pazerność króla Nabonida doprowadziła do konfliktu władzy świeckiej z kapłanami. Świątynnego pisarza zastąpił królewskim zarządcą, *resh sharri*, którego władza była ponad władzą kapłana zarządzającego świątynią, *qipu* oraz *shatammu*, odpowiedzialnego za działalność handlową. Mogło się też zdarzyć, że świątynia ucierpiała podczas jakiejś inwazji lub wojny między królami.

Clara uważnie słuchała wyjaśnień Marty, darząc ją ogromnym szacunkiem, nie tylko ze względu na wiedzę, ale również osobowość. Zazdrościła respektu, z jakim odnosili się do niej wszyscy współpracownicy, nawet Picot, który zawsze traktował ją jak równą sobie.

Pomyślała, że ona przez całe życie nie zapracowała sobie na podobny szacunek. W jej biografii nie było niczego godnego uwagi, nie licząc nazwiska Tannenberg, które w pewnych miejscach na Bliskim Wschodzie było szanowane i budziło lęk

— Profesor Picot to widział?

— Oczywiście. Postanowiliśmy przenieść ludzi do tego sektora, dziś będziemy pracowali tu do późna.

Fabián, wisząc na linie, był opuszczany pod uważnym spojrzeniem Picota w ciemność szybu, który zdawał się prowadzić do jakiegoś nieznanego pomieszczenia.

W końcu zniknął w głębi czarnego otworu. Wyglądało na to, że znalazł się na niższym poziomie świątyni. Picot nie krył zdenerwowania. Pochylił się nad otworem i krzyknął:

— Jak idzie?!

— Opuśćcie mnie jeszcze trochę, na razie niczego nie namacałem! — odkrzyknął Fabián.

Dał się słyszeć głuchy łomot, a potem zapanowała cisza. Picot zaczął zakładać uprzęż i przypinać do niej linę.

— Zaczekaj, niech Fabián nam powie, co tam jest — poprosiła Marta.

— Nie chcę zostawić go samego.

— Ja też nie, ale nic mu się nie stanie przez te parę minut. Jeśli nie da sygnału, my też zejdziemy.

— Nie, ja zejdem — uciął Picot.

Marta postanowiła, że nie będzie się z nim sprzeczała, wiedziała, że decyzja zostanie podjęta zależnie od okoliczności.

Parę minut później lina została trzykrotnie szarpnięta, co oznaczało, że Fabián ich wzywa. Picot podszedł do szybu i wyłowił wzrokiem daleką srunę światła.

— Nie ci się nic stało?! — krzyknął.

Poczuli jeszcze jedno szarpnięcie liny przymocowanej do kołowrotka stojącego u wylotu szybu.

— Schodzę niżej! Przynieście reflektory, żeby oświetlić to, co jest pod spodem — krzyknął Fabián.

— Nie mamy reflektorów — odpowiedział jeden z robotników.

— W takim razie lampy, latarnie, co tylko uda się znaleźć — prychnął niecierpliwie Picot, upewniając się, że lina została dobrze zablokowana. — Marto, ja też schodzę, zajmij się resztą.

— Idę z tobą.

— Nie, zostań. Gdyby nam się coś stało, kto się tym wszystkim zajmie?

— Ja.

Marta i Picot popatrzyli na Clare, która powiedziała to tak zdecydowanym głosem, że zaskoczyła wszystkich.

— Przypominam panu, profesorze, że to nasza wspólna misja. Jestem pewna, że nic się panu nie stanie, gdyby jednak coś się zdarzyło, ja zostaję na posterunku.

Yves Picot popatrzył na nią uważnie, jakby się wahał, czy powinien powierzyć jej kierowanie całą ekspedycją, po chwili jednak wzruszył ramionami i ręką dał znak Marcie, by szła za nim.

Zjechał pierwszy, czując wilgoć ziemi lepiącej się do ubrania, a za nim Marta.

Dziesięć metrów niżej dotknęli nogami podłóża i ujrzeni Fabiána — kucnął, skrobiąc szpachelką ścianę.

— Cieszę się, że mam towarzystwo — mruknął, nie odwracając się.

— Można wiedzieć, co robisz? — zapytał Picot.

— Wydaje mi się, że są tu jakieś drzwi albo coś innego, co tarasuje przejście do innej komory — odparł Fabián. — W dodatku zachowały się resztki malowideł. Podejdźcie, a zobaczycie, uskrzydłony byk, bardzo piękny.

— A to co? — dopytywała się Marta.

— Wygląda mi na jakąś salę. Widzę pozostałości drewnianych desek, spójrzcie na ścianę naprzeciwko, deski są wpuszczone w mury, co by wskazywało, że w sali przynajmniej przez jakiś czas składowano tabliczki.

Wątle światło czołówek, które mieli na głowach, oświetliło prostokątne pomieszczenie. Znajdowały się w nim pozostałości drewnianych półek przypominających regały, na których w przeszłości mogły stać tabliczki.

Ziemię pokrywały gliniane skorupy oraz kawałki drewna i potłuczonych szkiełek.

Picot pomagał Fabiánowi oczyścić fragment muru ze śladami malowidła przedstawiającego byka, tymczasem Marta zajęła się badaniem ziemi, na której odkryła pozostałości płyt pokrytych płaskorzeźbami z motywem byków, lwów, sokołów, kaczek...

— Chodźcie, coś wam pokażę! — krzyknęła przejęta.

— Co znalazłaś?

— Płaskorzeźby, a raczej to, co z nich zostało, ale są przepiękne.

Mężczyźni zignorowali zaproszenie, pochłonięci własnymi odkryciami.

— Dlaczego was tu jeszcze nie ma? — ponaglała ich Marta.

— Bo coś znaleźliśmy. Słyszysz? Stukam w ścianę obok tego byka i słychać głuchy odgłos, jakby było za nią jakieś pomieszczenie — powiedział Fabián.

— Doskonale, ja tu jeszcze jakiś czas podłubię, powinniśmy jednak zawiadomić tych na górze, że nic nam się nie stało.

— Zrób to, proszę — mruknął Picot, nie odwracając się.

Marta trzy razy pociągnęła za linę, by dać znać kolegom na górze, że są cali i zdrowi. Potem powróciła do badania posadzki.

Godzinę później cała trójka znalazła się na powierzchni, z twarzami rozświetlonymi uśmiechem.

— Co tam jest? — dopytywała się Clara.

— Kolejne pomieszczenia świątynne. Do tej pory odkopaliśmy dwa najwyższe piętra, jest ich jednak więcej, nie wiem, cztery czy pięć. Problem w tym, że trzeba podeprzeć stemplami strop, bo wszystko może runąć. Nie będzie to łatwe zadanie, a że nie ma czasu... — wyjaśniał zmartwiony Picot.

— Możemy załatwić więcej ludzi do pracy... — zaproponowała Clara.

— Choćby nawet się to udało, i tak będzie trudno, to praca na długie miesiące, lata, nie wiemy zaś, jak długo możemy tu zostać – przypomniał Fabián.

— Claro, chcemy porozmawiać z pani dziadkiem i z Ahmedem. Wieczorem nie udało nam się spotkać z pani mężem, rano zaś, kiedy przyszedłem do państwa chaty, wszyscy jeszcze spali.

— Porozmawiają państwo po południu. Proszę mi powiedzieć, co zrobimy z tym na dole.

— Postaramy się to ocalić, zobaczymy, czy jest tam coś więcej, chociaż nie ma pewności, że nam się to uda. Nie można walczyć z czasem.

Clara musiała wrócić do obozu przed wszystkimi, ponieważ Fatima posłała po nią gońca. Kiedy weszła do chaty, panująca w niej cisza kazała jej iść wprost do sypialni dziadka.

Weszła, zanim doktor Naheb i jego asystentka zdali sobie sprawę z jej obecności. Nie zauważyła jej nawet zapłakana Fatima.

Clara nie odezwała się ani słowem, widząc lekarza zakładającego maskę tlenową na twarz Tannenberg. Pielęgniarka podłączała kolejną kroplówkę.

Lekarz szeptem polecił Samirze, by została przy Tannenbergu, i dał znak Clarze, by wyszła z nim z izby.

Clara zaprowadziła go do małego pomieszczenia, w którym urządzono Tannenbergowi prowizoryczny gabinet.

— Proszę pani, ta sytuacja mnie przerasta... — zaczął lekarz.

— Co się stało?

— Dzisiaj rano pan Tannenberg zasłabł, podejrzewam lekki zawał. Całe szczęście, że akurat go badałem i mogłem natychmiast zareagować. Chciałem go przenieść do szpitala

polowego, ale on nie chce, by ktokolwiek dowiedział się, w jakim jest stanie. Muszę się nim opiekować w tej izbie, do której, jak pani wie, kazałem przenieść część aparatury z wyposażenia szpitala, jeśli jednak nie zabierzemy go do prawdziwego szpitala, nie wytrzyma długo.

— Umiera? — zapytała Clara tak spokojnie, że lekarz spojrział na nią przestraszony.

— Tak, umiera, ale tu umrze szybciej.

— Uszanujmy jego wolę.

Salam Naheb nie wiedział, co powiedzieć. Nie czuł się na siłach, by walczyć z nieracjonalną postawą chorego i jego wnuczki. Oboje wydawali mu się dziwnymi istotami, postępowali według zasad, których nie pojmował.

— Pani bierze na siebie odpowiedzialność za to, co się stanie – stwierdził.

— Naturalnie. Teraz proszę powiedzieć, czy dziadek może ze mną porozmawiać.

— W tej chwili jest przytomny, ale moim zdaniem powinna pani dać mu odpocząć.

— Muszę z nim pomówić.

Lekarz, nie kryjąc irytacji, wzruszył ramionami i poszedł za Clarą do izby chorego.

— Samiro, pani chce porozmawiać z panem Tannenbergiem, zaczekaj, proszę, za drzwiami.

Clara dała znak Fatirnie, by i ona opuściła sypialnię, po czym podeszła do łóżka, wzięła dziadka za rękę i zmusiła się do uśmiechu.

— Jak się czujesz, dziadku? Nie mów nic, odpoczywaj. Wiesz, chyba los się do nas uśmiechnął, znaleźliśmy kolejne piętro świątyni. Picot z Martą i Fabiánem zjechali do szybu, a kiedy wrócili, nie posiadali się z radości.

Alfred Tannenberg zrobił gest, jak gdyby chciał coś powiedzieć, Clara jednak mu w tym przeszkodziła.

— Proszę, nie marnuj sił. Dziadku, zaufaj mi tak, jak ja ufam tobie. Wieczorem rozmawiałam z Ahmedem, wszystko mi opowiedział.

Oczy staruszka błysnęły gniewem. Nadludzkiem wysiłkiem starał się usiąść na łóżku, zrywając z twarzy maskę tlenową.

— Co ci powiedział? — zapytał słabym głosem.

— Zaczekaj, zawołam Samirę, żeby założyła ci maskę, ja... ja chciałabym z tobą porozmawiać...

— Nie ruszaj się! — rozkazał. — Porozmawiajmy, potem wezwiesz pielęgniarkę, czy kogo tam będzie trzeba, teraz mów, co ci powiedział ten bałwan.

— Powiedział mi o operacji... o roli twoich przyjaciół, George'u, Enrique i Franku, wytłumaczył mi, że to wielki biznes.

Tannenberg zamknął oczy, zaciskając palce na rękę wnuczki, żeby nie wybiegła w poszukiwaniu pielęgniarki lub lekarza. Kiedy wyrównał oddech, otworzył oczy i utkwiał spojrzenie w Clarze.

— Nie mieszaj się do moich interesów — syknął.

— Czy możesz komuś zaufać bardziej niż mnie? Proszę, dziadku, pomyśl o naszej sytuacji. Ahmed powiedział, że wojna zacznie się dwudziestego marca, został niecały miesiąc. Ty... ty nie jesteś najzdrowszy i... cóż, wydaje mi się, że jestem ci potrzebna. Nieraz słyszałam od ciebie, że czasem, by jakaś transakcja się powiodła, trzeba kupować lojalność, a jeśli wyda się, że jesteś chory, niewykluczone, że któryś z twoich ludzi sprzeda się lepszemu panu.

Starzec zamknął oczy, rozważając słowa wnuczki. Zaskoczył go chłód, z jakim mówiła, spokój, z jakim przyjęła do wiadomości, że przygotowują wielką kradzież dzieł sztuki. Ona, która tak kochała tę ziemię, która wyrosła na marzeniach o odnajdywaniu zagubionych miast, która pieśczośliwie głąskała każdy przedmiot pochodzący z przeszłości, nagle staje przed nim jako kobieta gotowa zająć jego miejsce.

— Co zamierzasz, Claro?

— Nie chcę, by Jasir lub Ahmed wykorzystali sytuację. Powiedz mi, co mam zrobić, co im powiedzieć.

— Zabierzemy Irakowi jego przeszłość.

— Wiem o tym.

— I nie przeszkadza ci to?

Clara zawahała się, zanim odpowiedziała. Owszem, przeszkadzało jej to, ale lojalność wobec dziadka przewyższała w niej jakąkolwiek inną lojalność, zresztą, uznała, że to niemożliwe, by ludzie Alfreda zdołali zagarnąć wszystko. Nie tak łatwo okraść muzeum, a z tego, co zrozumiała, oni mieli na swojej liście wiele placówek.

— Będę z tobą szczerą. Kiedy Ahmed wytłumaczył mi, na czym polega operacja, nie chciałam mu wierzyć, modliłam się, żeby to nie była prawda. Nie mogę jednak niczego zmienić, ciebie też, więc im szybciej się wszystko skończy, tym lepiej. Mnie martwi, że jesteś chory i że ktoś próbuje ci zaszkodzić.

— Skoro już wszystko wiesz, możesz przejąć kontrolę nad działaniami. Nie pomył się jednak, nie znoszę błędów.

— Co mam zrobić?

— Żadnych zmian. Sam powiem Ahmedowi, czego od niego oczekuję, podobnie jak od Jasira i...

Staruszek nie mógł dalej mówić. Oczy zaszyły mu mgłą, Clara poczuła, jak jego ręka lodowacieje. Krzyknęła, zabrzmiało to jak skowyt.

Doktor Naheb i Samira wpadli do pokoju, odsuwając Clare. Fatima wbiegła za nimi i mocno ją przytuliła.

Nagle pojawili się dwaj ochroniarze z bronią gotową do strzału. Myśleli, że ktoś napadł na Tannenbergą.

— Wyjść wszyscy! — rozkazał lekarz. — Pani też! — zwrócił się do Clary.

— Pani się tylko przestraszyła — tłumaczyła Fatima — pan czuje się dobrze.

— Wszystko dobrze, to tylko mały wypadek — włączyła się Clara. — Upadłam i się zraniłam. Przepraszam, przykro mi, że wywołałam zamieszanie.

Żołnierze popatrzyli na siebie, nie uwierzyli jej. Ten rozdzierający jęk to nie był jęk kobiety, która skręciła sobie kostkę. Zresztą, Clara nie wyglądała, jakby odniosła jakiegokolwiek obrażenia.

Clara wyprostowała się, wiedząc, że od tego, co wydarzy się w tej chwili, będzie zależeć późniejsza reakcja ludzi w takich okolicznościach.

— Przecież powiedziałam, że nic się nie stało! — powtórzyła stanowczo. — Wracajcie do pracy! I nie życzę sobie żadnych plotek! Kto piśnie choć słowo, niech się liczy z konsekwencjami. A wy dwaj chodźcie ze mną na zewnątrz.

— Nie chcę, żebyście opowiadali o tym, co zobaczyliście — powtórzyła.

— Tak jest, proszę pani — odparł jeden z ochroniarzy.

— W przeciwnym razie słono za to zapłacicie. Jeśli utrzymacie język za zębami, hojnie was wynagrodzę.

— Proszę pani, sama pani wie, od jak wielu lat pracujemy dla pana, on ma do nas zaufanie.

— Wiem też, że zaufanie ma swoją cenę. Uprzedzam was, żebyście nie popełnili błędu i nie próbowali sprzedawać informacji o tym, co dzieje się w tym domu. Pilnujcie drzwi, niech nikt tu nie wchodzi.

— Dobrze, proszę pani.

Clara wróciła do izby. Doktor Naheb zmartwiony przyglądał się choremu.

— Co się stało? — zapytała.

— To ja powinienem o to zapytać.

— Ściągnął maskę tlenową, rozmawialiśmy, nagle zasłabł, wpadłam w panikę.

— Nie chcę tego powtarzać, ale albo zabierzemy stąd pani dziadka, albo wkrótce umrze.

— Dziadek tu zostanie. Niech mi pan lepiej powie, co z nim.

— Jego stan jest krytyczny. Serce bardzo słabe. Musimy poczekać na wynik analiz. Z USG wątroby wynika, że pojawiły się nowe guzy.

— Jest przytomny?

— Niestety, nie. Powinna mi teraz pani ułatwić wykonywanie pracy. Proszę wyjść, będę panią na bieżąco informował. Nie ruszę się od jego łóżka.

— Niech pan robi co się da, byle nie umarł.

— Wygląda na to, że upiera się pani, by nie pozwolić mu żyć.

Słowa Salama Naheba zapiekły ją jak policzek, nie odpowiedziała jednak, wiedząc, że on i tak niczego nie zrozumie.

Spotkała Ahmeda w drzwiach izby chorego. Złościł się, bo Fatima nie chciała go wpuścić.

— Co się stało? Podobno krzyczałaś. Czy coś się stało Alfredowi?

— Przewróciłam się i krzyknęłam z bólu. Dziadek czuje się dobrze, jest tylko trochę zmęczony.

— Chciałbym z nim porozmawiać, wracam z Basry.

— W takim razie będziesz musiał porozmawiać ze mną.

Ahmed przyglądał się badawczo Clarze, usiłując wyczytać z jej zachowania, co naprawdę się wydarzyło.

— Jutro wyjeżdżam, chcę skonsultować z nim kilka spraw. O ile wiem, Alfred kieruje całą operacją, nikt mnie nie informował, że zaszły jakieś zmiany. W każdym razie nikt nie będzie słuchał twoich rozkazów, ja też nie.

Clara postanowiła nie wszczynać kłótni. Była pewna, że ją przegra. Jeśli będzie obstawała przy tym, by zamiast z dziadkiem, rozmawiał z nią, Ahmed natychmiast domyśli się, że stan Alfreda się pogarsza.

— Cóż, będziesz musiał poczekać ze swoimi sprawami do jutra. Wykorzystaj ten czas i poszukaj sobie innego miejsca na sypialnię. Ja już mam dosyć tego udawania.

— Uważasz, że to rozsądne, żeby wszyscy wiedzieli, że jesteśmy w separacji? Ty stracisz najwięcej. Ludzie nie będą cię szanowali, jeśli się dowiedzą, że zostałeś bez męża, teraz, kiedy twój dziadek stoi jedną nogą w grobie.

— Mój dziadek nie umiera, zapomnij o tym, że kiedykolwiek zobaczysz go martwego — warknęła Clara.

— Nie jestem zainteresowany spaniem w twojej sypialni, jeśli chcesz, położę się w sąsiedniej izbie.

Zachowanie Ahmeda wyprowadziło ją z równowagi. Wiedziała, że chce zostać, by dowiedzieć się, co się dzieje. Jeśli będzie mu się sprzeciwiała, stanie się jeszcze bardziej podejrzliwy.

— Nie chcę spać z tobą pod jednym dachem, bo wiem, że źle nam życzysz. Poszukaj sobie innego miejsca.

— Wcale nie życzę ci źle.

— Wiesz co, Ahmedzie? Masz wszystko wypisane na twarzy. Nie wiem, kiedy przekroczyliśmy linię dzielącą miłość od pogardy, ale to już się stało. Nie chcę, by w moim domu spali obcy, a ty jesteś teraz dla mnie obcym człowiekiem.

— W porządku. Gdzie mam spać?

— W szpitalu polowym jest wolna kozetka, powinna się nadawać na łóżko.

— O której mogę jutro rozmówić się z Alfredem?

— Powiem ci później.

— Picot mówił, że chce z nami porozmawiać, przyjdiesz?

— Tak, zwołał zebranie, by zakomunikować, kiedy ostatecznie kończy ekspedycję. Zapyta cię, czy masz gotowy plan ewakuacji zespołu, jeśli wybuchnie wojna. Dziennikarze, których tu gościliśmy, zapewniali, że wojna jest nie do uniknięcia i w każdej chwili Bush może kazać rozpocząć atak.

— Znasz przecież datę. Nie zostało zbyt wiele czasu, ale nie możemy im o tym powiedzieć.

— Tyle to i ja wiem.

— Zabiorę walizkę i przeniosę się do szpitala.

— Tak będzie najlepiej.

Clara obróciła się na pięcie i skierowała do pokoju dziadka. Ostrożnie otworzyła drzwi i oparła się o ścianę, obserwując doktora Naheba i Samirę, którzy zajęci byli robieniem kolejnego EKG.

— Już pani powiedziałem, że lepiej, żeby pani tu nie przebywała — powiedział lekarz na jej widok.

— Martwię się.

— I słusznie, jest w bardzo ciężkim stanie.

— Będzie mógł rozmawiać?

— Na pewno nie teraz, być może jutro, o ile w ogóle przezwycięży kryzys.

- Ludzie muszą zobaczyć, że jest zdrowy.
- Pani oczekuje cudu.
- Oczekuję, że największe marzenie mojego dziadka nie rozwieje się, kiedy cel jest na wyciągnięcie ręki.
- Co to za marzenie? — zapytał zrezygnowany lekarz.
- Wie pan zapewne, na czym polega nasza praca. Poszukujemy starożytnych tabliczek, które zrewolucjonizują świat archeologii oraz historię ludzkości. Tabliczki te to Biblia, *Gliniana Biblia*.
- Wielu ludzi marnuje życie, ścigając marzenia.
- Mój dziadek będzie próbował do samego końca. Nie podda się.
- Nie wiem, w jakim stanie będzie jutro, ani nawet czy jutra dożyje. Proszę go teraz zostawić, musi odpocząć. Jeśli nastąpi jakaś zmiana, każę panią wezwać.
- Proszę zachować dyskrecję.
- Niepotrzebnie się pani martwi, pani dziadek wybrał mnie dlatego, że umiem milczeć.

Yves Picot podjął decyzję. Zainspirowali go do tego Marta i Fabián.

Skoro powrót do Europy jest nie do uniknięcia, powinni przynajmniej zabrać ze sobą jak najwięcej znalezionych obiektów: płaskorzeźb, tabliczek, pieczęci, *bulla* i *calculi*... plony były obfite. Marta wymyśliła, że przygotowują wielką wystawę pod patronatem któregoś z uniwersytetów, najlepiej jej własnej uczelni, Uniwersytetu Complutense w Madrycie, przy współpracy z jakąś fundacją, gotową pokryć koszty przedsięwzięcia.

Fabián był zdania, że międzynarodowa społeczność naukowa powinna poznać ogrom pracy, jaką wykonali, gdyż w obliczu wojny zachodzi ryzyko, że ze świątyni, którą odkopali, nic nie zostanie. To dlatego zgadzał się z Martą, że powinni rozpropagować odkrycie nie tylko poprzez urządzenie wystawy, ale również wydając książkę z fotografiami Liona Doyle'a, rysunkami, planami i tekstami autorstwa ich wszystkich.

Żeby jednak zrealizować ten zamysł, muszą porozmawiać z Ahmedem, by pozwolił im wywieźć z Iraku znalezione skarby. Nie spodziewali się, że pójdzie im łatwo, gdyż mieli do czynienia z dziedzictwem kultury narodowej, a w takich okolicznościach żaden z urzędników Saddama nie odważyłby się dać ani grudki gliny jednemu z krajów, który zamierzał wypowiedzieć Irakowi wojnę.

Pomyśleli, że być może Alfred Tannenberg mógłby użyć swoich wpływów i że Saddam pozwoli im zdeponować gdzieś znalezione skarby. Picot był gotów podpisać, co tylko będzie konieczne, zobowiązać się, że te przedmioty są i zawsze będą należeć do Iraku i kiedy tylko stanie się to możliwe, powrócą do kraju.

Oczywiście z punktu widzenia Tannenberga i jego wnuczki cel wyprawy nie został osiągnięty, nie odnaleźli *Glinianej Biblii*, mógł więc odmówić im pomocy albo kazać nadal prowadzić prace, chociaż byłoby szaleństwem chcieć tu pozostać.

Po kolacji, kiedy wszyscy zajęli się swoimi sprawami, Picot razem z Martą i Fabiánem zaprosili Liona Doyle'a i Giana Marię, by przyłączyli się do nich, żeby wziąć udział w spotkaniu z Ahmedem i Clarą.

Picot polubił księdza. Lion Doyle również przypadł mu do gustu. Zawsze był w dobrym humorze, gotów udzielić pomocy każdemu, kto jej potrzebował. Poza tym był niezwykle inteligentny, a tę cechę Picot cenił nade wszystko.

Odniósł wrażenie, że Clara jest zdenerwowana i nieobecna myślami, a Ahmed nieco spięty. Podejrzywał, że para ma za sobą kłótnię małżeńską i stara się trzymać fason przed obcymi.

— Ahmedzie, chcielibyśmy poznać pana zdanie na temat obecnej sytuacji. Dziennikarze, których gościliśmy, zapewniali, że wojna jest nieunikniona.

Huseini nie od razu odpowiedział na pytanie Picota. Zapalił egipskie cygaro, wypuścił obłok dymu, uśmiechnął się i mruknął:

— Sami byśmy chcieli wiedzieć, czy nas zaatakują, a zwłaszcza kiedy to się stanie.

— Ahmedzie, niech pan nie robi uników, to poważna sprawa. Proszę powiedzieć, jak się panu wydaje, kiedy powinniśmy rozpocząć ewakuację, a przede wszystkim, czy ma pan plan ewakuacyjny w razie nagłego ataku z zaskoczenia? — nalegał Picot.

— Wiemy tylko, że pewne kraje próbują różnych środków, by zapobiec konfliktowi zbrojnemu. Nie mogę wam obiecać, przyjaciele, że im się to uda. A co do was... Nie zamierzam za nikogo decydować. Znacie sytuację polityczną równie dobrze jak ja. Choćbyście mi nie wierzyli, nie mamy lepszych informacji niż wy, wiemy tyle, ile usłyszymy w zachodnich środkach przekazu. Nie mogę potwierdzić, że wybuchnie wojna, nie mogę też temu zaprzeczyć. Bush zaszedł za daleko... koniec końców, moim skromnym zdaniem istnieje większe prawdopodobieństwo, że dojdzie do ataku, niż że uda się mu zapobiec. Kiedy? Wszystko zależy od tego, kiedy uznają, że są gotowi.

Yves z Fabiánem wymienili spojrzenia. Pokrętna odpowiedź Ahmeda wywołała w nich niesmak. Nie rozpoznawali w tym cynicznym mężczyźnie pracowitego i inteligentnego archeologa, z którym rozmawiali parę miesięcy temu. Czuli, że ich oszukuje.

— Niech się pan nie wykręca — powiedział Picot ze złością. — Proszę powiedzieć, kiedy, pańskim zdaniem, powinniśmy wyjechać.

— Jeśli już chce się pan wycofać, z przyjemnością zorganizuję wszystko tak, byście mogli jak najszybciej opuścić Irak.

— A co się stanie, jeśli wojna wybuchnie jeszcze tej nocy? Jak nas pan stąd wydostanie? — naciskał Fabián.

— Starabym się wysłać po was helikoptery, ale nie ma pewności, czy uda mi się je załatwić, kiedy rozpocznie się atak.

— To znaczy, że radzi nam pan, żebyśmy wyjechali — bardziej stwierdziła, niż zapytała Marta.

— Uważam, że sytuacja jest krytyczna, nie potrafię jednak przewidzieć, co będzie. Skoro chcecie usłyszeć moją radę, oto ona: wyjeżdżajcie, zanim będzie za późno.

— Co pani o tym sądzi, Claro?

To pytanie zaskoczyło nie tylko jego adresatkę, ale także Picota i Ahmeda.

— Nie chcę, by państwo wyjeżdżali, uważam, że możemy jeszcze znaleźć *Glinianą Biblię*, jesteśmy blisko celu, potrzebujemy tylko czasu.

— Claro, jedyne, czego nam brak, to właśnie czas — powiedział Picot. — Powinniśmy dopasować nasze działania do sytuacji, nie do pragnień.

— W takim razie sami państwo zdecydują. Widzę, że moje zdanie tak naprawdę nikogo nie obchodzi.

— Yves, czy ja mogę coś powiedzieć? — zapytał Lion Doyle.

— Oczywiście, po to cię zaprosiłem na to zebranie. Interesuje mnie, co myślisz. Chciałbym też usłyszeć opinię Giana Marii — odpowiedział Picot.

— Powinniśmy się wycofać. Nie trzeba być szczególnie byстрыm, żeby zrozumieć, iż Stany Zjednoczone zaatakują Irak. Wojskowi z Pentagonu doskonale wiedzą, że to najlepszy moment, by zacząć wojnę przeciwko krajowi takiemu jak ten. Niewykluczone, że Clara ma rację, jeśli nadal będziemy pracowali, być może znajdziemy tabliczki, które państwo nazywają *Glinianą Biblią*, nie ma jednak na to czasu, dlatego powinniście zwinąć obóz i opuścić kraj tak szybko, jak się da. Kiedy zacznie się bombardowanie, będziemy na samym końcu listy problemów trapiących Saddama. Zostawi nas na pastwę losu, nie przyśle helikopterów na ratunek, poza tym byłoby aktem brawury wsiadanie do helikoptera, kiedy w powietrzu roić się będzie od amerykańskich bombowców. Ucieczka drogą lądową również byłaby samobójstwem. Jeśli chodzi o mnie, przygotuję się do wyjazdu, nie sądzę, by udało mi się tu zrobić wiele więcej.

Doyle zamilkł i zapalił papierosa. Wystuchali go w ciszy, nikt nie odważył się zabrać po nim głosu. Dopiero Gian Maria wyrwał ich z zamyślenia.

— Lion ma rację. Ja sam... uważam, że powinniście już wyjeżdżać.

— A co z księdzem? Czyżby chciał ksiądz tu zostać? — zapytała Marta.

— Zostanę, jeśli Clara zostanie. Chciałbym jej pomóc.

Ahmed popatrzył na niego niepewnie. Wiedział, że ksiądz chodzi za Clarą jak cień, nigdy nie spuszcza jej z oka, ale czy to musi oznaczać gotowość pozostania w kraju, w którym za chwilę ma wybuchnąć wojna? Ahmed przestał cokolwiek rozumieć. Był

przekonany, że między jego żoną a tym księdzem nie zachodzi nic intymnego, na pewno nie łączy ich nic poza tym, co wszyscy widzą, więc tyrn bardziej nie rozumiał zachowania Giana Marii.

— Pójdziemy za twoją radą, Lionie. Jutro zaczniemy się pakować i szykować do wyjazdu do Bagdadu, a stamtąd do domu. Kiedy może nas pan stąd wyciągnąć? – zapytał Picot Ahmeda.

— Jak tylko powie pan, że jest gotowy.

— Może za tydzień, najwyżej dwa, musimy wszystko spakować.

Fabián odchrząknął, zerkając na Martę, szukając jej wsparcia. Nie mogą tak po prostu zdecydować, że wyjeżdżają i przygoda skończona. Czyżby Picot zapomniał o jego pomysłe, by wywieźć z Iraku wszystko, co znaleźli podczas wykopalisk w Safranie?

— Yves, wydaje mi się, że powinieneś zapytać Ahmeda o możliwość zorganizowania wystawy tabliczek, płaskorzeźb... wszystkiego, co znaleźliśmy.

— Ach, prawda! Pomyśleliśmy z Fabiánem i Martą, że dobrze by było zapoznać społeczność naukową na świecie ze znaleziskami z Safranu. Przyszło nam do głowy, żeby urządzić wystawę, z którą można by objechać wiele krajów. My postaramy się o patronat uniwersytetów i prywatnych fundacji. Pan mógłby nam pomóc przy organizowaniu wystawy, a szczególnie liczymy na Clare.

Ahmed zastanawiał się nad słowami Picota. Francuz prosi go, by pozwolił im zabrać wszystko, co znaleźli, do Europy! Poczul w ustach gorzki smak. Wiele ze znalezionych przedmiotów zostało już sprzedanych prywatnym kolekcjonerom, niecierpliwie czekającym na dostawę towaru. Oczywiście Clara nic o tym nie wie, podobnie jak Alfred Tannenberg, ale Paul Dukais podczas ostatniej rozmowy z Jasirem przypomniał, że niektórzy kolekcjonerzy dowiedzieli się o istnieniu odkopanych przedmiotów z artykułów w „Archeologii”, skontaktowali się więc z pośrednikami, którzy dodzwonili się do biura Roberta Browna, prezesa fundacji Świat Starożytny, czyli parawanu, za którym kryły się brudne interesy George’a Wagnera, Franka Dos Santosa i Enrique Gómeza.

— Prosi mnie pan o rzecz niemożliwą — brzmiała kończąca dalszą dyskusję odpowiedź Huseiniego.

— Wiem, że to niełatwe, zwłaszcza w tych okolicznościach, ale pan jako archeolog wie, jakie jest znaczenie odkrycia tej świątyni. Jeśli zostawimy tu nasze znalezisko... naszą pracę, te miesiące ciężkiej harówki pójdą na marne. Jeśli pomoże nam pan przekonać przełożonych, jak ważne jest, by świat zobaczył to, co znaleźliśmy, pański kraj pierwszy na tym skorzysta. Rzecz jasna, wszystkie te przedmioty powrócą do Iraku, wcześniej jednak

zobaczy je świat, zorganizujemy objazdową wystawę, która odwiedzi Paryż, Madryt, Londyn, Nowy Jork, Berlin. Wasz rząd może wyznaczyć pana na komisarza wystawy. Można to załatwić. Nie chcemy niczego sobie przywłaszczać, chcemy tylko, by świat zobaczył, co znaleźliśmy. Ciężko na to pracowaliśmy.

Picot urwał, próbując wyczytać coś z miny Ahmeda, ale to Clara podjęła wątek.

— Panie profesorze, nie zapomniał pan o mnie? — zapytała z przekąsem.

— Ależ skąd. Jeśli osiągnęliśmy tak wiele, to tylko dzięki pani. Nic z tego, co udało nam się zrobić, nie byłoby możliwe bez pani pomocy. Dlatego chciałbym, by zgodziła się pani przerwać wykopaliska i wyjechała z nami. Jest nam pani potrzebna do przygotowywania wystaw, wykładów, seminariów, by wraz ze znaleziskami jeździć po świecie. Nie uda nam się jednak nic zrobić, jeśli pani mąż nie sprawi, by władze waszego kraju zezwoliły na wywiezienie z Iraku tego, co znaleźliśmy.

— To, co może nie udać się mojemu mężowi, może okazać się łatwe dla mojego dziadka.

Stwierdzenie Clary nikogo nie zaskoczyło. Sam Picot zastanawiał się już, czy nie porozmawiać z Alfredem Tannenbergiem, jeśli Ahmed będzie stawiał opór. Miesiące spędzone w Iraku nauczyły go, że nie ma takiej rzeczy, której nie mógłby załatwić Tannenberg.

— Byłoby fantastycznie, gdyby Ahmed i pani dziadek zdołali przekonać rząd, żeby pozwolił nam pokazać światu skarb z Safranu — powiedział Picot.

Ahmed pomyślał, że walka z Clarą lub Picotem nie jest dobrym pomysłem. Lepiej będzie, jeśli postara się zyskać na czasie, zapewniając, że robi co w jego mocy, a nawet wykaże entuzjazm. Zresztą kto wie, czy nie stworzy mu to okazji, by uciec z Iraku? Picot dostarczył mu nieoczekiwanego wsparcia. Problem w tym, że wiele ze znalezionych przedmiotów nigdy nie opuści Iraku ani z nim, ani z Picotem.

— Postaram się przekonać ministra — odpowiedział po chwili namysłu.

— Nie wystarczy sam minister, trzeba dotrzeć do Saddama. Tylko on może się zgodzić na wywiezienie z Iraku tych obiektów – zauważyła Clara.

— No to jak, pojedzie pani z nami? — zapytała Marta Clarę.

— Nie. W każdym razie jeszcze nie teraz, ale uważam, że to świetny pomysł, by świat zobaczył, co znaleźliśmy w Safranie. Zostanę tu, wiem, że jeszcze mogę odnaleźć tabliczki. Oczywiście nie zabiorą stąd państwo ani jednego przedmiotu, jeśli najpierw nie zostanie podpisana umowa, w której będzie wyraźnie zaznaczone, kto i w jaki sposób umożliwił tę ekspozycję.

Obóz spowijała cisza, kiedy Clara, odprowadzana przez Giana Marię, szła w kierunku swojej chaty. Ahmed dyskretnie wślizgnął się do szpitala polowego, w którym miał spędzić noc.

— Chce ci się spać? — zapytała Clara Giana Marię.

— Nie. Wprawdzie jestem zmęczony, ale nie mógłbym zasnąć.

— Ja lubię noc, cieszy mnie cisza, to najlepszy czas na myślenie. Pójdiesz ze mną na wykopaliska?

— Teraz? — zdziwił się Gian Maria.

— Tak, teraz. Jak wiesz, ciągle mam na karku dwóch ochroniarzy, chociaż od dziecka przywykłam do eskorty, kiedy więc me mogą im umknąć, zapominam o nich.

— Dobrze, jeśli chcesz, pójdę z tobą. Pojedziemy samochodem?

— Nie, lepiej się przejdźmy, to długi spacer, ale potrzebuję ruchu.

Ochroniarze szli kilkanaście kroków za nimi, nie okazując zdenerwowania, choć pewnie woleliby pójść spać zamiast pilnować wnuczki Tannenberga, która nabrała nagle ochoty na przechadzkę.

Kiedy dotarli w pobliże stanowiska, Clara poszukała wygodnego miejsca, żeby usiąść, i zaprosiła gestem Giana Marię.

— Gianie Mario, dlaczego chcesz tu zostać? Może być niebezpiecznie, jeśli Amerykanie zaczną bombardować.

— Wiem o tym, ale się nie boję. Nie myśl sobie, że jestem jakimś bohaterem, teraz jednak nie odczuwam strachu.

— Ale dlaczego nie chcesz wyjechać? Jesteś księdzem, a tu... tu nie mogłeś nawet wypełniać swoich kapłańskich obowiązków. Wszyscy jesteśmy ateistami, a ty wcale nie próbowałeś nas nawracać, byłeś bardzo tolerancyjny.

— Claro, chciałbym ci pomóc znaleźć *Glinianą Biblię*. Jeśli okazałoby się prawdą, że Abraham znał Genezis... to czy była to ta sama Księga Genezis, jaką my znamy?

— Zostaniesz tu z ciekawości.

— Zostanę, by ci pomóc, Claro. Ja... nie byłbym spokojny, zostawiając cię samą.

Clara się roześmiała. Wzruszało ją, że Gian Maria sądził, iż uda mu się ochronić ją, którą dzień i noc osłaniają uzbrojeni ludzie. Zabawne, ten ksiądz najwyraźniej wierzy, że posiada cudowną moc, dzięki której nic jej się nie stanie.

— Co na to twoje zgromadzenie? Co mówią, kiedy do nich dzwoniysz?

— Mój zwierzchnik zawsze mnie zachęca, bym pomagał potrzebującym. Wie, jaka jest sytuacja w Iraku.

— Ale ty w gruncie rzeczy nikomu nie pomagasz. Pracujesz przy wykopaliskach.

Powiedziawszy to, Clara uświadomiła sobie, że to dziwne, iż ksiądz pracuje z nimi jak normalny świecki członek zespołu.

— Wiedzą o tym, ale i tak wierzą, że mogę się przydać tu, na miejscu.

— A czy Kościół nie jest zainteresowany *Glinianą Biblią*? — zapytała zaniepokojona Clara.

— Ależ proszę, Claro! Kościół nie ma nic wspólnego z moim pobytem w Safranie. Boli mnie, że mi nie ufasz. Mam pozwolenie przełożonego na pozostanie tutaj, wie, co robię, i nie sprzeciwia się. Wielu księży pracuje. Nie jestem pod tym względem wyjątkiem. Naturalnie w pewnej chwili będę musiał wrócić do Rzymu, przypominam ci jednak, że jestem tu od dwóch miesięcy, nie od dwóch lat, chociaż tobie wydaje się, że to trwa o wiele dłużej.

— Nie, chodzi tylko o to, że... jak się nad tym zastanowić, może wydawać się dziwne, że ksiądz znalazł się akurat tutaj.

— Nie wydaje mi się, bym dostarczył powodów do uznania mojego zachowania za dziwne. Nie jestem dwulicowy, Claro.

— Wiesz... nigdy nie rozmawialiśmy o sprawach osobistych... Czasem odnoszę wrażenie, że jesteś moim jedynym przyjacielem, jedynym gotowym pomóc mi w kłopotach.

Zapadła cisza, oboje zapatrzyli się w nieskończone rozgwieżdżone niebo, napawając się nocnym spokojem; nie czuli potrzeby, by o czymkolwiek rozmawiać.

Siedzieli tak przez chwilę, zagubieni w myślach, upajając się otaczającą ich ciszą.

Kiedy poczuli, że robi się chłodno, postanowili wrócić do obozu i położyć się spać.

Clara weszła do chaty, starając się nie hałasować, i poszła prosto do izby dziadka, pewna, że znajdzie czuwającą przy nim Fatimę i Samirę.

Na palcach weszła do środka, zaskoczona nieprzeniknionymi ciemnościami. Namacała ścianę, żeby się nie potknąć, i szeptem zawołała Samirę, ta jednak nie odpowiadała. W powietrzu unosił się słodkawy odór. Nic nie widziała, ani Samira, ani Fatima nie odpowiadały na jej wołanie. Znalazła kontakt. Była oburzona, że kobiety poszły spać, zamiast czuwać przy chorym.

Kiedy rozbłysło światło, z trudem zdusiła okrzyk. Oparła się o ścianę, starając się nie zwymiotować.

Samira leżała na podłodze z otwartymi oczami. Z jej bladych rozchylonych ust wypływała strużka krwi.

Dłoń pielęgniarki zacisnęła się na jakimś przedmiocie, lecz Clara przez łzy nie mogła dostrzec, co to jest.

Nie wiedziała, jak długo stała po ścianę, nie mogąc się ruszyć. W końcu odważyła się podejść do łóżka dziadka.

Nie miał na twarzy maski tlenowej, był blady jak woskowa świeca. Clara przysunęła palce do jego ust i wyczuła słaby oddech, po czym przywarła uchem do jego piersi i usłyszała wolne bicie serca. Nie wiedziała, jak jej się to udało, ale zdołała założyć mu maskę tlenową, a potem wybiegła z sypialni, nie zauważywszy nawet, że w kącie pokoju leży jeszcze jedno ciało.

Wybiegając, spostrzegła, że dwaj mężczyźni strzegący drzwi do sypialni również leżą na ziemi bez życia. Ogarnęła ją panika. Gdzieś tu jest morderca.

Wypadła na zewnątrz, z ulgą stwierdzając, że domu pilnują wartownicy, ci sami co zawsze. Pamiętała, że przywitali się z nią, kiedy chwilę wcześniej weszła tu, pożegnawszy się z Gianem Marią. Jak to możliwe, że ktoś dostał się do środka, a oni tego nie zauważyli?

— Co się stało, proszę pani? — zapytał jeden z nich, kiedy podeszli do niej, widząc przerażenie na jej twarzy.

Clara próbowała coś powiedzieć, ale wyszeptała tylko:

— Gdzie jest doktor Naheb?

— Śpi w swojej chacie, proszę pani — odpowiedział strażnik, pokazując dom, który przydzielono lekarzowi.

— Wezwijcie go. Natychmiast! — Krzyk Clary uświadomił strażnikom, jak bardzo jest zdenerwowana. Drugiemu strażnikowi kazała poszukać Giana Marii i Picota. Wiedziała, że musi powiadomić o wszystkim Ahmeda, wołała jednak poczekać, dopóki nie przybędą na miejsce Francuz z księdzem. Nie ufała swojemu mężowi.

Lekarz pojawił się po dwóch minutach. Strażnik wyciągnął go z łóżka, pozwalając tylko włożyć w biegu spodnie i koszulę.

— Co się stało? — wydyszał.

— O której wyszedł pan od dziadka? — zapytała Clara.

— Po dziesiątej. Spał, zostawiłem przy nim Sarnirę. Co się stało?

Weszli do chaty. Salam Naheb na chwilę znieruchomiał w drzwiach sypialni, po czym zdecydowanym krokiem, starając się nie patrzeć na zwłoki Samiry, podszedł do łóżka Tannenberg. Sprawdził mu puls, poprawił maskę tlenową. Potem przygotował zastrzyk i zmienił kroplówkę.

— Wydaje się, że nic mu się nie stało — powiedział, odwracając się do Clary, która w milczeniu przyglądała się temu, co robił.

— Ale jest nieprzytomny — wymamrotała.

— Tak, mam jednak nadzieję, że wkrótce zacznie reagować na bodźce.

Lekarz podszedł do Samiry i przyklęknął.

— Udusili ją — stwierdził. — Najwyraźniej stawiała opór, albo broniła jego — wskazał Tannenberg.

Wstał i poszedł do kąta, gdzie w kałuży krwi leżała Fatima. Do tej chwili Clara jej nie zauważyła, teraz krzyknęła przerażona.

— Spokojnie, żyje, oddycha, chociaż dostała bardzo silny cios w głowę. Proszę mi pomóc ją podnieść. Przeniesiemy ją do szpitala, nie mogę jej tu opatrywać. Teraz zajmę się mężczyznami za drzwiami.

Clara rzuciła się na kolana i pochyliła zapłakana nad Fatima, starając się ją podnieść. Dwaj strażnicy, dotychczas przypadający się w oczekiwaniu na polecenia, podeszli i jej pomogli.

Na widok Picota wchodzącego z Gianem Marią, Clara poczuła niewysłowioną ulgę i rozplakała się bezradnie jak dziecko.

Gian Maria podszedł i otoczył ją ramieniem, a Picot patrzył na nią z troską.

— Proszę się uspokoić, dobrze się pani czuje? Co tu się stało? Och, Boże! — wykrzyknął na widok zwłok Samiry.

— Niech pani każe strażnikom przenieść ciało do szpitala — zwrócił się doktor Naheb do Clary. — Tych za drzwiami zabito strzałem z pistoletu. Wydaje mi się, że morderca strzelał z bliska. Na pewno użył pistoletu z tłumikiem.

— A co z dziadkiem?

— Zrobiłem, co mogłem. Ktoś powinien z nim zostać, nie odstępować go na krok i wezwać mnie, jeśli coś się zacznie dziać. Teraz muszę zająć się tą kobietą, pani zaś powinna zadzwonić do władz. Sarnira została zamordowana.

Salam Naheb odwrócił się do nich plecami. Nie chciał, by ktoś widział, jak płacze. Płakał po stracie Samiry i z żalu nad sobą, żałował, że zgodził się przyjechać do Safranu, by opiekować się starym Tannenbergiem. Zrobił to dla pieniędzy. Tannenberg zaoferował mu

równowartość pięcioletniego wynagrodzenia, poza tym obiecał mu mieszkanie w którejś z willowych dzielnic Kairu.

Ajed Sahadi minął lekarza w wejściu. Nadzorca był blady i zdenerwowany, bo wiedział, że Tannenberg obciąży go odpowiedzialnością za wszelkie nieszczęścia i że Pułkownik będzie osobiście go torturował, jeśli system bezpieczeństwa, za który jest odpowiedzialny, przestanie działać bez zarzutu.

Kiedy wchodził do sypialni chorego, dwaj jego ludzie wynosili ciało Samiry. Clara nadal zanosila się płaczem. Picot kazał jednemu ze strażników poszukać wójta i przy okazji zapytał, czy nie znajdzie się jakaś kobieta, która mogłaby czuwać przy chorym.

— Gdzie pan był?! — krzyknęła Clara do Sahadiego, kiedy stanął w progu.

— Spałem... — wyjąkał zdenerwowany.

— Drogo pan zapłaci za to, co się stało — syknęła Clara.

Sahadi nie odpowiedział, nawet na nią nie spojrział. Zaczął dokładnie oglądać pokój, okno, podłogę, rozmieszczenie sprzętów. Towarzyszący mu ludzie stali, czekając na polecenia.

Parę minut później przybył komendant brygady żołnierzy, którzy pilnowali Safranu i stanowiska archeologicznego.

Nie zwrócił uwagi na Clarę i Picota, tylko zaczął rozmawiać z Sahadim. Widać było, że obydwaj się boją.

Clara przyglądała się liniom pojawiającym się na monitorach, do których podłączony był Tannenberg. Wydawało jej się, że dziadek porusza powiekami, stwierdziła jednak po chwili, że to tylko złudzenie.

Kiedy na miejsce dotarł wójt, a wraz z nim jego żona i dwie córki, Clara wytłumaczyła im, czego od nich oczekuje. Zaopiekują się domem, a dwie dziewczyny nie odejdą na krok od łóżka chorego.

Sahadi i komendant garnizonu kazali swoim ludziom przeszukać wszystkie chaty. Poza tym wszyscy mieszkańcy obozu mieli zostać zrewidowani i przesłuchani. Wahali się, czy dzwonić do Pułkownika. Postanowili, że każdy z nich osobno poinformuje go o tym, co się stało.

Alfred Tannenberg poruszył się niespokojnie na łóżku. Przestraszona Clara posłała jedną z córek wójta po doktora Naheba. Dziewczyna wróciła, ale towarzyszył jej Ahmed Huseini.

— Przepraszam, wcześniej nie mogłem przyjść, rozmawiałem z lekarzem. Powiedział mi, co się stało, pomogłem mu opatrywać Fatimę. Jest nieprzytomna, straciła dużo krwi.

Dostała parę ciosów w głowę jakimś tępym narzędziem. Nie sędzę, by mogła nam cokolwiek dzisiaj powiedzieć, poza tym jest pod wpływem środków uspokajających.

— Będzie żyła? — zapytała Clara.

— Doktor Naheb mówi, że tak.

— A gdzie on jest? — zapytał Gian Maria.

— Zszywa głowę Fatimie, przyjdzie, jak tylko się z tym upora — odparł Ahmed.

Do izby weszli Fabián i Marta. Po wysłuchaniu relacji Picota Marta powiedziała:

— Wydaje mi się, że ze względu na stan pana Tannenbergera powinniśmy przejść do drugiej izby. Pani — zwróciła się do żony wójta — pójdzie zaparzyć kawy. Szykuje się długa noc.

Clara spojrzała na nią z wdzięcznością.

Marta podeszła do komendanta i Sahadiego, którzy dyskutowali o czymś w rogu pokoju.

— Sprawdziliście dokładnie całe pomieszczenie? — zapytała.

Mężczyźni odburknęli obrażeni, że wiedzą, jak wykonywać swoją pracę. Marta puściła tę odpowiedź mimo uszu.

— W takim razie najlepiej będzie, jeśli panowie stąd wyjdą. Wy dwie — teraz mówiła do córek wójta — zostaniecie z panem Tannenbergiem. Moim zdaniem powinno tu również zostać paru mężczyzn, ale nikt więcej. Przejdźmy do sąsiedniej izby, dobrze? — rzuciła, nie zwracając się do nikogo w szczególności.

Wszyscy wyszli z sypialni. Gian Maria nie odstępował Clary na krok, Yves Picot rozmawiał z Fabiánem na temat tego, co się wydarzyło.

— Czy nie lepiej, żeby Clara sama opowiedziała nam, co się stało? — zaproponowała Marta.

Komendant i Ajed Sahadi uświadomili sobie, że nie zapytali Clary, kiedy weszła do pokoju Tannenbergera i znalazła ciało Samiry.

Żona wójta wniosła tacę z dzbankiem kawy, filiżankami i herbatnikami.

Aied Sahadi wbił w Clarę wściekłe spojrzenie.

— Pani Huseini, niech nam pani powie, o której godzinie i po co weszła pani do pokoju pana Tannenbergera. Słyszała pani jakieś dziwne odgłosy?

Clara, zmęczona i przygnębiona, monotonnym głosem opowiedziała o spacerze z Gianem Marią i chwili pogawędki w okolicach świątyni, niestety, nie mogła sobie przypomnieć, o której wrócili. Po drodze nie zauważyła niczego podejrzanego. Strażnicy

przed domem stali na swoich stanowiskach. Weszła do sypialni dziadka, bo spodziewała się znaleźć tam Fatimę.

Opisała dokładnie, co zobaczyła, kiedy zapaliła światło. Owszem, teraz, kiedy ją o to pytają, przyznaje, że nie od razu uświadomiła sobie nieobecność dwóch mężczyzn, którzy zwykle stali przed drzwiami do izby dziadka.

Przez godzinę odpowiadała na pytania Ajeda Sahadiego i komendanta, którzy domagali się coraz to nowych szczegółów.

— Pytanie, jakie należy zadać panom — wtrącił się w końcu Picot — jest takie: jak to możliwe, że kiedy dom jest tak pilnowany, ktoś wchodzi niezauważony, dociera aż do izby pana Tannenberga, morduje strażników, pielęgniarkę i rani Fatimę?

— Tak, to pytanie, na które powinni odpowiedzieć obaj panowie. Jutro przybędzie Pułkownik i zapyta o to samo — dodał Huseini.

Mężczyźni popatrzyli na siebie.

— Zadzwoń do niego? — zapytała Clara męża.

— Tak. Dzisiaj wieczorem zamordowano kobietę i dwóch ochroniarzy, którzy mieli pilnować Alfreda. Nietrudno sobie wyobrazić, że to jego chciano zabić. Uznałem za swój obowiązek powiadomić Bagdad. Podejrzewam, panie komendancie, że już pan o tym wie, na pewno do pana dzwonili, a jeśli nie, to pana informuję, że przyleci tu oddział wojska, by czuwać nad naszym bezpieczeństwem. Jak widać, pan nie potrafił lub nie mógł tego zrobić, a nasz przyjaciel Sahadi również nie zdołał zapobiec zdradzie.

— Zdradzie? Jakiej zdradzie? — dopytywał się nerwowo Ajed Sahadi.

— Zdradzie, której dopuścił się ktoś, kto tu jest, w tym obozie, nie wiem, czy to Irakijczyk, czy cudzoziemiec, nie mam jednak wątpliwości, że zabójca jest wśród nas.

— Włączając w „nas” i ciebie.

Spojrzenia wszystkich zwróciły się na Clare.

Ahmed popatrzył na nią gniewnie. Nie odpowiedział, chociaż widać było, że z trudem nad sobą panuje.

— Pytanie brzmi: dlaczego i po co? — podjęła wątek Marta. – Ktoś wtargnął do sypialni pana Tannenberga, nie wiadomo, czy rzeczywiście po to, by go zamordować, jak wydaje się Ahmedowi, czy był to po prostu złodziej, który chciał coś ukraść i został zaskoczony przez Samirę i strażników, czy...

— Marto, nie sposób wtargnąć do chaty Tannenberga, Pilnują jej uzbrojeni żołnierze — przerwał jej Picot.

— A pani co o tym myśli, Claro?

Pytanie Marty zaskoczyło Clarę. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. Dziadek był człowiekiem, którego wielu się bało, miał władzę, miał wrogów, niejeden mógł życzyć mu śmierci.

— Nie wiem. Nie wiem, co o tym wszystkim myśleć... jestem... jestem wyczerpana... to przerażające...

Do izby wszedł żołnierz i podszedł do komendanta. Powiedział mu coś na ucho i zniknął równie szybko, jak się pojawił.

— Doskonale — powiedział komendant — moi ludzie zaczęli przesłuchiwać robotników i mieszkańców osady. Na razie wydaje się, że nikt nic nie wie. Panie Picot, przesłuchamy również członków pana zespołu i pana.

— Rozumiem.

— Doskonale, im wcześniej zaczniemy, tym lepiej. Czy ma pan coś przeciwko temu, bym zaczął od pana?

— Absolutnie nie. Gdzie możemy porozmawiać?

— Tu, na miejscu. Proszę pani, pozwoli nam pani tu pracować?

— Nie — odpowiedziała Clara. — Poszukajcie innego miejsca. Pan Picot wskaże panu jakieś pomieszczenie, może w którymś z magazynów?

Komendant wyszedł, za nim podążyli Picot, Marta, Fabián i Gian Maria. Oni mieli być przesłuchani pierwsi. W pokoju została Clara, jej mąż i Ajed Sahadi.

— Czy jest jeszcze coś, o czym nam nie powiedziałaś? — zapytał Ahmed żonę.

— Powiedziałam wszystko, co pamiętałam. Pan jednak, Sahadi, musi wytłumaczyć, jak to się stało, że ktoś dotarł bez przeszkód do izby mojego dziadka.

— Sprawdziliśmy drzwi i okna. Nie wiem ani którądy wszedł zabójca, ani czy była to jedna osoba, czy kilka. Strażnicy stojący przy drzwiach zapewniają, że niczego nie widzieli — mówił Sahadi. — To niemożliwe, by ktoś tu wszedł niezauważony.

— Ale wszedł — stwierdził wzburzony Ahmed.

— Wiem, wiem... nie rozumiem, jak mogło do tego dojść. To musiał być ktoś z domowników — orzekł Sahadi.

— W domu była tylko Fatima, Samira i wartownicy – przypomniała Clara.

— Oraz pani. W końcu to pani znalazła zwłoki...

Clara aż podskoczyła z oburzenia. Wstała gwałtownie i wymierzyła Sahadiemu policzek. Ahmed poderwał się na równe nogi i złapał Clarę za rękę, by odciągnąć ją od mężczyzny.

— Dość tego, Claro, siadaj! Czy my wszyscy poszaleliśmy? Ajedzie, niech pan nie śmie insynuować takich rzeczy. Nie pozwolę tak traktować mojej żony ani naszej rodziny.

— Mamy do czynienia z potrójnym zabójstwem, każdy jest podejrzany, dopóki nie znajdziemy winnego — upierał się Ajed.

Huseini podszedł do niego, wydawało się, że i on go uderzy. Powstrzymał się jednak, zamiast tego wycedził:

— Jest pan na liście podejrzanych, kto wie, czy ktoś panu nie zapłacił, by pomógł pan zakończyć żywot Tannenberg.

Sahadi wyszedł bez słowa. Clara opadła na fotel, a Ahmed usiadł na krześle obok niej.

— Powinnaś nad sobą panować — powiedział.

— Wiem, ale jestem załamana.

— Alfred jest ciężko chory, powinnaś przewieźć go do Kairu, a przynajmniej do Bagdadu.

— Tak ci powiedział doktor Naheb?

— Nikt mi nie musiał tego mówić, widać, że Alfred umiera. Przyznaj to wreszcie. Nie możesz podtrzymywać fikcji, że jest w dobrej formie.

— Przeżył wstrząs, dlatego jest w takim stanie.

— Nie rozśmieszaj mnie! W całym obozie mówi się, że umiera, myślisz, że udało ci się to ukryć?

— Daj mi spokój! Chciałbyś, żeby mój dziadek umarł, ale on będzie żył. Wszystkich was zetrze na proch, zdrajcy i nieudacznicy!

— Skoro nie da się z tobą spokojnie porozmawiać, pójdę, może ktoś potrzebuje mojej pomocy. Na twoim miejscu położyłbym się spać.

— Zobaczę, jak się czuje Fatima.

Nie zdążyli wyjść z chaty, gdyż w drzwiach zderzyli się z doktorem Nahebem. Był wyczerpany.

Powiedział, że nie wie jeszcze, jak poważne obrażenia odniosła Fatima. Na pewno ktoś uderzył ją ciężkim przedmiotem, po którym została duża rana na głowie.

— Komendant rozstawił dookoła namiotu uzbrojonych ludzi — zakończył.

— Fatima to jedyna osoba, która może nam powiedzieć, co się stało. O ile cokolwiek pamięta — zauważył Ahmed.

Tannenberg z trudem oddychał. Naheb skrzyczał pilnujące go kobiety za to, że nie wezwały go wcześniej. Clara wyrzucała sobie, że nie czuwała przy dziadku. Widziała, że

Ahrned patrzy na chorego z wyraźnym zadowoleniem. Nienawidził go tak bardzo, że nawet nie starał się tego ukryć.

Lekarz przygotował kroplówkę i kazał wszystkim pójść spać. Sam zamierzał pilnować chorego.

Ciężką ciszę spowijającą obóz rozdarł warkot silnika helikoptera. Picot uzgodnił z Fabiánem i Martą, że to już koniec przygody. Gdy tylko będzie to możliwe, zwiną obóz i wyjadą. Nie zostaną tu ani dnia dłużej niż to konieczne, chociaż Marta postulowała, by mimo niesprzyjających okoliczności przekonać Ahmeda, żeby załatwił pozwolenie na zabranie z Iraku wykopanych przedmiotów w celu pokazania ich na wystawie.

Byli zmęczeni, jak zresztą wszyscy, zwłaszcza że tuż przed świtem przybył oddział Straży Republikańskiej, siejące postrach elitarnie służby Saddama Husajna.

Picot przyglądał się, jak Clara podchodzi z mężem do helikoptera. Śmigła jeszcze nie przestały się obracać, kiedy korpulentny mężczyzna o czarnych włosach i gęstych wąsach, który wyglądał jak lustrzane odbicie Saddama, wyskoczył zwinnie z maszyny. Za nim wysiedli dwaj wojskowi i jakaś kobieta.

Mężczyzna emanował władczością. Picot pomyślał, że jest w nim coś złowieszczonego. Pułkownik uścisnął rękę Ahmedowi i poklepał po ramieniu Clare, po czym ruszył wraz z nimi do chaty Tannenberga, dając znak kobiecie, z którą przyjechał, by szła za nimi.

Kobieta wyglądała, jak gdyby była przytłoczona obecnością w tym miejscu, miała zaciśnięte usta i niepewne spojrzenie. Clara podeszła do niej, by się przywitać. Pułkownik powiedział, że kobieta jest pielęgniarką, zaufaną pielęgniarką ze szpitala wojskowego. Uznał, że powinien ją przywieźć, by pomogła doktorowi Nahebowi po śmierci Samiry.

Jeden z żołnierzy udał się na poszukiwanie Picota, by powiedzieć, że gość chce z nim porozmawiać.

Kiedy Picot wszedł, ani Clary, ani Ahmeda nie było w izbie, znajdował się tam tylko mężczyzna, którego nazywali Pułkownikiem. Palił hawańskie cygaro i pił kawę.

Nie wyciągnął do niego ręki, zresztą i archeolog nie zamierzał się wylewnie witać, skinął tylko głową. Postanowił usiąść, chociaż wojskowy wcale go do tego nie zachęcał.

— Chciałbym wiedzieć, co pan sądzi na temat tego, co tu się stało — powiedział Pułkownik.

— Nie mam pojęcia, co o tym myśleć.

— Zapewne ma pan jakąś teorię.

— Nie, żadnej. Tylko raz miałem okazję spotkać się z panem Tannenbergiem, trudno nawet powiedzieć, że się znamy. Właściwie nic o nim nie wiem, a nie chcę snuć domysłów.

— Podejrzewa pan kogoś?

— Ależ skąd! Wie pan, nie sądzę, by zabójca był jednym z nas.

— Na pewno jest jednym z was, panie Picot. Mam nadzieję, że Fatima będzie mogła mówić. Możliwe, że go widziała. Moi ludzie przesłuchają również członków pana zespołu.

— Już tak zrobili, przesłuchali nas wczoraj w nocy.

— Przykro mi z powodu tych niedogodności, rozumie pan jednak, że to konieczne.

— Z pewnością.

— Doskonale. Proszę mi więc opowiedzieć, kto jest kim. Muszę wiedzieć wszystko na temat ludzi, którzy tu przebywają, czy to Irakijczycy, czy cudzoziemcy. Z Irakijczykami nie mam problemu, sam zdobędę wszystkie informacje na ich temat. Będę wiedział o nich więcej, niż oni sami o sobie wiedzą, ale co do pańskich ludzi... Proszę o współpracę, panie Picot.

— Widzi pan, znam większość tu obecnych od bardzo dawna. To archeolodzy i najlepsi studenci, ludzie godni szacunku. Nie znajdzie pan zabójcy wśród uczestników tej misji archeologicznej.

— Zdziwiłby się pan, gdyby pan wiedział, w jakich miejscach ukrywają się ludzie gotowi zabijać. Zna pan wszystkich osobiście? Czy nie ma nikogo, kogo poznał pan dopiero niedawno?

Picot milczał. Pułkownik zadał mu pytanie, na które nie chciał odpowiadać, bo jeśli przyzna, że wśród uczestników wykopalisk są osoby, których przed wyjazdem do Iraku nie widział na oczy, zrobi z nich podejrzanych, a nie chciał na nikogo rzucać choćby cienia podejrzenia. W Iraku ludzie przepadali bez śladu.

— Niech się pan zastanowi, nie ma pośpiechu — zachęcał Pułkownik.

— Właściwie znam ich wszystkich, to osoby polecane przez bliskich przyjaciół, którym ufam.

— Ja, niestety, nie mogę ufać nikomu. Tylko w ten sposób mogę uzyskać jakieś wyniki w mojej pracy.

— Proszę pana...

— Proszę mówić do mnie „pułkowniku”.

— Panie pułkowniku, jestem archeologiem, nie zwykłem zadawać się z mordercami, a uczestnicy misji archeologicznych nie zwykli zajmować się zabijaniem. Niech pan pyta, ile

chce, przesłucha tyle osób, ile będzie potrzeba, ale wątpię, czy znajdzie pan zabójcę wśród nas.

— Będzie pan współpracował?

— Pomogę, jak tylko będę mógł, obawiam się jednak, że niewiele mogę wnieść.

— Jestem pewny, że pomoże mi pan bardziej, niż pan sobie wyobraża. Mam tu listę uczestników wyprawy. Zadam panu pytanie na temat każdego z nich, może uda nam się wyciągnąć jakieś wnioski, a może nie. Co pan na to, by zacząć od razu?

Picot skinął głową. Nie miał innego wyjścia. Ten groźny człowiek nie znoślił sprzeciwu, porozmawia więc z nim, choć w duchu obiecał sobie, że nie powie mu niczego poza błahostkami.

Zanim zdążył otworzyć usta, do pokoju weszła Clara. Uśmiechała się, co bardzo Picota zdziwiło. Trzy trupy i zabójca na wolności to nie są powody do uśmiechu.

— Pułkowniku, dziadek chce się z panem zobaczyć.

— To znaczy, że odzyskał przytomność... — wyszeptał wojskowy.

— Tak, w dodatku mówi, że czuje się wyjątkowo dobrze.

— Zaraz przyjdę. Panie Picot, porozmawiamy później.

— Kiedy tylko pan zechce.

Pułkownik wyszedł z salonu, a za nim Clara. Picot odetchnął z ulgą. Wiedział, że nie uniknie przesłuchania, ale przynajmniej zyskiwał na czasie. Poszuka Fabiána i Marty, żeby o tym wszystkim porozmawiać.

Doktor Naheb dał znak Clarze i Pułkownikowi, by nie podchodzili do łóżka Tannenberg, dopóki pielęgniarka nie zmieni kroplówki.

Kobieta była doświadczoną pielęgniarką, uwinęła się w minutę.

Salam Naheb zasypiał na stojąco. Na jego twarzy malowało się zmęczenie i napięcie spowodowane długim czuwaniem i wieloma godzinami walki o życie Tannenberg.

— Wydaje się, że jakimś cudem doszedł do siebie, nie powinni go jednak państwo niepokoić — zwrócił się do Clary i Pułkownika, choć wiedział, że ci dwoje nie zamierzają liczyć się z jego zdaniem.

— Powinien się pan położyć, doktorze — odpowiedziała Clara.

— Tak, teraz, kiedy jest tu pani Alija i może mnie tej nocy wyręczyć, umyję się i położę. Najpierw jednak zajrzę do Fatimy.

— Moi ludzie ją przesłuchują — powiedział Pułkownik.

— Przecież powiedziałem, żeby się do niej nie zbliżali, dopóki nie powiem, czy jej stan pozwala na przesłuchanie! – obruszył się lekarz.

— Niech się pan tak nie unosi! Wróciła z zaświatów i może nam dużo powiedzieć. Tylko pan Tannenberg i ona wiedzą, co zdarzyło się w tym pokoju, musimy z nimi porozmawiać. Mamy trzy trupy, panie doktorze — przypomniał Pułkownik tonem niepozostawiającym wątpliwości, że nikt ani nic nie przeciwstawi się jego decyzjom.

— Ta kobieta jest w bardzo poważnym stanie, a pan Tannenberg... — Salam Naheb nie odważył się dokończyć. Spojrzenie Pułkownika dawało mu jasno do zrozumienia, że jeśli jest rozsądnym człowiekiem, nie powinien mówić ani słowa więcej.

Pielęgniarka odsunęła się, robiąc miejsce przy chorym Clarze i Pułkownikowi. Clara wzięła dziadka za rękę i ścisnęła ją.

— Nie dajesz im się, stary przyjacielu — odezwał się Pułkownik.

Alfred Tannenberg miał zapadnięte oczy, blade policzki wskazywały, że śmierć zaciska wokół jego szyi swoje palce, ale w jego spojrzeniu było tyle siły, że wydawało się oczywiste: będzie walczył do końca.

— Co się stało? — zapytał.

— Tylko ty możesz nam to powiedzieć.

— Nie pamiętam dokładnie, ktoś podszedł do łóżka, chyba pielęgniarka, ktoś zaświecił mi latarką w oczy, potem usłyszałem jakieś suche uderzenia, chciałem się podnieść i... nie wiem, chyba zdjąłem maskę tlenową. Światło zgasło, nic nie widziałem... Chyba ktoś rennie popchnął... nie wiem... nie pamiętam dokładnie, co się stało, niczego właściwie nie widziałem. Wiem, że ktoś tu był, ktoś do mnie podszedł. Mogli mnie zabić, musisz ukarać strażników pilnujących domu. To nieudacznicy, ani moje życie, ani ten kraj nie mogą być bezpieczne przy takich ludziach.

— Nie martw się, już kazałem się nimi zająć. Będą wyli do końca swojego marnego żywota za to, że pozwolili na to wszystko — uspokajał go Pułkownik.

— Mam nadzieję, że całe to zajście nie przeszkodzi w pracy archeologom. Clara jeszcze ma szansę znaleźć to, czego szukamy.

— Picot wyjeżdża, dziadku.

— Nie pozwolimy na to, zostanie tu — stwierdził stanowczo starzec.

— Nie, nie możemy go zmuszać, to byłby błąd. Lepiej, żeby wyjechał, ja zostanę do końca, ty jednak też powinienesz wyjechać. Pułkownik się ze mną zgadza.

— Zostanę z tobą! — warknął Tannenberg.

— Powinienesz się nad tym zastanowić, przyjacielu. Doktor Naheb nalega, byśmy cię stąd wywieźli. Gwarantuję ci, że Clara będzie bezpieczna, nic jej się nie stanie, ty jednak musisz wyjechać — tłumaczył Pułkownik.

Tannenberg nie odpowiedział. Był wyczerpany i świadomy, że życie ledwo się w nim tli. Jeśli przewiozą go do Kairu, pożyje jeszcze jakiś czas, ale jak długo? Czuł, że nie powinien zostawiać wnuczki samej w przededniu wojny, bo kiedy już się rozpęta, nikt nie będzie się o nią troszczył.

— Zobaczmy, mamy jeszcze czas. Teraz chciałbym porozmawiać z Jasirem i Ahmedem. To, co się stało, nie może się odbić na naszych interesach.

— Wygląda na to, że Ahmed może poprowadzić nasze operacje — odrzekł Pułkownik.

— Ahmed nie kiwnie palcem, jeśli mu się nie powie, co ma robić. Jeszcze nie umarłem, a kiedy to nastąpi, to nie on będzie po mnie dziedziczył.

— Słyszałem, że się poróżniliście, może jednak w takiej sytuacji powinnaś być trochę bardziej elastyczna? Nie jesteś w najlepszej formie, czy się mylę, Claro?

Clara zostawiła pytanie Pułkownika bez odpowiedzi. Będzie wierna swojemu dziadkowi, zresztą ona również nie ufała Ahmedowi.

— Dziadku, jeśli chcesz, zwołam wszystkich. Kogo chciałbyś zobaczyć?

— Powiedz temu swojemu mężulkowi, żeby tu przyszedł. Chcę również zobaczyć Ajeda Sahadię i Jasira. Najpierw jednak muszę się przygotować na ich przyjęcie. Niech pielęgniarka pomoże mi się ubrać.

— Przecież nie możesz wstawać z łóżka! — wykrzyknęła przestraszona Clara.

— Mogę. Rób, co ci powiedziałem.

Ludziom Pułkownika nie udało się wydobyć od Fatimy żadnych istotnych informacji. Kobieta z trudem mówiła, nie przestawała płakać. W nocy siedziała koło łóżka Tannenberga i w końcu się zdrzemnęła, gdy tymczasem Samira przygotowywała leki na całą noc. Fatima usłyszała za drzwiami jakiś hałas, ale nie otworzyła oczu, bo myślała, że to strażnicy. Dopiero inny dźwięk wyrwał ją z drzemki, tym razem w pokoju. Odwróciła się w stronę Samiry. Zobaczyła kogoś od stóp do głów ubranego w czerń, z zasłoniętą twarzą. Ten ktoś dusił pielęgniarkę, Fatima nie mogła nawet krzyknąć, bo napastnik pochylił się nad nią, zakrywając jej usta i uderzając jakimś przedmiotem. Dostała kilkanaście ciosów i straciła przytomność. Niczego więcej nie pamięta.

Nie wie, czy zaatakował ją mężczyzna, czy kobieta, ale napastnik był bardzo silny. Nosił rękawiczki, bo kiedy próbował ugryźć rękę zatykającą jej usta, trafiła zębami na elastyczną tkaninę.

Nie pamiętała żadnego charakterystycznego zapachu ani by napastnik wymówił choć jedno słowo, tyle tylko, że się bała, czuła, że umiera. Dlatego dziękuje Allahowi za to, że zachował ją przy życiu. Ją i jej pana.

Lion Doyle włóczył się po obozie, rozmyślając o tym, co się stało. Ktoś wdarł się do pokoju Tannenbergera i nie był to on, więc albo klienci, którzy zlecili mu to zadanie, zniescierpliwili się brakiem wyników i wysłali kogoś innego, albo szczęścia chciał spróbować któryś z wrogów Tannenbergera.

Ludzie Pułkownika już go przesłuchali. Zachowywali się obcesowo, wręcz agresywnie. Widać przywykli do wydobywania zeznań torturami, byli więc rozwścieczeni koniecznością bezczynnego słuchania świadka.

Doyle bez trudu przebrnął przez przesłuchanie, grając swoją rolę niezależnego fotografa. Był urodzonym aktorem, wiele razy sam był zaskoczony swoimi umiejętnościami wcielania się w rozmaite postacie. W każdej z tych ról czuł się świetnie.

Rozmawiał już z Picotem, profesor miał więcej pytań niż odpowiedzi, Fabián z Martą byli poruszeni, ale niczego nie wiedzieli. Ani oni, ani Gian Maria, który nie ukrywał zaniepokojenia.

Jedynie Chorwat nie wyglądał na poruszonego. Ante Plaskic, po przesłuchaniu przez ludzi Pułkownika, zasiadł do swojego komputera, by nadrobić zaległości w pracy.

Lion od dawna podejrzewał, że Chorwat jest kimś więcej niż tylko informatykiem, podobnie jak on sam nie był fotografem, a nadzorca robót Ajed Sahadi nie był tylko nadzorcą robót. Ten ostatni nagie okazał się wojskowym Pułkownika, chociaż ubrany był jak wieśniak.

Lion Doyle postanowił, że pójdzie do Plaskica, by z nim porozmawiać. Wiedział, że niełatwo będzie coś z niego wydobyć, bo Ante wyglądał na zawodowca, jak on sam.

Kiedy wszedł do chaty, w której pracował Chorwat, zauważył, że jest tam syn wójta. Nie byłoby w tym nic dziwnego, gdyż syn wójta, jako szef jednego z zespołów robotników, często wpadał na stanowisko archeologiczne. Lion jednak odniósł wrażenie, że mężczyźni rozmawiali o czymś z ożywieniem, a na jego widok zamilkli.

Plaskic westchnął i odezwał się do Doyle'a:

— Robotnicy się niecierpliwiają. Ten człowiek pyta mnie, czy prace będą kontynuowane i co się z nimi stanie, kiedy się wycofamy. Boją się, że któryś z nich zostanie

oskarżony o te morderstwa. On twierdzi — wskazał głową na syna wójta — że profesor Picot nic im nie mówi. W każdym razie gdybyś cokolwiek wiedział...

— Wiem tyle samo co ty. Przypuszczam, że będziemy musieli poczekać, aż sytuacja się wyklaruje i złapią zabójcę lub zabójców. Co do naszego wyjazdu, zdaje się, że niewiele zostało tu do zrobienia i w zaistniałych okolicznościach chyba rozsądniej będzie wyjechać.

Plaskic wzruszył ramionami. Syn wójta wymamrotał, że mu przykro, i pośpiesznie wyszedł.

Lion Doyle przygwoździł Chorwata spojrzeniem. Ten jednak wytrzymał jego wzrok. Patrzyli tak na siebie przez długą chwilę, jakby ostrzegali jeden drugiego, że jeśli dojdzie do konfrontacji, to na śmierć i życie.

— Jak ci się wydaje, co się stało u Tannenberga? — zapytał Doyle, przerywając ciszę.

— Nie mam pojęcia.

— Masz pewnie jakieś przypuszczenia.

— Nie mam żadnych przypuszczeń, nie spekuluję, jeśli nie wiem czegoś na pewno.

— Tak czy inaczej podejrzewam, że morderca musi tu być, w obozowisku.

— Skoro tak twierdzisz...

Jeszcze raz popatrzyli sobie wyzywająco w oczy, po czym Lion odwrócił się na pięcie i wyszedł. Chorwat wrócił do komputera.

Plaskic był pewny, że Doyle coś podejrzewa, wiedział jednak, że fotograf nie ma niczego na poparcie tych podejrzeń.

Był ostrożny do przesady, ani na chwilę nie stracił czujności. Nikt nie zdawał sobie sprawy, co łączyło go z Samirą. Właściwie do niczego między nimi nie doszło, tyle tylko, że pielęgniarka posyłała mu gorące spojrzenia i szukała okazji, by znaleźć się blisko niego. Rozmawiali, tak naprawdę to ona mówiła, a on słuchał jej bez cienia zainteresowania. Marzyła, że pozna mężczyznę, który zabierze ją z Iraku, zdaje się, że jej wybór padł właśnie na niego, dawała mu do zrozumienia, że jest gotowa zrobić wszystko, czego Ante sobie zażyczy.

Nigdy nawet jej nie dotknął. Nie podobały mu się muzułmanki, nawet te w jego kraju, blondynki o błękitnych oczach, a tym bardziej ta czarnowłosa kobieta o ciemnej cerze i szerokich końskich nozdrzach. Miał wrażenie, że za chwilę zacznie parskać.

Nie odrzucał jednak jej zalotów, wiedział, że ta znajomość mu się przyda. Opowiadała mu o wszystkim, o stanie Tannenberga, o tym, kto do niego dzwonił, kto go odwiedzał oraz o problemach małżeńskich Clary i Huseiniego.

Samira stanowiła dla niego niewyczerpane źródło informacji, umożliwiała mu przekazywanie wiarygodnych raportów do Planet Security. Zwykle wręczał je synowi wójta, człowiekowi Jasira, Egipcjanina będącego prawą ręką Tannenberga, chociaż ostatnio obaj się nienawidzili. Jasir pomagał dostarczać jego sprawozdania tym, którzy go wynajęli, i za jego pośrednictwem on sam odbierał dalsze instrukcje.

Jasir dotarł do obozu wraz z Ahmedem i poprosił Ante, by powiedział mu, jaki jest stan zdrowia Tannenberga. Ani Ahmedowi, ani samemu Jasirowi nie udało się potwierdzić podejrzeń, że stary umiera. Doktor Naheb stanowczo temu zaprzeczył.

Plaskic postanowił umówić się z Samirą, na co ona przystała z entuzjazmem.

Powiedziała mu, że dziesięciu mężczyzn pilnujących domu, pięciu od frontu i pięciu na tyłach, po północy zwykle spotykać się na kawę i papierosa. Ante musi tylko poczekać na tę chwilę, a potem prześlizgnąć się na tyły. Jest tam okienko pomieszczenia, którego używali jako składziku. Obiecała, że zostawi je uchylone, wystarczy, że on wejdzie do środka i na nią zaczeka.

Plaskic przystał na taki plan, chociaż nie zamierzał czekać na zapleczu, lecz wejść prosto do izby starca i zobaczyć, w jakim jest stanie, wypytać Samirę, jakie są rokowania.

Wygadało na to, że plan się powiedzie. Plaskic poczekał, aż zgasną wszystkie światła i zapanuje cisza. O północy zsunął się z pryczy i bez najmniejszego szmeru podszedł na tyły domu Tannenberga. Musiał poczekać jeszcze pół godziny, zanim któryś ze strażników sprzed wejścia pójdzie do swoich towarzyszy, by zaprosić ich na kawę. Strażnicy, choć pili kawę i gawędzili, stojąc nieco z boku, przez cały czas mieli oko na chatę.

Mimo to Plaskic podpełznął niezauważony do okienka i wślizgnął się do środka. Na krzesłach stojących po obu stronach drzwi izby Tannenberga spali dwaj mężczyźni. Zanim go zauważyli, każdy miał kulę w głowie.

Pchnął drzwi. Samira miała rację. Stara służąca drzemała i nie usłyszała, że ktoś wchodzi do izby.

Pielęgniarka zobaczyła go z pistoletem w ręku i zagroziła mu drogę do łóżka. Plaskic zatkał jej usta, prosząc, by była cicho, ona jednak nie usłuchała, był więc zmuszony ją zabić. Gdyby siedziała cicho, żyłaby, usprawiedliwił się.

Hałas obudził Fatimę. Poderwała się z krzesła, musiał więc ją uciszyć i uderzyć kolbą pistoletu w głowę. Wydawało mu się, że ją zabił, ale ta czarownica się wykaraskała. Nie przejmował się tym jednak, bo nie miała szansy go rozpoznać. W izbie było ciemno, a on miał na twarzy kominiarkę.

Ante opowiedział synowi wójta, zaufanemu człowiekowi Jasira, co widział w chacie Tannenberg. Starzec podłączony jest do monitorów i dwóch kroplówek — jednej z krwią, drugiej z lekarstwem.

Syn wójta zapytał go, czy to on zabił pielęgniarkę i strażników, Ante jednak nie odpowiedział, co wyprowadziło tamtego z równowagi, gdyż bał się, że Pułkownik aresztuje ich wszystkich.

W tej właśnie chwili do chaty wszedł Lion Doyle. Ante miał przeczucie, że Anglik nie jest tym, za kogo się podaje.

Nazajutrz Pułkownik był w zdecydowanie złym nastroju. Huseini słuchał go cierpliwie, powstrzymując się od komentarzy, które spowodowałyby gniew wojskowego. Jasir również milczał.

— Nie ruszę się stąd, dopóki nie złapiemy mordercy. Musi być tu, wśród nas, wytropię go, a kiedy to się stanie, będzie wolał umrzeć, niż być żywy w moich rękach — mówił Pułkownik.

Do pokoju weszła Alija, nowa pielęgniarka, i poinformowała mężczyzn, że Tannenberg na nich czeka.

Kiedy weszli, siedział na fotelu z kocem na kolanach, odłączony od kroplówek. Skurczył się, została z niego tylko skóra i kości, twarz miał bladą jak kreda.

Obok niego siedziała uśmiechnięta Clara. Poprosiła doktora Naheba, żeby zrobił wszystko, by jej dziadek mógł przyjąć Pułkownika na siedząco, sprawiając tym samym wrażenie, że jego stan się poprawia.

Lekarz przygotował zastrzyk z mieszanką lekarstw, które miały utrzymać Tannenberg w formie przynajmniej przez kilka godzin.

Tannenberg nie tracił czasu na uprzejmości, ponieważ tym, czego najbardziej mu brakowało, był właśnie czas.

— Przyjacielu — zwrócił się do Pułkownika — chcę cię prosić o szczególną przysługę. Wiem, że to trudne i tylko ktoś taki jak ty zdoła tego dokonać.

Ahmed Huseini zaintrygowany spojrzał na starca. Jego uwagi nie umknęło też zadowolenie Clary, jak gdyby Tannenberg naprawdę mógł żyć wiecznie.

— Proś, o co tylko chcesz, wiesz, że możesz na mnie polegać — zapewnił Pułkownik.

— Profesor Picot chce wyjechać wraz z całym swoim zespołem. Rozumiem to, okoliczności są niesprzyjające, nie możemy go zatrzymać. Clara zostanie jeszcze parę dni, a potem do nich dołączy, by wziąć udział w przygotowaniu wielkiej wystawy poświęconej znaleziskom w Safranie. Będzie to ważna wystawa, która zostanie pokazana w wielu europejskich stolicach, może nawet w Stanach, jestem pewny, że nasz przyjaciel George umożliwi to za pośrednictwem fundacji Świat Starożytny.

— A jaką przysługę ja miałbym ci wyświadczyć? — zapytał Pułkownik.

— Postarać się o zezwolenia dla Picota na zabranie do Europy wszystkiego, co tu znaleziono. Wiem wprawdzie, że to bardzo cenne obiekty i trudno będzie przekonać Saddama, ty jednak możesz tego dokonać. Potrzebne są ciężarówki i helikoptery, żeby Picot i jego ludzie jak najszybciej mogli opuścić Irak z tymi skarbami.

— A co my będziemy z tego mieli? — zapytał bez ogródek Pułkownik.

— Ty na swoim tajnym koncie w Szwajcarii znajdziesz pół miliona dolarów.

— Porozmawiasz z Pałacem? — dopytywał się wojskowy.

— Już to zrobiłem. Synowie Saddama już o wszystkim wiedzą, czekają na naszego posłańca.

— Jeśli więc Bagdad się zgodzi, zadzwonię do mojego bratanka, Karima, by uruchomił operację.

— Clara już powinna wyjechać — wtrącił się Huseini.

— Clara wyjedzie, kiedy uzna to za stosowne, podobnie jak ja, tymczasem nadal będzie kopała. Chcę, by jutro zostały podjęte prace na wykopaliskach, żadnych przestojów z powodu tego, co się stało — odpowiedział zirytowany Tannenberg.

— Niektóre ze znalezionych obiektów... ich wyjazd z kraju to delikatna sprawa — zaznaczył Ahmed.

— Już je sprzedaliście? — zapytał Tannenberg, wprawiając w osłupienie Ahmeda i Jasira, którzy wbili wzrok w podłogę.

— Nigdy nie ufasz ludziom ze swojego otoczenia — stwierdził z goryczą Ahmed.

— Bo dobrze ich znam. Możliwe więc, że prezes Świata Starożytnego, Robert Brown, otrzymał od George'a zlecenie, by skontaktować się z naszymi najlepszymi klientami i poinformować ich o znalezisku w Safranie, ci zaś, spragnieni nowości, już przelali pewne kwoty jako zaliczki za obiecane przedmioty. Czy się mylę, Jasirze?

Pytanie zadane tak bezpośrednio skonfundowało Egipcjanina. Jego zdenerwowanie zdradzała plama potu, wykwitająca na przedzie jego śnieżnobiałej koszuli. Nie odpowiadał, tylko posyłał Ahmedowi rozpaczliwe spojrzenia, by ten mu pomógł uratować się z opresji.

To Pułkownik podjął wątek, niezadowolony z przebiegu rozmowy.

— Ach tak, widzę, że dochodzi do konfliktu interesów z twoimi przyjaciółmi w Waszyngtonie — powiedział.

Tannenberg nie pozwolił mu dokończyć.

— Nie, nie ma tu żadnego konfliktu interesów — zapewnił pośpiesznie. — Uważam, że świetnie się składa, iż Waszyngton postanowił sprzedać kilka ze znalezionych przez nas obiektów, na tym polega nasz biznes, ale jedna rzecz nie przeszkadza drugiej. Obiekty można stąd wywieźć, by pokazać je na wystawie, tyle tylko, że potem nie wrócą do Iraku, lecz trafią prosto do nowych właścicieli. Ci jednak będą zmuszeni poczekać parę miesięcy, może nawet cały długi rok, zanim je dostaną, co nie jest dla nich żadną nowością, są do tego przyzwyczajeni. Czasem upływają lata od założenia przez nich zamówienia do dostarczenia obiektu, nie widzę więc problemu. Dostaną to, za co zapłacili.

— Uwielbiam prowadzić z tobą interesy. Umiesz rozwiązać każdy problem. — Pułkownik powiedział to z widoczną ulgą.

— W tym wypadku nie ma problemów, chyba że nie uda nam się wywieźć z kraju obiektów na wystawę.

— Jeśli już rozmawiałeś z Pałacem, nic powinno być komplikacji. Zostaw to mnie.

— Co udało ci się ustalić w sprawie zabójstw? — chciał wiedzieć Tannenberg.

— Nic, i bardzo mnie to martwi. Zabójca jest sprytny. Najważniejsze, że ocalałeś, przyjacielu — zakończył Pułkownik.

— Żyję, bo wcale nie chciał mnie zabić.

Pułkownik zamyślił się nad tymi słowami. Stary miał rację. Czego w takim razie szukał napastnik w jego izbie?

— Znajdziemy tego człowieka, to kwestia czasu. Dlatego chciałbym zatrzymać Picota jeszcze przez parę dni, niewykluczone, że to ktoś z jego grupy.

— Zrób to, uważaj jednak, by czas nie spłatał nam figła, dzisiaj jest już dwudziesty piąty lutego.

— Wiem, wiem...

— Chcę, żeby Picot był daleko stąd najpóźniej dziesiątego marca.

— A kiedy wyjedziecie ty i Clara?

— Nie martw się, sam się tym zajmę. Kiedy zacznie się wojna, nas już tu nie będzie, zapewniam cię.

Pułkownik pożegnał się i zostawił Tannenbergą z Ahmedem i Jasirem. Clara również wyszła z izby, ucałowawszy przedtem dziadka. Chciała porozmawiać z Ptcotem i powiedzieć mu, że mogą zacząć myśleć o wystawie. Chciałaby go też prosić, by wrócili do pracy.

— Tak więc dopuściłeś się zdrady — zwrócił się Tannenberg do Jasira.

Obaj mężczyźni poruszyli się niespokojnie na krzesłach.

— Nikt cię nie zdradził — zapewnił Huseini.

— Nie? Więc jak to możliwe, że część obiektów z Safranu sprzedano bez mojej wiedzy? Czy nie powinienem być o tym poinformowany? Czy moi przyjaciele tak mało mnie znają, że mają odwagę mnie oszukiwać?

— Ależ Alfredzie, nikt nie próbuje cię oszukiwać — wyjąkał Jasir.

— Jasirze, jesteś zdrajcą, czekasz niecierpliwie na moją śmierć. Nienawiść nie pozwala ci używać inteligencji, więc odślaniasz całą swoją marność.

Jasir, zawstydzony, pochylił głowę, spojrział kątem oka na Ahmeda i zauważył, że jest nie mniej zdenerwowany niż on.

— Mieliśmy ci o tym powiedzieć, dlatego przyszliśmy. George prosił, żeby ci przekazać, iż ma nabywców na obiekty znalezione w Safranie.

— Ach tak? A dlaczego nie powiedzieliście mi o tym poprzedniego wieczoru? Kiedy chcieliście zrobić mi niespodziankę?

— Właściwie nie mieliśmy wielu okazji, by z tobą porozmawiać, prawie cię nie widzimy. . . — usprawiedliwiał się Ahmed.

— Brakuje ci jaj, Ahmedzie. Jesteś tylko moim pracownikiem, tak samo jak Jasir, i nikim innym nie będziesz do końca świata. Ludzie tacy jak ty nie rozkazują, tylko posłusznie wykonują polecenia.

Huseini poczerwieniał. Najchętniej spoliczkowałby tego starca, nie odważył się jednak, więc milczał.

— Dobrze, teraz porozmawiam z George'em, on mi wytłumaczy, na czym polega nowa gra.

— To nierozsądne! — sprzeciwił się Jasir. — Satelity szpiegowskie przechwytyją wszystkie rozmowy, dobrze o tym wiesz. Jeśli zamierzasz zadzwonić do George'a, to równie dobrze możesz dać ogłoszenie w „New York Timesie”.

— To George naruszył zasady gry, nie ja. Na szczęście jesteś głupcem i niechcący wyjawiałeś mi, co knują moi przyjaciele. Idźcie już, muszę wziąć się do pracy.

Mężczyźni wyszli, przekonani, że Tannenberg nie będzie siedział z założonymi rękami. Pogardzał nimi, a oni bali się skutków tej pogardy.

Alfred Tannenberg zawołał Aliję, kazał jej wezwać jednego ze strażników, temu zaś wydał polecenie, by poszukał Ajeda Sahadiego. Był to jeden z najskuteczniejszych zabójców w ekipie Pułkownika; od lat służył Tannenbergowi bez wiedzy swojego szefa, otrzymując za to pokaźne sumy.

Sahadi był zaskoczony, widząc, że Alfred Tannenberg siedzi w fotelu, rozgniewany jak zwykle. Jeszcze bardziej zdziwił się, kiedy usłyszał, czego ten od niego oczekuje. To, co miał zrobić na polecenie Tannenberga, było bardzo ryzykowne, ale pieniądze, jakie ten mu za to zaoferował, rozwiały wszelkie wątpliwości.

Niemąło wysiłku kosztowało Clare przekonanie Picota, że powinni wrócić do pracy.

— Nie możesz wyjeżdżać, zostawiając wszystko rozgrzebane. Ja zostanę, może znajdę tabliczki, a może nie, pozwól mi przynajmniej spróbować — tłumaczyła.

Fabián zgadzał się z Picotem co do tego, że im szybciej wyjadą, tym lepiej. Tylko Marta poparła Clare, przekonując ich obydwu, że nic nie tracą, prowadząc prace jeszcze przez jakiś czas.

— Clara ma rację, to ważne, by robotnicy myśleli, że wszystko toczy się tak jak dotychczas i że ty wierzysz, że jeszcze można coś znaleźć. Zresztą nie wiemy na razie, kiedy będziemy mogli wyjechać, więc zamiast siedzieć i czekać z założonymi rękami, możemy po prostu pracować.

— Musimy spakować cały nasz sprzęt, a to zajmie trochę czasu — zauważył Fabián.

— Zgoda, ale nic nie stoi na przeszkodzie, by nadal pracować. Jedno nie wyklucza drugiego. Clara załatwiła to, na czym nam zależało, pozwolili nam wywieźć eksponaty... — przypomniała Marta.

— Proszę, jaką mamy w zespole szantażystkę! — mruknął Fabián.

— Wcale was nie szantażuję, po prostu staram się grać fair. Bez Clary nie zorganizujemy wystawy i to usprawiedliwia naszą obecność w tym miejscu. Jesteśmy jej to winni.

Wdzięczne spojrzenie Clary zdziwiło nawet Martę. Z czasem przekonała się do tej Irakijki, doceniła ją, choć nic ich nie łączyło, poza tym, że obie zajmowały się archeologią.

Pomyślała, że Clara jest zagubiona w patriarchalnym Iraku i świecie Wschodu. Postrzegala ją jako ofiarę tego świata, który przeszkadzał jej w byciu sobą. Zawsze musiała podporządkowywać się woli dziadka i męża.

— Zgoda — westchnął Picot. — Będziemy pracowali, jednocześnie przygotowując się do opuszczenia kraju. Nie zamierzam jednak zostać tu ani dnia dłużej niż to konieczne. Czuję, że zaczynam się dusić. No i te morderstwa... nie rozumiem, jak po czymś takim można mieć ochotę pracować.

— Życie toczy się dalej — stwierdziła z rezygnacją Clara.

Gian Maria słuchał ich, nie odzywając się. Był zdruzgotany, czuł, że sytuacja go przerasta.

— Zostaniesz ze mną? — zapytała go Clara.

— Tak, zostanę — odpowiedział.

— I zrobi ksiądz wyjątkowe głupstwo. Najrozsądniej byłoby, gdyby wrócił ksiądz z nami. Przygoda się skończyła, czy tak trudno to zauważyć? — parsknął Picot.

Gian Maria pokręcił głową. Nie zostawi Clary samej. Przez jakiś czas myślał, że życiu tej kobiety i jej dziadka nie zagraża żadne niebezpieczeństwo, nikt nie chce im zrobić krzywdy, że przeszłość nie wystawi rachunku choremu starcowi, a w końcu i jej. Jednak ostatnie zdarzenia uświadomiły mu, że wcale tak nie jest i że musi zostać, by ją chronić. Ją i Tannenberga.

Picot zebrał cały zespół i ogłosił, że muszą zacząć się pakować, by wszystko było gotowe, kiedy nadejdzie potwierdzenie, że można ich ewakuować z Safranu. Clara zapewniała, że nie potrwa to dłużej niż dwa tygodnie. Wszyscy byli zaskoczeni, kiedy Picot poinformował, że będą pracowali do ostatniego dnia. Nadal mają kopać, starając się wydrzeć tej szafranowej ziemi jeszcze kilka tajemnic.

Ktoś zaprotestował, ale Picot uciszył go gestem ręki, starając się rozniecić w zespole zapał do pomysłu urządzenia wystawy.

Clara wróciła do izby dziadka. Alija położyła go do łóżka, a doktor Naheb znów podłączył chorego do monitorów. Starzec był wyczerpany.

— Wszystko dobrze idzie — zapewniła go Clara.

- Nie jestem pewny. Moi przyjaciele nie grają czysto...
- Wygramy z nimi, dziadku.
- Gdybyś odnalazła *Glinianą Biblię*...
- Odnajdę ją, dziadku, odnajdę.

Salam Naheb bez owijania w bawełnę powiedział Clarze, że nie ma pewności, czy Alfred Tannenberg przeżyje jeszcze parę dni.

- Chce mi pan powiedzieć, że w każdej chwili może umrzeć?
- Tak.

Clara z trudem powstrzymała łzy. Była wykończona, a przede wszystkim już od pewnego czasu dokuczała jej samotność. Kiedy stawiała przed dziadkiem, starała się zawsze sprawiać wrażenie silnej i pewnej siebie, choć brakowało jej sił, by stawić czoło sytuacji. Jakby tego było mało, nie miała już oparcia w Fatimie, która leżała w szpitalu, walcząc o życie.

- A jeśli go gdzieś przewieziemy, czy to w czymś pomoże?

Lekarz wzruszył ramionami. Tannenberg umierał i nawet najlepsza klinika świata nie zdołałaby ocalić mu życia.

— Moim zdaniem zbyt długo rozważała pani tę możliwość. Wielokrotnie o tym mówiłem, ale pani nie chciała mnie słuchać i zwlekała.

- Proszę odpowiedzieć, jeśli jutro przewieziemy go do Kairu, będzie żył?
- Nie wiem, jak zniesie podróż.

— Wiem, że dziadek dobrze zapłacił panu za opiekę, ja jednak dołożę coś do tej sumy, jeśli uda się przedłużyć mu życie choć o parę dni, a zwłaszcza jeśli oszczędzi mu pan cierpienia.

- Nie jestem Allahem, nie mam władzy nad niczym życiem.
- Ze wszystkich ludzi na świecie pan zna najlepiej tajemnice życia.
- Nie, nie znam, jeśli Allah zechce go do siebie wezwać, moje wysiłki na nic się nie zdadzą.

— Niech pan to zrobi tak czy inaczej, i niech pan liczy się z tym, że lada moment stąd wyjedziemy. Za parę dni naprawdę powinniśmy stąd zniknąć.

- Obawiam się, że wyjedzie pani sama.
- To, jak sam pan powiedział, wie tylko Allah.

Syn wójta wiercił się, zdenerwowany. Jego ojciec poczęstował gości, Ahmeda i Jasira, słodyczami, w ten sposób czyniąc zadość starym prawom gościnności.

Jasir i Ahmed odmówili, nie mieli ochoty na jedzenie, posiedzieli jednak jeszcze przez jakiś czas, by nie obrazić gospodarza. Jego syn zaproponował, że odprowadzi ich do obozu położonego kilkaset metrów od wioski.

Szli w milczeniu, powoli smakując cygara, które podarował im wójt. Nagle z cienia wynurzyli się trzej mężczyźni i zagroźli im drogę. Minutę później Jasir wydał okrzyk bólu i upadł na ziemię ze sztyletem w brzuchu. Ręce syna wójta były mokre od krwi, krwi Jasira. Napastnicy zniknęli równie niespodziewanie, jak się pojawili, zabierając ciało. Ahmed zaczął wymiotować.

— Dlaczego? — wykrztusił, prostując się.

— Pan Tannenberg nie wybacza zdrady. Chce, żeby pan o tym wiedział — powiedział syn wójta, wycierając w chustkę zakrwawione ręce.

— A kiedy ma zamiar zabić mnie? — zapytał Ahmed.

— Nie wiem, tego mi nie powiedział — odrzekł chłopak, wzruszając ramionami.

— Zostaw mnie, chcę zostać sam.

— Kazali mi pana odprowadzić.

Ahmed przyśpieszył kroku, chcąc być jak najdalej od człowieka, który bez mrugnięcia zabił Jasira, ten jednak go dogonił.

— Kazali mi przekazać panu, że pan Tannenberg będzie miał na pana oko i nawet jeśli go zabraknie, jeśli go pan zdradzi, ktoś odbierze panu życie, tak jak ja odebrałem je panu Jasirowi.

— Jestem pewny, że tak się stanie, ale teraz proszę mnie zostawić w spokoju.

— Nie mogę, muszę iść z panem, na wypadek gdyby miał pan jakieś problemy.

Ajed Sahadi podszedł do karawany. Wielbłądy odpoczywały. Wyszedł mu na spotkanie jakiś mężczyzna i objął go.

— Niech Allah ma cię w swojej opiece — powiedział.

— I ciebie.

— Chodź, napijemy się herbaty — zaproponował mężczyzna.

— Nie mogę, muszę wracać, ale mam do ciebie prośbę. Odwdzięczę ci się.

— Jesteśmy przyjaciółmi.

— Wiem o tym, właśnie dlatego chcę cię o coś poprosić. Masz — wręczył mu starannie zapakowany pakiet — postaraj się, żeby bezpiecznie i jak najszybciej dotarło to do Kuwejtu.

— Komu mam to dostarczyć?

— Na kopercie jest adres, doręcz ją razem z paczką. Proszę, to dla ciebie, i niech Allah cię prowadzi.

Mężczyzna wziął plik dolarów. Nie musiał liczyć, wiedział, że jak przy innych podobnych okazjach, to wystarczająca kwota. Alfred Tannenberg zawsze dobrze mu płacił.

Poranną ciszę przerwał krzyk, który postawił na nogi cały obóz.

Picot wybiegł z chaty, za nim wypadł Fabián i obaj stanęli jak wryci. Pozostali również powyskakiwali z łóżek, by zobaczyć, co się stało.

Pośrodku obozu stał słup, do którego przywiązano ludzkie zwłoki. Były okaleczone, brakowało dłoni i stóp. Oczodoły straszyły krwawymi jamami, trup nie miał uszu.

Niektórzy na ten widok nie mogli powstrzymać wymiotów, inni stali jak sparaliżowani. Gdy przybiegli żołnierze, by zająć się zwłokami, wszyscy odetchnęli z ulgą.

— Chcę jak najszybciej stąd wyjechać! Wszystkich nas w końcu pomordują! — krzyczał Picot, wpadając jak burza do chaty, którą dzielił z Fabiánem i sekretarzem, Albertem Anglade'em.

— To, co się tu dzieje, nie ma z nami nic wspólnego — uspokajał go Fabián.

— W takim razie z czym?

— Uspokój się! Nic nie zdziałamy, reagując tak nerwowo.

Anglade wyszedł z łazienki. Wymiotował, był blady jak ściana, w oczach miał łzy.

— To horror! Za wiele tego — mamrotał.

Kiedy przyszła Marta, popatrzyła na mężczyzn, usiadła na krześle i milcząco, zapaliła papierosa.

— Marto, dobrze się czujesz? — zapytał Fabián.

— Niestety nie. Jestem przerażona, nie wiem, co się tu dzieje, to miejsce powoli zamienia się w cmentarz... chyba... chyba powinniśmy już wyjechać, najlepiej jeszcze dzisiaj.

— Uspokój się — poprosił Fabián. — Musimy się uspokoić, zanim podejmiemy jakiegokolwiek decyzję. Powinniśmy też jak najszybciej porozmawiać z Clarą i Ahmedem. Oni wiedzą, co się tu dzieje, i mają obowiązek nam o tym powiedzieć.

— Ten człowiek... to on był z Ahmedem — powiedziała Marta.

— Tak, to były zwłoki niejakiego Jasira, człowieka, który, jeśli wierzyć Ahmedowi, pracował dla Tannenberga — stwierdził Fabián.

— Ale... kto mógł się dopuścić podobnego okrucieństwa? — Marta bezradnie kręciła głową.

— Uspokój się, już po wszystkim — pocieszał ją Fabián.

— Chcę się zobaczyć z Alfredem — Ahmed wypowiedział swoją prośbę drżącym głosem człowieka pokonanego. Clara była zaskoczona jego wyglądem: rozchełstana koszula, zaczerwienione od płaczu oczy, drżące dłonie.

— Co się stało?

— Nawet nie wysłaś, żeby zobaczyć? Przegapiłaś niezłe przedstawienie, które zafundował nam twój dziadek na przywitanie dnia. Czy nie wystarczyło go zabić, trzeba było profanować zwłoki? To potwór... ten człowiek to potwór...

— Nie wiem, o czym mówisz. — Clara wyglądała na szczerze zdziwioną.

— Jasir... Zamordował Jasira i zbeczczył jego ciało. Potem wystawił je pośrodku obozu, żebyśmy wszyscy mogli dobrze mu się przyjrzeć, żebyśmy nie zapomnieli, że Alfred jest naszym bogiem, panem nas wszystkich...

Ahmed szlochał, nie zważając na obecność strażników, którzy patrzyli na niego, nie ukrywając pogardy.

Clara miała ochotę wybiec, krzyczeć, zdołała się jednak opanować, przekonana, że ci ludzie przestaliby szanować jej dziadka i ją, jeśli uległaby panice.

— Dziadek cię nie przyjmie, odpoczywa — odpowiedziała chłodno.

— Muszę się z nim zobaczyć, chcę wiedzieć, kiedy mnie zamorduje! — krzyknął Ahmed.

— Milcz i nie opowiadaj takich bzdur w mojej obecności! Idź już. Musisz wrócić do Bagdadu i uruchomić całą akcję.

Nadejście Pułkownika zmieszało nieco Clarę. Starła się nie dać zdominować zimnemu spojrzeniu tego mężczyzny.

— Chcę zobaczyć pana Tannenberga — rzucił.

— Nie wiem, czy już wstał. Proszę zaczekać.

Clara zostawiła Pułkownika z Ahmedem i poszła do izby dziadka. Alija właśnie skończyła go golić, doktor Naheb zaś wyjmował igłę z jego żyły.

— Powiedziałem panu Tannenbergowi, że nie może się przemęczać — powiedział do Clary.

— Niech pan przestanie — warknął Tannenberg. — Jeśli jestem gotowy, proszę nas zostawić, już panu mówiłem, że być dzisiaj w dobrej formie.

— Ale nie jest pan w formie, ja zaś nie mogę zrobić nic więcej...

— To niech mnie pan zostawi sam na sam z wnuczką — nakazał Tannenberg.

Pielęgniarka wyszła za lekarzem z izby, nie protestując. Bali się tego starca. Wiedzieli, że sprzeciw może być niebezpieczny.

— Co się stało, Claro?

— Pułkownik chce się z tobą widzieć. Wygląda na to, że ma ważną sprawę. Przyszedł również Ahmed... mówi, że w obozie jest ciało Jasira... że to ty kazałeś go zamordować i okaleczyć...

— To prawda. Chyba nie jesteś zaskoczona? Nikt nie może mieć wątpliwości, co go spotka, jeśli mi się sprzeciwi. To ostrzeżenie dla wszystkich tu obecnych i dla moich przyjaciół w Waszyngtonie.

— Czym naraził ci się Jasir?

— Spiskował przeciwko mnie, szpiegował mnie, prowadził interesy za moimi plecami.

— Skąd to wiesz?

— Dziwi cię, że wiem, co robił Jasir, chociaż spędzani czas w łóżku? Mam oczy i uszy wszędzie, gdzie coś się dzieje.

— Czy trzeba go było zabijać? — odważyła się zapytać Clara.

— Tak. Powiedz Pułkownikowi, że może wejść, a ten gówniarz, twój mąż, niech się stąd zabiera, już mu powiedziałem, co ma zrobić.

— Zamierzasz zabić i jego?

— Niewykluczone. Wszystko zależy od tego, co wydarzy się w ciągu najbliższych dni.

— Proszę... proszę, nie zabijaj go.

— Dziecko, nawet dla ciebie nie zrezygnuję ze zrobienia tego, co uważam za niezbędne dla moich interesów. Jeśli będę się wahał, jeśli nie zrobię czegoś, co muszę zrobić, i inni się o tym dowiedzą, wówczas zrobią to samo nam. Takie są reguły. Śmierć Jasira

służyła temu, by George, Enrique i Frank dowiedzieli się, że jeszcze żyję. Moi współnicy tu, na miejscu, a wśród nich Pułkownik, zrozumieli przesłanie. Teraz idź już i rób, co ci kazałem.

— A co mam im powiedzieć? — wyszeptała Clara.

— Komu?

— Picotowi, Marcie... będą się dopytywali, co się stało...

— Nic im nie mów. Niech kopią i próbują odnaleźć *Biblię*, zanim wyjadą. Jeśli tego nie zrobią, utrudnię im wyjazd.

Dwie godziny później obóz funkcjonował jak co dzień. Przynajmniej z pozoru. Clara nie wiedziała, skąd czerpie siły, jednak po dyskusji z Picotem, który domagał się od niej wyjaśnień na temat tego, co się stało, poszła kopać.

Ani on, ani nikt inny z zespołu nie chciał jej towarzyszyć, wszyscy dziwili się, że tak po prostu wraca do pracy po tym, co zaszło. Nie słuchała ich, zносиła te wymówki, wiedząc, że nie ma wyjścia, że jeśli się zawaha lub okaże słabość, w końcu się załamie, a na to nie mogła sobie pozwolić.

Była zajęta kopaniem, kiedy w oddali usłyszała hałas startujących helikopterów. To oznaczało, że Ahmed wyjechał. Poczowała spokój. Nie kochała go już, nie zniosłaby jednak, gdyby jej dziadek kazał go zamordować.

Nie wiedziała, czy Pułkownik również wyjechał, choć było jej wszystko jedno.

W południe postanowiła zejść do komory, którą odkryli kilka dni wcześniej. Ajed Sahadi prosił ją, by tego nie robiła, ona jednak kazała mu milczeć. Gian Maria, który chodził za nią jak cień, zaproponował, że zejdzie razem z nią.

— Zgoda, najpierw jednak zejść sama, a kiedy się rozejrzę, zdecyduję, czy masz mi towarzyszyć, czy nie.

Opuszczana na linie, sunęła w dół, dopóki nie dotknęła stałego podłoża. Od zapachu stęchlizny zbierało jej się na wymioty. Była zdecydowana zbadać salę, którą odkryli parę dni temu i którą obejrzeli już dokładniej Picot z Fabiánem. Zapewniali, że jest połączona z innymi częściami świątyni.

Zapaliła czołówkę i ręczne latarki, i umieściła je w strategicznych miejscach, po czym zaczęła obmacywać ściany i posadzki.

Straciła poczucie czasu. Kilka razy pociągnęła za linę, by dać znak, że wszystko jest w porządku, nie prosiła jednak Giana Marii, by się do mej przyłączył. Zabroniła mu schodzić do komory, dopóki sama go nie wezwie.

Nie wiedziała, jak to się stało, ale kiedy obstukiwała trzonkiem łopatką ścianę, ta zawaliła się, a na Clare posypała się lawina gruzu i pyłu. Kiedy otworzyła oczy, znieruchomiała z przerażenia, ponieważ poczuła, że coś przesuwają się po jej prawej nodze. Starła się nie oddychać, przekonana, że to wąż albo szczur.

Sekundy były wiecznością, nie miała odwagi spojrzeć w dół. Nagle na jej twarz padł snop światła i usłyszała zdecydowane kroki i męski głos. Pojawienie się ludzkiej istoty w ostatniej chwili ocaliło ją od ataku paniki.

— Claro, dobrze się czujesz?

Zauważyła w mroku sylwetkę Giana Marii. Nigdy wcześniej, tak jak w tej chwili, nie cieszyła się, że go widzi.

— Nie ruszaj się, tu coś jest...

— Gdzie? Nic nie widzę. Claro tu nic nie ma.

Zdobyła się na odwagę i popatrzyła w końcu na swoje stopy. Niczego tam już nie było. Zwierzę najwyraźniej tylko przesunęło się po niej obojętnie. Odetchnęła z ulgą i wyciągnęła rękę do Giana Marii.

— Chyba przeszła po mnie żmija albo szczur. Dobrze, że mam wysokie buty.

— Ale mnie przestraszyłaś! Wyjdźmy stąd.

— Po co schodziłeś, skoro od razu chcesz iść.

— Zszedłem, żeby cię poszukać, martwiłem się.

— Za bardzo się o mnie troszczysz.

— To prawda — przyznał ksiądz.

— Pomóż mi, chcę rzucić okiem na te gruzy, potem sprowadzę tu robotników, każę im wszystko odkopać. Wydaje się oczywiste, że znajdujemy się na niższym piętrze świątyni. Trzeba je odsłonić.

— To nie będzie łatwe — zauważył Gian Maria.

— To prawda, nie możemy jednak próżnować, nie mamy czasu.

Clara skierowała grupę robotników do wnętrza otworu, gdy tymczasem inny zespół odkopywał wierzch znaleziska. Wokół otworu kazała umieścić silne lampy. Będą pracowali dzień i noc, nie można marnować ani chwili, nawet jeśli naraża w ten sposób życie ludzi, którym obiecała dodatkową zapłatę, jeśli zgodzą się pracować na nocnej zmianie.

Wiedziała, że Picot będzie oburzony, jednak nie przejmowała się tym. W końcu współkieruje wykopaliskami, a jej dziadek finansuje je w większej części. Nadszedł czas, by podkreślić swoją rolę.

Lion Doyle przeczytał faks wręczony mu przez Martę.

— Wydaje mi się, że przysłali to z twojej agencji. Dostałam wydruk od Ante. Roznosi korespondencję, nie wiedział, gdzie jesteś.

— Dziękuję.

Faks był od dyrektora „Photomundi”. Lion domyślał się oczywiście, że za słowami, które czyta, kryje się jego szef, Tom Martin.

Od dawna nie mieliśmy od ciebie wieści, klienci niecierpliwą się brakiem nowości. Co się stało z obiecany reportażem? Jeśli nie możesz go zrealizować, powinieneś wracać, media nie będą płacić za pojedyncze zdjęcia. Oczekuję wiadomości albo twojego powrotu.

Tom Martin wywierał nacisk, bo na niego z kolei naciskali klienci. Ludzie, którzy zlecili zabójstwo Alfreda Tannenberga nie zamierzali dłużej czekać, a prezes Global Group dawał mu do zrozumienia, że albo natychmiast wykona zadanie, albo uznają kontrakt za rozwiązany.

Dostał dużą zaliczkę i dobrze wiedział, że Martin zażąda jej zwrotu.

Poszedł do magazynu, w którym urządzono biuro, i znalazł tam Fabiána z dwoma archeologami, udzielającego instrukcji Plaskicowi, jak pakować do skrzyń wszystkie materiały na nośnikach informatycznych i jak dokonać inwentaryzacji archiwów.

— Chcę wysłać faks — powiedział.

— Proszę bardzo. Zresztą rano przysła wiadomość od twojego szefa.

— Tak, niecierpliwi się, domaga się dramatycznego wojennego reportażu, a tu na razie nie zanosi się na wojnę. Zdaje się, że gazety nie są już zainteresowane kolejnymi reportażami z wykopalisk.

— Trudno się dziwić, wkrótce wybuchnie wojna — zauważył któryś z archeologów.

— Tak, chyba tak. Powinienem porozmawiać z Picotem. Muszę się zorientować, jak będę mógł wyjechać do Bagdadu.

— Zaczekaj, wyjedziesz razem z nami. Yves najchętniej wyjechałby natychmiast, musimy jednak poczekać na wieści od Ahmeda. Ten ich słynny Pułkownik musi się postarać o pozwolenie, żebyśmy mogli zabrać ze sobą to, co znaleźliśmy — tłumaczył Fabián.

— Zgoda, zaczekamy. Ante, czy mogę skorzystać z któregoś z komputerów? Chcę napisać do szefa.

— Tamten jest podłączony do drukarki. — Chorwat machnął ręką.

— To marnowanie czasu. Żeby nie było połączenia z Internetem! — narzekał Lion.

— Nic na to nie poradzę, że nie ma wolnych linii telefonicznych. Ciesz się tym, co jest. Pisz, co masz do napisania i zostaw na tym podajniku. Po południu ktoś pojedzie do Tall-al-Mukajjar na pocztę.

Odpowiedź Liona Doyle'a wysłana do szefa „Photomundi” była krótka: „Reportaż będzie gotowy w tym tygodniu”.

Tom Martin otworzył kopertę, którą podała mu sekretarka. Czekał na nią. Dyrektor „Photomundi” zadzwonił do niego z wiadomością, że nadszedł faks od Doyle’a.

Przeczytał jedyne zdanie, jakie widniało na kartce, i porwał ją na drobne kawałki. Musi natychmiast zadzwonić do tajemniczego pana Burtona, który najwyraźniej tracił cierpliwość. Podczas rozmowy telefonicznej przypominał Martinowi, że wpłacił bardzo wysoką zaliczkę i domaga się wyników. Jeśli człowiek wysłany do Iraku znalazł już Tannenberga i jego wnuczkę, skoro udało mu się przeniknąć do ich otoczenia, dlaczego nie wywiązuje się z umowy?

Prezes Global Group próbował mu wyjaśnić, że misja w Iraku nie należy do najłatwiejszych, że jeśli jego człowiek dotychczas niczego nie dokonał, to dlatego, że było to niemożliwe i czeka na odpowiednią chwilę. Prosił o cierpliwość, jednak pan Burton uprzedził go, że jego cierpliwość się kończy.

Odszukał ostatni numer telefonu, jaki zostawił mu pan Burton, i wystukał go na klawiaturze aparatu. Był to numer brytyjskiego operatora telefonii komórkowej, ale nie miało to najmniejszego znaczenia, Burton mógł znajdować się wszędzie.

- Słucham?
- Pan Burton?
- Tak, słucham pana, panie Martin, O co chodzi?
- Dostałem potwierdzenie, że w tym tygodniu zamówienie zostanie zrealizowane.
- Na pewno?
- Przekazuję panu informacje od mojego człowieka.
- Kiedy będzie wiadomo, czy wywiązał się z zadania?
- Już panu powiedziałem, w tym tygodniu mam nadzieję przekazać panu dobre wieści.
- Oczekuję dowodów, wiadomości nie wystarczą.
- To, panie Burton, może okazać się trudne, przynajmniej w pierwszej chwili.
- W naszym kontrakcie jest takie ustalenie.

- Ja wywiążuję się z umów, panie Burton.
- To pański obowiązek, panie Martin.
- Doskonale, zadzwonię do pana później.
- Będę czekał.

Hans Hausser odłożył słuchawkę.

Było już późno, dawno po siódmej, nie mógł się jednak powstrzymać, by nie zadzwonić do Carla, Mercedes i Brunona. Z niecierpliwością czekali na wieści z Iraku.

Wstał, skierował się do holu, narzucił płaszcz i wyszedł, starając się zachowywać jak najciszej, by nie niepokoić Berty. Córka miała jednak dobry słuch i natychmiast wyjrzała z kuchni, gdzie podawała kolację dzieciom.

— Dokąd się wybierasz, tato?

— Chcę rozprostować nogi.

— O tej porze? I w ten deszcz?

— Berto, proszę cię, przestań traktować mnie jak dziecko. Cały dzień siedziałem w domu, mam ochotę się przejść. Pospaceruję trochę i zaraz wrócę.

Zamknął drzwi, nie dając córce czasu na odpowiedź. Wiedział, że przez niego cierpi, jednak nic nie mógł na to poradzić. Chciał być lojalny wobec przyjaciół i natychmiast poinformować ich o tym, czego się dowiedział.

Oddalił się od domu, następnie wsiadł do autobusu, wysiadł cztery przystanki dalej i odszukał kabinę telefoniczną.

Carlo Cipriani nie mógł odebrać, był akurat w klinice, asystował przy operacji przyjaciela, któremu jego syn, Antonino, usuwał nerkę. Maria, sekretarka, zapewniła, że doktor Cipriani oddzwoni, gdy tylko wróci do gabinetu.

Następny numer, jaki wybrał, był numerem telefonu komórkowego, z którym Bruno Müller nie rozstawał się przez ostatnie dni.

— Bruno...

— Hans... Jak się masz?

— Dobrze, przyjacielu, doskonale. Mam nowiny: poinformowano mnie, że w tym tygodniu zlecenie zostanie zrealizowane.

— Jesteś pewny?

— Otrzymałem taką obietnicę i mogę tylko oczekiwać, że odpowiednie osoby dotrzymają słowa.

— Czekaliśmy już tyle lat, myślę, że możemy zaczekać jeszcze tydzień.

— Zgadzam się, choć musisz wiedzieć, że nigdy nie byłem tak zniecierpliwiony. Oby się to wreszcie skończyło, żebyśmy mogli wrócić do normalnego życia.

Bruno Müller zamilkł na kilka sekund. Czuł ucisk w piersiach,

— Rozmawiałeś już z Carlem i Mercedes? — zapytał w końcu.

— Carlo operuje. Zaraz zadzwonię do Mercedes.

— Kiedy będziesz rozmawiał z Carlem, nie pytaj go o młodszego syna. Nadal nie ma od niego żadnych wieści, Carlo jest załamany.

— Wciąż nie wie, gdzie się chłopak podział?

— Nie. Nie pisze ani nie dzwoni. Podobno przechodzi głęboki kryzys. Carlo czuje się winny, nie powiedział mi dlaczego, twierdzi jednak, że to on jest wszystkiemu winny.

— A czy jego przyjaciel, ten detektyw, nie może czegoś zrobić, żeby mu pomóc?

— Obawiam się, że chłopak zagroził, że jeśli ojciec zacznie go szukać, zerwie z nim kontakty.

— Dzieci to źródło radości, ale też gorzkości.

— To prawda, ale bez nich bylibyśmy niczym.

— Wiem o tym, mój drogi, wiem o tym. Zadzwonię teraz do Mercedes.

Mercedes Barreda kończyła makijaż. Tego wieczoru wybierała się do teatru Liceo. Była zaproszona do łoża prezesa zarządu jednego z banków, w którym jej przedsiębiorstwo budowlane miało otwartą linię kredytową. Nie mogła odmówić.

Nie przepadała za operą, chociaż była miłośniczką muzyki klasycznej. Nie lubiła jednak pojawiać się w pewnych miejscach po to tylko, by być widzianą i widzieć.

Kiedy usłyszała dzwonek komórki, pomyślała, że nie ma ochoty rozmawiać. Nagle jednak poderwała się, uświadomiwszy sobie, że to nie jej stara komórka, tylko telefon, który kupiła po to, by kontaktować się z Hansem.

— Tak? — powiedziała do słuchawki. W jej głosie dawało się wyczuć napięcie.

— Już myślałem, że nie odbierzesz.

— Myślałam, że to nie ten telefon. Nie rozpoznałam sygnału. Słucham cię, jak się wszystko układa?

- Doskonale, zdaje się, że w tym tygodniu sprawa będzie załatwiona.
- Jaką mamy gwarancję?
- Po prostu ktoś mi to obiecał. Musimy czekać.
- Mam już dość czekania.
- Przecież został tylko tydzień. Nie ma powodów do zdenerwowania przed samą końcówką.
- Masz rację. Kiedy do mnie zadzwonisz?
- Gdy tylko mnie powiadomią. Dowiesz się o tym jako pierwsza.
- Dziękuję.
- Uważaj na siebie.
- Ty również.

Hausser wyszedł z budki telefonicznej i spacerował bez celu, nie zwracając uwagi na deszcz, aż w końcu, przemoczony do suchej nitki, zdecydował się zatrzymać taksówkę i wrócić do domu. Skostniał z zimna, zaczął kasłać. Córka znów go zbeszta.

* * *

Paul Dukais kilkakrotnie nacisnął dzwonek, niecierpliwiąc się, choć niecierpliwłość nie była jego cechą charakteru. Robert Brown w końcu otworzył drzwi.

- Wszyscy już są? — zapytał Browna.
- Tak. Ralph Barry przed chwilą dotarł. Zadzwoniłem do Mentora. Pojadę się z nim spotkać, gdy tylko przekażesz mi tę pilną wiadomość.

Dukais wszedł do salonu, podziwiając prostą elegancję jego wystroju. Ralph Barry siedział ze szklanką whisky w ręku. Dobrze, że i on tu jest, gdyż jako dyrektor fundacji był ważnym trybikiem w tej maszynie.

Ramón González, służący Browna, zapytał, co podać do picia.

- Podwójną whisky z lodem, bez wody — poprosił Dukais.

Kiedy dostał już whisky, a Ramón wyszedł z salonu, popatrzył na obydwu mężczyzn, wyobrażając sobie, jak się przestraszą, kiedy powie im, że Jasir został zamordowany.

— Alfred Tannenberg kazał zamordować Jasira — zaczął. — Nie zadowolili się jednak tym, że odebrał mu życie. Kazał obciąć mu stopy i dłonie, wykłuć oczy i obciąć uszy. Wszystko to włożono do pudełka, zaplombowano i przysłano nam w prezencie. Dopiero to dostałem, dlatego postanowiłem was wezwać. Mam również list od Tannenberga do twojego Mentora i współpracowników. Udało mi się porozmawiać z jednym z moich ludzi w Kairze, który porozumiał się z Ahmedem, chociaż powiedział mi, że ten zachowuje się, jakby oszalał. Przeraziło go zamordowanie Jasira.

Dukais postanowił ich nie oszczędzać i otworzył metalową kasetkę, z której wyjął pudełko. Była w nim mieszanka mięsa i kości z zaschniętą krwią. Na wierzchu leżały rozkładające się gałki oczne.

Prezes Świata Starożytnego wstał. Był blady, jego oczy rozszerzyły się z przerażenia.

Ralph Barry również wyglądał na zaszokowanego. Żaden z nich nie mógł wydusić słowa. Nagle Barry wybiegł z pokoju.

— Schowaj to! — krzyknął histerycznie Brown.

Paul Dukais zamknął pudełko i włożył je do metalowej kasetki. Tę zamknął na klucz, który ukrył w kieszeni, i utkwiał spojrzenie w twarzy Browna, stwierdzając w duchu, że tamten wygląda, jakby postradał zmysły.

— Boże drogi, co za potworność! Ten Tannenberg to wcielony diabeł!

Dukais milczał.

Ralph Barry wrócił z łazienki ze zboląłą miną.

— Kawał skurwysyna z ciebie! — powiedział do Dukaisa.

— Ja też nie oglądałem tego z przyjemnością — odpowiedział spokojnie Dukais. — Ale tak właśnie mają się sprawy i nie zamierzałem brać tego na swoje barki. Stanowicie część interesu, nie muszę was oszczędzać.

Podniósł się i dolał sobie whisky.

— Alkohol skutecznie usuwa niesmak — mruknął.

Ani Brown, ani Barry nie ruszyli się z miejsca, nadal wstrząśnięci widokiem szczątków Jasira.

— Co powiedział Ahmed? — zapytał wreszcie Brown.

— Ahmed zgadzał się z moimi ludźmi w Safranie co do tego, że Alfred jest umierający. Nie dawali mu nawet tygodnia życia, ale się pomylili. Mordując Jasira, przesłał

nam znak, że nadal jest wśród żywych. To w jego stylu. Chce nam przypomnieć, że to wciąż jego teren i nie wolno robić nic bez jego zgody.

— Co mówił Ahmed?

— Mój człowiek w Kairze powiedział, że jedyne, czego chce Ahmed, to jak najszybciej wziąć nogi za pas. W każdym razie zrobi to, co do niego należy. Mój człowiek powiedział, że z tego interesu nikt nie wyskakuje wtedy, kiedy ma na to ochotę. Nie musimy wprowadzać żadnych zmian, wystarczy poczekać. Do początku tej przeklętej wojny zostało niewiele dni.

— A co z Clarą Tannenberg? — zapytał Ralph Barry.

— Zdaje się, a przynajmniej tak twierdzi Ahmed, że wstąpił w nią diabeł. Ma naturę swojego dziadka.

— Znaleźli tabliczki?

— Nie, na razie ich nie znaleźli. Clara jest gotowa przewalić jeszcze parę ton ziemi. A prawda, Ahmed mówił, że Picot przekonał Clare, ona zaś dziadka, by wywieźć z Iraku wszystko, co znaleźli. Zamierzają przygotować wielką wystawę, w stolicach europejskich, a nawet myślą o tym, by sprowadzić ją do Stanów, tak więc wcześniej czy później się do ciebie zgłoszą. Przyjaźnisz się z tym Picotem, prawda?

Ralph Barry pociągnął łyk whisky i westchnął, zanim odpowiedział Dukaisowi.

— Kolegujemy się. W świecie akademickim uznawani jesteśmy za jedynych, którzy mogą się pochwalić jakimś dorobkiem.

— A więc obiekty z Safranu nie dotrą razem z resztą — mruknął Robert Brown.

— Nie, to jedna z niespodzianek, jakie zgotowała nam Clara i Alfred. Zdaje się, że Alfred nie sprzeciwia się sprzedaży, jest gotów sprawić, że obiekty poznikają, ale dopiero po tym, jak jego wnuczka objedzie z nimi pół kuli ziemskiej. Wydaje mi się, że Alfred uznał, iż musimy uzbroić się w cierpliwość, bo to tylko kwestia czasu.

— Oszalał! — parsknął Robert Brown.

— Ja bym raczej powiedział, że nadal postępuje roztropnie — zawyrokował Paul Dukais.

Otworzył aktówkę i wyjął z niej trzy teczki, które podał Brownowi.

— Proszę, oto szczegółowy raport opisujący wydarzenia ostatnich dni w Safranie, w tym śmierć pewnej młodej pielęgniarki i dwóch ochroniarzy.

— Dlaczego nic nam nie powiedziałaś? Co się stało? — dopytywał się wzburzony Ralph Barry.

— Właśnie wam mówię. Reszta jest w raporcie. Chcieliście dowiedzieć się czegoś o stanie zdrowia Alfreda Tannenberg, stał się on jednak niewidzialny, zwłaszcza od swojego przyjazdu do Safranu, dlatego też jeden z moich ludzi postanowił dostać się do jego pokoju. Napotkał na pewne trudności i musiał zlikwidować pielęgniarkę i ochroniarzy. Zranił też poważnie starą służącą Tannenberg. Widział, że Alfred jest podłączony do różnych aparatów, wyglądał na umierającego, ale wszystko wskazuje na to, że się wykaraskał. Teraz was zostawiam, przeczytajcie i podzielcie się ze mną swoimi sugestiami, czy powinniśmy wprowadzać jakiegokolwiek zmiany.

— Nie, nie będziemy wprowadzali zmian, nie wyjdziemy poza przewidziany plan — uciął Brown.

Dukais wyszedł, z nikim się nie żegnając. Był równie poruszony jak Brown i Barry, nie mógł jednak pozwolić sobie na okazywanie uczuć. Zarządzał organizacją zrzeszającą ludzi gotowych mordować dla najbardziej odrażających powodów i w najbardziej brutalny sposób, nie mógł więc pokazywać, że robi na nim jakiegokolwiek wrażenie skrzynka z ludzkimi stopami, dłońmi i oczami.

Jedyne, co go uspokajało, to że Mike Fernández zapewnił go, iż plan jest dopracowany w każdym szczególe. Dukais ufał mu bardziej niż wszystkim swoim żołnierzom, jeśli więc Mike powiedział, że plan nadal będzie realizowany, to znaczy, że tak się stanie.

Brown i Barry milczeli przez chwilę, każdy pogrążony w myślach. Byli wstrząśnięci. Najgorsza ze wszystkiego, myślał Robert Brown, będzie reakcja Mentora. George Wagner wścieknie się, choć nawet nie podniesie głosu. Najbardziej ze wszystkiego Brown bał się jego chłodu; twarde spojrzenie zdradzało, do czego ten człowiek jest zdolny. Pod tym względem w niczym nie ustępował Alfredowi, tyle tylko, że poruszał się po wyłożonych dywanami korytarzach Waszyngtonu, podczas gdy Tannenberg po ciemnych zaułkach miast Wschodu.

— Przepraszam, muszę zatelefonować. — Ralph Barry wstał.

Brown skinął głową. Wiedział, że jego szefa czeka trudna rozmowa. George Wagner nie należał do ludzi, którzy godzą się, by ktoś stawiał im wyzwania, nawet jeśli miałby to być jego stary przyjaciel Tannenberg.

Ludzie byli wyczerpani. Clara prawie nie pozwalała im odpoczywać. Przez ostatni tydzień odgarniali tony piasku, by wydostać spod niego świątynię.

Yves Picot dał jej wolną rękę i rzadko przyłączał się do tej gorączkowej pracy.

Robotnikom pomagała grupa archeologów, którzy zajęci byli również pakowaniem materiałów i sprzętu, by wszystko było gotowe, kiedy Ahmed Huseini powie, że mogą wyjeżdżać. Nie potrafili odmówić Clarze, którą nieustannie obserwował Ajed Sahadi. Tannenberg ostrzegł go, że jeśli znów dojdzie do jakichś nieprzewidzianych wydarzeń, zapłaci za to życiem.

Gian Maria nawet na moment nie odstępował Clary. Ogarniało go przerażenie za każdym razem, gdy tracił ją z oczu.

Fabián z Martą wspierali ją, zadziwieni jej siłą woli i determinacją. Prawie nie spała, nie chciała marnować czasu nawet na jedzenie. Jeśli opuszczała stanowisko, to tylko po to, by zajrzeć do dziadka i Fatimy, ale nie spędzała tam więcej niż kilka minut.

Clara miała wyrzuty sumienia, że nie towarzyszy dziadkowi w tych, jak wiedziała, ostatnich minutach. Tannenberg był wycieńczony chorobą, trwał przy życiu tylko dzięki ogromnej sile woli.

Fatinia wstawała już z łóżka, i chociaż nie odzyskała jeszcze sił, ubłagała doktora Naheba, by przynajmniej pozwolił jej być w pobliżu jej pana.

— Pani Huseini...

Clara nie zwróciła uwagi na to, że ktoś woła ją po nazwisku. Nadal odgarniała łopatką i pędzlem piasek z czegoś, co mogło być fragmentem kapitelu. Postanowiła, że nie będzie reagowała, kiedy ktoś zwróci się do niej w ten sposób. Wołanie jednak się powtórzyło.

— Pani Huseini...

Odwróciła się zdenerwowana. Przyglądał jej się wyczekująco dziesięcioletni chłopiec, spodziewając się, że zaraz na niego nakrzyczy. Ktoś go uprzedził, że pani ma zły charakter i podnosi głos. Odetchnął, kiedy zobaczył, że się uśmiecha.

— Czego chcesz?

— Ma pani wracać do domu. Doktor Naheb chce z panią porozmawiać.

— Co się stało? — zapytała przejęta.

— Nie wiem, kazali mi panią odszukać.

Clara poderwała się jednym skokiem i pobiegła za chłopcem w stronę obozu. Obawiała się najgorszego. Jeśli wzywa ją lekarz, to znaczy, że z dziadkiem jest naprawdę źle.

Cisza panująca w domu nie wróżyła niczego dobrego. Izba dziadka była pusta. Clara wybuchnęła płaczem i wypadła z chaty.

Chłopiec podszedł do niej i pokazał ręką szpital polowy. Tam na nią czekają, powiedział.

Doktor Naheb wraz z Aliją reanimowali Tannenbergą. Przewieźli go do szpitala, ponieważ starzec dostał wylewu.

Leżał nieprzytomny, z jedną stroną ciała sparaliżowaną.

Clara uspokoiła się, przyglądając się zabiegom lekarza i pielęgniarki. Żadne z nich do niej nie podeszło, tylko doktor Naheb popatrzył na nią, rozkładając bezradnie ręce.

Stała tak przez kilka minut, patrząc na nich bez słowa. W końcu lekarz podszedł do niej, wziął ją pod ramię i wyprowadził na zewnątrz.

— Nie wiem, jak długo wytrzyma, może parę godzin, dzień... wątpię jednak, by jego stan się poprawił.

Clara się rozplakała. Była wyczerpana walką z czasem, a zwłaszcza tym, że nie czuła się na siłach działać bez wsparcia, jakie dawała jej obecność dziadka. Potrzebowała pewności, że on żyje, by sama mogła żyć.

— Jest pan pewny? — wyszeptała przez łzy.

— Sam się dziwię, że tak długo wytrzymał. Miał wylew, nie wiem, czy odzyska przytomność. Jeśli nawet tak, to jest niemal pewne, że nie będzie mógł mówić, może nawet pani nie rozpozna. Nie będzie również mógł się poruszać. Jest w stanie krytycznym, przykro mi.

— A jeśli go stąd wywieziemy? — zapytała Clara, szukając choćby cienia nadziei.

— Prosiłem o to bez końca, ale ani pani, ani pani dziadek nie chcieliście mnie słuchać. Teraz jest już za późno, nie sądzę, by przeżył podróż.

— Co można zrobić?

— Nic. Zrobiłem, co mogłem. Teraz pozostaje tylko czekać. Ani Alija, ani ja nie ruszymy się od jego łóżka. Na pani miejscu byłbym blisko, w każdej chwili może nastąpić zgon.

Ajed Sahadi stał obok, starając się nie uronić ani słowa z tej rozmowy. Gian Maria także był blisko, gotów pośpieszyć Clarze z pomocą.

Ona zaś wyprostowała się i stłumiła szloch. Wytarła oczy, zostawiając na twarzy ciemną smugę. Nie mogła okazać słabości w takiej chwili. Dziadek ją ostrzegął: ludzie poruszają się tylko w rytm bębna i bata.

— Ajedzie, podwój strażę wokół szpitala, dziadek miał kryzys, ale z niego wyjdzie, czuwa nad nim nasz świetny doktor — powiedziała ze wzrokiem utkwionym w Salamie Nahebie.

— Tak jest, proszę pani — odparł nadzorca.

— Niech ludzie nie przerywają pracy. Nie ma ku temu powodów, ja tu jeszcze chwilę zostanę.

— Ja też — stwierdził Sahadi.

— Rób, co ci każe. Idź na wykopaliska i zadbaj o to, by ludzie pracowali jak należy.

— Pan Tannenberg kazał mi nie odstępować pani na krok.

Clara podeszła do niego, patrząc mu twardo w oczy. Mężczyzna przestraszył się, że go uderzy.

— Ajedzie, kiedy będziesz pewny, że wszystko chodzi jak w zegarku, wracaj. Rozumiesz? — wycedziła.

— Tak, proszę pani.

Odwróciła się i weszła do szpitala, za nią zaś Gian Maria, który położył jej rękę na ramieniu.

— Claro, nie wiem, czy twój dziadek był praktykującym chrześcijaninem, ale jeśli chcesz... jeśli chcesz... jestem kapłanem, mogę udzielić mu ostatniego namaszczenia, by przygotować go na spotkanie z Panem.

— Ostatniego namaszczenia?

— Tak, ostatniego sakramentu. To pomoże mu umrzeć jak chrześcijaninowi, choćby nawet nie żył jak chrześcijanin. Bóg jest miłosierny.

— Nie wiem, czy mój dziadek zgodziłby się przyjąć ostatnie namaszczenie, gdyby... gdyby był przytomny...

— Ja tylko chcę mu pomóc. I tobie również. Taki mam obowiązek, jestem księdzem, nie mogę się przyglądać, jak umiera człowiek urodzony w religii Chrystusa, i nie dać mu ostatniej pociechy od Kościoła.

— Mój dziadek w nic nie wierzy. Ja też nie. Bóg nigdy me stanowił części naszego życia, po prostu go nie było, nie mieliśmy potrzeby modlić się do Boga.

— Nie pozwól mu umrzeć bez ostatniego namaszczenia — upierał się Gian Maria.

— Nie, nie mogę ci pozwolić, byś udzielił mu ostatniego namaszczenia. On nigdy nie powiedział, żebym wezwała księdza, kiedy będzie umierał. Jeśli ci na to pozwolę, to będzie jak... świętokradztwo.

— Co ty opowiadasz! Nie wiesz, co mówisz!

— Przykro mi, ale mój dziadek umrze tak, jak żył. Jeśli twój Bóg istnieje, i jak mówisz, jest miłosierny, wszystko mu jedno, czy udzielisz dziadkowi ostatniego namaszczenia, czy nie.

— Claro, proszę, pozwól mi sobie pomóc, pozwól mi pomóc jemu. Oboje tego potrzebujecie.

— Nie, przykro mi, ale nie.

Odwróciła się na pięcie i weszła do szpitala. Nie zamierzała pozwalać na takie rzeczy bez wiedzy dziadka. Nie wiedziała nawet, na czym polega ostatnie namaszczenie. Nie była chrześcijanką. Nie była też muzułmanką. Bóg nie zajmował żadnego miejsca ani w Żółtym Domu, ani w jej domu w Kairze. Ojciec i dziadek nigdy nie rozmawiali z nią o Bogu. Dla nich religia była sprawą fanatyków i ignorantów.

Gian Maria nie wiedział, co robić. Postanowił, że będzie kręcił się w pobliżu szpitala, prosząc Boga, by Clara zmieniła zdanie.

Picot, Fabián i Marta przyszli do szpitala, oferując Clarze pomoc. Tak zrobili też pozostali archeolodzy. Marta posunęła się jeszcze dalej, proponując, że dopóki nie wyjaśni się sprawa zdrowia jej dziadka, zastąpi Clarę na wykopaliskach.

— Bardzo ci dziękuję, Marto. Przynajmniej o to będę spokojna. Ci ludzie nie potrafią nic zrobić, jeśli nikt nimi nie pokieruje.

— Nie martw się, wyręcę cię, dopóki nie wrócisz do pracy.

Była to najdłuższa noc w życiu Clary. Dziadek umierał, ona zaś była bezsilna, nie mogła nic zrobić.

Salam Naheb ostrzegł ją, że chory nie dożyje poranka. Mylił się jednak. O świcie Alfred Tannenberg otworzył oczy. Sprawiał wrażenie, jakby wracał z bardzo daleka, w jego zagubionym spojrzeniu był niepokój i ból.

Zdawał się rozpoznawać Clarę, nie mógł jednak wymówić słowa. Połowę ciała miał sparaliżowaną, był też bardzo osłabiony.

Clara w ciszy obserwowała każdy ruch doktora Naheba, oczekując, że ten powie jej, czego może oczekiwać, ale dopiero późnym rankiem lekarz dał jej znak, by wyszła z nim przed szpital.

— Stan pani dziadka jest stabilny, może się pani położyć i odpocząć.

— Czy to znaczy, że nie umrze?

— Nie wiem, czy za godzinę nie dostanie kolejnego wylewu i znów nie wpadnie w śpiączkę, nie wiem, czy wytrzyma jeden dzień, dwa czy może trzy tygodnie. Nie potrafię wytłumaczyć, jak przeczłony był ten kryzys.

— A co teraz zrobimy? Co pan zrobi?

— Przede wszystkim wykąpię się i trochę odpocznę. Pani powinna zrobić to samo, właśnie dlatego, że wszystko się może zdarzyć. Niech pani odpocznie, jest pani wyczerpana, a w takim stanie nie może pani pomóc ani dziadkowi, ani sobie samej.

— A jeśli coś mu się stanie?

— Zostanie przy nim Alija, nie pada z nóg jak my wszyscy, bo kazałem jej się zdrzemnąć. Zresztą Fatima też przy nim czuwa. Wprawdzie nie czuje się najlepiej, ale w razie czego może nas zawiadomić.

Clara postanowiła, że tym razem posłucha lekarza. Była wyczerpana, nie jadła prawie całą dobę, choć nie odczuwała głodu. Położyła się w ubraniu na łóżku i natychmiast głęboko zasnęła.

Robotnik zawołał Martę. Jedno z uderzeń kilofem odsłoniło szczelinę, przez którą widać było pustą przestrzeń.

Marta zajrzała do wyłomu w murze i zobaczyła niewielkie pomieszczenie. Na ziemi leżały szczątki ceramiki. Jeszcze jedna sala świątyni, tyle że mniejsza niż te, które odkopali do tej pory.

Wytłumaczyła robotnikom, w jaki sposób mają powiększyć otwór, by można było wejść do sali, nie uszkadzając starego muru. Po dwóch godzinach resztki muru były podparte stemplami, co ułatwiało wejście.

Nikt nie okazywał szczególnego entuzjazmu. Jeśli nie znajdą tu żadnego posągu lub dobrze zachowanych płaskorzeźb, będzie to kolejna sala pałacowo-świątynnego kompleksu.

Na podłodze poniewierały się gliniane skorupy i kawałki tabliczek. Na jednej ze ścian widniały wręby, można się było domyślić, że dawniej opierały się o nie drewniane deski, na których układano tabliczki.

Marta zerknęła na niektóre z kawałków, ale nic szczególnego nie przykuło jej uwagi. Zawierały sumeryjskie poematy, na wszelki wypadek poleciła jednak robotnikom, by ostrożnie je pozbiierali i przenieśli do magazynu, by można je było skatalogować.

W pomieszczeniu znaleźli również poobtłukiwane nieduże posągi i rozsypane trzcinki.

Posłała jednego z robotników po Fabiána i Picota, by i oni zobaczyli to odkrycie, które według niej nie wносиło wiele do ich dotychczasowych ustaleń.

Kiedy przybyli na miejsce, uznali, że istotnie nie ma tu niczego interesującego, choć oczywiście należy zebrać kawałki tabliczek i spróbować odczytać ich treść.

— Gian Maria mógłby nam pomóc, ale snuje się jak dusza po czyścicu koło szpitala — gderała Marta.

— Jeśli chce się na coś przydać, niech się weźmie do roboty. Trzeba zerknąć na te tabliczki, zobaczymy, czy warto się nimi zajmować — poparł ją Picot.

Fabián poszedł poszukać księdza. Gian Maria zgodził się chętnie, przekonany, że Clara i tak nie pozwoli mu zbliżyć się do Tannenberga.

W ciągu kolejnych dwóch dni do obozowiska powróciła rutyna, chociaż archeolodzy, oczekujący z niecierpliwością na wyjazd, coraz częściej musieli łagodzić scysje wywołane napięciem.

Marzec wtargnął z impetem na ziemię, wydłużając dni i przynosząc w darze światło, ale przede wszystkim sprowadzając nad Safran upał. Nic dziwnego, że wszyscy z ulgą przyjęli wiadomość o telefonie od Huseiniego.

Ahmed przekazał Picotowi dobre wieści: rząd postanowił zezwolić na wywóz znalezisk, by można je było pokazać światu. Zaznaczył przy tym, że komisarzami wystawy zostaną on i Clara. Picot musi podpisać dokument, na mocy którego stanie się odpowiedzialny za wszystkie eksponaty i gwarantuje, że zostaną one zwrócone irackiemu narodowi.

Jeśli będą gotowi, helikoptery zabiorą ich za tydzień, w czwartek o świcie. Przewiozą ich do Bagdadu, a stamtąd na granicę z Jordanią. Najdalej za dziesięć dni znajdą się w domu.

Clara przyjęła tę wiadomość obojętnie. Jej jedynym zmartwieniem był teraz dziadek i nie dbała o to, co postanowił ktoś w Bagdadzie. Tęskniła do ciszy, a cisza oznaczała, że zostanie sama na tej szafranowej ziemi, bez Picota i jego kolegów.

Alfred Tannenberg wciąż żył. Jakimś cudem dochodził do siebie po wylewie, chociaż doktor Naheb ostrzegał ją, że ta poprawa jest złudna.

Starzec nie mówił i nadal był częściowo sparaliżowany. Czasem wydawało się, że rozpoznaje Clarę, innym razem jego wzrok błędził nieprzytomnie.

— Nasz pan powinien opuścić szpital — mówiła Fatima, przekonana, że Tannenberg szybciej dojdzie do siebie pod jej opieką w małej chatce, ale doktor Naheb okazał się nieprzejednany.

Clarze najbardziej żal było, że nie może towarzyszyć dziadkowi tam, gdzie błędzi jego świadomość. Nie odstępowała go na krok, nie miała odwagi iść na wykopaliska. Na szczęście wiedziała, jak przebiegają prace, ponieważ Marta zdawała jej codziennie dokładną relację.

Pewnego popołudnia Clara czuwała przy łóżku dziadka, rozcierając mu dłonie. Nagle usłyszała, że coś mamrocze. Wydawało jej się, że rozróżnia jedno czy drugie słowo w jego ojczystym języku, niemieckim, ale niczego nie mogła zrozumieć.

Tannenberg wyglądał, jakby był czymś poruszony, starał się podnieść, w jego oczach błyszczał gniew. Clara nie pozwoliła podać choremu żadnych środków uspokajających, pewna, że dziadek odzyska świadomość i mowę. Za jej namową doktor Naheb pozwolił posadzić go w fotelu i wynieść na zewnątrz, by mógł odetchnąć ciepłym popołudniowym powietrzem.

Usiadła przy nim i zaskoczona obserwowała, jak dziadek z zainteresowaniem przygląda się otoczeniu. Roześmiała się, widząc, że się uśmiechnął.

— Dziadku, dziadku, słyszysz mnie? Dziadku, wiesz kim jestem? Dziadku, proszę, powiedz coś. Słyszysz mnie? Słyszysz?

Alfred Tannenberg otworzył oczy i się rozejrzał. Przy wejściu do jednego z namiotów stała grupka archeologów, którzy gawędzili beztrosko. Nigdy wcześniej ich nie widział.

Popatrzył na kobietę siedzącą obok. Wydawało mu się, że do niego mówi. Tak, to Greta, chociaż nie przypominał sobie, by towarzyszyła mu w tej podróży. Zamknął oczy i wciągnął w płuca aromat popołudniowego powietrza, poczuł, że rozpiera go życie, chociaż ktoś uparcie do niego przemawiał, starając się go wyrwać z tego rozkosznego stanu.

— Tannenberg, słyszysz mnie? Tannenberg, mówię do ciebie, słyszysz?

Młodzieniec otworzył oczy i obojętnie przyglądał się mężczyźnie, który do niego przemawiał.

— Słucham pana, profesorze.

— Powinieneś chyba teraz pracować tak jak twoi koledzy, mówiłem ci, żebyś poszedł do zachodniej ściany, a ty sobie spokojnie drzemiesz.

— Chciałem tylko odpocząć i czekam na nadejście poczty. Jestem ciekawy, co dzieje się w Berlinie.

— Wracaj na wykopaliska, o tej porze wszyscy pracują. Nie jesteś wyjątkiem.

— Oczywiście, że jestem! Moja rodzina panu płaci i finansuje tę ekspedycję. To my was zatrudniamy.

— Jak śmiesz?!

— Pan, profesorze, jest bezczelnym Żydem. Żałuję, że mój ojciec powierzył panu kierowanie tą wyprawą.

— Twój ojciec niczego mi nie powierzał, oddelegował mnie tu uniwersytet!

— Tak, tak, panie profesorze. A kto niby jest największym mecenasem naszego uniwersytetu? Pan wraz z profesorem Wesserem od dwóch lat przebywacie w Syrii dzięki datkom na rzecz uczelni. Dlaczego nie wracacie? Powinniście być tam gdzie wszyscy Żydzi. Kiedyś rektor uniwersytetu będzie musiał się rozliczyć z tego, że was tu trzyma.

Profesor, mężczyzna o surowym wyglądzie, w podeszłym wieku, już szykował się do ostrej repliki, ale zawahał się, kiedy zobaczył chłopaka biegnącego w ich stronę.

— Profesorze Cohen! Niech pan do nas przyjdzie! Szybko!

Profesor zaczął, aż chłopak do niego dobiegnie.

— Co się stało, Ali?

— Profesor Wesser chce, by pan tam przyszedł, bo na tabliczkach jest coś niezwykłego.

Chłopak uśmiechał się od ucha do ucha. Miał szczęście, że zatrudnili go ci szaleńcy przekopujący ziemię w poszukiwaniu posągów. Wydawało się, że zadowala ich każda gliniana skorupa.

Profesor Wesser wraz z profesorem Cohenem nadzorowali prace grupy młodzieży, która rozbiła obóz w Charanie. Niedługo wyjadą, bo był już początek września, w ubiegłym roku o tej porze również zbierali się do odjazdu. Wrócą jednak — myślał Ali — wrócą, żeby szukać tych kawałków gliny, które tak ich interesują.

Profesor Cohen ruszył za Alim w stronę studni położonej kilkaset metrów od stanowiska archeologicznego, na którym kopali przez ostatnie miesiące. Nie zdawał sobie sprawy, że Tannenberg idzie za nim.

— Jacobie, popatrz, co tu jest napisane — profesor Wesser pokazał Cohenowi kilka tabliczek.

Jacob Cohen wyjął okulary z metalowego futerału, który nosił w kieszeni marynarki, i zaczął przesuwając palcem po rzędach znaków wrytych na tabliczce. Kiedy skończył czytać, spojrzał na kolegę i uściskał go uradowany.

— Chwała niech będzie Bogu, Aaronie, nie mogę uwierzyć, że to prawda!

— To prawda, przyjacielu, wszystko to prawda. Znaleźliśmy to dzięki Alemu.

Chłopak uśmiechnął się z dumą. To on opowiedział profesorowi Wesserowi, że nieopodal tego miejsca jest studnia z cegieł, na których byty takie same „rysunki” jak na tabliczkach. Aaron Wesser nie zastanawiał się długo, pozwolił chłopakowi zaprowadzić się do studni, bo wiedział, że wieśniacy często wykorzystywali do budowy domowych studni podobne tabliczki.

Studnia niczym nie różniła się od setek innych studni w tej okolicy, tylko doświadczone oczy eksperta potrafiły zauważyć, że niektóre cegły wcale nie są ceglami.

Profesor Wesser zaczął je oglądać, jedna po drugiej, starając się odczytać znaki, które tak fascynowały Alego. Chłopak nie wierzył uczonemu, którzy utrzymywali, że te żłobienia to litery, jakich używali jego przodkowie.

Nagle profesor Wesser głośno krzyknął. Przestraszony Ali natychmiast do niego podbiegł, przekonany, że uczonemu ukąsił jadowity wąż albo skorpion. Tymczasem profesor poprosił go tylko, by przyniósł mu narzędzia, ponieważ chciał wyjąć ze studni kilka cegieł.

Chłopiec pobiegł do domu, w którym zakwaterował się Wesser, zgarnął jego narzędzia i po chwili wrócił do studni.

— Teraz już wiemy, że kiedy patriarcha Abraham szedł do Ziemi Obiecanej, zabrał ze sobą historię stworzenia. Bóg mu ją wyjawiał — stwierdził stanowczo Aaron Wesser.

— Kim jednak był ten Szamas? — zapytał profesor Cohen. — Biblia o nim nie wspomina, podczas gdy historię patriarchów relacjonuje drobiazgowo...

— Masz rację. Teraz musimy odnaleźć tabliczki, na których Szamas wszystko spisał, tak jak opowiedział mu Abraham — podsumował profesor Wesser.

— Muszą tu być. Abraham spędził dużo czasu w Charanie, zanim wyruszył do Kanaanu. Musimy je znaleźć! — wykrzyknął rozentuzjzmowany Cohen.

— Wynikałoby z tego, że nasi przodkowie poznali Księgę Rodzaju za pośrednictwem Abrahama — wyszeptał Aaron Wesser.

— Najważniejsze, drogi przyjacielu, że jeśli te dwie tabliczki nie kłamią, istnieje Biblia, Biblia zapisana na glinie, Biblia zainspirowana przez Abrahama.

— *Gliniana Biblia*. Boże mój, jeśli uda nam się odnaleźć te tabliczki, dokonamy najważniejszego odkrycia w historii!

Alfred Tannenberg zafascynowany przysłuchiwał się rozmowie dwóch uczonych, którzy, nieskrępowani obecnością młodego adepta archeologii, dali się porwać entuzjzmowi. Już miał wyrwać tabliczki z rąk profesora Cohena, kiedy inny chłopak, jego kolega ze studiów, podbiegi zdyszany do rozmawiających, wymachując telegramem.

— Wojna, wojna! Alfredzie, wypowiedzieliśmy wojnę! Odbierzemy Polakom to, co nam zabrali. Gdańsk wróci do naszej ojczyzny! Wyobrażasz sobie, Alfredzie? Hitler przywróci Niemcom godność. Trzymaj, do ciebie też jest telegram.

— Dzięki, Georg, to wielki dzień, powinniśmy go uczcić — powiedział młody Tannenberg i rozłożył telegram, nie zważając na naukowców, którzy zaniemówili, słysząc krótką wymianę zdań swoich młodych studentów.

— Ojciec pisze, że spuściliśmy Polakom niezłe lanie — dodał Georg.

— A mój donosi, że Francja i Anglia szykują się do wypowiedzenia nam wojny. Georg, powinniśmy wracać, nie chcę przegapić takiej chwili. Powinniśmy być teraz z Hitlerem, on przywróci Niemcom wielkość, chcę brać w tym udział.

— Poszaleliście!

Młodzieńcy popatrzyli z niechęcią na profesora Cohena.

— Jak pan śmie nas obrażać! — syknął Tannenberg, chwytając starego archeologa za koszulę.

— Puść go! — krzyknął Aaron Wesser.

— Zamknij się, cholerny Żydzie! — uciszył go Georg i uderzył Wessera.

Ali z przerażeniem przyglądał się tej scenie.

Kiedy starsi mężczyźni upadli na ziemię, zalani krwią, Georg i Alfred zdali sobie sprawę z obecności świadka. Wymienili szybko spojrzenia i zaczęli kopać Alego, a ten upadł na ziemię.

— Dość! Dość! Zabijecie go! — krzyczał profesor Cohen.

Tannenberg wyjął zza paska spodni niewielki pistolet i strzelił do profesora Cohena. Potem odwrócił się w stronę profesora Wessera i strzelił mu między oczy. Ostatnia kula była przeznaczona dla małego Alego.

— To były żydowskie świnię — podsumował Tannenberg.

— Mam w nosie to, że ich zabiłeś — odpowiedział Georg — ale zastanów się, jak to wyjaśnimy reszcie.

Tannenberg usiadł na piasku i zapalił papierosa, z zachwytem wpatrując się w obłoczki dymu rozwiewane przez popołudniowy powiew.

— Powiemy, że kiedy ich znaleźliśmy, już nie żyli.

— Tak po prostu?

— Tak po prostu mogli paść ofiarą rabusiów, prawda?

— Skoro tak mówisz... Świetnie, musimy wymyślić sobie jakieś alibi. Wiesz, masz chyba rację, Niemcy muszą zrealizować marzenie Hitlera, ci obcy wysysają naszą krew i zanieczyszczają naszą ojczyznę.

— Muszę powiedzieć ci coś ważnego. Podzielimy się tym tylko z Heinrichem i Franzem.

— Co takiego?

— Popatrz na studnię.

— Widzę.

— Zwróć uwagę, że brakuje w ścianie dwóch kawałków, dokładniej mówiąc dwóch cegieł. To te.

— A co w tym nadzwyczajnego?

— Według tych staruchów są to dwie tabliczki zawierające nadzwyczajne objawienie. Zdaje się, że to patriarcha Abraham przekazał Genesis... swojemu ludowi. To by znaczyło, że to, co opowiada Biblia o stworzeniu świata, możemy wiedzieć dzięki objawieniom Abrahama.

Georg przykucnął i wziął do ręki dwie tabliczki, ale nie potrafił odczytać pisma klinowego. Miał zacząć dopiero drugi rok studiów.

Obydwaj, a właściwie cała czwórka, bo ich przyjaciele, Franz i Heinrich, także chcieli zostać archeologami, chodzili do tej samej szkoły, mieli te same zainteresowania, wybrali ten

sam kierunek studiów, poza tym ich rodzice byli od dzieciństwa przyjaciółmi. Scementowali swoją przyjaźń, głęboką i nierozzerwalną, w elitarnej szkole NPEA, zwanej popularnie Napolą, pod auspicjami samego Adolfa Hitlera. Aby się do niej dostać, należało wykazać się określonymi cechami fizycznymi — trzeba było być młodym krzepkim Niemcem bez domieszki obcej krwi.

Przyjęcie do Napolii było wielkim wyróżnieniem dla nich i ich rodzin, gdyż trafiali tam tylko chłopcy, których cechy fizyczne szły w parze ze świetnymi wynikami w nauce.

Historia, geografia, biologia, matematyka, muzyka i sport, a zwłaszcza sport, należały do ulubionych przedmiotów w specjalnych szkołach założonych w miejsce instytucji wychowujących kadetów, gdzie uczyli się oficerowie imperialnych Niemiec i Prus. Uczniowie przygotowywali się do wstąpienia do służb paramilitarnych, organizując gry terenowe, polegające na przykład na odbijaniu mostu, czytali mapy, atakowali las zajęty przez inną grupę lub maszerowali przez całą noc.

Tego rodzaju szkoły niewiele miały jednak wspólnego z Napolami założonymi przez Hitlera, których zadaniem było formowanie jego wyśnionych elit niemieckich. Dlatego dzieci z bogatych rodzin uczestniczyły w zajęciach wraz z synami klasy robotniczej, którzy wyróżnili się w miejscowych szkołach i mieli cechy fizyczne, które tak podobały się führerowi.

Kiedy Alfred, Georg, Heinrich i Franz ukończyli edukację w Napolii i zdali maturę, musieli zdecydować, czy zostaną wojskowymi czy zaczną studiować. W przypadku tej czwórki nie było wątpliwości: rodzice nie zostawili im wyboru i zaplanowali dla nich karierę akademicką.

Ojciec Alfreda był przedsiębiorcą w przemyśle tekstylnym, ojciec Heinricha i Franza prawnikami, ojciec Georga zaś lekarzem.

Chłopcy podziwiali Adolfa Hitlera, był ich bohaterem, fascynował również ich rodziców i większość przyjaciół. Wierzyli w tego człowieka, jak gdyby był bogiem, drżeli z przejęcia podczas jego przemówień, przekonani, że wszystko, co mówi i robi, przywróci Niemcom utraconą wielkość.

Tu, na pustyni, uzgodnili wspólną wersję wydarzeń i starannie ukryli tabliczki. Poproszą profesora Keitla, zwolennika Hitlera i podobnie jak oni, uczestnika misji

archeologicznej, znawcę pisma klinowego, by przetłumaczył tekst wyryty na glinianych płytkach.

Profesor Keitel miał dług wobec ojca Alfreda. Jego rodzina pracowała w fabryce tekstyliów Tannenberga, profesor również był tam zatrudniony, do czasu aż został przyjęty na uniwersytet dzięki panu Tannenbergowi, który używając swoich wpływów, załatwił mu stanowisko adiunkta. Niestety, Keitel trafił do tej samej pracowni co profesor Cohen, Żyd, którym pogardzał. Znosił jednak w milczeniu pracę u jego boku, cierpliwie czekając na dzień, w którym z szeregów niemieckiego społeczeństwa zniknie ostatni Żyd.

Szybkim krokiem i ze zmartwionymi minami młodzieńcy wrócili do obozu.

Doskonale odegrali rolę wstrząśniętych tragedią.

Opowiedzieli bez wdawania się w szczegóły, że znaleźli na ziemi ciała swoich profesorów i biednego miejscowego chłopca, Alego.

Profesor Wesser uprzedził ich, że przyjdzie rzucić okiem na okolice starej studni.

Profesor Cohen miał ponoć powiedzieć Alfredowi, że niepokoi go przedłużająca się nieobecność kolegi i że pójdzie go poszukać. Pobiegł za nim ten dzieciak, Ali. Długo nie wracali, w końcu Alfred sam poszedł w stronę studni, za nim zaś podążył Georg, który chciał mu wręczyć telegram nadesłany z domu. Kiedy dotarli na miejsce, znaleźli martwych profesorów, a obok ciało chłopca. Nie wiedzieli, co się stało, byli wstrząśnięci.

Wrócili do studni w towarzystwie innych archeologów i studentów, by zabrać zwłoki.

Alfred i Georg udawali poruszonych do głębi, ani na chwilę nie wypadając z roli. Dla żadnego z ich kolegów i wykładowców nie stanowiło tajemnicy, że nie przepadali za Żydami, jednak teraz urządzili publiczny pokaz rozpacz.

Tymczasowym szefem ekspedycji został profesor Keitel. To on miał złożyć na policji doniesienie o morderstwie i dopilnować, by wysłano gońca do niemieckiego konsula z raportem z zajęć tego dnia i prośbą o pomoc, a zwłaszcza o przekazanie sfrasznym wieści rodzinom ofiar.

Profesor Keitel oznajmił, że uznaje wykopaliska za zakończone, ponieważ ojczyzna jest w stanie wojny i mogą być potrzebni w Rzeszy.

Kiedy pod koniec października dotarli do Berlina, profesor Keitel zdołał już odczytać tekst na tabliczkach: niejaki Szamas zapisał, że patriarcha Abraham obiecał mu opowiedzieć historię stworzenia świata. Przed wyjazdem z Charanu archeolodzy i próbowali jeszcze odnaleźć tabliczki, o których wspomniał, lecz bez skutku. Czterej przyjaciele poprzysięgli sobie, że wkrótce powrócą tu, by je odnaleźć, chociaż nie wracali przecież do kraju z pustymi

rękami. Profesor Keitel zataił fakt, że jego studenci ukryli w swoim bagażu niektóre z przedmiotów znalezionych w charańskim piasku.

— Nie, Alfredzie, za nic nie pozwolę ci wstąpić do wojska. Musisz nadal studiować, istnieją inne organizacje, w których możesz działać.

— Niemcy mnie potrzebują.

— Tak, ale niekoniecznie na polu bitwy. Nie skończyłeś jeszcze studiów!

— Georg zamierza się zaciągnąć jeszcze w tym tygodniu, tak samo Franz i Heinrich.

— Synu, chyba nie sądzisz, że rodzice im na to pozwolą? Co do jednego się zgadzamy, najpierw doktorat. Niemcy potrzebują wykształconych ludzi — mówił Tannenberg senior.

— Niemcy potrzebują ludzi gotowych oddać życie za ojczyznę.

Tannenberg wbił wzrok w syna.

— Niemcy nie mogą sobie pozwolić na to, by ginęli najwartościowisi obywatele.

— Zgoda, ojcze, zrobię, jak chcesz — westchnął Alfred z rezygnacją. — Wolałbym jednak, byś przemyślał jeszcze swoją decyzję. Przynajmniej ją rozważ.

— Dobrze, Alfredzie, pomyślę o tym. Teraz idź, porozmawiaj z matką. Organizuje wieczorek muzyczny, chce, byś był na nim obecny. Przyjdą Hermannowie z Gretą. Rozmawialiśmy już o tym, uważamy, że ta dziewczyna jest dla ciebie wymarzoną, partią. W waszych żyłach płynie czysta aryjska krew, taka para obdarzy nasz kraj najlepszymi dziećmi.

— Myślałem, że chcesz, bym skupił się na studiach.

— Oboje z matką tego pragniemy, ale w twoim wieku powinieneś mieć już narzeczoną. Bardzo byśmy chcieli, by była to właśnie Greta.

— Nie interesuje mnie ożenek.

— Rozumiem, że jesteś za młody, by się do czegokolwiek zobowiązywać, z czasem jednak będziesz musiał to zrobić, lepiej, żebyś wcześniej wybrał przyszłą żonę.

— A ty sam wybrałeś mamę, czy wybrał ją za ciebie twój ojciec?

— Jesteś impertynencki.

— Przepraszam, tato, ale chcę się tylko dowiedzieć, czy to rodzinna tradycja, że rodzice decydują, z kim ma się ożenić ich syn. Wszystko mi jedno, Greta czy inna dziewczyna... Greta przynajmniej jest ładna, chociaż głupia jak but.

— Jak śmiesz tak mówić? Kiedyś zostanie matką twoich dzieci.

— Nie muszę mieć za żonę inteligentnej kobiety, nawet wolę tę Gretę. Uważam, że ma jedną dobrą cechę: jest małomówna.

Tannenberg uznał rozmowę z synem za zakończoną. Nie chciał słuchać kpin z córki swojego przyjaciela, Fritza Hermarma.

Fritz był oficerem SS, stał blisko Himmlera, spędzał z nim dużo czasu na zamku w Wawelsburgu w Westfalii.

Spotykały się tam raz do roku elity SS, sekretna kapituła zakonu. Każdy z jej członków miał tam fotel ze srebrną tabliczką, na której wygrawerowane było jego nazwisko. Tannenberg był przekonany, że jego przyjaciel również ma taki fotel, bo niewątpliwie należał do grupy wybrańców.

Przyjaźń z Fritzem Hermannem zaowocowała także korzyściami dla jego niewielkiej fabryki tekstylnej, której nie dotknęły skutki kryzysu, w jakim pogrążona była niemiecka gospodarka.

Hermann podpowiedział swoim zwierzchnikom, by zamawiali niektóre części umundurowania wojska w szwalni jego przyjaciela.

Tannenberg pragnął jeszcze mocniej zacieśnić tę i tak korzystną znajomość z Hermannem. Uważał, że najlepszym na to sposobem jest małżeństwo ich dzieci.

Greta nie była piękna, ale trudno byłoby ją uznać za brzydulę. Była blondynką o niebieskich, nieco wyłupiastych oczach i mlecznobiałej skórze, a jej krągłe ramiona wskazywały na skłonności do tycia. Matka ordynowała córce dietę, ojciec zaś zmuszał do gimnastyki, na próżno oczekując, że jej nogi staną się smukłe i zgrabne.

Nikt jednak nie mógł dorównać Grecie w grze na wiolonczeli. Była wirtuozką. Rodzice na próżno usiłowali przekonać ją, by grała na pianinie, jak większość dziewcząt z dobrych domów. Greta była uparta. Ostatecznie ojciec ustąpił, zgodził się na wiolonczelę, szczególnie że dziewczyna była posłuszna rodzicom i nigdy nic przysporzyła im najmniejszego kłopotu. Jej trzech bracia, dziesięcio-, trzynasto- i piętnastoletni, uwielbiali ją, bo mieli w niej drugą matkę.

Na uniwersytecie nie zostali już żadni żydowscy wykładowcy. Większość z nich musiała uciekać z kraju, zostawiając cały dobytek. Ci, którzy odważyli się zostać, przekonani, że ostatecznie zwycięży zdrowy rozsądek, bo przecież nie zrobili nic złego, zostali zamknięci w obozach koncentracyjnych. Dlatego nikt nie rozpaczał, że z wyprawy do Charanu nie

wrócił ani profesor Wesser, ani profesor Cohen. W gruncie rzeczy ci dwaj starszycy, chociaż byli uważani za największe autorytety w swojej dziedzinie, zostali odsunięci od wszelkiej działalności naukowej, a w Charanie znaleźli się tylko dlatego, że rektor uczelni, którego studenci podejrzewali o to, iż w jego żyłach płynie żydowska krew, chciał, by wyjechali z Niemiec, licząc na to, że w ten sposób ocalą życie.

Alfred, na wieczorek muzyczny zorganizowany przez swoją matkę, zaprosił najbliższych przyjaciół. Lubił muzykę, ale nie koncerty domowe, podczas których matka siadała do pianina, jej przyjaciółki zaś i ich córki grały na innych instrumentach, wykonując utwory, które ćwiczyły całymi tygodniami.

Uwielbiał matkę, uważał, że nie ma na świecie piękniejszej od niej kobiety. Wysoka, szczupła, o kasztanowych włosach i szaroniebieskich oczach, Helena Tannenberg poruszała się z naturalną elegancją, a każdemu jej krokowi towarzyszył szmer podziwu.

Kiedy obok niej stała Greta, nieodmiennie przywodziły na myśl brzydkie kaczątko i łąbiedzia z bajki Andersena. Oczywiście łąbiedziem była pani Tannenberg.

— Więc twój ojciec chce, żebyś ożenił się z Gretą. Można powiedzieć, że masz szczęście! — żartował Georg, szturchając Alfreda.

— Zobaczmy, kogo wybierze dla ciebie twój ojciec.

— Nie ma co próbować, nie zamierzam się żenić — oświadczył Georg.

— Będziesz musiał, wszyscy musimy, nasz Führer chce, byśmy byli żonaci i płodzili dzieci prawdziwej rasy aryjskiej — odpowiedział ze śmiechem Heinrich.

— Czemu nie, możecie mieć tyle dzieci, na ile wam przyjdzie ochota i jeszcze jedno na dokładkę za mnie. Ja nie zamierzam się reprodukować — upierał się Georg.

— Hej, Georg, na pewno podoba ci się jakaś dziewczyna! Niektóre z tu obecnych są niczego sobie... — przekomarzał się Franz.

— Jeszcze nie zauważyliście, że kobiety mnie nie interesują? — parsknął Georg, nieco już zirytowany.

Podszedł do nich ojciec Alfreda z Fritzem Hermannem.

— Uczcie się, ale nie zapominajcie, że Rzesza potrzebuje takich młodzieńców jak wy na pierwszej linii — mówił Hermann.

— Przyjmą nas do SS? — zapytał Alfred.

— Wy w SS? Byłoby wyśmienie! — powiedział Hermann. — Führer byłby dumny, gdyby mógł liczyć na takich chłopaków! Mogę ułatwić wam wstąpienie do SS. Jutro po południu czekam na was w moim gabinecie, wiecie, gdzie są główne kwatery Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy? Przy Prinz Albrechtstrasse. Ten wieczór jest bardziej udany, niż się spodzie wałem!

Kiedy Tannenberg i Herrmann odeszli do innych gości, Georg odezwał się do Alfreda:

— Można wiedzieć, co ty knujesz? Nie mam najmniejszej ochoty wstępować ani do SS, ani do gestapo, ani do żadnego innego z tych świetnych ciał Rzeszy! Zamierzam pomagać mojemu ojcu i uczestniczyć w wykopaliskach, gdzie tylko nam na nie pozwolą. Chcę być archeologiem, a nie żołnierzem, i myślałem, że wy pragniecie tego samego.

— Hej, Georg, wiesz, że nie wybronimy się przed wojskiem. Już zaczynają patrzeć krzywo na naszych rodziców. Mój ojciec nie chce, żebym szedł do wojska, więc wstąpię do SS, gdzie, jak oczekuję, mój przyszły teść znajdzie dla mnie ciepłą posadkę. Wy powinniście pójść moim śladem — tłumaczył Alfred.

— Wiesz co, przyjacielu, masz rację — odrzekł Heinrich. — Pójdę z tobą na rozmowę z Hermannem. Nie zaszkodzi mi dobry stołek w SS, przynajmniej niezależnie się od ojca.

— To by znaczyło, że zostaniemy esesmanami — podsimował Franz.

— Czy coś lepszego przychodzi ci do głowy? — zapytał Alfred.

— Nie, właściwie nie — przyznał Franz.

— Czy wyście powariowali? Co to wszystko znaczy? — W głosie Georga brzmiała desperacja.

— To znaczy, że jesteśmy w stanie wojny i mamy obowiązek zrobić coś dla Niemiec. Mój ojciec ma rację, to żadna sztuka umrzeć za ojczyznę, to może zrobić każdy, musimy być tam, gdzie możemy się przydać, nie narażając się na śmierć. Chyba poproszę Hermanna, żeby wysłał mnie do jednego z tych obozów, może do Dachau. To dobre miejsce, żeby przeczekać wojnę.

Sekretarz Fritza Hermanna poprosił ich, by zaczekali w pokoju przylegającym do gabinetu, mówiąc, że szef rozmawia z samym Himmlerem.

— Wejdźcie, zapraszam — powiedział Hermann, pojawiając się pół godziny później.
— Gdy tylko dopełnicie wszystkich formalności i wstąpicie do SS, zabiorę was do niego, by was przedstawić.

Fritz Hermann cierpliwie wysłuchał, z jakimi oczekiwaniami przychodzą młodzi ludzie, i zgodził się z nimi: Alfred i Heinrich zostaną skierowani do biura politycznego przy którymś z obozów, gdzie zamknięci zostaną wrogowie Rzeszy, Franz wolał iść na front i stanąć na czele Waffen SS, Georg zaś poprosił, by wcielono go do którejś z komórek służb informacyjnych.

— Doskonale! Doskonale! W SS będziecie mogli wykazać się inteligencją i siłą charakteru.

Fritz Hermann potrafił działać skutecznie i już po dwóch godzinach znalazł każdemu z nich posadę w sztabie głównym, dzięki czemu mogli odbywać służbę, nie przerywając studiów.

— Wypijmy za Niemcy — powiedział Alfred, unosząc kufel z piwem.

— Wypijmy za nas — zawtórował rnu Georg.

Noc była długa, wrócili do domów, gdy robiło się jasno. Zaczynał się nowy etap w ich życiu. Przysięgali, że nic ani nikt nie zniszczy ich przyjaźni, nieważne, gdzie każdy z nich znajdzie się w przyszłości. Upłyną dwa lata, zanim Fritz Hermann wyśle ich za granicę. Dla Alfreda Tannenberga będzie to Austria, uda się tam jako łącznik Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Heinrich pojedzie z Alfredem jako kierownik w Głównym Biurze Zarządzania i Gospodarki SS, komórce odpowiedzialnej za zarządzanie obozami. W przypadku Austrii chodziło o Mauthausen, jeden z ulubionych obozów Himmlera. Franz wstąpił do jednostki specjalnej komandosów SS, Georg zaś został przyjęty do SR, służb informacyjnych, pod kontrolą siejącego postrach Reinhardta Heydricha.

Franz Zieris, komendant obozu w Mauthausen, otoczył opieką dwóch młodzieńców przysłanych z Berlina. Szczególnie troszczył się o Alfreda Tannenberga, protegowanego Fritza Hermanna i jego zięcia. Nikt nie musiał tłumaczyć Zierisowi, że kariera Tannenberga powinna być olśniewająca. Alfred i Heinrich byli oficerami SS specjalnej kategorii,

absolwentami uniwersytetów, w przeciwieństwie do ich zwierzchnika, Zierisa, który był z zawodu stolarzem.

Tannenberg wykazał się niezwykle wysokimi kompetencjami. Miał dobre pomysły, jak pozbywać się zatrzymanych, którzy nie mieli dla Rzeszy żadnej wartości. Wiedział, jak to osiągnąć — trzeba zmusić więźniów do wielomiesięcznej pracy ponad siły, a kiedy już zostaną z nich ludzkie wraki, unicestwić.

Życie w tym miasteczku położonym w sercu doliny Dunaju, porośniętej jodłowym lasem, okazało się niezwykle przyjemne. Trudno o bardziej malownicze miejsce: pośród łąk rozsiane były gospodarstwa, a między nimi wiała się rzeka. Sielski pejzaż kontrastował z machiną śmierci, jaką był obóz, który wciąż się rozrastał, ponieważ cotygodniowe transporty przywoziły coraz więcej ludzi.

Obóz zorganizowano według typowego modelu — było w nim Biuro Polityczne, Wydział Dozoru nad Zatrzymanymi, służby sanitarne, administracja i szefostwo garnizonu.

— Dla rozróżnienia deportowani mają na ubraniu naszyty trójkąt, który informuje nas o rodzaju przestępstwa, jakiego się dopuścili — tłumaczył Zieris Alfredowi i Heinrichowi. — Zielony oznacza zwykłych bandytów; czarna jednostki społeczne, Cyganów, żebraków i kieszonkowców; różowy homoseksualistów; czerwony przestępców politycznych; żółty żydowskie świnię; fioletowy zaś tych, którzy odmówili służby wojskowej.

— Czy zdarzają się próby ucieczki? — zapytał Heinrich.

— Chcesz zobaczyć próbę ucieczki? — odpowiedział pytaniem Zieris.

— Nie rozumiem...

— Chodźcie ze mną, pokażę wam przedstawienie. Pójdziemy do kamieniołomów.

Heinrich i Alfred popatrzyli na siebie zdziwieni. Zeszli w dół wyrobiska po stu osiemdziesięciu sześciu stopniach znanych jako „schody śmierci”, oddzielających kamieniołomy od obozu. Zieris wezwał jednego z kapo, który sam nosił zieloną trójkątną naszywkę. Komendant zdradził im, że to wielokrotny morderca. Wysoki, krzepki i zezowaty, kapo wzbudzał strach w więźniach.

— Hans, wybierz nam jednego z tych nędzników — rozkazał komendant.

Oprawca nie zastanawiał się długo, tylko oddalił się, i wywlókł drobnego mężczyznę o siwiejących włosach, z poranionymi rękami i tak wychudzonego, że patrząc na niego, trudno było uwierzyć, że ma jeszcze siłę poruszać nogami. Na ubraniu miał naszyty czerwony trójkąt.

— To cholerny komunista — powiedział kapo, popychając więźnia w ich stronę.

Komendant nie odezwał się słowem. Ściągnął więźniowi z głowy czapkę i cisnął w stronę drutów.

— Przynieś ją — rozkazał.

Więzień zaczął się trząść, wahał się, czy wykonać rozkaz, wiedział jednak, że nie ma wyjścia.

— Leć po czapkę! — wrzasnął.

Mężczyzna zaczął iść wolnym krokiem w kierunku ogrodzenia, ale krzyki komendanta zmusiły go do biegu. Kiedy był już blisko drutów, tam, gdzie upadła czapka, nie zdążył nawet pochylić się, by ją podnieść. Seria z karabinu maszynowego, posłana przez jednego z wartowników, powaliła go na ziemię.

— Czasami czapka trafia na druty, a kiedy więzień po nią sięga, zostaje porażony prądem. Jedna gęba mniej do żywienia.

— Niesamowite. — Heinrich pokręcił głową.

— Zbyt łatwe — zawyrokował Alfred.

— Zbyt łatwe? — zapytał wyraźnie zmartwiony Zieris.

— Tak, to zbyt prosty sposób, żeby powykańczać te męty.

— Mamy jeszcze inne sposoby, proszę pana.

— Chcielibyśmy się z nimi zapoznać — powiedział Heinrich.

Na pierwszy rzut oka wyglądało to na łazienkę z dwoma prysznicami, jednak zapach, jakim przesiąknięte były ściany, wskazywał, że z rur nie płynie woda.

— Stosujemy cyklon B, to granulowana ziemia okrzemkowa nasycona cyjanowodorem — wyjaśnił komendant. — Przyprawiamy tu więźniów, i zanim zdążą zdać sobie z tego sprawę, nie żyją. Kiedy przysyłają nam za dużo ludzi, albo dużo takich, z którymi trzeba natychmiast się rozprawić, trafiają pod „prysznic”, z którego nigdy nie wychodzą.

Pozostali więźniowie nie mają pojęcia, co tu się dzieje, w przeciwnym razie mogłoby im przyjść do głowy zbuntować się, kiedy będziemy prowadzili ich pod prysznic. Kiedy pobędą jakiś czas w Mauthausen i już się do niczego nie nadają, posyłamy ich do Hartheim. Są oczywiście inne „prysznice”, nie mniej skuteczne.

— Inne prysznice? — zdziwił się Heinrich.

— Tak, eksperymentujemy z nowym systemem pozbywania się tych, których nie chcemy dłużej trzymać. Kiedy kończą pracę w kamieniołomie, posyłamy ich do kąpieli w tym zbiorniku, na końcu platformy. Większość z nich pada martwa, według doktora z powodu problemów z krążeniem.

Zwiedzanie przeciągnęło się do popołudnia. Zieris poszedł z nimi do zamku w Hartheim. Miejsce było urocze, służba uprzejma i sprawna.

Komendant poprowadził ich do starych kazamat, kończących się pułapkami i zapadniami. W ich podziemiach kryła się kolejna komora gazowa dla więźniów, którzy od dłuższego czasu przebywali w obozie.

— Kiedy są bardzo chorzy, mówimy im, że ich przeniesiemy do zamku, czyli do sanatorium. Kiedy już się tu znajdują, każemy im się rozebrać, fotografujemy i prowadzimy do podziemi. Po zagazowaniu są paleni w krematorium. Mamy dobry zespół dentystów, tu, i tam, na dole, w Mauthausen. Usuwają skazańcom złote zęby.

— W Hartheim również likwidujemy jednostki, które zanieczyszczają nasze społeczeństwo. Zlikwidowaliśmy już ponad piętnaście tysięcy psychicznie chorych z całej Austrii.

— Niesamowite — powtarzał Alfred.

— My tylko wykonujemy rozkazy Führera — odparł skromnie komendant.

Alfred Tannenberg i Heinrich dowiedzieli się czegoś o sobie dopiero w Mauthausen. Obaj odkryli, jaką przyjemność sprawia im odbieranie życia innym ludziom. Alfred bardzo lubił, podobnie jak Zieris, zabijać więźniów strzałem w kark.

Heinrich natomiast lubił rzucać czapki więźniów na druty.

Bywały popołudnia, kiedy w ten sposób mordował dziesiątki zdesperowanych ludzi. Niektórzy z nich szli na śmierć, jak gdyby była dla nich wybawieniem.

Zaprzyjaźnili się też z kilkoma lekarzami z obozu, którzy eksperymentowali na więźniach.

— Nauka idzie do przodu dzięki temu, że dysponujemy tak dużym materiałem badawczym. Możemy lepiej poznać tajemnice ludzkiego ciała — opowiadał Alfred Grecie, kiedy zasiadali do stołu w długie zimowe wieczory, wyjaśniając jej szczegółowo, w jaki sposób zdrowym mężczyznom, kobietom i dzieciom wszczepia się wirus, by obserwować

rozwój choroby. Operowano ich również na nieistniejące schorzenia, by lepiej poznać działanie maszyny, jaką jest ludzki organizm.

Greta słuchała tego wszystkiego spokojnie i bez zdziwienia. W Mauthausen i w pozostałych obozach, które tak często musiał wizytować Alfred, nie było istot ludzkich, a przynajmniej nie było tam ludzi takich jak oni, tylko sami Żydzi, Cyganie, komuniści, homoseksualiści i przestępcy, bez których społeczeństwo świetnie sobie poradzi. Niemcy nie potrzebowali tej hołoty, jeśli zaś ich ciała mogą służyć nauce, ich życie ma jakiś sens, myślała Greta, przyglądając się z zachwytem mężowi.

— Heinrich, rozmawiałem dzisiaj z Georgiem, twierdzi, że Himmler jest zadowolony z umów, jakie zawieramy z wielkimi zakładami przemysłowymi. My dostarczamy im siły roboczej, oni zaś działają ku chwale Niemiec i naszej sprawy. Fabryki potrzebują robotników, nasi mężczyźni są na froncie. Zresztą Himmler chce, żebyśmy byli przygotowani na to, by po wojnie esesmani byli samowystarczalni ekonomicznie.

— Ależ Alfredzie, miejscowa siła robocza do niczego się nie nadaje, najwyżej do tłuczenia kamieni w kamieniołomie. Nie zgadzam się z taką polityką. Powinniśmy ich wszystkich wykończyć, w przeciwnym razie nigdy nie rozwiążemy problemu Niemiec.

— Moglibyśmy włączyć więcej kobiet... — zasugerował Alfred.

— Kobiety? Od nich powinniśmy rozpocząć eksterminację, to jedyny sposób, by zapobiec temu, by rodziły się dzieci, które będą wysysały niemiecką krew — oponował Heinrich.

— Cóż, czy nam się to podoba, czy nie, rozkaz to rozkaz i musimy go wykonać. Wybierz więźniów, którzy są w najlepszym stanie. Nasze fabryki potrzebują robotników, Himmler domaga się, byśmy mu ich dostarczali.

— Ja również rozmawiałem z Georgiem.

— Wiem o tym.

— W takim razie wiesz, że za parę dni przyjedzie tu ze swoim ojcem.

— Od wielu godzin pracuję nad tym, żeby wszystko dobrze wypadło. Ojciec Georga jest jednym z ulubionych lekarzy w sztabie głównym, a jego wuj, który z nimi przyjeżdża, to wybitny profesor fizyki. Oprócz nich będą cywile, którzy cieszą się sympatią Führera i są zainteresowani eksperymentami, jakie przeprowadzają lekarze w Mauthausen.

— Wiesz, Alfredzie? Ogromnie się cieszę na spotkanie z Georgiem...

— Ja też. W dodatku Georg ma dla nas niespodziankę. Możliwe, że przywiezie Franza. Nie powiedział mi tego wprost, ale zdradził, że szykuje dla nas niespodziankę, a najlepszą niespodzianką byłoby spotkanie we czwórkę.

— Ostatni list od Franza był rozpaczliwy, nie idzie nam dobrze na froncie rosyjskim.

— Nigdzie nie idzie nam dobrze. Ale nie rozmawiajmy teraz o polityce.

— Alfredzie, wiesz może, jaki eksperyment chce pokazać ojciec Georga i lekarze z Berlina?

— Te suki stanowią dla nas zbyt duże obciążenie. Przyjechały do obozu w ciąży, nie chcemy marnować państwowych pieniędzy na ich utrzymywanie. Lekarze chcą sprawdzić poziom wytrzymałości kobiet w sytuacjach ekstremalnych. Doktor twierdzi, że te cholerne dziwki potrafią wytrzymać dłużej, niż się wydaje. Zasugerowałem im, żeby je tu przywieźli i kazali nosić kamienie w kamieniołomie, w górę i w dół, na plecach. Zobaczymy, ile z nich wytrzyma, ile zaś poprosi strażników o kulkę, chociaż, jak wiesz, uważam, że błędem jest pozwolić im na tak łatwą śmierć. To szybka śmierć, zbyt szybka dla tego motłochu. Zdaje się, że chcą je również otworzyć, żeby badać płody. Nie wiem, czego chcą dowieść, ale zdaniem doktora posłuży to poszerzeniu wiedzy.

— A ich dzieci? — zapytał Heinrich. — Niektóre sprowadzono do obozu razem z bękartami.

— Je również zaprowadzimy do kamieniołomów. Chodź, porozmawiamy z lekarzem. To on opracował formułę tego zastrzyku. Zobaczymy, jaki będzie efekt, kiedy wbije im się igłę w serce. Oczywiście wcześniej niektóre z nich zabierzemy do kąpieli.

— Na ilu chcesz eksperymentować?

— Wybrałem pięćdziesiąt, Żydówki, Cyganki, więźniarki polityczne. Niektóre już są jedną nogą na tamtym świecie, będą więc dziękowały za szybką śmierć.

Dzień wstał szary, uperlony drobnym deszczem, smagany lodowatym wiatrem, który wdzierał się przez szczeliny w oknach, ale brzydka pogoda nie robiła wrażenia na oficerach SS, którzy niecierpliwie zerkali na zegarki, czekając, aż otworzy się brama obozu, by wpuścić sznur samochodów przybywających z Berlina.

Pięćdziesiąt kobiet stało na baczność w szeregu, czekając w ciszy na los, jaki zgotowali im oficerowie. Wiedziały, że to szczególny dzień, tak usłyszały od kapo, które

dusząc się od śmiechu lub wymieniając porozumiewawcze spojrzenia, powiedziały im, że nigdy nie zapomną tego, co się stanie.

Niektóre z więźniarek przebywały w obozie już od dwóch lat, pracując w fabrykach, inne trafiły tu dopiero przed paroma miesiącami, jednak na ich wychudzonych twarzach malowały się rozpacz i strach.

Wciąż były żywe pośrodku tego koszmaru, choć wiele kobiet zmarło na ich oczach, a one nie mogły im pomóc.

Z samochodów wysiadła grupa cywilów, którzy rozglądali się niecierpliwie. Mauthausen uważany był za jeden z najważniejszych obozów Rzeszy, był wzorem, który naśladowały inne podobne placówki.

Georg i Alfred padli sobie w objęcia. Po chwili usłyszeli radosny głos Heinricha:

— Franz! Boże święty, ty też przyjechałeś!

Cała czwórka nie kryła, jak wielką radość sprawia im to spotkanie. Nie zważali na krytyczne spojrzenia komendanta Zierisa ani pozostałych oficerów SS. Czuli się nietykalni, byli ulubieńcami reżimu.

Fabryka ojca Alfreda zaspokajała większość zapotrzebowania wojska na mundury, ojciec Franza, prawnik, stał się wytrawnym dyplomata na usługach Hitlera. Kilka lat temu zdołał przekonać wiele krajów do uczestniczenia w igrzyskach olimpijskich w Berlinie, co uczyniło z niego najbardziej zaufanego człowieka w otoczeniu Führera. Ojciec Heinricha był jednym z prawników, którzy współtworzyli system prawny nowych Niemiec, podczas gdy ojciec Georga był zaufanym lekarzem elity SS.

Kobiety z trwogą przyglądały się czterem młodym oficerom. Drżały ze strachu, mocniej ściskając rączki swoich dzieci, które kazano im przyprowadzić na plac apelowy.

Czterech oficerów podeszło bliżej, by przyjrzeć się więźniarkom. W ich oczach widać było pogardę i obrzydzenie.

— Niezłe przedstawienie — mruknął Franz.

— Hej, przyjacielu, sam się przekonasz, jaka będzie zabawa. Dziś wielki dzień! — zapewnił Heinrich.

— Przyjechaliśmy tu po to, żeby się rozerwać, zobaczymy, co nam przygotowaliście — odpowiedział Georg.

— To będzie niezapomniany dzień, zapewniam cię — powtarzał Alfred.

Tannenberg dał znak kapo, ci zaś zaczęli przymocowywać głazy do pleców kobiet.

Tannenberg powtórzył:

— Będziemy się dobrze bawili, nigdy tego nie zapomnicie.

Clara przyglądała się dziadkowi, kiedy drzemał w fotelu na słońcu. Od czasu do czasu otwierał oczy i uśmiechał się do istot, które widział w półśnie.

Czuła się bardzo zmęczona, jednakże widoczna poprawa zdrowia dziadka napełniała ją nadzieją. Nie sądziła, by Alfred Tannenberg mógł wrócić do dawnej formy, jednak przynajmniej nie umarł, co w tych okolicznościach było większym darem, niż mogła oczekiwać. Postanowiła, że pójdzie na wykopaliska, żeby porozmawiać z Ajedem Sahadim, potem zaś zaprosi Picota, Fabiána i Martę na kolację. Gian Maria i Salam Naheb też się do nich przyłączy.

Alija pomogła jej wnieść dziadka do szpitala polowego i położyć do łóżka. Tannenberg protestował, ale kobiety były nieprzejednane, starzec musiał odpocząć.

Zmieniwszy mu woreczek z kroplówką i podawszy lekarstwa, Alija usiadła przy chorym, tak jak kazała jej Clara.

Salam Naheb zaszedł do szpitala, zanim udał się na kolację do Clary. Chory był pobudzony, wykrzykiwał rozkazy w jakimś nieznanym mu języku. Kiedy lekarz podszedł do niego ze strzykawką, na jego twarzy widać było przerażenie. Alija i jeden ze strażników przytrzymali go, by doktor mógł zrobić zastrzyk. Żadne z nich nie rozumiało jego słów, zorientowali się jednak, że to przekleństwa. Po chwili zapadł w niespokojny sen.

— Nie ruszaj się stąd, Alijo. Gdy tylko zaobserwujesz coś niepokojącego, natychmiast ranie powiadom.

— Dobrze, panie doktorze.

Pielęgniarka usiadła przy łóżku i sięgnęła po książkę. Westchnęła z rezygnacją. Ona musi pilnować starucha, podczas gdy inni sobie odpoczywają. Zgasiła wszystkie światła poza małą lampką, oświetlającą stronicę książki.

Nie zauważyła postaci, która pochyliła się nad nią, stając za plecami i zasłaniając jej usta. Ostatnie, co poczuła, to zimno stali rozcinającej jej gardło. Umarła, nie wiedząc, kto jest mordercą.

Lion Doyle nawet żałował, że musiał ją zabić. Nie miał jednak innego wyjścia, nie chciał mieć świadków zbrodni.

Błyskawicznie znalazł się przy łóżku Tannenberg. Nie tracąc ani chwili, poderżnął mu gardło tym samym wprawnym ruchem, a następnie, by mieć pewność, że starzec nie przeżyje, wbił mu nóż w brzuch, po czym wymknął się ze szpitala równie szybko, jak do niego wszedł. Tej nocy nikt nie będzie go szukał. Picot, Fabián i Marta byli z Clarą. Reszta ekipy kończyła związać obóz, następnego dnia miały przylecieć helikoptery i przewieźć ich do Bagdadu. On też wyjedzie. Wyrzucał sobie w duchu, że nie zlikwidował Tannenberg wcześniej. Wmawiał sobie, że mnożą się kolejne trudności. Oczywiście tak było, jednak prawdą było również to, że dobrze czuł się w tym miejscu i zżył się z zespołem Picota. Żałował, że naprawdę nie jest fotografem. Tęsknił tylko za Marian, wiedział jednak, że ona także byłaby szczęśliwa, przebywając tutaj.

Przemknął się do kryjówki w zaroślach, w której miał czekać, aż ktoś odkryje ciała.

Po kolacji Clara postanowiła, że pójdzie z doktorem Nahebem do szpitala, by sprawdzić, w jakim stanie jest dziadek.

Szli obok siebie, milcząc. Kolacja była miła, wszyscy uznali, że najlepiej będzie nie rozmawiać o wydarzeniach ostatnich tygodni.

Fabián rozśmieszał ich, opowiadając zabawne historyjki o pracy wykładowcy. Strażnicy pilnujący szpitala życzyli im dobrej nocy.

Clara weszła pierwsza, lekarz za nią. Jej przeraźliwy krzyk poniósł się po całym obozie. Przeciągły jęk wydawał się nie mieć końca.

Alija leżała na podłodze w kałuży krwi. Alfred Tannenberg, blady jak woskowa figura, leżał w zakrwawionej pościeli, z kurczowo zaciśniętymi pięściami.

Doktor Naheb spróbował wyprowadzić Clarę z izby, ta jednak wciąż krzyczała, nie pozwalając mu się do siebie zbliżyć. Kiedy wbiegli strażnicy, rzuciła się na nich z pięściami, wyzywając ich i złorzecząc. Nagle złapała pistolet jednego ze strażników i zaczęła strzelać na oślep. Kule dosięgły dwóch ludzi.

— Wieprze! Bezużyteczne wieprze! Powybijam was wszystkich. Bydłeta!

Jej wrzaski rozbrzmiewały w nocnej ciszy jak wycie zranionego zwierzęcia, wywołując ciarki na plecach wszystkich, którzy je słyszeli. Picot, Fabián i Marta pobiegli do szpitala, za nimi popędził Gian Maria i pozostali członkowie ekspedycji, wśród nich Lion Doyle i Ante Plaskic, chociaż wszystkich wyprzedził Ajed Sahadi, który wyrwał Clarze broń i unieruchomił ją w żelaznym uścisku.

Gian Maria wyprowadził ją ze szpitala, a doktor Naheb zrobił jej zastrzyk z silnym środkiem uspokajającym.

To była długa noc. Żaden z wartowników, którzy przeżyli strzelaninę, nie potrafił powiedzieć niczego konkretnego.

— Morderca jest wśród nas — stwierdził Picot.

— Tak, pana Tannenbergą i Aliję zabiła ta sama osoba co Samirę i strażników — dodała przygnębiona Marta.

Lion Doyle słuchał tych spekulacji nie mniej zmartwiony niż pozostali, chociaż czuł na sobie zimne spojrzenie Ante Plaskica.

— Chciałbym być daleko od tego miejsca — westchnął Fabián.

— Ja również, Fabiánie, ja również — odpowiedział Picot. — Na szczęście jutro wyjeżdżamy. Za nie na świecie nie zostałbym tu ani chwili dłużej.

Clara nie mogła się z nimi pożegnać. Doktor Naheb zaaplikował jej solidną dawkę środków uspokajających, nie docierało do niej, co się dzieje.

Wszyscy wyjechali, został tylko Gian Maria.

Lion Doyle nie wykonał całego zadania, została mu jeszcze Clara, ale próbowanie tego w takich okolicznościach równałoby i się samobójstwu.

Miał do siebie pretensję, że nie działał szybciej, chociaż tłumaczył sobie, że trafiło mu się wyjątkowo skomplikowane zlecenie, niemal niemożliwe do wykonania. Jak miał zabić Tannenbergą i jego wnuczkę, skoro oboje byli pilnowani przez dwadzieścia cztery godziny na dobę? Uznał, że zamordowanie Tannenbergą to i tak niezły wyczyn, za który powinni nie tylko wypłacić mu resztę wynagrodzenia, ale również pogratulować. Tom Martin nie był jednak zbyt wylewny i oszczędnie dawkował pochwały. Oczekiwał, że jego najemnicy będą się wywiązywać z powierzonych im zadań. Doyle wywiązał się przynajmniej z połowy zadania, ale była to, jak uważał, ważniejsza połowa, bo nie przychodziło mu do głowy, co takiego mogła zrobić Clara, by ktoś życzył sobie jej śmierci. Oczywiście to nie jego zmartwienie, był zawodowcem.

Jednak Doyle przyznawał sam przed sobą, że miesiące spędzone w Iraku wycisnęły na nim piętno.

Ajed Sahadi postawił sześciu mężczyzn przy drzwiach do pokoju Clary, kazał też zwiększyć liczbę strażników pilnujących domu. Pułkownik zapowiedział, że wkrótce do nich

przybędzie i dał do zrozumienia, jaki gniew w kręgach Saddama wywołało zabójstwo Tannenberg. Zażądali od niego głowy mordercy, Pułkownik był gotów przetrząsnąć całą ziemię, by go znaleźć.

Gian Maria modlił się w ciszy, błagając Boga o spokój duszy Tannenberg i biednej Aliji. Wiedział, że morderca będzie chciał zabić także Clare, i nie wybaczyłby sobie nigdy, gdyby nie zdołał temu zapobiec.

Poprosił Fatimę, by pozwoliła mu zamieszkać w chacie Clary, jednak kobieta odmówiła, Ajed Sahadi zaś również go nie poparł, gdyż uznał za absurd, by ksiądz podejmował się roli ochroniarza.

Pułkownik przybył dopiero po południu, wywołując prawdziwe poruszenie w obozie i w wiosce. Tym razem towarzyszyło mu dwunastu najlepszych ludzi, wytrawnych oficerów śledczych, zaprawionych w przesłuchaniach najtwardszych przeciwników reżimu Saddama, którzy sobie tylko znanymi metodami potrafili zmusić do zeznań nawet kamienie.

Ahmed Huseini zarządził, by archeolodzy spędzili dwa dni w Bagdadzie, zanim pojedą do granicy z Jordanią, skąd udadzą się do Ammanu, a stamtąd każdy z nich do swojego kraju. Wszyscy chcieli jak najszybciej opuścić Irak, jednak Huseini poprosił ich o nieco cierpliwości, gdyż załatwienie helikopterów nie było obecnie najprostszym zadaniem i nie wydawało się rozsądne ryzykować życie, próbując samochodem dotrzeć do jordańskiej granicy.

W holu hotelu Palestyna spotkali się z dziennikarzami poznanymi w Safranie. Natychmiast dowiedzieli się od nich, że do wybuchu wojny zostało już tylko parę dni. Niektórzy przygotowywali się, by wrócić do swoich krajów przed rozpoczęciem inwazji, większość jednak zamierzała zostać w Iraku. Ci ostatni, przewidując trudności z zaopatrzeniem, gromadzili żywność i robili zapasy wody w butelkach.

Lion Doyle wysłał faks do siedziby „Photomundi”: „Wracam jutro. Mam dość materiałów, ale nie wszystkie. Przez ostatnie dni warunki pracy były trudne, ale najważniejsze zostało wykonane”.

Tego wieczoru Picot i archeolodzy zjedli kolację z Mirandą i kilkoma dziennikarzami.

— Może byś z nami wróciła? — zaproponował Picot Mirandzie.

— Nie, nie byłabym sobą, gdybym wycofała się w takiej chwili. Nie po to znosiłam to wszystko przez tyle czasu, żeby teraz brać nogi za pas.

— Przyjedź do mnie na parę dni do Paryża, zapraszam. Cieszyłbym się, gdybyś została, jak długo zechcesz.

Miranda popatrzyła na niego z porozumiewawczym uśmiechem. Podobał jej się nie mniej niż ona jemu, oboje jednak wiedzieli, że ich ścieżki nigdy się nie zbiegną, a gdyby tak się stało, mogą wyrządzić sobie nawzajem krzywdę.

— Zostawmy to tak jak jest, Yves.

— Dlaczego? Powiedziałaś, że nikogo nie masz.

— To prawda.

— W takim razie...

— W takim razie nic. Jesteś wspaniałym facetem, nie chcę cię traktować jak przygody na jedną noc.

— Nie proponuję ci przygody na jedną noc — zaprotestował Picot.

— Tak, wiem, jednak biorąc pod uwagę okoliczności, wątpię, czy będziemy mogli dać sobie coś więcej.

— Ależ, Mirando, daj sobie szansę, a przy okazji, daj szansę mnie!

— Kiedy wyplączę się z tej przekłetej wojny, która lada chwila ma się rozpocząć, przyjadę do ciebie do Paryża, albo tam, gdzie będziesz, a wtedy albo będziemy śmiali się z tego, o czym teraz rozmawiamy, albo wypijemy szklaneczkę, a potem każde z nas pójdzie swoją ścieżką, albo... zobaczymy.

Picot nie nalegał. Wiedział, że Miranda i tak zostanie w Bagdadzie, czuł niepokój, bo zdawał sobie sprawę, że w tym mieście zaczyna być niebezpiecznie.

Huseini towarzyszył im podczas pożegnalnej kolacji, wlewając w siebie jedną whisky za drugą. Fabián próbował go uspokoić, na próżno.

Niegdyś pewny siebie i elegancki dyrektor Wydziału Wykopalisk Archeologicznych był teraz zaniedbany, nosił pogniecioną koszulę, miał cienie pod oczami i niespokojne spojrzenie, jakby bał się o swoje życie.

— Pojedzie pan do Safranu? — zapytała Marta Gómez.

— Nie wiem, doktor Naheb nie pozwolił mi rozmawiać z Clarą, mam nadzieję, że jutro mnie wreszcie do niej dopuści.

— Ależ to pana żona! Musi być pan przy niej w takiej chwili! — obruszyła się Marta.

— Nie wiem, pani profesor, nie wiem... ja... W każdym razie wszystko, co się stało... to straszne, a teraz ta wojna... Nie wiem, co będzie... W każdym razie Clara powinna wrócić do Bagdadu, nie sądzę, by mogła długo zostać tam sama.

Fabián dał Marcie znak, by nie drążyła dłużej tego tematu, i skierował rozmowę na planowaną wystawę.

— Jesteśmy bardzo szczęśliwi, że udało się panu przekonać władze irackie, by pozwoliły urządzić tę wystawę znalezisk z Safranu — powiedział.

— Tak, profesor Picot już podpisał odpowiednie dokumenty — przyznał Ahmed.

— A kiedy pan do nas dołączy?

— Nie wiem, to zależy od Clary, ja chciałbym wyjechać od razu, nawet jutro... Niełatwo jest jednak wyjechać z Iraku, teraz zaś, po śmierci Tannenberga, nie wypuszczą mnie.

Rozmowę przerwał sygnał komórki Ahmeda. Nie odszedł, by spokojnie porozmawiać, tylko w ciszy wysłuchał kogoś, kto wydawał mu rozkazy. Przytakiwał przy tym z coraz bardziej zafrasowaną miną.

— Kto dzwonił? — zapytała Marta, która nie przejmowała się konwenansami i tym, że zostanie posądzona o brak dyskrecji.

— To był... to był Pułkownik. Nie wiecie, kto to taki... cóż, to bardzo ważna osoba...

— Pułkownik? Oczywiście, że go poznaliśmy, przecież był w Safranie, przyjechał, kiedy znaleziono zamordowaną Samirę i strażników — przypomniał Fabián.

— Straszny człowiek... — wyszeptała Marta.

— Jutro z samego rana wyjeżdżam do Safranu z delegacją osobistości z mojego kraju, by wziąć udział w pogrzebie Tannenberga. W pałacu prezydenckim chcą, by został pochowany ze wszystkimi honorami. Rozkazali mi, bym przyjechał z Clara, i żebym przekonał ją do powrotu do Bagdadu.

— Tak będzie najrozsądniej — przyznał Lion Doyle.

— A co z nami? — zapytał zmartwiony Picot.

— Wy wylecicie helikopterami pojutrze z samego rana, nie ma żadnych zmian w waszym programie. Mój pomocnik, Karim jest siostrzeńcem Pułkownika i postara się, byście nie napotkali żadnych trudności. Pojedzie z wami do bazy, jeśli ja nie zdołam dotrzeć na czas. Wydaje mi się jednak, że wrócę już jutro, mam nadzieję, że z Clara.

Huseini uznał, że dla niego kolacja dobiegła końca. Nadmiar alkoholu zaczynał dawać mu się we znaki: kręciło mu się w głowie, miał mdłości, piekły go oczy. Wiedział, że najlepiej zrobi, jeśli położy się spać. O ile zdoła zasnąć.

Picot również był zmęczony, ale nie miał jeszcze ochoty na sen, zaproponował więc grupie wspólnego drinka w barze, na co wszyscy ochoczo przystali. Tylko Ante Plaskic nie skorzystał z zaproszenia.

— Dziwny z niego facet — stwierdziła Miranda, gdy Ante przechodził przez hol, kierując się do swojego pokoju.

— To prawda — przyznał Picot.

— Nie zrobił nic złego — broniła go Marta.

— To prawda, tym razem nic, ale przez wszystkie te miesiące z nikim się nie zaprzyjaźnił, nie wysilił się, żeby sprawić wrażenie miłego faceta.

— Pracował uczciwie, był grzeczny, robił wszystko, o co go poprosiliśmy... Wydaje mi się nie fair robienie mu wyrzutów, że nie jest sympatyczny, zwłaszcza że dobrze wiedział, że nikt za nim nie przepada — mówiła Marta.

— Nieważne, faktem jest, że gość jest dziwny — upierał się Picot.

Pili do późna, rozmawiając o wojnie, pewni, że już niedługo zaczną się bombardowanie. Nie ulegało wątpliwości, że Bush dokona inwazji na Irak.

Trzy helikoptery przeleciały nad żółtą ziemią, kilka metrów nad pozostałościami obozowiska archeologów.

Clara wraz z Pułkownikiem czekała, aż z maszyn wysiądą ludzie, którzy reprezentowali reżim: kilku generałów i dwaj ministrowie oraz kilka osób bliskich rodzinie Saddama.

Wszyscy chcieli uścisnąć jej rękę, złożyć kondolencje, zapewnić, że Irak utracił jednego ze swoich najlepszych przyjaciół i sojuszników. Nie miała siły ich słuchać, nie rozumiała, co do niej mówią, nie mogła skupić uwagi na niczym oprócz swojego bólu, który był tak dojmujący, że traciła oddech.

Przez cały czas miała przed oczami obraz dziadka z poderżniętym gardłem.

Nigdy nie czuła się tak samotna, nawet kiedy jej rodzice zginęli w dziwnym wypadku. Dziadek nie żył i nie znajdowała pocieszenia w żadnym ze słów, które słyszała, nawet w najbardziej współczujących słowach Fatimy, która tuliła ją jak wtedy, gdy była małą dziewczynką.

Ahmed podszedł do Clary i pocałował ją delikatnie w policzek, a potem wziął pod rękę i zaprowadził do chaty.

Kiedy się tam znaleźli, Fatima podała gościom herbatę i słodycze.

Początkowo Clara chciała poprosić Pułkownika, by zgodził się przewieźć ciało dziadka helikopterem aż do Kairu i tam go pochować. Potem przyszło jej do głowy, że dziadkowi byłoby wszystko jedno, gdzie spocznie. Dobrze go znała, wiedziała, że nigdy nie był szczególnie przywiązany do żadnego miejsca. Ona owszem, wierzyła w wartość symboli, postanowiła więc pochować go nieopodal ruin świątyni, wśród których wciąż szukali tabliczek — obsesji Tannenberga.

Nie została z mężczyznami, tylko zamknęła się w izbie, w której stała trumna.

Fatima umyła i przygotowała do pochówku ciało człowieka, wobec którego była lojalna przez czterdzieści lat. Zrobiła to z takim szacunkiem i oddaniem, jak gdyby był żywy.

Clara dotknęła nieruchomej ręki dziadka, nie mogła się powstrzymać od płaczu.

— Dziadku, dziadku, dlaczego? — szlochała. — Dlaczego ci to zrobili? Boże, pomóż mi odnaleźć mordercę! Dziadku, nie opuszczaj mnie, nie opuszczaj mnie, proszę...

Delikatne pukanie do drzwi zapowiadało nadejście Fatimy. Przyszła powiedzieć, że już czas, by zabrać trumnę.

Clara zaczęła płakać jeszcze głośniej, przywarła do ciała, krzycząc rozpaczliwie.

Ahrned pomógł Fatimie oderwać ją od zwłok, tymczasem Pułkownik zamknął trumnę i przy pomocy innych mężczyzn wyniósł ją z domu do samochodu.

Doktor Naheb podszedł do Clary i podał jej tabletkę, ale ta odmówiła jej połknięcia. Chciała wyjść z mroku, w jakim zanurzyła się w dniu, gdy znalazła dziadka z podejrzanym gardłem, nawet jeśli miałyby to oznaczać, że z bólu pęknie jej serce. Salam Naheb nie nalegał.

Wszystkie kobiety i mężczyźni z Safranu, a prócz nich żołnierze z garnizonu oraz ludzie z pobliskich miasteczek i wsi, gromadzili się wokół miejsca, gdzie przygotowano grób dla Alfreda Tannenberga. Z ciekawością przypatrywali się generałom i ministrom z Bagdadu. Krążyły pogłoski, że w ostatniej chwili może zjawić się nawet sam Saddam.

Ceremonia pogrzebowa była świecka. Nikt nie wygłosił mowy nad grobem. Tak się stało na wyraźne życzenie Clary. Wystarczy ból tych, którzy go kochali. Wiedziała, że ze wszystkich obecnych tylko ona i Fatima żywiły do niego ciepłe uczucia.

Mężczyźni opuścili trumnę do dołu wykopanego w suchym piasku. Płacz Clary przecinał poranne powietrze. Ahmed trzymał ją z całej siły, jednak gdy ziemia zaczynała spadać na trumnę, Clara rzuciła się w stronę grobu. Na szczęście mocna ręka Pułkownika przytrzymała ją w ostatniej chwili, ratując przed wpadnięciem do dołu. Clara krzyczała i płakała, nie krępując się obecnością innych, i musiano ją odprowadzić na bok.

Powrót do osady przebiegał w ciszy. Pułkownik przyszedł do izby, która służyła Tannenbergowi za gabinet, by porozmawiać z Clarą i Ahrnedem.

— Możesz rozmawiać? — zapytał Clarę z troską.

— Tak, tak... — odpowiedziała, przełykając łzy.

— W takim razie posłuchaj mnie i potraktuj to jak ojcowskie rady. Ahmed powiedział mi, że dziadek wprowadził cię w interesy. Jeśli to prawda, zrozumiesz, że nie możemy zatrzymać operacji, która już jest w toku. Twój mąż stanie na jej czele, ty zaś wyjedziesz. Moim zdaniem, im wcześniej stąd wyjedziesz, tym lepiej. Wydaje mi się, że powinnaś pojechać do waszego domu w Kairze. Tam możesz spokojnie i bezpiecznie poczekać, aż wszystko się skończy. Potem będziesz mogła zająć się tą wystawą, nad którą pracuje już profesor Picot. Nie wiem, co się stanie za miesiąc, ani nawet czy będziemy żywi, ale ufam, że Picot dotrzyma słowa i włączy cię do przygotowań do wystawy.

— Nie chcę wyjeżdżać — wyszeptała Clara.

— Dziecko, za chwilę zacznie się wojna. Nie możesz tu zostać, chyba że chcesz umrzeć. Twój dziadek nie chciałby, byś zginęła.

— Chcę zostać tu jeszcze parę dni.

— Dobrze, ale musisz wyjechać z Iraku przed dwudziestym marca. Nie mogę nadal trzymać tu żołnierzy. Wszyscy zdolni do służby mężczyźni, w tym robotnicy z wioski, zostaną zmobilizowani.

— Claro, wróc ze mną do Bagdadu — poprosił Ahmed.

— Zostanę jeszcze parę dni... Wrócę siedemnastego lub osiemnastego...

— Jeśli będziesz zwlekała, nie będę mógł wywieźć cię z Iraku — ostrzegł Pułkownik.

Kiedy helikoptery odleciały, Clara poczuła ulgę. Chciała być sama, nie musieć z nikim rozmawiać ani nikogo słuchać, chciała dojść do siebie, by stawić czoło życiu bez dziadka.

Gian Maria podczas pogrzebu i wizyty przedstawicieli rządu Saddama trzymał się z boku. Udało mu się porozmawiać przez parę minut z Ahmedem. Zapewnił go, że zaopiekuje się Clarą i skłoni ją do jak najszybszego powrotu do Bagdadu.

Ahmed poprosił go, by do niego zadzwonił, a on załatwi im jakiś transport do stolicy lub prosto do granicy z Jordanią.

Dowódca oddziału żołnierzy kazał podwładnym uprzątnąć pozostałości obozowiska. Rozkaz brzmiał: wracać do koszar.

Wójt wahał się, czy wejść do domu Clary, by zapytać ją, czy ludzie nadal będą pracowali przy wykopaliskach. Niektórzy zresztą dostali już wezwanie do wojska.

Ku zaskoczeniu Fatimy i lekarza Clara zapewniła go, że prace będą trwały jeszcze przez kilka dni i że potrzebni jej są wszyscy ludzie. Jest gotowa podwoić wynagrodzenie, jeśli będą pracowali dzień i noc.

Kiedy wójt wyszedł, Ajed zapytał ją, czy nie lepiej zakończyć misję.

— Zostaniemy tu jeszcze parę dni, może dziesięć, pracując bez odpoczynku.

Nikt nie odważył się jej sprzeciwić. Sahadi zapewnił ją, że wszyscy będą pracowali z zapalem, uprzedził jednak, że mają do dyspozycji mniej ludzi, gdyż zgodnie z tym, co powiedział wójt, wielu mężczyzn zostało zmobilizowanych. Clara oświadczyła, że ona sama nie przerwie pracy.

Lion Doyle nie mógł zasnąć. Zastanawiał się, czy nie zostać w Iraku.

Po powrocie z Safranu Ahmed powiedział, że Pułkownik chce, by Clara wróciła do Bagdadu, jednak ona uparła się, że zostanie jeszcze przez parę dni na wykopaliskach. Doyle zastanawiał się, czy warto podejmować ryzyko i zamordować ją w mieście, gdy będzie trwała wojna, czy poczekać, aż dołączy do Picota w którejś z europejskich stolic, gdzie z łatwością ją namierzy. O ile bez problemu wjechał do Iraku, po wybuchu tej cholernej wojny wydostanie się z tego kraju będzie bardzo trudne, więc albo wyjedzie teraz, razem z archeologami, albo zostanie, nie mając pewności, czy uda mu się wykonać drugą część zlecenia.

Żeby tu pozostać, potrzebował przekonującego powodu, a znalezienie go, jak sam siebie przekonywał, nie powinno być trudne. Wystarczy, że powie wszystkim, iż zostaje tu z reporterskiego obowiązku. Postanowił zadzwonić do Londynu, do dyrektora „Photomundi”, by zrelacjonować jemu, a tym samym swojemu prawdziwemu szefowi, co wydarzyło się w ciągu ostatnich kilkunastu godzin. Wprawdzie wysłał już faks, który do tej pory powinien znaleźć się w rękach Toma Martina, lepiej jednak porozmawiać przez telefon, by zleciodawca nie miał wątpliwości, że Alfred Tannenberg nie żyje. Co więcej, zrzuci z siebie odpowiedzialność, jeśli poprosi o instrukcje. Niech Tom Martin decyduje, czy ma zostać, czy wracać.

Ante Plaskic natomiast postanowił, że zostanie. Chorwat słuchał rozmowy podczas kolacji, wiedział więc, że Clara wkrótce znajdzie się w Bagdadzie, on zaś musi się upewnić,

czy zabierze ze sobą te przeklęte tabliczki, których szukają od miesięcy. On powinien je przejąć i wywieźć z Iraku. W końcu za to mu zapłacili.

Zastanawiał się, kto mógł zamordować Tannenberga i pielęgniarkę. Nie dawało mu spokoju podejrzenie, że to Lion Doyle, chociaż nie wykluczał też Ajeda Sahadięgo. Przyszło mu nawet do głowy, że ta druga możliwość jest bardziej prawdopodobna.

Wydawało się natomiast zupełnie nieprawdopodobne, by Clara Tannenberg znalazła te tabliczki, ale nie mógł ryzykować, że wymknie mu się wraz ze znaleziskiem. Powie Picotowi, że spotkał w Bagdadzie znajomych, którzy wracają parę dni później. Było mu obojętne, czy profesor w to uwierzy.

Tom Martin przeczytał faks, który dostał rano od dyrektora „Photomundi”. Nie mógł zrobić tego wcześniej, bo właśnie wrócił z Paryża, gdzie spędził dzień na spotkaniach z kolegami z branży. Postanowił natychmiast do niego zadzwonić.

Dzwonek telefonu wyrwał dyrektora z głębokiego snu.

— Słucham?

— Halo, to ja.

— To znaczy kto? Ach, przepraszam, spałem. Która godzina?

— Druga w nocy.

— To pan o tej porze pracuje? — Dyrektor nie krył irytacji.

— Pracuję dwadzieścia cztery godziny na dobę. Proszę powiedzieć, czy były jeszcze jakieś wiadomości od naszego współpracownika w Bagdadzie?

— Nie.

— Nie dzwonił?

— Nie.

— Dobrze, niech więc pan wstanie z łóżka i uda się do biura. Jestem pewny, że zechce się z panem porozumieć.

— Tak, ale nie o tej porze... — protestował dyrektor.

— Niech pan nie traci cennego czasu i robi, co do pana należy. Oczekuję wiadomości, wiem, że nadejdą jeszcze tej nocy.

Dyrektor „Photomundi” wymamrotał coś, a potem obiecał, że wykona polecenie. Nie mógł odmówić stałemu zleceniodawcy, jednemu z najlepszych, jakich miał, więc jeśli ten żąda od niego, by o drugiej w nocy zwlekł się z łóżka i jechał do biura, nie ma innego wyjścia.

Oczywiście Lion Doyle miał numer jego komórki, dlatego w każdej chwili mógł się z nim skontaktować, nawet gdy spokojnie będzie leżał w łóżku. Jednak na wszelki wypadek wstał i wziął prysznic, by się obudzić. Za chwilę znajdzie się w biurze i będzie czekał na telefon od tego przekłętą Liona Doyle’a.

Wiązał krawat, kiedy dotarło do niego, że właśnie dzwoni komórka. Głos Liona Doyle był nie do pomylenia z żadnym innym. Dyrektor wcisnął guzik nagrywania, żeby potem dać Tomowi Martinowi zapis rozmowy.

— Miło mi pana słyszeć. Czy mój faks dotarł?

— Tak, oczywiście. Co u pana?

— Jestem zdziwiony, że jeszcze pan nie zadzwonił i nie kazał mi wracać. Wydarzenia ostatnich dni to był koszmar. Znalezione zamordowanego Alfreda Tannenberg, dziadka Clary, tak, tej archeolog, która współfinansowała wykopaliska pod kierownictwem profesora Picota. Tannenberg był schorowanym starcem, nikt nie może zrozumieć, dlaczego ktoś go zabił. Poza tym przez dwadzieścia cztery godziny na dobę pilnowali go ochroniarze, a mimo to ktoś poderzwał mu gardło. Ten sam los spotkał pilnującą go pielęgniarkę. Na szczęście teraz wszyscy jesteśmy już w Bagdadzie. Rano lecimy do Europy, chyba że chce pan, żebym został i zrobił jakiś specjalny reportaż. Chociaż nie podejrzewam, by się to na coś przydało, zrobiłem w Safranie parę zdjęć, nigdy nie wiadomo, do czego się mogą przydać...

Dyrektor „Photomundi” zapewnił, że podzwoni do czasopism i dzienników i dowie się, czy warto, by został dłużej. Wkrótce oddzwoni.

Punktualnie o trzeciej Tom Martin otrzymał nagranie rozmowy Doyle’a i dyrektora „Photomundi”.

Uśmiechnął się, słysząc wyjaśnienia Liona. To urodzony aktor, pomyślał.

Lion wywiązał się przynajmniej z połowy zlecenia, bez wątpienia z tej trudniejszej, bo zdołał wyeliminować spośród żywych Alfreda Tannenberg. Klienci powinni być zadowoleni. Oczywiście, musi się z nimi natychmiast skonsultować, niech sami zdecydują, czy rezygnują ze śmierci Clary Tannenberg, czy też kobieta musi koniecznie umrzeć. Jemu samemu było to obojętne, wydawało mu się, że uśmiercenie starca było niezłym wyczynem w kraju takim jak Irak, tym bardziej że Tannenberg był pod ochroną reżimu.

Nie ma wyjścia, musi zadzwonić do tego Burtona, chociaż było dziesięć po trzeciej, jeszcze nawet nie świtało.

Profesor Hausser spał lekkim snem starego człowieka. Obudził się na pierwszy sygnał jednego z telefonów komórkowych, których nigdy nie wyłączał. Zapalił lampkę.

— Słucham?

— Czy pan Burton?

— Tak.

— Mówi Martin...

Hans Hausser poczuł pieczenie w żołądku. Spojrzał na zegarek — kwadrans po trzeciej.

— Słucham pana.

— Zlecenie zostało wykonane. To znaczy... powiedzmy, że jego ważniejsza część.

Główny obiekt został wyeliminowany.

— Jest pan pewny?

— Bezwzględnie.

— Czy ma pan dowody?

— Oczywiście.

— A co z... z resztą?

— Osiągnięcie tego, o co pan prosił, graniczyło z cudem. Czy wie pan, jaka jest tam teraz sytuacja?

— Wiem. Kiedy wywiążecie się z reszty umowy?

— Dzwonię właśnie w tej sprawie. Być może uda się to załatwić na miejscu, w Europie. Tam narażamy się na spore ryzyko. Jeśli pan jednak chce, spróbujemy. Choć podkreślam, że tam nasze możliwości są ograniczone.

Profesor westchnął głęboko, by zyskać na czasie. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Sam nie może podjąć decyzji, musi porozumieć się z przyjaciółmi.

— Oddzwonię do pana za parę minut.

— Zgoda, ale musi mi pan udzielić odpowiedzi przed szóstą rano.

— Dostanie ją pan znacznie szybciej.

Carlo Cipriani czytał. Zjadł kolację z przyjaciółmi, a po powrocie do domu usiadł, by poczytać spokojnie, korzystając z ciszy nocy. Na dźwięk telefonu aż podskoczył.

— Carlo...

— Hans?

— Tak, przyjacielu, to ja.

— Co się stało? — spytał przestraszony lekarz.

— Już po wszystkim.

— Jak to? Co to znaczy?

— Nie żyje. Przed chwilą odebrałem telefon w tej sprawie. Są dowody.

— Jesteś pewny, Hans?

— Jestem pewny. Już po wszystkim.

Umilkli, nie wiedząc, co powiedzieć. Przez całe życie czekali na tę chwilę, a teraz nie czuli.

— Ten potwór nie żyje — wydusił w końcu Cipriani.

— Tak. Dokonałiśmy tego. Wiesz, czuję pustkę — przyznał Hausser.

— A jednak...

— A jednak postąpiliśmy słusznie. Nie mogliśmy spać spokojnie, gdybyśmy tego nie zrobili.

— Zadzwońiłeś do Brunona i Mercedes?

— Nie, zacząłem od ciebie. Musimy zaraz podjąć jakąś decyzję w sprawie wnuczki.

— Żyje?

— Tak. Zadanie było trudne. Pytają nas, czy mają dokończyć dzieła na miejscu, czy raczej w Europie, dokąd ona najwyraźniej się wybiera.

— Dokąd dokładnie?

— Nie wiem.

— Hans, jak sądzisz, co powinniśmy zrobić?

— Nie wiem, możemy zostawić wszystko tak jak jest lub...

— Mercedes nie będzie zadowolona — stwierdził przygnębiony Cipriani.

— A my, Carlo? Czy my jesteśmy zadowoleni?

— Wydaje ci się, że to nie obciąży naszego sumienia?

— Mojego nie, zapewniam cię, przyjacielu — odpowiedział bez wahania Hausser.

— Masz rację. Pewnie jestem w szoku...

— Ja również.

— Może powinniśmy im pozwolić podjąć decyzję co do wyboru najodpowiedniejszego miejsca? — Cipriani był przekonany, że Mercedes nie zadowoli się połowiczną zemstą.

— Zgadzam się.

— W każdym razie przekaz im, że nie rezygnujemy z drugiej części.

— Nie możemy zrezygnować. Czekaliśmy na to całe życie. Bóg sprawił, że potwór nie żyje.

— Bóg nigdy nie był po naszej stronie, Hans, nigdy. Nie było go tu, nie było go przez wszystkie te lata. Mercedes ma rację, jeśli istnieje, opuścił nas.

Znów zapadła cisza.

— Zadzwońię do Brunona, a potem do Mercedes — odezwał się w końcu Hausser. —
Jeśli usłyszę coś nowego, dam ci znać.

— Dobrze, Hans, zrób tak, to będzie długa noc.

— Ja będę spał spokojnie, Carlo.

— Dobranoc, Hans.

Deborah podskoczyła na dźwięk dzwonka telefonu i natychmiast usiadła na łóżku.

— Spokojnie, Deborah, to tylko telefon — uspokajał ją mąż.

— Bruno, dochodzi czwarta rano, o tej porze można dzwonić tylko ze złymi wiadomościami. Stało się jakieś nieszczęście.

Bruno Müller wstał i poszedł do salonu, by odebrać. Żona poszła za nim, drżąc z chłodu i zdenerwowania.

— Kto mówi? — zapytał Bruno Müller.

— Bruno, to ja, Hans...

— Co się stało?

— Monstrum nie żyje.

— O Boże! — wykrzyknął muzyk.

— To nie Bóg, to my tego dokonaliśmy.

Müller poczuł, że ogarnia go ciepło, po którym napłynęła lodowata fala. Wydawało się, że zaraz zemdleje.

— Bruno! Bruno, co się stało? — dopytywała się Deborah.

— Wracaj do łóżka — warknął.

— Ależ, Bruno...

— Rób, co ci każe!

Hausser słyszał tę ostrą wymianę zdań, wiedział, jakie emocje kłębią się w tej chwili w duszy przyjaciela.

— Hans, jesteś pewny? — zapytał Bruno.

— Tak. Potwór przestał istnieć. Wykończyliśmy go.

— Udało nam się, w końcu go pokonaliśmy... będę mógł spokojnie umrzeć.

Mercedes była pogrążona w głębokim śnie. Wzięła tabletkę nasenną, ponieważ przez ostatnie miesiące śniły jej się koszmary i zrywała się z krzykiem w środku nocy.

Telefon zadzwonił kilka razy, zanim w końcu usłyszała i odebrała.

— Tak?

— Mercedes?

— Tak...

Jej głos brzmiał, jakby dobiegał z za grobu.

— Wszystko w porządku?

— Kto mówi? — zapytała cicho.

— To ja, Hans...

— Hans? Hans! Boże, co się stało?

— Mam dobre wieści, dlatego dzwonię o tej porze.

— Hans... powiedz...

— Potwór nie żyje.

Kobieta wydała krzyk, który zabrzmiał jak jęk. Z nocnej szafki wzięła szklankę z wodą i upiła łyk, starając się strząsnąć z siebie resztki snu. Z trudem usiadła na łóżku i postawiła stopy na podłodze.

— Mercedes, wszystko w porządku? — dopytywał się Hausser.

— Spałam... Spałam głęboko, wzięłam proszek nasenny... mam kłopoty z zaśnięciem i... Hans, czy to prawda?

— Tak. Nie żyje i są na to dowody.

— Jak to się stało? Kiedy?

— Już leży w grobie.

— Cierpiał?

— Nie wiem, jeszcze nie znam szczegółów.

— Mam nadzieję, że cierpiał, że w ostatniej chwili uświadomił sobie, dlaczego musi umrzeć. A ona? Wnuczka...

— Żyje.

— Dlaczego? Nie ma litości dla jego potomstwa.

— Nie ma litości, dobrze to powiedziałaś, ale cokolwiek robimy, musimy to robić z rozwagą. Najwyraźniej były trudności z realizacją zlecenia, teraz zaś ten człowiek pyta nas, czy ma tam zostać, czy spróbować w Europie, bo ona się tu wybiera.

— A skąd my mamy wiedzieć, co będzie lepsze? — odpowiedziała zdenerwowana Mercedes.

— Od początku mówili, że ta robota wymaga czasu. Więc co dalej?

— Niech wywiążą się z umowy. Im szybciej, tym lepiej.

— W takim razie...

— Hans, jesteś pewny? Czy to prawda, że nie żyje?

— Jestem pewny.

Mercedes zaczęła płakać. Hausser również nie mógł powstrzymać łez.

— Mercedes, nie płacz, na Boga, uspokój się. Nie płacz... proszę cię, Mercedes.

Musisz być silna.

— Mercedes, nie płacz, proszę, córeczko...

Dziewczynka, kurczowo trzymając za rękę swoją matkę, dygocąc z zimna i głodu, ledwo trzymała się na nogach. Strażnik popchnął ją, bo nie stała spokojnie w szeregu razem z innymi więźniarkami i ich dziećmi. Upadła twarzą w błoto. Matka szarpnęła ją z całej siły i postawiła na nogi. Ścisnęła jej rękę, błagając cicho, żeby córka nie płakała. Strażnik, który ją popchnął, zajął się teraz jakimś chłopcem. Mercedes zyskała kilka sekund na powstrzymanie cisnących się do oczu łez.

Przyglądała się oficerom SS, witającym się z innymi oficerami, którzy wysiedli z czarnych samochodów. Sprawiali wrażenie bardzo zadowolonych, zapewniali się nawzajem, że to będzie niezapomniany dzień.

Przez parę sekund Mercedes zastanawiała się, jakie to nadzwyczajne wydarzenia czekają na tych mężczyzn.

Kapo Gustav podszedł do nich i rozkazał dzieciom, by wystąpiły z szeregu i ustawiły się równo w rzędzie naprzeciwko matek. Najmłodsze nie chciały puścić swoich mam, ale gdy jeden ze strażników w esesmańskim mundurze podszedł z pałką i zaczął wymierzać razy, kobiety same zaczęły błagać dzieci, by podporządkowały się jego rozkazom.

— Słuchać! — wrzasnął oficer, a dzieci pobladły ze strachu. — Z Berlina przyjechali naukowcy, żeby wam się przyjrzeć. Pomożecie nauce, przynajmniej do tego się przydadacie. Wszystkie zejdziecie do kamieniołomu, tam czeka na was prezent, który musicie natychmiast przynieść na górę. Wasze bękarty tu zostaną, dla nich mamy inny podarunek.

Alfred się roześmiał, a Georg zapytał, jak długo będzie trwała ta próba.

— Zależy, ile te suki wytrzymają — odpowiedział Alfred.

Mercedes połykała łzy, a jej mama starała się do niej uśmiechnąć. Była w ósmym miesiącu ciąży. Siedem miesięcy temu trafiła do Mauthausen. Nie mogła uwierzyć, że udało jej się przeżyć tak długo. Wiele kobiet w podobnej sytuacji umarło, nie wytrzymały tortur i pracy od świtu do nocy. Niektóre przepadły bez śladu po tym, jak zostały wezwane do punktu

sanitarnego na badanie przebiegu ciąży. Ona, mimo odmiennego stanu, była szczuplejsza niż przed zajściem w ciążę, a brzuch był prawie niewidoczny.

Gestapo zatrzymało ją we Francji, kiedy usiłowała uciec z kraju razem z córką. Zostały przewiezione do Austrii w bydłym wagonie, z którego nie wypuszczano więźniów ani w nocy, ani za dnia. Mówiła sobie, że póki żyje, nie wolno jej tracić nadziei. Jej mąż był Hiszpanem, razem działali w ruchu oporu. Został zabity przez gestapowców w samym centrum Paryża. Została sama, nie wiedziała, że jest w ciąży. Próbowła wrócić do Hiszpanii, schronić się u rodziny męża. Pomyślała, że najpierw pojedzie do Barcelony, odnajdzie teściową. Towarzysze z *Résistance* zgodzili się zawieźć ją do granicy, ale zatrzymało ich gestapo.

Kiedy znalazła się w obozie, zmuszono ją, by rozebrała się do naga, jak reszta więźniarek. Dostała obozowy strój z czerwonym trójkątem, na którym widniała litera F. Czerwoną naszywkę nosili więźniowie polityczni, litera F wskazywała narodowość.

Późno stwierdziła, że jest w ciąży, długo sądziła, że miesiączka ustała z powodu strachu, tortur, niedożywienia i wyczerpania. Kiedy uświadomiła sobie, że znów ma zostać matką, obwiniając się za to, że jej nowo narodzone dziecko będzie więźniem od pierwszego dnia swojego życia. Potem rozpacz ustąpiła miejsca nadziei i woli życia, ciąża dodała jej sił: musi przeżyć ze względu na dziecko i Mercedes. Oboje jej potrzebowali, mieli tylko ją. Mimo to kazała Mercedes nauczyć się na pamięć adresu babci w Barcelonie, na wszelki wypadek, gdyby kiedyś przynajmniej jej udało się przeżyć obóz.

— A czy te bękarty nie mogłyby zejść do dołu i nosić głazów? — zapytał Georg.

— To niezły pomysł, chociaż mamy dla nich inną niespodziankę. Urządzimy im kąpiel. Zobaczmy, ile zniosą. — odpowiedział Heinrich, śmiejąc się.

— Sprawdźmy, co robią te suki — zaproponował Alfred.

Grupa oficerów i cywilów zesła parę stopni po „schodach śmierci”, by lepiej widzieć, co dzieje się w kamieniołomie. Kobiety z trudem starały się wyprostować pod ciężarem głazów przytroczonych do pleców. Żołnierze popychali je, pokrzykując, by się nie zatrzymywały. Wiele z kobiet nie mogło unieść ładunku i padały na ziemię, przywalone ciężkim blokiem. Z pięćdziesiątki kobiet piętnaście zmarło od kopniaków żołnierzy. Te, które się przewracały, żołnierze okładali pałą, chcąc zmusić do wstania i dalszego marszu pod górę po stu osiemdziesięciu sześciu stopniach prowadzących z kamieniołomu na obozowy plac.

Chantal ledwo się poruszała, tylko obraz Mercedes pod powiekami i myśl o dziecku w jej łonie sprawiały, że znajdowała siły w najgłębszych zakątkach duszy. Szła zgięta,

powłócząc nogami, starając się powstrzymać od wymiotów. Na jej twarzy malowało się bezgraniczne cierpienie, w duszy jednak uśmiechała się do siebie, ciesząc się z każdego kroku, jaki udało jej się postawić.

Raz, dwa, trzy... Nagle podniosła wzrok i przerażona zobaczyła, jak strażnicy obozowi popychają w stronę kamieniołomu dzieci.

Wypatrzyła wśród nich Mercedes. Dziewczynka wykrzywiła buzię w podkówkę, lada chwila mogła wybuchnąć płaczem. Chantal wyprostowała się, by córka ją widziała. Bała się, co tym razem może przyjść do głowy esesmanom. Nie rozumiała, dlaczego każą dzieciom schodzić po schodach.

Wymyślił to kapitan Tannenberg, któremu przyklasnęli inni. Dzieci miały maszerować z pałkami w ręku za kobietami, poganiając je uderzeniami w pośladki, jak ociągające się zwierzęta pociągowe.

— To muły — naśmiewał się Alfred — a wy jesteście woźnicami. Musicie być ostre, jeśli któraś potknie się i przewróci, trzeba ją mocno zbić, nawet własną matkę, w przeciwnym razie wam też przywiążemy kamienie do pleców i każemy, by was okładano różgami, dopóki nie wdrapiecie się na górę.

Dzieci były przerażone, ale rzadko które odważyło się rozplakać, wiedząc, że spotka je za to surowa kara. Każde wzięło do ręki pałkę i zeszło po schodach do kamieniołomu, drżąc z lęku. Kobiety, które z wielkim trudem zdołały wspiąć się na pierwsze stopnie, przyglądały im się wyczekująco. W końcu zrozumiały, na czym ma polegać ta okrutna zabawa.

— To z was, które nie uderzy mulicy, poniesie surową karę! — zapowiedział Tannenberg.

— Do dzieła! Już! Zaczynajcie! — wrzeszczeli kapo.

Dzieci z poważnymi minami patrzyły na swoje rnatki, nie odważając się podnieść na nie ręki.

— Mercedes, uderz mnie, na Boga, dziecko, nie bój się! — błagała Chantal.

Jakaś kobieta upadła twarzą w błoto. Kapo podszedł do niej i wymierzył jej kopniaka, lecz Alfred powstrzymał go i odszukał dziecko więźniarki.

— Ej, ty, chodź no tu! — krzyknął do dziewczynki tak chudej, że wydawała się przezroczysta jak duch.

Ośmiolatka, której ledwie starczało sił, by utrzymać w ręku gruby kij, zrobiła kilka kroków w stronę oficera SS.

— To twoja matka? — zapytał Tannenberg.

Mała przytaknęła skinieniem głowy.

— To bij tę mulicę, aż się w końcu podniesie. No już, podnoś kij!

Przez kilka sekund panowała cisza. Dziewczynka nie poruszyła się. Ledwie rozumiała, co mówi do niej ten człowiek, ponieważ była głucha i nie potrafiła dobrze czytać z ruchu warg.

Kapitan Tannenberg rozzłościł się, złapał pałkę i zaczął bezlitośnie okładać kobietę leżącą w błocie. Dziewczynka przyglądała się temu przez chwilę, a potem rzuciła się na ziemię tuż przy swojej matce, wzbudzając ogólną wesołość esesmanów.

Nagle jakieś dziecko, najwyżej dwa lata starsze niż dziewczynka, podbiegło, by pomóc małej i jej matce się podnieść. Tannenberg to zauważył. Twarz poczerwieniała mu z wściekłości.

— Jak śmiesz! Bękaracie!

po chwili trzymał w ręku pistolet, który nerwowo wyszarpnął z futerału i strzelił do dziewczynki. Jednym kopniakiem przewrócił chłopca, który chciał jej pomóc, a ten wylądował na trzecim stopniu. Jego matka jęknęła. Starła się podczołgać do nieruchomego ciała córki, ale kopniak Tannenberga zamienił jej twarz w krwawą masę. Chłopiec próbował się podnieść, ale nie zdołał. Kolejne kopniaki odebrały mu przytomność. Został tam, przy ciałach swojej matki i siostry.

— Do roboty, mulice! Do roboty! Która nie będzie ruszała się żwawo, skończy jak ta tutaj, a wy, gnojki, albo zaczniecie je poganiać, albo skończycie jak ten szczeniak. Jego matka była przeklętą komunistką, włoską dziwką, sprawiedliwości wreszcie stało się zadość. To ta świnią urodziła tego dziwoląga, którego nazywała swoją córką. To miała być dziewczynka? To jakiś potwór! — krzyczał Tannenberg, podniecony przedstawieniem, którego był reżyserem i aktorem.

Mercedes zaczęła się trząść, widząc swojego przyjaciela Carla leżącego na ziemi bez ruchu. Był od niej starszy, miał dziesięć lat, ale zawsze okazywał jej współczucie, był dla niej dobry i powtarzał, żeby się nie bała.

Kiedy esesmani pokrzykiwali na dzieci, by mocniej okładały uginające się pod ciężarem kobiety, Mercedes zaczęła płakać. Nie chciała bić swojej mamy, rozglądała się zrozpaczona. Żadne z dzieci nie podniosło kija. Poczuła, że na jej ramieniu zaciska się czyjaś dłoń. Była to ręka Hansa, który wzrokiem próbował wymóc na niej, by szła przed siebie.

— Mercedes, proszę cię, nie zatrzymuj się, podnieś kij do góry, ale nie bij matki.

— Nie, nie... — jęczała dziewczynka.

Jakaś ciężarna krzyknęła rozpaczliwie, padając na ziemię. Poroniła na schodach, w kleszczach przeraźliwego bólu i rozpacz. To pani Müller, austriacka Żydówka, nauczycielka gry na pianinie, która ukrywała się w domu przyjaciół. Ktoś jednak ją wydał i cztery miesiące temu trafiła do tego piekła razem ze swoim małym synkiem Brunonem.

Kapitan Tannenberg podszedł do niej i popatrzył zimno, po czym dał znak jednemu z obozowych lekarzy.

— Doktorze, czy uważa pan, że płody żydowskie są takie same jak inne? Powinniśmy to sprawdzić, nie sędzę, by ta śwmia do czegoś jeszcze mogła się przydać.

Zapadła pełna wyczekiwania cisza. Lekarz podszedł, rozciął skalpelem brzuch kobiety wyjącej z bólu. Wyprężyła się i przestała krzyczeć. Umarła. Pozostali lekarze podeszli, zaciekawieni, chcąc uczestniczyć w tym zaimprovizowanym cesarskim cięciu.

Mały Bruno wybuchnął rozpaczliwym płaczem. Chciał uciec, ale kapo mocno go trzymał.

Niektóre dzieci zaczęły wymiotować, goście z Berlina oklaskiwali widowisko.

Kobiety wspięły się piętnaście stopni do góry. Nagle Chantal potknęła się i przewróciła. Z jej ust zaczęła sączyć się krew.

Tannenberg popchnął Mercedes w stronę matki.

— Przyłóż jej! Ale już! To nie kobieta, tylko zwierzę! To tylko mulica! Rób, co ci każe!

Mercedes była sparaliżowana ze strachu. Przyglądała się okrągłymi ze strachu oczami mężczyźnie, który ją popychał.

— Zbij tę mulicę! Rób, co ci każe! — wrzeszczał Tannenberg, coraz bardziej wściekły.

Chantal nie mogła mówić, czuła, że uchodzi z niej życie, nie miała siły obronić córki. Z wysiłkiem wyciągnęła rękę w stronę Mercedes, ta zaś padła przy niej na kolana, wybuchając płaczem.

Tannenberg podszedł do Chantal i wymierzył jej kopniaka w brzuch. Straciła przytomność. Spomiędzy jej nóg wypłynęła krew. Esesman uniósł pałkę, by ją uderzyć, ale zanim się zamachnął, małe, ostre zębki wbiły się w jego uadgarstek. Goście z Berlina zaśmiewali się, patrząc na tę scenę.

Mercedes z całej siły zacisnęła zęby na rękę kapitana. Miała tylko pięć lat, była chudziutka, znalazła jednak dość siły i odwagi, by stawić czoło temu bydlakowi.

Tannenberg popchnął ją, upadła na ziemię. Był wściekły, że zaatakowała go ta wynędzniała dziewczynka, miał ochotę ją zastrzelić, ale w ostatniej chwili skierował pistolet

na brzuch Chantal. Strzelił, mierząc w skupieniu, jakby celował do tarczy. Jeden strzał w sam środek brzucha i jeszcze cztery. Potem wyjął z futerału nóż, przeciął brzuch martwej kobiety i wyrwał z jej trzewi ciało dziecka, które nigdy nie miało się urodzić. Cisnął nim w twarz Mercedes.

Dziewczynka krzyczała tak, że wszystkich przeszywała groza, jednak kapitan Tannenberg jeszcze nie powiedział ostatniego słowa. Podniósł dziewczynkę jedną ręką i cisnął w dół na granitowe schody.

Mały Hans Hausser rzucił się za nią. Tak bardzo chciał jej pomóc, że był głuchy na żałosny jęk swojej matki.

Kapo złapał go, nie pozwalając mu dobiec do Mercedes.

— Ty Żydzie! Chcesz skończyć jak ona?

Kapo zbił pałąką małego Hansa, czemu obojętnie przyglądał się kapitan Tannenberg i jego przyjaciele.

Z pięćdziesięciu kobiet do końca schodów dotarło tylko szesnaście. Pozostałe albo potknęły się i spadły, albo w desperacji szły w kierunku wartowników strzegących ogrodzenia, z nadzieją, że ci strzelą, do nich, podobnie jak — o czym kobiety słyszały wiele razy — strzelali do mężczyzn pracujących w kamieniołomie. Pani Hausser dotarła na plac, dźwigając ciężki kamień, jako jedna z ostatnich, ale nie miała złudzeń, wiedziała, że to nie uratuje jej życia. Obejrzała się, chcąc zobaczyć, gdzie jest jej dziecko, i rozplakała się, widząc, jak jeden z kapo okłada synka kijem.

Marlene Hausser znalazła w sobie jeszcze dość siły, by zacząć krzyczeć, pragnąc, by krzyk dotarł do jej syna.

— Hans, musisz żyć! Synku, nie zapomnij o mnie! Masz żyć, żyć!

Strażnik przewrócił ją na ziemię. Kiedy otworzyła oczy, zobaczyła wypolerowane esesmańskie buty.

— Ta kobieta ma chore serce, musimy ją natychmiast zoperować — powiedział stojący nad nią młody blondyn o anielskiej twarzy, ubrany w czarny mundur.

Kapo podniósł ją z ziemi i popychając, poprowadził do punktu sanitarnego, gdzie czekała już reszta kobiet. Przybyli z Berlina lekarze i ich koledzy z Mauthausen szykowali się do zoperowania więźniarek, przypisując im dolegliwości, na które żadna z nich nie cierpiała.

— Będziemy marnowali środki znieczulające? — zapytał jeden z sanitariuszy.

— Dajmy jej tyle, żeby się nie ruszała. Nie lubię operować, kiedy mi ktoś krzyczy pod nożem — odpowiedział jeden z lekarzy.

Umieścili Marlene Hausser na leżance, związawszy jej ręce i nogi. Kobieta poczuła ukłucie w ramię. Oczy jej się zamykały, chociaż słyszała rozmowy i hałas. Ledwo zdołała krzyknąć, kiedy skalpel zanurzył się w jej piersi, otwierając ją aż po brzuch. Ból był nie do zniesienia, wyła, pragnąc śmierci.

Mimo to pamiętała, by pomodlić się za Hansa. Jeśli Bóg istnieje, nie pozwoli, by dziecko cierpiało.

Zanim wydała ostatnie tchnienie, poczuła, że coś zaciska się na jej sercu.

Ciało Marlene Hausser zostało pokrojone na kawałki przez ludzi, którzy uważali się za lekarzy.

Jedna po drugiej, szesnaście więźniarek ocalałych ze schodów śmierci zostało „zoperowanych”. Obcięto głowę małej głuchej Włoszce, bo lekarze byli ciekawi, jak zbudowane jest jej ucho.

Kiedy lekarze zajęci byli ciałami kobiet, kapo, na polecenie Tannenberga, kazali dzieciom rozebrać się do naga i zaprowadzili je do kąpieli. Był to błotnisty zbiornik z lodowatą wodą, płynącą na udreżone główki sierot, ostatnia rozrywka, jaką Tannenberg zafundował swoim gościom z Berlina.

Niektóre dzieci umarły z zimna, inne dostały ataku serca, tylko szóstce udało się przeżyć, ale nawet te umarły kilka godzin później.

Tego wieczoru goście z Berlina delektowali się doskonałą kolacją. Nikt jednak nie rozmawiał o najważniejszym: Niemcy przegrywali wojnę. Dopiero później, kiedy Tannenberg został sam z Georgem, Heinrichem i Franzem, zaczął się zastanawiać, jak uciec, jeśli Hitler przegra wojnę.

— Zawiadomię was — obiecał Georg. — Chcę, byście byli z Heinrichem przygotowani. Powiedziałem Franzowi, że musi poprosić o przeniesienie do sztabu, wystarczająco wpływy naszych rodziców, żeby tego dokonać. Nie może wrócić na front.

— Czy to pewne, że przegramy wojnę? — zapytał zaniepokojony Alfred.

— Już ją przegraliśmy. Chyba nie wierzysz w goebbelsowską propagandę? Nasi żołnierze zaczęli dezertować. Hitler to już nie ten sam człowiek, nie może pojąć, co się stało, ludzie, którzy go otaczają, za bardzo się, go boją, żeby mu to uświadomić. Spójrzmy prawdzie w oczy: alianci zechcą dać Niemcom nauczkę, zapłacimy za to my, czyli ludzie wierni Führerowi, trzeba więc przygotowywać drogę ucieczki. Znacie mojego wuja? Przed wojną znajomy zaprosił go do Stanów na swoją uczelnię, do pracy w jednym z tajnych laboratoriów rządowych. Wuj od miesiąca pracuje nad bombą, która może zakończyć całą tę wojnę, obawiam się jednak, że nie zdąży. Mamy szczęście, jego kolega w Ameryce

postanowił się z nim skontaktować. Zaproponował, że wyciągnie go z Niemiec. Wuj w pierwszej chwili się przestraszył, ale ja zachęciłem go, żeby podtrzymał ten kontakt, może nam się on bardzo przydać przy ucieczce.

— Georg, nie wierzę, żeby i nas zdołał stąd wyciągnąć — odezwał się Heinrich.

— Musimy zacząć obmyślać własny plan ucieczki — dodał Alfred.

— Potrzebne nam są nowe dokumenty... — powiedział Franz.

— Już się tym zająłem. Kilka miesięcy temu kazałem przygotować fałszywe dokumenty dla nas wszystkich — odpowiedział ze śmiechem Georg. — Zaletą pracy w tajnych służbach jest to, że poznaje się bardzo interesujących i zdolnych ludzi. Dostarczę wam te dokumenty. Najważniejsze, żebyście byli gotowi, gdy tylko was powiadomię. Ty, Franz, byłeś na froncie, więc wiesz, co się dzieje, jednak widzę, że Alfred nie przyjmuje do wiadomości, że Niemcy mogą ponieść klęskę. Tak jednak jest, i musicie w każdej chwili być gotowi do ucieczki.

— Będziemy gotowi — zapewnił Heinrich, mówiąc za siebie i za Alfreda.

— Ja jestem teraz na zwolnieniu, nikt mnie nie będzie wzywał na front, a jutro, gdy tylko dotrzemy do Berlina, wystąpię o przeniesienie — powiedział Franz.

— No to załatwione — podsumował Georg. — Teraz zastanówmy się, co zrobimy po wyjeździe z Niemiec.

Mercedes majaczyła. Carlo, Hans i Bruno przyglądali jej się przestraszeni, bojąc się, że wkrótce umrze. Oni sami cudem przeżyli, rzućni na zimne schody, skopani przez wartowników, którzy uznali ich za martwych. Kiedy goście z Berlina zamknęli się w punkcie sanitarnym, nikt nie interesował się ciałami leżącymi na schodach śmierci ani pobitymi dziećmi.

Kiedy Hans podbiegł na ratunek Mercedes, jeden ze strażników zaczął go kopać i dziecko straciło przytomność. Mimo to usłyszał krzyk swojej matki, błagaj ącej, by starał się przeżyć.

Więźniom kazano sprzątnąć schody. Pobite dzieci zaniecono do jednego z baraków, gdzie polski lekarz o nazwisku Lechow, starał się jakoś im pomóc, choć miał do dyspozycji jedynie kawałki szmatek i wodę, którą obmył dzieci z krwi.

W najgorszym stanie była dziewczynka. Była nieprzytomna, Lekarz kłął pod nosem z bezsilności. Pomyślał, że chłopcy mogą zostać w tym baraku, nie mają już matek, do których

mogliby wrócić, dziewczynkę jednak hitlerowcy prawdopodobnie albo dobiją, albo zabiorą do izby chorych, gdzie czeka ją pewna śmierć.

Zszył głowę Mercedes igłą i nitką, którą więźniowie naprawiali ubrania. Jeden z nich, Rosjanin, wyciągnął nie wiadomo skąd butelkę z resztką wódki i dał ją lekarzowi, by zdezynfekował głowę dziewczynki. Mała jęczała i rzucała się z bólu, ale wciąż była nieprzytomna.

— Jeśli ktoś ją tu znajdzie, będzie źle — mruknął jakiś więzień.

— Mamy ją oddać kapo? Ten skurwysyn Gustav byłby gotów udusić ją własnymi rękami. Wątpię, by trafiła z powrotem do baraku dla kobiet... — odparł lekarz.

— Ma ogoloną głowę, nie bardzo wiadomo, czy to dziewczynka, czy chłopiec — wtrącił inny więzień.

— Oszaleliście! Jeśli ją znajdą, zabiją nas! — krzyknął starszy mężczyzna.

— Ja jej nie oddam, wy róbcie, jak uważacie — odpowiedział Polak.

Dziewczynka przypominała mu jego córkę. Nie wiedział, co się z nią stało. Przyjaciele obiecali mu, że będą się opiekowali jego rodziną, ale czy im się to udało? A jeśli mała trafiła do obozu takiego jak Mauthausen? Musi prosić Boga, by ktoś się nad nią ulitował, tak samo jak on ulitował się nad tą obcą dziewczynką.

— Bardzo proszę, nie wydawajcie jej — dobiegł z kąta cichy głosik.

Wszyscy popatrzyli na chłopca, który przed paroma godzinami tak dzielnie bronił swojej matki i siostry na „schodach śmierci”.

— Jak się nazywasz? — zapytał Polak.

— Carlo Cipriani, proszę pana.

— Słuchaj, Carlo, starajcie się, by nikt was nie zauważył, wiem, że trudno jest minąć niezauważenie kapo, ale nie jest to niemożliwe.

— Tak, proszę pana, postaramy się, prawda? — powiedział Carlo, zwracając się do Brunona i Hansa.

Dzieci pokiwały główkami. Potem usiadły na ziemi koło pryczy, na której leżała Mercedes. Sami mieli sińce i rany, jednak najbardziej bolały ich dusze. Zamordowano ich matki, na ich oczach, a oni nie mogli im pomóc.

Tej nocy Mercedes dryfowała na granicy życia i śmierci. To cud, że następnego ranka odzyskała przytomność.

Carlo ścisnął rączkę Mercedes, gdy tylko zobaczył, że mała otwiera oczy. Czuwał przy niej przez całą noc razem z Hansem i Brunonem, Modlili się, prosząc Boga, by ulitował

się nad ich małą koleżanką. Lekarz powiedział im, że Bóg ich wysłuchał i wyciągnął ją z otchłani.

Kiedy kapo weszli do baraku i kazali mężczyznom ustawić się w szeregu, nie zauważyli dzieci, które skuliły się na ziemi w najciemniejszym kącie.

Mercedes leżała przykryta kocami.

Kiedy dzieci zostały same, Hans podał Mercedes odrobinę wody. Dziewczynka popatrzyła na niego z wdzięcznością. Wszystko ją bolało, kręciło jej się w głowie, ale najbardziej przeszkadzał jej smak krwi w ustach, krwi martwego brata, którym rzucił w nią esesman.

— Musimy go zabić — wyszeptał Carlo, a trójka przyjaciół popatrzyła na niego wyczekująco.

— Zabić? — zdziwiła się Mercedes.

— Musimy go zabić, bo on zabił nasze mamy – powtórzył Carlo.

— A nasi bracia już... już się nie urodzą — powiedziała dziewczynka z oczami pełnymi łez.

Ani Hansowi, ani Brunonowi, ani Carlowi nie pociekła ani jedna łza, chociaż ich dusze wypełniał bezgraniczny ból.

— Moja mama mówiła, że jeśli czegoś bardzo pragniesz, to to się spełni — powiedział nieśmiało Hans.

— Ja chcę go zabić — powtórzył Carlo.

— Ja też — poparł go Bruno.

— I ja — dodała Mercedes.

— Więc go zabijemy — zgodził się w końcu Hans. — Tylko jak? To będzie trudne.

— Nie zostaniemy tu długo — powiedział Bruno. — Moja mama mówiła, że alianci wygrają, ona się na tym dobrze znała.

— Kto to są ci alianci? — zapytała Mercedes.

— To ci, którzy walczą przeciwko Hitlerowi — odpowiedział Hans.

— Przysięgnijmy — zaproponował Carlo.

Położyli dłonie na dłoni Mercedes i zamknęli oczy, świadomi powagi chwili.

— Przysięgamy, że zabijemy tego przekłętą człowieka, który zabił nasze matki i nasze rodzeństwo.

Dzieci powtórzyły słowa Carla i potwierdziły wzrokiem, że składają przysięgę, która będzie ich wiązać do samej śmierci.

Reszta dnia upłynęła im na wyobrażaniu sobie chwili, kiedy będą go mordowali, i dyskusji o tym, jak to zrobić. Kiedy nocą więźniowie wrócili do baraku, znaleźli dzieci skulone z zimna, głodne, ale z błyszczącymi oczami. Lekarz złożył to na kar gorączki.

Zbadał dzieci, jego twarz wyrażała troskę. Jedna rana na głowie Mercedes zaczęła ropieć. Przemył ją resztką wódki od rosyjskiego jeńca, który potrafił zdobyć prawie wszystko, choć czasami po prostu kradł.

— Potrzebne nam są lekarstwa — stwierdził lekarz.

— A niby skąd mamy je wziąć? — mruknął polski więzień, inżynier górnik.

— Nie poddam się! Jestem lekarzem, będę walczył o życie tego dziecka!

— Nie kłóćcie się — wtrącił się inny Polak. — Ten tutaj — powiedział, wskazując na Rosjanina — zna sprzątaczy w izbie chorych, może mógłby ich o to i owo poprosić.

— Ja tego potrzebuję teraz, w tej chwili.

O świcie lekarz poczuł, że na jego ramieniu zaciska się czyjaś ręka. Rosjanin wcisnął mu do ręki małe zawiniątko i wrócił na swoją pryczę.

Lekarz ostrożnie rozwinął paczuszkę i na widok jej zawartości zdusił okrzyk. Bandaże, środek dezynfekujący, środki przeciwbólowe — nawet o tym nie marzył.

Podniósł się ostrożnie, żeby nikogo nie obudzić, i przyglądał się dzieciom śpiącym niespokojnym snem. Odwinął opatrunek ze szmatki na głowie Mercedes i zabrał się do dezynfekowania rany. Dziewczynka się obudziła — położył palec na jej ustach, żeby nie krzyczała i dzielnie znosiła ból. Zagryzła koc i blada jak ściana leżała spokojnie, gdy lekarz przemywał ranę. Potem podał małej kubek wody i dwie pastylki.

Hans, Bruno i Carlo również zostali opatrzeni. Dostali też środki przeciwbólowe.

— Podśledzałem, jak kapo mówili, że Niemcy przegrywają — powiedział hiszpański komunista, przyglądając się zabiegom lekarza.

— Wierzysz w to? — zapytał lekarz.

— Owszem. Mój znajomy sprząta pokój, w którym stoi radio. Mówi, że Niemcy się denerwują, słuchają na okrągło BBC i niektórzy już się zastanawiają, co z nimi będzie, jeśli przegrają wojnę.

— Niech Bóg ma nas w opiece — westchnął Polak.

— A co tu ma do rzeczy Bóg? Gdyby istniał, nie pozwoliłby na takie potworności. Ja nigdy nie wierzyłem w Boga, moja matka, owszem, i pewnie modli się teraz o mój powrót do domu. Jeśli jednak uda nam się stąd wyjść, to nie dzięki Bogu, tylko aliantom. Ty wierzysz w Boga? — zapytał Hiszpan z ironią.

— Tak. Inaczej nie zniósłbym tego wszystkiego. On pomaga mi przeżyć.

— A dlaczego nie ocalił matek tych niebożąt? — Hiszpan wskazał dzieci.

Mercedes przysłuchiwała się im w milczeniu, z całej siły starając się zrozumieć, o czym mówią. Rozmawiali o Bogu. Kiedy mieszkała w Paryżu, mama czasem zabierała ją do kościoła. Szły do bazyliki Sacré Coeur, bo mieszkały blisko. Nigdy nie zostawały długo, matka wchodziła, żegnała się, szeptała parę słów i szły dalej. Mama zawsze mówiła, że Bóg będzie chronił jej tatę i idą do kościoła, by Go o to poprosić. Jednak jej ojciec zginął, one zaś musiały uciekać, a Bóg nie zrobił nic, by im pomóc.

Pomyślała o tym, co powiedział Hiszpan, że Boga tu nie ma, i milcząco się z nim zgodziła. Nie, w Mauthausen nie było Boga. Zamknęła oczy i rozplakała się, starając się nie pociągać nosem, by nikt jej nie usłyszał. Wydawało jej się, że widzi mamę leżącą na stopniach niekończących się schodów.

Potem usłyszała, jak mężczyźni zastanawiają się, co zrobić z ukrywanymi w baraku dziećmi. Carlo, Hans i Bruno błagali ich, by pozwolili jej z nimi zostać, obiecali, że będą się nią opiekowali, przysięgli, że będą pilnowali, żeby nie płakała.

Zostanie więc tu, w tym baraku, jakby była chłopcem. Miała również zachowywać się jak chłopiec, a najlepiej tak, jakby jej nie było, bo jeśli ktoś ją znajdzie, zapłacą za to wszyscy.

Tannenberg był zdenerwowany. Georg zadzwonił już tydzień po swoich odwiedzinach w Mauthausen.

Nie udzielił mu żadnych wyjaśnień, powiedział tylko, że następnego dnia będzie na niego czekał w swoim gabinecie, i to jak najwcześniej.

Zieris, kiedy usłyszał o wyjeździe, starał się przekonać Alfreda, by został. Alfred uciał wszelką dyskusję: wraca do Berlina na rozkaz Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Wracają obydwaj, on i Heinrich.

Podróż trwała prawie całą noc, kiedy dotarli do Berlina, świtało. Heinrich zaproponował, by poszli do swoich domów, żeby przywitać się z rodzicami i nieco ogarnąć przed stwajaniem się w biurach RSHA. Alfred uznał, że to dobry pomysł. Miał ochotę

uściskać ojca, a nawet wysłuchać paplaniny matki, która na pewno będzie utyskiwała, że jest chudy jak patyk.

O ósmej rano obaj oficerowie stanęli w gabinecie Georga, był tam też Franz. Pozdrowiwszy się gestem Hitlera, cała czwórka padła sobie w ramiona.

— Przegraliśmy, kapitulacja to tylko kwestia dni. Rosjanie otoczyli nasze pozycje. Hitler wychodzi z siebie, ale przegrał tę wojnę i w Niemczech nikt w tej chwili nie rządzi. Musimy uciekać.

— A co z Himmlerem? — zapytał Alfred.

— Przekonałem go, że muszę pojechać do Szwajcarii i spotkać się tam z grupą naszych agentów. Już parę miesięcy temu mówiłem mu, że musimy liczyć się z upadkiem Rzeszy. Mamy ludzi w wielu krajach, zorganizują nam ucieczkę.

Georg wyjął z szuflady trzy teczki i wręczył po jednej każdemu z przyjaciół. Otworzyli je i zobaczyli swoje nowe dokumenty tożsamości.

— Heinrich, ty wyjedziesz do Lizbony, a stamtąd do Hiszpanii. Mamy przyjaciół w kręgach zbliżonych do generała Franco. Będziesz się teraz nazywał Enrique Gómez Thomson. Twój ojciec jest Hiszpanem, matka Angielką, dlatego nie mówisz po hiszpańsku, zawsze mieszkałeś za granicą. Tu masz numer do jednego z moich najlepszych ludzi, to agent, już od jakiegoś czasu przygotowuje się na przyjęcie kilku przyjaciół, gdyby się okazało, że przegrywamy wojnę. To nasz stary znajomy z czasów studenckich, Eduard Kleen.

Heinrich kiwnął głową, nie odrywając wzroku od dokumentów, które przemieniały go w innego człowieka.

— Jak dotrę do Lizbony?

— Polecisz rano samolotem, mam nadzieję, że alianci cię nie zestrzelą — odpowiedział ze śmiechem Georg. — Oficjalnie udajesz się do naszej ambasady w Lizbonie, tani dostaniesz nominację na asystenta attaché wojskowego. Kiedy zostanie ogłoszony koniec wojny, wyjedź z Lizbony. Wcześniej jednak skontaktuj się z naszym przyjacielem Eduardem Kleenem, a on przygotowuje twoją podróż do Hiszpanii. Najpierw udasz się do Madrytu, potem on powie ci co dalej. Eduard zrobił kawał dobrej roboty, to prawdziwe hiszpańskie dokumenty od naszych przyjaciół frankistów, nie ma takiej rzeczy, której by nie zrobili, jeśli położą im się na stole garść banknotów.

— Widzę, że mnie wysyłasz do Brazylii — mruknął Franz, patrząc w swój nowy paszport.

— Tak. Musimy jechać tam, gdzie nikt nas nie będzie szukał, gdzie mamy dobrych przyjaciół, gdzie rządy przymkną oko na naszą obecność i nie będą mieć najmniejszego

interesu w dociekaniu, kim jesteśmy. Brazylia jest dobrą kryjówką, mam tam innego z moich ulubionych agentów. To prawdziwy *bon vivant*, podobnie jak Eduard od wielu miesięcy przygotowuje kryjówki dla kilku ważnych osób, które nie mają zamiaru spędzić reszty życia w więzieniu.

— Nie mówię po portugalsku — narzekął Franz.

— Nic na to poradzisz! To dobre miejsce, nie marudź. Nie możemy niestety pojechać wszyscy razem do tego samego kraju. Nie byłoby to inteligentne posunięcie, raczej czyste szaleństwo.

— On ma rację, Georg — wtrącił się Alfred, który był usatysfakcjonowany nową tożsamością. Zostanie Szwajcarem z Zurychu, choć jego ostatecznym miejscem przeznaczenia ma stać się Kair.

— A ty, Georg? — zainteresował się Franz.

— Już wam powiedziałem, wyjeżdżam już jutro rano, najpierw z wujem do Szwajcarii, a stamtąd nasi przyjaciele ze Stanów Zjednoczonych zabiorą nas do swojego fantastycznego kraju. Moi rodzice wyjechali już dzisiaj, zostaną w Szwajcarii z fałszywymi paszportami. A co do waszych staruszków... porozmawiajcie z nimi i zgłóście mi w ciągu dwóch godzin, co chcą zrobić. Mogę przemyścić ich do Szwajcarii z podrobionymi dokumentami, ale musiałbym wszystko załatwić jeszcze dzisiaj, jutro już mnie tu nie będzie. Zostały wam dwie godziny. Wróćcie do domów, porozmawiajcie z rodzinami, niech zachowają absolutną dyskrecję. Jeśli ktoś się dowie, zastrzelą nas. Oczekuję was za dwie godziny.

— Himmler nie zgodzi się przecież, żebyś tak przepadł – zauważył Franz.

— Nie zamierzam nigdzie przepadać. Zajmę się kontrolą kryjówek, które wybrali nasi agenci. Jak się pewnie domyślacie, w Stanach też mamy swoich ludzi, więcej niż przypuszczacie.

Alfred Tannenberg z niecierpliwością czekał na odpowiedź ojca. Ten milczał, zamyślony, nie zważając na irytację małżonki.

— Ojcze, chcę, żebyście wyjechali — nalegał Alfred.

— Tak też zrobimy, synu, na pewno, ale nie chcę wyjeżdżać za daleko od Niemiec. Nawet jeśli przegramy wojnę, to jest nasza ojczyzna.

— Tato, nie mamy czasu...

— Dobrze, zacniemy się pakować.

Franz i Heinrich bez trudu przekonali swoich rodziców do wyjazdu. Byli gotowi przekroczyć granicę, osiedlić się w Szwajcarii i stamtąd przyglądać się rozwojowi sytuacji. Już od dawna większość ich oszczędności procentowało w szwajcarskich bankach.

Georg wykazał się wielkimi zdolnościami organizacyjnymi, bo kiedy dwie godziny później jego przyjaciele weszli do gabinetu, miał już gotowe podpisane przepustki dla wszystkich członków ich rodzin. Muszą wyjechać jeszcze dziś po południu, najpóźniej nocą, bo, jak powtarzał, wojna skończy się lada moment.

Następnie zaprosił ich na obiad do siebie domu.

— Doskonale, teraz musimy zastanowić się, czym się zajmiemy, kiedy będziemy już daleko stąd.

— Ożenimy się — stwierdził bez wahania Franz.

— Ożenimy? — zdziwił się Heinrich.

— Tak, rozmawiałem już z Alfredem, to najlepsze rozwiązanie. Powinniśmy się natychmiast ożenić w każdej z naszych nowych ojczyzn. Alfred nie może tego zrobić, już ma żonę, ale ogólnie to nie jest zły pomysł.

— Sami się żeńcie, ja nie mam zamiaru — oświadczył Georg, co jego przyjaciele zbyli milczeniem.

— Chcę wam coś zaproponować — odezwał się Alfred.

Te słowa zaintrygowały przyjaciół. Wiedzieli, że ich kolega jest nieprzeciętnie inteligentny i potrafi improwizować w najtrudniejszych okolicznościach. Nieraz tego dowiódł.

— Nasi rodzice mają pieniądze, więc nie mamy się o co martwić. Obawiam się jednak, że nam nie będzie łatwo zdobyć środki do życia. Naturalnie i my mamy pieniądze, odkładaliśmy je, pracując, ale może się zdarzyć, że nie pozwolą nam wypłacić z konta wszystkiego. Jesteśmy oficerami SS, nasze nazwiska są znane, więc zwycięzcy mogą nas szykanować. Wydaje mi się, że rodzice zostaną w Szwajcarii dłużej, niż sądzą, obawiam się więc, że jeśli zacznie się szukanie odpowiedzialnych za... to, co się tu stało, ktoś uzna, że i my jesteśmy winni. Do czego zmierzam: powinniśmy założyć firmę i firma ta musi stać się bardzo dochodowa.

Słuchali go w napięciu i z zainteresowaniem.

— Zajmiemy się sztuką, antykami — ciągnął. — Wrócimy do naszego wyuczonego zawodu, bo przecież jesteście archeologami.

— Alfredzie, do czego zmierzasz? — dopytywał się niecierpliwie Franz.

— Moim miejscem przeznaczenia jest Kair. Georg wybiera się do Bostonu, ty do Brazylii, Heinrich zaś do Hiszpanii. To doskonały układ — Alfred mówił teraz bardziej do siebie samego niż do przyjaciół.

— Mów jaśniej — domagał się Georg.

— Ja nadal przechowuję tabliczki, które odebraliśmy tym staruchom w Charanie, nie licząc innych tabliczek i przedmiotów pochodzących z tamtych wykopalisk. Zajmiemy się więc handlem starociami, unikatowymi dziełami, o jakich marzy każdy kolekcjoner. Bliski Wschód pełen jest takich rzeczy.

— A skąd weźmiemy te przedmioty? — zapytał Franz.

— Widzę, że nie byłeś zbyt piinym studentem. Nie pamiętasz wykładów o rabusiach grobowców? Wschodnie rządy i urzędnicy są skorumpowani, to tylko kwestia pieniędzy, pieniędzy na prowadzenie wykopalisk tam, gdzie zechcemy, pieniędzy, żeby dostać na własność to, co znajdziemy, a nawet wykupić niektóre dzieła muzealne, które w tamtych krajach nikogo nie obchodzą, bo ich obywatele nawet nie wiedzą, co mają. Zapewniam was, na świecie są ludzie gotowi zapłacić tyle, ile zażądamy za pewne obiekty. Ja zajmę się organizowaniem biznesu z Kairu, będę podróżował po Syrii, Transjordanii, Iranie, Palestynie... będę dostarczał towar, wy zaś będziecie nim handlować. Ty, Georg, zajmiesz się rynkiem amerykańskim, Heinrich europejskim, Franz zaś południowoamerykańskim. Oczywiście musimy to robić pod szyldem jakichś fikcyjnych firm, będących przykrywką dla naszej prawdziwej działalności, ale nad tym zastanowimy się później.

Tannenberg mówił z takim entuzjazmem, że zaraził nim przyjaciół.

— Zajmiemy się grabieżą na dużą skalę, przywłaszczymy sobie skarby ignorantów, którzy nawet nie wiedzą, co mają — obiecywał Alfred.

— Powinniśmy założyć firmę handlową eksport-import, która będzie miała biura tam, gdzie osiadziemy — podsunął Heinrich.

— Ty, Georg, zamieszkaż w Bostonie. Musisz się dowiedzieć, w jaki sposób zakłada się stowarzyszenie promujące sztukę. Amerykanie mają tyle rozmaitych fundacji. Nie wiem, czy fundacja będzie wystarczającą przykrywką, ale potrzebne nam coś związanego ze sztuką, właśnie stowarzyszenie lub fundacja, która z czasem zajmie się finansowaniem wypraw archeologicznych. Ich owoce oczywiście trafią do nas. Fundacja to nie do końca przejrzysty

twór, więc możemy sprzedawać za jej pośrednictwem sztukę wszystkim, którzy zechcą ją kupować.

— Fundacje to nie są zwykłe przedsiębiorstwa — zauważył Franz.

— Nasza będzie wyjątkiem, chociaż dobrze zakamuflowanym. Będzie taka jak my, wygląda na jedno, a jest czym innym. Musimy zdobyć szacunek i poważanie — odpowiedział Alfred.

— Niełatwo jest prowadzić fundację. Fundacje zależą od banków, uczelni, a ja jeszcze nie wiem, w jakiej sytuacji będę w Stanach — mówił zatroskany Georg.

— Ze zdziwieniem odkryjesz, że Amerykanie dobrze zapłacą twojemu wujowi. Natychmiast wprowadzą go do kręgów akademickich, zaangażują do tajnych przedsięwzięć... Poznacie ważnych ludzi. Wszystko zależy od tego, czy zdołasz stopić się z nowym środowiskiem, czy wykorzystasz ścieżki przetarte przez wuja. Nie, nie możemy założyć fundacji od razu. Najpierw musimy się zasymilować w społeczeństwach, w których przyjdzie nam żyć. Kiedy przestaniemy rzucać się w oczy, zaczniemy rozkręcać nasz plan. Tymczasem ja będą powoli przygotowywał się na tę chwilę. Co się tyczy prowadzenia firmy eksportowo-importowej, uważam, że to dobry pomysł. W Europie potrzebne będzie wszystko, wszystko trzeba odbudować, a ty przed chwilą powiedziałeś, że w Ameryce mamy więcej przyjaciół, niż sobie wyobrażamy. Wzbogacimy się na pokoju — podsumował ze śmiechem Alfred.

— Sprzedamy tabliczki z Charanu? — chciał wiedzieć Georg.

— Nie, lepiej nie. Chcę odnaleźć pozostałe. Gdybyśmy natrafili na tabliczki zapisane ręką Szamasa, zrewolucjonizowalibyśmy świat archeologii, nie wspominając o tym, że stalibyśmy się bogaci. Nie powinniśmy się jednak śpieszyć. Ja zajmę się tym, byśmy mogli wrócić na wykopaliska w Charanie. Może odkryjemy, co wiedział Abraham o stworzeniu świata? Czy jego wersja jest taka sama jak znana opowieść biblijna? Zapewniam was, że nie spocznę, dopóki nie znajdę tych tabliczek, a kiedy je zdobędę, postanowimy, co dalej, a to, czego dokonamy, przyniesie nam sławę.

— Nie powinniśmy zbytnio zwracać na siebie uwagi — odpowiedział zaniepokojony Georg.

— Spokojnie, będziemy niewidzialni. Pamiętaj, że za parę dni staniemy się kimś innym. Nie zwierzałem wam się z tego, ale moim jedynym marzeniem jest zdobyć te tabliczki... Boże, oddałbym wszystko, żeby je odnaleźć!

— Wy nie musieliście słuchać przez tyle lat o tych tabliczkach — jęknął Heinrich. — Nie było dnia, żeby o nich nie wspominał, to jego obsesja!

— Musimy dobrze wiedzieć, co zamierzamy zrobić i w jaki sposób. Ważne jest, byśmy zastanowili się, jak będziemy się kontaktowali. A co do tabliczek... podzielę się nimi z wami, to jasne, pozwólcie jednak, że najpierw sam je odnajdę.

— Ja nie mam nic przeciwko temu — powiedział Heinrich.

— Co się stanie z Führerem?

— Chyba nie zamierzasz popadać w sentymentalizm, Franz? Nie możemy trzymać z przegranym. Miał wizję wielkich Niemiec, ale nie potrafił wygrać wojny.

— Ale gdzie on teraz jest? — zapytał Franz.

— Zdaje się, że go ktoś przekonał, żeby się zabarykadował w którymś z bunkrów. Nie wiem i nie obchodzi mnie to, ja się stąd zmywam, wy też. Wydaje ci się, że któryś z nas obchodzi go choć trochę? Ocalmy, co się da, nic więcej nie można zrobić. On już zapewnił sobie miejsce w historii.

Pożegnali się, wiedząc, że upłynie sporo czasu, nim znowu się spotkają. Przysięgli sobie lojalność do końca swoich dni, ciesząc się w duszy z biznesu wymyślonego przez Alfreda. Będą grabili, wydzielali z trzewi Orientu najcenniejsze skarby i sprzedawali tym, którzy zapłacą najwięcej. Zawsze znajdzie się kolekcjoner pozbawiony skrupułów i zacierający ręce z niecierpliwości, by wejść w posiadanie unikatowych obiektów, o jakich śmiertelnicy nie mogą nawet marzyć.

Wiosna zdawała się omijać Mauthausen. Więźniowie, bliżsi śmierci niż życiu, przyglądali się strażnikom, przekonani, że za chwilę coś się wydarzy. Przez ostatnie dni kapo byli szczególnie brutalni i strzelali do ludzi z byle powodu.

Alfred Tannenberg wyglądał przez okno gabinetu Zierisa. Noce były jeszcze mroźne, strażnicy pilnujący ogrodzenia rozcierali zmarznięte ręce. Alfred z Heinrichem wrócili do Mauthausen przed godziną i natychmiast udali się do gabinetu Zierisa, by przekazać mu najnowsze wieści. Komendant obozu wysłuchał ich z zainteresowaniem, nie odważył się jednak zadawać żadnych pytań, ponieważ wydało mu się podejrzane, że ci dwaj młodzi oficerowie nagle zostali skierowani na misje zagraniczne daleko od Austrii.

Po wyjściu od Zierisa Heinrich i Alfred poszli do swoich domów do zachwycającego miasteczka Mauthausen-Gusen.

Heinrich spakował się w dwie godziny. Jego gospodyni, *fräulein* Heines, uroniła kilka łez, widząc, że ten grzeczny oficer wyjeżdża i prawdopodobnie nigdy tu nie wróci. W chwili

pożegnania wcisnął jej w dłoń kilka banknotów, które, jak powiedział, przydadzą jej się, dopóki nie znajdzie innego pracodawcy.

Piętnaście minut później Heinrich pukał do drzwi domu Tannenberga. Przyjaciel otworzył po dłuższej chwili, twarz miał zmienioną, najwyraźniej stało się coś złego, Heinrich wiedział, że Greta, żona Alfreda, oczekuje dziecka, ale do porodu zostało jeszcze kilka miesięcy.

— Co się stało?

— Greta... źle się czuje, Kazałem wezwać lekarza. Mam nadzieję, że nie straci dziecka...

— Nawet tak nie myśl. Pozwól mi do niej zajrzeć...

— Lepiej nie wchodź do jej pokoju, służąca próbuje jej pomóc.

— W takim razie nie mogę zostać dłużej, muszę jechać, ty też. Pamiętaj, że Georg chce, byśmy jutro byli daleko stąd.

— Nie martw się, jedź do Berlina i wsiadaj w samolot do Lizbony. Ja tymczasem nie mam wyjścia, muszę tu zostać.

— Georg kazał nam jak najszybciej wyjeżdżać!

— Georg nie ma ciężarnej żony. Zrobię, co będę mógł, ale w tej chwili nie mogę się stąd ruszyć.

— Jutro wieczorem musisz przekroczyć granicę — nalegał Heinrich.

— Nie wiem, czy będę mógł, ty jednak jedź. Wyświadczy mi przysługę, wyjedź stąd jak najszybciej. Nie będę spokojny, dopóki nie upewnię się, że wszyscy jesteście daleko.

Uściskali się serdecznie. Łączyło ich nie tylko dzieciństwo i lata spędzone na uczelni, również te kilka lat w Mauthausen było doświadczeniem, które na zawsze odcisnęło piętno w ich świadomości. Uczynili sobie z bólu innych ludzi najlepszą rozrywkę, nawet nie wiedzieli, jak wielu ludzi osobiście torturowali lub zamordowali.

— Zobaczmy się jeszcze — zapewniał Alfred.

— Co do tego nie mam wątpliwości — odparł Heinrich.

Lekarz długo nie przychodził, a kiedy w końcu dotarł, Alfred powiedział, że to spóźnienie będzie go drogo kosztować. Greta krzyczała z bólu.

Przez godzinę Alfred czekał w kuchni, pijąc wódkę. Nie modlił się, nie wierzył w Boga, wykorzystał tę godzinę na dokładne obmyślenie planu ucieczki z Austrii, bo wiedział już, że musi zmodyfikować plan Georga — tego wieczoru na pewno nie uda mu się wyjechać.

Kiedy lekarz w końcu wyszedł z sypialni i stanął w kuchennych drzwiach ze szlochającą służącą za plecami, Alfred zrozumiał, że się nie udało. Podniósł się z krzesła i podszedł do lekarza z pytaniem w oczach.

— Przykro mi, nie udało się uratować córeczki. Pańska żona... cóż, jej stan można określić jako ciężki. Powinien ją pan przewieźć do szpitala, straciła dużo krwi. Jeśli ją pan tu zostawi, nie przeżyje.

— Więc to była dziewczynka? — zapytał Alfred, czerwony z gniewu.

— Tak.

Tannenberg wymierzył lekarzowi policzek. Ten nawet się nie zasłonił. Nie miałby odwagi zmierzyć się z esesmanem, zwłaszcza z człowiekiem, którego spojrzenie zdradzało bezgraniczne okrucieństwo.

Nie miał też odwagi ruszyć się z miejsca, stał więc, z palącą twarzą i bolącym nieznośnie uchem.

— Ambulans! Natychmiast! — wrzasnął Tannenberg. — A ty — zwrócił się do służącej — idź do mojej żony!

Kobieta szybko wybiegła z kuchni, obawiając się, że również oberwie. Greta majaczyła, przemawiając do swojej utraconej córeczki.

Karetka przyjechała dopiero po godzinie. Do tej pory Greta zapadła w śpiączkę, Tannenberg obawiał się najgorszego.

Kiedy dotarli do szpitala, Greta nie żyła. Jedyne, co mogli zrobić lekarze, to wypisać akt zgonu.

Tannenberg wpadł w szal, który lekarze i pielęgniarki przypisywali utracie małżonki. Przez myśl im nie przeszło, że to, co naprawdę doprowadziło kapitana SS do furii, to strata cennych godzin i świadomość, że mógł już być daleko.

Teraz trzeba powiadomić o wszystkim rodziców Grety i czekać, aż przyjadą na jej pogrzeb, co potrwa przynajmniej parę dni, Georg zaś postawił sprawy jasno, czas pracuje na ich niekorzyść. Przynajmniej, pomyślał, Heinrich i Franz działają zgodnie z planem. On musi zostać aż do pogrzebu Grety, w przeciwnym razie będzie miał do czynienia ze swoim wpływowym teściem, co było równoznaczne z tym, że podpadnie Himmlerowi, a dopóki Niemcy nie skapitulowały, ci ludzie wciąż pociągali za sznurki.

Przywiózł do domu ciało Grety i kazał służącej przygotować je do pogrzebu. Niezbyt boleśnie odczuwał tę stratę, chociaż Greta była oddaną żoną, nigdy go nie zawiodła, spełniała każdy jego kaprys, bez zastrzeżeń przyjmując wszystko, co mówił. Minęło wiele lat, nim Grecie udało się zająć w ciąży, i była tym niezmiernie uszczęśliwiona. Alfredowi zaczęła się

nawet podobać perspektywa zostania ojcem, czuł, że nie jest mu obojętne, że żona nosi w łonie jego dziecko. Wyobrażał je sobie jako jasnowłosą istotę o jasnej skórze i niebieskich oczach.

Komendant Mauthausen bardzo się zmartwił, kiedy dowiedział się o śmierci Grety. Zapytał, co w tej sytuacji z wyjazdem Alfreda, na co ten nic odpowiedział, tylko poinformował, że lada moment przybędzie tu jego teść, Fritz Hermann, należy więc przygotować wszystko na jego przyjazd. Jest w końcu jednym z ludzi najbliższych Himmlerowi.

Zieris nie drażył dłużej tematu, chociaż pozwolił sobie powiedzieć coś jeszcze:

— Dzwoniono z Berlina. Czerwony Krzyż nalega, by Himmler pozwolił im dokonać wizytacji Mauthausen. Już od miesięcy starają się o wpuszczenie do obozów. Mam przyjaciół, którzy zapewniają, że nasz Führer próbuje do tego nie dopuścić. Obawiam się, że wszystko stracone... Rosjanie zajęli część Niemiec, alianci za chwilę zaczną okupować Austrię... Podejrzewam jednak, że pan już o tym wie.

Tannenberg nie odpowiedział, tylko przyglądał się zimno komendantowi.

— Szkoda, że pan wyjeżdża — ciągnął Zieris. — Przyjedzie tu oddział esesmanów, by pomóc przy ewakuacji obozu. Musimy pozbyć się niektórych więźniów. To wszystko musi wyglądać jak... jak obóz więźniów. Zamek Hartheim ma wkrótce zostać zamieniony w sierociniec. Trzeba zatrzeć wszelkie ślady po komorach gazowych, po piecach krematoryjnych... w każdym razie czeka nas dużo pracy, szkoda, że nam pan nie pomoże.

Hermann i jego żona byli zrozpaczeni. Teraz, kiedy Rzesza padała, Tannenberg uznał, że jego niegdyś wpływowy teść jest tylko zwykłym człowiekiem, któremu zabrakło wyobraźni, by obmyślić skuteczny plan ocalenia własnej skóry. Nie zdradził mu, że wyjeżdża, tylko że powierzono mu misję zorganizowania za granicą schronienia dla wysokich oficerów SS.

Fritz Hermann słuchał go, ocierając łzy.

Kiedy teściowie wreszcie się pożegnali, odetchnął z ulgą. Teraz może wyjechać, nie ma czasu do stracenia.

Do małej walizki spakował dwie tabliczki z Charanu i kilka sztuk odzieży oraz dwie sakiewki, jedną wypełnioną dolarami, drugą pierścionkami, zegarkami i klejnotami odebranych więźniom.

Samochód z szoferem czekał przed domem. Alfred wyszedł, nie pożegnawszy się ze służącą, i wsiadł do samochodu, nie witając się z żołnierzem, który miał go przewieźć do Szwajcarii.

Na granicy uśmiechnął się z ulgą. W Zurychu natychmiast odszuka rodziców, ale nie zostanie tam długo. Kiedy już nawiąże kontakt z osobami, które polecił mu Georg, bez zwłoki wyjedzie do Kairu.

Rodzice zatrzymali się w małym hoteliku nieopodal centrum.

Nie ukrywali wzruszenia na jego widok. Matka wybuchnęła płaczem, słysząc o śmierci Greta i dziecka.

— Jak długo zostaniesz? — dopytywał się ojciec.

— Najwyżej parę dni, tyle tylko, by złapać samolot do Lizbony lub Casablanki. Stamtąd udam się do Kairu.

— Do Kairu? Po co?

— Ojczy, chyba nie muszę ci mówić, że przegraliśmy tę wojnę.

— Nie opowiadaj takich rzeczy. Hitler nigdy się nie podda.

— Tato, zgodziłeś się przyjechać do Szwajcarii, bo byłeś świadomy sytuacji.

— Tak, ponieważ przekonałeś mnie, że lepiej będzie doczekać tu końca wojny. Wcale jednak nie uważam, że jest przegrana.

— Więc lepiej, żebyś pogodził się z tym faktem. Wiem, że po wojnie chciałbyś wrócić do kraju, ale ja na twoim miejscu bym tego nie robił. Alianci będą szukali wszystkich, którzy odegrali znaczącą rolę w państwie Hitlera, i postawią ich przed sądem razem z nim. Dlatego wyjeżdżam do Kairu, zacznę nowe życie. Nic więcej nie mogę dla Niemiec zrobić.

Stary Tannenberg był przygnębiony, patrzył na syna z niedowierzaniem.

— Nas też chcesz zostawić? — zapytała wprost matka.

— Jestem zmuszony was opuścić. Nie mogę was ze sobą zabrać. Posłuchajcie, zostanieie w Szwajcarii. Tato, tu macie pieniądze, dość pieniędzy, żeby wygodnie żyć. Jeśli po wojnie wrócisz do Niemiec, wszystko stracisz.

— Będziesz się z nami kontaktował? — dopytywała się matka.

— Tak, postaram się, żebyście wiedzieli, co się u mnie dzieje, znajdę sposób, by odbierać wiadomości od was i reszty rodziny. Nie wiem jednak ani kiedy, ani w jaki sposób będę mógł to zrobić. Zmieniam nazwisko. Będę miał nową tożsamość.

Matka zaczęła płakać, ojciec chodził po pokoju w tę i z powrotem, zastanawiając się nad tym, co powiedział syn.

— Rozmawiałem z rodzicami Georga i Heinricha, rodzice Franza też są w Genewie — odezwał się w końcu.

— Wiem, Georg przygotował wszystko bardzo starannie. Tu będzie wam dobrze, jest tu dużo Niemców, wielu znajomych, którzy równie dobrze jak my wiedzą, że z Rzeszą koniec. Gdybym był tobą, tato, pomyślałbym o rozkręceniu jakiegoś interesu, czegoś, co umożliwi ci zakorzenienie się w Szwajcarii. Zrobiłbym coś jeszcze: powtarzałbym na głos, że Hitler cię rozczarował, że zrujnował Niemcy, że czujesz się oszukany.

— To byłaby niegodziwość!

— To by oznaczało pogodzenie się z rzeczywistością. Za parę miesięcy Hitler będzie traktowany jak zadżumiony, alianci postawią go przed sądem i trafi na szafot. Potem zaś odszukają wszystkich jego współpracowników, by rozprawić się z nimi w podobny sposób.

— Myślałem, że w SS wpoili ci poczucie honoru. — Ojciec Alfreda nie krył rozczarowania.

— W SS przede wszystkim nauczyli mnie, jak przeżyć. Zamierzam tę wiedzę wykorzystać.

— Co będziesz robił w Kairze, synu? — zapytała łagodnie matka.

— Ożenię się, najszybciej jak będę mógł.

— Ależ synku, nie dalej niż cztery dni temu pochowałeś żonę!

— Wiem, mammo, ale żałoba niczemu nie służy. Muszę przestać być Alfredem Tannenbergiem, muszę zacząć nowe życie.

— Więc przestaniesz nosić nazwisko Tannenberg? Wstydzisz się nas? — zapytał ojciec, czerwieniejąc z gniewu.

— Nie, nie wstydzę się, że jestem Tannenbergiem, nie chcę jednak, by ktoś mnie za to rozstrzelał, więc dopóki nie będziemy wiedzieli, co stanie się po upadku Rzeszy, lepiej nie rzucać się w oczy, a to nie najłatwiejsze zadanie dla oficera SS...

— Synku, co będziesz robił w Kairze, czego ci trzeba, proś, o co zechcesz — przerwała mu pani Tannenberg.

— Potrzebne mi są pieniądze: franki szwajcarskie, dolary, tyle, ile możesz dać, tato. A jeśli chodzi o to, co mam tam robić... Umówiliśmy się z Heinrichem, Georgem i Franzem, że gdy tylko będzie to możliwe, uruchomimy firmę importowo-eksportową. Jak się uda, zajmiemy się handlem antykami. To jednak nastąpi później, najpierw muszę dotrzeć do Kairu, odszukać łącznika poleconego mi przez Georga i nie rzucać się w oczy. Nie wiem, jakie będą moje kolejne kroki, ale jedno wiem na pewno: najlepszym sposobem, by stać się kimś innym,

będzie znalezienie rodziny, która mnie przygarnie i będzie osłaniała, dlatego muszę się ożenić.

Tego wieczoru Alfred zjadł kolację z rodzicami i siostrami oraz z rodzicami Heinricha i Georga. Ci ostatni byli przejęci decyzją swoich synów nie mniej niż Tannenbergowie, chociaż rodzice Georga odetchnęli z ulgą na wiadomość, że ich syn jest już z wujem w drodze do Ameryki.

Wszyscy niechętnie przyjmowali do wiadomości fakt, że stali się wygnańcami, i zamierzali wrócić, gdy tylko wojna się skończy. Twierdzili, że alianci nie będą sądzili cywilów, bo gdyby tak było, musieliby posadzić na ławie oskarżonych sporą część ludności Niemiec.

— Jeszcze się przekonacie, że w przyszłych władzach Niemiec znajdą się przestępcy polityczni, dzisiaj uwięzieni w obozach. Chyba że wcześniej ktoś ich zabije — mówił Alfred.

Dwa dni później żegnał się z rodzicami. Wewnętrzny głos mówił mu, że już ich nigdy nie zobaczy. Nie mógł jednak cofnąć się z obranej ścieżki, a zwłaszcza wrócić do Niemiec, więc niezależnie od tego, jak miałyby się potoczyć losy jego rodziców, tu rozdzielały się ich ścieżki i nic nie można było na to poradzić.

Kiedy samolot wylądował w Kairze, Alfred poczuł skurcz żołądka. W tej chwili zaczynał się dalszy ciąg jego życia i na razie nie czuł niczego poza wielką niepewnością. Podróżował ze swoim oryginalnym paszportem, tak jak zalecał mu Georg. Podrobione dokumenty miał pokazywać wtedy, gdy instynkt podpowie mu, że nadeszła pora. Kiedy stanie się jasne, że Niemcy przegrały wojnę.

Taksówka zawiozła go do małego hoteliku nieopodal ambasady amerykańskiej. Uśmiechał się do siebie, mijając siedzibę wroga; nawet do głowy im nie przyjdzie, że mają za sąsiada oficera SS.

Hotel pachniał stęchlizną, goście pochodzili głównie z Europy. Byli wśród nich uchodźcy, szpiedzy, dyplomaci i awanturnicy. Wręczył recepcjoniście paszport.

— No cóż, panie Tannenberg, mamy tylko jeden wolny pokój, ale to pokój dwuosobowy, jeśli pan sobie życzy, proszę bardzo, ale trzeba będzie zapłacić jak za dwie osoby. — Recepcjonista wiedział, że ten wysoki Niemiec o stalowych oczach zapłaci bez szemrania.

Tannenberg skinął głową, wiedział, że takie są reguły gry.

— W porządku, i tak czekam, aż ktoś do mnie dołączy — powiedział, opierając się nonszalancko o blat, by sprawiać wrażenie człowieka pewnego siebie.

— Doprawdy? A kiedy przyjedzie ta druga osoba? — dopytywał się recepcjonista.

— W odpowiednim czasie pana powiadomię — odpowiedział Tannenberg obojętnie.

Pokój nie był zbyt przestronny, ale z okien roztaczał się widok na Nil. Duże łóżce, stolik z lampką, kanapa, którą w razie czego można było rozłożyć, stoi, dwa krzesła i szafa. Była też niewielka łazienka. Tannenberg uznał, że hotel posłuży mu za mieszkanie, dopóki nie nawiąże kontaktu z łącznikiem, oficerem SS, odpowiedzialnym za znalezienie kryjówek dla innych oficerów, którzy dobrze znając sytuację w Niemczech, postanowili uciec.

Właściwie wszyscy wyjechali z Berlina oficjalnie. Georg po to, by nadzorować swoich agentów za granicą, Franz, by dołączyć do starszych rangą esesmanów w Ameryce Południowej, Heinrich, by podjąć pracę w ambasadzie Niemiec w Portugalii, on zaś, by popracować z grupą najwybitniejszych agentów w Kairze. Wszyscy dysponowali oficjalnym alibi oraz fałszywymi dokumentami.

Najpierw Alfred wnikliwie przestudiował rnapę Kairu i postanowił pospacerować po mieście. Szedł przez godzinę, przekonując się, że Kair to miasto pełne Europejczyków. Na ulicach panował nieopisany chaos: taksówki przejeżdżały przez skrzyżowania, a ich kierowcy nie rozglądali się na prawo ani lewo, nie uznawano kierunkowskazów, za to nad wszystkim unosił się przeraźliwy dźwięk klaksonów.

Alfred uśmiechnął się z zadowoleniem na widok szyldu Restauracja Kababgy. Pchnął drzwi i wszedł do środka. Podeszedł do niego z unizonym uśmiechem kelner w eleganckim uniformie i przywitał go po angielsku.

Tannenberg mówił po angielsku płynnie, ale był zaskoczony tym, jak biegle posługuje się tym językiem kairski kelner. Ten, sądząc, że gość milczy, ponieważ nie rozumie, zapytał niepewnie:

— Francuski? Niemiecki? Włoski? Hiszpański?

— Niemiecki — odrzekł Tannenberg.

— Witamy! Czy ma pan rezerwację?

— Nie, nie zdążyłem, przedchwilą przyjechałem. Przyjaciół powiedział, że to jedna z najlepszych restauracji w mieście.

— Dziękuję panu... A kim jest ten przyjaciel, jeśli można zapytać?

— Nie wiem, czy zna go pan z nazwiska, w każdym razie... jest... Niemcem, podobnie jak ja...

— Wśród naszych gości jest wielu Europejczyków... Proszę wejść, znajdę dla pana stół.

Sala pękała w szwach, wolny był tylko jeden mały stół w kącie. Tam właśnie podprowadził go kelner.

Alfred jadł z apetytem, przyglądając się z ciekawością gościom; rzeczywiście, klientela była tu różnorodna.

Wrócił do hotelu. Następnego dnia zamierzał udać się na poszukiwanie łącznika. Georg dał mu adres, było to gdzieś w okolicach Chan al-Chalili.

Obudził się tuż przed świtem i poczuł, że rozpira go energia. Pragnął nadal odkrywać to miasto, zobaczyć piramidy, pojechać do Aleksandrii, uznał jednak, że te wycieczki będą musiały poczekać.

Chan al-Chalili okazało się miastem w mieście. Uliczki były tu wąskie i kręte, a w powietrzu unosił się aromat przypraw, wywołujący przyjemne łaskotanie w żołądku. Alfred szedł długo, nie mógł odnaleźć adresu, aż zdecydował się zapytać jakiegoś człowieka, który siedział w progu małego sklepu z długim aromatycznym papierosem w ustach. Mężczyzna wy tłumaczył mu uprzejmie, którą drogą iść, a na koniec zapewnił że trudno nie trafić, bo cały Kair zna sklep Jasira Mubaka.

Trzy piętrowy budynek był lepiej utrzymany niż inne domy w sąsiedztwie. Szydł mówił, że przechodeń znajduje się przed firmą eksportowo-importową oraz sklepem z autentycznymi antykami.

Popchnął drzwi i znalazł się w niezwykle zagraconym wnętrzu. Nie było tu ani centymetra wolnej przestrzeni. Wystarczył rzut oka, by się przekonać, że „antyki” to tandetne imitacje. Z zaplecza wyszedł młody, schludnie wyglądający człowiek.

— Czym mogę służyć?

— Szukam pana Mubaka.

— Spodziewa się pana?

— Nie, nie wie, że dzisiaj przyjdę, ale proszę mu powiedzieć, że przysyła mnie pan Wolter.

Młodzieniec popatrzył na Alfreda uważnie i z wahaniem, po czym wskazał mu krzesło. Sam zniknął na schodach wiodących na wyższe piętra.

Tannenberg czekał ponad kwadrans. Wiedział, że przez cały czas ktoś go obserwuje. W końcu po schodach zszedł Jasir i podszedł do niego, uśmiechając się przyjaźnie.

— Proszę, proszę, przyjaciele pana Woltera są zawsze mile widziani. Zechce pan przejść do mojego gabinetu?

Weszli na pierwsze piętro i znaleźli się w obszernym pomieszczeniu urządzonym w zachodnim stylu. Zza drzwi dobiegał szmer głosów i stuk maszyn do pisania.

— Mówił pan, że nazywa się...

— Jeszcze się nie przedstawiłem. Nazywam się Alfred Tannenberg, muszę jak najszybciej spotkać się z panem Wolterem.

— Oczywiście, oczywiście... Wyślę panu Wolterowi wiadomość, że chce się pan z nim spotkać, a on się z panem skontaktuje. Chce pan mu coś napisać, coś konkretnego?

Tannenberg wyjął zalakowaną kopertę i wręczył ją Jasirowi Mubakowi.

— Proszę dać to panu Wolterowi i powiedzieć, że zatrzymałem się w hotelu Narodowym.

— Może pan na mnie polegać. Czy możemy pomóc w czymś jeszcze?

Alfred już miał odpowiedzieć, kiedy drzwi gabinetu otworzyły się i weszła brunetka, trochę podobna do Jasira Mubaka. Ubrana była w skromny szary kostium z białą bluzką i czarne pantofle na obcasie. Włosy miała upięte w kok.

— Ach, przepraszam, nie wiedziałam, że masz gościa...

— Wejdz... Alio, przedstawiam ci pana Tannenberga. To moja siostra, pomaga mi w prowadzeniu interesów.

Tannenberg poderwał się na równe nogi i stuknął obcasami, pochylając głowę. Nie miał odwagi podać jej ręki, bo chociaż kobieta nosiła się nowocześnie, być może uznałaby za obrażę, gdyby mężczyzna chciał jej dotknąć.

— Proszę pani...

— Miło mi pana poznać, Tannenberg — odpowiedziała Alia po niemiecku.

— Mówi pani w moim języku!

— Tak, przez parę lat mieszkalam w Hamburgu wraz z młodszą siostrą, która wyszła za mąż za przedsiębiorcę z pana kraju.

— Mój szwagier produkuje odzież — dodał Jasir. — Kupował od nas bawełnę i tak poznał moją siostrę... Cóż, jak to zwykle bywa, zakochali się, pobrali, mieszkali szczęśliwie w Hamburgu... do niedawna. Przed paroma laty, kiedy wybuchła wojna, wyjechali z Hamburga i teraz są tu, z nami.

— Ja też mieszkalam dość długo w Hamburgu, pomagałam siostrze wychowywać czwórkę jej nieznośnych dzieci — zaśmiała się Alia.

Jasir Mubak zaprosił Tannenberga na herbatę, ten zaś przyjął zaproszenie, nie spuszczając wzroku z kobiety. Nie była ani brzydka, ani piękna, ale miała w sobie coś pociągającego, dziwny magnetyzm. Tannenberg obliczył, że może mieć około trzydziestki.

To wtedy podjął decyzję. Ożeni się z Alią Mubak, o ile agent SS potwierdzi, że to rodzina godna zaufania, chociaż na pewno tak jest, skoro biuro Mubaka to miejsce spotkań agentów SS właśnie przybyłych z Niemiec.

Tego samego wieczoru poznał komendanta SS Helmuta Woltera.

Byli w podobnym wieku, wyglądali jak bliźniacy. Wolter był blondynem, miał stalowoszare oczy i jasną skórę, teraz spaloną słońcem. Wysoki, muskularny jak sportowiec, był wzorem oficera. Na pewno spodobałby się Himmlerowi.

Wolter poinformował Tannenberg, jaka jest sytuacja w Egipcie. Egipcjanie sympatyzowali z Hitlerem, zaś ich nienawiść do Żydów była prawie tak wielka jak niemiecka. Niemcy byli tu bezpieczni, a Wolter i inni agenci stworzyli prężną organizację. Teraz, kiedy najwyraźniej przegrali wojnę, siatka ma za zadanie organizować ucieczki esesmanów z Niemiec. SS, powiedział, nigdy się nie podda.

Alfred poczuł sympatię do tego człowieka, który już od pięciu lat mieszkał w Kairze i podróżował po Bliskim Wschodzie, zjednując Rzeszy zwolenników.

— Czy Jasirowi Mubakowi można zaufać? — zapytał Alfred.

— Oczywiście, że tak. To szwagier pewnego niemieckiego przedsiębiorcy, nazista jak my. Wyświadczył Rzeszy wiele przysług. Jasir i jego rodzina sympatyzują z naszą sprawą i udzielili nam ogromnej pomocy. Możemy ufać Jasirowi jak sobie samym — zapewnił Wolter.

— Pracuje dla nas?

— Współpracuje. Zdobywa dla nas dużo informacji. Ma sieć agentów na całym Bliskim Wschodzie. Jest kupcem i jak sam twierdzi, kupiec powinien być zawsze dobrze poinformowany. Nigdy nie przyjął od nas pieniędzy.

— Nie podobają mi się ludzie, którzy nie wystawiają rachunków za swoją pracę — mruknął Tannenberg.

— Bo on nie pracuje dla nas, tylko z nami, na tym polega różnica, kapitanie.

— A co z jego rodziną?

— Jasir jest żonaty, ma pięcioro czy sześcioro dzieci, kilka siostr, starszych rodziców i nieskończenie wielu wujów, kuzynów i pociotków. Jeśli mu się pan spodoba, któregoś dnia zaprosi pana do swojego domu. Zapewniam, że to niezapomniane doświadczenie.

— Poznałem jego siostrę, Alię.

— No tak, Alia! To szczególna kobieta, stara panna, pomaga Jasirowi w biznesie, bo mówi po angielsku i niemiecku. Nauczyła się w Hamburgu, pilnowała tam dzieci swojej siostry.

— Nie wyszła za mąż?

— Ma trzydzieści lat, w Egipcie kobieta, która nie wyjdzie za mąż wcześniej, w tym wieku nie znajdzie męża, chyba że rodzina ma dla niej ogromny posąg. Ona jednak nie wydaje się przejęta tym, że jest sama. Zresztą uchodzi za nieco dziwną osobę, nie chce się ubierać jak Egipcjanka, a to nie jest dobrze widziane. Nikt oczywiście nie powie jej słowa, bo Jasir to ważna persona.

Tannenberg z uwagą słuchał informacji na temat rodziny Mubaków. Potem zaczęli rozmawiać o najbliższej przyszłości i o tym, co będzie robił Alfred w tajnych służbach SS w Egipcie.

Przez następne dni kapitan Tannenberg układał plan działania. Wiadomości z Niemiec napływały coraz gorsze — alianci byli coraz bliżsi zwycięstwa, mówiło się, że koniec wojny i klęska Niemiec zapoczątkuje nową erę w dziejach ludzkości.

Pewnego dnia Tannenberg odwiedził Jasira w jego biurze i otwarcie złożył mu dwie propozycje.

— Jasirze, przyjacielu, wybacz, jeśli to, co powiem, zabrzmii zbyt śmiało, chciałbym jednak prosić cię o zgodę, bo zamierzam zacząć zalecać się do Alii. Moje intencje są czyste: jeśli ona się zgodzi, a jej rodzina udzieli nam błogosławieństwa, ożenię się z nią.

Jasir zaniemówił. Nie rozumiał, jak taki mężczyzna mógł zwrócić uwagę na jego siostrę. Alia nie jest pociągająca, pomyślał, niczym się nie wyróżnia, choć zna angielski i niemiecki i potrafi pisać na maszynie. Wątpił, by była z niej dobra żona. Rodzina pogodziła się z tym, że Alia zostanie starą panną, a tu nagle ten Niemiec chce zabiegać o jej względy? Dlaczego?

— Nie zrobię niczego bez twojej zgody — zapewnił Tannenberg, który widział niepewność malującą się na twarzy przyjaciela.

— Porozmawiam z ojcem, to od niego wszystko zależy. Jeśli ojciec zechce rozważyć pańską propozycję, dowie się pan o tym.

Na Jasira czekała jeszcze jedna niespodzianka.

— Dobrze, przyjacielu, teraz zaś chciałbym porozmawiać o interesach. Zamierzam uruchomić pewne przedsięwzięcie... firmę sprzedającą antyki, ponadto byłbym zainteresowany finansowaniem wykopalisk archeologicznych. Jestem archeologiem, a przynajmniej byłem nim przed wojną.

Tannenberg uważnie obserwował Jasira, mógł więc ocenić, jakim jest człowiekiem. Doszedł do wniosku, że kupiec myśli tylko o tym, jak zarobić jeszcze więcej pieniędzy. Z pomocą Jasira może wprowadzić w życie kilka swoich pomysłów, a nawet zrealizować plan,

jaki uknuł z Georgem, Franzem i Heinrichem. Był pewny, że znalazł w Jasirze właściwego wspólnika do interesów.

Rozmawiali przez pięć godzin. Jasir zabronił komukolwiek wchodzić do gabinetu. Postanowili, że założą firmę i zaczną handlować antykami, choć Jasir nadal będzie prowadził swoje interesy. Kontakty jednego zostaną połączone z pomysłami drugiego. Mieli niewątpliwie jedną wspólną cechę — obydwaj byli wyzbyci skrupułów.

Odpowiedź ojca Jasira i Alii nadeszła tydzień później. Alfred został zaproszony na rodzinny lunch w przyszły piątek.

Uśmiechnął się z satysfakcją. Sprawy nie mogły ułożyć się lepiej: uruchomił biznes, a na dodatek się ożeni. Małżeństwo z Alią miało wiele zalet, a wśród nich wstąpienie do klanu Mubaka, co miało mu zapewnić poparcie jednej z najważniejszych rodzin w Egipcie. Ponadto bycie wspólnikiem Jasira otworzy mu wiele drzwi na Bliskim Wschodzie, gdzie cudzoziemcowi niełatwo jest zdobyć zaufanie.

Kiedy zatelefonował Wolter, by donieść o samobójstwie Hitlera, Alfred sam był zaskoczony, jak obojętnie przyjął tę wiadomość. Jego jedynym zmartwieniem było to, jaki los spotka esesmanów przebywających w Egipcie i innych krajach Wschodu.

— Gdyby ci przekłęci Amerykanie się nie wtrącali, nie wygaliby z nami — skarżył się Wolter.

— Zaczęliśmy przegrywać wojnę w Rosji, Hitler się pomylił, źle ocenił Stalina — odpowiedział Alfred.

— Ja się pytam, dlaczego Amerykanie nie zrozumieli Hitlera! — powtarzał Wolter.

Tannenberg zastanawiał się wraz z Wolterem i Jasirem, czy powinien zmienić nazwisko. Wolter twierdził, że powinien to zrobić, Jasir uważał, że nie. Przecież w Egipcie nikt nie będzie Tannenberga szukał, a przyszły teść nie chciałby wydać córki za mężczyznę o wymyślonym nazwisku. Ten argument przekonał Alfreda, postanowił, że nadal będzie się nazywał Tannenberg, choć wiązało się to z pewnym ryzykiem.

Rok po zakończeniu wojny Alfred Tannenberg był już mężem Alii Mubak. Interesy szły lepiej, niż się spodziewał. Udało mu się skontaktować z Georgiem, który korzystając z

protekcji swojego wuja, zaczął układać sobie życie w Stanach. Heinrich mieszkał w Madrycie, ciesząc się swoim nowym nazwiskiem, otoczony bezpiecznym ciepłem reżimu frankistowskiego, Franz zaś triumfował w Brazylii, gdzie esesmańska siatka wykazała się szczególną skutecznością w ochranianiu swoich ludzi. Oczywiście musiało jeszcze upłynąć kilka lat, zanim biznes polegający na kradzieży antyków nabrał rozpędu, ale Tannenberg nie marnował czasu. Wyszukiwał obiekty, które zamierzał ukraść, kiedy okoliczności będą sprzyjające.

Jasir przedstawił go odpowiednim osobom, rabusiom grobowców, którzy znali Dolinę Królów jak własną kieszeń, ale to on sam, posiłkując się swoją wiedzą historyczną, opracował szczegółowy plan finansowania wykopalisk w Syrii, Jordanii i Iraku, starając się osobiście pokierować grupą, która zaangażowała się w prace w Charanie.

Śnił, że odnajdzie tabliczki Szamasa, zawierające historie opowiedziane przez Abrahama.

Tannenberg zaraził Alię swoją namiętnością do tabliczek i przekonał Jasira o tym, jak ważne jest to przedsięwzięcie.

Tabliczki stały się jego obsesją, motorem napędowym jego życia. Był przekonany, że w dniu, kiedy zgromadzi je wszystkie, stanie się sławny i nikogo wtedy nie będzie obchodzić jego przeszłość. Nie żałował wprawdzie tego, co robił w Mauthausen, był nawet z tego dumny, miał jednak świadomość, że alianci chcą postawić przed sądem wszystkich, którzy mieli coś wspólnego z obozami koncentracyjnymi. Będą go szukali, ale jak sam miał się wkrótce przekonać, bez wystarczającej determinacji. Jak słusznie zauważył Jasir, nikt nie wybierze się po niego do Egiptu.

W Egipcie, a później w Syrii i Iraku, znalazł schronienie, podobnie jak wielu innych oficerów SS. Wiadomość o procesie norymberskim dotarła do niego, gdy był na wykopaliskach w Charanie, nie przestając marzyć o odnalezieniu tabliczek. To właśnie tam poczęli syna Helmuta.

— Mercedes, proszę cię, nie płacz... — prosił Bruno.

Mercedes jednak nie mogła powstrzymać łez.

Carlo podał jej szklankę wody, Hans wyjął z kieszeni marynarki białą chusteczkę i podał przyjaciółce.

Popołudniowy gwar Barcelony wdzierał się przez otwarte okna do mieszkania Mercedes.

Pomysi, żeby się spotkać, należał do Hansa. Już po kilku godzinach wszyscy wylądowali na lotnisku w Barcelonie. Martwili się, ponieważ Mercedes, od chwili gdy dotarła do niej wiadomość o śmierci Alfreda Tannenberg, nie mogła otrząsnąć się z szoku.

— Przepraszam, przepraszam — szlochała — nie mogę się powstrzymać, nie mogę opanować łez, odkąd odebrałam telefon od ciebie...

— Mercedes, proszę cię, nie płacz — szeptał Carlo.

— Wiesz, to chyba cud, że udało nam się zabić tego potwora. Zawsze miałam pewność, że kiedyś to zrobimy, czasem jednak traciłam wiarę... — Z oczu Mercedes znów popłynęły łzy.

— No już, już, wszystko dobrze, nie płacz, powinniśmy się cieszyć. Dotrzyliśmy przysięgi i przeżyliśmy go — mówił Bruno.

— Nadal wspominam dzień, w którym Amerykanie wkroczyli do Mauthausen... ty ukrywałaś się w naszym baraku. Wyglądałaś jak chłopak, a ten dobry Polak ocalił ci życie i przekonał innych, by pozwolili ci tam zostać — wspominał Carlo.

— Gdyby Niemcy cię znaleźli... — zaczął Hans.

— Nie wiem, co by zrobili z nami, ale z pewnością kazaliby drogo zapłacić lekarzowi i pozostałym mężczyznom z baraku za pomaganie nam — powiedział Bruno.

— Wtedy byłaś dzielniejsza niż teraz, nie płakałaś — zażartował Carlo.

Mercedes wytarła oczy chusteczką Hansa i wypła łyk wody.

— Przepraszam... idę do łazienki, umyję twarz, zaraz wracam.

Kiedy wyszła, przyjaciele popatrzyli na siebie, nie ukrywając troski.

— Jak to możliwe, że ten potwór przez tyle lat mieszkał na Bliskim Wschodzie i nikt na niego nie doniósł? — odezwał się po chwili Bruno.

— Wielu nazistów ukryło się w Syrii, Egipcie, Iraku oraz w Brazylii, Paragwaju i innych krajach Ameryki Południowej. Przypadek Tannenberków nie jest żadnym wyjątkiem, po świecie chodzi wielu nazistów, którzy dożyli spokojnej starości przez nikogo nieniepokojeni — powiedział Hans.

— Jeśli weźmie się pod uwagę, że wielki mufti Jerozolimy był sojusznikiem Hitlera i że Arabowie byli w większości zwolennikami reżimu nazistowskiego, czy to takie dziwne? — Carlo wzruszył ramionami.

— Dlaczego przez tyle lat nie udało nam się go odnaleźć? — zastanawiał się Bruno.

— Bo w krajach rządzonych przez reżim lub dyktaturę bardzo trudno kogoś znaleźć — odpowiedział Carlo.

Mercedes wróciła do salonu. Była już spokojniejsza, chociaż oczy nadal miała zaczerwienione od płaczu.

— Jeszcze wam nie zdążyłam podziękować za to, że przyjechaliście — powiedziała, uśmiechając się.

— Wszystkim dobrze zrobi, jeśli pobędziemy trochę razem — odparł Hans.

— Boże, ależ długą odbyliśmy wędrówkę! — wykrzyknęła Mercedes.

— Tak, ale warto było czekać. Wszystkie te lata cierpienia, nocnych koszmarów, zostały w końcu wynagrodzone: zemsta — odparł Bruno.

— Zemsta... O tak, zemsta. Nawet przez jedną minutę w ciągu wszystkich tych lat nie miałem wątpliwości, że powinniśmy dotrzymać przysięgi. To, co przeżyliśmy... to było... to było piekło, dlatego myślę, że jeśli Bóg istnieje i nas ukarze, nic nie może być gorsze od Mauthausen — powiedziała Mercedes, której znów zbierało się na płacz.

— Rozmawiałeś ostatnio z Tomem Martinem? — zapytał Carlo Hansa, chcąc zmienić temat.

— Tak, i powiedziałem mu, żeby doprowadzili pracę do końca. Im szybciej, tym lepiej. Obiecał, że jego człowiek się tym zajmie, i wymienił cały szereg trudności, z jakimi musiał się zmierzyć, by zrealizować zadanie. Uważa, że nie doceniam dokonania, jakim jest zabicie człowieka, który jest protegowanym Saddama, i to na dodatek w Iraku — odpowiedział Hans.

— Zajęło mu to sporo czasu — zauważył Bruno.

— Tak, dlatego kosztowało nas to tyle, ile kosztowało. Global Group to nie agencja pospolitych rzeźników. W każdym razie nalegałem, by Clarę Tannenberg zabito jak najszybciej — dodał Hans.

— Być może jej wyeliminowanie okaże się bardziej skomplikowane. Wszystkie gazety piszą, że w każdej chwili Bush może rozpocząć wojnę. Jeśli tak się stanie, jeśli uderzą na Irak, człowiek Martina będzie miał kłopoty — martwił się Carlo.

— Nie wiadomo, czy ta wojna w końcu wybuchnie, nawet jeśli według gazet jest nie do uniknięcia — parsknął zniecierpliwiony Bruno.

— Wybuchnie na pewno, Amerykanie już o tym zdecydowali. A jest się o co bić — zapewnił Carlo.

— Wiesz, nigdy nie mogłem się nadziwić, że jesteś komunistą — powiedział Hans.

Carlo się roześmiał, choć jego śmiech brzmiał gorzko.

— Moja matka znalazła się w Mauthausen za to, że była komunistką, a raczej za komunizm ojca. On sam zmarł, zanim dotarli do obozu. Matka go podziwiała i podzielała jego poglądy. Kim więc mogłem zostać? Nadal wierzę, że komunizm nie jest taki najgorszy, mimo terroru, w jakim żyli ludzie za żelazną kurtyną, pod rządami Stalina, mimo gułagów...

— Nie interesują mnie powody tej wojny. Bush uwolni świat od mordercy, Saddam nic jest nikim innym, jak mordercą — stwierdził Hans.

— Tak, tyle że aby reżim Saddama upadł, będą musieli umrzeć niewinni ludzie, to zaś, drogi przyjacielu, jest moralnie nie do przyjęcia — uciął Bruno.

— Ilu niewinnych ludzi umarło, by wyzwolić nas? — odparł Hans. — Gdyby Stany Zjednoczone nie poświęciły tysięcy swoich ludzi, nie wyszlibyśmy z Mauthausen żywi.

— Obydwaj macie rację — podsumowała Mercedes.

Zamilkli, zatapiając się każde we własnych myślach.

W końcu Carlo podniósł się z fotela, klasnął i powiedział:

— Pora na obiad. Mercedes, jesteś naszą gospodynią, zaskocz nas jakąś niespodzianką. Postaraj się, by to był niezapomniany obiad, zasłużyliśmy na małą biesiadę, ponad pięćdziesiąt lat czekaliśmy na tę chwilę.

Mercedes obiecała im, że zjedzą najlepszy obiad w swoim życiu.

Gian Maria czyścił tabliczkę pokrytą zatartym pismem klinowym, kiedy do izby wpadł robotnik.

— Proszę pana, proszę pana, niech pan przyjdzie, jest jeszcze jedna sala, bo zawalił się mur! — wysapał z przejęciem.

Ksiądz wybiegł za robotnikiem.

Ajed Sahadi, niezwykle podekscytowany, wydawał polecenia grupie robotników, którzy przez przypadek natrafili na kolejne pomieszczenie.

— Co się stało? — zapytał Gian Maria.

— Robotnik uderzył w mur i zawaliła się ściana. Znaleźliśmy za nią jeszcze jedno pomieszczenie, podłoga zasypana jest kawałkami tabliczek. Kazałem wezwać panią Clare.

Właśnie w tej chwili ujrzeni nadbiegającą Clare, za którą podążała zadyszana Fatima.

— Co znaleźliście?

— Jeszcze jedno pomieszczenie i jeszcze więcej tabliczek — odpowiedział Gian Maria.

Clara kazała robotnikom podeprzeć stemplami stropy i ściany pomieszczenia i zebrać kawałki tabliczek. Gian Maria usiadł na ziemi, by obejrzeć znalezisko. Po tygodniach odszyfrowywania znaków zatartych przez czas bolały go oczy, wiedział jednak, że i tak wcześniej czy później Clara poprosi go, by rzucił okiem na nowo znalezione tabliczki.

Tabliczki nie wyróżniały się niczym szczególnym, zaczął więc ostrożnie układać je w pudełkach, by żołnierze mogli je zawieźć do obozu, gdzie gromadzono w kontenerze obiekty, których nie zabrał ze sobą Picot.

Pomyślał, że dobrze się składa, że Ante Plaskic zdecydował się do nich wrócić. Ahmed Huseini zadzwonił do Clary, by jej oznajmić, że w ostatniej chwili Chorwat postanowił zostać w Iraku i pojechać do Safranu, nie bacząc na ostrzeżenia i gniewne protesty Picota.

Również Ahmed próbował odwieść Plaskica od tego pomysłu, przekonując, że Clara nie zostanie w Safranie dłużej niż tydzień. Chorwat jednak nalegał i Ahmed zdołał znaleźć dla

niego wojskowy helikopter, który zawiózł go na wykopaliska. Odkąd przyjechał, pracował bez odpoczynku, towarzysząc Clarze, która wciąż nie pozwalała przerwać prac.

— Ile mamy tabliczek? — zapytała Giana Marię, który drgnął na dźwięk jej głosu.

Właśnie w skupieniu segregował tabliczki pod uważnym spojrzeniem Ante Plaskica.

— Ale się przestraszyłem! — wykrzyknął.

— Czy są chociaż coś warte? — dopytywała się Clara.

— Nie wiem. Niektóre to zapisy transakcji handlowych, inne wyglądają na modlitwy, nie zdążyłem jeszcze ich przestudiować. W każdym razie jutro zapakujemy je do kontenera, bo domyślam się, że będziesz chciała zabrać je do Bagdadu.

— Tak, chciałabym jednak, żebyś postarał się je odczytać, na wypadek gdyby...

— Claro, czy nadal wierzysz, że znajdziesz tabliczki, których szukał twój dziadek?

— Są tu! Muszą tu być! — odparła rozdrażniona Clara.

— W porządku, nie unos się, ale bądź realistką: została nam ledwie garstka ludzi do pracy. Ajed robi wszystko, co w jego mocy, ale ludzie odchodzą. Wzywa ich wojsko, inni zaś... cóż, wolą pilnować swojego domu, w powietrzu czuć wojnę.

— Zostały nam dwa dni, tylko dwa dni. Potem Ahmed nas stąd zabierze. Ministerstwo uznało wyprawę za zakończoną.

Ante Plaskic uważnie przysłuchiwał się tej rozmowie.

Clara była zbyt nerwowa i poruszona śmiercią dziadka, by przejmować się kimkolwiek czy czymkolwiek innym niż ona sama i jej pragnienie odnalezienia tabliczek Szamasa. Powrót Chorwata również przyjęła obojętnie, informatyk nie był jej do niczego potrzebny.

Upłynęło zaledwie parę dni od wyjazdu Picota i archeologów, ale Clarze wydawało się, że minęła wieczność. Tam gdzie wcześniej znajdował się tętniący życiem obóz, teraz stały tylko puste magazyny. Czas w tym miejscu znów się zatrzymał.

Nie zostali już prawie żadni robotnicy, ponieważ wojsko mobilizowało wszystkich mężczyzn. Ci, którzy zostali, patrzyli teraz na nią inaczej, bo nie wspierał jej autorytet dziadka.

Tylko obecność Ajeda Sahadiego gwarantowała względny porządek. Starał się jak zwykle, by robotnicy pracowali bez wytchnienia.

Clara wiedziała, że dwudziestego marca zacznie się inwazja na Irak i że tego dnia powinna znaleźć się jak najdalej od swojej ojczyzny. Czowała jednak, że coś ją zatrzymuje, starała się więc jak najlepiej wykorzystać czas.

Zegar wskazywał piątą rano, kiedy obudził ją dźwięk telefonu komórkowego. Kiedy usłyszała drżący głos Ahmeda, przestraszyła się.

— Claro...

— Na Boga, Ahmedzie, co się stało?

— Claro, musisz wracać.

— Czy... czy są jakieś nowe doniesienia?

— Martwię się.

— Tracisz nad sobą kontrolę.

— Możesz to nazywać, jak chcesz, ale nie powinnaś tam siedzieć do samego końca.

Wczoraj wieczorem rozmawiałem z Picotern, triumfuje.

— Gdzie jest?

— W Paryżu.

— W Paryżu? — wyszeptała Clara.

— Mówi, że wykonał już pewne ruchy, by zorganizować wystawę, i chce wiedzieć, kiedy przyjedziesz.

— Dokąd mam przyjechać?

— Nie wiem, pewnie tam, gdzie wystawa zostanie otwarta, nie wiem, nie pytałem.

— A ty, Ahmedzie, pojedziesz?

— Chcę ci towarzyszyć — odpowiedział ostrożnie Ahmed.

Wiedział, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych nagrywa wszystkie rozmowy i że po zamordowaniu Tannenberga Pałac zarządził drobiazgowe śledztwo. W otoczeniu Saddama zawsze panowała obsesja na punkcie zdrady, urzędnicy byli przekonani, że zabójcą Tannenberga był ktoś mu bliski.

— Jest piąta rano, jeśli nie masz mi już nic więcej do powiedzenia...

— Owszem, mam. Powinnaś przyjechać, jest już siedemnasty marca...

— Wiem, zostanę do dziewiętnastego, znaleźliśmy dziś kolejną salę i masę tabliczek.

— Nie, Claro, nie powinnaś tam zostawać, powinnaś być w Bagdadzie, w swoim domu.

— Jeszcze tylko dwa dni...

— Nie, Claro, nie. Dzisiaj pošlę po ciebie helikopter...

— Dzisiaj nigdzie nie pojedę, zaczekaj przynajmniej do jutra.

— Więc jutro o świcie.

Gian Maria nie spał przez całą noc. Katalogował ostatnio znalezione tabliczki, które następnie jego pomocnicy mieli zapakować do kontenera.

Od czytania zatartych znaków piekły go oczy. Miał jeszcze całkiem sporo tabliczek do sprawdzenia. Sięgnął na chybił trafił. Nagle podskoczył, tabliczka omal nie wypadła mu z rąk i nie rozbiła się na drobne kawałki. Na górze było napisane „Szamas”. Poczuł, że przyspiesza mu tętno, zaczął czytać, przesuwając palcem po równych linijkach wgłębień.

Na początku Bóg stworzył niebo i ziemię. A ziemia była chaosem i pustkowiem, i ciemność była nad otchłanią, a Duch Boży unosił się nad powierzchnią wód.

I rzekł Bóg: „Niech stanie się światłość!”. I stała się światłość. Bóg, widząc, że światłość była dobra, oddzielił ją od ciemności. I nazwał Bóg światłość „dnem”, a ciemność nazwał „nocą”. I tak nastał wieczór i nastał poranek: dzień pierwszy...

Łzy popłynęły po twarzy księdza. Poczuł nagłą potrzebę, by paść na kolana i podziękować Bogu.

Ta gliniana tabliczka zawierała słowa Abrahama zainspirowanego przez Boga, które wiele wieków później zostaną zawarte w Biblii.

Gian Maria wstał z klęczek, lecz nie mógł skupić się na czytaniu, tak wielkie ogarnęło go wzruszenie.

Potem Bóg rzekł: „Niechaj powstanie sklepienie pośród wód i niechaj oddzieli wody od wód!”. Uczynił więc Bóg sklepienie i oddzielił wody pod sklepieniem. A gdy tak się stało, Bóg nazwał to sklepienie „niebem”. I nastał wieczór i nastał poranek — dzień drugi...

Czytał dalej, nie zdając sobie sprawy, że czyta na głos. Czuł się tak blisko Boga, jak nigdy dotąd. Wiedział, że w tej całej stercie znajdzie więcej tabliczek podpisanych ręką Szamasa.

Zaczął szukać, niecierpliwy i pełen zapału, odczytując przede wszystkim znaki na górnej krawędzi tabliczek, gdzie skrybowie wpisywali swoje imię. Najpierw znalazł kawałek

tabliczki, potem jeszcze kilka, w ten sposób udało mu się złożyć osiem glinianych płytek z imieniem Szamas.

Modlił się, śmiał, płakał, gdyż emocje mieszały się w nim i splatały, w miarę jak odnajdywał kolejne tabliczki.

Wiedział, że musi powiadomić Clare, chciał jednak smakować w samotności chwilę, która dla niego przesycona była duchowością. To cud, mówił do siebie i dziękował Bogu za to, że wybrał go, by to on odkrył te okruchy wypalanej gliny, na której odcisnięty był ślad Boga.

Starał się odszyfrować znaki starannie wyryte trzcinką Szamasa i zastanawiał się, kim mógł być ów skryba, skąd znał patriarchę Abrahama i dlaczego ten postanowił opowiedzieć mu historię stworzenia świata.

Zastanawiał się nad tym, jaką drogą odbył ów człowiek, który napisał swoje pierwsze tabliczki w Charanie, gdyż to właśnie tam dziadek Clary znalazł dwie tabliczki zapowiadające, że patriarcha Abraham zamierza opowiedzieć, jak powstał świat, a Szamas będzie spisywał jego słowa. Tajemniczy skryba pozostawił swój ślad również w Safranie, w tej świątyni nieopodal Ur, gdzie natrafili na tabliczki z rozporządzeniami prawnymi, wykazami roślin, poematami...

Na niektórych z nich widniało imię Szamasa, na innych podpisali się inni skrybowie.

Pomieszczenie, w którym natrafiono na te tabliczki, nie wyróżniało się niczym szczególnym. Było małe, bez ozdób, tylko wręby na ścianach wskazywały na to, że wieki temu opierały się o nie półki, na których skrybowie układali tabliczki. Clara powiedziała, że mała powierzchnia świadczy o tym, iż mieścił się tu czyjś prywatny pokój, zaś odłamki zapisanych skorup różniły się od dotychczasowych znalezisk.

Gian Maria pomyślał, że jego życie w ciągu ostatnich miesięcy zatoczyło krąg. Daleko za nim zostały bezpieczne mury Watykanu, wygodna rutyna dzielona z innymi kapłanami, spokój. Nie pamiętał już, kiedy ostatnio porządnie się wyspał, bo odkąd wyjechał z Rzymu, każdej nocy drżał ze strachu. Bał się, że nie zdoła powstrzymać ręki gotowej popełnić zbrodnię.

Jego oczy znów wypełniły się łzami, gdy czytał słowa, które przenosiły go w chwilę, kiedy Bóg stworzył człowieka.

Wreszcie rzeki Bóg: „Uczyńmy człowieka na obraz nasz, podobnego do nas. Niech panuje nad rybami morskimi, nad ptactwem niebios, nad bydłem, i nad całą ziemią, i nad wszelkim płazem pełzającym po ziemi!”.

I stworzył Bóg człowieka na obraz swój. Na obraz Boga stworzył go. Jako mężczyznę i niewiastę stworzył ich.

I błogosławił im Bóg i rzekł do nich: „Rozradzajcie się i rozmnażajcie się, i napełniajcie ziemię, i uczyńcie ją sobie poddaną. Panujcie nad rybami morskimi, nad ptactwem niebios, i nad wszelkimi zwierzętami, które poruszają się po ziemi”.

I rzekł Bóg: „Oto daję wam wszelką roślinę wydającą nasienie na ziemi i wszelkie drzewa, których owoc ma w sobie nasienie, niech będzie dla was pokarmem”.

Było już jasno, kiedy Gian Maria uświadomił sobie, że przygląda mu się Ante Plaskic. Nie zauważył jego nadejścia, tak bardzo był pochłonięty lekturą.

— Ante, nie wyobrażasz sobie, co znalazłem!

— No, pochwal się — rzucił sucho Chorwat.

— Dziadek Clary miał rację, zawsze wierzył, że patriarcha Abraham zostawił nam w spadku historię stworzenia, i proszę, te tabliczki istnieją, tylko popatrz...

Ante wziął do ręki jedną z tabliczek. Wydawało mu się niewiarygodne, by ludzie byli skłonni mordować się dla tego kawałka gliny, tak jednak było.

— Ile ich jest? — zapytał.

— Osiem. Dziękuję Bogu, że to właśnie ja je znalazłem — odpowiedział uszczęśliwiony ksiądz.

— Musimy je dobrze zapakować, by ich nie uszkodzić, jeśli chcesz, pomogę ci — zaproponował Chorwat.

— Nie, nie, najpierw musimy zawiadomić Clarę. Wiem, że nic nie wynagrodzi jej straty dziadka, ale przynajmniej spełnił się jego sen. Przecież to cud!

W tej chwili do izby wszedł Ajed Sahadi i popatrzył na nich podejrzliwie.

— Co się stało? — zapytał.

— Ajed, mamy tabliczki! — wykrzyknął Gian Maria.

— Jakie tabliczki?

— *Gliniana Biblia!* Pan Tannenberg miał rację. Clara miała rację. Patriarcha Abraham opowiedział o stworzeniu świata skrybie, ten zaś wszystko spisał — tłumaczył podekscytowany Gian Maria.

Nadzorca podszedł do stołu, na którym leżało osiem tabliczek, z których trzy zostały poskładane z małych kawałków. Gian Maria marzył o tym, żeby Clara pozwoliła mu zawieźć tabliczki do Rzymu, gdzie zostaną zbadane przez naukowców z Watykanu.

To najważniejsza noc w naszym życiu, pomyślał.

Nadzorca poprosił go, by poszedł do chaty Clary. Nie chciał zostawiać tabliczek pod opieką Chorwata. Clara, mimo wczesnej pory, była już ubrana i piła z Fatimą herbatę.

— Widzę, że wcześniej wstałeś — przywitała go.

— Claro, *Gliniana Biblia* istnieje — wydusił Gian Maria.

— Naturalnie, że istnieje! Jestem pewna, w końcu mam na to dowód w postaci dwóch tabliczek.

— Mamy ją, mamy *Glinianą Biblię*, znaleźliśmy!

Clara popatrzyła na niego zdumiona. Gian Maria często mówił rzeczy, które wprawiały ją w zakłopotanie.

— Były w tym nowo odkrytym pomieszczeniu. I jest ich osiem, osiem tabliczek długości dwudziestu centymetrów. To... to *Gliniana Biblia*!

Clara zerwała się z krzesła.

— Co ty opowiadasz?! Gdzie są?! Powiedz, co znaleźliśmy?! — zaczęła krzyczeć.

Gian Maria złapał ją za rękę i pociągnął za sobą. Pobiegli do magazynu, po drodze opowiedział jej, co wyczytał na tabliczkach.

Między Ajedem Sahadim i Ante Plaskicem wyczuwało się napięcie. Mierzyli się wzrokiem, na co Clara nie zwróciła najmniejszej uwagi. Podeszła do stołu, na którym leżały tabliczki.

Wzięła pierwszą z brzegu, szukając na niej imienia skryby, i poczuła, że ogarnia ją fala wzruszenia, kiedy na krawędzi jednej z nich rozróżniła znaki układające się w imię Szamas. Zaczęła odczytywać w ciszy to, co zostało wyryte w glinie ponad trzy tysiące lat temu.

Nie mogła powstrzymać łez, Gian Maria również. Na przemian śmiali się i płakali, wciąż od nowa oglądając tabliczki, jakby chcieli się przekonać, że naprawdę istnieją, że to nie sen.

Następnie owinęli je starannie w tkaninę. Clara postanowiła, że będzie ich osobiście strzegła.

— Powinniśmy postawić przy nich strażników — zasugerował Ajed Sahadi.

— Ajedzie, postawiłeś już strażników przy mnie, pilnują mnie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, więc to chyba to samo, tabliczki będą przy mnie bezpieczne.

Sahadi wzruszył ramionami. Nie miał ochoty kłócić się z tą upartą kobietą. Gdyby Pułkownik nie kazał mu jej pilnować, wyjechałby już dawno, zostawiając ją na pastwę losu.

— Kiedy wyjeżdżamy? — zapytał Ante Plaskic.

— Dopiero przyjechałeś i już chcesz uciekać? — uśmiechnęła się Clara.

— Myślałem, że mógłbym się jeszcze do czegoś przydać, dlatego wróciłem — tłumaczył.

— Chcę, by robotnicy postarali się odsunąć piasek z tej strefy, w której znaleźliśmy tabliczki. Może wyjedziemy pojutrze.

— Nie, wyjedziemy jeszcze dziś po południu. Właśnie dzwoniłem do Pułkownika, przyśle helikopter — powiedział stanowczo Sahadi.

— Ale przecież nie możemy teraz wyjechać! Musimy dalej szukać! — krzyknęła Clara z rozpaczą.

— Proszę nie kusić losu i nie narażać na niebezpieczeństwo siebie i innych! — krzyknął Sahadi.

— Niech pan na mnie nie krzyczy!

— Nie krzyczę na panią, a jeśli podniosłem głos... Otrzymałem rozkazy i będę się ich trzymał. Proszę się przygotować, wyjeżdżamy dziś po południu.

Mężczyzna drzemał w zaciszu swojego gabinetu. Właśnie zakończyło się długie zebranie, postanowił więc chwilę odpocząć. Poprosił sekretarza, by nie łączył żadnych rozmów i nie przeszkadzał mu, dopóki on sam go nie wezwie.

Z drzemki wyrwał go głos sekretarza:

— Panie Wagner, telefon, zdaje się, że to pilne... — powiedział, stając w uchylonych drzwiach.

George Wagner wstał z kanapy, usiadł za biurkiem i podniósł słuchawkę.

— To pan Brown — dodał sekretarz. — Twierdzi, że to bardzo pilne, nie może czekać.

— Słucham — rzucił Wagner do słuchawki.

— Nie uwierzysz, co się stało! Znaleźli ją, istnieje! — krzyczał Brown.

— O czym ty mówisz? Mów wyraźnie i powoli, nie wrzeszcz.

Robert Brown przełknął ślinę, starając się uspokoić, tymczasem Ralph Barry, stojący obok, wypił jednym haustem whisky.

— *Gliniana Biblia...* istnieje... znaleźli ją. Osiem tabliczek z Księgą Rodzaju, podpisanych przez Szamasa... — wydusił Robert Brown.

George Wagner zacisnął palce na oparciu fotela. Starał się, by w jego głosie nie słyhać było wzruszenia.

— O czym ty mówisz? — powtórzył.

— Dostałem wiadomość, że wczoraj w Safranie archeolodzy odkryli kolejne pomieszczenie świątynne, wyglądające na pracownię skryby. Znaleźli w niej kilkadziesiąt tabliczek i dopiero parę godzin temu zdali sobie sprawę, że wśród nich jest *Gliniana Biblia*. To osiem tabliczek, z których trzy są w kawałkach, nie ulega jednak wątpliwości, że stanowią one część *Glinianej Biblii* — zakończył Robert Brown.

Wagner poczuł dławienie w gardle. Zaledwie parę dni temu został zamordowany Alfred Tannenberg, a teraz pojawia się *Gliniana Biblia...* Przeznaczenie zakpiło z jego przyjaciela, odmawiając mu zdobycia tego, czego pragnął najbardziej na świecie.

- Gdzie są te tabliczki? — zapytał.
- Kto wie? Być może dotarły już do Bagdadu razem z Clarą. Nasz człowiek z nią jest. Kiedy nadarzy się okazja, przejmie tabliczki, choć nie będzie to łatwe.
- Jak tylko je zdobędzie, wydostaniemy go stamtąd. Zadzwoń do Paula Dukaisa, powiedz mu, że to priorytetowa sprawa.
- Ale... jeszcze nie udało mi się skontaktować z tym człowiekiem. To nasi przyjaciele przysłali nam tę wiadomość — wyjąkał Brown.
- Nie pomylili się? — spytał nieufnie Wagner.
- Nie ma mowy o pomyłce. *Gliniana Biblia* istnieje.
- A Huseini?
- Dostał takie same instrukcje jak nasz człowiek. Ma przejąć tabliczki. Nie martw się, zdobędziemy je — zapewnił Brown. Brown zamilkł na kilka sekund.
- Za chwilę zadzwonię do Paula Dukaisa... — powiedział po chwili.
- Koniecznie.
- A jeśli ona... a jeśli Clara będzie stawiała opór?
- Clara to tylko mała górka piasku w porównaniu z wielką górą naszych zadań — odrzekł Mentor.

- Pułkownik siedział w Żółtym Domu w gabinecie Tannenberga i rozmawiał z Clarą. Ahmed Huseini przysłuchiwał się rozmowie, obawiając się reakcji żony.
- Dziecko drogie, najlepiej będzie, jeśli dasz mi te tabliczki. Wywiozę je z Iraku i każę zdeponować w bezpiecznym miejscu — tłumaczył Pułkownik.
- Przecież przed chwilą powiedziałeś, że już jutro muszę się znaleźć daleko od Iraku, dlaczego nie mogłabym ich ze sobą zabrać?
- Wojskowy nie zamierzał tracić czasu na dyplomatyczne sztuczki.
- Claro, twój dziadek miał wspólników, a sama wiesz, co się stanie po wybuchu wojny. Nie bądź więc uparta i po prostu ułatw nam pracę.
- Te tabliczki nie mają nic wspólnego z interesami, jakie prowadził mój dziadek. Należą do mnie i do nikogo więcej.
- Wspólnicy twojego dziadka nie myślą w ten sposób. Daj mi je, a w odpowiedniej chwili odbierzesz swoją część.
- One nie są na sprzedaż i nigdy nie będą — rzuciła Clara wyzywająco.

— Proszę cię, nie utrudniaj! — błagał Ahmed.

— Niczego nie utrudniam, po prostu odmawiam bycia okradzioną. Dziadek wytłumaczył mi dokładnie, na czym polegają jego interesy, i zapewnił, że te tabliczki, czyli *Gliniana Biblia*, znaczą coś więcej, nie są na sprzedaż.

Pułkownik wstał i podszedł do Clary. Ta wyczytała z jego oczu, że jest gotowy na wszystko. Ogarnął ją strach. Popatrzyła na Ahmeda, ale w jego spojrzeniu była tylko rezygnacja. Co się stało z mężczyzną, w którym się zakochała?

— Jeśli je panu dam, czy obieca mi pan, że nie zrobicie żadnego ruchu, dopóki nie porozmawiam ze współnikami dziadka? — zapytała nieco spokojniej.

— Oczywiście, oczywiście... Wspólnicy twojego dziadka to dżentelmeni, rozsądni ludzie. Nie chcą zrobić ci krzywdy. To dobry pomysł, byś to z nimi przedyskutowała. Teraz zaś nie marnujemy czasu. Sama wiesz, że do ataku zostały już tylko dwa dni i musimy się stąd wydostać. Mnie trudniej będzie uciec, chociaż na pewno mi się uda.

— Dobrze, jutro dam panu tabliczki...

— Nie, żadne jutro. Chcę je mieć teraz, Claro.

Clara zrozumiała, że Pułkownik nie wyjdzie z Żółtego Domu bez tabliczek.

— Zgoda — odparła zmęczonym głosem. — Proszę tu zaczekać.

Wyszła z gabinetu i przeskakując po dwa stopnie, znalazła się w swoim pokoju. Fatima nadal zajęta była rozpakowywaniem bagażu.

— Idź do swojej sypialni i przynieś mi jakieś swoje ubrania, muszę uciekać! — poleciła Clara.

— Co się stało? Dokąd uciekać? — zapytała przestraszona kobieta.

— Chcą mi odebrać *Glinianą Biblię*. Nic mogę cię prosić, byś mi towarzyszyła, bo jeśli nas złapią, obie zginieemy... Pośpiesz się przynajmniej i przynieś mi swoje ubrania.

— A Gian Maria i ten drugi chłopak, Ante Plaskic? Zaprowadziłam ich do pokoi dla gości. Mogą ci pomóc, zaraz ich zawiadomię...

— Nie! Rób, co ci kazałam, byle szybko.

Clara wyjęła z szafy torbę i wkładała do niej ubrania wyjmowane na chybił trafił. Wrzuciła również woreczek, w którym były tabliczki. Bała się, że zostaną z nich same skorupy, ale wolała zaryzykować, że się potłuką, niż je stracić. Była gotowa na wszystko, byle tylko nie oddać cennego znaleziska Pułkownikowi.

Fatima wbiegła na górę z naręczem ubrań. Clara błyskawicznie narzuciła czarną tunikę i burkę, która zakryła ją od stóp do głów.

— Idziesz? — zapytała Fatimę.

— Tak, nie zostawię cię samej — odpowiedziała służąca.

Sahadi czekał na podeście schodów. Tak kazał mu Pułkownik.

Fatima na jego widok stłumiła okrzyk.

Clara utkwiała wzrok w oczach Sahadiego, starając się przewidzieć jego reakcję.

— Co pan tu robi? — zapytała gniewnie.

— Pułkownik kazał mi pani pilnować — odparł, wzruszając ramionami.

— Pułkownik mi nie ufa — stwierdziła Clara.

— A ma ku temu powody? — zapytał kpiąco mężczyzna, który przez ostatnie miesiące chodził za nią jak cień.

— Chce zabrać *Glinianą Biblię*.

— Domagają się jej wspólnicy pani dziadka, to część biznesu — odpowiedział Sahadi.

— Nieprawda. Dobrze pan wie, ile pracy kosztowało nas jej odnalezienie. Te tabliczki to nie tylko skarb archeologii, to marzenie życia mojego dziadka.

— Niech się pani nie pakuje w kłopoty. Jeśli nie odda pani tabliczek, odbiorą je siłą.

— Ile chce pan za pomoc?

Nie spodziewał się takiej odpowiedzi. Był zaskoczony, że Clara chce go przekupić, wiedziała przecież, że Pułkownik za zdradę karze śmiercią.

— Moje życie nie ma ceny — odpowiedział poważnie.

— Nawet pana życie ma swoją cenę. Szybciej, niech pan mówi, ile chce, i pomoże mi się stąd wydostać.

— Z tego domu?

— Z Iraku.

— Ma pani przecież egipski paszport, może wyjechać, kiedy jej się spodoba. Zresztą Pułkownik udzielił pani na to zgody.

— Jego zgoda na nic mi się nie zda, jeśli nie dam mu tabliczek. Czy dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów wystarczy?

Uśmiezek na twarzy Ajeda Sahadiego odzwierciedlał całą jego pazerność. Poczul, że krew szybciej krąży mu w żyłach, chociaż doskonale wiedział, że jeśli przyjmie tę propozycję, zostanie zdrajcą.

— Tak czy inaczej, zarobię dużo pieniędzy. Od dawna pracuję dla Pułkownika i znam reguły gry.

— W takim razie zna pan również zasady popytu i podaży. Ja muszę wydostać się z Iraku, pan zaś może mi w tym pomóc. Proszę zaproponować jakąś sumę.

— Może mi pani zapłacić pół miliona dolarów?

— Mogę, ale w Egipcie albo w Szwajcarii, tu nie mam takiej sumy.

— A skąd mam wiedzieć, czy spełni pani tę obietnicę?

— Muszę, bo inaczej mnie pan zabije lub wyda Pułkownikowi, co oznaczałoby mniej więcej to samo.

— Mógłbym panią wydać chociażby teraz.

— Więc albo niech pan to zrobi, albo przyjmie moją propozycję, nie mamy czasu.

Nie zdążył odpowiedzieć. Trzask otwieranych drzwi przestraszył ich oboje. Gian Maria wyszedł z pokoju gościnnego i stał teraz na schodach, przyglądając im się wyczekująco.

— Co się stało? — zapytał, nie rozumiejąc, dlaczego Clara ubrana jest tak, jak zwykle ubierała się Fatima.

— To proste: Pułkownik domaga się *Glinianej Biblii*, ja zaś nie mogę mu jej oddać, proponuję więc Ajedowi Sahadiemu, by pomógł mi w ucieczce.

Ksiądz patrzył na nich z niedowierzaniem.

Zapadła cisza, w końcu Sahadi wykrzywił się i dał im znak ręką, by ukryli się w pokoju Giana Marii. Kiedy się tam znaleźli, zaczął chodzić w tę i z powrotem, zastanawiając się, czy warto ryzykować życie i pomagać Clarze dla pięciuset tysięcy dolarów. Uznał, że to czysty hazard: wszystko albo nic. Jeśli pomoże Clarze, może stracić życie albo zarobić więcej pieniędzy, niż kiedykolwiek mu się śniło.

— Jeśli nas znajdzie, zabije nas — mamrotał.

— Tak właśnie robi — odpowiedziała spokojnie Clara.

— Zna pani ten dom lepiej niż ja i doskonale wie, że pilnują go żołnierze.

— Mogę wyjść przebrana za Fatimę, nikt mnie nie zatrzyma.

— Dobrze. Niech pani idzie do kuchni, weźmie koszyk i wyjdzie tylnymi drzwiami, jakby wybierała się po zakupy. Fatima powinna zostać w swoim pokoju, a Gian Maria u siebie.

— Ale dokąd Clara ma pójść? — spytał Gian Maria.

— Wydaje mi się, że jedyne miejsce, gdzie może czuć się bezpiecznie, przynajmniej przez parę godzin, to hotel Palestyna — odpowiedział Sahadi.

— Pan oszalał! W hotelu roi się od zagranicznych dziennikarzy, a wielu z nich zna Clare.

— Dlatego musi poszukać kogoś, komu może zaufać. Może tę dziennikarkę, tę, co się tak polubiła z profesorem Picotem? Niech pani poprosi, by panią ukryła, dopóki nie będę mógł pani stamtąd zabrać. Tylko niech pani ani na chwilę nie wychodzi z jej pokoju.

— Sądziś, że mogę jej zaufać? — zapytała niepewnie Clara.

— Sądzę, że podoba jej się profesor Picot, a jemu z kolei nie podobałoby się, gdyby usłyszał, że coś się pani stało, bo ona odmówiła pomocy. Mogłoby to fatalnie wpłynąć na ich znajomość. Więc choćby za panią nie przepadała, pomoże.

— No proszę, jaka analiza, znalazł się psycholog — mruknęła z przekąsem Clara.

— Nie marnujmy czasu, niech pani już idzie. Proszę zasłonić twarz, Fatima pomoże pani założyć chustę w taki sposób, jak noszą je szyitki. I niechże pani zostawi tę torbę, trzeba ukryć tabliczki w inny sposób, znajdziemy coś mniejszego, torebkę...

— Nie zmieszczą się...

— Mamy wózek na zakupy? — podsunęła Fatima.

— Dobry pomysł! — wykrzyknęła Clara.

— Pójdę z tobą — zaoferował się Gian Maria.

— Ani mi się waź! Chcesz, żeby nas wszystkich wymordowali? — syknął Sahadi. — Proszę iść, Claro, a wy róbcie tak, jak powiedziałem. Za chwilę rozpęta się tu piekło. Pułkownik zechce was przesłuchać, a najbardziej ucierpi na tym Fatima.

— Zabieram ją ze sobą! — upierała się Clara.

— Nie można! Mamy tylko jedną szansę, niech jej pani nie zmarnuje. Teraz wszystko zależy od Fatimy. Pułkownik każe ją torturować, będzie przekonany, że ona wie, dokąd pani poszła. Jeśli ona coś powie, wszyscy umrzemy... chyba że...

— Co takiego? — dopytywał się Gian Maria.

— Chyba że uda nam się ich przekonać, że Clara wyszła, nic nikomu nie mówiąc, albo że ktoś ją porwał razem z tabliczkami... — Sahadi myślał na głos.

— Niestety, żołnierze zeznają, że widzieli, jak z posesji wychodzi jakaś kobieta, pewnie Fatima. Wersja z porwaniem nie przejdzie — stwierdziła zniechęcona Clara.

— Dobrze, w takim razie zaryzykujmy, postawmy wszystko na jedną kartę. Wyjdźcie razem, jeśli żołnierze was nie zatrzymają, idźcie prosto do hotelu Palestyna, tam was odszukam. A ksiądz niech zamknie się w swoim pokoju i udaje, że śpi. Gdzie jest ten Chorwat? — zapytał Sahadi.

— W pokoju na parterze, od strony wejścia do garażu — odpowiedziała Fatima.

— Tym lepiej. Miejmy nadzieję, że niczego nie zauważą.

Kobiety wymknęły się do kuchni. Starły się nie hałasować, ledwie miały odwagę oddychać. Gian Maria wrócił do swojego pokoju, ukląkł i zaczął się modlić. Tylko Bóg mógł ich ocalić, był tego pewny.

Clara przełożyła zawartość ciężkiej torby do wózka na zakupy, starannie układając tabliczki, żeby jak najmniej ucierpiały. Potem objęła Fatimę i poczuła, że kocha ją jak matkę, której prawie nie знаła.

Otworzyły kuchenne drzwi prowadzące do ogrodu i ruszyły zdecydowanym, choć spokojnym krokiem w stronę furtki. Wszystko wskazywało na to, że nikt niczego nie zauważył. Kiedy wyszły na ulicę, Clara dała znak Fatimie, by nie przyśpieszała kroku i szła spokojnie, nie szybciej niż zwykle. Maszerowały bez słowa, Żółty Dom pozostał daleko za nimi.

Ajed Sahadi zapalał kolejnego papierosa, kiedy na podeście schodów stanął Ahmed Huseini, nerwowo dopytując się o Clary.

— Nie ruszałem się stąd, musi być w swoim pokoju — odparł Sahadi.

Huseini wbiegł po schodach, podszedł do drzwi pokoju, który dawniej był również jego sypialnią, i zapukał. Żadnej odpowiedzi.

— Otwórz, Claro!

Odwrócił się do opartego o ścianę Sahadiego i jeszcze raz zapytał, czy nie widział Clary.

— Już powiedziałem, że się stąd nie ruszałem. Nie widziałem, żeby wychodziła, a więc musi tam być.

Huseini nacisnął klamkę i wszedł do pokoju. Tego ranka Fatima wstawiła kwiaty do dzbanka stojącego na komodzie, ich zapach, zmieszany z perfumami Clary, wypełniał pokój, przywołując wspomnienia.

— Claro — wyszeptał, oczekując, że jego żona wyłoni się z cieni gasnącego popołudnia, choć na pierwszy rzut oka było oczywiste, że jej nie ma.

— Gdzie jest moja żona? — zapytał Sahadiego.

— A co, nie ma jej w pokoju? — Sahadi starał się nadać swojemu głosowi ton zaniepokojenia.

— Niestety, wyszła.

— Zapewniam pana, tu nawet powietrze się nie poruszyło, odkąd Pułkownik postawił mnie na straży. Musi tu być...

— Nie, nie ma jej! — krzyknął Ahmed.

Sahadi wszedł do pokoju, jak gdyby był święcie przekonany, że znajdzie w środku Clare.

— Musimy natychmiast zawiadomić Pułkownika! — powiedział Huseini.

— Chwileczkę... może jest w innej części domu — zastanawiał się Sahadi.

Rzucili się na poszukiwanie, ale nie znaleźli ani Clary, ani Fatimy. Dwie służące powiedziały, że widziały, jak Fatima z kimś wychodzi, myślały, że to jakaś jej krewna, ponieważ była ubrana w szyckie szaty.

Kiedy wrócili do salonu, Pułkownik rozmawiał z kimś przez komórkę.

Na ich widok od razu się domyślił, że Clara uciekła.

— Gdzie jest? — zapytał głosem zimnym jak lód.

— Nie ma jej w pokoju — odparł Ahmed.

Pułkownik skierował się wprost do Ajeda Sahadiego, widać było, że coś podejrzewa.

— Gdzie ona jest?

— Nie wiem. Stałem na podeście schodów i nie ruszyłem się stamtąd, dopóki nie przyszedł Ahmed. Musiała więc uciec, zanim mnie pan za nią posłał.

— Szukaliśmy jej w całym domu — dodał Ahmed.

— Jesteśmy bandą głupców! — wrzasnął Pułkownik. — Jest sprytna jak ten jej dziadek i nas wykiwała.

Wybiegł z salonu, wykrzykując po drodze rozkazy dla żołnierzy pilnujących domu. Nie upłynęła minuta, a już przesłuchiowano służące. Jeden z ludzi Pułkownika wyciągnął z pokoju Giana Marię i popychając go, zaprowadził do salonu, gdzie był już Ante Plaskic.

— To ty pomogłeś jej w ucieczce! — ryknął wojskowy.

— Zapewniam pana, że nie — odrzekł Chorwat spokojnie.

— Właśnie że tak, wszystko wiem i odpowiesz za to! I ksiądz też!

— Co się stało? — zapytał Gian Maria, błagając Boga, by wybaczył mu kłamstwa.

— Gdzie jest Clara Tannenberg? Wie pan to na pewno. Nie ruszała się bez pana na krok! Gadaj, gdzie ona jest!

— Ale... ale... ja... ja nie wiem... Clara... Clara... — Gian Maria był przerażony.

Jeden z żołnierzy podszedł do Pułkownika i zaczął szeptać mu coś do ucha. Służące o niczym nie wiedziały. Owszem, zauważyły, że Fatima wychodzi w towarzystwie innej kobiety. Wzięły wózek na zakupy.

— Więc przebrała się za szyitkę... Trzeba przeszukać domy krewnych Fatimy — stwierdził Pułkownik.

Gian Maria został pobity przez ludzi Pułkownika. I jeszcze raz polecił się boskiej opiece, błagając Boga o siły, by nie poddał się i nie zdradził Clary. Wytrzymał, chociaż lojalność kosztowała go dwa zęby i krwawiące ucho.

Ante Plaskic nie był w lepszym stanie, kiedy śledczy zostawił go w końcu w spokoju. Szczęście mi sprzyja, pomyślał, w innych okolicznościach ci ludzie rozerwaliby mnie na strzępy, ten tutaj zadowolili się tylko biciem.

— O niczym nie wiedz — skwitował Sahadi.

— A skąd to wiesz? — zapytał groźnie Pułkownik.

— Bo jeśli rzeczywiście uciekła, a wszystko na to wskazuje, to nikomu nie zwierzała się ze swoich zamiarów. Zna nas, wie, że mamy sposoby, by zmusić każdego do mówienia, nie mogła więc nikomu zaufać.

Pułkownik zastanowił się nad tymi słowami i uznał, że Sahadi ma rację. Clara wiedziała, że wszyscy domownicy zostaną przesłuchani, a w razie potrzeby zagrozi im się śmiercią, nie mogła więc pozwolić sobie na luksus zwierzania się komukolwiek ze swych planów.

— Masz rację, Ajedzie, masz rację... Dobrze, zostawcie tych dwóch. Chcę, by ludzie pilnowali domu. Rozpoczynamy polowanie. Mała Tannenbergówna drogo mi zapłaci za tę zuchwałość.

— Pułkowniku, zostały tylko dwa dni, czy nie powinniśmy zapomnieć o Clarze? Są ważniejsze sprawy — zauważył Ahmed Huseini, starając się, by zabrzmiało to jak najspokojniej.

— Osłaniasz ją? Wybij to sobie z głowy. Nie pozwolę, by ktoś robił sobie ze mnie żarty!

— Za dwa dni Amerykanie i Anglicy zaczną bombardować Irak. Zdaje się, że mamy z tej okazji sporo pracy. Mike Fernández dzwonił do mnie dziś rano. Martwi się, i to bardzo, obawia się, że zniknięcie Tannenberga utrudni operację.

— On zawsze martwi się na zapas. My odwalimy naszą część roboty, niech on zajmie się swoją — warknął Pułkownik.

— Będę się upierał, że to nie Clara powinna stać się naszym priorytetem. To bardzo ważna operacja. Przed nami trudne zadanie, nasi ludzie muszą zacząć działać w chwili, kiedy zacznie się bombardowanie, nie powinniśmy rozpraszać się teraz szukaniem Clary. Daleko nie ucieknie.

— Słuchaj no, Ahmedzie, ja sam potrafię doskonale zająć się i Clarą, i całą operacją, to ty nie potrafiłeś upilnować swojej baby. Nasi przyjaciele w Waszyngtonie domagają się *Glinianej Biblii*, to najważniejsza część całego biznesu, więc ją dostaną. Za pół godziny chcę cię widzieć w swoim gabinecie. Zadzwoń do mojego siostrzeńca, niech i on przyjdzie.

Kiedy Pułkownik wyszedł, Huseini spróbował pomóc Gianowi Marii usiąść na fotelu. Potem kazał służącej znaleźć jakieś środki opatrunkowe.

Ante Plaskic jeszcze nie zdołał się podnieść z podłogi, leżał bez ruchu, Huseini chciał i jemu pomóc, ale Chorwat ledwie mógł się ruszać.

Dwaj żołnierze, którzy zostali w pokoju, patrzyli, nie kiwnąwszy nawet palcem, by mu pomóc. To oni przed chwilą pobili księdza i Plaskica, i było im wszystko jedno, czy któryś przeżyje. Oni tylko wykonywali rozkazy, taką mieli pracę.

Ajed Sahadi zapanował nad sytuacją, każąc mężczyznom patrolować dom, a przede wszystkim sprawdzić, czy przy wszystkich wejściach stoją strażnicy, tak jak rozkazał Pułkownik.

— Gianie Mario, gdzie jest Clara? — zapytał Ahmed.

— Nie wiem — wyszeptał ksiądz.

— Ma do ojca zaufanie — nie dawał za wygraną Ahmed.

— To prawda, ale nie wiem, gdzie jest, nie widziałem jej, odkąd dotarliśmy do domu. Ja sam chciałbym ją odnaleźć, martwię się, że może jej się coś stać. Pułkownik... to straszny człowiek.

Huseini wzruszył ramionami. Był wyczerpany, zbierało mu się na wymioty.

— Nie chcę, by coś złego stało się Clarze. Jeśli wie ksiądz, gdzie ona jest, musi mi ksiądz powiedzieć, spróbuję jej pomóc. To moja żona...

— Nie wiem, gdzie jest — powtórzył ksiądz, szukając spojrzenia Sahadiego, który zdołał podnieść z podłogi Ante Plaskica i położyć go na kanapie.

— Muszę już iść, Pułkownik na mnie czeka, zresztą, na pana również, Ajedzie — powiedział Huseini. — Służące wam pomogą. Uciekajcie, im szybciej, tym lepiej. Jeśli się uda, jeszcze dzisiaj wyjedźcie z Iraku. Zadzwoń do mojego biura, załatwię wam przepustki, z którymi ominiecie wszystkie patrole, jeśli zdecydujecie się na podróż lądem. Gdybym był na waszym miejscu, starałbym się uciec za wszelką cenę.

Gian Maria ledwo się ruszał, wiedział jednak, że musi posłuchać.

— Zatrzymam się w hotelu Palestyna — wymamrotał ledwo żywy.

— Palestyna? Dlaczego akurat tam? — dopytywał się Ahmed.

— Bo tam schroniła się większość cudzoziemców, muszę się od nich dowiedzieć, jak się stąd wydostać, może uda mi się z kimś zabrać, może ktoś mi pomoże...

— Mogę spróbować załatwić wam samochód do granicy z Jordanią, chociaż nie jestem pewny, czy mi się to uda w takich okolicznościach — zastanawiał się Ahmed.

— Jeśli nie będę miał innego wyjścia, poproszę o pomoc, ale wolałbym nie uciekać się do pańskiego wstawiennictwa. Lepiej nie prowokować Pułkownika — odpowiedział Gian Maria.

— Idźcie do Palestyny, tam będziecie bezpieczniejsi i dobrze zrobicie, słuchając rady pana Huseiniego: czym prędzej uciekajcie z Iraku — wtrącił się Sahadi, wymieniając znaczące spojrzenie z Gianem Marią, co nie uszło uwagi Plaskica.

Zanim wyszli, Sahadi podszedł do księdza i ostrzegł go szeptem:

— Niech pan nie mówi temu tutaj, gdzie jest Clara. Nie ufam mu, nie jest tym, za kogo się podaje.

Gian Maria nie odpowiedział. Kiedy Huseini i Sahadi wyszli, w domu zapanowała cisza, tylko z ogrodu docierały odgłosy rozmów żołnierzy.

Clara wraz z Fatimą szybkim krokiem przekroczyły próg hotelu Palestyna, bojąc się, że ktoś je zatrzyma i zacznie zadawać pytania. Na szczęście przy wejściu zrobiło się małe zamieszanie, ponieważ wyładowywano z samochodu terenowego sprzęt telewizyjny.

W recepcji usłyszały, że Miranda jest u siebie, w pokoju numer 501, i że zaraz ją powiadomią o przybyciu gości. Clara zaczęła, aż recepcjonista połączy się z Mirandą, ponieważ chciała z nią najpierw porozmawiać.

— Dzień dobry, Mirando, jestem znajomą profesora Picota, poznałyśmy się w Safranie. Czy mogę przyjść do ciebie do pokoju?

Miranda poznała Clarę po głosie. Zdziwiła się, że się nie przedstawiła, tylko wymieniła nazwisko Picota. Zaprosiła ją do pokoju.

Dwie minuty później usłyszała pukanie, otworzyła drzwi i stanęła naprzeciwko dwóch szyitek, zakrytych od stóp do głów burkami. Zaprosiła je do środka, zamknęła drzwi i popatrzyła wyczekująco.

— Dziękuję, ocaliła nam pani życie — powiedziała Clara, odsłaniając twarz i dając znak Fatimie, by usiadła na jedynym krześle, jakie stało w pokoju.

— Wiedziałam, że to pani, poznałam po głosie, ale co się stało?

— Muszę wyjechać z Iraku. Znalazłam *Glinianą Biblię* i ktoś chce mi ją odebrać.

— *Gliniana Biblia?* Więc ona istnieje? Mój Boże, Yves w to nie uwierzy.

Fakt, że Miranda mówi o profesorze, używając jego imienia, nie uszedł uwagi Clary. Ajed Sahadi miał rację, że między dziennikarką a Picotem coś było. To oznacza, że Miranda na pewno jej pomoże, bo w ten sposób wyświadczy przysługę Picotowi.

— Pomoże mi pani?

— Ale w czym?

— Już powiedziałam, muszę wydostać się z Iraku.

— Najpierw proszę mi opowiedzieć, co się stało i kto chce odebrać pani *Glinianą Biblię*.

Clara włożyła rękę do wózka na zakupy i ostrożnie wyjęła z niego paczuszkę owiniętą w kilka szmatek. Położyła ją na łóżku Mirandy i ostrożnie zaczęła rozwijać tkaninę, aż ich oczom ukazało się osiem glinianych tabliczek. W drugim, mniejszym zawiniątku, były dwie tabliczki, które jej dziadek znalazł w Charanie.

Miranda zafascynowana przyglądała się tym kawałkom giiny poznaczonej nieczytelnymi dla niej znakami. Te tabliczki przypominały obiekty zgromadzone w Luwrze, dokąd jako małą dziewczynkę zabierał ją ojciec, przyprawiając ją o dreszcze opowieściami o ludziach, którzy potrafili pisać w glinie.

Clara odczytała powoli kilka zdań, Miranda nie posiadała się z radości.

— W jaki sposób je znaleźliście? — chciała wiedzieć.

— To Gian Maria... Dokopaliśmy się do kolejnego pomieszczenia świątyni i znaleźliśmy kilkadziesiąt tabliczek, niektóre były potłuczone. Gian Maria zaczął je katalogować i odkrył wśród nich właśnie te.

— Kto chce je pani odebrać?

— Wszyscy: mój mąż, ludzie Saddama, Pułkownik... Utrzymują, że należą do Iraku.

— To prawda, należą do Iraku — odpowiedziała poważnie Miranda.

— Czy uważa pani, że w obecnej sytuacji mój kraj ma warunki, by je przechować? Uważa pani, że Saddama cokolwiek one obchodzą? Wie pani równie dobrze jak ja, że wybuchnie wojna, ostatnim zmartwieniem naszych rządzących jest teraz archeologia.

Miranda nie wydawała się przekonana wyjaśnieniami Clary, intuicja podszeptowała jej, że tamta coś ukrywa.

— Proszę zadzwonić do Picota — zasugerowała.

— Wszystkie telefony są na podsłuchu. Jeśli zadzwonię i opowiem mu o znalezisku, namierzą mnie i zostaniemy bez *Glinianej Biblii*.

— A pani... O co pani właściwie chodzi?

— Chcę wywieźć tabliczki z Iraku i pokazać je światu — skłamała Clara. — Włączyć je do wystawy, nad którą pracuje Picot. Sama pani wie, że mój mąż załatwił zezwolenie na wywóz z Iraku niektórych obiektów znalezionych w Safranie. Ja chcę, by na wystawie pojawiła się *Gliniana Biblia*, chcę, by świat poznał największe odkrycie archeologiczne ostatnich pięćdziesięciu lat. *Gliniana Biblia* skłoni naukowców do zrewidowania wielu teorii archeologicznych i historycznych, wywoła duże poruszenie wśród chrześcijan, jako oczywisty dowód na istnienie patriarchy Abrahama i na to, że to, co wiemy o stworzeniu świata, zawdzięczamy jemu.

Kobiety patrzyły na siebie w milczeniu. Nie darzyły się zaufaniem, może dlatego, że podświadomie rywalizowały o względy Picota.

Clara wiedziała również, że dziennikarka uważa ją za dziecko reżimu i protegowaną Saddama.

— Nie rozumiem, dlaczego nie mieliby pozwolić pani wywieźć tych tabliczek, w końcu pani mąż dostał zezwolenie na wywóz ponad dwudziestu obiektów znalezionych w świątyni, nie licząc całej masy innych tabliczek.

— Te mają pierwszorzędą wartość historyczną. Pani tego nie rozumie, ale to nie są tylko tabliczki, jakich wiele, to Biblia, pierwsza Biblia, jaka wyszła spod ręki człowieka, do jej napisania patriarchę Abrahama natchnął Bóg. Uważa pani, że reżim zgodzi się na wywiezienie jej z Iraku? To obiekt o fundamentalnym znaczeniu, może nawet stać się monetą przetargową, kiedy sprawy nie potoczą się po myśli Saddama. Mirando, potrzebuję pomocy!

— Prosi mnie pani, żebym wywiozła te tabliczki z Iraku?

— Tak... i mnie też... nie wiem...

— A co z Gianem Marią?

— Jest w Żółtym Domu, został z Ante Plaskicem.

— Dlaczego nie przyszli tu z panią?

— Bo musiałam uciekać. Pomógł mi Ajed Sahadi, ale jeśli ktoś się o tym dowie, zabiją go. Nas też. Gian Maria dołączy do mnie, jeśli się uda.

— A Chorwat?

— On nic nie wie, nie powiedziałam mu.

— Dlaczego?

— Mam zaufanie tylko do Giana Marii.

— A ten nadzorca?

— Obiecał, że mi pomoże za pieniądze, za ogromną sumę pieniędzy, choć oczywiście może mnie zdradzić, jeśli ktoś przebiję moją stawkę.

— A co z pani mężem?

— Nie wie, że tu jestem, nie podejrzewam, by chciał na mnie donieść, nie chcę jednak narażać się na ryzyko, ani narażać męża. Jesteśmy w separacji, zamierzamy się rozwieść.

— Ale ja nie wiem, jak mam pani pomóc.

— Może pani pozwolić mnie i Fatimie tu zostać. Nikt nie będzie nas szukał w pani pokoju. Nie będziemy przeszkadzały, będziemy spały na podłodze. Sahadi obiecał, że po nas przyjdzie, a jeśli nawet tego nie zrobi... coś wymyślimy.

— Będą tu pani szukali.

— Nie, nikt nie uwierzy, że zostałam w Bagdadzie. Pomyślą, że uciekam w stronę granicy, a ponieważ jest ze mną Fatima, będą szukali na granicy z Iranem, ponieważ Fatima ma w Iranie rodzinę.

Miranda zapaliła papierosa i podeszła do okna. Musiała pomyśleć. Zdawała sobie sprawę, że Clara nie mówi całej prawdy. Widziała, jak jest przerażona, nie mówiąc o Fatimie. Coś tu jednak nie pasowało i kobiecy instynkt podszeptował jej, że jeśli udzieli pomocy, może ściągnąć sobie na głowę prawdziwe kłopoty. W dodatku uważała, że *Glinianej Biblii* nie wolno wywozić z Iraku. Tabliczki te stanowiły dziedzictwo Irakijczyków i jeśli miały opuścić ten kraj, to tylko za zgodą narodu. Nie ulegało wątpliwości, że Irak szykuje się do wojny, wszystkie agencje donosiły, że Bush może w każdej chwili wydać rozkaz bombardowania, ale była jeszcze nadzieja, w Radzie Bezpieczeństwa ONZ kraje tak potężne jak Rosja, Francja i Niemcy stanowczo sprzeciwiały się inwazji.

Clara wiedziała, że dziennikarka ma wątpliwości, i wyprzedziła jej rozważania, proponując konkretne rozwiązanie.

— Proszę mi pozwolić tu zostać, przynajmniej dopóki nie przyjdzie po mnie Sahadi. Potem wyjedziemy, nie będzie pani w nic uwikłana. Teraz, nocą, podczas godziny policyjnej mogą nas zatrzymać.

— Chciałabym wiedzieć, co pani takiego zrobiła, że pani przyjaciel Saddam chce panią aresztować.

— Nic, może mi pani wierzyć. Jeśli uda mi się wydostać z Iraku, sama się pani przekonam, że pani nie oszukałam, bo wraz z profesorem Picotem będę pokazywała całemu światu to odkrycie.

— Niech pani zostanie na noc. Nie ma tu za wiele miejsca, ale chyba jakoś sobie poradzimy. Wrócimy jutro do tego tematu. Teraz muszę wyjść, koledzy na mnie czekają.

Kiedy Miranda zamknęła za sobą drzwi, Clara odetchnęła z ulgą. Udało jej się pokonać opór dziennikarki, choć wiedziała, że ta jeszcze nie zdecydowała, jak długo będzie jej pomagała. Była jednak pewna, że na nią nie doniesie i nic więcej nie było jej potrzebne do czasu, aż skontaktuje się z nią Ajed Sahadi.

W gabinecie Pułkownika, w głównym sztabie tajnych służb, panowało zamieszanie. Oficer krzyczał coś do słuchawki, a jakiś żołnierz co chwila wchodził i wychodził z pokoju, kładąc na biurku Pułkownika dokumenty, które inny żołnierz natychmiast wkładał do segregatorów, pakowanych do czarnych plastikowych worków.

Huseini opróżniał szklanekę whisky, Sahadi zaś palił pachnące cygaro. Obydwaj czekali, aż Pułkownik skończy rozmawiać przez telefon.

Kiedy w końcu odłożył słuchawkę, spojrzeli na niego wyczekująco.

— Nie pozwalają mi wyjechać. W Pałacu chcą, żebym został w Bagdadzie. Powiedziałem asystentowi prezydenta, że jestem żołnierzem i chcę dołączyć do mojej jednostki, która stacjonuje w Basrze, a przy okazji osobiście ocenić sytuację na granicy z Kuwejtem. Nie wiem, czy mi na to pozwolą — mówił, nie kryjąc niezadowolenia.

— Powinien pan znaleźć się pojutrze na granicy, Mike Fernández będzie czekał w umówionym miejscu, by zabrać pana z Iraku i przewieźć do Egiptu. W Kairze musi się pan skontaktować z Hajdarem Annasirem, wie pan, to jeden z mózgow organizacji Tannenberga. To on wręczy panu dokumenty i pieniądze, za które będzie pan mógł żyć spokojnie do śmierci pod nowym nazwiskiem — wytłumaczył mu znużonym tonem Huseini.

— Tak, wiem, wiem... Jeśli nie wyjedziemy stąd przed dwudziestą, już nigdy nam się to nie uda.

— Ja muszę zostać — mruknął Ahmed.

— To twój obowiązek! Musisz koordynować całą operację, ale tobie jankesi nic nie zrobią, przyjaciele Tannenberga już o to zadbali — zapewnił Pułkownik.

— Kto wie, co się może zdarzyć?

— Nic się nie stanie! Ciebie stąd wyciągną, Ajeda też. Zostanie z tobą, obydwaj będziecie czuwać nad tym, by operacja zakończyła się powodzeniem. Ludzie Tannenberga są przygotowani, nie możesz się wycofać. Jeśli zauważą naszą słabość, wszystko runie. Nie ma już Tannenberga, muszą więc komuś ufać, ty zaś jesteś mężem jego wnuczki, głową rodziny, więc działaj! — Pułkownik wypowiedział te słowa ostrym, gniewnym tonem.

— Gdzie może być Clara? — zastanawiał się Huseini.

— Szukamy jej. Zarządziłem mobilizację na wszystkich przejściach granicznych. Musimy jednak być ostrożni, żeby nie wzbudzić podejrzeń Pałacu — powiedział Sahadi.

— Twoja żona jest bardzo sprytna, ale nie aż tak, żebyśmy nie zdołali jej znaleźć — powiedział Pułkownik.

— Jeśli pan chce, Pułkowniku, możemy jeszcze raz omówić szczegóły operacji. Muszę się zobaczyć z kilkoma ludźmi, gdyby trzeba było udzielić im nowych instrukcji... — zaproponował Sahadi.

— Weźmy się do roboty — odpowiedział Pułkownik.

Podczas kolacji Miranda nie mogła się skupić. Przez cały czas myślała o Clarze. Kusiło ją, żeby zadzwonić do Picota do Paryża, lub do tej pani archeolog, Marty Gómez, by się poradzić, jak postąpić, ale jeśli rzeczywiście w telefonach są pluskwy, to skutkiem takich rozmów może być aresztowanie Clary, a przy okazji i jej.

— Źle się czujesz?

— Nie, nie, jestem tylko zmęczona.

Kamerzysta telewizji francuskiej wzruszył ramionami. Widać było, że Miranda nie słucha rozmowy, a jej zmarszczone czoło zdradza, że coś ją gnębi.

— W porządku, powiem ci tylko jak Lauren Bacall do Humphreya Bogarta: „Gdybyś rennie potrzebował, zagwiżdź”.

— Dzięki, Jean, nic mi nie jest. To takie wyczerpujące, za długo czekamy, aż Amerykanie zdecydują się rozpocząć wojnę.

— Jak zwykle mówisz rzeczy niepoprawne politycznie — wtrąciła się angielska dziennikarka.

— Wiem o tym, Margaret, wiem, ale wszyscy mamy tak samo dosyć. Założę się, o co tylko chcecie, że tak samo jak ja modlicie się, żeby coś się wreszcie stało.

Dyskusja przeciągnęła się do północy. Zakończyli kolację kilkoma drinkami w pobliskim dyskretnym lokalu nieopodal ulicy Baladija.

Kiedy wrócili do hotelu, Miranda nie chciała iść ze wszystkimi na ostatnią rundkę i udała się prosto do swojego pokoju.

Ostrożnie otworzyła drzwi. Kobiety leżały zwinięte w kłębek przy ścianie, przykryte narzutą z łóżka. Pograżone były w głębokim śnie, na ich twarzach malowało się zmęczenie i napięcie.

Miranda rozebrała się cicho, wahając się, czy obudzić je i zaproponować, by położyły się wraz z nią na łóżku. Uznała jednak, że tylko niepotrzebnie zakłóci ich sen, łóżko nie było zbyt szerokie, we trzy i tak się nie zmieszczą.

— Gdzie jest Clara?

Gian Maria spodziewał się tego pytania z ust Ante Plaskica i miał przygotowaną odpowiedź.

— Sam chciałbym wiedzieć. Boję się o nią.

— Nie odeszłaby bez pożegnania z tobą — nie poddawał się Chorwat.

— Uważasz, że gdybym wiedział, gdzie jest, nie powiedziałbym ci? Co więcej, mógłbym to powiedzieć tamtym ludziom, zamiast dawać się bić... Ja... ja nie przywykłem do przemocy, gdybym wiedział...

— Nie powiedziałbyś, jestem pewny — uciął Plaskic.

— Nic o mnie nie wiesz.

— Wiem, do czego jest zdolny facet, któremu zależy na kobiecie.

— Jestem kapłanem.

— Wiem też, do czego zdolny jest ksiądz. Podczas wojny ksiądz z mojego miasteczka pomagał ludziom. Pewnego dnia przyjechał wojskowy patrol, szukali jednego człowieka, dowódcy naszych partyzantów. Ksiądz ukrył go w kościele i go nie wydał. Torturowali go na oczach wszystkich, pasami zdzierali z niego skórę, a i tak nie pisnął słowa. I co? Na nic się zdało to jego poświęcenie, tamtego znaleźli i zabili, tylko że wcześniej zrównali z ziemią pół miasteczka.

Opowiadanie Chorwata wywarło duże wrażenie na Gianie Marii, ale wziął się w garść, podszedł do niego i położył mu rękę na ramieniu.

— Nie szukam współczucia — odpowiedział na ten gest Plaskic.

— Wszyscy potrzebujemy litości i współczucia — odparł ksiądz.

— Oprócz mnie.

Zapadła noc, wydawało się, że obaj doszli już do siebie, przynajmniej na tyle, by spróbować opuścić Żółty Dom. Służące pomogły im się spakować. Jedna z nich zdradziła, że

niedaleko mieszka jej krewny, który, jeśli mu się dobrze zapłaci, zawiezie ich do hotelu Palestyna.

— Dlaczego mi nie ufasz? — zapytał Chorwat, gdy czekali, aż służąca wróci od krewnego.

— Dlaczego tak uważasz?

— Nikt mi nie ufa. Nie trzeba być orłem, by zauważyć, że w Safranie byłem piątym kołem u wozu, wszyscy unikali mnie jak ognia.

— Gdyby to była prawda, profesor Picot nie przyjąłby cię do zespołu, a Clara nie zgodziłaby się, byś został.

— Ale ja znaczę tak mało, że mimo złego wrażenia, jakie wywieram, nawet mnie nie zauważali. Gdybym zniknął im z pola widzenia, przestaliby o mnie myśleć. W gruncie rzeczy całe dni siedziałem zamknięty w magazynie.

— Widzę, że się nad sobą litujesz.

— Mylisz się, po prostu opisuję rzeczywistość. Ani ja nie podobałem się im, ani oni mnie.

— Dlaczego w takim razie zgodziłeś się przyjąć tę pracę?

— Bo praca to praca, wszyscy musimy pracować.

W końcu wróciła służąca z kierowcą i pomogła im wsiąść do samochodu. Droga do hotelu nie zajęła więcej niż kwadrans. W holu kręcili się jeszcze ostatni maruderzy. Recepcjonista zaklinał się, że nie został mu żaden wolny pokój, dopiero po długich namowach i dyskretnym podsunięciu pliku dolarów zgodził się pokazać im dwa pokoje, które, jak ostrzegł, są w złym stanie, bo czekają na remont.

Recepcjonista miał rację. Pokoje potrzebowały nie tylko nowej warstwy farby na ścianach; wykładzina pamiętała lepsze czasy, a łazienki były brudne i śmierdzące.

— Muszą się panowie tym zadowolić, zaraz przyniosę koce.

Gian Maria chciał się dowiedzieć, czy Miranda i pozostali dziennikarze, których poznał w Safranie, nadal mieszkają w tym hotelu. Recepcjonista powiedział, że tak.

— Cóż, być może któryś z nich nie miałby nic przeciwko temu, byśmy przenieśli się do jego pokoju — westchnął z nadzieją.

Miranda spała głębokim snem, gdy rozległo się walenie w drzwi.

Poderwała się na równe nogi i biegnąc do drzwi, potknęła się o Clare, która spała jak kamień obok Fatimy.

— Kto tam? — zapytała cicho.

— Gian Maria. Błagam, niech mi pani otworzy, szybko.

Ksiądz wszedł do pokoju, oglądając się za siebie, jakby bał się, że ktoś go śledzi.

— Są tu obie? Chwała Bogu! — powiedział na widok dwóch kobiet zwiniętych na podłodze.

— Może ktoś mi wyjaśni, co tu się dzieje — syknęła dziennikarka.

— Jeśli ktoś ją znajdzie, może ją zabić. — Gian Maria wskazał Clare.

— Dlaczego?

— Bo znalazła *Glinianą Biblię* i chcą ją jej ukraść.

— To nie są jej tabliczki, należą do Irakijczyków — zauważyła Miranda.

— Nie pomoże nam pani? — zapytała Clara, którą obudziła ta rozmowa.

— Chce pani przywłaszczyć sobie coś, co do pani nie należy, więc to kradzież. Nie mogę usprawiedliwiać tego, że ktoś kradnie.

— Biblia należy do mnie! — jęknęła Clara głosem pokrzywdzonej dziewczynki.

— *Glinianu Biblia* należy do Iraku, nawet jeśli to pani ją znalazła. Zresztą, nie mówi mi pani całej prawdy. Pani i pani dziadek byliście ludźmi Saddama. Pani mąż bez trudu załatwił pozwolenie na wywóz przez profesora Picota znacznej części obiektów znalezionych w Safranie, dlaczego nie mieliby zezwolić pani na wywóz tabliczek? Tak, wiem, to nadzwyczajne odkrycie, ale to nie znaczy, że nie można ich pokazać całemu światu. Nie rozumiem również, dlaczego ktoś panią prześladowe, a już najmniej, dlaczego córka reżimu twierdzi, że jej życie wisi na włosku. Jedyne wyjaśnienie, jakie przychodzi mi do głowy, to że chce sobie pani zawłaszczyć coś, co do niej nie należy, a to znaczy, że jest pani złodziejką. Wolalabym, żeby jutro znalazła sobie pani inne schronienie. Nie chcę być zamieszana w kradzież, wątpię też, by profesor Picot zaaprobował pani postawę.

Słowa Mirandy podziałały na Clare jak wiadro zimnej wody. Fatima obudziła się i przyglądała się całej scenie, siedząc na podłodze. Po chwili ukryła twarz w dłoniach.

— Ksiądz zaś... Dziwię się księdzu. Nie dość, że jako kapłan nie oburza się na kradzież, to jeszcze chce pomóc złodziejowi. Nie rozumiem — powtórzyła Miranda.

Jej słowa dotknęły księdza, któremu aż do tej chwili nie przyszło do głowy, że tabliczki te nie należą do Clary. Kiedy otrząsnął się z osłupienia, odparł:

— Ma pani rację, przynajmniej częściowo. Ale... no cóż, rzeczy nie zawsze są takie, jakimi się wydają. Proszę zapalić światło i spojrzeć mi w oczy.

Miranda zapaliła nocną lampkę i dopiero teraz zobaczyła, że ksiądz ma spuchniętą i poranioną twarz oraz posiniaczoną rękę.

— Co się stało? — zapytała przerażona.

— Pułkownik chciał się dowiedzieć, gdzie jest Clara.

— Pułkownik?

— Nie wiem, czy go pani poznała w Safranie. To bardzo potężny człowiek i domaga się tabliczek, ale wcale nie dla Iraku. Chce je sprzedać. Podejrzewam, że Clara nie może nic mówić, ale ja usłyszałem w Żółtym Domu o jakimś jego przyjacielu w Waszyngtonie i że wojna ma wybuchnąć jutro.

— Wojna... jutro? A skąd ten Pułkownik o tym wie? Nic nie rozumiem.

— To bardzo skomplikowane — odezwała się, Clara. — Domaga się *Glinianej Biblii*, żeby ją sprzedać, dlatego chce mi ją odebrać. Ja nie chcę jej ukraść, tylko pokazać światu i ukryć w bezpiecznym miejscu aż do końca wojny, kiedy będzie mogła wrócić do Iraku.

— A więc mamy do czynienia ze skorumpowanym wojskowym, który chce handlować zabytkowymi obiektami... No dobrze, więc powinniście złożyć na niego doniesienie do władz, a tabliczki dać na przechowanie pani mężowi. O ile wiem, jest dyrektorem departamentu archeologii czy czegoś podobnego, prawda?

— Nie mogę...

— Pani mąż też jest skorumpowany? Claro!

— Niech pani myśli, co chce. Rozumiem, że nie chce mi pani pomóc, więc sobie pójdziemy, ale niech nam pani przynajmniej pozwoli poczekać do świtu. Jeśli wyjdziemy teraz na miasto, natychmiast nas zatrzymają. Sahadi obiecał, że nas stąd wyciągnie, to on zaproponował, żebyśmy ukryły się w tym hotelu. Niech się pani nie martwi, pójdziemy, jak tylko się rozwidni, obiecuję.

Miranda patrzyła na Clarę, nie wiedząc, co robić. Nie ufała jej i w gruncie rzeczy nie lubiła. Instykt podpowiadał jej, że ta kobieta nie jest szczerą, że za jej rozpaczą kryje się obłuda.

— Wyjdziecie zaraz po świcie — zawyrokowała Miranda.

— Proszę, niech pani pomoże Gianowi Marii — błagała Clara.

— Nie potrzebuję pomocy, proszę się mną nie przejmować — odpowiedział Gian Maria.

— Owszem, potrzebuje ksiądz. Jeszcze jutro musi ksiądz wyjechać z Iraku. Zanim zacznie się bombardowanie. Nie wiemy, jak długo trwać będzie wojna. Niech ksiądz ucieka,

w przeciwnym razie zginie. Czy Pułkownik pozwolił księdzu tu przyjść? — dopytywała się Clara.

— Zostawił mnie z Ante Plaskicem, pobitych i zakrwawionych. Ajed Sahadi przekonał Pułkownika, że dobrze pani nas zna i dlatego nie powiedziałaaby nam pani, gdzie chce się schronić. Zdaje się, że go to przekonało i dał nam spokój. Pani mąż sprawiał wrażenie, że chce pani pomóc, chociaż pracuje dla Pułkownika.

— Nie, nie chce mi pomóc, chce *Glinianą Biblię*.

— Ahmed nie jest złym człowiekiem, Claro — przekonywał Gian Maria.

— Proszę wyświadczyć mi przysługę. Trudno mi będzie stąd uciec, to może potrwać kilka dni, a nawet miesięcy, ksiądz jednak musi się ratować, jeśli zostanie, to tylko zwiększy mój smutek — oznajmiła Clara.

— To wzruszające — przerwała im Miranda — ale jesteście... Nie rozumiem, Gianie Mario, nie rozumiem, co ksiądz wyprawia.

— Nie mogę tego pani wytłumaczyć, nie potrafię, ale zapewniam, że postępuję w zgodzie z moim sumieniem i jestem przekonany, że niczego złego nie robię. Ja... wierzę, że Clara nie przywłaszczy sobie tych tabliczek, kiedyś je zwróci, wie, że do niej nie należą, ale w takich okolicznościach... Mirando, czasem nie sposób znaleźć prostą odpowiedź...

— Dotychczas ani ksiądz, ani Clara nie udzielili mi konkretnej odpowiedzi, więc nie chcę mieć nic wspólnego z tą historią. Czy ja dobrze słyszałam, że jutro zacznie się wojna, czy to pewna wiadomość?

— Naprawdę zacznie się dwudziestego, jeszcze jest czas, by Gian Maria uciekł z Iraku — stwierdziła Clara.

— A skąd ta pewność, że wojna zacznie się dwudziestego? — naciskała dziennikarka.

— Tak powiedział Pułkownik...

— O ile wiem, jest on pułkownikiem wojsk irackich, nie amerykańskich, wątpię więc, by znał zamiary Busha, chyba że...

— W jakim pani żyje świecie, Mirando? — zapytała z goryczą Clara.

— A pani?

— W takim, gdzie ludzie narażają dla interesów życie innych ludzi, dla udanych dochodowych interesów. Na tej wojnie dorobi się wiele osób — odpowiedziała Clara.

— Ja wiem tylko jedno, że na wojnie giną ludzie, i to giną niepotrzebnie — odpowiedziała z furią Miranda.

— Niepotrzebnie? Nie, myli się pani, przecież sama pani słyszała: umierają, by inni mogli zarobić pieniądze, dużo pieniędzy, a dodatkowo, by mogli zdobyć władzę albo

wzmocnić tę, którą już mają. Dlatego wybuchnie ta wojna, dlatego rozpętano wszystkie inne wojny. Ani ja, ani pani ich nie powstrzyma. Jeśli archeologia mnie czegoś nauczyła, to tego, że większość miast, które odkopujemy, zostało zniszczonych podczas wojen. Niektórych rzeczy nie można zmienić.

Clara mówiła twardo, dając Mirandzie do zrozumienia, że ta nie ogarnia otaczającej jej rzeczywistości.

— Wie pani? Zawsze będziemy stały po przeciwnych stronach barykady. To osoby pani pokroju ściągają nieszczęścia na przedstawicielki naszej płci — odpowiedziała dziennikarka z pogardą.

— Ależ proszę! Proszę! — Gian Maria starał się załagodzić sytuację. — To zupełnie niepotrzebna dyskusja, wszyscy jesteśmy bardzo zdenerwowani...

— Zdenerwowani? A słyszał ksiądz, co powiedziała Clara? Ta kobieta ma za nic wszystkich i wszystko, interesuje ją tylko zaspokajanie własnych pragnień i ona sama, rzecz jasna. Dla mnie jest... dla mnie to... potwór.

Ostatnie zdanie Mirandy było jak cios. Zapadła cisza. Do świtu pozostało jeszcze parę godzin i napięcie w pokoju zaczynało być dla wszystkich jednakowo nieznośne.

Clara udała, że nie widzi Mirandy, i podeszła do Giana Marii.

— Wyjedziesz, jeśli cię o to proszę?

— A ty? Chcę ci pomóc...

— Uważasz, że mogę podróżować po Iraku w towarzystwie księdza? Jak sądzisz, ile zabierze Pułkownikowi znalezienie nas? Mam tylko jedną szansę na ocalenie i nie mogę jej stracić z twojego powodu.

— Nie chcę, by stało ci się coś z mojej winy, chcę ci pomóc — tłumaczył Gian Maria.

Rozmowę przerwało głucho walenie do drzwi. Miranda dała im znak, by schowali się do łazienki, po czym otworzyła.

Ajed Sahadi wyglądał na zdenerwowanego. Wszedł do pokoju, popychając ją przed sobą, nie odzywając się ani słowem, dopóki nie upewnił się, że drzwi są zamknięte.

— Gdzie oni są? — rzucił.

— Kto?

— Nie mamy czasu do stracenia! Gdzie jest Clara?

Popchnął drzwi do łazienki i się uśmiechnął. Gian Maria, Clara i Fatima stali tam, przyłgnawszy plecami do ściany. Fatima była przerażona, na twarzy Giana Marii odbijał się strach, Clara zaś patrzyła wyzywająco.

— Wychodźcie, idziemy — rozkazał Clarze i Fatimie.

— Chcę iść z wami — poprosił Gian Maria.

— Tylko by ksiądz przeszkadzał — powiedziała Clara.

— Dlaczego nie miałyby mu pani pomóc się stąd wydostać? — zapytał Ajed Mirandę.

— Ale jak? Niech mi pan powie, jak mam go stąd wyciągnąć? Dopiero mówiliście, że jutro wybuchnie wojna, próba dotarcia do granicy równałaby się samobójstwu.

Sahadi popatrzył na Clarę z wyrzutem. Czy naprawdę musiała zdradzać dziennikarce datę wybuchu wojny?

— W takim razie niech tu zostanie. Amerykanie wiedzą, że to hotel dziennikarzy, więc nie będą was bombardowali.

— Chcę jechać z wami — upierał się Gian Maria.

— Nie sądzę, by mógł się nam ksiądz na coś przydać — uciął Ajed.

— Gianie Mario, nie pójdiesz z nami. To zbyt niebezpieczne.

Clara była stanowcza, jednak Sahadi zastanawiał się, jeszcze, czy nie byłoby im na rękę wyciągnięcie stąd księdza.

— Dokąd on was zabiera? — zapytał Gian Maria.

— Nie zamierzam niczego zdradzić. Jeśli Pułkownik postanowi przesłuchać księdza jeszcze raz, to niewykluczone, że nie będzie już tak miły, jak ostatnim razem.

— Ale jeśli zaczną go torturować, może powiedzieć, że Clara poszła z panem — zauważyła Miranda.

— Ale nie wie dokąd. Musimy już iść. Zasłońcie sobie twarze i postępujcie dokładnie według moich instrukcji. Wszędzie aż roi się od agentów tajnych służb.

— A jak się stąd wydostaniemy? — zapytała Clara.

— Ukryte w dywanie, a dokładniej w dwóch. Przy wyjściu służbowym stoi ciężarówka, czeka na załadowanie paru dywanów. W taki właśnie sposób opuścicie hotel. Później spotkacie się ze mną. Idziemy do windy towarowej.

Wyszli z pokoju, zostawiając Mirandę z Gianem Marią. Wydawało się, że dziennikarka poczuła ulgę. Ksiądz wyglądał na zasmuconego.

— Chce ksiądz się czegoś napić? — zapytała Miranda.

— Nie piję — odpowiedział ledwie słyszalnym szeptem.

— Ja też nie, chociaż mam zapas trunków, bo pomagają kupować dobrą wolę. Tej nocy owszem, strzelę sobie drinka.

Przyniosła z łazienki szklanekę i otworzyła butelkę burbona. Nalała whisky na wysokość dwóch palców i wychyliła duszkiem, czując palenie w ustach i gardle, a po sekundzie ciepło rozchodzące się w brzuchu.

— Co łączy pana z Clarą? — zapytała niespodziewanie.

Gian Maria patrzył na nią, zastanawiając się nad odpowiedzią, nie mógł przecież wyjawiać jej prawdy.

— Nic. A już na pewno nie to, co pani sobie wyobraża. Mam wobec niej pewne zobowiązania moralne, tylko tyle.

— Zobowiązania moralne? Dlaczego?

— Jestem kapłanem, dlatego, Mirando, tylko dlatego. Czasem Bóg stawia nas w obliczu okoliczności, których nigdy byśmy się nie spodziewali. Przykro mi, ale nie mogę powiedzieć pani nic więcej.

Miranda zaakceptowała odpowiedź Giana Marii. Wiedziała, że jej nie oszukuje, i stwierdziła, że dalsze wypytywanie tylko go zdenerwuje.

— Czy to prawda, że jutro zacznie się wojna? — zapytała.

— Tak. Podśledzałem rozmowę Pułkownika i Ahmeda.

— Dzisiaj jest dziewiętnasty...

— Jutro zacznie się bombardowanie.

— Skąd oni o tym wiedzieli?

— Nie wiem, mówili o jakichś ludziach w Waszyngtonie.

— A gdzie jest Plaskic?

— W swoim pokoju. Na nim się bardziej wyżywali. Sporo wysiłku kosztowało nas, by się pozbierać i tutaj dotrzeć.

— Kto was przywiózł?

— Krewny jednej ze służących Clary.

— Co zamierza ksiądz teraz zrobić?

— Sam nie wiem. Czuję... czuję, że powinienem się przygotować na porażkę. Nie mogę wyjechać z Iraku, nie upewniwszy się, że z Clarą wszystko dobrze.

— Ona jednak musi się ukrywać, nie skontaktuje się z księdzem.

Rozległo się pukanie do drzwi. Miranda i Gian Maria zamilkli, nasłuchując, jak gdyby liczyli w duchu, że to pomyłka. Pukanie się powtórzyło, w końcu dobiegł ich czyjś głos.

Clara stała blada jak ściana, Fatima trzęsła się ze strachu, Ajed Sahadi zaś wyglądał na zagniewanego.

— Nie da się stąd wyjść! Pułkownik nikomu nie ufa, hotel jest otoczony. Zauważyli już ciężarówkę, pilnują jej żołnierze. Nie złapali nas, bo szofer o niczym nie wie, tylko tyle, że ma przewieźć jakiś ładunek. Muszą tu zostać.

— Tu? O nie, zapewniani, że tu nie mogą zostać. Trzeba im poszukać innego miejsca. W moim pokoju nie zostaną — odpowiedziała Miranda.

— To niech pani wyjdzie i wezwie żołnierzy, żeby je aresztowali. Albo tu poczekają do czasu, kiedy uda się je bezpiecznie wyprowadzić, albo zostaną zatrzymane.

— Nie mogą zostać w moim pokoju! — sprzeciwiała się dziennikarka.

— To niech ukryją się w moim — zaproponował Gian Maria.

— Załatwił sobie ksiądz pokój? Na którym piętrze? — zainteresował się Sahadi.

— Na czwartym. Okropny, jedno łóżko, popsuty prysznic, ale jakoś sobie poradzimy.

— A Plaskic? — zapytała Clara.

— Jest na pierwszym piętrze.

— Ale może zechcieć porozmawiać z księdzem, nie zdziwiłoby mnie, gdyby przyszedł na górę — powiedział Ajed.

— Być może, jeśli to jednak nastąpi, nie pozwolę mu wejść.

— A pokojówki? Co powiedzą, kiedy zobaczą w pokoju dwie szyitki, które nie są zameldowane? — zapytała Miranda.

— Słuchajcie, sytuacja jest taka, jaka jest, musimy improwizować. Jeśli nie pozwoli im pani tu zostać, trafią do pokoju Giana Marii. Byle tylko Pułkownik nie kazał przeszukiwać hotelu. Teraz niech ksiądz wytłumaczy, jak trafić do księdza pokoju.

Wyszli, a za nimi Gian Maria. Miranda naląła sobie jeszcze burbona, wypła jednym haustem i położyła się do łóżka. Była wyczerpana, potrzebowała snu, chociaż wiedziała, że trudno jej będzie zasnąć. Wciąż myślała o jednym: za kilkanaście godzin zacznie się wojna. Skąd oni wszyscy o tym wiedzą?

Obudził ją dzwonek telefonu. Koledzy z ekipy czekali na nią, mieli razem zjeść śniadanie i wyjść z kamerami na ulice Bagdadu. Kwadrans później była już w holu, z włosami jeszcze mokrymi po kąpieli.

Przez resztę dnia była zdenerwowana, nie wiedziała, co robić. Czy powinna podzielić się z kolegami wiadomością, że lada chwila zacznie się wojna, czy milczeć?

Zadzwoiła do swojego szefa w Londynie. Powiedziała, iż krążą pogłoski, że wojna jest nieunikniona. Kiedy zapytała, czy zacznie się jeszcze tego samego dnia, roześmiał się.

— Gdybym ja to wiedział! Marzę o takim przecieku na wyłączność! Dzisiaj jest dziewiętnasty, dwa dni temu prezydent Bush postawił Saddamowi ultimatum. Już wiesz, że

wszystkie ambasady zostały ewakuowane, cudzoziemcom zaleca się opuszczenie kraju, w każdej chwili może się zacząć ta heca, nie wiemy jednak kiedy. Zadzwoń do ciebie, chociaż podejrzewam, że ty pierwsza do mnie zadzwonisz, gdy tylko zaczną spadać na was bomby.

Miranda nawet nie starała się dowiedzieć, jak potoczyły się losy Clary i Giana Marii. Wiedziała, że nadal są w hotelu, niepokoiło ją, co się może z nimi stać, ale jednocześnie nie chciała być zamieszana w kradzież *Glinianej Biblii*.

Tej nocy długo rozmawiała z przyjaciółmi, pewna, że lada moment usłyszy huk spadających bomb. Nagle na niebie rozbłysły płomienie i wszystko zagłuszył przerażający ryk. Był dwudziesty marca, zaczęła się wojna.

Parę godzin później, za pośrednictwem swoich redakcji, reporterzy w Bagdadzie dowiedzieli się, że wojska amerykańskie wkroczyły do Iraku. Kości zostały rzucone.

Mike Fernández niecierpliwie zerkał na zegarek. Amerykańskie i brytyjskie wojska rozpoczęły inwazję lądową na Irak. O tej samej porze miała rozpocząć się operacja, którą Tannenberg przygotowywał wraz z nim przez ostatni rok. Były pułkownik Zielonych Beretów uznał, że nic nie może się nie udać, że nawet śmierć Tannenberga nie jest wystarczającym powodem, by coś nie wyszło. W grę wchodziły spore sumy; ludzie wiedzieli, że zostaną sowicie wynagrodzeni, jeśli ukradną, co trzeba, i dotrą z tym w umówione miejsce. Po kilku godzinach wszyscy powinni zniknąć z Iraku.

W tym samym czasie w Bagdadzie grupa ludzi w wojskowych mundurach i kominiarkach zakrywających twarze czekała na rozkaz dowódcy, by opuścić magazyn, w którym ukryli się kilka godzin wcześniej.

Wszyscy oni służyli Alfredowi Tannenbergowi. Śmierć szefa bardzo ich przygnębiła, jednak zięć Tannenberga zapewniał, że nie oznacza to żadnych zmian w operacji, a co najważniejsze: wszyscy dostaną uzgodnioną zapłatę za wykonane zadanie. Teraz on jest głową rodziny Tannenbergów i oczekuje od nich skuteczności i lojalności.

Pieniądze, jakie dostają, zapewnią im dostatnią przyszłość. Co się stanie po operacji, czas pokaże. Mają być lojalni aż do chwili przekroczenia granicy z Kuwejtem i przekazania łupu byłemu oficerowi wojsk amerykańskich.

Brzęczenie telefonu komórkowego szefa ostrzegło ich, że nadszedł czas. Odebrał i wysłuchał rozkazu.

— Ruszamy — rzucił.

Raz jeszcze sprawdzili broń i naciągnęli na twarze kominiarki. W czarnych kombinezonach stali się nie do odróżnienia od nocnych cieni. Wskoczyli do czekającej na nich wojskowej ciężarówki.

Bomby i pociski systemu obrony powietrznej rozświetlały niebo nad Bagdadem, a wycie syren przyprawiało o lęk ludzi zamkniętych w domach.

Nie zwracając niczyjej uwagi, mijali inne wojskowe pojazdy, w końcu wpadli przez tylną bramę do Muzeum Narodowego. W ciągu kilku sekund znaleźli się w budynku.

Część strażników wyszła parę godzin temu, inni upierali się, że będą tej nocy pracowali. Nie zrażał ich huk bomb i gasnące co chwila światło. Alarm został wyłączony.

Ludzie w kominiarkach, wyposażeni w plastikowe worki, przemierzali piętro po piętrze, starannie zbierając obiekty oznaczone na liście, jaką każdy dostał. Robili to w milczeniu. Ten, który wyglądał na dowódcę, pilnował, by żaden z przedmiotów nie został uszkodzony, a zwłaszcza by nikogo nie skusiło, by umieścić je gdzie indziej niż w workach.

Zanim upłynął kwadrans, w ich rękach znalazły się panele z kości słoniowej, broń, starożytne narzędzia, dzbany z terakoty, tabliczki, statuetki z alabastru, złota i srebra...

Następnie, równie szybko jak weszli, znaleźli się poza murami muzeum. Żaden z bagdadczyków nie zastanawiał się tej nocy, czy ktoś kradnie ich dziedzictwo narodowe, wszyscy modlili się o przeżycie.

Huseini czekał niecierpliwie w ciemnościach swojego gabinetu.

Na dźwięk telefonu komórkowego szybciej zabiło mu serce.

— Gotowe, ruszamy — oznajmił szef komandosów.

— Wszystko poszło dobrze?

— Bez zakłóceń.

Dwie minuty później odebrał meldunek od innego człowieka: wraz ze swymi ludźmi opuścił muzeum w Mosulu. Podobnie jak w Bagdadzie, nie mieli najmniejszych kłopotów z wejściem i wyjściem. Sporym ułatwieniem było to, że wiedzieli, co mają zabrać. Lista opracowana przez Ahmeda Huseiniego oszczędziła im pomyłek.

Dyrektor Wydziału Obiektów Starożytnych wykazał się głęboką wiedzą, przygotowując listy i instrukcje, jak obchodzić się ze skradzionymi przedmiotami.

Kolejne telefony były z Kairah, Tikritu i Basry. Jak kraj długi i szeroki, brygady Alfreda Tannenberga z powodzeniem kończyły swoją misję: wywoziły w plastikowych workach iracką duszę, historię kraju, a tak naprawdę historię ludzkości.

Huseini zapalił papierosa. Stojący obok niego siostrzeniec Pułkownika dzwonił do wuja, by przekazać mu pomysły wieści, choć misja jeszcze się nie zakończyła, nie każdy oddział dotarł do celu w Kuwejcie, Syrii, czy Jordanii...

Światła w gabinecie były zgaszone. Byli sami w gmachu ministerstwa, tak przynajmniej im się wydawało. Pułkownik nakazał, by się stąd nie ruszali, ktoś musiał koordynować operację, opuścili więc żaluzje i zamknęli okna, by nie stać się celem bomb.

Kiedy i w jaki sposób wyjadą z Iraku? Pułkownik zapewnił Ahmeda, że jego najlepszy człowiek, Ajed Sahadi, wyciągnie go w odpowiedniej chwili, jednak Ajed nie dawał znaku życia i o tej porze być może walczy już na froncie, a może wyjechał z Pułkownikiem

do Basry, a stamtąd próbuje przedostać się do Kuwejtu. Po śmierci Tannenberga Huseini nie ufał Pułkownikowi; w gruncie rzeczy nie ufał nikomu, ponieważ wiedział, że nie cieszy się takim autorytetem, jakim cieszył się Alfred. Upłynie jednak jeszcze parę godzin, zanim się dowie, czy zostawią go na pastwę losu, czy też Ajed zacznie go szukać.

Paul Dukais zapalił papierosa. Niedawno rozmawiał z Mikiem Fernándezem, który potwierdził, że operacja była udana.

— Dokonałiśmy rzeczy niemożliwych, panu pozostało tylko dokonanie rzeczy trudnych — żartował Fernández.

— Mam nadzieję, że nie popełnię żadnego błędu, stary — Dukais podjął żartobliwy ton. — Odwaliliście kawał dobrej roboty.

— To prawda, nie przeczę.

— Były straty?

— Niektóre brygady musiały się bronić, ale nikomu nic się nie stało.

— Dobrze. Kiedy tylko będzie to możliwe, wracaj do domu, to koniec twojej misji.

— Chcę się wcześniej upewnić, czy ładunki znajdują się tam, gdzie powinny.

— Do dzieła.

Prezes Planet Security zatarł ręce z zadowolenia. On sam nie zajmował się starociami, ale zdeponowanie cennego ładunku pozwoli mu nieźle zarobić, nie wspominając już o dwuprocentowej premii od wartości wszystkich sprzedanych przedmiotów.

Robert Brown wraz z Ralphem Barrym przygotowywali doroczne zebranie zarządu fundacji, kiedy Paul Dukais przekazał im dobrą wiadomość. Natychmiast to uczcili, wznosząc toast whisky. Jeśli na takie wieści jego Mentor, George Wagner, się nie uśmiechnie, to znaczy, że tego człowieka nikt i nic nie jest w stanie wzruszyć.

— Słuchaj, Paul, a co teraz? — zapytał Brown.

— Teraz ładunek zostanie przepakowany i za kilka dni, mam nadzieję, że nie więcej niż dwa lub trzy, dotrze do celu. Jedna partia popłynie do Hiszpanii, jedna do Brazylii, a następna tutaj. Nie ma już wśród nas Alfreda, ale Hajdar Annasir, jego prawa ręka, wie, co komu należy wysłać. Jeśli nie pojawią się żadne przeszkody, a nie widzę powodu, by miały się pojawić, najtrudniejsza, co ja mówię, niemożliwa część przedsięwzięcia jest już za nami.

— A co z Clarą i Huseinim?

— Mike utrzymuje, że Clara znikła, z nią zaś tabliczki, choć wcześniej czy później wpadnie w nasze ręce. Nikomu nie uda się przepaść bez śladu, jeśli ukrywa taki skarb. A co do pocziwca Ahmeda, jest plan, by wydostać go z Iraku, kiedy dotrą tam nasi chłopcy. To kwestia paru dni.

— Jesteś pewny, że uda się go stamtąd wyrwać? Należał do ludzi reżimu.

— Ahmed był człowiekiem Tannenberga, stał blisko Saddama, ale nie myślmymy o nim źle — odpowiedział cynicznie Dukais.

— Ma się rozumieć, szanuję jego wiedzę i zdolności — odparł Brown.

— Co się tyczy Clary, nie martw się, znajdziemy ją. Poza Pułkownikiem szuka jej pewien bardzo szczególny osobnik. Przez ostatnie miesiące był blisko niej. Jeśli ktoś ją potrafi wytropić, to właśnie on.

— A gdzie ten człowiek jest teraz?

— W Bagdadzie. Nie martw się, odnajdzie ją.

— Tak naprawdę martwi mnie *Gliniana Biblia*.

— Jeśli znajdziemy Clarę, dostaniemy tabliczki — zapewnił Dukais.

Clara była zdesperowana. Dusila się w ciasnym pokoju hotelowym, z którego nie wychodziła od kilku dni. Bała się, że otworzą się drzwi i wejdzie Pułkownik, by ją zamordować. Nie zobaczyła więcej Mirandy. Gian Maria przekazał jej, że dziennikarka o nią pytała. Przynajmniej ich nie wydała.

Ksiądz starał się unikać odpowiedzi na pytania Ante Plaskica, gdzie jest Clara.

— Ajed nie wrócił — narzekała Clara.

— Nie przejmuj się, w jakiś sposób uda nam się stąd wydostać — pocieszał ją.

— Łatwo powiedzieć. Jeśli wygrają Amerykanie, zatrzymają mnie, a jeśli Saddam, nie będę mogła wyjechać.

— Powinnaś zaufać Bogu, tylko dzięki niemu wciąż żyjemy.

Clara nie chciała ranić jego uczuć przypominaniem mu, że nie wierzy w Boga, że wierzy tylko w swoje własne siły.

Martwił ją stan Fatimy. Kobieta prawie nie jadła i chudła w oczach. Nie narzekała, ale jej twarz zdradzała cierpienie. Clara prosiła ją, by powiedziała, co ją gnębi, ale Fatima milczała, gładziła ją tylko po twarzy, choć wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

Słuchały radia, BBC i innych rozgłośni, które łąpały na falach krótkich, ale to Gian Maria udzielał im najlepszych informacji, jakie korespondenci w Bagdadzie dostawali ze swoich redakcji.

Drugiego kwietnia Gian Maria wszedł do pokoju, oznajmiając, że amerykańskie wojska są już na przedmieściach Bagdadu, a następnego dnia zapewnił, że przejęły kontrolę nad międzynarodowym lotniskiem na południu miasta.

— Gdzie się podział Sahadi? Dlaczego nie wraca? — zastanawiała się Clara.

Gian Maria nie potrafił odpowiedzieć. Wielokrotnie telefonował na numery Ajeda; na początku odpowiadał człowiek o zachrypniętym głosie, a przez ostatnie dni nikt nie podnosił słuchawki.

— Czyżby mnie zdradził?

— Gdyby tak było, już by nas zatrzymali — zauważył Gian Maria.

— W takim razie dlaczego nie przyszedł ani nikogo nie przysłał?

— Może nie mógł? Pewnie Pułkownik go pilnuje.

Pewnego dnia Gian Maria przyszedł w towarzystwie Mirandy.

— Pani znajomy, ten Chorwat, ciągle o panią pyta — powiedziała Miranda do Clary.

— Możliwe, ale Ajed Sahadi ostrzegał mnie przed nim, powiedział, żebym mu nie ufała.

— Wie, że pani tu jest, nie można było utrzymać tego w tajemnicy.

— Kto mu powiedział?

— W hotelu aż się roi od Irakijczyków. Wielu moich znajomych po fachu przyjęło pod dach swoich tłumaczy, innych znajomych, nawet pracownicy hotelu udzielają schronienia swoim krewnym. Amerykanie i Brytyjczycy wiedzą, że dziennikarze zatrzymali się właśnie w tym hotelu, dlatego służby hotelowe nie były zaskoczone pani obecnością. Gian Maria nie musiał nawet dawać nikomu łapówek, żeby udawali, że was tu nie ma. Ale wcześniej czy później Ante Plaskic musiał się dowiedzieć, to było nie do uniknięcia. Nie tak dawno zaczął mnie, pytając o panią, a kiedy powiedziałam, że o niczym nie wiem, zaatakował mnie, że doskonale zdaje sobie sprawę, że tu się pani ukrywa, w pokoju Giana Marii. Skłamałam, że Gian Maria udzielił schronienia swoim znajomym, podejrzewam jednak, że mi nie uwierzył, ja na jego miejscu też bym nie uwierzyła. Przyszedł, by was ostrzec. Bądźcie ostrożni.

— Co robić? — zapytał Gian Maria Mirandę.

— Nie wiem. Wprawdzie nie rozumiem, dlaczego nie ufacie Plaskicowi, ale powtarzam, on upiera się, żeby się z wami spotkać, więc na pewno lada chwila się tu stawi, by sprawdzić czy go nie okłamałam.

- W takim razie muszę uciekać — stwierdziła Clara.
- Ależ nie możesz! Złapią cię! — wykrzyknął przestraszony Gian Maria.
- Mam już tego dość!
- Proszę się uspokoić — syknęła Miranda. — Histeria niewiele tu pomoże.
- Niech się schowa w twoim pokoju — błagał Gian Maria Mirandę.
- Nie, przykro mi, już powiedziałam, że nie chcę być w nic zamieszana.
- Nie zrobiliśmy niczego złego — bronił się Gian Maria.
- A kradzież? — zapytała hardo dziennikarka.
- Ja niczego nie ukradłam! Wyprawę sfinansowali dziadek i profesor Picot, choć

większość środków wyłożył dziadek. Już powiedziałam, że zwrócę te przedmioty w dniu, w którym to miejsce stanie się znów normalnym krajem. Dokąd miałam z tym iść? Gian Maria powiedział mi, że wy, dziennikarze, twierdzicie, że ktoś dokonał napadu na Muzeum Narodowe, komu więc mam przekazać te tabliczki, Saddamowi?

Miranda milczała.

— Zgoda, idźcie do mojego pokoju — powiedziała po paru sekundach. — Ale możecie tam zostać tylko do chwili, aż ten Chorwat się przekona, że tutaj pani nie ma. Oto klucz. Muszę iść, czekają na mnie koledzy. Gdyby to panią interesowało: Amerykanie już stacjonują w niektórych dzielnicach na obrzeżach Bagdadu. W każdej chwili mogą znaleźć się w centrum miasta.

— Niech pani będzie ostrożna — poprosił Gian Maria.

Miranda uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością i nie żegnając się, wyszła z pokoju.

Kiedy wróciła parę godzin później, Clara i Fatima nadal siedziały na jej łóżku.

— Zaczęli już obalać pomniki pani przyjaciela, Saddama — powiedziała na powitanie.

— Kto taki?

— Irakijczycy.

— Ktoś im za to zapłacił — stwierdziła Clara, a Fatima znów zaczęła szlochać.

— Filmowały to stacje telewizyjne z połowy świata. Amerykanie właściwie przejęli już kontrolę nad miastem. Ten dzień, dziewiąty kwietnia, przejdzie do historii — powiedziała uszczypliwie Miranda.

— Nie wiem, co robić... — jęknęła Clara.

— Niech się pani zastanowi, jakie ma opcje — podsunęła Miranda.

— Gdzie jest Saddam? — zapytała nagle Fatima.

— Nikt tego nie wie, sędzę, że się ukrywa. Oficjalnie siły koalicyjne wygrały wojnę, ale tu i ówdzie ktoś próbuje jeszcze strzelać i zostało kilka jednostek wojsk irackich, które się nie poddają — odpowiedziała Miranda.

— Ale kto rządzi w Iraku? — dopytywała się Fatima.

— W tej chwili nikt. Bagdad to miasto w stanie wojny, zwycięzcy nie przejęli jeszcze nad nim kontroli, a przegrani nie do końca się poddali, choć wielu Irakijczyków wyszło na ulice, by powitać amerykańskich żołnierzy. W takich sytuacjach trudno zrozumieć, o co chodzi, przede wszystkim panuje zamieszanie — wyjaśniła dziennikarka.

— Czy granice zostały otwarte? — chciała wiedzieć Clara.

— Nie wiem, wydaje mi się, że nie, choć wyobrażam sobie, że wielu Irakijczyków będzie się starało przedostać do sąsiednich krajów.

— A do kiedy pani zostanie w Iraku? — zapytała Clara.

— Tak długo, jak mi każe mój szef. Kiedy to przestanie być wielkim newsem, wyjadę, ale nie wiem, czy nastąpi to za tydzień, czy za miesiąc.

Gian Maria wiedział, że nie udało mu się przekonać Ante Plaskica, że nic nie wie na temat Clary. Odbył z nim długą rozmowę, w której mówił kłamstwo za kłamstwem.

— Co też ci przyszło do głowy, by podejrzewać, że Clara ukrywa się w moim pokoju! — wyrzucał mu. — Udzieliłem schronienia dwóm osobom, które poznałem, kiedy pracowałem dla pewnej organizacji humanitarnej. Poprosili mnie o pomoc, bo ten hotel wydaje się jedynym bezpiecznym miejscem w Bagdadzie.

Potem zaprosił Plaskica do swojego pokoju, mając nadzieję, że to go ostatecznie przekona.

— Nie sądzisz, że pora się stąd zbierać, Gianie Mario? — zapytał Chorwat.

— Nie wydaje mi się, żeby było łatwo wydostać się z Iraku. To na razie zbyt niebezpieczne.

— Zapytajmy Mirandę, słyszałem, jak niektórzy dziennikarze mówili, że gdy tylko Amerykanie uznają, że wygrali wojnę, media wycofają się z Iraku — podsunął Plaskic.

— Dobrze, możemy próbować się z nimi zabrać, chociaż zastanawiam się, czy nie zostać i nie pomóc. Tu ludzie będą potrzebowali pomocy, skutki wojny są potworne. Porozdzielane rodziny, dzieci bez rodziców, okaleczeni ludzie... jestem księdzem, Ante, i czuję, że nas tu potrzebują.

Piętnastego kwietnia siły koalicyjne uznały wojnę za zakończoną i wygraną. Na ulicach Bagdadu zapanował chaos, Irakijczycy lamentowali nad zniszczeniami. Muzeum Narodowe zostało spustoszone, podobny los spotkał inne muzea w Iraku.

Ahmed Huseini miał ogromne poczucie winy. Obrabował własny kraj. Sahadi powiedział mu, że ukradzione przedmioty są już za granicą, w bezpiecznych miejscach, i że wkrótce obaj staną się bogaci. Muszą tylko poczekać na spotkanie z łącznikiem. Paul Dukais dokładnie wszystko zaplanował: jeden z jego ludzi przyjedzie po nich ze wszystkimi niezbędnymi przepustkami i dokumentami i wywiezie ich z kraju.

Sahadi nie zamierzał rezygnować z pieniędzy, które obiecała mu Clara. Jeśli dotychczas jeszcze się po nią nie zgłosił, to dlatego, że wiedział, iż tam jest bezpieczniejsza niż w każdej innej kryjówce. Pułkownik ma oczy dookoła głowy. Nocą, gdy poszedł ją odszukać, naraził się na niepotrzebne ryzyko, postanowił więc zostawić ją własnemu losowi, dopóki sytuacja się nie wyklaruje. Pułkownik za to cieszył się wolnością, przekroczył granicę z Kuwejtem, gdzie, posługując się fałszywym paszportem, stał się obywatelem odpoczywającym w luksusowym hotelu nieopodal Kairu.

Kiedy Ajed Sahadi wszedł do holu hotelu Palestyna, rozpoznał Mirandę w grupie dziennikarzy dyskutujących z ożywieniem z amerykańskimi oficerami. Zaczekał, aż dziennikarka oddali się od grupy, i podszedł do niej.

— Pani Mirando...

— Ajed, niech cię! Myślałam, że przepadłeś na zawsze. Przyjaciele me mogą się już pana doczekać...

— Tak podejrzewałem. Gdybym jednak przyszedł, naraziłbym je na niebezpieczeństwo. Zresztą wiedziałem, że zostawiam je w dobrych rękach, pani, Giana Marii...

— Fantastycznie, więc należy pan do tych, którzy podrzucają innym kukułcze jaja. — Miranda udawała, że się złości, czym rozśmieszyła Ajeda.

— Niech pani powie, gdzie one są.

— Znów trafiły do mojego pokoju. Ten Chorwat wciąż wypytuje o Clarę. Ani Gian Maria, ani Clara nie chcą, by się czegokolwiek dowiedział, musiałam więc znów je przygarnąć.

— Niech się pani nie martwi, zabiorę je.

— A dokąd, jeśli można zapytać?

— Najpierw do Jordanii, potem do Egiptu. Pani Clara ma piękny dom w Kairze, czeka tam na nią fortuna po dziadku, nie powiedziała pani o tym?

- A w jaki sposób przedostaniecie się do Jordanii?
- Pomogą nam przyjaciele.
- A co z Gianem Marią?

Sahadi wzruszył ramionami, nie miał zamiaru brać sobie na głowę tego księdza. Nie było o nim mowy w rozmowach, jakie prowadził z Clarą. Jak dla niego, księżulek może iść do diabła.

Miranda poszła za nim do pokoju, nie mogła się doczekać, kiedy wreszcie pozbędzie się Clary.

Clara wysłuchiwała w milczeniu wyjaśnień Sahadiego.

- Zadbam o to, by nic wam się nie stało — zapewniał.
- W przeciwnym razie nie zobaczysz ani dolara — zagroziła Clara.
- Wiem.
- Chcę jechać z wami — wtrącił się Gian Maria.

Clara popatrzyła na Ajeda i nie dopuściła go do głosu.

- Ksiądz, pojedzie z nami — oświadczyła stanowczo.
- W takim razie należy mi się więcej pieniędzy, poza tym nie wiadomo, czy ludzie, których po nas przyślą, zechcą sobie zawracać głowę jeszcze jedną osobą.
- On jedzie ze mną — powtórzyła Clara.
- A co zrobicie z Plaskicem? — zapytała Miranda.
- Niech nas pani od niego pozdrowi — mruknął Sahadi.
- Bardzo zabawne — prychnęła Miranda.

Kiedy wychodzili z hotelu, nikt nie zwrócił uwagi na Ajeda Sahadiego, młodego mężczyznę i dwie kobiety w czarnych burkach. Żadne z nich nie dostrzegło, że Ante Plaskic przygląda im się, ukryty w rogu holu.

Uwagi Chorwata nie uszło, że Clara przyciska do siebie torbę, w której, był pewny, ma *Glinianą Biblię*. Musi tylko za nią iść i odebrać ją, nawet jeśli będzie to oznaczać konieczność zamordowania „nadzorcy”.

Szybko jednak zrezygnował ze swoich zamiarów. Dwie kobiety i dwóch mężczyzn wsiadło do samochodu, który włączył się w niekończący się sznur aut. Clara znów znikła mu z oczu, teraz będzie musiał szukać jej poza Irakiem. Na szczęście wiedział, że wcześniej czy później spotka się z Yves'em Picotem, wystarczy więc mieć na oku jego.

Lion Doyle doszedł do takiego samego wniosku o wiele wcześniej. On też był zdecydowany wykonać zlecenie. Profesor Picot miał odegrać rolę nici Ariadny.

Rzym był piękny, jak zwykle. Gian Maria zastanawiał się, jak przez ostatnie miesiące mógł mieszkać tak daleko od tego miasta. Teraz uświadamiał sobie, jak bardzo tęsknił za jego urzekającą codziennością. Poranne rozmowy, spokojna lektura...

Wszedł do kliniki i skierował się do gabinetu swojego ojca. Maria, sekretarka doktora Carla Ciprianiego, pozdrowiła go serdecznie.

— Gianie Mario, jak się cieszę!

— Witaj, Mario!

— Wchodź, wchodź. Ojciec jest sam, tyle tylko, że słowem nie wspomniał, że przyjdiesz...

— Zrobię mu niespodziankę, nie uprzedzaj go.

Cicho zapukał do drzwi i nie czekając na „proszę”, wszedł.

Cipriani zamarł na widok syna. Wstał, jakby każdy ruch sprawiał mu ból, zabrakło mu słów. Gian Maria patrzył na niego, nawet nie mrugnawszy, stojąc bez ruchu pośrodku pokoju. Carlo zauważył, że syn schudł i ma opaloną, ogorzałą od wiatru i słońca skórę. Już nie przypominał cherlaka o anemicznym wyglądzie, jakim był kiedyś. Stał się mężczyzną, innym mężczyzną, który teraz przyglądał mu się hardo.

— Synku! — wykrzyknął Cipriani, podszedł do niego i mocno uściskał.

Gian Maria odwzajemnił uścisk ojca.

— Siadaj, siadaj, zadzwonię do Antonina i Lary, bardzo się martwili. Twój przełożony nie przekazywał nam prawie żadnych wiadomości od ciebie, tylko tyle, że żyjesz, ale nie chciał powiedzieć, gdzie jesteś. Dlaczego wyjechałeś, synu?

— Żeby zapobiec popełnieniu przez ciebie zbrodni, ojcze.

Cipriani przygarbił się i usiadł.

— Znasz moją historię, nigdy nie ukrywałem jej ani przed tobą, ani przed twoim rodzeństwem. Jak możesz mnie osądzać? Przyszedłem do kościoła błagać cię o przebaczenie i przebaczenie Boga.

— Alfred Tannenberg nie żyje, został zamordowany. Podejrzewam, że już o tym wiesz.

— Wiem, wiem i nie prosź mnie, bym...

— Byś prosił o przebaczenie? A czy sam nie powiedziałaś, że przyszedłś do konfesjonału po przebaczenie?

— Synu!

— Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się starałem, by ten grzech nie zaciążył na twoim sumieniu. Na próżno. Zapewniam cię, że oddałbym życie, bylebyś tylko nie skazywał sam siebie na potępienie.

— Przykro mi, przykro mi za krzywdę, jaką mogłem ci wyrządzić, nie sądzę jednak, by Bóg skazywał mnie za... za to, że chciałem śmierci tego potwora.

— Nawet życie potwora należy do Boga i tylko on miał prawo mu je odebrać.

— Widzę, że mi nie wybaczyłaś.

— Żałujesz, ojcze?

— Nie.

Głos Ciprianiego zabrzmiał mocno i zdecydowanie, bez śladu wahania.

— Co osiągnęłaś, ojcze?

— Wymierzyłem sprawiedliwość, sprawiedliwość, jakiej zabrakło, kiedy byliśmy niewinnymi dziećmi, a ten potwór kazał nam okładać kijem własne matki, nazywając je mulicami. Widziałem, jak umierała moja matka i moja siostra, i nic nie mogłem na to poradzić, byłem bezradny. Nie tobie mnie osądzać.

— Jestem tylko księdzem i twoim synem. I kocham cię, ojcze.

Gian Maria podszedł do ojca i znów go objął. Rozplakali się.

— Gdzie byłaś, synu?

— W Iraku, w maleńkim miasteczku Safran. Próbowałem zapobiec zamordowaniu Alfreda Tannenberga i Clary.

— On nie wahał się zabić mojej siostry. Była głucha i nie rozumiała rozkazów tego potwora. Rozszarpał ją na kawałki.

— Clara ma zapłacić za śmierć twojej siostry? — zapytał Gian Maria, odsuwając się od ojca.

Lekarz nie odpowiedział. Wstał z fotela. Przechadzał się po gabinecie, nie patrząc na syna.

— Jest niewinna, nie zrobiła wam nic złego.

— Gianie Mario, nie rozumiesz tego, bo jesteś księdzem. Ja jednak jestem tylko człowiekiem, może w twoich oczach najgorszym z ludzi, ale nie osądzaj mnie, synu, tylko mi wybacz.

— Kogo prosisz o wybaczenie, swojego syna czy księdza?

— Obydwo, synu, obydwu.

Carlo Cipriani zamilkł, pragnął, by syn jeszcze raz go przytulił, jednak Gian Maria wstał z krzesła i wyszedł z gabinetu, nie żegnając się z ojcem. Nie mógł sobie wybaczyć, że w jego duszy zrodził się gniew.

* * *

— Gdzie jest Clara?

Mimo że korzystali z najbezpieczniejszych połączeń, głos Enrique zakłócały szmery na linii telefonicznej. George Wagner odpowiedział poirytowany:

— W Paryżu, razem z profesorem Picotem. Nie przejmuj się, rozmawiałem z Dukaisem, zapewnił mnie, że któryś z jego ludzi zdołał przeniknąć do otoczenia Picota i że człowiek ten w odpowiednim momencie ukradnie tabliczki.

— Już dawno powinien je mieć — mruknął Gómez, siedzący w swoim domu w Sewilli.

— Tak, powinien, i już powiedziałem Dukaisowi, żeby mu nie płacił, dopóki nie dostarczy nam *Glinianej Biblii*. Ten człowiek wrócił z Iraku i zdołał się zbliżyć do Picota, więc będzie wiedział, gdzie znajdują się tabliczki.

— Zorganizuj grupę — podsunął Enrique.

— To samo powiedział mi Frank. Zrobimy to w odpowiednim czasie. O ile wiem, Picot chce pokazać na wystawie wszystko, co znaleziono w Safranie, a więc i *Glinianą Biblię*. Została zdeponowana w sejfie bankowym. Będzie tam czekać do otwarcia wystawy, musimy więc poczekać i my. Tymczasem przyda nam się człowiek Dukaisa, bo wchodzi w skład grupy, która przebywała w Iraku, może więc nadal donosić nam o kolejnych posunięciach Clary i Picota.

— A mąż?

— Ahmed? Poprosiliśmy go, by nie tracił Clary z oczu, ale zdaje się, że żyją w separacji i dziewczyna nie ma do niego zaufania, wie, że pracuje dla nas. Zastanawiam się, czy on nam się jeszcze do czegokolwiek przyda.

— Ależ George, do tej pory Ahmed okazał się bardzo przydatny. Gdyby nie on, nigdy nie udałoby się przeprowadzić operacji opróżniania muzeów.

— To Alfred zaplanował tę operację — przypomniał George prawie szeptem.

— Ale Ahmed ją przeprowadził, z pomocą Pułkownika.

— Dostaną dużo pieniędzy, teraz jednak, przyjacielu, najważniejsza jest *Gliniana Biblia*. Mam wyjątkowego klienta, jest gotów zapłacić miliony dolarów za dowód na istnienie Abrahama.

— Bądźmy rozsądni, George, byłoby szaleństwem zdradzać, że mamy *Glinianą Biblię*.

— Zaczekamy, rzecz jasna, obiecuję ci, ale możesz mi wierzyć, ten, kto domaga się *Glinianej Biblii*, nie ma najmniejszego zamiaru nigdzie jej wystawiać ani oddawać do muzeum.

— Czy twoi ludzie z fundacji Świat Starożytny zinwentaryzowali materiał? — zapytał Enrique.

— Właśnie to robią, pomaga im Ahmed.

— Ja też potrzebuję specjalistycznej pomocy przy tym, co mi przysłaliście.

— Frankie również o nią prosił, ale nie martw się, Robert Brown i Ralph Barry się tym zajmą. Jeśli chcesz przyspieszyć prace, Ahmed może przyjechać do Sewilli.

— Co zrobić z Clarą?

— Mamy przez nią masę kłopotów, poza tym stawia nam wyzwania... Daje zły przykład...

— Masz rację, przyjacielu.

* * *

Yves Picot słuchał w milczeniu swojego rozmówcy, który po drugiej stronie linii najwyraźniej nie śpieszył się, by zakończyć swoją kwestię. Od ponad dziesięciu minut profesor nie zdołał wtrącić ani słowa. Kiedy w końcu odłożył słuchawkę, odetchnął z ulgą. Clara nalegała, by wystawa została przygotowana jak najszybciej. Nie przyjmowała do

wiadomości, że to skomplikowane przedsięwzięcie. Twierdziła, że nie starają się wystarczająco. Obiekty były zapakowane, fotografie Liona Doyle'a gotowe, każdy z archeologów biorących udział w misji napisał artykuł poświęcony poszczególnym zagadnieniom wykopalisk i znalezionym przedmiotom, ponadto, jak gdyby sukcesów nie było dość, mieli *Glinianą Biblię*. Clara czuła, że natychmiast musi pokazać światu cenne tabliczki. Z każdym upływającym dniem rosło niebezpieczeństwo, że zostaną jej odebrane, nawet jeśli znajdują się, teraz w sejfie w szwajcarskim banku.

Clara nie pozwoliła Picotowi długo cieszyć się zasłużonym odpoczynkiem i odkąd pojawiła się w Paryżu, co dzień poganiała go do pracy.

Całe szczęście, pomyślał, że mamy Martę Gómez, kwintesencję skuteczności, która też chce jak najszybciej otworzyć wystawę. W ciągu kilku tygodni udało jej się pozyskać wiele fundacji i uniwersytetów. On też dołożył swoją cegiełkę, wydzwaniając do wpływowych kolegów ze świata akademickiego i finansowego, których kusił tym, że na wystawie zostanie zaprezentowane wielkie odkrycie.

Marcie udało się sprawić, by wystawa rozpoczęła objazd od Madrytu. On sam wołałby, żeby inauguracji dokonano w Paryżu, w Luwrze, ale na to musieliby czekać wiele miesięcy, bo program wystaw na ten rok był już zamknięty.

Fabián powiedział mu, że pewien hiszpański bank i dwa duże przedsiębiorstwa zgodziły się sfinansować przedsięwzięcie. Władze Uniwersytetu Complutense oraz decydenci w Ministerstwie Kultury i Sztuki wyrazili entuzjazm. Była to wielka szansa promocji dla Madrytu, który miał być pierwszą stolicą goszczącą wystawę i to ni mniej, ni więcej, tylko w samym Narodowym Muzeum Archeologicznym. Potem wystawa miała być pokazana w Paryżu, Berlinie i Amsterdamie, Londynie oraz Nowym Jorku.

Zadzwoni do Clary, by przekazać jej dobre wieści, chociaż był prawie pewny, że Marta jej o wszystkim powiedziała. Organizacja wystawy bardzo je do siebie zbliżyła.

* * *

Czwórka przyjaciół spotkała się w Berlinie. Hans Hausser poprosił ich, by przyjechali do jego miasta, bo on sam ostatnio nie czuł się najlepiej. Mercedes martwiła się, Hans wychudł, był blady.

— Pojechałem, tak jak się umówiliśmy, do Londynu, by spotkać się z Tomem Martinem. Powiedziałem, że nie zapłacimy drugiej raty, dopóki nasze zlecenie nie zostanie należycie zrealizowane. Wprawdzie zapowiedziałem mu to telefonicznie, ale teraz przynajmniej nie ma wątpliwości, że mówimy poważnie.

— I co ci powiedział? — zapytała Mercedes.

— Że podnosi cenę, bo jego człowiek potrzebował więcej czasu, niż przeznaczili na to zlecenie. Powiedziałem, że nie, że ani nam się śni płacić im choćby euro więcej. Podyskutowaliśmy trochę, ale w końcu doszliśmy do porozumienia. Jeśli jego człowiek w ciągu najbliższych dni rozwiąże problem, dostanie premię, w przeciwnym razie zapłacimy tylko ustaloną stawkę.

— Gdzie jest Clara Tannenberg? — chciał wiedzieć Bruno Müller.

— Do niedawna przebywała w Paryżu, ale od kilku dni jest w Madrycie, gdzie organizuje wystawę obiektów znalezionych w świątyni, w której przez parę miesięcy prowadziła wykopaliska z zespołem archeologów z połowy Europy. Nie wiem, w jaki sposób udało im się kopać, biorąc pod uwagę sytuację w Iraku — odpowiedział Hausser.

Carlo Cipriani wyglądał na smutnego i nieobecnego, mówił tak, jak gdyby wypowiedzenie każdego słowa kosztowało go dużo wysiłku, patrzył nieobecny wzrokiem.

— Co cię gnębi, Carlo? — zapytał Hans.

— Nic... Wiesz, zastanawiam się, czy nie powinniśmy już sobie odpuścić. Tannenberg nie żyje, dotrzyaliśmy naszej przysięgi.

— Nie! — krzyknęła Mercedes. — Nie cofniemy się! Przysięgliśmy, że zamordujemy jego i jego potomstwo. Clara Tannenberg jest jego jedyną wnuczką, ostatnią z rodu Tannenbergów, i musi zginąć.

Bruno Müller i Hans Hausser opuścili głowy, wiedzieli, że nikt nie przekona Mercedes.

— Dobrze, dobrze, zrobimy to, ale ja doskonale rozumiem Carla, ta dziewczyna jest niewinna — stwierdził Bruno.

— Niewinna? Niewinna to była moja matka, podobnie jak wasze matki i rodzeństwo. Niewinni byli wszyscy ci, których zamknęli w Mauthausen. O nie, ona nie jest niewinna, to nasienie tego potwora. Jeśli zamierzacie się wycofać, lepiej mi powiedzcie. Sama doprowadzę sprawę do końca, wszystko mi jedno, dam sobie z tym radę — odpowiedziała rozwścieczona Mercedes.

— Ależ proszę, Mercedes, nie kłóćmy się! — poprosił Bruno. — Zrobimy to, co postanowiliśmy zrobić, ale uwaga Carla zasługuje na uwzględnienie.

— Clara Tannenberg umrze, czy chcecie tego czy nie, zapewniam was — ucięła Mercedes.

* * *

Ante Plaskic wyjmował z pudeł książki i ustawiał je na półkach, cały czas obserwowany przez strażnika Muzeum Archeologicznego.

Pomyślał, że Yves Picot jest sentymentalny, bo choć Clara dawała mu do zrozumienia, że wolałaby nie widzieć Chorwata wśród osób organizujących wystawę, profesor przekonywał ją, że nie będzie sprawiedliwe wykluczenie z przygotowań ani jego, ani żadnego innego uczestnika wyprawy do Safranu. Profesor Gómez poparła Picota.

Od dwóch tygodni przebywał w Madrycie. To Picot oddał go pod dowództwo Marty Gómez, ta zaś, zupełnie tak samo jak profesor, dała wiarę jego zapewnieniom, że czuje się dumny, iż może uczestniczyć w tak ważnym wydarzeniu.

Fabián i Marta w rekordowo krótkim czasie zredagowali katalog: dwustustronicową książkę poświęconą świątyni w Safranie. Picot był przekonany, że doskonale się sprzeda.

Ante patrzył spod oka na Liona Doyle'a. Nie zaskoczyło go, że tu jest, bo w przeciwieństwie do niego, budził sympatię wszystkich. Ante jednak wciąż podejrzewał, że Lion wcale nie jest tym, za kogo się podaje, tak samo jak Ajed Sahadi nie był nadzorcą.

Z fragmentów podsłuchanych rozmów dowiedział się, że Sahadi zdołał wydostać z Iraku Clare i jej męża i przewiózł ich do Kairu, gdzie, jak się wydaje, postanowił zostać i zaczekać, aż sytuacja w Bagdadzie się wyklaruje. W Kairze Clara zerwała chyba ze swoim mężem, gdyż Ahmeda Huseiniego nie było teraz w Madrycie, chociaż podobno wybierał się na otwarcie wystawy.

Wyrównując książki na półce, Plaskic powiedział sam do siebie, że nie może znów ponieść porażki.

Człowiek z Planet Security postawił sprawę jasno: Plaskic musi jak najszybciej zdobyć te tabliczki, ma wsparcie grupy ekspertów od kradzieży, którzy tylko czekają na jego sygnał, by włączyć się do akcji.

Przez dwa ostatnie tygodnie prawie nie wychodził z muzeum, miał więc wiele okazji, by zapoznać się z tym miejscem, a co ważniejsze, pracownicy i strażnicy przyzwyczaili się do jego obecności.

Rozmawiał kilka razy ze strażnikami pilnującymi sali, w której mieściła się centrala systemu alarmowego i monitory.

Poprosił ludzi z Planet Security, by zapoznali się dobrze z rozkładem budynku, starając się przy tym nie zwrócić niczyjej uwagi, więc prawie wszyscy przekroczyli próg muzeum, udając turystów. Nie będą mieli zbyt wiele czasu na kradzież tabliczek, ucieczka będzie trudna. Ante wymyślił, że tabliczki powinny zostać ukradzione tuż przed otwarciem wystawy. Wyniesienie ich później stanie się praktycznie niemożliwe.

Picot kazał wykonać wysokiej jakości repliki, co mogło oznaczać, że po uroczystym otwarciu wystawy w muzeum pozostaną tylko one, oryginały zaś powrócą do sejfu.

Był niezadowolony, że nie udało mu się dowiedzieć, kiedy *Gliniana Biblia* zostanie przewieziona do Muzeum Archeologicznego. Marta powiedziała mu, że samo istnienie tabliczek trzymane jest w ścisłej tajemnicy i do dnia otwarcia to wielkie odkrycie nie zostanie ujawnione.

Clara nie pozwoliła nawet, by znalezisko pojechało do Rzymu, do watykańskich naukowców. Gian Maria przekonywał, że najlepiej będzie, jeśli autentyczność tabliczek stwierdzi Watykan, Clara odpowiedziała jednak, że Watykan nie będzie miał innego wyjścia, niż przyjąć do wiadomości fakty.

Do otwarcia wystawy pozostały dwa dni.

Clara, Picot, Fabián i Marta osobiście zajęli się przygotowaniem sali, doglądając każdego szczegółu, od oświetlenia i podłóg, aż po gablotę, w której miały zostać wystawione tabliczki.

— Denerwujesz się? — zapytał Picot Clarę.

— Tak, trochę, tyle wysiłku kosztowało nas, by tu dotrzeć... Wiesz, tęsknię za dziadkiem, nie zasłużył na taką śmierć ani na to, by ktoś odebrał mu tę chwilę.

— Więc nadal nie wiesz, kim był morderca?

Clara zaprzeczyła ruchem głowy, starając się powstrzymać łzy.

— Dajmy spokój, porozmawiajmy o czymś innym. — Picot objął ją serdecznie.

— Przeszkadzam?

Yves Picot wypuścił Clarę z objęć i spojrzał oniemiały na Mirandę, nie wiedząc, co powiedzieć. Dziennikarka poruszyła niebo i ziemię, by dostać się do muzeum parę godzin przed oficjalnym otwarciem wystawy.

Clara podeszła do mej, pocałowała ją w policzek i zapewniła, że bardzo się cieszy z jej przyjazdu. Potem wyszła, zostawiając Mirandę sam na sam z Picotem.

— Wygląda na to, że ty nie cieszysz się z mojego przyjazdu... — mruknęła Miranda.

— Szukałem cię, ale na próżno. Przypuszczam, że przekazali ci w agencji, że się o ciebie dopytuję...

— Wiem, ale musiałam zostać w Iraku dłużej, niż planowałam, sam wiesz, jak tam się wszystko toczy.

— Jak się o tym dowiedziałaś? — zapytał Picot, zataczając krąg ręką.

— Ależ panie profesorze, jestem nie tylko dziennikarką, czytam też gazety! W Londynie piszą, że zamierzacie pokazać nadzwyczajne odkrycie.

— Tak, *Glinianą Biblię*...

— No właśnie, swego czasu poróżniłyśmy się z Clarą z powodu tych tabliczek.

— O co poszło?

— Cóż, według mnie, ona je ukradła. Należą do Iraku i nie powinna ich była wywozić bez zezwolenia.

— A kto niby miał jej to zezwolenie wydać? To był początek wojny.

— Jej własny mąż, Ahmed Huseini. W końcu to on był szefem Departamentu Wykopalisk.

— Ależ proszę cię, Mirando, nie bądź naiwna! Tak czy inaczej, nie zatrzymamy tych tabliczek na zawsze. Gdy tylko sytuacja w Iraku się ustabilizuje, wrócą tam. Tymczasem zdeponujemy je w Luwrze, bo to muzeum dysponuje najważniejszą kolekcją sztuki Mezopotamii.

Ich rozmowę przerwał podniecony Fabián.

— Yves, właśnie dzwonili z banku. Opancerzona ciężarówka już wyjechała.

— Zaczekamy na nią przy drzwiach. Chodź z nami, Mirando.

Tabliczki leżały już w gablocie. Clara przekręciła klucz i wzruszona ścisnęła rękę Giana Marii, a następnie odwróciła się do Picota, Fabiána i Marty i uśmiechnęła do nich promiennie.

Szef ochrony muzeum wytłumaczył im jeszcze raz, na czym polegają nadzwyczajne środki bezpieczeństwa zainstalowane w tej sali. Clara wydawała się usatysfakcjonowana tym, co słyszy.

— Pięknie wyglądasz — powiedział do niej Fabián.

Clara pocałowała go w czoło. Żakiet w ognistej czerwonej kolorze tworzył doskonałe tło dla jej smagłej cery i stalowoniebieskich oczu.

Dziesięć minut później otworzyły się drzwi muzeum i zaczęli wchodzić członkowie hiszpańskiego rządu, pani wicepremier i dwóch ministrów, nie licząc naukowców z wielu krajów.

Europejscy i amerykańscy archeolodzy podziwiali wystawione obiekty. Marta Gómez i Fabián Tudela wyjaśniali przedstawicielom władz hiszpańskich, dlaczego znalezione przedmioty są tak wartościowe.

Kelnerzy z tacami uginającymi się od napojów i kanapek lawirowali wśród gości, którym zetknięcie z pięknem najwyraźniej dodawało apetytu.

Picot i Clara zdecydowali, że dopiero godzinę po otwarciu uroczyste udostępnią salę z *Glinianą Biblią*.

Ante Plaskic rozpoznał wśród ludzi kręcących się po salach muzeum kilku agentów Planet Security: jedni jako kelnerzy obsługiwali gości, inni w mundurach strażników „pilnowali” eksponatów, kilku zmieszało się z zaproszonymi naukowcami. Jego uwagi nie uszło i to, że Lion Doyle, z którego twarzy nie schodził uśmiech, był spięty i zdenerwowany.

Zadaniem złodziei było zabranie tabliczek tuż przed otwarciem drzwi sali, w której były wystawione. Oczywiście narażali się tym samym na ogromne ryzyko, ale była to jedyna możliwość, by zdobyć *Glinianą Biblię*. Powtarzając sobie w myślach listę możliwych zagrożeń i przeszkód, Ante poszedł do pomieszczenia centrali alarmu. Mieli dziesięć minut na to, by ukraść tabliczki i opuścić muzeum.

— Panie i panowie, poproszę o chwilę ciszy! — odezwał się Yves Picot. — Bardzo proszę, by powoli żegnali się państwo z eksponatami wystawionymi w tej sali, ponieważ za piętnaście minut zaproszę państwa do bardzo szczególnego pomieszczenia, w którym prezentujemy bezcenny skarb. Jego odkrycie ma doniosłe znaczenie nie tylko dla środowiska naukowego, ale również dla społeczeństwa i Kościoła. Proszę za mną.

Picot, Marta Gómez i Fabián Tudela wyjaśniali pani wicepremier Hiszpanii znaczenie *Glinianej Biblii*. Tuż za nimi szła Clara, prowadząc rektora uniwersytetu w Madrycie.

Kobieta w kostiumie od Chanel, o pięknej, mimo podeszłego wieku, łagodnej twarzy, zbliżała się do nich, torując sobie drogę przez tłum. Uśmiechnęła się i Clara uprzejmie odpowiedziała uśmiechem. Ktoś musiał popchnąć starszą panią, bo ta potknęła się i wpadła na Irakijkę. Kiedy Clara się odsunęła, jej twarz wykrzywił bolesny grymas, a kobieta przeprosiła ją z ujmującym uśmiechem i zniknęła w tłumie.

Nie zważając na to niewielkie zamieszanie, Clara tłumaczyła rektorowi, co za chwilę zobaczy, gdy nagle podniosła rękę do piersi i upadła.

Yves Picot i Fabián natychmiast uklękli przy niej i patrzyli bezradnie, jak Clara gwałtownie otwiera i zamyka oczy, jakby starała się odegnać spod powiek koszmarny widok.

Fabián krzyknął, by wezwać lekarza i karetkę. Ante Plaskic dał znak ludziom z agencji, ci zaś natychmiast zrozumieli, że trzeba wykorzystać nadarzącą się okazję.

Jeden z gości powiedział, że jest lekarzem, i podszedł do Clary, by ją zbadać. Rozpiął jej żakiet i odkrył maleńki ślad po ukłuciu w okolicy serca.

— Szybko, wezwijcie karetkę! Ona umiera! — krzyknął.

Dwaj agenci ochrony, a za nimi elegancko ubrany mężczyzna, skierowali się do sali, w której znajdowała się *Gliniana Biblia*.

Ante szybko przekradł się do pomieszczenia, w którym kilkanaście monitorów, ustawionych jeden na drugim, pokazywało wszystko, co działo się w nawet najbardziej oddalonym zakątku muzeum. Wszedł, nie pukając, i strzelił do strażnika obserwującego monitory. Zawłókł ciało w kąt, po czym zamknął drzwi od środka. Powyłączał wszystkie alarmy. Na monitorach doskonale widział swoich kolegów wchodzących do sali i strzelających do strażników z pistoletów z tłumikiem. Nie upłynęły dwie minuty, a bezcenne tabliczki znalazły się w ich workach, oni zaś opuszczali budynek.

Chorwat uśmiechnął się do siebie z zadowoleniem. Zadanie zostało wykonane.

Skupił się na jednym z monitorów. Widział Clarę niesioną przez Picota. Fabián i ochroniarze torowali im drogę.

Nie wiedział dlaczego, być może z powodu ostentacyjnej obojętności, jaka z niej emanowała, jego uwagę zwróciła starsza kobieta, która pojawiła się na innym monitorze. Zdawało się, że zupełnie nie zwraca uwagi na to, co się dzieje. Właściwie tylko ona nie przejęła się groźnym zajściem, tylko najspokojniej w świecie starała się przebić przez tłum gości do najbliższego wyjścia.

Zastanawiał się, co trzyma w ręku, ale nie udało mu się zobaczyć tego przedmiotu.

Mercedes Barreda wyszła z muzeum i z przyjemnością zaczęła wdychać ciepłe wiosenne powietrze. Zawsze lubiła harmonię dzielnicy Salamanca, w której mieściło się Muzeum Archeologiczne. Zaczęła iść, spokojna i zadowolona. Nic zwróciła uwagi na dwóch elegancko ubranych mężczyzn, którzy wsiadali do jednego z samochodów zaparkowanych w pobliżu muzeum. Jedyłą jej troską było, jak pozbyć się szpikulca, który wbiła w serce Clary. Nie zostawiła na nim odcisków palców, ponieważ włożyła rękawiczki z najdelikatniejszej

skóry. Wystarczy więc, że wrzuci go do pierwszego napotkanego rynsztoka. Nie chciała jednak robić tego w tej dzielnicy, musi się nieco oddalić.

Przez godzinę spacerowała bez celu, potem zaś zatrzymała taksówkę i zamówiła kurs do hotelu Ritz, gdzie się zatrzymała.

Zastanawiała się nad powrotem do Barcelony, ale zmieniła zdanie. Nie musi uciekać, nikt jej nie szuka, nikt nie będzie jej wiązał ze śmiercią Clary Tannenberg. Na wszelki wypadek przebrała się i znów wyszła. Ruszyła w stronę dworca kolejowego. Mijając kratkę ściekową nieopodal muzeum Prado, wrzuciła do niej szpikulec. W drodze do hotelu zadowolona rozmyślała o tym, jak łatwo przyszło jej odebrać życie Clarze.

Nie wahała się długo, w jaki sposób zadać jej śmierć. Kiedy była nastolatką i mieszkała w Barcelonie, babka opowiedziała jej historię zabójstwa Elżbiety Bawarskiej. Jakiś człowiek podszedł do cesarzowej i wbił jej w serce bardzo cienki sztylet. Ta padła martwa niedługo potem, z sukienką zaplamioną tylko paroma kroplami krwi.

Kiedy zaczęła marzyć o zamordowaniu Clary, wyobraziła sobie dokładnie chwilę, w której wbija jej w serce szpikulec. Nie było łatwo znaleźć odpowiednią broń. Szukała w sklepach ze starzyzną, a nawet wśród materiałów używanych przez robotników na budowach. Odpowiedni przedmiot znalazła w końcu w skrzynce na narzędzia na budowie, wyczyściła go i wypolerowała jak dzieło sztuki.

Kiedy znalazła się w pokoju hotelowym, otworzyła lodówkę, wyjęła z niej butelkę szampana i nalała sobie jedną lampkę. Po raz pierwszy od wielu lat czuła, że pulsuje w niej życie.

* * *

Lion Doyle był na siebie wściekły. Clara Tannenberg nie żyła, ale to nie on ją zabił, a to mogło oznaczać, że nie zobaczy drugiej części swojego honorarium. Pomyślał, że zabójca musiał być zawodowcem, bo tylko ktoś taki zdobyłby się na odwagę i miał dość zimnej krwi, by zamordować Clarę na oczach setek ludzi. Wbił jej coś w serce, jakiś cienki, długi przedmiot. Tylko kto to mógł być?

On sam zamierzał zabić ją jeszcze tej nocy. Wiedział, że zatrzymała się w domu Marty Górnéz i że nikt nie będzie zdziwiony, jeśli i on się tam pojawi. Przyszło mu do głowy, że prawdopodobnie będzie musiał zamordować również profesor Gómeza, ale potraktował to

jako małą niedogodność, utrudnienie, z jakim należy się liczyć. Kłopot w tym, że teraz było już za późno, nie powie Tomowi Martinowi, że wykonał zlecenie. Lion był zirytowany, widząc, jak Gian Maria zalewa się łzami, kiedy wychodził z Mirandą, by jechać do szpitala, gdzie przewiezione zostały zwłoki Clary.

George Wagner zakończył zebranie, kiedy sekretarka przełączyła pilny telefon od Paula Dukaisa.

— Gotowe, zadanie wykonane.

— Wszystko?

— Tak, mamy to, czego chciałeś. À propos... wnuczka twojego przyjaciela miała wypadek. Ktoś ją zamordował.

— Kiedy dotrze przesyłka?

— Jest w drodze, jutro będzie na miejscu.

Wagner nie miał więcej pytań. Na Enrique Gómezie i Franku Dos Santosie śmierć Clary nie zrobiła większego wrażenia.

Ich jedynym zmartwieniem było to, jak wprowadzić na rynek przedmioty z irackich muzeów. George zaproponował, że spotkają się, wyjątkowo łamiąc zasady, by wzniesć toast za sukces przedsięwzięcia i zdobycie *Glinianej Biblii*. Nie mógł się doczekać, kiedy znajdzie się w jego rękach, zanim przekaże ją klientowi.

Lion Doyle zadzwonił do Toma Martina z automatu.

— Zamordowano Clarę Tannenberg — oznajmił.

— I...?

— Nie wiem, kto to zrobił — odpowiedział Doyle bezradnie.

— Wracaj, musimy pogadać.

— Przyjadę jutro.

Yves spacerował w milczeniu po korytarzu. Miranda, Fabián i Marta również nie mieli ochoty na rozmowę, Gian Maria nie przestawał płakać.

Dwaj inspektorzy policji czekali wraz z nimi na wyniki autopsji. Inspektor García poprosił, by potem pojechali z nim na komisariat, by spróbować wyjaśnić, co się właściwie stało.

Wreszcie lekarz sądowy wyszedł z sali.

— Czy są tu jacyś krewni pani Tannenberg? — zapytał.

Picot z Fabiánem popatrzyli na siebie, nie wiedząc, co odpowiedzieć.

— Jesteśmy jej przyjaciółmi — odezwała się Marta. — Oprócz nas nie miała tu nikogo. Próbowaliśmy skontaktować się z jej mężem, ale bez skutku.

— Rozumiem. Pani Tannenberg została zamordowana sztyletem lub szpilką... Czymś ostrym i długim, co przebiło serce. Przykro mi.

Lekarz odpowiedział jeszcze na kilka pytań, po czym wręczył inspektorowi Garcíi swój raport.

— Panie inspektorze, będę tu jeszcze przez jakiś czas. Gdyby potrzebował pan jakichś wyjaśnień, jestem do pańskiej dyspozycji.

Inspektor García, mężczyzna w średnim wieku, przytaknął skinieniem głowy. Ten przypadek wydawał się bardziej skomplikowany, niż wyglądało to na pierwszy rzut oka, a on potrzebował szybkich wyników. Dziennikarze wydzwaniali do ministerstwa, zebrząc o informacje. Trudno o wydarzenie bardziej przykuwające uwagę prasy: zabójstwo irackiej archeolog w madryckim muzeum i brawurowa kradzież znalezionej przez nią skarbu, który właśnie miała pokazać światu. A wszystko to na oczach dwustu gości, w tym pani wicepremier i dwóch innych członków rządu.

Już sobie wyobrażał tytuły w gazetach następnego dnia. To wydarzenie odbije się echem nie tylko w hiszpańskiej prasie, ale na całym świecie. Odebrał właśnie dwa telefony od swoich zwierzchników, domagających się odpowiedzi na pytanie, czy wpadł już na trop mordercy, jaki był motyw zbrodni, która, jak przypuszczali, łączyła się z kradzieżą tajemniczego skarbu.

W komisariacie było duszno, inspektor otworzył okno, żeby wpuścić nieco świeżego powietrza, zapraszając jednocześnie Picota i resztę, by usiedli. Młody ksiądz nie mógł pohamować płaczu, wtulał się w Martę jak zagubione dziecko.

Zapowiadała się długa noc.

Asystent inspektora miał w gabinecie włączony telewizor, akurat o dwudziestej pierwszej zaczynały się wiadomości. Wszyscy ucichli, przed ich oczami migały obrazy z popołudnia, którego nie zapomną do końca życia.

Prezenter oświadczył, że oprócz zabójstwa irackiej archeolog w Muzeum Archeologicznym doszło do zuchwałej kradzieży: zginęły starożytne tabliczki o nieoszacowanej wartości, które archeolodzy nazywają *Glinianą Biblią* i które tego wieczoru miały być po raz pierwszy pokazane światu.

Yves Picot uderzył pięścią w stół, Fabián głośno zaklął. Zamordowali Clare, żeby ukraść *Glinianą Biblię*, orzekł Picot. Ani Marta, ani Fabián nie mieli najmniejszych wątpliwości, że taki był właśnie prawdziwy motyw zbrodni.

Nagle Gian Maria krzyknął. Wpatrywali się ze zgrozą w ekran.

Clara szła w otoczeniu ministrów i gości, nagle zachwiała się, jakby się potknęła, potem jednak ruszyła dalej, a w chwilę potem osunęła się bezwładna na podłogę.

Tego, co zobaczył Gian Maria, nie dostrzegł ani inspektor Garcíá, ani Picot i Marta. W tłumie, przez ułamek sekundy, Gian Maria dostrzegł profil kobiety, którą znał od dzieciństwa.

Mercedes Barreda, dziewczynka z Mauthausen, dziecko, które jak jego ojciec padło ofiarą przerażającego okrucieństwa hitlerowców.

Gian Maria pojął, że to Mercedes zabiła Clare, i poczuł ukłucie w piersi. Nie może jej wydać, bo to równałoby się wydaniu własnego ojca, ale jeśli tego nie zrobi, będzie czuł się współwinny śmierci Clary.

Inspektor zaczął wypytywać, czy Gian Maria zauważył coś szczególnego, ale on zaprzeczył, tłumacząc, że po prostu nie mógł patrzeć, jak Clara umiera.

Picot, Marta i Fabián uwierzyli mu, ale inspektor Garcíá oraz Miranda nie wyglądali na przekonanych.

Policjant był pewny, że Gian Maria kogoś rozpoznał, Miranda zaś uznała, choć nikomu o tym nie powiedziała, że musi się postarać o kopię tego nagrania, by przeanalizować każdy jego fragment, aż natrafi na coś, co wyjaśni zachowanie księdza.

Picot wytłumaczył policjantowi, nie szczędząc szczegółów, jak wyglądało osiem tabliczek nazywanych *Glinianą Biblią*, zwracając jego uwagę nie tylko na wartość archeologiczną, ale również religijną tych eksponatów.

Inspektor Garcíá wysłuchał niezwyklej historii wykopalisk w Iraku. Z Giana Marii udało mu się wyciągnąć tylko kilka słów.

Zwierzchnicy inspektora naciskali: muszą dostać informacje, by mieć co powiedzieć mediom.

Inspektor poprosił Picota i jego kolegów, by jeszcze raz opowiedzieli mu, co wydarzyło się w ciągu ostatnich godzin, kogo widzieli, kto wiedział o istnieniu tabliczek, czy kogoś podejrzewają. Poprosił również o listę wszystkich, którzy mieli bezpośredni kontakt z tabliczkami. Archeolodzy wyszli z komisariatu wyczerpani.

Co ze mną będzie? — zastanawiał się Gian Maria, wracając do hotelu razem z Mirandą i Picotem.

* * *

Carlo Cipriani wsiadł do taksówki. Był wyczerpany, chociaż lot z Barcelony trwał tylko dwie godziny.

Dużo go kosztowało pożegnanie z Mercedes, Hansem i Brunonem. Przekonywali go, że to, co ich łączy, jest silniejsze niż śmierć. Mieli rację, oprócz swoich dzieci nikogo nie kochał tak jak przyjaciół, dla nich poświęciłby wszystko, wierzył jednak, że nadszedł czas, by poszukać pokoju ducha, a mógł to osiągnąć, dystansując się od nich.

Nie robił Mercedes wyrzutów. Nie robili ich również Bruno i Hans. Ona sama nic im nie opowiedziała. Nie było to potrzebne. Wiedzieli o tym, wystarczyło im jedno spojrzenie.

Mercedes wyznała, że teraz może wreszcie spokojnie spać, w zgodzie ze sobą. Bruno nie potrafił powiedzieć, jak się czuje, Hans wybuchnął płaczem.

Po powrocie do Rzymu Carlo Cipriani mówił sobie, że musi w inny sposób podejść do czasu, jaki mu pozostał. Ruszył w stronę placu Świętego Piotra.

Kiedy wszedł do bazyliki, poczuł, że mrok przynosi mu ulgę.

W tej samej chwili inspektor García, któremu towarzyszył ksiądz, kierował się do świątyni w poszukiwaniu Giana Marii. Przekonał zwierzchników, by pozwolili mu iść za podszeptem intuicji, i uzyskał zgodę na wyjazd do Rzymu, by porozmawiać z księdzem.

Inspektor nie zwrócił uwagi na mężczyznę idącego zmęczonym krokiem w stronę konfesjonału, w którym, jak powiedział mu ksiądz, spowiadał Gian Maria.

Carlo Cipriani dotarł do konfesjonału przed inspektorem. Klękając, zdołał dostrzec, że na twarzy chłopaka pojawił się wyraz goryczy i rozpacz.

— Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Na wieki wieków.

— Ojcze, jestem winny śmierci dwóch osób. Oby Bóg mógł mi wybaczyć i oby wybaczył mi też własny syn.

— Żałujesz?

— Tak, ojcze.

— W takim razie niech Bóg ci wybaczy i niech wybaczy mi to, że nie potrafię ci wybaczyć.

Inspektor García widział, jak staruszek podnosi się z klęczek ze łzami w oczach.

— Źle się pan czuje? — zapytał.

— Nie, nie, wszystko w porządku — odpowiedział Cipriani, ruszając przed siebie.

Gian Maria wyszedł z konfesjonału i podał rękę policjantowi.

— Przepraszam, że przeszkadzam księdzu nawet tutaj, ale dostałem pozwolenie od księdza zwierzchników na to spotkanie. Chciałbym wrócić do naszej rozmowy... — zaczął inspektor.

Gian Maria popatrzył na niego w milczeniu. Idąc w kierunku zakrystii, widział, jak jego ojciec klęka przed *Pietą* Michała Anioła i kryje twarz w dłoniach. Poczuł, że ogarnia go fala litości dla niego i siebie samego. Tego dnia w Rzymie znów padał deszcz.